Jak daleko się posuniesz, żeby ratować swoje życie?
KONTRATYP
REMIGIUSZ MRÓZ

KONTRATYP

REMIGIUSZ MRÓZ

KONTRATYP

CZWARTA STRONA

Copyright © Remigiusz Mróz, 2018
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2018

Redaktor prowadząca: Monika Długa
Redakcja: Karolina Borowiec
Korekta: Magdalena Owczarzak
Projekt okładki: Mariusz Banachowicz
Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl
Fotografie na okładce:
©Kamenetskiy Konstantin/Shutterstock
©Yury Taranik/ Getty Images
©NejroN/ Getty Images

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-7976-030-5

CZWARTA STRONA
Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
fax: 61 853-80-75
redakcja@czwartastrona.pl
www.czwartastrona.pl

Piotrowi,
z podziękowaniem za złamany ołówek

Necessitas non habet legem.
Konieczność nie zna prawa.

Rozdział 1

Wachlarz

1

ul. Europejska, Wilanów

Obserwując innych, uczył się więcej o sobie niż o nich. Każda interakcja dawała mu coraz lepsze pojęcie o tym, jak dalece odbiega od ogółu i jak wiele musiałby zrobić, żeby społeczeństwo go zaakceptowało.

Widział to jak na dłoni teraz, kiedy przyglądał się kilku osobom w nowoczesnym domu nieopodal Jeziora Powsinkowskiego. Magdalena i Julian Brenczowie kupili budynek dwa lata temu i po gruntownym remoncie przenieśli się tutaj z Piaseczna. Pochodził jeszcze z lat sześćdziesiątych, ale po przebudowie przywodził na myśl nowoczesne perły miejskiej architektury rodem z postmodernistycznego katalogu.

Blondyna, który stał przed domem Brenczów, nie interesowała jednak ani zabudowa, ani mieszkający tutaj ludzie. Przyglądał się ich dzisiejszym gościom, którzy zjawili się na kolacji nieco spóźnieni. A konkretnie jednemu z nich.

Siostra Magdaleny, Joanna Chyłka, zachowywała się dokładnie tak, jak Blondyn się tego spodziewał. Po tym, jak zastawiła iks piątką cały chodnik, wyszła z auta i od razu sięgnęła po papierosa. Wypaliła go ekspresowo, a potem bez ceregieli wparowała do domu, nie czekając na zaproszenie i nie tłumacząc się ze spóźnienia.

Na początek rzuciła kilka luźnych uwag o tym, że dzięki takim spotkaniom pielęgnuje swoje najlepsze cechy: cierpliwość, wyrozumiałość i umiejętność śmiania się z najbardziej czerstwych żartów.

Julian skwitował to uśmiechem, Magdalena strategicznie milczała, a partner Chyłki starał się nieco łagodzić napięcie. Nawet kiedy udawało mu się to osiągnąć, efekt był krótkotrwały i prawniczka zaraz znajdowała nowy sposób, by dopiec siostrze. Blondyn wiedział, skąd biorą się te spięcia – jakiś czas temu Magdalena ściągnęła do Warszawy ich ojca, a wraz z nim całą przeszłość rodzinną, o której Joanna chciała za wszelką cenę zapomnieć.

Przejrzał jej życie na wylot. Ją samą także, choć nie miała o tym pojęcia.

Poznał ją z pewnością lepiej od mężczyzny, który tego dnia towarzyszył jej na kolacji u Brenczów. Z Kordianem Oryńskim była od niedawna, choć znali się od wielu lat. Kilkakrotnie się do siebie zbliżali, ale ostatecznie postawili kropkę nad i dopiero, gdy okazało się, że Chyłka mogła zostać zarażona retrowirusem HTLV.

Blondyn wygładził ciemny zarost otaczający usta i uśmiechnął się lekko. Nie wróżył im długiej przyszłości

razem. Także ze względu na to, co dzisiejszego wieczoru zamierzał zrobić.

Przypatrzył się Chyłce, a potem upewnił się, że pojemnik z symbolem kwasu jest tam, gdzie być powinien.

2

Dom Brenczów, ul. Europejska

Joanna zerknęła na stojący przed nią kieliszek do wina. Jako jedyny był pusty – i jako jedyny znalazł się na stole nie po to, by go napełnić, ale jako niezbyt zawoalowany sprawdzian.

– To siostrzany test na kolejną nieplanowaną ciążę czy na powrót do picia? – odezwała się, wskazując szkło wzrokiem.

Magdalena otworzyła usta, by zaprotestować, ale w porę ugryzła się w język. Przez cały wieczór obydwa tematy stanowiły tabu i wszyscy robili, co mogli, by je sprawnie omijać.

Do czasu.

– Bez obaw – dodała Chyłka. – Żeby do czegoś wracać, trzeba najpierw z tego zrezygnować. A ja z tequilą emocjonalnie nigdy się nie rozstałam.

Magdalena nerwowo zerknęła na męża, jakby spodziewała się, że to on w porę uratuje sytuację.

– A jeśli chodzi o wyhodowanie kolejnego pasożyta, to ze względu na moją obecną drugą połówkę też odpada. Nie mogłabym z czystym sumieniem ryzykować przekazania dziecku genów kogoś, kto najchętniej żywiłby się kostkami lodu.

Oryński drgnął nerwowo, niepewny, w czym rzecz.

– Tego akurat nie mam w menu – odezwał się.

– Nie? A byłoby to dla ciebie idealne, wręcz wymarzone danie. Żadnych węglowodanów, tłuszczów trans, glutenu, laktozy i…

– I bez GMO – dopowiedział. – Racja.

Joanna powiodła wzrokiem po gospodarzach. Milczeli, po raz kolejny nie wiedząc, jak się zachować. Wyraźnie nie odnajdowali się w tej sytuacji, ale Chyłki specjalnie to nie dziwiło. Bodaj po raz pierwszy przyprowadziła do domu siostry osobę, z którą się związała. Innych mężczyzn trzymała od niej na dystans, jakby dzięki temu sama mogła zachowywać od nich odpowiednią odległość.

Julian długo zawieszał wzrok na oknie od strony ulicy i mrużył oczy, jakby kogoś tam zobaczył. Joanna obróciła się przez ramię, ale nikogo nie dostrzegła.

– To nie żarty – zaznaczyła. – Zordon ma naprawdę zrytą pacynę.

– Widziały gały, co brały – odparł.

– Bo złudzeniu się oddały.

– Niby jakiemu?

– Takiemu, że kiedyś zobaczą w tobie człowieka w pełni władz umysłowych.

Chyłka jeszcze raz zerknęła w stronę okna, nie mogąc pozbyć się wrażenia, że jest obserwowana. Może wynikało to z nadmiernie czujnego spojrzenia Brencza, a może z tego, że od pewnego czasu dybało na nią więcej osób niż na niejednego polityka.

W końcu potrząsnęła głową i uznała, że przesadza.

– Nie mówię, żebyś był jak paleolityczny myśliwy i polował na mamuty z włócznią prostą…

– Nie?

– …ale dobrze byłoby czasem zjeść w towarzystwie kogoś, kto nie wślepia się w rostbef, jakby chciał urządzić pogrzeb bydlakowi, dzięki któremu mogę rozkoszować się kawałkiem mięsa – odparła Joanna, a potem skupiła wzrok na Julianie. –

Choć ostatecznie lepsze to niż mąż permanentnie wyglądający, jakby zobaczył creepypastę.

Julian w końcu się otrząsnął i zorientował, że mowa o nim.

– Co? – spytał.

– Wiesz, te krótkie, niby straszne opowiadania. Jak to, że Zordon zgubił się kiedyś nocą w gęstym, mrocznym lesie na Mazurach. Nie słyszałeś o tym?

– Nie.

– Krążył bez nadziei na ratunek przez kilka godzin w zupełnym mroku, nie spotkał żywej duszy, nie miał zasięgu i stopniowo się wychładzał. W końcu jednak znalazł opuszczoną leśniczówkę.

– I?

– I tyle. Wszedł do środka, obadał teren, a potem pooglądał stare, zniszczone portrety na ścianach. Miał problemy z zaśnięciem, bo wydawało mu się, że ci wszyscy ludzie na niego patrzą, ale w końcu kimnął.

– Mhm.

– Tyle że rano, kiedy się obudził, okazało się, że w chałupie nie ma żadnych portretów. Jedynie okna.

Joanna uśmiechnęła się lekko, a potem teatralnie obróciła w kierunku okna.

– Zobaczyłeś tam jakąś postać, Lemurze?

Właściwie od kiedy wyszły *Pingwiny z Madagaskaru*, Chyłka nie zwracała się do Juliana w inny sposób. Zbywała usilne apele siostry milczeniem i udawała, że nie widzi pełnego dezaprobaty wzroku Brencza.

– Nie – odparł gospodarz. – Zamyśliłem się.

– Ta sprawa z Annapurny nie daje mu spokoju – dodała Magdalena.

– Jaka znowu sprawa?

Siostra Chyłki spojrzała na gości, jakby przybyli tutaj z innego świata.

– Nic nie wiecie?

Oboje pokręcili głowami, a Joanna nalała sobie do kieliszka grenadyny.

– Wiadomość gruchnęła zaraz przed waszym przyjazdem, musieliście coś słyszeć w radiu – dodała Magdalena.

– Radio w iks piątce łapie tylko pasmo sześciuset sześćdziesięciu sześciu herców – odbąknął Kordian. – A jedynym głosem na tych falach jest Bruce.

– No tak.

– Co to za sprawa? – włączyła się Chyłka.

– Troje polskich wspinaczy…

– Zaginęło w Himalajach jakiś czas temu, tak, tak. Ratownicy znaleźli tylko przysypane śniegiem liny – przerwała mu prawniczka. – Tyle wiem. Pytam o konkrety.

O sprawie trojga wspinaczy słyszał każdy, a kilka tygodni temu poszukiwaniami zdawała się żyć cała Polska. Dopóki istniała nadzieja, że himalaistów da się uratować, medialny cyrk się nakręcał – kiedy ta znikła, wraz z nią rozpłynęło się także zainteresowanie. Wystarczyło, by guru polskiego alpinizmu i jeden z autorytetów medycznych oznajmili, że prawdopodobieństwo odnalezienia himalaistów żywych równa się zeru.

Kordiana i Chyłkę cała ta sprawa ominęła. Mieli w tym czasie swoje problemy, a właściwie całe ich naręcze. Wciąż czekali na wyniki badań mające przesądzić, czy Joanna jest nosicielką retrowirusa mogącego powodować białaczkę lub chłoniaka. W kancelarii nadal wrzało po śmierci jednego z imiennych partnerów. Oryński wracał do siebie po wyjściu z więzienia i przygotowywał się do kolejnego egzaminu

adwokackiego. Oboje skupiali się przede wszystkim na tym, by na nowo ułożyć sobie życie.

– Znaleźli ciała? – odezwał się Oryński.

– Ciała? – zapytał Julian. – Nie, nie. Znaleźli Klarę.

– Kabelis? Żywą? Po takim czasie?

– Też bym pewnie nie uwierzył, gdyby nie to, że pokazali nagranie z granicy nepalsko-tybetańskiej, na której zatrzymali ją pogranicznicy.

Chyłka i Kordian wymienili się niepewnymi spojrzeniami. Jako jedni z nielicznych orientowali się w temacie tylko oględnie – czego Joanna nie mogła powiedzieć o swoim szwagrze. Julian nie dość, że był pasjonatem alpinizmu, to sam także amatorsko się wspinał. O ile jej pamięć nie myliła, swego czasu odbył nawet trekking wokół Annapurny.

– Wygląda na to, że dziewczyna nie tylko przeżyła, ale ma się całkiem nieźle. Wizualnie nie było widać żadnych odmrożeń, choć…

– Jakim cudem przeżyła? – wpadła mu w słowo Joanna.

– Nie wiadomo. Ale jest już w drodze do kraju.

W jego głosie brakowało entuzjazmu, który wydawał się całkowicie na miejscu. Dopiero teraz Chyłka uświadomiła sobie, że Julian właściwie przez cały wieczór był osowiały.

– Co jest nie tak? – zapytała, mrużąc oczy.

Brencz potrząsnął głową, jakby chciał zasugerować, że są lepsze tematy, o których mogą porozmawiać przy tak rzadko nadarzającej się okazji. Joanna była jednak innego zdania.

– Mów, Lemurze.

– Z Nepalu dochodzą sprzeczne informacje – włączyła się Magdalena.

– Jakie?

– Klara najwyraźniej nie wyjaśniła jeszcze nikomu, co się z nią działo. I nie wspomniała słowem o tym, co spotkało

dwóch pozostałych wspinaczy.

– W dodatku znaleziono przy niej ich rzeczy – dodał Brencz. – I bynajmniej nie potraktowano jej tak, jak zazwyczaj, kiedy dochodzi do nielegalnego przekroczenia granicy.

– Próbowała przedostać się do Tybetu na krzywy ryj? – spytała Chyłka.

– Najwyraźniej.

– Czemu miałaby to robić?

Julian wzruszył ramionami, a potem zaczął przybliżać im meandry podróżowania w Tybecie. Joanna wyłapała jedynie tyle, że należało wynająć agencję, uzyskać zezwolenie, przedstawić plan podróży i zapewnić, że ma się zarówno samochód, kierowcę, jak i przewodnika.

– Normalnie zajmuje to od sześciu do ośmiu miesięcy – ciągnął Brencz. – Może jej się spieszyło.

– Albo chciała się ukryć – podsunął Oryński. – I nie zostawiać za sobą całego korowodu poszlak.

Chyłka uniosła rękę, skupiając na sobie wzrok zebranych, a potem wymierzyła palcem w Juliana.

– Mówiłeś, że nie potraktowano jej normalnie. To znaczy?

– Zazwyczaj takiego delikwenta po prostu się deportuje. Chwilę siedzi w areszcie, pokrywa koszty związane z zatrzymaniem, a potem zajmuje się nim ambasada. Dostaje zakaz wjazdu do Chin, i tyle.

– W przypadku Klary było inaczej? – włączył się Kordian.

– Podobno nie trafiła do ambasady, mimo że nasz konsul o wszystkim wie.

– I? – drążyła Joanna.

Magdalena pociągnęła ostatni łyk wina i odstawiła pusty kieliszek na stół.

– Podobno zatrzymano ją na prośbę naszej prokuratury – powiedziała.

– Ale to niepotwierdzone informacje – dorzucił Brencz.

– Niepotwierdzone oficjalnie. Dobrze wiesz, że to kwestia czasu.

Oboje zdawali się co do tego absolutnie przekonani. W dodatku sprawiali wrażenie, jakby cały wieczór tylko czekali na to, by podjąć wyjątkowo elektryzujący ich temat.

Chyłka specjalnie im się nie dziwiła. Wystarczyło znikome zainteresowanie górami, by nie móc oderwać nosa od telewizora, kiedy działo się w nich coś wykraczającego poza normę.

Wskazała ponadpięćdziesięciocalowy ekran i nie musiała dodawać nic więcej, by Julian włączył TVN24. Przez chwilę wszyscy milczeli, skupiając się jedynie na słowach prezenterki.

Potwierdzono, że Klara Kabelis została zatrzymana na prośbę polskich organów ścigania i po wydaniu zgody przez nepalski wymiar sprawiedliwości zostanie przetransportowana do kraju.

Szczegółów wciąż było niewiele, prokuratura dopiero miała wydać oficjalne oświadczenie. Jasne było jednak, że po pierwszym wybuchu optymizmu spowodowanego odnalezieniem alpinistki, teraz reporterzy się mitygowali.

– Ta pani ich zakatrupiła – rozległ się dziewczęcy głos, który sprawił, że wszyscy oderwali wzrok od telewizora i przenieśli go na schody.

Sześcioletnia córka Brenczów dotychczas nie opuszczała swojego pokoju na piętrze, najwyraźniej nie czując potrzeby, by poznać nowego chłopaka ciotki. Chyłka doskonale to rozumiała i zapewne będąc w wieku siostrzenicy, zrobiłaby dokładnie to samo. Nie było to zresztą jedyne, co je łączyło – mała Daria wyraźnie odstawała od swoich rówieśniczek. Zamiast emocjonować się nowymi kreskówkami Disneya

z wypacykowanymi księżniczkami, ciągnęła rodziców do kina na *Gwiezdne wojny*. Nie zbierała różnych wersji Mroźnej Elsy z Krainy Lodu, kolekcjonowała za to figurki Rey i chciała nosić taką fryzurę, jak główna bohaterka nowej trylogii. Od domku Barbie wolała karton klocków Lego, a zamiast grać w rodzinne planszówki, naciskała rodziców, by rozegrali kilka partii w karty.

Joanna zawsze czuła specyficzną więź z dziewczynką, choć przypuszczała, że prędzej czy później zacznie ona słabnąć. Stało się jednak inaczej – od pewnego czasu emocjonalny związek zacieśniał się jeszcze mocniej. Chyłka zdawała sobie sprawę z powodu takiego stanu rzeczy. Po stracie dziecka w jej sercu powstała wyrwa, którą uczucia wobec siostrzenicy mogły przynajmniej częściowo zasypać.

– Tak piszą na Facebooku – dodała dziewczynka, schodząc z ostatniego stopnia. – Że ich umordowała, żeby sama mogła przeżyć.

Takie słowa z ust sześciolatki, w dodatku wypowiadane zupełnie bez emocji, uświadamiały Chyłce, że znieczulica jest cechą przyrodzoną wszystkich, którzy od pewnego czasu trafiają na ten świat. Właściwie nie miała nic przeciwko temu, bo dawało to nadzieję, że kolejne pokolenia lepiej poradzą sobie z dorosłością.

– To tylko plotki, kochanie – odezwała się Magdalena. – I nie powinnaś w ogóle…

– Podobno obcięła rękę jednemu z nich i ją zjadła.

Julian odchrząknął nerwowo i z powagą – jak tylko ojciec potrafi.

– Tak to jest – dodała rzeczowo młoda. – Takie rzeczy czasem się zdarzają.

– I to nie od dziś – włączyła się chętnie Joanna. – Głowił się nad tym już Karneades z Cyreny w drugim wieku przed naszą

erą.

Dziewczynka ochoczo pokiwała głową.

– Tak czy inaczej, szykuje się głośna sprawa – wtrącił Brencz.

Chyłka zmrużyła oczy i posłała mu długie spojrzenie.

– Próbujesz skończyć temat kanibalizmu, zanim na dobre się w niego wgryziemy? – spytała.

– Mówię tylko, że może to coś w sam raz dla Żelaznego & McVaya.

Joanna prychnęła.

– Prędzej powstanie linia tramwajowa z Woli na Wilanów, przedłużenie Woronicza do Żwirki i Wigury, a Zordon zamówi sobie w knajpie krwisty stek.

– Moglibyście na tym…

– Nie ma mowy.

– Nie bierzesz pod uwagę, że…

– Nie i koniec. Sprawa zamknięta jak Saska Kępa w trakcie meczu reprezentacji na Narodowym – ucięła Chyłka.

– Nie za dużo tych miejskich porównań?

– Nigdy. Warszawa ma moją dozgonną miłość – zadeklarowała. – Podobnie jak beznadziejne sprawy, ale w tym konkretnym wypadku uczucia muszę odsunąć na bok.

– Bo?

– Bo obrona Kabelis to rzecz wizerunkowo z góry przegrana – odparła, wskazując ekran, na którym pokazywano zdjęcie Klary wprowadzanej do niewielkiego budynku. – Uwalisz sprawę, to wszyscy będą mówić, że jesteś nieskuteczny. Wygrasz, to zarzucą ci, że bronisz potwora.

– Bez przesady.

– Tu nie ma miejsca na przesadę. Ludzie ją znienawidzą – rzuciła Chyłka bez wahania. – Teraz wszyscy jeszcze się zastanawiają, jak do tego podejść, ale zapewniam cię, że za

kilka dni Kabelis stanie się obiektem zmasowanego hejtu. Przypomnij sobie, co się działo z Bieleckim po tym, jak ratował życie na…

Gaszerbrumie? K2? Chyłka nie mogła wyłowić z pamięci konkretnej góry. Pamiętała za to tę metaforyczną, która wypiętrzyła się z gnoju wylewanego pod adresem Bogu ducha winnego wspinacza.

– Na Broad Peaku – dopowiedział Brencz. – No tak…

– Nie ma szans, żebyśmy to wzięli. I żadne pieniądze tego nie zmienią.

Nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Zarówno jej samej, jak i kancelarii mocno oberwało się po sprawie Rafała Kranza. Stawanie w obronie człowieka, a szczególnie ginekologa, który atakował kobiety, nigdy nie było dobrym pomysłem. Wtedy jednak nie mieli wyjścia – teraz wręcz przeciwnie. Niepotrzebna była im kolejna niebezpieczna PR-owo sprawa.

Rozmawiali o niej jeszcze przez bite dwie godziny, zanim Chyłka w końcu wysłała Kordianowi wcześniej uzgodniony sygnał, że najwyższa pora się ewakuować. Było nim niezawodne kopnięcie pod stołem.

Pożegnali się wylewnie z domownikami, pogłaskali starego psa Brenczów i z szerokimi uśmiechami oznajmili, że spotkanie trzeba jak najszybciej powtórzyć. Kiedy weszli z powrotem do iks piątki, obydwoje głośno odetchnęli.

– Nigdy więcej – odezwała się Chyłka, wciskając guzik startu.

Silnik mruknął przyjemnie, a zaraz potem z porządnego systemu stereo ryknęły gitary elektryczne.

– Mogło być gorzej – odparł Kordian. – Wyobraź sobie, co by było, gdyby nie temat Klary.

– Z pewnością gadalibyśmy o twoich nawykach żywieniowych, mojej ciąży i retrowirusach na cztery litery.

Oryński spojrzał na nią, gdy wycofywała na ulicę. Miał wrażenie, że nawet nie zerknęła w lusterko, więc sam obrócił się przez ramię. Kątem oka dostrzegł czarny, cylindryczny pojemnik na tylnym siedzeniu.

– Co to jest? – spytał.

Joanna spojrzała na przypominający rulon przedmiot.

– Ty mi powiedz. Sam to przytaszczyłeś.

– Pierwsze widzę.

– Mhm.

– Mówię poważnie.

Chyłka spojrzała na niego, by upewnić się, że faktycznie nie żartuje. Potem zerknęła na tylne siedzenie i natychmiast wcisnęła pedał hamulca. Iks piątka zatrzymała się, jakby wrosła w ziemię.

Joanna rozejrzała się nerwowo.

– Co to, kurwa, jest? – wypaliła.

Oboje odwrócili się i wbili wzrok w pojemnik, jakby miał się okazać ładunkiem wybuchowym.

– I skąd to się tu wzięło?

– Zamknęłaś samochód przed wyjściem?

– A jak myślisz?

Oryński drgnął, chcąc sięgnąć po czarny przedmiot, ale Chyłka natychmiast go powstrzymała.

– Daj spokój – rzucił. – Przecież to nie…

– Nie wiesz, co to jest, więc łapy przy sobie.

Nie wydawał się przekonany, wyraźnie bagatelizował potencjalne zagrożenie. Nie bez znaczenia było to, że wypił u Magdaleny kilka kieliszków więcej, niż powinien.

– Nikt nie podrzucił ci nowiczoka do samochodu – zastrzegł. – Bomby też nie. A już z pewnością nie takiej, która byłaby na

pierwszy rzut oka widoczna.

– Nie boję się, że to pierdyknie ci w rękach, Zordon. Nie chcę po prostu, żebyś zatarł ewentualne ślady.

Kiedy otworzyła drzwi, on zrobił to samo. Wyszli z auta, Joanna natychmiast zapaliła papierosa, a zaraz potem zaczęli przyglądać się pojemnikowi. Jako pierwszy napis na boku dostrzegł Kordian.

– H2SO4 – odczytał. – Mówi ci to coś?

Chyłka niemal zakrztusiła się dymem. Odrzuciła papierosa na bok, po czym nachyliła się nad cylindrycznym przedmiotem. Oryński zbliżył się z drugiej strony i przez moment wyglądali, jakby starali się ostrożnie podejść spłoszone zwierzę.

– Kwas siarkowy – odezwała się, a potem mimo woli przesunęła dłonią po bliźnie na szyi. – Jakiś skurwysyn podrzucił mi kwas siarkowy do auta – dodała.

Zanim zdążyła zareagować, Kordian sięgnął po pojemnik. Czym prędzej odkręcił wieko, a ona zaklęła głośno i szybko ruszyła w jego kierunku.

– Zordon!

Przystanęła o krok od niego, jakby trzymana na odległość zdziwieniem, które zarysowało się na jego twarzy. Nie widziała, co znajduje się w pojemniku, ale jedno było pewne – nie to, czego Oryński się spodziewał.

3

ul. Europejska, Wilanów

Blondyn z ciemnym zarostem zaczynał sądzić, że dwoje gości nigdy nie opuści domu przy Europejskiej. Przypuszczał, że Joanna szybko odbębni to spotkanie, a potem razem z Oryńskim wybiorą się do któregoś ze swoich ulubionych lokali. Na mapie Warszawy właściwie było tylko kilka, w których obydwoje czuli się dobrze.

Tymczasem spędzili u Brenczów parę godzin, a Kordian zdążył się dość mocno wstawić. Niewątpliwie właśnie dzięki temu był tak butny, kiedy zobaczył pojemnik. Blondyn obserwował wszystko z bezpiecznego miejsca, rozbawiony tym, jak młody prawnik pali się do bitki.

Kordian przeczesywał wzrokiem mrok nocy, odgrażając się osobie, która pozostawiła przesyłkę w aucie. Kręcił się wkoło, jakby się spodziewał, że przeciwnik znajduje się tuż obok i tylko czeka, by doszło do konfrontacji.

Blondyn rzeczywiście ustawił się niedaleko, ale nie po to, by wchodzić w jakąkolwiek interakcję z prawnikami. Zrobił wszystko, co założył, a teraz musiał skupić się na drugiej części planu.

Znów konieczne było uzbrojenie się w cierpliwość. Po tym, jak czarna iks piątka w końcu odjechała w kierunku Sadyby, zerknął na zegarek. Było wpół do jedenastej. Przypuszczał, że będzie musiał poczekać godzinę, może dwie, zanim domownicy w budynku przy Europejskiej usną.

Nie pomylił się. Światło w pokoju Darii zgasło jako pierwsze, a w sypialni jej rodziców nieco ponad godzinę później. Blondyn odczekał jeszcze trochę dla bezpieczeństwa, a potem zaczął realizować swój plan.

Jedynym problemem mógł być pies, dość duży i nieco podstarzały border collie, który przy odrobinie pecha narobiłby hałasu. Zwierzę spało jednak twardo i ominięcie go nie nastręczyło Blondynowi żadnego kłopotu.

Z dostaniem się na piętro również nie miał żadnego problemu, wszystko było gotowe zawczasu. Podobnie łatwo dostał się do sypialni małej.

Daria spała snem sprawiedliwego, ale na wszelki wypadek mężczyzna poruszał się wolno, niczym cień przemykając przez pokój. Stanął nad łóżkiem i przez chwilę przypatrywał się dziewczynce.

Potem pochylił się nad nią, delikatnie położył dłoń na jej ustach i przygotował się, by ją zbudzić. Nabrał tchu, odliczył od trzech w dół, a potem przycisnął rękę mocniej i jednocześnie zsunął małą z łóżka, zakleszczając jej kark w mocnym uścisku.

Próbowała pisnąć, ale z jej ust dobył się tylko stłumiony dźwięk. Blondyn przyłożył usta do jej ucha.

– Nie krzycz – szepnął. – Nic ci się nie stanie.

Nie wiedział, czy go usłyszała, więc powtórzył to jeszcze kilkakrotnie, nie pozwalając dziewczynce wyrwać się z uścisku. Wiedział, że te słowa na długo zapadną jej w pamięć. Być może do końca życia.

4

Kancelaria Żelazny & McVay, Skylight

Lawirując między pracownikami na korytarzu, Kordian czuł się jak zabłąkany turysta na arabskim targu. Mijani stażyści i praktykanci go zaczepiali, każdy miał do niego sprawę, a niektórzy zdawali się traktować go jako najstabilniejszy ze wszystkich pomostów między szarakami a partnerami w firmie.

Sytuacja utrzymywała się, właściwie od kiedy wrócił do Żelaznego & McVaya. Młodsi stażem prawnicy najwyraźniej uznali to za jego osobisty triumf i dowód na umiejętność rozgrywania kierownictwa, choć w istocie powrót do pracy był zasługą Chyłki.

Minął kilka osób, starając się nie rozlać ani kropli kawy niesionej z Costa Coffee, a potem wszedł do gabinetu Joanny bez pukania. Postawił na biurku tekturowy uchwyt z kubkami, po czym wyciągnął z torby dwa kawałki ciasta.

– Co to jest? – jęknęła Chyłka.

– Oreo cookie pie.

– Sporo cukru?

– W samym kremie tyle, że zaczniesz mówić do mnie „kotuniu”.

Spojrzała na niego z dezaprobatą, a potem chwyciła za ciasto, jakby był to kawałek pizzy, i wsunęła je do ust. Popiła dużym łykiem czarnej kawy i kilkakrotnie zamrugała.

– Lepiej? – spytał Oryński.

– Lepiej będzie, jak odeśpię tę pieprzoną noc.

Żadne z nich nie zmrużyło oka i Kordian wątpił, by nawet gigantyczne zastrzyki cukru i kofeiny mogły postawić ich na nogi. Po tym, jak wieczorem otworzyli pojemnik z symbolem chemicznym kwasu, natychmiast zabrali się do roboty.

Ostatecznie Chyłka uruchomiła zarówno Kormaka w kancelarii, Szczerbińskiego w komendzie, jak i wszystkie inne trybiki machin, które zazwyczaj jej pomagały. Nie zważała na późną porę, dzięki czemu o poranku dwoje prawników otrzymało pierwsze wieści.

Z pojemnika już ściągano odciski palców, a jego zawartość była poddawana skrupulatnej analizie. Nie było w nim nic, co mogłoby okazać się groźne, przynajmniej nie bezpośrednio. Kiedy Kordian zdjął wieko, znalazł pojedynczą kartkę papieru. I mimo że dość szybko oddali ją w ręce policji, doskonale pamiętał każdą wydrukowaną na niej literę.

„OBROŃ KABELIS", brzmiała pierwsza część wiadomości złożonej cienkim, charakterystycznym fontem. Druga, znajdująca się kilka linijek niżej, stanowiła ostrzeżenie. Nadawca groził, że jeżeli Chyłka nie wykona polecenia, następnym razem zawartość pojemnika będzie zgodna z jego opisem.

Normalnie oboje podeszliby do tego z dystansem, ale fakt, że przesyłka znalazła się w zamkniętym aucie Joanny, napełniał ich niepokojem.

– Kormak sprawdził już iks piątkę? – spytała Chyłka, pociągając kolejny łyk kawy.

– Mhm – potwierdził Oryński. – Otworzył ją bez problemu w Złotych Tarasach.

Joanna zaklęła pod nosem.

– Twierdzi, że to kwestia kupienia dwóch urządzeń na Aliexpress za czterdzieści złotych każde. Barachło nazywa się

HackKEY i wygląda jak krótkofalówka, tyle że zamiast jednej nędznej antenki ma trzy porządne.

Mimo że bezkluczykowe otwieranie samochodów nazywano „metodą na walizkę", urządzenia te nie miały z nią wiele wspólnego. Jedno z nich należało umieścić przy drzwiach samochodu, drugie niedaleko kluczyka. Wzmocniony sygnał oszukiwał system samochodu i otwierał centralny zamek, a złodziej bez trudu odjeżdżał w siną dal.

Tym razem jednak metoda została wykorzystana jedynie po to, by zostawić w iks piątce wiadomość z żądaniem i groźbą, pod którymi włamywacz złożył swój podpis.

Przedstawił się jako „mudżahid", który wypalił na ciele Chyłki „piętno dżihadu".

Właśnie ten ostatni element wydawał się Oryńskiemu najbardziej znaczący. Po pierwsze dowodził, że człowiek, który zostawił przesyłkę, znał Joannę na tyle dobrze, by wiedzieć, jak sama określa znamię na szyi powstałe po ataku kwasem. Po drugie podpis zdawał się sugerować, że nadawca traktuje to jako swoistą grę, być może zabawę. Wydźwięk sygnatury z pewnością nie mógł uchodzić za śmiertelnie poważny.

Kordian usiadł przed biurkiem i wyciągnął z papierowej torby maślane ciastko.

– Nadal stawiam na Langera – odezwał się.

Chyłka pokręciła głową.

– Nie miałby powodu.

– A kiedykolwiek go potrzebował?

– Słuszna uwaga – przyznała. – Ale tym razem kutafon jest poza kręgiem podejrzeń. Wyjechał z kraju, szusuje na nartach gdzieś w Dolomitach i jak Bóg da, połamie się tam jak kariera Weinsteina po akcji MeToo.

Kordian przez chwilę przeżuwał ciastko w milczeniu.

– Jesteś pewna?

– Ba. Po tym, jak oskarżyła go Lena Headey, gość już się nie podniesie. Nie pamiętasz, jak wyrżnęła wszystkich w Wielkim Sepcie?

– Ja pamiętam, ale ty nie, bo tylko czytałaś Martina, ale nigdy nie oglądałaś *Gry o Tron*.

– Nadrobiłam w ostatnim czasie, żebyśmy ostatni sezon połknęli razem. I naciesz się tym, bo to jedyny romantyczny gest, na jaki mnie stać.

– Będę wspominać go latami – odbąknął. – I miałem na myśli Langera.

– A. Jeśli o niego chodzi, to już kwestia Bożej opatrzności. Przy odrobinie dobrej woli Wszechmogący zsunie na niego lawinę.

– Chyłka…

W końcu oderwała wzrok od stojącego przed nią laptopa i spojrzała na Oryńskiego spode łba.

– To nie on, Zordon. Chyba że ma brata bliźniaka, który wczoraj był na stoku w Cortina d'Ampezzo i zasuwał tam jak Babicki w Pucharze Świata.

– Kto?

– Ten alpejczyk, który w Bormio przejechał całą trasę na jednej narcie.

Kordian nie miał pojęcia, o kim mowa, ale uznał, że najlepiej będzie, jeśli tylko pokiwa głową. Pewność w głosie Chyłki była wystarczająca, by skreślił Piotra Langera z listy podejrzanych. Owszem, gdyby miał w swoim otoczeniu choć jedną godną zaufania osobę, być może zleciłby jej podłożenie pojemnika. Takiej jednak nie było, a on nie byłby gotów ryzykować – zrobiłby to sam.

– Kto w takim razie ci to podrzucił?

Joanna wzruszyła ramionami.

– Krąg osób, które zdarzyło mi się wkurwić, jest dość duży.

– Właściwie nieskończony…

– Ale mogę go znacznie zawęzić, bo większość tych animozji się przedawniła.

– Tak?

Chyłka złapała za skraj ekranu i obróciła laptopa w stronę Oryńskiego. Powiódł wzrokiem po liście, którą przygotowała. Znajdowały się na niej przede wszystkim nazwiska ludzi związanych z pierwszą sprawą, którą razem prowadzili, ale także z zaginięciem Nikoli Szlezyngier, obroną Bukano, Sebastiana Sendala i Tesarewicza. Na końcu Joanna wypisała wszystkich zamieszanych w sprawę Fahada Al-Jassama.

Z kilkudziesięciu kandydatów i kandydatek wybrała parenaście osób. W zasadzie każda z nich znalazłaby dobry powód, by odegrać się na Chyłce. Najbardziej podejrzani byli jednak ci na końcu listy.

– Rzeczywiście zawęziłaś – mruknął Kordian i obrócił komputer z powrotem w jej stronę.

Joanna zmrużyła oczy, przesuwając wzrokiem po wykazie.

– Właściwie pominęłam jedno nazwisko.

– Czyje?

– Twoje.

– Moja nienawiść do ciebie jest spoiwem naszej relacji, Chyłka.

– Tak sądzisz?

Oryński skinął głową z przekonaniem.

– Jakiś czas temu odkryto, że kluczem do udanych i długich związków jest nic innego, jak wspólne nienawidzenie tych samych rzeczy. A skoro oboje mamy podobne…

– Dobra, dobra. – Joanna podniosła rękę, nie odrywając spojrzenia od ekranu. – Nie chcę słuchać teorii o moich rzekomych tendencjach autodestrukcyjnych. Powiedz mi lepiej, która z tych osób mogłaby mieć najlepszy motyw?

– Każda.

Chyłka zerknęła na niego, a potem sięgnęła po paczkę papierosów.

– I dopisałbym jeszcze Rafała Kranza.

Po chwili oboje wpatrywali się w opary dymu unoszące się nad biurkiem. Oryńskiemu wydawało się, że gdzieś w nich gubią się wszystkie jego myśli. Szczególnie ta oczywista, najlogiczniejsza ze wszystkich.

– Nie bierzesz pod uwagę, że to naprawdę może być ten sam człowiek, który zaatakował cię pod kancelarią? – spytał w końcu.

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo chluśnięcie kwasem było spontanicznym aktem tchórzostwa. I miało być karą za bronienie domniemanego terrorysty. Tutaj chodzi o coś więcej.

– Co nie znaczy, że to nie ta sama osoba – uparł się Kordian, rozganiając ręką dym. – Mogło zacząć się od impulsywnego ataku, ale nie wiemy, na czym się skończyło. Nigdy tego człowieka nie znaleziono.

– Mnie to mówisz?

– Chcę tylko…

– Daj spokój – przerwała mu i z impetem zdusiła marlboro w popielniczce. – Nadawca wykorzystuje tamto zdarzenie, żeby mną wstrząsnąć. Ale jestem spokojna jak pieprzony dalajlama.

Oryński zaczął masować kark, żałując, że nie położył się tej nocy choć na chwilę.

– On chyba nie jest już oazą spokoju. Przynajmniej nie od czasu, kiedy Chińczycy porwali panczenlamę. Wiesz, tego chłopaka, który ma wskazywać kolejne wcielenia…

– Przywódcy Tybetu. Tak, Zordon, orientuję się w temacie.

– A skoro już przy nim jesteśmy…

– To zastanawiasz się, dlaczego ten rzekomy mudżahedin miałby zmuszać mnie do obrony Klary Kabelis.

– Mhm.

– Na to pytanie nie zna odpowiedzi nawet sam Kundun – odparła Chyłka, po czym podciągnęła rękaw żakietu i sprawdziła godzinę. – Ale my ją poznamy.

– Tak?

– Samolot z himalaistką ląduje na Okęciu za dwie godziny. Będziemy na nią czekać.

– Świetnie. Pomachamy jej zza policyjnego kordonu, który będzie jej pilnował.

– Zrobimy dużo więcej. Przyciśniemy albo ją, albo kogoś innego.

– W jaki sposób?

– Coś się wymyśli.

Jeśli wziąć pod uwagę, że Klara Kabelis była transportowana do kraju niczym Kajetan P. po ujęciu na Malcie, było to raczej niemożliwe. Choć jeśli Chyłka rzeczywiście zamierzała fatygować się na lotnisko Chopina, z pewnością miała jakiś plan.

– Więc chcesz jej bronić? – spytał Oryński.

– Nie – odparła bez wahania. – Już wcześniej byłabym gotowa wziąć tę sprawę jedynie po swoim trupie, a teraz… cóż, nie zrobiłabym tego nawet jako umarlak. Za nic w świecie, Zordon. Nie kiedy ktoś mnie szantażuje.

Kordian pokiwał głową w zamyśleniu. Jeśli nadawca przesyłki znał Joannę choć trochę, musiał wiedzieć, że w ten sposób osiągnie efekt odwrotny do zamierzonego. Ale może właśnie o to mu chodziło?

Oryński odsunął te myśli, zanim zaczęły tworzyć piętrową konstrukcję. Zdecydowanie wolał, kiedy gubiły się gdzieś

w tytoniowym dymie. Spojrzał na Chyłkę, ale ona była już całkowicie pochłonięta tym, co miała na ekranie laptopa. Zmarszczka, która pojawiła się między brwiami, kazała mu sądzić, że Joanna coś znalazła.

– Co robisz? – spytał.

W odpowiedzi wystukała coś na klawiaturze i jeszcze mocniej zmrużyła oczy.

– Chyłka?

– Próbuję się skupić.

– Widzę, ale…

– Ale nie dane mi będzie osiągnąć tego stanu, jak nie przestaniesz pytlować.

Nie kontynuował tematu, uznawszy, że najroztropniej się wycofać. Wrócił do jednego z gabinetów na końcu korytarza, na którego drzwiach od pewnego czasu znów wisiała tabliczka z jego imieniem, nazwiskiem i informacją o miejscu w łańcuchu pokarmowym.

Artur Żelazny przywrócił go na stanowisko junior associate, choć właściwie po kilku latach w kancelarii Kordian powinien znaleźć się o szczebel wyżej. Na tym nie miał ani zbyt dużej swobody, ani przesadnie imponujących zarobków, przynajmniej gdy wziąć pod uwagę warszawską średnią w świecie prawniczym. Zazwyczaj mieściły się one w widełkach od trzech do ośmiu tysięcy złotych miesięcznie – kancelaria Żelazny & McVay oferowała wynagrodzenie w górnych granicach tej kwoty. Koniec końców po wszystkich zawirowaniach osobistych i zawodowych należało uznać to za sukces.

Na przydzielenie mu starego biura musiał czekać kilka tygodni, a teraz powoli przekształcał je z bezpłciowej, korporacyjnej przestrzeni w miejsce, które miało stanowić namiastkę domu.

Zdążył wyjąć z kartonu przy biurku kilka rzeczy, zanim rozległo się łomotanie do drzwi. Nie czekając na zaproszenie, Chyłka raptownie je otworzyła.

Oryński obejrzał się przez ramię i odłożył na blat dwie spinki do mankietów.

– Meblujesz się à la Artur? – spytała podejrzliwie. – Czy szukasz sobie atrybutu władzy, której nie masz?

– Nie, po prostu… – Urwał i machnął ręką. – A ty naprawdę nie musisz pukać, skoro i tak…

– Kultura tego wymaga. A ja jestem jej ostoją w tej firmie.

– Oczywiście.

– Widzisz to inaczej?

– Nie, nie. W firmie jak najbardziej – odparł. – Gorzej w domu.

– Do czego niby pijesz?

– Do tego, że zdarza ci się wchodzić bez pukania do łazienki, kiedy myję zęby, a potem bez słowa siadać na…

– Bo to moja łazienka – ucięła. – Poza tym jeśli nie mogę przy tobie spokojnie się wydryzdać, jakim cudem mam spędzić z tobą resztę życia?

– Wydryzdać?

– Uwolnić nadmiar balastu z pęcherza, Zordon.

– Tak, wiem, ale… – Znów urwał i pokręcił głową. – Mniejsza z tym. Masz coś konkretnego?

Rezolutnie skinęła na niego ręką, po czym oboje ruszyli korytarzem na tyle szybko, by Oryński bez słów zrozumiał, że partnerka zrobiła postępy.

– Wyciągaj notes i zapisuj, żeby nie było jak z Abrahamem Lincolnem w Bloomington – poradziła, kiedy torowali sobie drogę do windy.

– Chyba nie znam tego kazusu.

– Abe wygłosił tam tak inspirujące przemówienie, że dziennikarze zamiast notować, słuchali go z rozdziawionymi paszczami. I przez to nie zachował się żaden zapis tamtej mowy. Przepadła zupełnie.

– To niefartownie.

Weszli do windy, a Chyłka czym prędzej wybrała parter.

– Prześledziłam jeszcze raz wszystko, co związane z Klarą – zaczęła. – Szczególnie filmiki, które kręciła w górach, i trochę wywiadów. Wylewna, medialna kobitka. Wiedziałeś, że wspinała się na Kanczendzongę, żeby odnaleźć Wandę Rutkiewicz?

– Znaczy się jej ciało?

– Właśnie nie. Kabelis rozpętała burzę w mediach, bo twierdziła, że nasza najwybitniejsza alpinistka nie zmarła na górze, tylko przeszła na drugą stronę i wciąż żyje w jednym z tamtejszych klasztorów.

Oryński spojrzał na Joannę z powątpiewaniem.

– Podobną wersję przedstawiała matka Wandy, ale mniejsza z tym. Klarze rozchodziło się głównie o szum medialny, potrzebowała sponsorów i łaknęła rozgłosu. Krytykowano ją za to w środowisku, ale niewiele sobie z tego robiła. I uzbierała po tej akcji wystarczająco dużo ofert sponsorskich, żeby ze spokojem wypiąć się na resztę towarzystwa.

– Medialny drapieżnik?

– Na to wygląda – odparła Joanna, kiedy winda dotarła na parter. Oboje szybkim krokiem z niej wyszli, a przed opuszczeniem Skylight skinęli jeszcze głowami do obsługi w Costa Coffee.

Chwilę później zasiedli w zaparkowanej w Złotych Tarasach iks piątce.

– Z Kabelis był tylko jeden problem.

– Z tego, co mówisz, chyba więcej niż jeden.

– Mam na myśli kłopot praktyczny – odparła Chyłka, przesuwając listę kontaktów na ekranie komputera pokładowego. – Klara ni w ząb nie zna angielskiego. Nigdy nie nauczyła się ani tego, ani żadnego innego języka, przez co towarzystwo innych wspinaczy z Polski to dla niej absolutna konieczność.

– Przypuszczam, że niełatwo jest jej znaleźć chętnych?

Joanna nie odpowiedziała. Wybrała numer Paderborna i kiedy odchrząknęła, Oryński zrozumiał, że to zapewne ten moment, w którym nauczony kazusem Lincolna, powinien zacząć notować.

Prokurator odebrał dopiero za drugim razem, kiedy mknęli już Alejami Jerozolimskimi w kierunku placu Zawiszy.

– Jak miło, że… – zaczął Olgierd Paderborn.

– Macie przejebane jak stąd do wieczności – wpadła mu w słowo Joanna.

Ripostą było chwilowe milczenie.

– My? – odezwał się w końcu Olgierd.

– Prokuratura.

– Znowu wydłużyli nam wiek emerytalny? Obcięli emerytury?

– Nie, ale w porównaniu z gównoburzą, która przejdzie dzisiaj nad Okęciem, to byłoby nic.

– Chyba pominąłem jakąś prognozę, bo żadnych lotów nie odwołano.

– Pominąłeś znacznie więcej, Pader. Ty i twoja kontrola prokuratorskich lotów w sprawie Klary Kabelis.

Z głośników dobiegło niepewne, ciche chrząknięcie.

– Bronicie jej?

Chyłka zignorowała pytanie.

– Słuchaj mnie teraz wyjątkowo uważnie, bo jeśli uronisz choć kroplę, nie dostaniesz dolewki – rzuciła. – Jestem

w drodze na lotnisko i mam zamiar sprawić, że ta dziewczyna zostanie natychmiast zwolniona.

– Powodzenia.

– W dupę je sobie wsadź – odparła od razu. – Mnie ono niepotrzebne. W zupełności wystarczy mi znajomość przepisów prawa.

– To znaczy?

W przypadku każdego innego prokuratora Kordian podejrzewałby, że rozmówca jedynie gra głupa. Olgierd nie zwykł jednak tego robić – zdziwienie w jego głosie jednoznacznie świadczyło, że nie wie, w czym rzecz.

– Nie masz pojęcia, że Klara nie zna angielskiego, prawda? – spytała Joanna. – Nie wspominając już o tym, że po nepalsku nie potrafiłaby nawet oznajmić Szerpom, że chce iść w góry.

Paderborn milczał, ale na tym etapie musiał już się zorientować, że w istocie ma problem.

– Przypomnę ci rozwój wypadków – ciągnęła Chyłka. – Miejscowi śledczy ją zamknęli, a Kabelis nie skontaktowała się z polskim konsulem. Nie miała też do dyspozycji tłumacza.

– I?

– I może wszystko byłoby okej, gdyby nie to, że Nepalczycy umieścili ją w areszcie. Nie w naszej ambasadzie, jak to się normalnie dzieje w przypadku deportowanych.

– Nadal nie wiem, czego ode mnie…

– Artykuł szósty Konwencji o Ochronie Praw Człowieka i Podstawowych Wolności.

Olgierd prychnął do słuchawki.

– Punkt trzeci jest dość obszerny, ale powinieneś go przeczytać. Jest tam mowa o prawie do bezpłatnego tłumacza, o informacji na temat zatrzymania i…

– To europejska umowa. Mówimy o Nepalu.

– Tak, ale jej znajomość przyda ci się na zaś – odparła z zadowoleniem Joanna, przyspieszając, by zdążyć na końcówkę żółtego światła przy zjeździe na Raszyńską. – Bo wyraźnie macie braki w prawie międzynarodowym. Poszperaj trochę, znajdziesz aż nadto przepisów o obowiązku zapewnienia tłumacza, by zatrzymany za granicą wiedział po pierwsze, za co pakują go za kratki, po drugie, co mu grozi, po trzecie, jak może się bronić i…

– W porządku, w porządku.

– A oprócz tego jest jeszcze pewien szkopuł, Padre…

Prokurator głośno odchrząknął, czekając na dalszy ciąg.

– Pozwól, że zacytuję kodeks dosłownie: ustawę karną polską stosuje się do obywatela polskiego, który popełnił przestępstwo za granicą.

Czarna iks piątka minęła hotel Sobieski i lewym pasem pomknęła dalej w kierunku Okęcia.

– Czego chcesz?

– Zobaczyć się z Kabelis.

– Wykluczone.

– W takim razie przygotuj się na to, że mój model meteorologiczny się sprawdzi. I że relację z nadchodzących zdarzeń będzie przekazywać nie pogodynka, ale czołowi dziennikarze, którzy już czekają na Okęciu.

Zanim prokurator zdążył odpowiedzieć, Chyłka się rozłączyła. Kordian przypuszczał, że zaraz potem dociśnie pedał gazu jeszcze mocniej, ale Joanna zamiast tego zwolniła. Nagle skręciła z głównej drogi w prawo i zatrzymała się po kilkunastu metrach.

– Co jest? – spytał Oryński.

Chyłka zaparkowała przy kilku innych samochodach, a potem wskazała na witrynę kawiarni, pod którą stanęli.

– Idziemy na kawę do Filtrów.

– Przed chwilą nam się spieszyło.

– Wręcz przeciwnie.

– Gnałaś jak…

– Jechałam swoim zwyczajowym tempem – odparła Joanna, po czym wyszła z samochodu. – Gdyby mi się spieszyło, dawno bylibyśmy na miejscu.

Kordian również wysiadł i spojrzał na nią pytająco.

– Nie pali się. Musimy dać Paderbornowi czas, żeby dojechał na Okęcie i grzecznie tam na nas poczekał.

– Wydaje ci się, że to zrobi? I że dopuści nas do Klary?

– Raczej nie – przyznała. – Ale podzieli się wszystkim, co wie, bo będzie się obawiał medialnej gównoburzy.

Oryński nie był co do tego przekonany, ale właściwie każdy powód był dobry, żeby napić się kawy z dripa i zjeść „bezglutka" w Filtrach.

Kiedy pół godziny później zjawili się na lotnisku, było jasne, że Kordian się nie pomylił. Prokurator nie zamierzał ustąpić ani na krok, a kiedy ostatecznie upewnił się, że kancelaria Żelazny & McVay w istocie nie broni Klary, zagroził postawieniem Chyłce zarzutów utrudniania pracy wymiaru sprawiedliwości.

Sytuacja zmieniła się dopiero, gdy Kabelis zjawiła się na Okęciu. Jeden z eskortujących ją oficerów oznajmił Paderbornowi, że dziewczyna domaga się widzenia ze swoim adwokatem.

Joanną Chyłką.

– Co to za cyrk? – mruknął Olgierd. – Żelazny zapewniał mnie, że nie wzięliście tej sprawy.

Oryński i Chyłka wymienili się równie zagubionymi spojrzeniami.

– To chyba rzeczywiście jakieś nieporozumienie – odezwał się Kordian.

Oficer policji skupił wzrok na prawniczce. Jako jedyny zdawał się jako tako rozumieć, co się dzieje.

– Podejrzana dodała coś jeszcze.

– Co? – spytała Chyłka.

– Że jeśli będzie pani miała wątpliwości, powinna pani sprawdzić telefon.

Joanna zmarszczyła czoło i wyjęła komórkę. Wprawdzie Kordian nie mógł dostrzec, co znajdowało się na wyświetlaczu, ale z twarzy Chyłki wyczytał wszystko, co istotne. Z jakiegoś powodu sytuacja nagle się zmieniła. A oni wbrew swojej woli mieli nową klientkę.

5

ul. Żwirki i Wigury, Okęcie

Obraz, który Joanna miała przed oczami, był jak scena z najgorszego koszmaru. MMS od numeru z zagranicznym prefiksem w pierwszej chwili potraktowała jako majak, który nie miał nic wspólnego z rzeczywistością.

Niemal bezwiednie oddała telefon w ręce Kordiana, a gdy ten spojrzał na wyświetlacz, cała krew odpłynęła mu z twarzy. Bez problemu rozpoznał sześcioletnią Darię, która wyglądała, jakby znalazła się na planie wyjątkowo ponurego horroru.

Siedziała na metalowym stołku w pomieszczeniu przypominającym starą, ciasną piwnicę. Powyszczerbiane cegły i tynk odpadający z niskiego stropu powodowały, że Chyłka niemal czuła smród zgnilizny, który musiał tam panować.

Córka Magdaleny była związana i miała knebel w ustach. Szmatka sprawiała wrażenie wilgotnej, z pewnością za sprawą łez, które dziewczynka musiała wylać.

Do zdjęcia była dołączona krótka informacja.

„Albo ją wybronisz, albo gówniara zginie.

Mudżahid”.

– Więc? – rozległ się głos Paderborna.

Dopiero teraz Joanna wróciła do rzeczywistości.

– O co tu chodzi, Chyłka?

– Poczekaj chwilę…

– Zazwyczaj doceniam, kiedy zawracasz mi głowę swoimi wymysłami, ale tym razem nie mam czasu. Bronicie jej czy

nie?

– Bronimy.

Nie zastanawiała się nad tą odpowiedzią, sama wydobyła się z jej ust. Czy mogła powiedzieć cokolwiek innego? Nie, z pewnością nie. W tej chwili miała tylko jeden obowiązek – jak najszybciej zażegnać grożące małej niebezpieczeństwo.

Ale jak, na Boga, do tego doszło? Ktoś uprowadził ją z domu? Po drodze do szkoły? Kurwa mać, mówiła Magdalenie, że wysyłanie sześciolatki do pierwszej klasy nie jest dobrym pomysłem. Im dłużej poza murami instytucji zniewalającej umysły, tym lepiej.

Chyłka uświadomiła sobie, że ucieka myślami. Byle dalej, byle bezpieczniej. Nie mogła sobie na to pozwolić. Nie teraz.

– Masz podpisane pełnomocnictwo? – spytał Olgierd.

Joanna zacisnęła usta i zebrała się w sobie.

– Powinna ci wystarczyć deklaracja ze strony oskarżonej – odparła beznamiętnie, starając się odzyskać równowagę umysłu. – Bo postawiliście jej już zarzuty, prawda?

– Cóż…

– Zresztą nieważne. I tak je obalę – nie dała mu dojść do słowa. – Czy jest tylko podejrzana, czy już oskarżona, przysługuje jej prawo do obrońcy.

Przez moment mierzyli się wzrokiem, jakby przeciągali linę. W końcu chwycił za nią Oryński.

– Musisz nas do niej dopuścić – powiedział.

– Jedynymi osobami, które muszą coś zrobić, jesteście wy.

Chyłka zaklęła w duchu. Najwyraźniej nie miał zamiaru jej tego ułatwiać – przynajmniej nie tym razem.

– Wystąpisz z wnioskiem o zgodę na widzenie, to pomyślę.

– Nie masz nad czym.

– Wręcz przeciwnie. Mimo całej mojej sympatii do ciebie ciąży na mnie ustawowy obowiązek ustalenia, czy nie wpłynie

to niekorzystnie na dobro śledztwa.

Joanna zbliżyła się o krok, patrząc mu prosto w oczy.

– Nie możesz odmówić wnioskowi – zaoponowała. – Nie kiedy składa go adwokat.

– Na razie nie widziałem żadnego pełnomocnictwa.

– Kurwa, Pader…

– Spokojnie – uciął prokurator, również podchodząc bliżej.

Stanęli niecały metr od siebie, ale nawet z większej odległości Chyłka dostrzegłaby wyraźny zarys bicepsów, które uwidoczniły się, kiedy Olgierd skrzyżował ręce na piersi.

– Dopełnisz formalności, będziesz mogła z nią pogadać. Oczywiście w mojej obecności.

Joanna znów zaklęła cicho. Właściwie nie powinna się dziwić ani tymczasowemu aresztowaniu, ani ostrożności ze strony oskarżyciela. Kabelis próbowała uciec przed wymiarem sprawiedliwości, przedzierając się przez tybetańską granicę. Musieli przyjąć, że zachodzi obawa matactwa – a to znaczyło, że dopiero po czternastu dniach Chyłce uda się rozmówić z klientką bez obecności prokuratora.

– Naprawdę masz zamiar rzucać mi kłody pod nogi? – syknęła.

Paderborn uśmiechnął się lekko.

– Buduj z nich, co ci się żywnie podoba – odparł. – Ale nawet taran ci nie pomoże.

Nie czekał na odpowiedź. Z wyrazem satysfakcji na twarzy odwrócił się i skinął na kilku policjantów, którzy byli gotowi rozszerzyć kordon bezpieczeństwa. Zaraz potem Joanna i Oryński z oddali obserwowali, jak mundurowi prowadzą Klarę Kabelis do policyjnego wozu.

Dziewczyna była zagubiona. Wyglądała, jakby nie do końca zdawała sobie sprawę z tego, gdzie jest. Kołysała się lekko

i miała mętny wzrok – przynajmniej do chwili, gdy zobaczyła Chyłkę.

Próbowała się zatrzymać, ale eskorta jej na to nie pozwoliła. Otworzywszy usta, wlepiła pełny zdziwienia wzrok w Joannę, jakby zobaczyła ducha.

– Zapomniałaś mi o czymś powiedzieć? – odezwał się Oryński.

– Co?

– Wygląda na to, że się znacie.

– Widzę ją na żywo pierwszy raz, Zordon.

– A jednak ona sprawia wrażenie, jakby…

– Tak, tak. Trudno nie zauważyć, jak na mnie łypie.

Mimo że Klara wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nigdy wcześniej jej nie widziała, bez trudu ją rozpoznała. W dodatku była ewidentnie zaskoczona jej obecnością. Chyłka nie mogła zebrać kotłujących się w głowie myśli i zrozumieć, co się dzieje.

Ruszyła w stronę alpinistki, ale policjanci natychmiast ją powstrzymali. Paderborn skorzystał z okazji i sam się wycofał, nie mając zamiaru zamieniać z prawnikami ani zdania więcej. Po chwili dziewczyna zniknęła w radiowozie, który zaraz potem odjechał w kierunku aresztu śledczego.

Chyłka i Oryński zostali sami.

– Nic nie rozumiem – odezwał się Kordian. – Najpierw upiera się, że jesteś jej adwokatem, a potem wygląda, jakbyś była ostatnią osobą, którą spodziewa się zobaczyć?

Joanna wycedziła cicho przekleństwo.

– Nie upiera się, tylko mnie, kurwa, szantażuje – dodała. – Porywając moją siostrzenicę.

Spojrzeli na siebie, jakby żadne z nich jeszcze do końca nie przyswoiło tej informacji, a zdjęcie w telefonie Chyłki nie miało nic wspólnego z rzeczywistością.

– Co teraz? – spytał Kordian.

Skinęła głową w kierunku samochodu, właściwie nie musząc odpowiadać. Podróż na Stary Wilanów o tej porze normalnie zabrałaby około dwudziestu minut, oni jednak dotarli na Europejską już po dziesięciu.

Magdalena i Julian byli w domu. Oboje z samego rana wzięli urlop na żądanie, choć na dobrą sprawę mogliby zgłosić się do pierwszego lepszego lekarza – dostaliby L4 od ręki. Już na pierwszy rzut oka wyglądali jak widma.

Chyłka nie musiała się upewniać, że MMS nie był żadnym sprytnym wybiegiem, manipulacją czy fotomontażem. Ale dopiero widząc swoją siostrę, na dobre zrozumiała, że to dzieje się naprawdę.

We czwórkę usiedli przy wyspie w kuchni. Milczeli, nawet na siebie nie patrząc.

Dla Joanny było oczywiste, że Brenczowie nie zgłosili porwania. Magdalena szybko to potwierdziła, trzęsącą się ręką podając jej list, który rankiem znaleźli na łóżku córki. Na wydruku użyto tego samego fontu, którym złożona była wiadomość z cylindrycznego pojemnika.

Kormak już go zidentyfikował. Helvetica Neue Ultra Light. Nic im to nie mówiło i właściwie o niczym konkretnym nie świadczyło. Chyłka miała wrażenie, że to samo będzie mogła powiedzieć o każdej kolejnej poszlace.

W krótkim liście porywacz zawarł wszystko, czego należało się spodziewać.

„Daria jest bezpieczna” – pisał. „I tak pozostanie, jeśli wszyscy postąpicie według moich instrukcji”.

Dalej informował, że powiadomienie kogokolwiek o sytuacji będzie dla małej tragiczne. Kazał Brenczom zostać w domu i nie kontaktować się z nikim, o ile nie byłoby to absolutnie konieczne dla utrzymania pozorów, że nie dzieje się nic złego.

– Mudżahid – odezwała się słabo Magdalena, wskazując na podpis pod wiadomością. – Co to znaczy?

W jej głosie była taka sama pustka, jak w oczach. Pod nimi widniały dwie ciemne smugi, a jej cera była bledsza niż kartka papieru. Julian wyglądał jeszcze gorzej.

– Bojownik – odparła Joanna.

– Nie mudżahedin?

– Nie. To drugie to liczba mnoga, chociaż przyjęła się w polszczyźnie jako pojedyncza. Coś jak z paparazzi. Nikt nie mówi *paparazzo* na pojedynczego reportera.

– Chyba że ktoś zna włoski – odezwał się Oryński. – Co może świadczyć, że porywacz…

– Nie świadczy o niczym konkretnym – odezwała się Chyłka.

– Poza tym, że może orientować się w arabskim.

– Może też mieć ogólną wiedzę o regionie – odparła. – Albo po prostu chcieć pokazać, że jest precyzyjny.

W kuchni znów zaległo ciężkie milczenie. Magdalena i Julian trwali w zupełnym bezruchu, całkowitym marazmie. W końcu Brencz się z niego otrząsnął i skupił wzrok na Joannie.

– Naprawdę nie wiesz, kto to może być? – zapytał.

– Nie.

– Zastanów się, to przecież musi być ktoś, kto…

– Kto chce się na mnie za coś odegrać – ucięła. – Tak, wiem. I wiem też, że to ja jestem powodem, dla którego to wszystko się dzieje. – Spojrzała na jedno i drugie, pochylając się. – Więc jeśli chcecie obrzucić mnie gównem i przyjąć, że to moja wina, zróbcie to teraz i miejmy to już z głowy.

Żadne z nich najwyraźniej nie miało zamiaru skorzystać z propozycji. Chyłka przypuszczała, że w pierwszej chwili to na niej skupiła się ich złość, ale mieli całą noc i poranek, by to przepracować. Ostatecznie jej siostra była roztropną,

rozgarniętą i opanowaną osobą, a za Juliana wyszła nie bez powodu – również miał te cechy.

Oboje zdawali sobie sprawę, że obarczanie jej winą do niczego nie doprowadzi. A ona była im za to wdzięczna.

Na miejscu Magdaleny z pewnością odchodziłaby od zmysłów i ciskała piorunami w każdego, kto znajdowałby się w pobliżu. Od zawsze stanowiły jednak zupełne przeciwieństwo, przynajmniej jeśli chodziło o charaktery – co nieraz doprowadzało do długich konfliktów.

– I jesteś pewna, że…

– Tak – znów przerwała Brenczowi. – Jestem absolutnie pewna, że na tym etapie nic nie wskazuje na konkretną osobę. Prześledziliśmy z Zordonem sprawy wszystkich dawnych klientów, którzy mogliby mieć do mnie pretensje o cokolwiek.

– Nikt się nie wyróżnia? – spytał Julian.

– Wszyscy się wyróżniają. Dlatego byli moimi klientami.

Odpowiedziało jej milczenie, a ona upomniała się w duchu, by być bardziej delikatna. Mimo że ledwo panowała nad emocjami, a cały organizm zdawał się wołać choćby o kroplę alkoholu, musiała mieć na uwadze przede wszystkim dwoje ludzi, którzy siedzieli po drugiej stronie wyspy.

To oni stanowili największe niebezpieczeństwo dla Darii. Jeden nieroztropny krok zrozpaczonego rodzica mógł sprawić, że dziecko już nie wróci do domu.

Joanna nabrała głęboko tchu.

– W takim razie jest tylko jedna osoba, która może coś wiedzieć – zabrała głos Magdalena. – Ta, na którą wskazał porywacz.

– Wszystko z niej wyciągnę – zapewniła Chyłka.

– Chcemy przy tym być – odezwał się Brencz.

– Nie ma mowy.

Julian podniósł się i odwróciwszy się do nich tyłem, stanął przed ekspresem do kawy. Złapał za krawędź blatu, przypominając pijaka, któremu niewiele trzeba do utraty równowagi. Zwiesił głowę i zgarbił się.

– Tu chodzi o naszą córkę – powiedział cicho. – Nie możemy tak po prostu…

– Co? Zaufać mi?

Chyłka też wstała, a potem podeszła do okna.

– To jest dokładnie to, co powinniście zrobić – dodała, wyciągając marlboro. – Porywacz będzie was obserwował, nas zresztą też. Jeden głupi ruch i…

Urwała, zapaliła papierosa i popatrzyła na siostrę.

– Jeśli Klara Kabelis cokolwiek wie, macie moje słowo, że też się tego dowiecie.

– Cokolwiek? – rzuciła Magdalena. – Przecież to oczywiste, że ona wie znacznie więcej.

– Wie wszystko – poparł ją Julian. – W końcu to jej masz bronić. I najprawdopodobniej to ona najęła tego człowieka, żeby porwał Darię. Chciała cię zmusić, żebyś wzięła jej sprawę.

Joanna przytrzymała dym w płucach. Na tym etapie możliwości było zbyt wiele, by mogła z czystym sumieniem przyjąć jakąkolwiek hipotezę. Szczególnie jeśli chodziło o te, które wyszły od dwójki zupełnie skołowanych, roztrzęsionych osób.

– Poczekajmy, aż ją przycisnę – powiedziała. – Wy w tym czasie po prostu nie róbcie niczego, co mogłoby zaszkodzić Darii.

Żadne z nich się nie odezwało. Joanna paliła w ciszy, która zdawała się sprawiać, że czas zwalnia. Po chwili Chyłka zgasiła papierosa, mimo że nie dopaliła go do końca. Chciała jak najszybciej opuścić ten dom. I brać się do roboty.

Wraz z Oryńskim upewnili się, że małżeństwo rzeczywiście nie zrobi niczego lekkomyślnego, a potem z dobrze skrywaną ulgą skierowali się do wyjścia.

– A ten policjant? – odezwała się jeszcze Magdalena, gdy Kordian otwierał drzwi. – Szczerbiński? Może w jakiś sposób mogłabyś się z nim skontaktować poza…. poza formalnymi kanałami?

– Mogłabym – przyznała Chyłka. – Ale jak każdy inny mundurowy zrobiłby wszystko, żeby wprowadzić sprawę na oficjalne tory.

– Ale…

– Zaufaj mi – rzuciła na odchodnym Joanna. – Darii włos z głowy nie spadnie.

Kiedy weszli do samochodu, prawniczka od razu uruchomiła silnik i odjechała. Wiedziała, że jeśli zerknie w lusterko, zobaczy wyraz desperacji na twarzy siostry. Oryński przez moment majstrował przy radiu, zmieniając piosenki. Zanim trafił na coś, co oboje byli w stanie zdzierżyć, rozległ się dzwonek telefonu Chyłki, a radio automatycznie się wyciszyło.

Zamiast grafiki z jednego z albumów Iron Maiden na wyświetlaczu pojawiła się okładka ostatniej książki McCarthy'ego.

Chyłka na moment obróciła głowę do Kordiana.

– Zachowuj się normalnie – poleciła. – I ani słowa o porwaniu.

– Ale…

– Nie wiemy, kogo porywacz ma na podsłuchu.

Nie czekała, aż Oryński potwierdzi. Nie musiała.

– Co znalazłeś? – odezwała się, odebrawszy połączenie od Kormaka.

– Tak naprawdę to coś znalazło mnie. A raczej ktoś. I może nie mnie konkretnie, ale nas.

– To znaczy? – odezwał się Kordian.

– Jesteś na linii? – zdziwił się chudzielec. – Czy wy się kiedykolwiek rozstajecie?

– Jeśli już, to tylko na ułamek sekundy. Dłużej nie potrafimy bez siebie wytrzymać.

Chyłka zatrzymała się na skrzyżowaniu Vogla z Przyczółkowską i ze złością łypnęła na czerwone światło.

– Mów, co wiesz – mruknęła.

Ścisnęła mocniej kierownicę, jakby przy całym tym rozchwianiu emocjonalnym potrzebowała jakiegoś stabilnego punktu podparcia.

– Do kancelarii zgłosiło się kilku członków PZA.

– Czego?

– Polskiego Związku Alpinizmu. Chcieli ustalić, czy będziemy reprezentować Klarę Kabelis. I nie byli przesadnie sympatyczni.

Chyłka i Oryński wymienili się zaniepokojonymi spojrzeniami.

– Skąd im to przyszło do głowy? – odezwała się Joanna.

– Może mają telewizję lub internet.

– Co?

– Parę kamer nagrało was na Okęciu, gdybyście nie…

– Stary już wie? – wtrącił się Kordian.

– To do niego się zgłosili. Jeszcze do was nie dzwonił?

Oryński wyciągnął telefon i sprawdził. Połączenia od Artura Żelaznego nie było.

– Nie.

– Dziwne. Zdawał się równie wkurwiony jak ci alpiniści – ciągnął Kormak. – Całości rozmowy nie będę wam relacjonować, ale starczy powiedzieć, że Klara nie ma dobrej opinii w środowisku.

– Tyle wiemy – odparła Joanna. – Masz jakieś konkrety?

– Aż nadto. Nawet nie wiem, od czego zacząć – mruknął chudzielec. – Po pierwsze chodzą słuchy, że sypiała z kilkoma ważnymi osobami. Po drugie wygląda na to, że w górach dziewczyna nie ogląda się na nikogo i dla niej liczy się tylko ona sama. Po trzecie zupełnie wypięła się na związek, szukając na własną rękę sponsorów. Po czwarte prowadzi celebryckie wyprawy na ośmiotysięczniki, co w środowisku jest chyba jeszcze bardziej obciachowe od jeżdżenia fasiągiem nad Morskie Oko. Po piąte…

– Dużo jeszcze masz tych punktów?

– Właściwie tylko jeden. I sprowadza się do tego, że według prokuratury Kabelis miała przyczynić się do śmierci swoich kumpli na Annapurnie.

Tego akurat nie musiał dodawać. Światło wreszcie zmieniło się na zielone, a Chyłka szybko wcisnęła pedał gazu i skręciła w prawo.

– Skąd ta pewność prokuratury? – zapytał Oryński.

– Nie mam zielonego pojęcia.

– Strzelaj.

– Smeczem czy drive'em?

– Clearem.

– Spokojnie, chłopcy – odezwała się Joanna. – Wasza squashowa terminologia nam do szczęścia niepotrzebna.

– Właściwie jest badmintonowa, ale…

– Dawaj wszystko, co masz, Kormaczysko – ucięła.

Nawet chwilowe milczenie chudzielca wystarczało, by Chyłka zrozumiała, że nie zebrał nawet strzępków czegoś realnie pomocnego. Najwyraźniej był to jeden z nielicznych przypadków, kiedy rzeczywiście nie wiedział, w jaki sposób strona przeciwna zebrała materiał dowodowy.

– Jedyne, co przychodzi mi na myśl, to to, że znaleźli ciała – odezwał się w końcu. – I że to na nich są jakieś dowody

świadczące o tym, że to Klara, a nie Annapurna, zabiła tych dwóch wspinaczy.

Była to najbardziej prawdopodobna wersja, ale Chyłka nie potrafiła jej rozbudować. Nawet jeśli Kabelis przyczyniła się do śmierci towarzyszy, nie zrobiłaby tego w sposób pozostawiający jakiekolwiek ślady. Nie musiałaby. Wedle tego, co Joanna wyczytała z przekazów medialnych, cała trójka i tak balansowała na granicy śmierci.

– Mówiłeś, że na coś wpadłeś – odezwała się. – A raczej że coś wpadło na ciebie.

– Taaa… – odparł Kormak. – Po tym, jak ludzie z PZA upewnili się, że naprawdę reprezentujemy czarną owcę polskiego himalaizmu, byli gotowi przedstawić mi więcej szczegółowych informacji… a raczej paszkwili i pomówień.

– Czyli?

– Zapoznam cię z nimi, jak tylko przepuszczę cały ten muł przez moje sito i wyłowię perełki.

– Okej.

– Oprócz tego dowiedziałem się też co nieco o sponsorach – ciągnął chudzielec. – Wygląda na to, że Kabelis naprawdę była gotowa na wszystko, by ich pozyskać.

– Powtarzasz się, szczypiorze. A to nie jest dobry znak.

– Ale wcześniej nie dodałem, że cała ta sytuacja wynikła z jej problemów z PZA. Normalnie alpiniści są wniebowzięci, kiedy nie muszą się martwić finansowaniem wyprawy, ale ona nie mogła liczyć na taki komfort. Była w ciągłym konflikcie z władzami związku i nawet kiedy dostawała pieniądze, nie miała żadnej swobody. W pewnym momencie po prostu zaczęła załatwiać finansowanie niezależnie. I niektórzy twierdzą, że nie tylko poprzez medialną, ale też łóżkową ekwilibrystykę.

– Typowe pomówienia w środowisku męskich maczo.

– Nie wydaje mi się. Braterstwo liny zobowiązuje, nawet jeśli bratem w istocie jest siostra.

– Więc dlaczego to znaczące?

– Bo jednym z jej najbardziej zagorzałych kibiców i stałych sponsorów był właściciel pewnej firmy z branży TSL.

– TSL? – odezwał się Oryński.

Chyłka uderzyła dłonią w kierownicę.

– Transport-spedycja-logistyka – powiedziała.

Nie musiała dodawać nic więcej. W końcu odkryli spoiwo, które wiązało ich bezpośrednio z Klarą.

6

Gabinet Żelaznego, Skylight

Dźwięk uderzających o siebie spinek był dla Oryńskiego jak drażniące, uporczywe dzwonienie w uszach. Wbijał wzrok w widoczny za oknem Pałac Kultury i Nauki, czekając, aż szef się odezwie.

Głos zabrała jednak Chyłka, kiedy tylko Kordian zamknął za nimi drzwi.

– *Theen haal…* – zaczęła. – *Khale thi*, Artur?

Żelazny odłożył swój nieodłączny atrybut na biurko, zza którego powoli się podniósł. Pochylił się nieco i posłał jej spojrzenie, które zapowiadało rychłe nadejście reprymendy.

– Spokojnie, nie obraziłam cię. Przynajmniej nie werbalnie – dodała Joanna. – Zapytałam tylko, jak się masz.

Usta Żelaznego zacisnęły się tak mocno, że uwydatniły się mięśnie żuchwy.

– To w języku badeszi – wyjaśniła prawniczka. – Obecnie zna go tylko trzech tetryków z niewielkiej górskiej wioski w Pakistanie. Umrze razem z nimi, więc za punkt honoru postawiłam sobie…

– Czyś ty zwariowała?

– Nie. To lingwistyczna misja humanitarna.

– Mam na myśli zasraną Klarę Kabelis.

– Ach. Ona nie mówi w żadnym języku poza polskim, co okazało się dość pomocne.

Artur nabrał głęboko tchu, a potem wskazał dwa krzesła przed biurkiem. Oryński nie mógł opędzić się od wrażenia, że

od pewnego czasu stoją tam tylko po to, by imienny partner miał dogodne warunki do rugania dwójki niepokornych prawników.

Zajęli miejsca, a Żelazny przez chwilę przyglądał im się z góry. W końcu sam również usiadł.

– Jakim prawem zawarliście… – zaczął.

– Jestem partnerem w tej firmie, Artur – ucięła Chyłka. – Mam pełne prawo podejmować decyzje o tym, kogo reprezentuję.

– Ale Kabelis? Czy ty nie rozumiesz, jakie to będzie bagno?

– Co najwyżej mokradło.

Żelazny pokręcił głową i na moment zamknął oczy, teatralnie okazując swoją bezsilność.

– Nazywaj to, jak chcesz – odezwał się po chwili. – Ale doskonale wiesz, że ta dziewczyna zostanie ukamienowana. I nie wygrzebie się spod głazów, którymi ludzie ją obrzucą.

Joanna przełożyła rękę przez oparcie krzesła, jakby jej nonszalancki ton był niewystarczającym narzędziem irytowania szefa.

– Nie pamiętasz, co się działo z Bieleckim po Broad Peaku? – ciągnął.

– Pamiętam doskonale każdy festiwal hejtu w najnowszej historii Polski.

– Więc…

– I fakt faktem, Bieleckiego krytykowali chyba wszyscy, którzy mieli możliwość kłapania dziobem. No, może z wyjątkiem tych sześciu innych osób, które oprócz niego jako jedyne na świecie stanęły na ośmiotysięczniku zimą.

– Nie chodzi o to, czy opinia publiczna miała rację, czy nie.

– Nie miała.

– To bez znaczenia. Wtedy media gotowe były go powiesić, a sytuacja była diametralnie inna. Nikt nie oskarżał go

o zabójstwo, a jedynie zostawienie Berbeki i Kowalskiego.

Kordian odchrząknął, a uwaga przełożonego natychmiast skupiła się na nim.

– Właściwie prokuratura prowadziła wtedy śledztwo – zauważył Oryński. – O ile mnie pamięć nie myli, chciano oskarżyć jego i Małka o nieudzielenie pomocy, a nawet nieumyślne spowodowanie śmierci.

Chyłka skinęła głową.

– Postępowanie umorzono – dodała.

– I co w związku z tym? – odbąknął Żelazny. – Raz, że teraz do tego nie dojdzie, a dwa, że co to dało? W oczach opinii publicznej i tak wyszło, jak wyszło. A teraz będzie jeszcze gorzej, nie rozumiesz?

Joanna wzruszyła ramionami.

– Oskarżają ją o zabójstwo. Umyślne – dodał Artur. – To, co się działo po Broad Peaku, będzie tylko namiastką tego, co stanie się teraz.

– Wybronimy ją.

– Jak?

– Nie wiem. Jeszcze nawet z nią nie rozmawiałam.

Imienny partner wyglądał, jakby miał się zakrztusić własną śliną.

– Szkoda – odparł. – Może po krótkiej pogawędce powiedziałaby ci, dlaczego zamiast wracać do kraju, próbowała uciec do Tybetu. I może przejrzałabyś na oczy.

– Na wzrok nie narzekam – zauważyła Joanna, rozsiadając się jeszcze wygodniej. – Choć kiedy Zordon zapomina się przy słuchaniu nowego singla Taco Hemingwaya i zaczyna się gibać, nawet bym chciała.

– Nie gibię się.

Chyłka przewróciła oczami, a potem na powrót skupiła wzrok na Żelaznym.

– Od czasu do czasu gestykuluje nawet w rytm muzyki – mruknęła.

– Nazywamy to rapowaniem.

– No właśnie – odparła z bólem w głosie, nie odrywając spojrzenia od Artura. – Wyobrażasz sobie, co przechodzę na co dzień?

– A co ja mam powiedzieć?

– Masz dziękować Bogu, że zesłał ci takie błogosławieństwo jak ja.

– O tak. Szczególnie kiedy nastawiasz budzik pół godziny przed czasem tylko po to, żeby mieć satysfakcję z kilkukrotnego wciskania drzemki – odparował Kordian.

– Przynajmniej nie żłopię porannej kawy, jakby ktoś podpiął mi grdykę do wzmacniacza.

– Piję całkiem normalnie. Ty za to masz dziwną manię wyłączania światła w lodówce.

– To nie żadna mania, tylko roztropność – zaprotestowała Joanna i ciężko westchnęła. – W głowie mi się nie mieści, że w dwudziestym pierwszym wieku, kiedy wszystko podobno jest *smart*, nikt nie wpadł na to, żeby nocą ta pieprzona iluminacja była słabsza. Nie, zamiast tego otwierasz drzwiczki i czujesz się, jakby Bóg właśnie stworzył świat.

Oryński mruknął pod nosem.

– Szkoda, że takiej roztropności nie wykazujesz przy ładowaniu zmywarki. Przez twoje braki w znajomości zasad Tetrisa za każdym razem…

– *Talak, talak, talak* – ucięła.

Żelazny patrzył na nich jak na dwójkę uciekinierów z zamkniętego ośrodka dla psychicznie chorych. Kordian uśmiechnął się pod nosem, a potem wymierzył palcem w Chyłkę.

– Myśli, że to coś zmieni – rzucił do Artura.

– Co takiego, do cholery?

– *Talak* – włączyła się Joanna. – W prawie islamu to formułka, po której między kobietą a mężczyzną dochodzi do rozwodu. Wystarczy, że facet trzykrotnie wypowie to słowo i po sprawie.

– U nas to jednak nie działa – dodał Kordian. – Wiem, bo sprawdzałem.

Żelazny odsunął krzesło, jakby potrzebował nabrać nieco dystansu, by nie zarazić się chorobą psychiczną, na którą cierpieli jego współpracownicy.

– Możecie drwić sobie do woli i zachowywać się jak para szczeniaków, ale…

Artur urwał, kiedy zza pazuchy jego marynarki dobiegł dzwonek telefonu. Zaklął, a potem sięgnął do kieszeni. Kiedy spojrzał na wyświetlacz, na jego czole pojawiła się głęboka bruzda.

Uniósł rękę do rozmówców, przywodząc na myśl policjanta wstrzymującego ruch, a potem odebrał.

– Tak? – spytał.

Podniósł się szybko, poszedł do okna i stanął tyłem do prawników.

– Mnie też miło ciebie słyszeć – powiedział. – Choć nie spodziewałem się, że… Aha. Oczywiście. Tak, jak najbardziej.

Przez chwilę wyrzucał z siebie półsłówka, siląc się na uprzejmy ton, co świadczyło o tym, że po drugiej stronie linii ma wyjątkowo zamożnego klienta kancelarii.

Chyłka wstała, uznając, że najwyższa pora opuścić gabinet, ale Żelazny natychmiast odwrócił się i powstrzymał ją ruchem ręki.

– Czekaj, są tutaj – rzucił do słuchawki. – Chcesz z nimi rozmawiać?

Najwyraźniej odpowiedź była przecząca, bo Artur znów odwrócił się do okna i przez moment kontynuował, mamrocząc pod nosem. Kiedy skończył, Oryński miał wrażenie, że zmitrężyli stanowczo zbyt wiele czasu.

Mimo że oboje odgrywali swoje role dość dobrze i udawało im się utrzymać lekki ton, w rzeczywistości stawali się coraz bardziej przytłoczeni ciężarem tego, co działo się z małą Darią. Znajdowała się w rękach porywacza przynajmniej przez kilkanaście godzin, a w tym czasie mogło dojść właściwie do wszystkiego.

W końcu Artur odłożył telefon, a potem oparł się plecami o szybę.

– Co tu się, kurwa, dzieje? – spytał.

Na twarzy Joanny pojawił się zamyślony wyraz.

– Przed momentem wylewaliśmy z Zordonem swoje związkowe żale, więc… sama nie wiem. Ty mi powiedz, to jakaś forma terapii?

– Wystarczy tego.

– Też tak sądzę, ale sam widzisz, że *talak* nie działa.

Żelazny schował telefon do marynarki.

– Dzwonił Awit Szlezyngier – oznajmił. – I zapytał, czy przelew już do nas doszedł.

Chyłka i Oryński wymienili się nierozumiejącymi spojrzeniami.

– Podobno ustaliliście, że to on pokryje rachunek za obronę Klary Kabelis – ciągnął Artur. – Możecie mi wytłumaczyć, o co w tym wszystkim chodzi? I jaki związek ma z tym Awit?

Z tonu głosu imiennego partnera zniknęła pretensja, co w tej sytuacji stanowiło jedyną rzecz, która Kordiana nie dziwiła. Działo się tak zawsze, kiedy na horyzoncie pojawiała się sowita zapłata.

– A co tu wyjaśniać? – odparła Joanna. – Zgodziłam się bronić Kabelis, a Awit zapłacić rachunek.

– Dlaczego miałby to robić?

– Jest jej sponsorem. To znaczy… chodzi o finansowanie wyprawy, gwoli ścisłości.

Mimo że po Chyłce nie było widać zaskoczenia, Oryński przypuszczał, że jest równie zdziwiona jak on. Pokrycie kosztów ekspedycji na Annapurnę to jedno, ale sfinansowanie obsługi prawnej, szczególnie w takiej sytuacji, to zupełnie coś innego.

A jednak magnat branży TSL zdecydował się na to posunięcie. W dodatku z jego punktu widzenia najwyraźniej sprawa była uzgodniona, mimo że nie zamienił słowa ani z Chyłką, ani z jej partnerem.

Czy to on mógł stać za porwaniem? Nie, to nie miałoby sensu. Po sprawie z żoną Szlezyngiera i Sakratem Tatarnikowem Awit mógł być dwójce prawników jedynie wdzięczny. Nie tylko wybronili go od zarzutów i ocalili jego firmę, ale przede wszystkim sprawili, że jego córka się odnalazła.

Poza tym nie musiałby uciekać się do porwania, by nakłonić Żelaznego lub Williama do zajęcia się sprawą. Wystarczyłoby trochę umiejętnego przekonywania i suta zapłata, którą Szlezyngier bez trudu mógłby uiścić.

Coś tu jednak nie grało. Wizerunkowo dla Awita była to sprawa równie niekorzystna, co dla kancelarii. W przypadku kogokolwiek innego Oryński mógłby podejrzewać, że w grę wchodzi coś więcej – ale Szlezyngier był jednym z niewielu klientów, których Kordian zaliczał do grona porządnych ludzi.

Żelazny wbijał wzrok w Chyłkę, czekając na wyjaśnienia. Po raz kolejny jednak przeszkodził im dzwonek telefonu – tym

razem był to krótki gitarowy riff zwiastujący nadejście esemesa.

Joanna wyjęła telefon i szybko przeczytała wiadomość, po czym podniosła wzrok na Artura.

– Więc? – odezwała się.

– To ja chyba powinienem zadać to pytanie.

– Jedyne, co powinieneś zrobić, to mi zaufać.

– Chyba żartujesz…

Chyłka obróciła się w kierunku drzwi, jakby nagle zaczęło jej się gdzieś spieszyć.

– Czas na żarty się skończył – powiedziała. – A ja muszę wiedzieć jedną rzecz: będziesz robił problemy czy nie?

– Tym, kto w tej firmie robi problemy…

– Raz-dwa, Artur – wpadła mu w słowo. – Deklaruj, czy bierzesz kasę od Awita, czy mam mu powiedzieć, żeby ulokował ją w Dentonsie albo CzMK.

Nie musiał odpowiadać – po samym jego słabnącym rezonie mogli się domyślić, że Szlezyngier zaoferował niemałą kwotę. Chwilę później dwoje prawników opuściło gabinet imiennego partnera, ale zamiast ruszyć szybkim krokiem w stronę biura Joanny, stanęli na korytarzu.

Chyłka zamknęła oczy i wsparła się o ścianę.

– Mamy kurewsko duży problem, Zordon.

– Wiem.

– Nic nie wiesz – odparła cicho, podając mu swój telefon.

Zerknął na wyświetloną wiadomość. Pochodziła od zagranicznego numeru, którego właściciela Kormakowi do tej pory nie udało się zidentyfikować. Znaczyło to ni mniej, ni więcej, że nadawca znał się na rzeczy. Według chudzielca użył kilku sieci VPN, a potem internetowej bramki, z której wysyłał wiadomości. Nie była to specjalnie skomplikowana sztuka –

ostatecznie wystarczyło wejść na stronę mmdsmart.com i wymyślić nazwę nadawcy.

Wszystkie próby nawiązania kontaktu przez Chyłkę okazywały się bezowocne. Komunikacja była jednostronna – i zapewne o to chodziło. Nie było w niej miejsca na negocjacje, rozmowy i upewnianie się, czy istnieje jakakolwiek szansa, by porywacz zmienił zdanie. Otrzymywali od niego jedynie instrukcje.

Oraz informacje, tak jak teraz.

„Finansowanie od Szlezyngiera załatwione, kancelaria nie będzie Ci robić problemów" – brzmiała wiadomość.

– Jakim cudem… – zaczął Oryński, ale zawiesił głos i urwał.

Chyłka nadal trwała w bezruchu ze spuszczonymi powiekami.

– Nie wiem – odparła. – Ale związek z Awitem jest solidniejszy, niż przypuszczaliśmy.

– Romans?

– Nie, to od razu kazałam Kormakowi sprawdzić.

– Mógł coś przegapić.

Oboje wiedzieli, że to właściwie niemożliwe.

– W takim razie dlaczego Szlezyngier ma zamiar płacić?

– Nie wiem, Zordon. Ale porywacz najwyraźniej znalazł sposób, żeby go do tego zmusić.

Zanim Kordian zdążył się nad tym zastanowić, komórka zawibrowała mu w dłoni i znów rozległ się krótki dźwięk gitary elektrycznej. Joanna natychmiast się poruszyła. Oboje spojrzeli na pęknięty wyświetlacz, który Chyłka już dawno powinna wymienić. Widniał na nim kolejny esemes przysłany z zagranicznej bramki.

„Od tej chwili zegar tyka" – pisał porywacz. „Masz godzinę, by doprowadzić do uwolnienia Kabelis. Jeśli się spóźnisz, mała już nigdy nie będzie taka sama".

Chyłka złapała za komórkę, jakby miała zamiar rzucić nią w ścianę. Zaklęła cicho i spojrzała bezradnie na Kordiana. Oboje zdali sobie sprawę z tego, że stali się całkowicie zależni od woli szaleńca. I że od teraz będą ścigać się z czasem.

7

Skwer Tarasa Szewczenki, Mokotów

Paderborn siedział na jednej z ławek przy posągu ukraińskiego poety, rozglądając się nerwowo. Wyszedł z pobliskiego budynku prokuratury okręgowej tylko na moment – i wyłącznie dlatego, że w głosie Chyłki była powaga, której nie mógł zignorować.

Joanna znała go na tyle, by wiedzieć, jak przykuć jego uwagę. Był solidnym prokuratorem, częstokroć przedkładał ogólnie pojęte dobro nad doraźne korzyści zawodowe i jeśli mogła liczyć na pomoc kogokolwiek, to właśnie Olgierda.

Podniósł się z ławki, kiedy razem z Oryńskim szybkim krokiem do niego podeszli. Chyłka przykładała komórkę do ucha, po raz ostatni próbując połączyć się z Awitem. Ten jednak z jakiegoś powodu nie odbierał jej telefonów.

Popatrzyła bezradnie na smartfona, a potem wrzuciła go do torebki i wyjęła paczkę papierosów. Jeszcze zanim zapaliła pierwszego, posłała surowe spojrzenie Paderbornowi.

Normalnie zaczęłaby od luźnej, uszczypliwej uwagi na powitanie. Tym razem jednak od samego początku miała zamiar dać mu do zrozumienia, że sytuacja jest wyjątkowa.

– Potrzebujemy twojej pomocy – rzuciła.

Olgierd schował ręce do kieszeni wyprasowanych w kant garniturowych spodni.

– Jeśli chcecie wzajemnie się oskarżać o naruszanie miru domowego, złóżcie zawiadomienie – odparł. – Ja w wasz związek nie mam zamiaru…

– To poważna sprawa, Pader.

Dopiero teraz w jego oczach pojawiła się ciekawość. Brakowało w nich jednak czegoś, co świadczyłoby, że traktuje ich niespodziewaną prośbę o spotkanie z odpowiednią atencją.

– O co chodzi? – spytał.

Joanna rzuciła okiem na zegarek.

– Za czterdzieści minut Kabelis musi wyjść z aresztu.

– Z pewnością.

– Posłuchaj…

– Niewiarygodne – przerwał jej, unosząc wzrok. – Znów będziemy wałkować to samo?

Powinna była się tego spodziewać. W podobnej sprawie już kiedyś poszedł im na rękę, a Chyłka miała coraz większy problem ze zliczeniem wszystkich przypadków, kiedy okazał się bardziej pomocny, niż wymagały tego od niego przepisy.

– Co wy sobie wyobrażacie? – dodał Olgierd.

– Cóż… – zaczął Oryński.

– Że te przysługi, które wam wyświadczyłem, nic mnie nie kosztowały? Że przełożeni nie patrzyli na mnie krzywo za ułatwianie wam roboty? I za bratanie się z wrogiem?

– Naszym jedynym i wspólnym wrogiem jest czas, Padre – odparła Joanna.

– Wręcz przeciwnie. Dla wymiaru sprawiedliwości jest przyjacielem.

– Dopóki się nie skończy.

– Z mojego punktu widzenia jest go aż nadto.

Te tańce z Paderbornem były bez sensu. Chyłka jeszcze raz skontrolowała godzinę. Minuty zdawały się uciekać szybciej niż zwykle, a ona nie mogła opędzić się od wrażenia, że z każdą chwilą tempo będzie wzrastało. Uporczywie odpychała od siebie myśli o grożącym Darii niebezpieczeństwie i starała się skupić na tym, by jak najszybciej je zażegnać. Porywacz

z pewnością nie rzucał słów na wiatr, a fakt, że nie doprecyzował swojej groźby, sprawiał, że Joanna wyobrażała sobie najgorsze scenariusze.

Okaleczenie fizyczne. Rysy na psychice, które nie zagoją się do końca życia. Znała te rzeczy z autopsji i gotowa była położyć na szali własne życie, byleby siostrzenica nie musiała przez to przechodzić.

Honor, godność czy poczucie własnej wartości były teraz jeszcze mniej znaczące.

– Błagam cię, Pader, zaufaj mi – odezwała się.

Olgierd popatrzył na nią z niedowierzaniem.

– Ta dziewczyna musi jak najszybciej opuścić areszt.

Dopiero teraz na twarzy Paderborna pojawiła się właściwa powaga.

– Dlaczego? – zapytał.

– Dowiesz się w swoim czasie, obiecuję.

– W takim razie…

– Nie prosiłabym cię o to, gdyby to nie było ważne.

– Już to kiedyś słyszałem. I pamiętasz, jak to się dla mnie skończyło?

– Teraz to inna sprawa.

– W jakim sensie? – spytał, zbliżając się do niej.

Joanna wypuściła dym w bok, a Oryński wziął od niej paczkę i sam zapalił. Kątem oka dostrzegła, jak nerwowo się zaciąga. Czas uciekał, a oni nie zbliżyli się ani o krok do wyciągnięcia Klary z aresztu.

Na Boga, jakim cudem mieli tego dokonać w mniej niż czterdzieści minut? Nawet gdyby teraz przyłożyła Paderbornowi pistolet do głowy, potrzebowałby przynajmniej pół godziny, by dopełnić wszystkich formalności.

– No? – dopomniał się o uwagę Olgierd. – W jakim sensie ta sprawa jest inna? Co takiego jest na szali, że jesteś gotowa…

– Błagać?

Skinął głową, mrużąc oczy.

– Wyjaśnię ci wszystko, jak tylko będę mogła. Teraz po prostu pozwól Kabelis odpowiadać z wolnej stopy.

Paderborn przyglądał jej się o moment za długo. Wiedziała już, co to oznacza – dopatrywał się jakiejś manipulacji, próby ograna prokuratury już podczas pierwszego rozdania.

Pobłażliwy uśmiech, który zarysował się na jego twarzy, tylko to potwierdzał. Chyłka wiedziała, że musi zareagować jak najszybciej, zanim w głowie Paderborna powstanie cały szereg niekorzystnych dla niej wniosków.

– Ona musi wyjść – dodała, chwytając jego rękę.

Spojrzał na nią jak na wariatkę.

– Tu nie chodzi ani o mnie, ani o ciebie.

– Masz rację – odparł, cofając dłoń. – Tu chodzi o dwie ofiary tej kobiety. I o to, że ktoś musi wystąpić w ich imieniu, bo one już nie mogą tego zrobić.

Chyłka ze wściekłością wyrzuciła papierosa. Robiła wszystko, by utrzymać nerwy na wodzy, ale czuła, że za moment straci nad sobą kontrolę.

– Daj spokój – powiedziała. – Dobrze wiesz, że zarzuty są dęte. Cała trójka była w górach, doszło do sytuacji ekstremalnej, a Kabelis miała takie samo prawo do ratowania swojego życia, jak dwóch jej kumpli.

Olgierd się nie odzywał.

– Nic im nie zrobiła. A gdyby tam z nimi została, zginęłyby nie dwie, ale trzy osoby.

– I nie jest pierwszym ani ostatnim człowiekiem, który w takiej sytuacji próbował się ratować – dodał Kordian. – Zarzuty, które chcecie jej stawiać, są absurdalne.

– Zastanów się, Pader. Przegracie tę sprawę z hukiem, bo ostatecznie…

– Ostatecznie żadne z was nie ma pojęcia o materiale dowodowym – wszedł jej w słowo Olgierd, a jego uśmiech stał się jeszcze wyraźniejszy.

– Znamy materiał dowodowy – odparła Chyłka.

Prokurator prychnął i rozłożył ręce.

– Bzdura – ocenił. – Gdybyście choćby rzucili okiem na to, co zebraliśmy, nigdy nie wzięlibyście tej sprawy.

– W takim razie chyba nie mówimy o tych samych dowodach.

– Nie, chyba nie.

Joanna czuła, że traci grunt pod nogami.

– Materiał, który widziałam, o niczym nie świadczy – spróbowała, choć tak naprawdę jedynie improwizowała, nie mając pojęcia, o czym mowa.

Wciąż nie udało im się ustalić, do czego dotarli śledczy. I trudno było sobie wyobrazić, jakie dowody mogłyby okazać się na tyle mocne, by tak szybko zdecydowano o aresztowaniu Kabelis.

Gdyby do zdarzenia doszło w jednej z nepalskich wiosek, na górskiej drodze czy w jakimkolwiek ogólnodostępnym miejscu, Chyłka potrafiłaby mnożyć potencjalne rozwiązania. Klarę oskarżano jednak za coś, co zdarzyło się w odizolowanym od świata, nieosiągalnym dla większości ludzi miejscu.

– Szkoda czasu – rzucił Olgierd. – Niczego ze mnie nie wyciągniecie. A w tym celu się ze mną spotkaliście, jak widzę.

– Nie.

Paderborn zignorował próbę zaprzeczenia.

– Nie możecie zobaczyć się z klientką i nie macie dostępu do materiału dowodowego, więc uznaliście, że wydębicie wszystkie informacje ode mnie. I dlatego zaczęłaś od niedorzecznej prośby o zwolnienie Kabelis.

Mówił z tak głębokim przekonaniem, że nawet gdyby porywacz dał jej trzykrotnie więcej czasu, nie zdołałaby w porę osiągnąć celu.

– Jak nazywasz tę taktykę? – kontynuował Olgierd. – Pięścią w ryj?

Chyłka nie wiedziała, co odpowiedzieć. Każde posunięcie zdawało się prowadzić jedynie do pogorszenia sytuacji.

– Po wszystkim, co dla was zrobiłem, moglibyście chociaż postarać się o coś więcej.

Obrońcy spojrzeli na siebie z bezsilnością, jakby jedno czekało, aż drugie wpadnie na jakiś genialny sposób poradzenia sobie z sytuacją.

– Jesteście aż tak zdesperowani? – ciągnął Paderborn.

– Jak widzisz – odparła Joanna.

Wiedziała, że wystarczyłoby zająknąć się na temat porwania, a Olgierd zrobiłby wszystko, by Kabelis natychmiast opuściła areszt śledczy. Zapewne zdążyłby doprowadzić do tego jeszcze przed wyznaczoną godziną.

Tyle że oznaczałoby to prawdopodobnie także śmierć Darii.

A może nie? Może warto było zaryzykować?

Joanna spodziewała się, że prędzej czy później takie myśli nadejdą. Musiały się pojawić, bo im dłużej nie potrafiła znaleźć drogi ucieczki, tym szybciej rosło prawdopodobieństwo, że nawet najbardziej lekkomyślny scenariusz stanie się kuszący.

– Pader… – zaczęła.

Zanim zdążyła powiedzieć coś więcej, dostrzegła poruszenie kilkadziesiąt metrów dalej przy Spacerowej. Zebrała się tam kilkuosobowa grupa, wyraźnie zainteresowana rozmową prowadzoną przy jednej z ławek.

Kiedy jeden z gapiów wyciągnął telefon i wymierzył obiektyw w Chyłkę, prawniczka zrozumiała, że ktoś ich rozpoznał.

Zarówno ona i Oryński, jak i Paderborn byli w Warszawie znani. Nieraz występowali w mediach, a o Olgierdzie zrobiło się szczególnie głośno jakiś czas temu, gdy przejął śledztwo w sprawie wydarzeń w Tatrach.

Po chwili kolejna osoba zaczęła robić zdjęcia, a inna kręcić filmik, zbliżając się do nich.

– To jakaś ustawka? – rzucił Paderborn. – Niewiarygodne…

– Nie mamy z tym nic wspólnego – zastrzegł Kordian.

– A więc ci ludzie są tu przypadkiem?

Olgierd nie dał im szansy na odpowiedź. Machnął ręką, gwałtownie się odwrócił i ruszył z powrotem w kierunku siedziby prokuratury. Chyłka powiodła za nim wzrokiem, a potem spojrzała na gapiów.

– Kurwa mać… – jęknęła.

– Co robimy?

Potarła nerwowo czoło, dopiero teraz uświadamiając sobie, że wszystkie zrobione im zdjęcia albo od razu trafiły do internetu, albo zaraz tak się stanie. Filmiki z pewnością kręcono na żywo.

Jak dużo czasu minie, zanim porywacz to zobaczy? I jak to będzie wyglądało?

Nie najlepiej, skwitowała w duchu. Mudżahid z pewnością założy, że spotkali się z Paderbornem, by złożyć doniesienie.

– Chyłka…

– Czekaj, daj mi się zastanowić.

– Nie mamy czasu.

– Wiem, ale… moment. Muszę zebrać myśli.

Gdy rozległ się krótki gitarowy riff, wiedziała już, że nie zdoła tego robić. Szybko wyciągnęła telefon z torebki i odwróciła się od grupy obserwatorów. Nie musiała sprawdzać nadawcy, by wiedzieć, że wiadomość została wysłana z zagranicznej bramki.

– Co pisze? – odezwał się Kordian.

– Że to ostatni raz, kiedy spotykamy się z jakimkolwiek prokuratorem poza sądem.

Oryński zaklął cicho, a potem położył dłoń na plecach Chyłki i poprowadził ją w stronę zaparkowanej nieopodal iks piątki.

– Co jeszcze? – zapytał.

Joanna nie odpowiadała.

– Dodał coś?

– Tak – wydusiła w końcu. – Ale…

– Co? Co napisał?

– Że gratuluje nam wyciągnięcia Kabelis – odpowiedziała z niedowierzaniem Joanna.

– Co takiego?

Zatrzymali się przed samochodem i popatrzyli na siebie z konsternacją.

– Chce, żebyśmy odebrali ją za pół godziny spod aresztu – dodała Chyłka.

8

Areszt śledczy w Warszawie-Grochowie

Nie było żadnego sposobu, by powstrzymać nadchodzącą burzę. Kordian zrozumiał to już w momencie, gdy Chyłka niemal kopnęła drzwiczki od strony kierowcy i wyskoczyła z samochodu. Od razu ruszyła naprzeciw zbliżającej się ku nim Klarze Kabelis.

Zwolniona z aresztu alpinistka nie miała pojęcia, że nadciągające niebezpieczeństwo sprawi, iż z rozrzewnieniem będzie wspominać zagrożenie lawinowe w najwyższych partiach górskich.

Oryński natychmiast ruszył za Joanną, ale nie łudził się nawet, że uda mu się ją uspokoić. Niemal biegli przez ledwo utwardzony, zaniedbany parking przy ulicy, podczas gdy strażnicy więzienni otwierali bramę, by wypuścić Kabelis.

Areszt śledczy na Grochowie nie przypominał jego odpowiedników w innych częściach stolicy, które Kordian chcąc nie chcąc zdążył dość dobrze poznać. To miejsce sprawiało wrażenie opuszczonego terenu gospodarczego – w najlepszym wypadku podupadających zakładów drobiarskich, w najgorszym pozostałości po dawnym PGR-ze. Trafiały tu między innymi tymczasowo aresztowane, pozostające do dyspozycji kilku prokuratur kobiety, ale Oryński przypuszczał, że żadna z nich nie opuściła tych ponurych murów szybciej niż Klara. Dziewczyna z pewnością pobiła rekord.

Kwestią otwartą pozostawało, jak tego dokonała.

Chyłka zatrzymała się przed alpinistką, kiedy ta minęła bramę wjazdową. Po raz kolejny Kabelis sprawiała wrażenie, jakby z jednej strony spodziewała się Joanny, a z drugiej zobaczyła ducha.

– A więc to jednak prawda – odezwała się.

Mimo że nie miała ani grama makijażu, nosiła stary dres i włosy miała związane na słowo honoru, prezentowała się wyjątkowo dobrze. Natura nie poskąpiła jej urody i na pierwszy rzut oka było widać, że Klara od długiego czasu musiała przygotowywać się fizycznie do niemal nieludzkiego wysiłku na zboczach Annapurny.

– Rzeczywiście będziesz mnie bronić – dodała.

Chyłka się nie odzywała, a Oryńskiemu przeszło przez myśl, że zamiast powitania himalaistka zaraz usłyszy stek przekleństw.

Patrzyły na siebie jednak bez słowa jeszcze przez chwilę.

– Tłumacz się – odezwała się w końcu Joanna.

Kabelis uniosła brwi i cofnęła głowę. Wyglądała na pewną siebie i niemal nie przypominała tej zagubionej dziewczyny, którą widzieli, gdy Klarę eskortowała policja.

– Z czego? – zapytała.

– Ze wszystkiego.

– Chyba nie bardzo wiem, co…

– Zacznijmy od tego, dlaczego kazałaś mi sprawdzić telefon na Okęciu.

To jedno zdarzenie właściwie potwierdzało, że Kabelis jest w jakiś sposób odpowiedzialna za porwanie Darii. To ona przekazała policjantom, by Joanna skontrolowała komórkę, jeśli ma wątpliwości, czy wziąć jej sprawę. To wtedy zobaczyli zdjęcie przetrzymywanej siłą dziewczynki i wiadomość, że ta zginie, jeśli nie wybronią Klary.

– Tak mi powiedziano – odparła alpinistka. – Słuchaj, nie wiem, o co tutaj chodzi, ale…

– Wiesz wszystko – ucięła Joanna. – A powiesz mi jeszcze więcej, zapewniam cię.

Zbliżyła się do niej, ale tym razem Klara nie wycofała się ani o milimetr. Przeciwnie, zrobiła krok w kierunku prawniczki.

– O czym ty mówisz?

– Wyjaśnijmy sobie coś na początku – odparła Chyłka. – Kiedy mam ochotę na bajki, włączam sobie Cartoon Network. Od ciebie chcę słyszeć jedynie o faktach, jasne?

Kabelis uśmiechnęła się z niedowierzaniem, jakby od razu spodobało jej się podejście rozmówczyni.

– Będziesz stawiać mi warunki? – spytała. – Role ci się przypadkiem nie pomyliły?

– Role są w tej chwili jasne. Ja słucham, ty spowiadasz się jak w konfesjonale.

Klara rozejrzała się i prychnęła.

– Tu?

– Tu i teraz – potwierdziła Joanna. – Albo nam wszystko wyjaśnisz, albo to pierwsza i ostatnia okazja do rozmowy, jaką z nami masz.

Jeśli dziewczyna była zamieszana w porwanie, mogła spokojnie potraktować te słowa jako czczą gadaninę. Nie sprawiała jednak wrażenia, jakby miała zamiar to zrobić. Wręcz przeciwnie, w jej oczach znów pojawiło się zagubienie.

Przez moment się namyślała, a Oryńskiemu przeszło przez myśl, że sama jeszcze stara się wszystko poukładać.

– W porządku – powiedziała w końcu. – Od czego mam zacząć?

– Od początku.

– Od zatrzymania w Nepalu?

– Mam gdzieś, co tam się działo – odparła Chyłka, coraz bardziej poirytowana. – Interesuje mnie tylko to, co robiłaś od powrotu do Polski. Tylko to, co z nami związane, jasne?

Klara obróciła się w stronę bramy, jakby obawiała się, że ktoś niepowołany usłyszy rozmowę.

– Ale to, co z wami związane, zaczęło się na granicy z Tybetem – odezwała się.

Chyłka ściągnęła brwi, a Kordian zbliżył się do nich i stanął obok Joanny. Miał wrażenie, że w tej chwili jest niewidoczny zarówno dla jednej, jak i dla drugiej.

– To tam dostałam wiadomość, że będziesz mnie bronić.

– Co ty pieprzysz?

– Przed tym, jak Nepalczycy zarekwirowali mi telefon, ktoś dał mi znać, że mnie z tego wyciągniesz. Miałam tylko oznajmić służbom na Okęciu, że będziesz mnie reprezentowała. I dodać, żebyś sprawdziła telefon, jeśli będziesz mieć wątpliwości. To wszystko.

Chyłka ani Oryński nie musieli nawet pytać o to, czy nadawca użył zagranicznej bramki esemesowej.

– Myślałam, że to wasza kancelaria zadziałała.

Prawnicy milczeli.

– To nie wy wysłaliście wiadomość?

– Nie – odparł Oryński.

Dopiero teraz obydwie kobiety na niego zerknęły.

– Esemes był podpisany? – spytał. – Pamiętasz numer nadawcy?

– Nie, miałam tylko chwilę, zanim zabrali mi komórkę.

Klara zdawała się autentycznie zdezorientowana, ale Oryński pamiętał o wszystkim, co na temat dziewczyny udało się dotychczas ustalić. Była stworzona, by występować w mediach, z pewnością potrafiła grać, a według niektórych także tworzyć siebie na nowo, jeśli zachodziła taka potrzeba.

– Potem podpisałam dla was pełnomocnictwo i czekałam na widzenie.

Joanna zerknęła w kierunku zamkniętej bramy.

– Jakim cudem wyszłaś?

– Co? – odparła zaskoczona Kabelis. – To chyba ja powinnam o to was zapytać, prawda?

Prawnicy z kancelarii Żelazny & McVay spojrzeli po sobie, ale się nie odezwali.

– Myślałam, że to wam powinnam przede wszystkim dziękować – ciągnęła. – Że to wy przekonaliście Awita.

Nagle coś w oczach Chyłki rozbłysło.

– Szlezyngiera? – spytała. – Co on ma z tym wspólnego?

– Wpłacił kaucję.

– Kaucja jest za butelki. Poręczenie?

– Tak. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Byłam przekonana, że go przycisnęliście, że mieliście na niego jakiegoś prawniczego haka czy coś – dodała Klara. – Bo szczerze wątpiłam, żeby sam chciał za mnie ręczyć.

W pierwszej chwili Kordianowi wydało się podejrzane, że sąd zgodził się na wypuszczenie Kabelis w zamian za wpłacenie określonej kwoty. Zaraz jednak przypomniał sobie o podobnych, a nawet głośniejszych przypadkach, których w historii polskiego sądownictwa nie brakowało.

Osoby zamieszane w głośne wyłudzenia metodą „na wnuczka" też wychodziły z aresztów po uiszczeniu podobnego poręczenia. Nie inaczej było z członkami słynnej grupy Kulawego, mimo że na niektórych jej członkach ciążyły zarzuty zabójstwa nawet kilku osób. W tamtym wypadku sądowi nie przeszkadzało nawet to, że oskarżony przebywał w Meksyku, a w Europie był ścigany nakazem aresztowania.

Jak mawiała Chyłka, pieniądze szczęścia nie dawały, ale znacznie lepiej było płakać w iks piątce niż w daihatsu.

– Wpłacił za ciebie ćwierć miliona – odezwała się Joanna. – Najwyraźniej miał dobry powód.

– Pytanie: jaki? – dodał Kordian.

– Nie mam pojęcia. Gdybyście zapytali mnie jeszcze godzinę temu, powiedziałabym, że Awit to jedna z ostatnich osób, które gotowe byłyby za mnie założyć.

– Bo?

– Posprzeczaliśmy się w sprawach biznesowych. Wyprawa na Annapurnę miała być ostatnią, jaką finansował.

Oryński mimowolnie sięgnął do kieszeni spodni, szukając paczki papierosów. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że zostawił je w samochodzie.

– Mieliście romans? – zapytał.

Klara wyglądała, jakby w ostatnim momencie zmitygowała się, by nie roześmiać się w głos.

– Z Awitem? Żartujesz sobie?

– W takim razie…

– Pogłoski o moich romansach są równie wiarygodne jak te o złotych pociągach i bursztynowych komnatach – nie dała mu dojść do słowa Kabelis. – Ludzie gadają. Od tego mają paszcze.

– Więc dlaczego miałby wpłacić poręczenie?

– No właśnie – odparła Klara. – Dlaczego?

Spojrzała po nich, jakby spodziewała się, że to oni udzielą jej odpowiedzi. Każda jej reakcja właściwie potwierdzała, że wie jeszcze mniej od nich, ale czy to naprawdę było możliwe? Czy ona też mogła zostać w coś wmanewrowana?

– Może zapytalibyście u źródła? – podsunęła.

– Szlezyngier nie odbiera naszych telefonów – wyjaśniła Chyłka nieobecnym głosem. Myślami była już gdzie indziej. – Ale skoro wpłacił za ciebie taką kasę, z pewnością stać go też na to, żeby zamienić z tobą kilka słów.

Klara potwierdziła cichym mruknięciem.

– Z pewnością – rzuciła. – Tyle że mój telefon został na granicy. Przy odrobinie Boskiej opatrzności przysłuży się Tybetańczykom w słusznej sprawie. Chińczycy blokują im sieci GSM, więc…

– Nie interesują nas skośnoocy – ucięła Joanna, a potem głęboko nabrała tchu.

Oryński spodziewał się, że to zapowiedź kolejnej części przesłuchania, jakie Chyłka sobie urządzała, ale tym razem się pomylił. Joanna skinęła ręką na alpinistkę, a potem ruszyła do samochodu.

Dopiero kiedy znaleźli się w iks piątce, podjęła temat.

– Co tam się stało? – spytała.

– Z grubsza to, co mówią w mediach. Ratowałam życie.

Z głośników popłynął jeden ze starszych kawałków Alice'a Coopera, a Kordian szybko sięgnął do radia, by ściszyć.

– Nieźle – rzuciła Kabelis. – Co będzie następne, KISS?

Jeśli Chyłka zdecydowała się na jakikolwiek komentarz, to zrobiła to wyłącznie w duchu.

– Scorpionsi? – dodała prześmiewczym tonem Klara. – Budka Suflera?

Joanna odwróciła się i zerknęła na siedzącą z tyłu pasażerkę.

– Postawmy sprawę jasno – powiedziała. – W tym samochodzie o rocku i metalu mówi się albo dobrze, albo wcale.

Kordian włączył kolejną piosenkę. Tym razem na wyświetlaczu pojawiła się okładka jednego z albumów Led Zeppelin.

– Ale zdajesz sobie sprawę, że rock nie umarł w latach siedemdziesiątych? – dopytywała Kabelis. – Potem też coś nagrywano.

Joanna zignorowała uwagę, po raz kolejny wybierając numer Awita. I tym razem jednak nie odpowiadał. Chyłka zaklęła, przełączyła automatyczną skrzynię na wsteczny, a potem wyjechała z parkingu. Ledwo znaleźli się na nierównej drodze, ekran jej komórki się rozświetlił.

Kordian sięgnął po telefon jako pierwszy i szybko przeczytał esemesa.

– Od Szlezyngiera – oznajmił.

– Co pisze?

– Niewiele. Radzi ci porozmawiać z siostrą.

– On? Mnie?

– Tak napisał. „Radzę porozmawiać z Magdaleną. Ona ci wszystko wyjaśni".

Chyłka znów obejrzała się przez ramię, ani na moment nie zwalniając.

– Nie znam żadnej Magdaleny – zastrzegła Kabelis. – I jak wszystkie hinduistyczne bóstwa kocham, naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego Awit wpłacił tę kaucję. Nie rozmawiałam z nim od wyjazdu w Himalaje.

Joanna z piskiem opon zatrzymała iks piątkę przy niewysokim krawężniku. Gdyby nie znak z symbolem autobusu po prawej stronie, kilkunastometrowy kawałek chodnika pośród chwastów i samosiejek robiłby co najmniej osobliwe wrażenie.

– Wysiadać – rzuciła Chyłka.

Kordian popatrzył na nią ze zdziwieniem.

– Desantuj się, Zordon – dodała.

– Co ty wyprawiasz?

– Jadę rozmówić się z moją siostrą, która najwyraźniej wie więcej, niż dotychczas sądziliśmy. Ty w tym czasie odstawisz muzyczną ignorantkę na Tarchomin, a potem…

– Zaraz, zaraz.

Chyłka zerknęła w lusterko.

– Tam mieszkasz, prawda? – zapytała.

– Ta, przy Mehoffera – potwierdziła Kabelis. – Ale nie potrzebuję obstawy.

– Nie szkodzi. Zordon przepyta cię jak wyjątkowo upierdliwy nauczyciel, a potem przekaże mi wszystko i zaczniemy pracować nad linią obrony.

Joanna wskazała im drzwi i znacząco skinęła głową.

– Podjadę na Mehoffera, jak tylko załatwię, co trzeba – dodała.

Oryńskiemu przeszło przez myśl, żeby zaprotestować, ale szybko uznał to za bezcelowe. Nic by nie zdziałał, poza tym sam chciał się dowiedzieć, dlaczego to siostra Chyłki zdaniem Awita miała wiedzieć, co tak naprawdę się wydarzyło.

Odprowadził wzrokiem szybko oddalającą się iks piątkę, a potem podszedł do rozkładu jazdy. Kursowała tu tylko jedna linia – i najwyraźniej musieli trochę poczekać.

– Niezła furiatka – odezwała się Klara.

– Uświadczyłaś jej w spokojniejszej odsłonie.

Kabelis nie umknęła wyraźna nuta sympatii w jego głosie. Obróciła się w stronę Kordiana i się uśmiechnęła.

– I za to skrycie do niej wzdychasz?

– Nie za to, ale mimo tego.

– O proszę, więc jednak coś między dwójką moich obrońców iskrzy?

– Raczej płonie jak most Łazienkowski w dwa tysiące piętnastym.

– To niefortunnie, biorąc pod uwagę szkody, do których wtedy doszło.

Oryński w końcu oderwał wzrok od rozkładu i spojrzał na alpinistkę. Znów sięgnął do kieszeni i przeklął się w duchu za to, że zapomniał papierosów z auta.

– Teraz dojdzie do jeszcze większych, jeśli będziesz sobie z nami pogrywać – zadeklarował.

– Nie pogrywam. Wychodzi na to, że wiem mniej niż wy.

Kordian spojrzał na nią z powątpiewaniem.

– No co? – żachnęła się. – To nie moja siostra najwyraźniej współdziała z gościem, który wpłacił poręczenie.

Miała rację, choć Oryński nie rozumiał, dlaczego Magdalena miałaby robić cokolwiek za ich plecami. Owszem, znała Awita, spotkali się podczas sprawy zaginięcia Nikoli, kiedy Chyłka miała wypadek, a jej siostra przyjechała na Suwalszczyznę. Kordian był jednak przekonany, że na tym ich znajomość się zakończyła.

Najwyraźniej się mylił.

9

ul. Europejska, Wilanów

Korzystając z dobrodziejstwa trzypasmówki na moście Siekierkowskim, Chyłka lawirowała między samochodami sunącymi ku lewobrzeżnej Warszawie. Gdyby zarejestrował ją teraz policyjny fotoradar, za przekroczenie prędkości dostałaby przynajmniej pięćset złotych, za utrudniające innym kierowcom zmiany pasa ruchu dodatkowo dwie stówy, a razem z pozostałymi przewinieniami uzbierałaby się pewnie jeszcze większa kwota. O punktach karnych nie wspominając.

Niespecjalnie się tym jednak przejmowała. Właściwie nawet nie rejestrowała, co robi, działała zupełnie mechanicznie.

Trwała w robotycznym transie nawet po wyjściu z samochodu – otrząsnęła się z niego dopiero na widok siostry, kiedy ta otworzyła jej drzwi budynku przy Europejskiej.

Joanna nie czekała na zaproszenie, od razu wmaszerowała do środka. Płytko nabrała tchu, mając zamiar wystrzelić w stronę Magdaleny kanonadę pretensji, lecz w ostatniej chwili coś ją powstrzymało. Był to strach w oczach stojącego obok żony Juliana.

Oboje sprawiali wrażenie głęboko zaniepokojonych tym, że Joanna zjawiła się w ich domu.

Chyłka nie potrzebowała długiego namysłu, by zrozumieć, w czym rzecz. Zajmowała się prawem karnym dostatecznie długo, by rozpoznać, kiedy ktoś obawia się podsłuchu.

W tym wypadku było to całkowicie uzasadnione. Skoro porywacz bez trudu zabrał z domu Darię, równie dobrze mógł

włamać się wcześniej, by umieścić odpowiedni sprzęt. Do tej pory udowodnił już nader dobitnie, że nie cofnie się przed niczym.

Siostry na dobrą sprawę rozumiały się bez słów. Co nie oznaczało, że Joanna zamierzała całkowicie z nich zrezygnować.

– Za mną – rzuciła władczym tonem, a potem odwróciła się.

Brenczowie nie zwlekali i po chwili cała trójka zmierzała w kierunku znajdującego się nieopodal Jeziora Powsinkowskiego. Ścieżka okalająca je była jak grzęzawisko, ale okolica stanowiła idealne miejsce, by Joanna mogła rozmówić się z siostrą.

– Co tu się dzieje, do kurwy nędzy? – wypaliła, kiedy oddalili się od domu.

– Spokojnie… – zaczęła Magdalena.

– Jestem spokojniejsza niż powinnam, zważywszy na okoliczności.

– Nam akurat nie musisz o nich mówić.

– Fakt – przyznała. – Ale wy najwyraźniej macie się z czego tłumaczyć. A konkretnie ty.

Popatrzyła na jedno i drugie. Brenczowie wyglądali jak dwójka ćpunów, którzy dopiero co zaczęli odwyk. I nie chodziło wyłącznie o trzęsące się dłonie, bladą cerę, podkrążone oczy i rozbiegany wzrok. Oboje sprawiali wrażenie, jakby mieli zaraz wybuchnąć.

Magdalena złapała siostrę za rękę.

– Ja mam się tłumaczyć? – zapytała. – Tobie?

– Jeśli chcesz, żebym…

– Co ty sobie wyobrażasz? – rzuciła Magdalena. – Że coś uprawnia cię, żeby tak do nas mówić? Nasza córka została porwana, jakiś zwyrodnialec jej grozi, a ty masz czelność kazać mi się tłumaczyć? Z czego?

Joanna uciekła wzrokiem w stronę jeziora, ale nie cofnęła ręki. Siostra ścisnęła ją jeszcze mocniej.

– Z tego, że zrobię wszystko, żeby uratować moje dziecko?

– Nie.

– Wydaje ci się, że wiesz, co przechodzimy?

Julian zbliżył się do żony i położył jej dłoń na ramieniu, ale ta zdawała się nawet tego nie odnotować.

– Że rozumiesz choćby promil tego, co czujemy? – ciągnęła Magdalena coraz słabszym głosem. – Bo kilka razy zabrałaś ją do kina? Bo kupujesz jej pieprzone klocki z *Gwiezdnych wojen* i jesteś superciotką, z którą zawsze można pogadać o…

– Daj spokój – włączył się Brencz, robiąc wszystko, by jego głos nie zabrzmiał konfrontacyjnie.

Jego żona machnęła ręką, w końcu puszczając Chyłkę. Odwróciła się w stronę gęstego skupiska drzew przy wodzie i przez moment wszyscy milczeli.

– Nie miałam wyjścia – odezwała się w końcu Magdalena, nieco się uspokajając. – Musiałam to zrobić.

– Co? – dopytywała Joanna. – Co konkretnie?

Ledwo trzymała nerwy na wodzy. Rozmowy z osobami w szoku zawsze wyglądały podobnie i doprowadzały ją do szewskiej pasji. Dziwiła się wszystkim tym ludziom, którzy zamiast szukać drogi wyjścia z sytuacji, zamykali prowadzące do niej drzwi i walili w nie głową.

Właśnie to teraz robiła Magdalena, coraz dobitniej dostrzegając potrzask, w którym się znalazła. Wcześniej najwyraźniej jednak zadziałała – i zrobiła to znacznie skuteczniej od niej.

– Co zrobiłaś? – zapytała Chyłka.

Siostra wciąż się nie odwracała, a Julian obejmował ją ramieniem. W końcu to on posłał Joannie spojrzenie, które kazało jej sądzić, że za moment wszystkiego się dowie.

– Nie mogliśmy siedzieć bezczynnie – zaczął. – Musieliśmy zrobić wszystko, żeby wyciągnąć tę dziewczynę z więzienia.

– Wszystko? Co wyście odjebali?

Nie ulegało dla niej wątpliwości, że coś lekkomyślnego. Podobnego zachowania spodziewałaby się bardziej po sobie niż po zawsze opanowanej i spokojnej siostrze. W takiej sytuacji być może jednak Magdalena upodobniała się do niej bardziej, niż sama byłaby to gotowa przyznać.

– Dostaliśmy tę samą wiadomość, co ty – dodał Julian. – Esemesa z informacją, że jeśli nie wyciągniesz Kabelis, coś stanie się Darii.

– Więc odezwaliście się do Awita?

Chciała zadać cały szereg innych pytań, zanim jednak zaczęła, Magdalena w końcu na nią spojrzała i powoli podjęła temat. Mówiła o tym, że poznali się ze Szlezyngierem, gdy Chyłka leżała w szpitalu po wypadku. Utrzymywali później sporadyczny kontakt, ich relacje nie były specjalnie zażyłe, ale od czasu do czasu spotykali się na lunchu lub kolacji.

Tyle wystarczyło, by Brenczowie pomyśleli o nim, kiedy desperacko szukali ratunku. Awit jawił się jako jedyna osoba, która może im pomóc. Nie dość, że miał środki finansowe, to jeszcze rozumiał doskonale, w jakiej sytuacji się znaleźli. Sam przez długi czas umierał ze strachu o córkę i był gotów zrobić wszystko, by ją odzyskać.

– Powiedzieliście mu o porwaniu? – jęknęła Chyłka.

– A mieliśmy wybór? – odparł Julian. – Było oczywiste, że nie zdążysz w porę.

– I jeśli komuś w takiej sytuacji mogliśmy zaufać, to właśnie Awitowi. Przechodził przez coś podobnego.

Joanna zapaliła papierosa, zaciągnęła się głęboko i wskazała przed siebie. Powolnym krokiem ruszyli w stronę niewielkiego placu zabaw, niemal pustego o tej porze.

– To porządny facet – dodała Magdalena. – Nie wnikał, nie drążył, nie chciał narażać nas na większe niebezpieczeństwo. Po prostu powiedział, że pomoże. Jak nikt inny wie, co teraz przeżywamy i… myślę, że zrobiłby znacznie więcej, gdybyśmy tylko go o to poprosili.

Chyłka przypuszczała, że nie odbierał telefonów od niej albo z obawy o to, że jej komórka jest na podsłuchu, albo dlatego, że wolał, by to siostra jej o wszystkim powiedziała. Wcześniej zaś musiał być zajęty tym, by w porę uiścić poręczenie.

– Zdajecie sobie sprawę, na co ją naraziliście?

Żadne z nich nie odpowiedziało.

– Jeśli porywacz się o tym dowie, to…

– To co? – przerwał jej Julian. – Naprawdę sądzisz, że tego nie przewidział?

– Hm?

– Do tej pory kontrolował każdy nasz ruch. Nasz, twój, Kordiana, właściwie wszystkich – ciągnął Brencz. – Z pewnością musiał przynajmniej dopuszczać, że tak postąpimy.

Być może coś w tym było, uznała w duchu Chyłka. Przeciwnik rzeczywiście zdawał się wyjątkowo przewidujący i nie można było odmówić mu solidnego, wręcz perfekcyjnego przygotowania.

Do cholery, kim mógł być ten człowiek? Czy naprawdę mogło chodzić o osobę, która oblała ją kwasem pod Skylight? O najbardziej wynaturzony wariant stalkera?

– Musieliśmy zaryzykować – dodał Brencz.

– I dobrze, że to zrobiliśmy.

Joanna nie miała zamiaru wdawać się w oceny, nie w tej chwili, kiedy ostateczny rezultat nie był do końca pewny.

– Co teraz? – spytała Magdalena.

Chyłka sztachnęła się krótko i pstryknęła niedopałkiem w błoto.

– Zażegnaliście jeden kryzys – powiedziała. – Ale prawdziwe problemy zaczynają się dopiero teraz.

– W takim razie dobrze, że mamy ciebie.

Po raz pierwszy w głosie siostry zadrgała nuta optymizmu. I choć był on pozorowany, stanowił dobrą zapowiedź.

– W końcu jesteś nimi napędzana – dodała Magdalena.

– To obelga czy pochwała?

– O ile dobrze pamiętam, sama kiedyś powtarzałaś, że „kryzys" po chińsku zapisuje się jako dwa symbole. Jeden oznaczający niebezpieczeństwo, a drugi…

– Szansę – dokończyła Joanna. – Tak, ale powiedział to Kennedy, nie ja.

Przeszli jeszcze kawałek, a potem zatrzymali się przy kilku zniszczonych, zbutwiałych łódkach, przycumowanych na słowo honoru w miejscu, które niegdyś musiało stanowić namiastkę przystani.

– Musisz doprowadzić do uniewinnienia – odezwała się Magdalena błagalnym tonem.

– Wiem.

– Jesteś w stanie to zrobić?

Chyłka chciała zapewnić ją, że tak, ale nie mogła tego zrobić z czystym sumieniem. Nie znała jeszcze nawet szczegółów sprawy, nie wiedziała, jaki był materiał dowodowy. Ani dlaczego okazał się na tyle mocny, by prokuratura rzuciła się na Klarę jak hieny na bezbronną ofiarę.

– Mam nadzieję – odparła. – Na początek muszę utrzymać ją na wolności.

– Przecież Awit wpłacił pieniądze.

– Ale prokuratura złoży zażalenie. Będą argumentować, że Kabelis już raz próbowała dać nogę.

Magdalena i Julian patrzyli na nią jak na wyrocznię. Znała ten wzrok, pojawiał się u wielu klientów zdesperowanych na tyle, by wierzyć, że ich obrońca potrafi przewidywać przyszłość.

– Jakie realnie mamy szanse? – zapytał Brencz.

– Nie wiem.

– Zajmujesz się tym wystarczająco długo, żeby…

– Musiałabym zgadywać – zastrzegła. – A od tego jest druga strona. Właściwie na tym polega cała praca śledcza. Ja zajmuję się faktami, nie gdybaniami.

Przypuszczała, że w zdecydowanej większości przypadków była to wierutna bzdura, ale w tej chwili stanowiła także najlepszą z możliwych odpowiedzi.

– Muszę się przede wszystkim dowiedzieć, co się stało w górach – dodała, widząc, że Brenczowie czekają na więcej. – I stworzyć odpowiednią narrację w mediach.

– Z tym będzie problem – zauważył Julian. – Opinia publiczna już zdążyła wydać wyrok i uznać, że Klara zostawiła swoich kumpli na śmierć, żeby sama się ratować. Dla większości to nie do przełknięcia.

– Wszystko staje ością w gardle, kiedy siedzi się wygodnie na kanapie – odparła Joanna. – Ja sprawię, że ci ludzie na chwilę wyobrażą sobie, jak się z niej podnoszą.

Wiedziała, że musi zrobić dużo więcej – doprowadzić do tego, by publika choć na moment postawiła się w sytuacji Kabelis i dostrzegła, że alpinistka walczyła już nie o zdobycie szczytu, ale o ocalenie własnego życia.

– Empatii raczej nie wzbudzisz – odezwała się Magdalena.

– Nie potrzebuję jej, w zupełności wystarczy mi odrobina zrozumienia.

– Na nią też trudno liczyć.

– Liczę tylko na siebie – odparła stanowczo Chyłka. – To dobra zasada, bo jesteś jedyną osobą, która z natury rzeczy ma problem z wbiciem ci noża w plecy. Chyba że masz wyjątkowo długie ręce.

Siostra Joanny zerwała kilka liści z krzewu przy ścieżce i zaczęła je nerwowo skubać.

– Nie przeskoczysz tego, że ona uciekła – włączył się Julian. – Nie chodzi tylko o to, że zostawiła tych wspinaczy, ale też o to, że próbowała potem zbiec przez granicę.

– Jakby miała coś do ukrycia – dorzuciła Magdalena.

– A to wszystko sprawi, że dojdzie do publicznego linczu.

Chyłka była przygotowana na najgorsze i wiedziała, że przyjdzie jej się zmierzyć z jedną z najtrudniejszych spraw, jakich kiedykolwiek się podjęła. A sytuacja mogła jeszcze się pogorszyć, jeśli okaże się, że materiał dowodowy naprawdę jest mocny. I że Kabelis rzeczywiście w jakiś sposób przyczyniła się do śmierci towarzyszy.

– Jakoś będzie – powiedziała. – Pozbieram fakty i zacznę układać linię obrony.

– Więc co tu jeszcze robisz? – rzuciła Magdalena, zmuszając się do bladego, wyjątkowo smętnego uśmiechu.

– Dobre pytanie.

Wszyscy zgodnie ruszyli z powrotem w kierunku Europejskiej. Zanim dotarli do zaparkowanej przed domem iks piątki, omówili właściwie każdy istotny aspekt sprawy. Julian i Magdalena mieli więcej nie kontaktować się z Awitem i uważać na wszystko, co mówią. Chyłka przypuszczała, że powinna przyjąć taką samą strategię. Szczególnie że do jej samochodu porywacz także się dostał.

Siadając za kierownicą, czuła się, jakby znalazła się w obcym miejscu. Westchnęła, a potem włączyła radio i skierowała się w stronę Tarchomina. Po minięciu kilku

skrzyżowań utknęła w korku, a na antenie TOK FM akurat rozpoczynało się pełne pasmo informacyjne. Myślami była daleko, ale kiedy tylko z głośników padło nazwisko jej klientki, natychmiast się ocknęła i dała głośniej.

Wyłapała jedynie końcówkę wiadomości. Kabelis miała spławić w niewybrednych słowach kilka osób, które zaczepiły ją w autobusie. Relacjonująca to zdarzenie dziennikarka dodała, że Klara była w towarzystwie znanego warszawskiego prawnika, co potwierdzało, że wynajęła do obrony renomowaną kancelarię.

Tylko tego było Chyłce potrzeba. Dziewczyna zasadniczo nie musiała otwierać ust, by wywoływać negatywne emocje i zagrzewać publikę do hejtu. Dobre geny zapewniły jej ponadprzeciętną urodę i kształtne ciało, a regularne uprawianie sportu tylko zwiększało efekt. Klara przebiła się przez środowisko, w którym wciąż rządzili mężczyźni, a fakt ten w połączeniu z jej atrakcyjnością nasuwał jednoznaczne, stereotypowe skojarzenia.

W dodatku była wygadana i jak każda alpinistka brnęła do celu za wszelką cenę. Czasem także po trupach, co wielu komentatorów traktowało stanowczo zbyt dosłownie w przypadku zdarzeń na Annapurnie.

Wdawanie się w utarczki słowne z przypadkowo spotkanymi ludźmi mogło okazać się gwoździem do trumny.

Chyłka sięgnęła po telefon, zamierzając skontaktować się z Zordonem, ale zobaczyła, że ma nieprzeczytanego esemesa. Natychmiast wyświetliła wysłaną z bramki wiadomość.

„Żwirki i Wigury 99A. Pod schodami”.

Joanna zamarła. Samochody przed nią zaczęły powoli ruszać, ale prawniczka nawet nie drgnęła. Po chwili kierowca stojący za nią zaczął trąbić, a zaraz potem dołączyli do niego inni.

Ignorowała klaksony, wbijając wzrok w pęknięty wyświetlacz. Ta krótka wiadomość mówiła więcej niż wszystko, co do tej pory udało jej się ustalić. Nie tylko o sprawie, ale także o tożsamości stalkera.

10

Tarchomin, Białołęka

Szli z przystanku szybkim krokiem, a Kordian modlił się, by już nikt po drodze ich nie rozpoznał. Spięcie w autobusie było najgorszym, do czego mogło dojść – media będą rozpisywały się teraz wyłącznie na ten temat, podkreślając, jak arogancka i butna jest Klara Kabelis, a niekorzystny obraz utrwali się w oczach wszystkich osób interesujących się sprawą. Także jeśli chodziło o sędziów i ławników, którzy za jakiś czas będą decydować o losie alpinistki.

Kabelis poprowadziła swojego obrońcę na jedno ze starszych osiedli nieopodal Białołęckiego Ośrodka Sportu. Kompleksu boisk wprawdzie nie było stąd widać, ale Kordian bez problemu mógł usłyszeć charakterystyczne dźwięki towarzyszące grom zespołowym.

Weszli do mieszkania na parterze, i dopiero wówczas Oryński w końcu odetchnął. Teraz mógł być pewien, że do żadnego kolejnego kryzysu nie dojdzie.

– Ciężko ci na duchu, Ponton?

Kordian zerknął na dziewczynę z niepewnością.

– Na mnie tak nie patrz – zastrzegła. – To twoja druga połówka cię tak nazwała.

– Zordon.

– Jeszcze gorzej – odparła Klara, rozglądając się po niewielkim mieszkaniu, jakby była tu po raz pierwszy. – Skąd taka ksywa?

– To długa i skomplikowana historia.

– Nie ma wersji tl;dr?

Kordian wszedł do kuchni i również się rozejrzał. Zarówno tu, jak i w innych pomieszczeniach panował lekki zaduch. Wystrój mieszkania sugerował, że właścicielka głęboko do serca wzięła sobie ideę „zielonej Białołęki". Wszystkie parapety były zastawione roślinami doniczkowymi, podobnie wyglądały meble i większość blatów – a na dobrą sprawę każde miejsce, gdzie można było postawić jakieś kwiaty, łącznie z podłogą. Większość jednak obumierała albo już całkowicie uschła.

– Ktoś przekręcił moje imię i już tak zostało – wyjaśnił w końcu Oryński.

– Pech.

– Nawet nie wiesz jaki – odparł pod nosem, a potem uchylił jedno z okien. – Nikogo tu nie było od twojego wyjazdu?

– Ano nie. Jak widać.

– I czuć – zauważył. – Nie masz kogoś, kto mógłby wpadać tu choćby po to, żeby trochę przewietrzyć i podlać kwiatki?

Spojrzał na uschnięte liście na parapecie, a potem przesunął palcem po futrynie okna. Złogi kurzu przywodziły na myśl te, które swego czasu zalegały w ruderze Harry'ego McVaya na Elsnerowie.

– Raczej nie. Jestem typem borsuka.

Niewiele mu to mówiło, jeśli pominąć Lwa Buchelta, jego niegdysiejszego i na szczęście tylko przejściowego patrona.

– Na równinach stronię od ludzi – ciągnęła Kabelis. – W górach siłą rzeczy musisz spędzać z członkami wyprawy dwadzieścia cztery godziny na dobę, czasem w niewielkim namiocie. Ciśniecie się jak sardynki, w oczekiwaniu na poprawę pogody. Tutaj sobie odbijam.

– Mhm.

– Jeśli chcesz spytać o mycie się, wypróżnianie i ewentualne doznania węchowe na wyprawach, to załatwmy to od razu.

– Nie miałem zamiaru.

Odsunęła sobie krzesło i usiadła przy stole. Narysowała na zakurzonym blacie uśmiechniętą buźkę, a potem przeniosła uwagę na wciąż rozglądającego się Oryńskiego.

– Szkoda, bo to dałoby ci jakieś pojęcie o warunkach panujących w Himalajach – dodała. – Na dużej wysokości zamarza wszystko, bakterie też. Dlatego gdybyś kiedyś porwał się na jakiś ośmiotysięcznik, przynajmniej przez parę dni brakiem kąpieli nie musisz się przejmować.

– Raczej się nie wybieram – odparł Oryński, siadając obok. – Ale chcę się dowiedzieć wszystkiego na ten temat.

– To uzbrój się w cierpliwość, bo jest sporo do gadania.

Przypuszczał, że żadne słowa, zdjęcia ani filmy nie oddadzą tego, co dzieje się w górnych partiach Himalajów czy Karakorum. Musiał jednak mieć choćby ogólny zarys, jeśli zamierzali z Chyłką bronić Kabelis na sali sądowej.

– Co muszę wiedzieć na początek?

Klara zawinęła dłoń w rękaw bluzki, a potem przesunęła nią po stole. Oparła się na nim łokciem i przez moment przypatrywała się Kordianowi, jakby był zupełnym ignorantem.

– Na początek? – spytała. – Choćby to, że wchodząc na te szczyty, musimy sprawdzać prognozę pogody, jaka interesuje tylko nas i jeszcze jedną grupę społeczną. Wiesz jaką?

– Nie.

– Pilotów samolotów pasażerskich. Na ośmiu tysiącach wieją jet streamy, którymi przejmują się tylko oni i my.

– Okej.

– Przyda ci się jeszcze informacja, że od siedmiu tysięcy ośmiuset metrów wzwyż zaczyna się strefa śmierci.

– Brzmi świetnie.

– Bo tam jest początek prawdziwej zabawy. W zawrotnym tempie tracisz siły, masa ciała spada jak szalona, a twój organizm nie potrafi już się regenerować. Pali jak szalony nie tylko tłuszcz, ale też białka w mięśniach.

Może na myśl o skrajnym wygłodzeniu, a może przez to, że nie zjadł śniadania, Oryńskiemu zaburczało w brzuchu. Kabelis uśmiechnęła się pod nosem.

– Innymi słowy poruszasz się do przodu, ale tak naprawdę powoli umierasz – dodała. – Jeśli jesteś dobrze zaprawiony, wytrzymasz w strefie śmierci dwa, może trzy dni. A pamiętaj, że my wchodzimy jeszcze wyżej.

I to z własnej, nieprzymuszonej woli, co było dla niego raczej osobliwe.

– Na Evereście wylądował w historii tylko jeden śmigłowiec, francuski eurocopter. Gdybyś znalazł się na jego pokładzie i zdecydował się wyjść na szczyt, umarłbyś po dwóch minutach od opuszczenia maszyny – ciągnęła Kabelis. – Szczyt ma osiem tysięcy osiemset czterdzieści osiem metrów, co właściwie jest uśmiechem losu, bo górny limit wytrzymałości organizmu ludzkiego to dziewięć tysięcy.

– Nieźle.

Klara wzruszyła ramionami.

– Co tu dużo mówić, ktoś zaprojektował góry tak, żeby dało się na nie wejść. Dodałby do Everestu te sto pięćdziesiąt metrów z hakiem i byłoby pozamiatane.

Oryński podniósł się i bez większej nadziei sprawdził lodówkę. Była wyłączona, a kiedy tylko otworzył drzwiczki, buchnął z niej wyjątkowo nieprzyjemny smród. Natychmiast z powrotem ją zamknął.

– Na dole mają niezłe kebsy – rzuciła Kabelis. – Szczególnie falafela na cienkim cieście. Osiem zeta, a napełnisz brzuch jak polityk kieszenie przy dojeniu funduszy europejskich.

Kordian docenił to porównanie lekkim uśmiechem.

– Chodź – dodała Klara, a potem skierowała się do wyjścia.

Zanim zdążył zaproponować, że weźmie dwa falafele na wynos i tym samym sprawi, że unikną konfrontacji z innymi przypadkowymi ludźmi, Kabelis już otwierała drzwi. Ostatecznie uznał, że może i lepiej tę rozmowę prowadzić w innych warunkach.

Miejsce wyglądało niepozornie, właściwie jak każda inna kebabiarnia. Szyld przedstawiający mięso palące się niemal w ogniach piekielnych z pewnością przemówiłby jednak do Chyłki, podobnie jak smak serwowanych tu potraw.

Klara i Oryński usiedli przy skleconych z desek stolikach na zewnątrz i mimo że miejsca nie było wiele, nie musieli się przejmować, że ktoś będzie się przysłuchiwał rozmowie – pozostali klienci albo brali na wynos, albo zajadali się kebabami w środku.

– Zanim zaczniesz przesłuchanie, powiedz mi jedno – powiedziała Kabelis, ocierając dolną wargę z sosu.

Kordian skinął głową, nie chcąc mamrotać z pełnymi ustami.

– Dlaczego w ogóle wzięliście moją sprawę?

Przeżuwając, przyglądał się rozmówczyni i starał się ustalić, czy naprawdę nie zna odpowiedzi, czy tylko gra. Jeśli pierwsza wersja była słuszna, nie tylko Daria padła ofiarą tej sytuacji, ale także himalaistka. Jeśli nie, dwoje prawników było wyjątkowo perfidnie rozgrywanych.

Oryński w końcu przełknął kęs. Falafel z ciecierzycy rzeczywiście robił wrażenie.

– Nie zrozum mnie źle, jestem wdzięczna – dodała Klara. – Ale sami wiecie, że jestem czarną owcą polskiego alpinizmu. A w tej chwili pewnie też jedną z najbardziej znienawidzonych osób w tym kraju.

– W dodatku dowody przeciwko tobie są mocne, jeśli wierzyć prokuraturze – dodał Kordian, odkładając bułkę. – I nie zapominaj o tym, że nawet jeśli wygramy sprawę, spadnie na nas sporo krytyki. Jeżeli zaś przegramy, nasza renoma w środowisku pójdzie się rąbać.

– I tak źle, i tak niedobrze – podsumowała Kabelis. – Więc dlaczego mnie bronicie? Awit aż tyle wam płaci?

Niespecjalnie wiedział, co odpowiedzieć. Najlepszym wybiegiem byłoby chyba lakoniczne oznajmienie, że lubią wyzwania. Rozmówczyni jednak nie dała mu dojść do słowa.

– I dlaczego w ogóle to robi? – dodała.

– Mnie pytasz?

– A kogo? Z nim nie mam kontaktu, a ty chyba powinieneś wiedzieć, dlaczego jest gotów wyłożyć tyle kasy. W tym też na waszą gażę.

Od opuszczenia Grochowa Oryński właściwie się nad tym nie zastanawiał, wychodząc z założenia, że Chyłka wyciągnie wszystko ze swojej siostry, a potem przekaże jemu. Sprawdził telefon z nadzieją, że już jej się to udało, ale Joanna wciąż nie dawała żadnego znaku życia.

– No? – wybełkotała Kabelis. – Co was podkusiło?

– Czasem takie sprawy mają tendencję do obracania się jak fidget spinner.

– Słabe porównanie, bo to dziadostwo wyszło już z mody.

– Ale podejmowanie wyzwań nie. To zawsze jest trendy.

Pokręciła głową niby zrezygnowana, ale w jej zachowaniu było coś, co kazało sądzić, że ta odpowiedź w zupełności ją satysfakcjonuje. Kordian obawiał się jednak, że kiedy to on zacznie zadawać pytania, jego reakcja będzie dokładnie odwrotna.

– Sama powinnaś coś o tym wiedzieć – dodał po chwili.

„Coś” stanowiło gigantyczne niedomówienie, jeśli chodziło o podejmowane przez nią wyzwania. Oprócz próby poprowadzenia nowej trasy na najniebezpieczniejszą górę świata miała za sobą zdobycie kilku ośmiotysięczników, dwukrotnie starała się pokonać zimą Nanga Parbat i raz powtórzyć sukces Marianne Chapuisat na Czo Oju. Przy tak imponującym życiorysie, prawdziwym sprawdzianem dla niej było wysiedzenie na równinach przez kilka tygodni.

A mimo to środowisko nie darzyło jej sympatią, nigdy nie zyskała szacunku, na który według wielu zasługiwała. Teraz w dodatku wszystko wskazywało na to, że będzie tylko gorzej.

– Co tam się stało? – zapytał w końcu Kordian.

– A jak myślisz?

Nie odezwał się, wbijając wzrok w oczy Klary. Ta zawieszała spojrzenie gdzieś w oddali, zupełnie jakby na horyzoncie nie widać było starych bloków, ale wypiętrzone, poszarpane skały.

– Z bankruta chciałam stać się bogaczem.

– Co?

– Wiesz, co o Annapurnie mówił Maurice Herzog?

– Nie wiem nawet, kto to jest.

– Był – poprawiła go, wciąż z nieruchomym spojrzeniem. – Pierwszy zdobywca tej góry. Gość stał się legendą, ale zapłacił ogromną cenę. Przy schodzeniu ze szczytu odmroził sobie dziesięć palców. Wszystkie amputowano mu w warunkach polowych.

Oryński mimo woli zobaczył w wyobraźni niepokojące obrazy, przez które natychmiast stracił apetyt.

– Mówił, że na Annapurnę szedł bez grosza przy duszy, ale wrócił stamtąd ze skarbem, za który mógł od tamtej pory żyć.

Na chwilę zamilkła, a Kordian dopiero teraz, widząc tęsknotę i rozrzewnienie w oczach Kabelis, zdał sobie sprawę z tego, ile te wyprawy dla niej znaczyły.

– To wyjątkowa góra – dodała nieobecnym głosem. – I cholernie niebezpieczna. Właściwie co chwilę schodzą tam lawiny, a co trzeci człowiek, który się na nią porywa, już nie wraca.

Przez moment milczeli.

– Co tam się stało? – powtórzył.

Klara potrząsnęła głową. Na powrót skupiła na nim wzrok, ale Oryńskiemu wydało się, że teraz patrzy na niego ktoś zupełnie inny. Maska opadła, a on w końcu miał przed sobą prawdziwą Kabelis.

– Więcej, niż jesteś sobie w stanie wyobrazić – odparła po chwili.

Zanim zdążył wyciągnąć z niej coś jeszcze, rozległ się dzwonek telefonu. Przypuszczając, że Chyłka w końcu zdecydowała się zadzwonić, czym prędzej przeprosił Klarę i odszedł kawałek.

Osobą, która próbowała się z nim skontaktować, był jednak Kormak. Odbierając połączenie, Oryński kątem oka dostrzegł jeszcze, że ma jedną nieprzeczytaną wiadomość.

– Jestem trochę zajęty – rzucił, zerkając na Klarę.

– Będziesz jeszcze bardziej.

– Dlaczego?

– Bo wiem, jaki materiał dowodowy mają śledczy.

Kordian milczał, spodziewając się najgorszego.

– Nie mam jeszcze wszystkich informacji, ale nie wygląda to najlepiej – ciągnął Kormak. – Okazuje się, że przynajmniej jeden z mężczyzn, z którymi Kabelis się wspinała, nie zmarł ani z powodu hipotermii, ani choroby wysokościowej, obrzęku płuc czy mózgu.

– Więc jak?

– Od uderzenia w czaszkę ostro zakończonym, ząbkowanym przedmiotem.

– Czyli?

– Głowicą czekana.

Oryński natychmiast spojrzał na Klarę, jakby ta nagle miała uciec.

– To nie wszystko – dodał chudzielec. – Z raportu patomorfologicznego wynika, że pierwszej z ofiar zadano kilka ciosów, zanim umarła.

11

ul. Żwirki i Wigury, Ochota

Minęło kilkadziesiąt minut, od kiedy Chyłka wysłała Oryńskiemu esemesa, ten jednak najwyraźniej przesadnie się nie spieszył. Paliła już któregoś papierosa pod niegdysiejszą rockową mekką Warszawy, klubem Proxima, nerwowo wypatrując Kordiana.

W końcu dostrzegła, jak nadchodzi od strony przystanku na Banacha.

– Gdzie rydwan ognia, Zordon? – powitała go.

Zatrzymał się tuż przed nią, posłał jej krótkie spojrzenie i ją pocałował. Wyciągnąwszy Joannie papierosa spomiędzy palców, omiótł wzrokiem chodnik, jakby zamierzał zliczyć wszystkie pety.

– Uznałem, że szkoda się fatygować na Argentyńską i z powrotem tutaj – odparł. – Poza tym żółte daihatsu stojące na twoim miejscu parkingowym robi naprawdę dobre wrażenie. Szkoda byłoby je psuć.

Chyłka się skrzywiła.

– Mógłbyś w końcu zabrać tego dezela do siebie.

– I płacić za parking pod Pajacem? – spytał z powątpiewaniem, a potem głęboko się zaciągnął. – Nieopłacalne. Szczególnie że i tak cały czas jestem u ciebie, dzięki czemu codziennie rano mam podwózkę do roboty.

– W takim razie mógłbyś czasem pomieszkać u siebie.

– Wyrzucasz mnie?

– Najpierw musiałabym cię przyjąć, a ty pomieszkujesz u mnie tylko dlatego, że zaanektowałeś ten teren.

– Zaanektowałem znacznie więcej – odparł, wyrzucił papierosa i objął ją w pasie.

Joanna prychnęła cicho i zarzuciła mu ręce na kark. Choć nie była gotowa do końca się przed sobą przyznać, potrzebowała tego. Bliskości między nimi, która jednocześnie powodowała dystans wobec wszystkiego innego. Chyłka choć na chwilę musiała przestać myśleć o tym, co grozi siostrzenicy.

– Prędzej dokonałbyś aneksji części Ukrainy niż mnie, Zordon.

– Władimirowi Władimirowiczowi się udało.

– Bo miał na podorędziu jakiś milion żołdaków – odparła. – Ty masz tylko swój urok osobisty, a to nie jest broń wielkiego kalibru.

Zanim zdążył odpowiedzieć, poklepała go po policzku, a potem wskazała akademiki znajdujące się za klubem. Oryński rozejrzał się, jakby dopiero teraz zorientował się, gdzie są.

– Co my tutaj właściwie robimy? – spytał, kiedy ruszyli przed siebie.

Joanna bez słowa podała mu komórkę. Fakt, że musiała na niego czekać, był jej tak naprawdę na rękę. W tym czasie mogła skasować z rejestru jedno połączenie, wykonane przed jego przyjściem. Połączenie, które z pewnością wzbudziłoby jego podejrzliwość.

Kordian przez chwilę mocował się z obsługą popękanego ekranu, ale w końcu dotarł do wiadomości, którą chciała mu pokazać.

– Co to za adres? I o co chodzi ze schodami?

Chyłka wskazała budynek, na którego tyłach się znaleźli, a potem zbliżyła się do zniszczonych metalowych schodów.

– Proxima – wyjaśniła.

– Chyba tu kiedyś byłem.

– Niewykluczone. Od kiedy zaczęto wpuszczać na scenę ludzi bez gitar, grywały tu różne osoby.

W końcu Kordian zaskoczył.

– Koncert O.S.T.R. – rzucił. – Dziesięć, może piętnaście lat temu.

– Wzdrygam się na samą myśl.

– Niepotrzebnie. Ostry to światowa klasa.

Chyłka zatrzymała się przy schodach i popatrzyła na miejsce tuż pod metalową konstrukcją, do którego niegdyś wielokrotnie wracała – przynajmniej w myślach. W rzeczywistości była tu tylko raz.

Pomijając nieco ponurą atmosferę, nic nie sugerowało, żeby kiedykolwiek doszło tutaj do okrutnej zbrodni. Joanna jednak jak dziś pamiętała wszystkie zdjęcia z miejsca zdarzenia i zwłoki leżące pod stalowym podestem.

– Chyłka?

Uświadomiła sobie, że Oryński wcześniej o coś pytał.

– Jak się czujesz? – dodał.

– Jakbym mogła podbić cały świat, pokonać każdego przeciwnika, osiągnąć każdy cel i zrealizować wszystkie zamierzenia. Czyli dzień jak co dzień.

– A oprócz tego?

Machnęła ręką, mając nadzieję, że nie będzie próbował skierować rozmowy na tory, które chciała ominąć. Stanowczo zbyt wiele czasu poświęcała martwieniu się o Darię, zamiast skupić się na tym, by jak najprędzej wyciągnąć małą z problemów, w które ją wpędziła.

– Zapytałbyś lepiej o tego esemesa od stalkera.

– Miałem taki zamiar.

– Więc śmiało. I zainteresuj się tym, skąd wiedziałam, żeby skierować się w to konkretne miejsce.

Schował dłonie do kieszeni garniturowych spodni i przechylił głowę, czekając na konkrety.

– Na początku mojej pełnej sukcesów kariery, kiedy nie byłam jeszcze określana mianem „Wilczycy ze Skylight", „Rekina ze Śródmieścia" i „Pogromczyni prokuratorskich wyg", dostałam od Harry'ego sprawę pewnego zabójstwa – wyrzuciła na jednym oddechu, a potem wskazała miejsce pod schodami. – Mój klient zamordował tutaj przypadkowo spotkanego człowieka, który…

– To znaczy według prokuratury miał zamordować?

– Nie – odparła bez wahania. – Naprawdę zabił ofiarę. Wcześniej jej nie znał, doszło do jakiejś przepychanki w klubie. Pokłócili się o jakąś smarkulę, z zeznań świadków wynikało, że niepełnoletnią, ale nigdy jej nie odnaleźliśmy. Tak czy owak, spodobała się dwóm chłopakom na tyle, że wyszli na zewnątrz i sprawy potoczyły się zbyt szybko i zbyt pechowo. Sam rozumiesz.

– Mhm.

– Mój klient rozwalił drugiemu łeb o te schody.

– Nieźle.

– Miał dość wysoki współczynnik siłomasorzeźby – przyznała. – Siłka pięć razy w tygodniu, koks, te sprawy.

– Fajny klient.

– Jeden z tych, z którymi naprawdę świetnie się współpracowało.

– Co się z nim stało?

Chyłka wiedziała, że to pytanie w końcu padnie. Nie mogła jednak na nie odpowiedzieć. Przynajmniej nie zgodnie z prawdą.

– Wybroniłam go – rzuciła lekkim tonem, nie dając po sobie poznać, że coś więcej jest na rzeczy. – Zamiast grożących mu dwudziestu pięciu lat dostał szansę, żeby na wolności doskonalić zestaw dyskotekowy.

– Co?

– Muły.

Kordian nadal nie łapał.

– Bicho, Zordon. Kaloryfer, sześciopak, mięśnie. Te wszystkie rzeczy, które mógłbyś mieć, gdybyś tylko pojadł przez jakiś czas kurczaka i powyciskał trochę.

Oryński skwitował to milczeniem. Czekał na więcej informacji, ona jednak uznała, że im mniej na ten temat powie, tym lepiej. Zamierzała wrócić do wątku esemesa przysłanego przez stalkera, ale zawahała się o moment za długo.

– Jak się nazywał ten klient? – zapytał Kordian, mrużąc oczy.

– Zdun.

– To ksywa?

– Nie, zawód.

– Poważnie?

– Nie, zduństwo zresztą chyba już zamiera – odparła Joanna i odwróciła się tyłem do schodów. – Tak delikwent miał na nazwisko.

– Dziwne.

Wzruszyła ramionami.

– Nie bardziej niż Oryński – odparła. – Zresztą…

– Nie to miałem na myśli – przerwał jej. – Nigdy o żadnym Zdunie nie słyszałem.

– Ewidentnie nigdy nie miałeś problemów z piecem kuchennym.

Nie musiała patrzeć na Kordiana, by wiedzieć, że wbija w nią wzrok, wciąż ściągając brwi, jakby starał się wyłowić z pamięci jakiekolwiek informacje.

– Znam wszystkie twoje sprawy.

– Brzmi niepokojąco. Może to ty jesteś stalkerem, Zordon?

– Nie przypominam sobie żadnego Zduna – uparł się. – Zresztą mam wrażenie, że zająknęłabyś się o tak ważnej sprawie.

– Właśnie to robię.

– Tylko dlatego, że zmusiła cię do tego sytuacja.

W końcu odwróciła się do niego i posłała mu spojrzenie, które jasno mówiło: basta.

– Otóż to – przyznała. – Więc zajmijmy się właśnie nią.

Miała nadzieję, że uda jej się zbyć temat, a Zordon uzna, że w tej chwili są rzeczy ważniejsze od nieznanej mu sprawy z przeszłości. Wszystko działo się zbyt szybko, a ona nie zdążyła przygotować wiarygodnego wytłumaczenia. W dodatku była tak zmęczona i niewyspana, że jej zdolność improwizacji znacząco się pogorszyła.

– Tej sprawy nie było w aktach kancelarii – upierał się Kordian. – Jestem tego pewien. Pamiętałbym, gdyby…

– Odpuścisz?

– Nie. Bo w takim razie stalker też nie powinien o niej wiedzieć, prawda?

Joanna skinęła głową. Znów pojawiło się uczucie, które nie opuszczało jej, od kiedy zjawili się na kolacji przy Europejskiej. Rozejrzała się, ale nie dostrzegła nikogo, kto miałby ich obserwować.

– Prawda – potwierdziła w końcu.

– W takim razie stalkerem jest ktoś, kto w tej sprawie uczestniczył.

– Może.

– Albo sam Zdun?

– On nie miałby motywu. Wybroniłam go, więc gdyby nawet po latach miał zamiar odnowić znajomość, raczej okazałby mi wdzięczność.

Kordian podrapał się po karku.

– Niech zgadnę – mruknął. – Był ktoś, kto po tej sprawie wdzięczny ci raczej nie był?

– Kilka osób by się znalazło. Na przykład ojciec chłopaka, który zginął.

– Kto by się spodziewał.

Chyłka zignorowała sarkastyczną uwagę.

– Był też brat ofiary – dodała.

– A więc mamy trop.

Owszem, mieli. Lista osób, które uznały wtedy Joannę za kolejną inkarnację diabła, była wcale niemała. Nie pamiętała już wszystkich, których mogłaby zaliczyć do tego grona, ale ojciec i brat chłopaka stanowili jedynie wierzchołek góry lodowej.

– Pytanie, po co stalker w ogóle wysłał ci tę wiadomość. Chciał się ujawnić? Pokazać, że przyszła pora na zemstę? – Kordian na moment urwał. – Po co w ogóle ściągnął cię w to miejsce?

– Nie wiem.

Rozejrzeli się uważnie, jakby porywacz miał gdzieś tutaj na nich czekać. Wprawdzie taki scenariusz wydawał się niemożliwy, ale nie znaczyło to, że stalker nie przygląda im się z oddali.

O konfrontacji jednak nie mogło być mowy, a Chyłka zdawała sobie sprawę, że powód, dla którego nadawca wiadomości kazał jej się tutaj stawić, był inny. Nieprzypadkowo wskazał miejsce pod schodami.

Zbliżyła się do nich, a potem weszła pod metalowy podest. Schyliwszy się, zaczęła przeczesywać skrawek wilgotnej ziemi. Leżało tutaj sporo petów, trochę innych śmieci i kilka zgniecionych puszek po piwie. Normalny urobek w okolicach akademików.

Pośród odpadków zobaczyła jednak coś, co się wyróżniało. Przykucnęła i podniosła niewielkiego, srebrnego pendrive'a marki Transcend. Mimo że był mniejszy od jej paznokcia, mieścił szesnaście gigabajtów – i Joanna nie chciała nawet myśleć o tym, ile materiału porywacz mógł na nim zmieścić.

Oczami wyobraźni zobaczyła przywiązaną do krzesła Darię, zamkniętą w piwnicy, pozbawioną dostępu do światła, jedzenia i picia. Odartą z godności i szansy na to, by kiedykolwiek zapomniała, co jej się przydarzyło.

– Co znalazłaś?

– Nie wiem, czy chcę wiedzieć – odparła Chyłka, wychodząc spod schodów.

Wetknęła Oryńskiemu pendrive'a do ręki, podparła się pod boki i odgięła do tyłu. Stała tak przez chwilę z zamkniętymi oczami, skupiając się wyłącznie na swoim oddechu.

Nie musieli długo rozważać, co w tej sytuacji powinni zrobić. Szybko wsiedli do iks piątki, a potem skierowali się ku Saskiej Kępie. Znacznie bliżej było do Skylight, ale oboje uznali, że nie warto ryzykować podpinaniem urządzenia do jednego z komputerów w firmowej sieci. Gdyby ktoś przypadkowo trafił na to, co mogło się tam znajdować, los Darii byłby przypieczętowany.

Kiedy utknęli w korku przed mostem, Chyłka uznała, że zrobili błąd. Do tej pory dawno mogłaby już przeszukiwać zawartość pendrive'a zamknięta w swoim gabinecie.

– Czego się dowiedziałeś od Kabelis? – zapytała, by zająć czymś myśli.

– Właściwie chyba tego, że wszyscy alpiniści nieustannie słyszą *l'appel du vide*.

Joanna syknęła cicho z dezaprobatą.

– *Omelette du fromage* – odbąknęła.

– Co?

– Nie mów do mnie po francusku, bo zawsze tak odpowiem.

– Chodziło mi o wołanie z otchłani, zew pustki. Ten głos z tyłu głowy, który namawia cię do samobójczych rzeczy.

– A, ten. Słyszę go od jakiegoś czasu co rano, kiedy się budzę i widzę cię obok siebie.

– Jak miło. Jeśli kiedyś cię przekona, daj znać, pomogę ci zrealizować te podszepty – odparł Oryński, wyciągając szyję i starając się stwierdzić, czy to zwyczajowy korek przy przeprawie przez Wisłę, czy może doszło do jakiejś kolizji.

– Więc twierdzisz, że ci ludzie chodzą w Himalaje, żeby się zabić? – mruknęła z powątpiewaniem Joanna.

– Mniej więcej.

– A nie przeszło ci przez ten twój zakuty łeb, że jest wręcz przeciwnie? Że wspinają się nie po to, by ginąć, tylko po to, by żyć?

– Nie.

– Właściwie powinnam się tego spodziewać po typowym zwierzęciu kanapowym.

– I kto to mówi?

Chyłka łypnęła na niego spod oka, jakby chciała go ostrzec, by się nie zagalopował.

– Jeśli pasuje do mnie jakiekolwiek zoologiczne porównanie, Zordon, to jedynie to ze zwierzęciem nocy. I nie łącz tego z filmem Forda, bo to był wybitny przerost formy nad treścią.

– Nie miałem zamiaru.

– Noc to moja domena.

– Tak, wiem.

– I na dobrą sprawę naturalny stan rzeczy. W końcu tak naprawdę w całym kosmosie nieustannie panuje ciemność, prawda? – ciągnęła, starając się stwierdzić, na którym z pasów auta poruszają się szybciej. Zjechała na prawy, wciskając się przed jakieś audi w sportbacku. – Dzień występuje tylko, kiedy dana planeta akurat znajdzie się w okolicy rozżarzonej kuli ognia.

– Stanie w korku najwyraźniej zmusza cię do refleksji.

– Nieustannie. W takich sytuacjach zastanawiam się nad samym sensem mojego jestestwa – odbąknęła. – Zajmij więc czymś moje myśli i powiedz, co wyciągnąłeś z Kabelis.

– Mówiłem ci. Ona raczej nie zastanawia się nad jestestwem, tylko od razu zakłada, że może się skończyć po opuszczeniu bazy.

Chyłka jednak zmieniła pas na lewy.

– Annapurna ma największy współczynnik śmiertelności ze wszystkich ośmiotysięczników – kontynuował Oryński. – Z ostatnich statystyk wychodzi ponad trzydzieści ofiar śmiertelnych na sto prób wejścia. W sumie zginęło tam ponad sześćdziesiąt osób i…

– Jeden na trzech wspinaczy ginie, nieźle – ucięła Joanna. – Znaczy, że Kabelis ma jaja, ale to już wiedziałam. Coś jeszcze?

– Ma też problem, zważywszy na sposób, w jaki zginął jej kumpel.

– Czekan w łeb, to też wiem. Kormak wysłał mi esesmana.

– Naprawdę musisz przestać tak mówić – bąknął Kordian. – To określenie wyszło z mody mniej więcej wtedy, kiedy przestałaś odwiedzać Naszą Klasę.

– Nigdy nie miałam tam konta.

– Jasne.

– Korzystałam z Grona. I to tylko przez jakiś czas.

Kilka samochodów przed nimi w końcu zaczęło powoli ruszać, a Chyłka odetchnęła. Za każdym razem, gdy trafiała na korek, bez wahania wybrałaby nawet godzinny objazd pustą drogą, byleby nie tkwić między samochodami.

Tym razem spowolnienie okazało się efektem stłuczki – a właściwie nie jej samej, ale przyrodzonej ludzkiej ciekawości. Uszkodzone samochody wprawdzie stały na poboczu, nie tamowały ruchu, natura jednak kazała innym kierowcom zwolnić, by zaspokoić głód wiedzy.

Joanna również potrzebowała poradzić sobie ze swoim.

– Pytanie pierwsze – rzuciła. – Skąd śledczy wiedzą, w jaki sposób zginął kumpel Kabelis?

Oryński nie miał dla niej odpowiedzi.

– Ciała wciąż nie znaleziono – dodała Chyłka. – A mimo to Kormak wspomniał, że przeprowadzono nawet analizę patomorfologiczną.

– Ano – potwierdził Kordian. – Wynikało z niej, że na czaszce znalazły się ślady świadczące o użyciu głowicy czekana. Ząbki są na niej umieszczane w taki sposób, żeby ostrze jak najłatwiej wbiło się w lód.

– A więc jeden cios powinien wystarczyć. Dlaczego Klara miałaby zadać kilka?

– Może najpierw użyła drugiej końcówki, czekanomłotka – zauważył Oryński, choć wydawało się to bez sensu. Gdyby chciała kogoś zabić, uderzałaby dziobem, który został skonstruowany tak, by sforsować najtwardszą ścianę lodu.

Wszystko to stanowiło jednak sprawę drugorzędną. Najważniejsze było, skąd śledczy w ogóle wiedzieli o obrażeniach, skoro nie odnaleziono ciał.

– Wiadomo coś więcej o tym drugim gościu, z którym szła? – spytała Chyłka.

– Nic.

– Okej… – rzuciła, wymijając samochód przed nimi, który w jej ocenie nie przyspieszał dostatecznie szybko. – W takim razie pytanie drugie: po co Klara w ogóle miałaby zabijać tego faceta? I bez tego wyzionąłby tam ducha.

Żadne z prawników nie miało ani roboczych hipotez, ani tym bardziej odpowiedzi. Chyłka przypuszczała, że aby je poznać i ułożyć w całość, będą musieli przycisnąć nie tylko Kabelis, ale także inne osoby.

Tymczasem jednak musieli zająć się tym, co najważniejsze. Próbowali skierować całą uwagę na rozmowę na każdy inny temat, mimo to kiedy tylko wysiedli z iks piątki na osiedlowym parkingu, od razu pognali do mieszkania i stanęli przed laptopem.

Chyłka obróciła w ręce pendrive'a, niepewna, czy chce się przekonać, co się na nim znajduje. Im mniej wiedziała, tym mniej była podatna na szantaż. Dopóki nie była świadoma, co jest w pamięci urządzenia, porywacz nie mógł jej postawić kolejnego ultimatum.

Z drugiej strony mógł w ten sposób próbować się skontaktować. Szczególnie jeśli za tym wszystkim stała osoba, która wiązała się ze zdarzeniem pod Proximą.

– Działamy, trucizno? – odezwał się Kordian.

– Trucizno?

– Zapożyczyłem od Alice'a Coopera.

Chyłka nie odpowiadała.

– *Poison* – dodał.

– Tak, wiem.

– Wolisz „kochanie"?

Odpowiedziała, podnosząc klapę laptopa. Ledwo urządzenie się uruchomiło, wetknęła pendrive'a do jednego z portów USB i usiadła przed ekranem. Na przenośnym dysku znajdował się tylko jeden plik.

„25.06.1997”, brzmiała nazwa.

Joanna zaklęła w duchu. Jeśli potrzebowała potwierdzenia, że w istocie chodzi o sprawę spod Proximy, właśnie je otrzymała.

A to oznaczało również, że wiadomość, jaka znajdowała się w pliku, była przeznaczona wyłącznie dla niej.

Zanim Oryński zdążył pochylić się nad laptopem, zatrzasnęła klapę.

– Co jest?

Podniosła się raptownie, zabrała komórkę ze stołu i przeszła do kuchni. Otworzyła jedną z szuflad, jakby zamierzała coś z niej wyciągnąć, i szybko wysłała wiadomość pod numer, który wcześniej pod Proximą usunęła z rejestru.

Potem odwróciła się w stronę zdezorientowanego Kordiana.

– Co jest? – powtórzył.

– Pora, żebyś wziął sobie do serca tę sugestię z powrotem na Emilii Plater.

Uśmiechnął się, czekając, aż Chyłka doda coś jeszcze – coś, dzięki czemu będzie mógł uznać, że to tylko przyczynek do tradycyjnej, pieszczotliwej przepychanki. Moment wprawdzie był nieodpowiedni, ale już nie w takich Joanna decydowała się na docinki.

Chyłka jednak milczała, patrząc na niego bez wyrazu. Powoli ruszyła w jego kierunku.

– O czym ty mówisz? – spytał, poważniejąc.

– O tym, że powinieneś wracać do siebie.

Spojrzał najpierw na nią, a potem jeszcze raz na zamknięty komputer. Wiedziała, że za moment usłyszy całą serię pytań, na które będzie mogła odpowiedzieć jedynie kłamstwami i wymówkami. Nie miała zamiaru na to pozwolić.

Zbliżyła się i położyła mu dłonie na policzkach.

– Posłuchaj mnie bardzo, kurwa, uważnie – powiedziała, starając się stworzyć wrażenie, że w całej sprawie chodzi o coś ważkiego, ale jednocześnie nieniosącego żadnego zagrożenia dla niej. Wydawało jej się to kluczowe, by odpuścił. – Albo mi zaufasz i zrobisz, o co proszę, albo możemy skakać sobie do gardeł przez kilka godzin i tak czy owak nie otworzę tego pliku przy tobie.

Oryński nie odpowiadał.

– Wiem, jak to wygląda – dodała.

– Chyba jednak…

– Ale wierz mi, że pewnych rzeczy nie mogę przeskoczyć. I że robię to wszystko, żeby nie pogorszyć sytuacji Darii.

Długo patrzyła mu w oczy, a po chwili poczuła, jak obejmuje ją w pasie. Nie wyglądał na zadowolonego, trudno było się zresztą dziwić. Jeszcze przed momentem był przekonany, że tylko krok dzieli go od odkrycia, co znajduje się na pendrivie.

A teraz okazało się, że Chyłka ma przed nim jakieś tajemnice.

Ufał jej jednak na tyle, by ostatecznie zrobić to, o co prosiła. Oboje zdawali sobie sprawę, że tak się to skończy, choć Joanna potrzebowała jeszcze trochę czasu, by zapewnić go, że nie właduje się w nic, co mogłoby jej zagrażać.

Zupełnie jakby obecna sytuacja była bezpieczna, przeszło jej przez myśl.

Kiedy Oryński w końcu opuścił jej mieszkanie, usiadła przed laptopem. Odczekała moment, patrząc na zamknięte drzwi i wypalając papierosa w zamyśleniu. Zgasiła go w popielniczce i sięgnęła po telefon. Wybrała numer, pod który wcześniej wysłała esemesa.

– Tak? – odezwał się męski głos.

– Wyszedł.

– Mogę być za kwadrans.

– Nie, to za wcześnie. Poczekaj jeszcze trochę.

– Okej.

Nie musieli dodawać nic więcej. Szczerbiński rozłączył się, a ona odłożyła komórkę.

Wbiła wzrok w laptopa, a potem ponownie uniosła klapę. Kliknęła dwa razy pojedynczy plik.

12

KEN Center, Ursynów

Blondyn z ciemnym zarostem przechodził między sklepowymi regałami w E.Leclercu, przyglądając się mijanym ludziom. Żyli swoimi sprawami, skupiali się wyłącznie na tym, by znaleźć najlepszy lub najtańszy produkt, odhaczyć kolejną pozycję na liście zakupów, jak najkrócej stać w kolejce do kas, a potem czym prędzej pojechać do domu.

Kiedy jednak się tam znajdą i włączą radio, telewizję lub wejdą do internetu, cała ich uwaga skupi się na tym, co zajmowało już każdego dziennikarza, komentatora i publicystę.

Blondyn był zadowolony z tego, jak wielki rozgłos towarzyszy sprawie Klary Kabelis. Mówiono o niej wszędzie, przedstawiano jej życiorys, analizowano rzekome zachowanie w górach i tworzono portrety psychologiczne, jakby wszyscy z dnia na dzień zmienili się w profesjonalnych profilerów.

Rozmowom na temat alpinistki nie było końca. Większość komentujących osób była zgodna, że Klara dopuściła się czynu wyjątkowo karygodnego, niegodnego i świadczącego o braku honoru.

Podkreślano, że to już nie te czasy, kiedy obowiązywało braterstwo liny i kiedy jeden wspinacz gotów był oddać życie za drugiego. Słysząc to, Blondyn miał ochotę parsknąć śmiechem. Ci ludzie nie wiedzieli, o czym mówili. I nie mieli absolutnie żadnego pojęcia o tym, co wydarzyło się na Annapurnie.

Stojąc w kolejce przy kasie, Blondyn uciął sobie pogawędkę z klientem, który znajdował się przed nim. Szybko udało mu się skierować rozmowę na interesujące go tory.

Tak jak się spodziewał, nawet przypadkowo spotkany człowiek miał już wyrobione zdanie. Lepiej być nie mogło. Szykował się prawdziwy proces stulecia, a on miał wziąć w nim niemalże bezpośredni udział.

To on będzie sterować każdym posunięciem obrony i pokazywać Chyłce, jakim tropem powinna podążyć. Ale nie tylko. Najważniejsze było to, co planował poza salą sądową.

– Jak chce pan znać moje zdanie, to myślę, że za dużo tej dziewczyny wszędzie – odezwał się stojący obok klient. – Jest na okładkach wszystkich gazet i gdzie pan nie wejdziesz w internecie, ona tam będzie. To już przesada. Czym tu się emocjonować?

– Morderstwem.

Rozmówca machnął ręką.

– Dzieją się na co dzień. Cały czas się o nich słyszy.

– Otóż to – potwierdził Blondyn. – Ale zazwyczaj tylko się słyszy.

Klient odwrócił się i spojrzał na niego pytająco.

– No a teraz co, panie? Jest inaczej?

– Teraz każdy może wniknąć w głąb zdarzeń. Media działają jak szkło powiększające, pozwalają dokładnie przyjrzeć się temu, czego normalnie nie możemy zobaczyć.

– Ehe.

– Zazwyczaj takie rzeczy poznajemy tylko przez krótkie komunikaty policji, a tym razem… jesteśmy tego częścią.

Rozmówca podrapał się po głowie.

– Może coś w tym jest.

– Każdy z nas jest po prostu z natury ciekawy – kontynuował Blondyn. – Wiemy, że ta dziewczyna zostawiła

lub zabiła swoich towarzyszy, a potem próbowała uciec do sąsiedniego kraju. Nie wiemy, co nią kierowało. Nie rozumiemy, dlaczego postąpiła tak, a nie inaczej, mimo że przecież miała wiele możliwości.

– Może…

– Wszyscy pragniemy odpowiedzi – dodał Blondyn.

– I myślisz pan, że je dostaniemy?

– Jestem tego pewien.

Po chwili mężczyzna opuścił sklep i skierował się do wyjścia od ulicy Ciszewskiego. Zerknął na zegarek i choć nie miał wiele czasu, uznał, że przekąsi coś w KFC. Usiadł na moment przy stoliku i wyciągnął telefon, sprawdzając, co dzieje się w sprawie, która była w tej chwili najważniejsza.

Chyłka uruchomiła pendrive'a. Wszystko szło jak należy.

13

ul. Emilii Plater, Śródmieście

Ostatnim razem Kordian tak wysprzątał mieszkanie, kiedy miała go odwiedzić Chyłka i wbrew swoim zwyczajom się zapowiedziała. Właściwie był to jedyny raz, kiedy jego kawalerka naprawdę lśniła – teraz doszło do powtórki z rozrywki, ale powód był całkiem inny. Oryński próbował zająć się czymkolwiek, co nie wiązałoby się z Klarą Kabelis, Joanną ani porwaniem Darii.

Łudził się, że dzięki temu nie tylko odciągnie myśli od tych spraw, ale także zmęczy się na tyle, by w końcu się wyspać. Na jednym i drugim froncie poniósł fiasko i ostatecznie wziął szybki prysznic, narzucił świeżą koszulę i wyszedł do Skylight.

Prawnicy znajdujący się na górze łańcucha pokarmowego dawno opuścili kancelarię, ale kręcili się po niej jeszcze ci, którzy dopiero pięli się po drabinie kariery. Oprócz nich na dwudziestym pierwszym piętrze o tej porze zastać można było tylko jedną osobę.

Kordian wszedł do Jaskini McCarthyńskiej bez pukania, jako że właściwie czuł się tam jak u siebie. Chudzielec podniósł wzrok znad komputera tylko kontrolnie, a Oryński szybko przysunął sobie krzesło i usiadł przed biurkiem.

– Mieliście czekać na raport – burknął Kormak.

– Czekamy.

– Miałem na myśli czekanie gdziekolwiek, tylko nie w moim biurze.

– Tak teraz nazywasz tę kanciapę?

Gospodarz złapał za skraj blatu i przesunął się na krześle w bok. Pomieszczenie rzeczywiście nie było duże, ale znajdowało się w nim właściwie wszystko, czego Kormak potrzebował do szczęścia. W dodatku kiedy zgodził się na powrót do Warszawy, kancelaria pokryła koszty nowego wyposażenia – teraz znajdowały się tu dwa duże, połączone ze sobą monitory, specjalny fotel biurowy na kółkach, wyposażony w podparcie odcinka lędźwiowego, i szezlong, który jakimś cudem Kormak upchnął obok biurka.

– Nie mam dla was jeszcze pełnego zestawu informacji – zastrzegł chudzielec. – A nie zamierzam zgłaszać się za każdym razem, kiedy znajdę jakiś strzępek.

Kordian się nie odzywał, wodząc wzrokiem po szezlongu. Tradycyjnie leżała na nim jakaś książka, ale była odwrócona tyłem.

– Musisz? – mruknął Kormak.

– Co?

– Milczeć. Wiesz, że nie lubię ciszy.

– W takim razie zacznij gadać.

Chudzielec wyjął z bocznej szuflady paczkę białych drażetek kokosowych, otworzył ją i wysypał zawartość do kubka stojącego przy monitorze. Podsunął go Kordianowi, a ten popatrzył na słodycze ze zdziwieniem.

– Zamiast gandalfa białego – oznajmił Kormak, a potem zrobił głęboki wdech. – Chcesz, to bierz, nie chcesz, to słuchaj, jak gryzę.

– Wolę posłuchać, jak streszczasz mi wszystko, co ustaliłeś.

– Poza dziurą we łbie od czekana?

– Tak, poza nią.

Chłopak wrzucił kilka drażetek do ust i skinął głową.

– Wedle mojej najlepszej wiedzy Klary rzeczywiście nic nie łączyło z Awitem – oświadczył z pewnością w głosie. – Ona

wprawdzie przygodnym romansem nie gardzi, ale Szlezyngier najwyraźniej wciąż ma dosyć po tym, co zgotowała mu Angelika.

Kordian przyznał w duchu, że trudno się dziwić. Sam na miejscu Szlezyngiera pewnie wolałby pędzić życie w samotności, niż znów komuś zaufać.

– Zajmuje się córką, rozwija firmę, zaangażował się dość mocno w CSR.

– Mhm.

– Społeczną odpowiedzialność biznesu.

– Wiem, czym jest CSR, Kormak. W tej firmie od lat udajemy, że ją rozwijamy.

– No tak – przyznał chudzielec. – Awit w każdym razie niczego nie udaje. Moim zdaniem w tym roku ma dużą szansę na Nagrodę Polskiej Rady Biznesu. Nie dość, że coraz lepiej radzi sobie we własnej branży, to dywersyfikuje profil firmy i angażuje się w takie akcje, jak ta wyprawa na Annapurnę.

– Ile wyłożył?

– Ponad pięćdziesiąt tysięcy na Kabelis.

– A cała wyprawa ile kosztowała?

– Jakieś dwieście tysięcy. Podobno zrobili to po kosztach, ale nie mam jeszcze odpowiedniego rozeznania, żeby stwierdzić, czy to prawda, czy wierutna bzdura.

– Kto wpłacił resztę?

– Sponsorzy pozostałych wspinaczy – odparł Kormak i przesunął myszką po blacie, wpatrując się w jeden z monitorów.

– Prawie cię nie widać zza tego przepierzenia – ocenił Oryński.

Chudzielec przez chwilę nie odpowiadał, skupiając się na komputerze.

– I gdzie jak gdzie, ale tutaj zjawiska parawaningu się nie spodziewałem.

– Zamkniesz się?

– Jak tylko dasz mi coś konkretnego.

Kormak odwrócił jeden z ekranów, a potem wyświetlił wykaz wszystkich wpłat, jakich dokonano na konto wyprawy. Dwóch pozostałych alpinistów urządziło zbiórkę w internecie, wpłacało całkiem sporo osób. Oprócz tego zapewnili sobie datki od kilku niewielkich, mało znanych firm, które chciały, by pokazać baner z ich logotypami na szczycie Annapurny.

Pieniądze. Albo one, albo uczucia były powodem wszystkich zabójstw, z którymi podczas swojej praktyki spotkał się Oryński. W tym wypadku to pierwsze wydawało się mało prawdopodobne. Wpłaty były zbyt rozproszone. Największy pojedynczy zastrzyk gotówki zapewnił im Awit, ale i on był zbyt mały, by skłonić Kabelis do zabicia dwóch osób.

– Jak widzisz, nie ma żadnego tropu.

Kordian jeszcze przez chwilę skupiał się na monitorze.

– Ale byłeś tego świadom, zanim tu wszedłeś.

– Tak?

– Wiesz doskonale, że gdybym coś odkrył, od razu bym do ciebie tarabanił – zauważył Kormak. – Mów, czego chcesz.

– Tak po prostu wpadłem. W końcu to po sąsiedzku.

– Z twojej kawalerki rzeczywiście – przyznał gospodarz, a potem obrócił monitor z powrotem do siebie. – Chyłka w końcu cię wyrzuciła? *Talak, talak, talak* podziałało?

Oryński posłał przyjacielowi niezadowolone spojrzenie, uznając, że może faktycznie powinien od razu przejść do prawdziwego powodu, dla którego się tu zjawił.

– Chciała zostać sama – oznajmił.

– Będzie chlać?

– Nie wydaje mi się – odparł Kordian, a potem zaczął relacjonować wszystko, co tego dnia robili. Chudzielec w końcu i tak dowiedziałby się tego od Chyłki, więc nie było sensu pomijać czegokolwiek.

Może poza samym faktem, że osoba, która zostawiła pendrive'a, porwała siostrzenicę Joanny.

Kiedy Oryński skończył, rozmówca długo mu się przyglądał, jakby starał się ocenić stopień zaawansowania jego choroby psychicznej.

– Zupełnie was pogięło? – spytał. – Wetknęliście do laptopa pena znalezionego pod schodami? Tylko dlatego, że ktoś was tam skierował?

– Ktoś, kto ma związek ze sprawą Kabelis – odparł oględnie Kordian i dopiero teraz uświadomił sobie, że rzeczywiście postąpili mało rozsądnie. Oboje jednak chcieli jak najszybciej poznać odpowiedzi. I Chyłka na tym etapie z pewnością już je miała.

Chwilę zajęło mu zbywanie dociekań Kormaka, a potem próba zmiany tematu.

– Słyszałeś o tej sprawie? – spytał w końcu Oryński.

– Nie. Przecież wtedy tu nie pracowałem.

– Wtedy?

– Wspomniałeś o jakiejś dacie, o dziewięćdziesiątym siódmym – odbąknął Kormak. – Zakładam, że to wtedy broniła tego Zduna.

– Nie możesz tego sprawdzić?

Chudzielec westchnął, a potem obrócił krzesło w kierunku monitora po prawej i przez moment przeszukiwał kancelaryjne archiwum. Mrużył oczy, mamrotał coś niewyraźnie i co chwilę wydawał cichy syk, jakby coś go zabolało.

– I? – ponaglił go Oryński.

– Dziwne.

– Dziwne to jest najwyższe ustawienie na tosterze i w mikrofalówce.

– Hę? – mruknął w zamyśleniu Kormak.

– Nikt ich nigdy nie używa, a mimo to każdy producent montuje je w kolejnych modelach – zauważył Oryński. – Zresztą mniejsza z tym. Co jest w archiwum?

– Nic.

– No – wyrzucił z siebie Kordian i klasnął. – Właśnie po takie bezcenne informacje tutaj przychodzę.

Chudzielcowi wyraźnie nie było do śmiechu. Wpatrywał się w ekran jak w oczy najgorszego wroga, rzucając mu wyzwanie.

– Nie ma śladu po żadnym Zdunie – poinformował. – I w dziewięćdziesiątym siódmym było stanowczo zbyt wcześnie, żeby Chyłka prowadziła tu jakąkolwiek sprawę. Za to później jest dziura w wykazie jej klientów. Zupełnie jakby kogoś usunięto.

– Kogo? I kiedy?

– Nie wiem, to nie jest baza danych, z której po prostu coś skasowano, Zordon.

– Nie?

Kormak spojrzał na niego z powątpiewaniem.

– Tamtą sprawę Chyłka prowadziła, kiedy system nie był jeszcze zdigitalizowany. Zgromadzono wszystkie materiały w teczkach, a potem nigdy nie wprowadzono ich do systemu.

– To skąd wiesz, że jest dziura?

– Bo sygnatury spraw przeskakują o jedną cyfrę. Czegoś po prostu nie wprowadzono.

Kordian przez moment się namyślał i w końcu zrozumiał, że jest to jeden z nielicznych przypadków, kiedy odpowiedzi i informacji powinien szukać nie w Jaskini McCarthyńskiej, ale w gabinecie na końcu korytarza.

Problem polegał na tym, że jedyne, czym Artur Żelazny był gotów się z nim dzielić, to opłatek podczas kancelaryjnej wigilii – i to wyłącznie po to, by zachować pozory dobrej atmosfery w zespole.

– Nie możesz do tego jakoś dotrzeć? – spytał Oryński.

– Mogę. Wystarczy, że włamię się do miejsca, gdzie trzymamy akta wszystkich spraw. W tradycyjnej, papierowej, zakurzonej formie.

– Czyli gdzie?

Kormak łypnął na niego znad niewielkich lenonek.

– A wyglądam ci na kogoś, kto mógłby to wiedzieć?

– Wiesz o wszystkim, co się tu dzieje, Kormaczysko. Znasz nawet harmonogram pracy w Costa Coffee na dole.

– Tylko dlatego, że darzę sympatią jedną z baristek.

– Anka o tym wie?

Przyjaciel pogroził mu palcem, a potem przyglądał się Kordianowi na tyle długo, by obaj poczuli się nieswojo. Mimo to jeszcze przez moment żaden z nich się nie odzywał.

– Jak sobie radzicie? – zapytał w końcu chudzielec.

– Jak każda inna podobna para.

– Nie jesteście jak każda inna para.

– Może i nie – przyznał Oryński. – Chyłka twierdzi nawet, że kiedyś ktoś popełni na nasz temat rozprawę doktorską. Ma już nawet dla niej tytuł.

– Jaki?

– *Power couple*: synergia potencjałów jako model wybuchowego związku.

– Chwytliwe – odparł cicho nieobecnym głosem Kormak. – W dodatku zakłada dłuższą perspektywę. Raz, że wytrzymacie ze sobą ileś lat, a dwa, że…

Urwał, licząc na to, że przyjaciel dokończy, a Oryński dopiero teraz zrozumiał, do czego zmierza ta niezbyt wygodna

dla obydwu rozmowa. Oparł się plecami o drzwi i westchnął.

– Że wyniki okażą się dobre – dodał chudzielec.

– Mhm.

– Kiedy mają przyjść?

– Zależy, jakie obłożenie będzie w laboratorium. Może za kilka, może za kilkanaście dni.

Kormak pokiwał głową, wyraźnie nie wiedząc, co powiedzieć. Oryński uznał, że to dobry moment, by opuścić kanciapę. Sam spędzał stanowczo zbyt wiele czasu na rozmyślaniu, jak Chyłka radzi sobie z całą tą niepewnością.

Wiedziała doskonale, że na retrowirusa nie ma żadnego lekarstwa. O ile wywoływany przez niego nowotwór można było leczyć, o tyle samego HTLV nie. Konsekwencje mogły wystąpić za kilka, ale równie dobrze za kilkadziesiąt lat. I ich gama była przerażająca – od chłoniaka aż po zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych.

Kordian odsunął od siebie te myśli i wyszedł na korytarz. Skierował się do gabinetu imiennego partnera, zrobił to jednak właściwie tylko po to, by upewnić się, że Artura o tej porze w kancelarii nie zastanie.

Zresztą nawet gdyby było inaczej, Żelazny niczego by mu nie zdradził. Do akt też nie sposób byłoby się dobrać, bo z pewnością nie bez powodu wszystkie szczegóły na temat tamtej sprawy nie zostały umieszczone w systemie.

Ale skąd ta tajemnica? Nie było powodu, dla którego tak podstawowe dane miałyby być ukrywane przed resztą prawników mających dostęp do bazy.

Po chwilowym zastanowieniu Kordian uznał, że jeśli w firmie jest jakaś osoba, która jednocześnie pracuje tu dostatecznie długo i będzie gotowa udzielić mu informacji, to jest nią Lew Buchelt.

Nie miał zamiaru tracić czasu i wsiadł do daihatsu zaraz po opuszczeniu biurowca. Każda minuta mogła okazać się na wagę złota, bo gdy życie Darii znajdowało się na szali, Chyłka z pewnością nie będzie tracić ani sekundy. I szybko może władować się w sytuację bez wyjścia.

Po drodze do mieszkania dawnego patrona Kordian bezskutecznie próbował się do niego dodzwonić. Zważywszy na porę, właściwie spodziewał się fiaska. Sam powinien zdrzemnąć się choć chwilę, bo deficyt snu powoli zaczynał dawać o sobie znać.

Uznał, że u Borsuka napije się kawy i pozwoli kofeinie zakłamać trochę rzeczywistość.

Starego mecenasa udało mu się obudzić dopiero dzwonkiem do drzwi. Buchelt uchylił je lekko, nie ściągając łańcucha, i przez moment przyglądał się niespodziewanemu gościowi. Bez swych okularów w drucianych oprawkach i przez półmrok na klatce potrzebował chwili, by rozpoznać Kordiana.

– Ach, to ty, kawalerze – mruknął Lew, zdejmując zasuwę. – Czy może już nim nie jesteś?

– Pracuję nad tym.

Buchelt otworzył drzwi i przyjrzał mu się wzrokiem starego wujka, który stara się ocenić, jak bardzo wyrósł długo niewidziany siostrzeniec. Chrząknął kilkakrotnie, aż wydzielina oderwała mu się od płuc.

Wyglądał nie najlepiej. Miał zupełnie bladą cerę, a od kiedy odszedł na emeryturę, przygarbił się jeszcze bardziej i przytył dobrych kilka kilogramów, mimo że już wcześniej miał widoczną nadwagę.

– Proszę, wejdź – rzucił, cofając się.

Kordian skwapliwie skorzystał z propozycji.

– Obudziłem pana? – spytał.

– I tak źle sypiam. Teraz noce wyglądają tak, że kręcę się po domu, tu przysnę, tam przysnę…

Przez moment szukał okularów, a kiedy zlokalizował je na stole, założył i ruszył do kuchni, powłócząc nogami. Obserwując jego przemianę, Kordian doszedł do wniosku, że to nie metryka ma znaczenie w skomplikowanym procesie starzenia się, ale aktywność. Zawodowa, fizyczna, umysłowa – konkretny rodzaj zdawał się bez znaczenia, liczyło się to, że kiedy ustawała, człowiek zamierał.

– Nastawię wody na herbatę – oznajmił Lew.

– Nie chcę zajmować dużo czasu.

Buchelt kaszlnął i machnął ręką.

– Powiedz mi lepiej, co cię sprowadza o tej porze. Coś się wydarzyło?

Kordian wszedł za nim do kuchni i przysiadł na skraju stołu. Najwyraźniej nie tylko słynne szerokie i siermiężne garnitury Buchelta przywodziły na myśl eksponaty rodem z muzeum PRL-u – całe mieszkanie było utrzymane w stylu późnego Gomułki lub wczesnego Gierka.

– Trafiłem na pewną przeszkodę i wydaje mi się, że pan może mi pomóc ją usunąć – podjął Oryński.

– Z chęcią.

– Próbuję dowiedzieć się czegoś o pewnym kliencie, którego broniliśmy, ale nie ma na jego temat żadnej informacji w systemie.

– Postawiono mu zarzuty karne?

– Tak.

– W takim razie nie wiem, czy przyszedłeś do odpowiedniej osoby, kawalerze. Jak wiesz, zajmowałem się sprawami natury gospodarczej.

– Ale był pan jednym z filarów kancelarii. Z pewnością orientował się pan też w innych sprawach.

Buchelt umieścił dwie torebki zwykłego, bezsmakowego liptona w przezroczystych kubkach, a potem obrócił się do Kordiana. Przytrzymywał się blatu, jakby nogi miały się pod nim ugiąć.

– O tyle, o ile – oświadczył. – Jak się nazywał ten klient?

– Znam tylko nazwisko. Zdun.

Jeśli przed momentem dawny patron wyglądał jak śmiertelnie chory pacjent, teraz przywodził na myśl widmo z zaświatów. Mimo że wydawało się to niemożliwe, jego twarz pobladła jeszcze bardziej, a cienie pod drucianymi okularami się pogłębiły.

Lew wyłączył czajnik.

– Niestety, nie kojarzę.

– Może mógłby pan…

– Najmocniej cię przepraszam, kawalerze, ale nie za dobrze się czuję.

Oryński popatrzył na niego z niedowierzaniem. To nie była zawoalowana próba ucieczki od tematu. Przeciwnie, reakcja stanowiła wynik paniki. Na potwierdzenie tego Kordian zobaczył w oczach starego mecenasa prawdziwy, głęboki strach.

– Przełóżmy tę rozmowę na inną okazję – powiedział gospodarz.

– Ale…

– Przepraszam – powtórzył Lew, a potem podszedł do Kordiana i zanim ten zdążył zaprotestować, został poprowadzony w kierunku wyjścia.

Kiedy wyszli na korytarz, Oryński miał zamiar zapytać, co to wszystko ma znaczyć. Buchelt jednak nie dał mu okazji, szybko zamykając przed nim drzwi.

Kordian trwał w bezruchu na klatce schodowej. Reakcja Lwa potwierdzała, że trafił na trop, którym nie powinien się

interesować.

14

ul. Argentyńska, Saska Kępa

Chyłka uderzyła dłonią o blat, przeklinając się w duchu za lekkomyślność. Chciała sądzić, że gdyby była wyspana, gdyby chorobliwie nie czekała na wyniki badań, gdyby nie zadręczała się myślami o Darii, postąpiłaby inaczej.

Ostatecznie jednak nawet będąc w najlepszej formie, zapewne wpięłaby pendrive'a do laptopa. Ciekawość i tak by zwyciężyła – a w najlepszym wypadku Joanna zawczasu zaangażowałaby Kormaka, by najpierw sprawdził urządzenie.

Teraz jednak było na to za późno.

Chyłka pochylała się nad laptopem, na którego ekranie widniało czerwone tło i krótka informacja, że komputer został zablokowany. Widok ten nie przypominał jej zrzutów ekranu, które pokazywano w mediach przy okazji głośnych ataków ransomware.

Na monitorze nie było żadnych trupich czaszek, symboli radioaktywności czy innych upiększeń. Po prawej znajdowało się kilka informacji po angielsku – o tym, ile gigabajtów danych zostało zablokowanych i ile czasu pozostało do momentu, gdy zostaną usunięte.

Poniżej widniał bitcoinowy adres, na który należało dokonać zapłaty określonej kwoty, by komputer został odblokowany. Jeden z dwóch zegarów odliczał czas do momentu, gdy okup wzrośnie dwukrotnie – drugi zaś oznajmiał, kiedy nastąpi wyczyszczenie dysku.

Chyłka uderzyła w laptopa, jeszcze raz formułując niespecjalnie pochlebne opinie o sobie. Czuła się kompletnie bezradna, a na swoje usprawiedliwienie miała jedynie to, że wedle wszelkiej logiki ktoś, kto zostawił pendrive'a przy Proximie, powinien chcieć się skontaktować, a nie wymuszać okup.

Trzasnęła klapą laptopa, a potem szybkim krokiem podeszła do lodówki. Szarpnęła za drzwiczki, jakby miała zamiar je wyrwać, i powiodła wzrokiem po upchniętych w niej produktach. Szukała tego, co nie miało prawa się tutaj znajdować.

Zanim zdążyła się zastanowić, gdzie jest najbliższy otwarty o tej porze monopolowy, rozległ się dźwięk dzwonka do drzwi.

Szczerbiński zjawił się w pełnym umundurowaniu, najwyraźniej prosto z pracy. Uwagę Chyłki od razu ściągnęły dwie gwiazdki na naramienniku policjanta.

– Podkomisarz, no proszę – powitała go. – W końcu się dochrapałeś.

Oficer oparł się o framugę, jakby chciał zasugerować, że wprawdzie stawił się na wezwanie, ale jeszcze nie przesądził, czy wejdzie do środka.

– Zamknąłem kilku skorumpowanych prawników, za to zawsze dostajemy bonus.

– I kilku niewinnych ludzi też, z tego co słyszałam. Takich jak ten były wykładowca z Koźmińskiego.

– Krystian Strachowski? – spytał podkomisarz. – On był winny jak ocet, bez dwóch zdań.

– Uważaj z cytowaniem, Szczerbaty, bo jak zapomnisz postawić cudzysłów na końcu, to wszystko, co dalej w życiu powiesz, będzie jednym wielkim, niezamkniętym cytatem.

Funkcjonariusz popatrzył na nią niepewnie.

– To tylko taka moja paranoja – dodała. – Ale wolę swoją niż waszą. Ten facet jest niewinny.

– Strach? Chyba żartujesz. Materiał dowodowy jest solidny.

– Tak jak solidna była konstrukcja hali targowej w Katowicach.

Szczerbiński milczał, ale mina wyraźnie mu zrzedła.

– Tej, która się zawaliła.

– Tak, wiem, co masz na myśli, ale…

– Mnie Strachowski wygląda na ofiarę, nie kata. Szczególnie jeśli posłuchasz, co ta jego dziewczyna ma do powiedzenia.

– Więc może powinnaś go bronić?

– Zrobiłabym to, gdybym tylko aktualnie nie miała na głowie całego turbanu gówna.

Cofnęła się o krok i skinęła ręką, by podkomisarz wszedł za nią do środka. Zawahał się, ale ostatecznie skorzystał z zaproszenia.

Joannie przeszło przez myśl, że mogła poprosić go, by po drodze kupił jakąś butelkę. W tej chwili przyjęłaby jakikolwiek alkohol, nawet najkwaśniejsze wytrawne francuskie wino, w którym jest więcej tanin niż procentów.

– Niewiele się tu zmieniło – odezwał się Szczerbiński, rozglądając się.

– Wręcz przeciwnie. Zmieniło się wszystko.

– Poza tym, że kiedy potrzebujesz pomocy, zwracasz się do mnie, a nie do…

– Nie będziemy rozmawiać o Zordonie. Ani o nas.

– Nie? – spytał podkomisarz, obracając się. – Szkoda, bo zostawiliśmy trochę rzeczy niewyjaśnionych.

– Tylko z twojego punktu widzenia – odbąknęła, a potem usiadła przy komputerze. Uniosła pokrywę i ruchem ręki zachęciła Szczerbińskiego, by podszedł.

Kiedy zerknął na ekran, zagwizdał pod nosem.

– Złapałaś ubogą wersję WannaCry? – spytał. – Nieźle.

– Wiesz, co to jest?

Wzruszył ramionami, pochylając się nad laptopem.

– Wygląda na locker jakich wiele. Standardowe dziadostwo – odparł i się wyprostował. – Kogo jak kogo, ale ciebie nie podejrzewałem o instalowanie ransomware'u.

– Każdemu się zdarza.

– Właściwie…

– Jak mam się tego pozbyć?

– Wpłacając odpowiednią ilość bitcoinów. Dostaniesz hasło, a potem…

– Załóżmy, że w moim portfelu finansowym tej waluty brakuje.

– W takim razie pożegnaj się z danymi.

– To oficjalne stanowisko polskiej policji?

– Nie, ale moje z pewnością.

– Musi być jakiś sposób, żeby…

– Nie ma – uciął Szczerbiński. – Cały problem z tym syfem polega na tym, że kiedy czas minie, dane przepadają. Nie tyle są usuwane, co kodowane kluczami używanymi normalnie przez amerykańskie służby specjalne. To mniej więcej tak, jakbyś wzięła kartkę papieru, zamazała kilkaset razy całą jej treść, a potem przepuściła ją przez niszczarkę.

– Cudnie.

– Można skasować dane samodzielnie, zanim odliczanie się skończy, a potem próbować je przywrócić, ale…

– Mniejsza z tym – ucięła Joanna, znów zamykając komputer.

Jeśli się nie myliła i porywacz rzeczywiście chciał otworzyć kanał kontaktu, locker był tylko środkiem do osiągnięcia celu, a nie realnym zagrożeniem. Przypuszczała, że kiedy upłynie

wyznaczony czas, jej dane pozostaną nienaruszone. W tej chwili zresztą nie miało to wielkiego znaczenia.

– Siadaj, Szczerbaty – poleciła, wskazując mu krzesło.

– Nie będę się rozgaszczać, jestem tylko na chwilę.

– W sumie racja.

Jeszcze raz się rozejrzał.

– Oryński o niczym nie wie? – spytał.

– A jak sądzisz?

Przysiadł na stole i spojrzał na nią z góry.

– Wiesz, że jeśli zdradzisz mu cokolwiek na temat Zduna…

– Znam konsekwencje.

– W porządku – odparł podkomisarz tonem, który świadczył, że bynajmniej nie był pewien, czy to prawda. – Czego ode mnie oczekujesz?

– Listy osób, które wiedzą o Zdunie.

Szczerbiński się zaśmiał.

– Jeśli nawet bym taką stworzył, z natury rzeczy byłaby niepełna. Nie znam wszystkich, którzy byli zaangażowani. Mam tylko ogólne informacje – odparł na jednym oddechu oficer i po raz kolejny się rozejrzał.

Dopiero teraz Joanna zrozumiała, dlaczego toczy wzrokiem po mieszkaniu. Czekał, aż zaproponuje mu coś do picia i da do zrozumienia, że mógłby zostać jednak trochę dłużej. Przyjechał tutaj z pewnością nie tylko po to, by pomóc jej w sprawie, ale też by sprawdzić, jak bardzo skorodowały ich relacje. Tak naprawdę nigdy nie pogodził się z rozstaniem i Chyłka była tego świadoma.

– I po co ci jakakolwiek lista? – dodał. – Jeśli ktoś się na ciebie uwziął w związku z tą sprawą, to dobrze wiesz, że jest tylko jeden mocny kandydat.

Joanna nie odpowiedziała, nie mając zamiaru wdawać się w dyskusję na ten temat. Odbyła ją sama ze sobą i było to

zupełnie wystarczające.

– Ojciec chłopaka, którego Zdun zabił pod Proximą – skwitował Szczerbiński.

– To nie on.

– Miałby powód, żeby się na tobie mścić.

– I wiedziałby, że uwaga od razu skupi się na nim. Gdyby chciał mnie zniszczyć, znalazłby lepszy sposób.

– W takim razie…

– Naprawdę potrzebuję tej listy, Szczerbaty. Załatwisz to czy nie?

– Postaram się.

Popatrzyła mu prosto w oczy, starając się stwierdzić, czy rzucił to na odczepnego, czy rzeczywiście zamierza się tym zająć.

– Skoro zakładasz, że nie mszczą się ludzie związani z ofiarą, to zostaje tylko druga grupa. Ci związani ze Zdunem.

– Taka jest moja hipoteza.

– I opierasz ją na…

– Intuicji.

Prychnął pod nosem, jakby kolejna gwiazdka na naramienniku zwiększała jego rezerwę do tak niepoważnych metod śledczych.

– Intuicja to wielki dar, Szczerbaty, a racjonalność to zwykłe narzędzie do korzystania z jego dobrodziejstw.

– Taa…

– Niestety, jak mawiał Einstein, stworzyliśmy społeczeństwo, które ceni nie dary, ale narzędzia.

Oficer położył ręce na blacie i odgiął się lekko.

– Poza tym intuicja działa tylko w przypadku dobrze przygotowanego umysłu – dorzuciła Joanna. – To też z Einsteina, mimo że brzmi, jakby odnosiło się konkretnie do mnie.

Szczerbiński wydawał się nieprzekonany, ale nie miało to żadnego znaczenia. Jedyne, czego od niego potrzebowała, to lista osób zaznajomionych ze sprawą Zduna. Przypuszczała, że jeśli doszło do przecieku, stało się to gdzieś w szeregach policji.

W kancelarii o sednie sprawy wiedziało raptem kilka osób. Dwóch imiennych partnerów i dwóch starszych prawników. Żaden z nich nie miałby powodu, by zdradzać komukolwiek choćby oględne informacje.

– Coś jeszcze? – zapytał podkomisarz.

– Nie.

– Wszystko u ciebie w porządku?

– W jak najlepszym.

– Pomijając stalkera, rzecz jasna – bąknął, nie ruszając się z miejsca, jakby się spodziewał, że Chyłka rzeczywiście ma mu jeszcze sporo do powiedzenia.

Dotychczas przedstawiła mu jedynie to, co absolutnie musiał wiedzieć. Nie zagłębiała się w szczegóły, nawet nie wspomniała o tym, że nękająca ją osoba twierdzi, że jest tą, która oblała ją kwasem.

Szczerbiński wiedział tylko tyle, że ktoś ją nęka. I to w zupełności wystarczało, by podkomisarz zrobił wszystko, o co go poprosi.

Pierwotnie zakładała, że zaangażuje go całkowicie, mówiąc mu o porwaniu. Teraz jednak sytuacja się zmieniła. Po pierwsze pendrive był zablokowany, a po drugie przypomniała sobie to, co sama jakiś czas temu mówiła Magdalenie. Nawet gdyby Szczerbaty próbował zachować informację o porwaniu Darii dla siebie, ostatecznie policyjna natura z pewnością wzięłaby górę, a on nadałby sprawie formalny bieg.

– Tak, poza tym wszystko układa się wyśmienicie – bąknęła. – Jestem szczęśliwa jak nowo wybrany poseł podczas

pierwszego posiedzenia sejmu.

– Rozumiem.

– Lub jak świnia przy korycie, jeśli wolisz. Jedno i to samo.

W końcu się podniósł, a potem otrzepał dłonie z okruchów, które do nich przywarły.

– Więc po co wyrzucałaś stąd swojego faceta i mnie ściągnęłaś?

Prawda była taka, że nie chciała sama otwierać pliku, który znajdował się na pamięci przenośnej. Przy Oryńskim nie mogła tego zrobić – wystarczyło, że zobaczyłby kilka szczegółów, a poukładałby wszystko w logiczną całość. Na dobrą sprawę nie była pewna, czy nie trafi na jakiś trop już po samej dacie, która znajdowała się w nazwie pliku. Być może jednak widział ją zbyt krótko, by zapamiętać.

– No? – ponaglił ją Szczerbiński.

Joanna wskazała laptopa.

– Potrzebowałam pomocy z pendrive'em, a jak wiesz, katalog osób, które mogę zaangażować w tę sprawę, jest mocno ograniczony. Ale jako że teraz mój komputer się zbiesił… – Zawiesiła głos i znacząco zerknęła na drzwi.

– Moja misja została wykonana.

– Raczej stała się bezprzedmiotowa. Podobnie jak twoja obecność.

Szczerbiński przegładził granatową koszulę mundurową i na moment spuścił wzrok.

– Więc tego oczekujesz?

– Mniej więcej.

Zaśmiał się bez nuty wesołości, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że rozmawiali nie tyle o wizycie, ile o jego roli w życiu Chyłki. Nie podjął jednak tematu i po chwili stanął przed drzwiami, gotowy do wyjścia.

– Tak czy owak, zawsze możesz na mnie liczyć.

– Wiem.

– Świetnie. Skorzystaj z tej wiedzy, kiedy przyjdzie pora.

– Wydaje ci się, że przyjdzie?

Posłał jej długie, pełne niepokoju spojrzenie.

– Wchodzisz na cienki lód, Chyłka.

– Żeby na niego wejść, najpierw musiałabym zejść. A ja śmigam po nim bez przerwy.

Potwierdził zdawkowym skinieniem głowy, a potem złapał za klamkę. Zawahał się jednak przed otwarciem drzwi.

– Wiem, że w robocie stykałaś się z różnymi zwyrodnialcami, ale…

– Nie tylko w robocie.

Puścił klamkę, a ona przeklęła się w duchu za to, że wciąż prowadzi tę rozmowę. Ostatnim, czego potrzebowała, było wysłuchiwanie obaw Szczerbińskiego, bez względu na to, że w tym przypadku mogły być całkowicie uzasadnione.

– Posłuchaj…

– Daj spokój – ucięła. – Nic mi nie grozi.

– Wiesz w ogóle, z kim masz do czynienia?

– Tak. Pytanie, czy oni to wiedzą.

Uznała, że najlepiej będzie, jeśli sama otworzy drzwi. Sięgnęła do klamki, ocierając się o Szczerbińskiego, który nie cofnął się ani o milimetr. Przeciwnie, odniosła wrażenie, że niemal niezauważalnie się zbliżył. Popatrzyła na niego i przekonała się, że nie odrywa od niej wzroku.

Szybko wskazała mu korytarz.

– W środowisku Zduna są ludzie groźniejsi niż wszyscy, z którymi do tej pory się ścierałaś – dodał oficer na odchodnym. – Rozumiesz?

Nie miała zamiaru odpowiadać. Policjant w końcu przekroczył próg, a potem schował ręce do kieszeni i odwrócił się do Joanny.

– Langer, Siwowłosy czy Gorzym to w porównaniu z nimi blotki – dodał. – Uważaj na siebie.

Posłała mu krótki, sztuczny uśmiech i w końcu zamknęła drzwi. Miała świadomość wszystkiego, o czym wspominał Szczerbiński – od dłuższego czasu nie dawała jej spokoju. Powodem nie była jednak obawa o siebie, ale o Darię. Nie chciała nawet myśleć o tym, co mogliby jej zrobić porywacze, jeśliby się okazało, że faktycznie mają związek ze Zdunem.

Ale co z tym wszystkim miała wspólnego Klara Kabelis? I dlaczego porywaczom zależało, by Joanna jej broniła?

Chyłka usiadła przed laptopem i przez chwilę patrzyła na zablokowany ekran. Na dobrą sprawę nie wiedziała nawet, jaka jest realna wartość okupu wyrażonego w bitcoinach. Sprawdziła to na smartfonie – i przekonała się, że opłata za odblokowanie komputera właściwie nie jest przesadnie wysoka.

Zastanawiała się tylko przez moment. Ściągnęła na telefon aplikację, która miała służyć za wirtualny portfel, a potem otworzyła jeden z kantorów. Wymiana waluty była banalnie prosta, wymagała rejestracji przez e-mail i wpłaty przelewem.

Po chwili Joanna zasiliła swój wirtualny portfel i uiściła zapłatę na wskazany w lockerze adres. W zamian otrzymała klucz, po wprowadzeniu którego laptop został odblokowany. System sprawiał wrażenie, jakby był czysty, ale przypuszczała, że to jedynie złudzenie.

Stalker zostawił pendrive'a pod schodami w określonym celu. I nie było nim z pewnością wyłudzenie niewielkiej kwoty.

Chyłka czekała, wpatrując się w ekran, ale nic się nie działo. Może się pomyliła? Może faktycznie chodziło tylko o to, by dokonała wpłaty? Ale dlaczego w takim razie była tak niska?

Na przenośnym dysku nie było żadnych odpowiedzi. Plik, który miał dla niej tak bardzo znaczącą nazwę, był pusty.

Uznała, że przynajmniej na razie niczego się nie dowie. Zamknęła laptopa i odsunęła go od siebie, jakby stanowił niebezpieczeństwo. Potem znów przejrzała zawartość lodówki, ale nie znalazła nic, co mogłoby poprawić jej samopoczucie.

W końcu położyła się na kanapie z paczką *beef jerky*. Ugryzła kawałek suszonej wołowiny, kiedy zadzwonił telefon.

Ze zdziwieniem zobaczyła numer Lwa Buchelta.

– Umierasz? – rzuciła, odebrawszy.

– Słucham?

– Pytam, czy jesteś w stanie przedagonalnym.

Stary mecenas najwyraźniej potrzebował chwili do namysłu, bo zwlekał z odpowiedzią.

– To jedyny powód, dla którego mógłbyś do mnie dzwonić o tej porze – dodała. – Wyobrażam sobie, że masz zawał czy udar, sięgasz w ostatnim odruchu po telefon i wybierasz przypadkowy numer. Pech chce, że mój.

Odgryzła kolejny kawałek *beef jerky*, a potem położyła sobie paczkę na brzuchu tak, by spokojnie sięgać po kolejne.

– Sprawa jest poważna – oznajmił w końcu Buchelt.

– Bez przesady. Dziennie umiera ponad sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi na świecie. Jakoś sobie damy radę bez ciebie.

Znów odpowiedziało jej chwilowe milczenie, co absolutnie jej nie dziwiło. Rozmowy z Bucheltem zawsze wymagały pewnej cierpliwości, a pauzy, jakie robił ten prawniczy nestor, przeszły już do historii w Żelaznym & McVayu.

– Był u mnie Kordian – oznajmił w końcu Lew.

Chyłka usiadła na kanapie.

– Po co?

– Pytał o sprawę Zduna.

– I co mu powiedziałeś?

– Rzecz oczywista, że nic. Obawiam się jednakże…

– Że będzie drążył – dopowiedziała Joanna i westchnęła.

– Owszem. I że narazi nie tylko siebie, ale także ciebie i całą kancelarię. I Bóg jeden wie, jak wiele innych osób.

Chyłka rzuciła *beef jerky* na bok i sięgnęła po paczkę papierosów.

– Nie wiedziałem, jak się do tego ustosunkować – ciągnął powoli Buchelt. – I obawiam się, że swoją reakcją jedynie wzmogłem jego ciekawość.

Joanna głęboko się zaciągnęła.

– Rozmówisz się z nim? – spytał Lew z nadzieją w głosie.

– A jak myślisz? – mruknęła. – Załatwię to, nie przejmuj się.

– Jeśli mogę ci jakoś pomóc, nie omieszkaj…

– Nie omieszkam – rzuciła, a potem się rozłączyła.

Zamknęła oczy i osunęła się na kanapie. Wypaliła nerwowo dwa marlboro z rzędu, odpalając jednego od drugiego. Miała wrażenie, że ciemnych chmur zebrało się nad nią stanowczo zbyt dużo, by uniknęła nadchodzącej ulewy. Wciąż miała przed oczami zdjęcie przetrzymywanej w piwnicy Darii. I krótką informację o tym, że albo wybroni Kabelis, albo siostrzenica zginie.

Po chwili telefon zadzwonił po raz drugi. I ponownie był to Buchelt.

– Zapomniałeś się pożegnać? – bąknęła.

Na linii zaległa cisza, a Joanna mimowolnie oczami wyobraźni zobaczyła, jak między wybraniem numeru a nawiązaniem połączenia Lew przysnął. Nie bez powodu ona nazywała go Borsukiem, a wszyscy inni w kancelarii ponurakiem.

– No, dalej – ponagliła go. – Pokaż, że to imię rodzice dali ci nieprzypadkowo.

– Nie przekazałem ci wszystkiego. Nie jestem zresztą pewien, czy powinienem.

– Powinieneś.

Znów cisza.

– I sam zdajesz sobie z tego sprawę – dodała. – Inaczej byś nie dzwonił.

Chwila namysłu tym razem była nieco krótsza.

– Chciałem przestrzec cię przed zbliżaniem się do Zduna.

– Nie ty jeden – odparła pod nosem. – I może o tym nie wiesz, ale nie jestem samobójczynią. Coś jeszcze?

– Owszem.

– Więc proszę, nie trzymaj mnie dłużej w niepewności.

Zaczął powoli mamrotać, a ona sięgnęła po suszone mięso. Przegryzała kawałek za kawałkiem, a Lew relacjonował jej kolejne kroki, które podjął po wizycie Oryńskiego. Zaczął od sprawdzenia, czym aktualnie zajmują się z Chyłką, a skończył na wykorzystaniu kilku przysług w wymiarze sprawiedliwości, które przez długie lata pracy zdążył zgromadzić.

– Nie wszyscy byli radzi, że niepokoję ich o tej porze, ale…

– Do rzeczy. Błagam.

– Byli łaskawi podzielić się ze mną pewnymi informacjami.

– Mianowicie? – odparła Chyłka, imitując jego nieco wyniosłą manierę.

– Wiem, kto będzie sądził w waszej sprawie. Arkadiusz Szwed.

– Nie znam.

– Został wybrany oczywiście losowo przez ten nowy system, który…

– Tak, tak – ucięła Joanna, nie mając zamiaru słuchać o elektronicznym przydziale sędziów od człowieka, który nie potrafił zrobić zakupów na Allegro. – Co to za jeden i dlaczego nie znam go?

– Trafił do Warszawy z jakiegoś odległego rejonu. Młody człowiek, właściwie świeżo po Krajowej Szkole.

Młody, a więc problematyczny, uznała w duchu Chyłka. Z pewnością cierpi jeszcze na chorobę łańcuchową – przypadłość sprowadzającą się do przekonania, że dyndający na szyi orzeł czyni z niego osobę lepszą od reszty społeczeństwa. Wyleczy się z niej dopiero, kiedy w apelacji upadnie kilka jego wyroków.

– Wiem także, dlaczego prokuratura uważa tę sprawę za wygraną.

Chyłka skrzywiła się na myśl o tym i po raz kolejny przed oczami pojawiły jej się słowa, które skierował do niej stalker. „Wybroń ją albo gówniara zginie".

– Dlaczego? – spytała.

– Ponieważ twoja klientka się przyznała.

– Co takiego?

– Jeszcze w Nepalu oświadczyła, że odebrała swoim towarzyszom życie.

– O czym ty mówisz? Tam nie było nawet tłumacza, a ona nie szprecha ani po nepalsku, ani nawet po angielsku.

– W istocie tak jest – przyznał Buchelt. – Ale istnieje też nagranie, na którym Klara Kabelis przyznaje się do zabójstwa.

Tym razem to Joanna zamilkła. W pierwszej chwili chciała zaprotestować, powiedzieć, że to niemożliwe, a potem upewnić się, czy Lew zdobył tę informację z wiarygodnego źródła. Wiedziała jednak, że tak było. Buchelt być może działał powoli, ale można było na nim polegać.

– Niestety to wszystko, czego udało mi się dowiedzieć – dodał.

Chyłka opuściła dłoń, zapominając o tym, by się rozłączyć. Odłożyła komórkę na siedzisko obok, a potem bezradnie pokręciła głową. Nagranie całkowicie przekreśli linię obrony, jaką przyjęła. A to oznaczało, że los Darii jest przypieczętowany.

Joanna pochyliła się, oparła ręce na kolanach i zwiesiła głowę. Miała dosyć, musiała się napić.

Podniosła się z kanapy, ale zanim ruszyła w stronę wyjścia, rozległ się krótki, ostry i metaliczny dźwięk z laptopa. Zamarła, patrząc na zamknięty komputer. Kiedy do niego podeszła i podniosła klapę, na ekranie zastała to, czego się spodziewała. Wiadomość od porywacza.

15

Białołęcki Ośrodek Sportu, Tarchomin

Na mniejszym z dwóch boisk piłkarskich kilkunastu chłopaków ganiało za piłką, ale nikt nie zwracał uwagi na mężczyznę w garniturze, który z dwoma kebabami usiadł na ławce przy murawie. Kordian czekał na Klarę Kabelis, a ta była już kilka minut spóźniona.

Odpakował bułkę, uznając, że nie ma sensu się głodzić. Śniadania nie zjadł, nie miał czasu. Mimo że wątpił, by udało mu się zasnąć, sen w końcu zmorzył go nad ranem. Nie nastawiwszy budzika, Kordian musiał pobić wszelkie rekordy prędkości, by zjawić się w porę na dwudziestym pierwszym piętrze Skylight, a potem zdążyć na spotkanie z klientką.

Ani w nocy, ani rankiem nie udało mu się dowiedzieć niczego w kwestii tajemniczego Zduna. Buchelt nie odbierał telefonu, Żelazny oznajmił lapidarnie, że nic mu na ten temat nie wiadomo, a Kormak mimo najlepszych chęci nie był w stanie dotrzeć do dokumentów dotyczących sprawy.

W akcie desperacji Oryński poprosił go, by skontaktował się z Pauliną Feruś i wybadał grunt. Przypuszczał, że Kormak nadal utrzymuje z młodą prokurator jakieś kontakty, ale chudzielec natychmiast zaprzeczył. Obiecał jednak rozeznać się w temacie także od strony policjantów i oskarżycieli. Wnioski nie napawały optymizmem – wszyscy, od których Kormak próbował coś wyciągnąć, zasłaniali się niewiedzą i natychmiast ucinali temat. Zupełnie jakby panowała zmowa milczenia.

Rozmyślania Oryńskiego przerwał euforyczny okrzyk jednej z drużyn, kiedy padła bramka. Rozejrzał się z nadzieją, że wypatrzy Kabelis, ale po alpinistce nadal nie było śladu. Zdążył zjeść swój kebab, zanim się pojawiła. I nie przyszła sama. Tuż obok niej kroczyła Chyłka.

Prawnicy spojrzeli na siebie, jakby wyrósł przed nimi mur. Przez moment nikt się nie odzywał, a Klara gwizdnęła cicho. Kiedy Oryński skupił na niej uwagę, zobaczył, że przefarbowała włosy na wyjątkowo niecodzienny kolor – a właściwie kolory, bo dostrzegał bez trudu zarówno białe, różowe, jak i fioletowe pasma włosów.

– Pokłóciliście się? – rzuciła Kabelis.

– Nie – odparła Joanna. – Nie kłócimy się, bo Zordon należy do tych, którzy wiedzą, że w związku kobieta ma zawsze rację.

– Powiedz to dwóm żyjącym ze sobą lesbijkom – odparował.

Uniosła brwi z uznaniem, doceniając ripostę. Nie zbliżyła się jednak ani o krok, a przyjazne powitanie najwyraźniej nie wchodziło w grę.

– Co ty tu robisz? – spytał.

– Przyszłam zobaczyć się z klientką – odparła Chyłka, wskazując na stojącą obok dziewczynę. – Zamiast niej zastałam jednak obce stworzenie z tęczą na głowie.

– To opal hair. Nowy trend.

– Nowy był pół roku temu – zauważyła Joanna z przekąsem. – Teraz na topie są inne rzeczy, jak *fishtail brows*.

– Nie słyszałam o tym.

– Bo w ostatnim czasie interesowałaś się tylko tym, gdzie wbić czekan – odparła Chyłka, a z tonu jej głosu Kordian wniósł, że nie ma na myśli pokrytej lodem skały. – Gdybyś siedziała na dupie, nie ominęłyby cię te wszystkie zdjęcia w internecie, na których małolaty robią sobie brwi w kształcie rybek.

Klara skrzywiła się, z pewnością nie tyle z powodu nowych trendów modowych, ile uwagi z czekanem.

– Więc chyba muszę się tym zainteresować – rzuciła.

– I bez tego robisz już z siebie pajaca.

– Po prostu chce dobrze wyglądać. W przeciwieństwie do niektórych, Dżoana.

Oryński spodziewał się, że Chyłka nie zostawi tego bez komentarza, ale zamiast odparować, sięgnęła po kebaba, jakby był przewidziany dla niej. Usiadła obok Zordona, a potem szturchnęła go, by się przesunął. Od razu wgryzła się w bułkę.

– Zimny – oceniła.

– Bo kazałyście na siebie czekać.

– I z mięsem. A ty jesteś wegetarianinem.

– Ile razy mam ci powtarzać, że…

– Zawsze bierzesz jakieś kiełki, glony albo sojowe dziwotwory.

– Nie zawsze. Poza tym po prostu nie lubię mięsa, źle się po nim czuję. Ale od czasu do czasu muszę się upewnić, że nic się nie zmieniło i…

– Jesteś wege i koniec – ucięła. – A my się spóźniłyśmy, bo musiałam rozmówić się z tęczową alpinistką.

– I co ustaliłaś?

Kabelis spojrzała na nich z wyraźnym niezadowoleniem.

– Że z takim fryzem zrobi prawdziwą furorę w mediach – odparła Joanna z pełnymi ustami. – Sygnał pójdzie jasny: zamiast martwić się zarzutami, smucić po stracie towarzyszy, dziewczę robi sobie pasemka. Następnym krokiem będzie występ w *Tańcu z gwiazdami* u boku Popka, a potem szramy na twarzy, tatuaże na gałce ocznej i takie tam.

Kordian otworzył usta, ale się nie odezwał.

– Co jest, Zordon, uraziłam cię? Nie mów mi, że słuchasz Gangu Albanii. Quebonafide przeżyję, Taco Hemingwaya też, ale…

– Właściwie znam go z Firmy.

Joanna milczała.

– Popka – sprecyzował Oryński. – Dobrze nawijał o akcjach fachowych.

Kabelis pokiwała głową, jakby od razu załapała, o co chodzi. Chyłka popatrzyła najpierw na nią, potem na Kordiana, po czym otarła usta i odłożyła kebab na ławkę.

– Dobra – rzuciła. – Mamy większe problemy niż wasze gusta muzyczne.

– To znaczy? – włączyła się w końcu Klara.

– Jest jakieś nagranie, na którym rzekomo dajesz czadu.

– Co?

– Bez obaw, żadne porno z ukrycia. Chodzi tylko o to, że przyznajesz się do zabójstwa. A nawet do dwóch.

– O czym ty mówisz?

– Nepalczycy cię nagrali.

– Ale…

– Nie wiem kiedy, nie wiem jak, ale nagranie istnieje.

– To niemożliwe.

– Powiedziałabym raczej, że niewiarygodne, wziąwszy pod uwagę, że wyglądasz jak rozsądna kobieta. Ale pozory mylą. W końcu żeby kogoś ocenić, wystarczy chwila, ale trzeba całego życia, żeby go zrozumieć.

Kordian podniósł bułkę i ugryzł kawałek, niespecjalnie skupiając się na zwyczajowej połajance, która prędzej czy później czekała wszystkich klientów. Szczególnie tych, którzy popełnili ten błąd i pozwolili sobie odnieść się do Chyłki per „Dżoana”.

– Chociaż obawiam się, że na ciebie życia by mi nie starczyło – ciągnęła Chyłka. – Może więc zaoszczędzisz mi tego cierpienia i wyjaśnisz, co ci padło na mózg?

– Nie przyznałam się nikomu do czegoś, czego nie zrobiłam.

– Nepalczycy spreparowali nagranie?

– Nie wiem.

– A ja tak. Bo o ile mnie pamięć nie myli, procent społeczeństwa, który mówi tam biegle po polsku, wynosi zero.

– To jakaś bzdura.

– Tu się zgodzimy. Gdyby to zależało ode mnie, pół świata mówiłoby po polsku. Szczególnie Niemcy, a zaczęłabym od wyrugowania tych ohydnych nazw, które brzmią, jakby określały obozy koncentracyjne.

Żadne z rozmówców nie podjęło tematu.

– Warschau, Breslau, Danzig – wyrecytowała Joanna. – Co to ma być, do cholery? Czy my zamiast Berlin mówimy Bralin?

– Bralin? – jęknął Oryński.

– Od starosłowiańskiego imienia Bratosław. Poczytaj czasem *Słowiańską onomastykę*, Zordon.

– Pewnie. Sięgnę w wolnym czasie.

Joanna machnęła ręką, a potem wbiła ponaglający wzrok w Kabelis. Ta jednak najwyraźniej rzeczywiście nie miała pojęcia, skąd się mogło wziąć rzekome nagranie.

Chyłka odebrała Kordianowi kebaba i wyciągnęła go w stronę Klary.

– Posil się, może cię natchnie.

Alpinistka nie zwracała na nią uwagi i ewidentnie odpłynęła myślami. W końcu potrząsnęła głową.

– Nie rozmawiałam z żadnymi Nepalczykami – oznajmiła. – Po tym, jak zeszłam z Annapurny, złapałam okazję i pojechałam na granicę z Tybetem.

– Świetny wybór, swoją drogą – skwitowała Joanna. – Spieprzać przez najpilniej strzeżoną granicę w okolicy.

– Nie myślałam logicznie.

Chyłka zgodziła się zdawkowym ruchem głowy.

– Ani wtedy, ani teraz – rzuciła. – I zasadniczo nie spodziewam się, żeby w dającej się przewidzieć przyszłości się to zmieniło.

– Byłam na skraju wytrzymałości.

– Tak?

Na twarzy Kabelis zarysowała się źle skrywana dezaprobata. Oryński znał ten wyraz, widział go u wspinaczy wielokrotnie, gdy ktoś niespecjalnie orientujący się w temacie himalaizmu podawał ich relacje w wątpliwość.

Klara usiadła na ławce i przez moment wodziła wzrokiem za piłką, którą podawali sobie zawodnicy jednej z drużyn.

– Chyba nie zdajecie sobie do końca sprawy z tego, co tam się działo.

– Nie, chyba nie – potwierdziła Joanna. – Może dlatego, że twoje opowieści są wyjątkowo zdawkowe.

– Bo balansowałam na granicy życia i śmierci. Niewiele się potem z tego pamięta.

– Spróbuj odświeżyć sobie pamięć – poradziła Chyłka, obracając się do niej. Położyła rękę na kolanie, przechyliła się na bok i posłała rozmówczyni długie spojrzenie. – Najwyższa pora – dodała.

Kabelis nabrała głęboko tchu, wyraźnie poważniejąc. Do tej pory rzeczywiście trudno było z niej cokolwiek wyciągnąć. Nie chciała wracać do zdarzeń z Annapurny, a Chyłka i Oryński uznali, że muszą dać jej kilka dni, by poukładała wszystko w głowie. Nie ulegało wątpliwości, że dziewczyna rzeczywiście była bliska śmierci i stoczyła desperacką walkę o to, by jej

uniknąć – sięganie po wspomnienia z tamtych chwil musiało być jak podejmowanie tej batalii na nowo.

Ostatecznie jednak zdawała sobie sprawę, że aby mogli ułożyć zborną linię obrony, musi im o wszystkim opowiedzieć.

Kiedy tylko zaczęła, Joanna wyciągnęła telefon i włączyła nagrywanie. Kordian zdawał sobie sprawę, że tego zapisu będą potem odsłuchiwać w nieskończoność, starając się nie pominąć żadnego szczegółu.

Z punktu widzenia Kabelis cała sytuacja była dość klarowna. W pewnym momencie stanęła przed prostym wyborem – albo uratuje siebie, albo zginą wszyscy troje. Trzeciej możliwości nie było.

Wycieńczona, wygłodzona, odwodniona, w stanie postępującej hipotermii i z rozpoczynającym się obrzękiem mózgu, torowała sobie drogę w dół, ku ratunkowi. Zostawiła obydwu swoich towarzyszy z nikłą nadzieją, że sprowadzi pomoc, ale decyzję podjęła, balansując na granicy świadomości.

Obaj żyli, kiedy się z nimi żegnała. I żaden nie miał rany od czekana.

– Warunki były tragiczne – ciągnęła Klara, bezwiednie podążając spojrzeniem za piłką. – Niemal jak w zimie.

Kaszlnęła, jakby nagle poczuła tamten chłód w płucach.

– Wiecie, co powiedział pierwszy zdobywca Mount Everestu na temat przeżycia w górach zimą?

– Nie – odparła dla porządku Chyłka.

– Że absolutnie niemożliwe jest, żeby ktokolwiek przetrwał wtedy powyżej siedmiu tysięcy metrów. Polacy pokazali potem, że to nie tylko wykonalne, ale że można wdrapać się zimą na sam dach świata.

Wielicki i Cichy. Dwie żyjące legendy, które zdobyły Mount Everest w zimie, pomyślał Oryński. Od kiedy z Chyłką podjęli

się obrony, zaczął czytać trochę na temat polskich alpinistów i sam szybko zrozumiał, że stanowili ni mniej, ni więcej, jak prawdziwy fenomen. W początkowym okresie PRL-u ominęły ich największe wyzwania wysokogórskie, więc kilkadziesiąt lat później zaczęli sobie odbijać. Szukali wyzwań, które inni uznawali za nieosiągalne – i ku zaskoczeniu wszystkich okazało się, że potrafią dokonywać prawdziwych cudów.

Końcówka lat siedemdziesiątych i początek osiemdziesiątych były właściwie himalaistycznym obłędem. Po powrocie z kolejnych zwycięskich wypraw na Okęciu witały ich tłumy. Gdyby istniał wówczas internet, Cichy, Wielicki, Berbeka, Hajzer, Kurtyka, Kukuczka i inni biliby rekordy popularności w mediach społecznościowych.

Potem wszystko wyhamowało, przede wszystkim ze względu na czarną passę i śmierć znacznej części wybitnych himalaistów. W mediach mówiono o nich coraz mniej, wyprawy na jakiś czas przestano organizować, a ciekawość Polaków zdawała się budzić dopiero, gdy dochodziło do kolejnej tragedii. Tak jak w przypadku towarzyszy Kabelis.

– Ale wy nie wchodziliście zimą – odezwała się Chyłka.

Klara prychnęła.

– Wiesz, czym różni się wejście na Annapurnę zimą i latem?

Na pytania zadawane protekcjonalnym tonem Joanna zwykła odpowiadać obelgą lub nie ripostować ich wcale. W tym wypadku szczęśliwie wybrała drugą opcję.

– Większość sądzi, że temperaturą, ale to gówno prawda – kontynuowała Kabelis. – Nie ma tak dużej różnicy, przynajmniej w teorii. W praktyce zimą wieją takie wiatry, które z trzydziestu stopni mrozu robią siedemdziesiąt. A wtedy od śmierci dzieli cię już tylko chwila.

Nie przerywali jej, sądząc, że im dłużej będzie prowadzić monolog, tym więcej się dowiedzą. Kordian także odwrócił się

w jej stronę, chcąc pokazać, że dziewczyna może liczyć na ich niepodzielną uwagę.

– Rzecz w tym, że jak masz pecha, trafisz na mocne wiatry w innej porze roku. Tak jak my – ciągnęła Klara. – Pogoda była wyjątkowo parszywa, a porywy tak silne, że zrywały całe płaty śniegu. Koniec końców stwarzały warunki niemal zimowe.

– Więc po cholerę ciągnęliście w górę?

Kabelis popatrzyła na nią jak na największego wroga, a Kordian pomyślał, że jakiejkolwiek odpowiedzi Klara by udzieliła, zapewne minie się z prawdą. Prawdziwych motywacji wspinaczy raczej nie można było oddać słowami.

– Pogoda miała się poprawić, a my nie mieliśmy nieograniczonych środków – odparła Klara. – Musicie zrozumieć, że za wyprawą nie stało żadne finansowanie ze strony państwa. Każdy z nas uciułał od sponsorów kilkadziesiąt tysięcy i… cóż, żeby mieć nadzieję, że ktoś jeszcze kiedyś wyłoży na nas złamany grosz, trzeba wdrapać się na górę i pomachać tym czy innym banerem.

Oryński przypuszczał, że w istocie kwestie finansowe nie miały pierwszorzędnego znaczenia. W tamtym momencie, całkiem niedaleko od celu, cała trójka musiała cierpieć już na gorączkę szczytową. Byli gotowi zdobyć tę górę za wszelką cenę, wyznaczając nową trasę i zapisując się w historii himalaizmu.

Kordian starał się wyobrazić sobie tę sytuację z punktu widzenia dziewczyny. Zamglony umysł, ciało odmawiające posłuszeństwa i odmarzające kończyny. Głód, skrajne wyczerpanie i z pewnością halucynacje.

Wokół tymczasem prawdziwa pogodowa apokalipsa – warunki, w których organizm ludzki się wyłączał. Wiatr, chłód i schodzące z góry lawiny. I brak perspektywy jakiejkolwiek

pomocy. Oryński wzdrygnął się na samą myśl, że ktokolwiek decydował się na to wszystko z własnej woli.

Cała trójka zdawała się podpisać na siebie wyrok, prąc w górę mimo pogarszających się stanu zdrowia i warunków. Towarzysze Klary byli już tak wycieńczeni, że właściwie popełnili samobójstwo, ale z jej relacji jasno wynikało, że z nią nie było dużo lepiej. Za cud należało przyjąć, że w ogóle udało jej się zejść z Annapurny.

Kabelis opowiadała jeszcze przez chwilę, ale jej relacja była pełna dziur. Szybko stało się jasne, że albo momentami konfabuluje, albo miała już tak silne omamy, że sama nie wiedziała, co jest prawdziwe, a co nie.

O tym także Kordian czytał. Normą wśród alpinistów było, że w pewnym momencie zaczynają halucynować. Każdy był na to gotowy i nie dziwił się, kiedy w namiocie nagle pojawiały się banany, wchodzili do niego nieznajomi ludzie z jedzeniem i ciepłymi napojami, a w oddali mimo kilkudziesięciu stopni poniżej zera słychać było szumiący potok.

Mimo niespójności Oryński był przekonany, że ułożą z historii Kabelis dobrą mowę otwierającą, a potem wykorzystają zeznania jej i innych himalaistów w prowadzeniu obrony. Musieli tylko wyprostować kilka spraw, z których jedna wydawała się absolutnie kluczowa.

– Skoro zostawiłaś ich w jamie śnieżnej, kiedy jeszcze żyli, skąd ten ślad po czekanie? – zapytał Kordian.

– Więcej niż ślad, Zordon. Śledczy twierdzą, że gość zmarł od uderzenia tym dziadostwem.

Na dobrą sprawę dopiero teraz Oryński uzmysłowił sobie, że nigdy nie odnosili się do pozostałych członków wyprawy imieniem lub nazwiskiem. Podświadomie dystansowali się od nich, starali się ich odczłowieczyć. Miało to sens, jeśli chciało się rozgrzeszyć Klarę – i przypuszczał, że podczas procesu

będą się starali wywołać podobny efekt w sędziach i ławnikach.

– Kiedy zaczynałam schodzić, obaj jeszcze żyli – zastrzegła Klara.

– Jedyny logiczny wniosek jest więc taki, że jeden odebrał życie drugiemu – odparła Chyłka. – Może miał omamy, a może chciał skrócić jego męki, w każdym razie…

– To niemożliwe – przerwała jej alpinistka.

– Sama mówisz, że tam na górze wszystko jest możliwe.

– Ale nie to.

– Dlaczego nie? – włączył się Oryński.

– Bo obaj byli już w takim stanie, że nie potrafili utrzymać ręki w górze. Co dopiero wbić czekana w… w cokolwiek.

Prawnicy spojrzeli po sobie. Był to jeden z elementów, które należałoby w zeznaniu pominąć. Przeczył bowiem jedynej wersji, która mogła okazać się ratunkiem dla Klary.

– Komu o tym mówiłaś? – spytała Joanna.

Kabelis skrzywiła się.

– Śledczym?

– Tak.

Chyłka zaklęła cicho.

– To problem?

– A jak ci się wydaje? – odburknęła Joanna i wyciągnęła paczkę papierosów. Kordian posłał jej krótkie spojrzenie, a potem znacząco zerknął na biegające po boisku dzieciaki.

Joanna podpaliła sobie i zaciągnęła się głęboko.

– To dość powszechna wiedza – zauważyła Klara. – Każdy biegły potwierdziłby, że na tej wysokości, w takich warunkach, nie zdołaliby użyć tego czekana.

– Co innego biegły, co innego twoje własne zeznania.

Bramkarz jednej z drużyn zauważył palącą na ławce kobietę i szturchnął stojącego obok kolegę, wskazując mu Joannę.

– Poza tym znaleźlibyśmy takiego biegłego, który wykazałby, że hipotetyczna możliwość istniała – dodała.

– Nie znaleźlibyście.

– Nie znasz naszych możliwości.

– A ty realiów – odparła ostro Klara. – Żaden alpinista nie opowiedziałby takich bzdur na sali sądowej, choćbyś obiecywała mu za to kokosy na następną wyprawę.

Kordian odebrał Chyłce papierosa i zgasił go pod ławką.

– Żaden? – zapytał.

– Żaden. Dla wszystkich byłoby oczywiste, że w takim stanie nawet największy cyborg, taki jak Bielecki, nie byłby w stanie choćby unieść czekana, a co dopiero wbić go komuś w głowę.

Prawnicy wymienili się spojrzeniami.

– Coś nie tak? – spytała Kabelis.

Joanna pozwoliła sobie na lekki uśmiech.

– Wręcz przeciwnie – odparła. – Bo skoro oni nie zdołaliby tego zrobić, ty także nie.

16

Buñuel, Saska Kępa

Zostawiwszy iks piątkę i daihatsu na osiedlowym parkingu, Chyłka i Oryński na piechotę skierowali się do hiszpańskiej restauracji nieopodal rozległych ogródków działkowych. Dotarcie do niej z Argentyńskiej zajęło im niewiele ponad kwadrans i żadne z nich nie brało pod uwagę możliwości, by tego wieczoru prowadzić.

Kordian wprawdzie początkowo protestował, ale Chyłka zbyła jego utyskiwania kilkoma zdecydowanymi spojrzeniami. Potem dodała, że uwzględniając wszystko, co się dzieje, trwanie w abstynencji byłoby dla niej grzechem.

W rzeczywistości od dawna tego nie robiła – a Oryński prawdopodobnie miał tego pełną świadomość. Pierwszy raz po ciąży napiła się dzień przed tym, jak zeszli się z Kordianem. Przesadziła, jak każdy alkoholik wracający do nałogu, ale potem stopniowo wyhamowała. Ostatecznie udawało jej się ograniczyć na tyle, że sięgała po mocniejsze trunki równie często, jak za czasów, kiedy nie miała jeszcze problemu alkoholowego. O ile był taki okres.

W Buñuelu gościła pierwszy raz, a lokal znajdował się w niewielkim pawilonie handlowo-usługowym, który jeszcze niedawno przywodził na myśl portal czasoprzestrzenny do Polski Ludowej. Mieściły się w nim podupadająca knajpa, kilka sklepów z odrapanymi szyldami i jeden całodobowy. Teraz sytuacja nieco się zmieniła, ale okolica wieczorami nadal

bardziej kojarzyła się z praskimi mordowniami niż z miejscem, w którym można byłoby spokojnie zjeść.

Na pierwszym piętrze, wewnątrz lokalu, sytuacja jednak była diametralnie inna. Wnętrze, utrzymane w hiszpańskim stylu, wyjątkowo Chyłce odpowiadało. W dodatku trafili na jam session, podczas którego kilkuosobowa grupa improwizowała latynoskie kawałki.

Kiedy kelner zjawił się przy stoliku, Joanna wymierzyła palcem w jedną z pozycji w menu.

– *Escalopines de ternera con salsa española* – wyrecytowała.

– Brzmi dobrze, ale co to jest?

– Małe steki w sosie pomidoro…

– Małe? To odpada. – Przewróciła stronę. – A *carne de toro a la piedra*?

– Mięso z byka podawane na kamieniu. Gorąco polecam, bo…

– Nie trzeba. Biorę.

– Dla jednej czy dla dwóch osób?

– Dla dwóch – rzuciła stanowczo Joanna, po czym przeniosła wzrok na Oryńskiego. – A dla mojego wiernego towarzysza będzie…

– To jakieś czterysta gramów – oznajmił kelner.

Chyłka skinęła głową, jakby pochłonięcie podwójnej porcji mięsa nie było dla niej żadnym wyzwaniem. Dla Oryńskiego wybrała *langostinos gigantes*, bo brzmiało wyjątkowo dobrze – choć w rzeczywistości oznaczało po prostu duże krewetki.

Gwóźdź programu stanowiła butelka katalońskiego wina. Od kiedy Joanna wróciła do picia, starała się sięgać po możliwie jak najlżejsze alkohole. Musujący, wytrawny Bach Extrisimo wydawał się odpowiedni.

Opróżniła kieliszek jednym haustem, a potem otarła usta.

– Gówniana sprawa, Zordon.

Kordian zerknął na butelkę.

– Mówiłem, że lepiej wziąć piwo.

– Mam na myśli Kabelis.

Zajmowali się tym tematem właściwie przez cały dzień, także po tym, jak odprawili Klarę i wrócili do kancelarii. Ułożyli jej relację w sensowną całość, zaczęli formułować linię obrony, sprawdzać potencjalnych biegłych i badać, kiedy mogą liczyć na wyznaczenie terminu pierwszej rozprawy. Kormak w tym czasie dowiadywał się wszystkiego, czego mógł, na temat Arkadiusza Szweda, a kilka innych osób kontaktowało się z nepalskimi władzami i usiłowało poznać ustalenia lokalnych służb. Te okazały się jednak niechętne do współpracy i wszystkie informacje, które udało się zebrać, stanowiły jedynie okruchy wiedzy.

– Czy ja wiem… – odparł Oryński. – Na moje oko teraz nie wygląda to tak źle, jak na początku.

– Twoje oko jest mocno kaprawe.

– Uważaj – poradził jej. – Bo to to samo oko, które widzi w tobie największy cud świata.

Wskazała mu wzrokiem wino.

– Polej swojemu cudowi.

Uśmiechnął się i napełnił kieliszek do jednej trzeciej wysokości.

– Podsumujmy – powiedziała, szybko uporawszy się z alkoholem. – Żaden z tych gości nie był w stanie wbić czekana w łeb drugiemu. Nasza opalhairowa klientka też nie dałaby rady, bo ledwo wyczołgała się spod buta śmierci. Co zostaje?

– Ktoś inny.

– Yeti?

– Względnie ktoś mniej mityczny, a bardziej realny.

– Tyle że nikogo tam nie było. W takich warunkach nikt nie wszedłby na Annapurnę.

Kordian również opróżnił kieliszek, a potem z niedowierzaniem zerknął na niemal pustą butelkę.

– Rusz glabellą, Zordon. Co tam się stało?

– Ktoś wbił czekan *post mortem*?

– Ustalono, że to niemożliwe, bo rana była bezpośrednią przyczyną śmierci.

Rozlał resztkę alkoholu i skinął głową.

– W takim razie jest tylko jedno logiczne wytłumaczenie – rzucił. – Ten, kto odkrył ciało i robił sekcję, kłamie.

– Najwyraźniej.

– A więc nie możemy ufać Nepalczykom.

– Ja i tak nie ufam żadnej nacji – zauważyła Joanna. – Ale masz rację, że gówno leży i śmierdzi po ich stronie. Nie rozumiem tylko dlaczego.

Kordian pokiwał głową w zamyśleniu.

– Klara też coś o tym wspomniała.

– O gównie? Przy długich wyprawach wysokogórskich to chyba temat tabu.

– Nie, o Nepalczykach – odparł, mrużąc oczy. – Kiedy opowiadała mi o całej akcji, podkreślała, że nie mieli z nimi specjalnie dobrych relacji. A po zejściu z Annapurny… cóż, trudno mówić choćby o ich namiastce.

Chyłka mimowolnie potarła bliznę na szyi.

– Jeśli to oni chcą ją udupić…

– To mamy problem – dokończył Kordian. – Bo nijak się do nich nie dostaniemy. Prześlą dokumenty i na tym koniec. Nie ściągniemy ich tu, żeby zeznawali.

– Nie. Raczej nie – odparła w zamyśleniu.

Teoretycznie istniała możliwość, by przesłuchać wszystkich na odległość, ale przy braku kooperacji ze strony Nepalczyków

trudno było przypuszczać, by się na to zgodzili.

– Ale teraz przynajmniej rozumiem, o co chodziło stalkerowi – dodała.

– Hm?

Kordian odstawił pustą butelkę i posłał jej niepewne spojrzenie.

– O czym ty mówisz?

– O nowych instrukcjach.

– Że co?

– Dostałam je od porywacza, Zordon. Łapiesz?

Wiedziała, że powinna powiedzieć mu o tym po wizycie Szczerbińskiego i rozmowie telefonicznej z Bucheltem, ale wmówiła sobie, że po prostu nie było dobrej okazji.

– Kiedy? – spytał. – Jak?

– Powiedzmy, że były na pendrivie.

– Powiedzmy?

– Okazało się, że to ransomware – odparła i odchrząknęła. – Cholerne barachło zablokowało mi komputer, ale poradziłam sobie z tym.

– Jak?

– Zrobiłam przelew w bitcoinach.

– Zwariowałaś?

– W pewnym momencie musiałam, bo inaczej nigdy bym się z tobą nie związała.

Z niedowierzaniem wpatrywał się jej w oczy, czekając, aż wyjaśni mu, co skłoniło ją do wpłacenia okupu. W normalnej sytuacji nawet by tego nie rozważała, ale wydawało jej się, że te okoliczności usprawiedliwiają właściwie wszystko.

Kordian zamówił drugą butelkę wina.

– Zdajesz sobie sprawę, w co mogłaś się władować?

Wykonała ruch ręką w jego i swoją stronę, i pytająco uniosła brwi.

– Nie, nie chodzi mi o nas – sprostował. – Ale o to, że zostawiłaś ślad, który ktoś może wykorzystać przeciwko tobie, wrabiając cię w…

– Nikt mnie w nic nie wrobi, bo bitcoiny mają to do siebie, że zapewniają anonimowość.

Oryński wyglądał, jakby miał zamiar protestować, ale ostatecznie machnął ręką i rozejrzał się za kelnerem.

– Więc przelałaś je temu sukinsynowi, a on odblokował komputer?

– Tak. A jakiś czas później wysłał mi wiadomość.

– Jaką? – spytał z obawą Kordian.

– Że jest tylko jeden sposób, żeby wybronić Kabelis.

Oryński czekał na więcej, najwyraźniej nie mając zamiaru ciągnąć jej za język.

– A mianowicie wycieczka na miejsce zdarzenia.

– Aha.

– Mówię poważnie.

– Świetnie. Kupiłaś już kalesony czy dopiero zbierasz w necie opinie na temat tych, które najlepiej się sprawdzą w minus siedemdziesięciu stopniach?

– Jedyne, jakie mam, zabieram na ustawki – oznajmiła całkiem poważnym tonem. – To sprawdzona metoda, Zordon. Zakładasz je na bejsbola, a kiedy przeciwnik chce ci go wyrwać, zostaje z kalesonem w ręku. Taka jestem teraz ostrożna.

Kordian nie miał zamiaru odpuszczać, ani tym bardziej pozwolić na zmianę tematu.

– Chyba nie do końca, skoro chcesz się wdrapać na najbardziej niebezpieczną górę na świecie – odparł. – Wiesz, jak wygląda choroba wysokościowa?

Ostatnimi czasy naczytał się zbyt wielu relacji i naoglądał zbyt wielu zdjęć, by pozwolić jej choćby zbliżyć się do tego

stanu. Nieprzygotowana, źle zaaklimatyzowana osoba w ten sposób właściwie podpisywała na siebie wyrok śmierci. Wyjątkowo okrutnej.

W dodatku przy tej chorobie nie było zasad, mogła dopaść każdego. Jedni odczuwali pierwsze symptomy na trzech tysiącach metrów, inni na pięciu czy sześciu, niektórzy nie zmagali się z nimi wcale. Zaczynało się niepozornie, od uczucia zmęczenia, potem następowały zawroty głowy, perypetie żołądkowo-jelitowe i bezsenność. Ostatecznie kończyło się obrzękiem mózgu i płuc, co sprawiało, że umierający toczył krwistą pianę z ust.

– Kompletnie zwariowałaś – ocenił.

– Na twoim punkcie?

– To też. I nie zmieniaj tematu.

– Nie zmieniam, rozszerzam go tylko. Na ciebie.

Poruszył się nerwowo na krześle.

– Na mnie?

– Wybierzesz się ze mną, Zordon. To będzie nasza podróż przedślubna.

Pokręcił głową z niedowierzaniem, uznając, że tego wieczoru z pewnością na katalońskim winie się nie skończy. Poczuł przemożną potrzebę, by nawalić się w sztok – i jak najszybciej zapomnieć o tym, co proponowała Chyłka.

Przypatrywał się jej, nie potrafiąc ocenić, czy naprawdę myśli o wyprawie, czy korzysta z okazji, żeby się nad nim pastwić. Z pewnością uznawała tę drugą ewentualność za dobry sposób spędzenia wieczoru.

– Coś nie pasuje? – spytała.

– Po pierwsze nie planujemy ślubu, a po drugie…

– Jeszcze – ucięła. – Ale gdyby kiedyś przyszło ci na myśl, żeby kupić mi pierścionek, pamiętaj o jednej rzeczy.

– Ma być sygnet z grawerem Iron Maiden, wiem.

– Nie… chociaż to też – odparła, wyglądając kelnera z jej *carne de toro*. – Ale jeśli będziesz się oświadczał, pod żadnym pozorem nie klękaj.

– Nie?

– Nie, bo wtedy od pozycji błagalnej lub modlitewnej będzie dzieliło cię tylko jedno kolano. A ja nie wyjdę za kogoś, kto się przede mną płaszczy.

– Zapamiętam.

Pracownik restauracji w końcu zjawił się z ich daniami. Na chwilę urwali rozmowę, biorąc pierwsze kęsy, ale nie odrywali od siebie wzroku.

– Mówisz poważnie, prawda? – spytał w końcu Oryński.

Przełknęła kęs mięsa z rozgrzanego kamienia i przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Widziałeś, co działo się dzisiaj w norzeoborze? – spytała w końcu.

– To, co zawsze – ocenił, przywołując w myśli widok stłoczonych na niewielkiej przestrzeni stażystów i praktykantów. – Kocioł jak na Żylecie przy Łazienkowskiej.

– No tak – przyznała. – Tyle że nasze ultrasy nie słuchały zapiewajło, ale mnie. A ja poleciłam im, żeby wydojenie informacji z Nepalczyków potraktowali jako swoje życiowe powołanie. Jak wiesz, mimo to niewiele ustalili.

– Niewiele? A więc dowiedzieli się czegokolwiek?

Do tej pory Kordian był przekonany, że wszystkich odprawiono z kwitkiem. Zarówno przy bezpośrednich próbach podejścia Nepalczyków, członków polskiego korpusu dyplomatycznego, jak i śledczych zajmujących się sprawą Kabelis w Polsce.

– Nasze brojlery na dobrą sprawę potwierdziły tylko to, co już wiemy – odpowiedziała Chyłka, wbijając widelec w wołowinę. – No, może z wyjątkiem jednej rzeczy.

– Jakiej?

– Okazuje się, że ciała nadal są na górze.

– Na Annapurnie? – wypalił bezmyślnie Oryński.

Joanna potwierdziła ruchem głowy i włożyła kawałek mięsa do ust.

– W takim razie jak ustalono przyczynę śmierci? I skąd w ogóle wiedzą o uderzeniu czekanem?

– Nie trzyma się to kupy, co? – wymamrotała. – Wygląda na to, że ktoś tam nieźle sobie pofolgował.

– Kto? I w jaki sposób?

– Zerknij czasem do rankingów korupcji Transparency International, mój drogi – odparła z uśmiechem. – Będziesz wiedział, gdzie najlepiej spędzać wakacje, o ile wieziesz ze sobą trochę dolarów w funduszu łapówkarskim.

– Niech zgadnę, Nepal nie plasuje się zbyt wysoko?

– Na sto trzydziestej piątej pozycji.

– A ile ich jest?

– Sto siedemdziesiąt pięć. Trafił gdzieś w okolice Ukrainy, a tam wszystko możesz załatwić, o ile nie brzydzą cię lepkie ręce urzędników.

– Więc twierdzisz, że ktoś zapłacił za wydanie ekspertyzy? Za spreparowanie dokumentów sekcyjnych?

– To dość prawdopodobne, Zordon – odparła z przekonaniem. – Podobno żeby zrobić tam prawko, musisz dać w łapę, bo inaczej sprawa będzie się ciągnęła bez końca. I tak samo jest z każdymi innymi czynnościami urzędowymi. A jak złapie cię policjant za przekroczenie prędkości i zaproponujesz mu korzystną ofertę, z pewnością jej nie przyjmie. Ale tylko dlatego, że będzie się targował.

Właściwie Oryńskiego specjalnie to nie dziwiło. Z relacji niektórych alpinistów także wynikało, że w tym kraju panuje ciche przyzwolenie na wręczanie pieniędzy pod stołem. Może

nawet traktowano je nie jako łapówkę, ale zwykłą opłatę motywacyjną.

Byli też tacy, którzy twierdzili, że oferowanie takich korzyści nie jest dobrze widziane i prowadzi wyłącznie do kłopotów, więc Kordian ostatecznie uznał, że prawda leży pośrodku.

– Warunki mają tam wprost wymarzone – ciągnęła. – Nie dość, że społeczeństwo rozbite jest na kasty, to jeszcze rządzą komuniści.

– Komuniści? I ty chcesz tam jechać?

– Może zorganizuję mały przewrót. A jak mi się nie uda, to chociaż się dowiemy, co się stało w tych pieprzonych Himalajach.

Kordian spojrzał na talerz z gigantycznymi krewetkami i nabrał głęboko tchu. Pewność w głosie Chyłki była tak wyraźna, że jakakolwiek dyskusja wydawała się bezcelowa. Powaga, która nagle pojawiła się na jej twarzy, także to potwierdzała.

– Pojadę tam – zadeklarowała Joanna.

– Mhm…

– Wiesz dlaczego? – dodała, ale nie czekała na odpowiedź. – Bo zrobię wszystko, żeby wygrać tę sprawę.

– Wiem.

– Choćbym miała zginąć na tej zasranej górze, rozumiesz?

Rozumiał w pełni. Na szali po raz pierwszy było coś więcej niż tylko zwycięstwo na sali sądowej. Jeden błąd, jedno potknięcie oznaczało, że Magdalena już nigdy więcej nie zobaczy swojej córki.

– Jeśli nie ustalimy na miejscu, co tam się stało, będziemy mieć jedynie zeznania oskarżonej przeciwko słowom nepalskich śledczych – ciągnęła Joanna. – Nie muszę ci chyba mówić, co będzie miało większą wartość?

– Nie musisz.

– Więc z pewnością nie muszę też ci dłużej tłumaczyć, że nie ma innej możliwości niż wyprawa na Annapurnę.

– Tyle że wejście tam to nie przejażdżka bryczką nad Morskie Oko, potrzebna jest przynajmniej…

– Determinacja.

– Ona sama może nie wystarczyć, Chyłka.

Uśmiechnęła się pod nosem, jakby rzucił jej wyjątkowo kuszące wyzwanie.

– Nie musimy drapać się na szczyt – oznajmiła. – Wystarczy nam pułap sześciu tysięcy metrów. Tam znajdują się zwłoki.

Kordian odchrząknął.

– Zdajesz sobie sprawę, że są akurat tam nie bez powodu? – bąknął. – Dla kogoś takiego jak ty czy ja to już prawie strefa śmierci.

– Noręoborę przeżyłeś, to i trekking przetrwasz.

– Chyłka…

– Rocznie setki czy tysiące ludzi tam ciągną – nie dawała za wygraną. – W sieci masz od groma ofert profesjonalnych firm, które podłączają cię do tlenu i niemal wciągają na wierzchołek. Ja znalazłam dobrą opcję za osiemnaście tysięcy dolarów.

– Za osobę?

– Tak – potwierdziła. – Ale jeśli wybierzemy się razem, od łebka biorą tylko dwanaście i pół.

Jeśli wziąć pod uwagę zarobki, na które oboje mogli liczyć po powrocie do kancelarii, rzeczywiście była to kwota w ich zasięgu. Problem polegał na tym, że musiało minąć trochę czasu, nim comiesięczne pensje od Żelaznego i spółki nagromadzą się do takiego pułapu.

– Rozmawiałam już z Awitem – dodała.

Oryński uniósł brwi.

– Z Lemurem też. Twierdzi, że będziemy potrzebowali trochę czasu na aklimatyzację, ale sześć tysięcy metrów jest w naszym zasięgu. On wprawdzie był tylko na ABC, ale…

– Na czym?

– Tak mówią na trekking do Annapurna Base Camp – wyjaśniła Joanna i machnęła ręką. – Ci ludzie z grubsza chodzą jak idioci wokół góry, mokną, odwiedzają nepalskie wioski, wznoszą modły do hinduskich bóstw, potem znowu mokną, jedzą coś w schroniskach, suszą się, bezczeszczą murki modlitewne i tak w koło Macieju. W końcu docierają do przełęczy Thorung La i tam zabawa się kończy.

Brzmiało to niepozornie, ale Kordian przypuszczał, że nawet taki turystyczny trekking wymaga żelaznej kondycji i dobrego przygotowania. Chyłka zaś chciała zrobić znacznie więcej, niż tylko obejść górę.

– Na jakiej wysokości jest ta przełęcz?

– Pięć czterysta. Niewiele mniej niż pułap, na który my się wdrapiemy.

– Niewiele?

– Raptem sześćset metrów, Zordon. Nie dramatyzuj.

– Im wyżej, tym każdy metr się wydłuża – zaoponował. – A powyżej pewnej wysokości to już inny świat. Robisz jeden krok, zatrzymujesz się, bierzesz kilka wdechów, robisz parę wydechów i dopiero stawiasz drugi krok. To nie hasanie po Pieninach.

Chyłka jadła w najlepsze, jakby rozmawiali o ofertach last minute na wakacje, a nie o morderczej wyprawie na górę odbierającą życie jednemu na trzech wspinaczy, którzy się na nią porywają.

– Bez obaw – rzuciła. – Rozmawiałam już z agencją organizującą wyjazd. I z Lemurem. Zna się trochę na rzeczy, choć przypuszczam, że tylko w teorii.

– Najwyraźniej nie na tyle, żeby wybić ci ten chory pomysł z głowy.

– Base camp jest na czterech tysiącach – powiedziała Joanna, odkładając sztućce. – Trekking do niego posłuży nam za aklimatyzację. Organizm przyzwyczai się do wysokości, a…

– Tyle że ty chcesz iść wyżej.

Skinęła głową.

– Obóz pierwszy jest na pięć dwieście. Kolejny na pięć siedemset. My posiedzimy trochę w base campie, potem zrobimy jedno wyjście do obozu pierwszego, prześpimy się tam, wrócimy na jeden dzień na odpoczynek i wyruszymy po zwłoki.

– Nasze.

– Nie, nasze ciała będą rześkie, żywe i zaaklimatyzowane.

Czy było to rzeczywiście tak szalone, jak w pierwszej chwili wydało się to Kordianowi? Skoro ludzie wynajmowali podobne firmy, by wchodzić na Mount Everest, a potem rzeczywiście zdobywali najwyższą górę świata, z pewnością istniała możliwość, by oni z Chyłką dotarli na sześć tysięcy metrów.

Być może faktycznie było to wykonalne. Niepokojące było jednak to, że pomysł nie był inicjatywą Joanny. Owszem, lubiła wyzwania, ale gdyby nie ultimatum stalkera, nigdy by się na coś takiego nie porwała. Zresztą znacznie lepiej sprawdzała się w konfrontacji z drugim człowiekiem, nie z naturą.

– Co konkretnie napisał ci porywacz? – odezwał się Kordian.

Spojrzała na niego z wyrozumiałością, jakby chciała zasugerować, że wybacza mu, iż dopiero teraz o to pyta.

– Że obrona Kabelis wymaga poświęceń.

Nie brzmiało to najlepiej.

– Tylko tyle?

– Nie, tym razem był bardziej wylewny. I nie używał esemesów, tylko komunikatora.

– To znaczy?

– Po tym, jak odblokowałam laptopa, pojawiła się na nim jakaś aplikacja. Prosty program, dzięki któremu porywacz może przysyłać mi wiadomości.

Kordian oczami wyobraźni mógł zobaczyć kolejne pojawiające się linijki z poleceniami dla Joanny.

– Nieistotne. Skurwiel naprawdę jest przekonany, że tylko w ten sposób możemy wygrać sprawę. I bynajmniej nie chodzi mu o odnalezienie zwłok i jakichś śladów w górach, tylko o medialny szum.

– Szum?

– Chce, żebyśmy z tej wyprawy zrobili prawdziwy show. Medialne widowisko, które sprawi, że wszyscy zobaczą, jak ekstremalne warunki panują na Annapurnie.

– I zrozumieją, dlaczego Klara musiała się ratować? – spytał Oryński, a ona skinęła głową. – Więc z jego punktu widzenia najlepiej byłoby, gdybyśmy…

– Padli gdzieś na tej górze trupem, tak. Do tego nagrywani kamerką na dronie.

Na moment zaległa cisza.

– I jeśli naprawdę zależy mu na tym, by Kabelis została uniewinniona, zrobi wszystko, żeby tak się stało – dodała Joanna, a potem wyjrzała przez okno. – Muszę zapalić.

– Ja też.

Zeszli z piętra na dół, a potem opuścili budynek. Na ulicy było pusto, a Kordian dopiero teraz uzmysłowił sobie, że bąbelki w winie najwyraźniej przyspieszyły nie tylko wchłanianie alkoholu, ale także upływ czasu. Było już przed północą, co w środku tygodnia oznaczało tyle, że okolica zdawała się wymarła.

– O dwunastej zamykają – zauważył cicho.

Joanna odpaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko.

– Weźmiemy resztę na wynos.

– I dojemy u ciebie?

– Na dobrą sprawę chyba u nas, bo tak się rozbestwiłeś, że trzymasz w łazience maszynkę do golenia.

– Taa… – odparł w zamyśleniu. – Uzmysłowiłem to sobie tuż po tym, jak mnie wyrzuciłaś i nie miałem się czym ogolić na Emilii Plater.

Oryński także zapalił, a potem odwrócił się do Chyłki.

– Słuchaj… – zaczęła. – Nikt nie mówił, że będziesz miał ze mną łatwo.

Kordian wzruszył ramionami.

– Ale związki kobiety i mężczyzny z zasady nie są łatwe – ciągnęła. – Weź choćby podstawową sprawę, szczytowanie.

– Naprawdę musimy…

– Kobiety pozorują orgazmy, żeby być w związku, a faceci pozorują bycie w związku, by miewać orgazmy. To fundamentalna różnica.

– Rzeczywiście.

– Poza tym każda relacja ostatecznie i tak jest skazana na smutny finał. Albo kończy się rozstaniem, albo śmiercią. Innej możliwości nie ma.

– Bez dwóch zdań.

W końcu ona też się do niego odwróciła.

– Musisz więc być przygotowany na najgorsze.

– Jestem – zapewnił ją, zbliżając się o krok i nie odrywając od niej wzroku.

– Masz tendencje masochistyczne, Zordon.

– Tak myślisz? – spytał, obejmując ją w pasie. – Mnie się wydaje, że po prostu pociąga mnie to wołanie z otchłani, które masz w oczach.

Chyłka uniosła brwi i skrzywiła się, jakby zjadła coś wyjątkowo kwaśnego.

– Oznajmianie dziewczynie, że może wywoływać zapędy samobójcze, nie jest dobrą metodą komplementowania – zauważyła.

– W takim razie mam szczęście, że ty komplementów specjalnie nie…

Urwał, uchwyciwszy kątem oka jakiś ruch obok jednej z latarni.

Instynkt zadziałał natychmiast – Kordian puścił Chyłkę i obrócił się w tamtą stronę, gotowy na najgorszy scenariusz. W ułamku sekundy przygotował się na odparcie ataku i zasłonięcie Joanny swoim ciałem, choć w zasadzie nie było powodu, by sądzić, że cokolwiek im grozi.

– Pohamuj emocje, Zordon.

– Ja tylko…

– Wiem, że parę przecznic dalej jest ambasada Islamskiej Republiki Iranu, ale tutaj naprawdę jesteśmy bezpieczni.

Zamrugał kilkakrotnie, uzmysławiając sobie, że faktycznie nie ma powodu dopatrywać się jakiegokolwiek zagrożenia. Jego przeżycia zrobiły jednak swoje – od pierwszego ataku Gorzyma, przez kolejne podobne sytuacje, aż po to, co działo się w więzieniu.

Zaciągnął się głęboko papierosem, jakby ten był inhalatorem ze sterydami, a on miał atak astmy. Durna, mimowolna reperkusja przeżytych traum.

Spodziewał się, że to nie ostatni raz, kiedy reaguje w ten sposób. Wystarczyła opustoszała ulica, niemrawe światło miejskich latarni i grupka kilku gości, którzy pod jedną z nich również wyszli na dymka.

Chyłka położyła mu dłonie na karku, a potem obróciła jego głowę do siebie. Sam jej wzrok w zupełności wystarczał, by

odzyskał równowagę.

Zabrali resztę jedzenia na wynos, a potem skierowali się ku Argentyńskiej.

– Ochłonąłeś? – spytała Joanna, kiedy ruszyli Francuską w stronę placu Przymierza.

Jeszcze dwie, trzy godziny temu ulica tętniłaby życiem. Oryński miał wrażenie, że w każdym budynku na tym półkilometrowym odcinku mieści się jakaś knajpa. Zazwyczaj w okolicy nie było gdzie zaparkować, a wolne stoliki były albo tam, gdzie wcześniej się je zarezerwowało, albo w restauracjach serwujących street food z całego świata. Teraz jednak było tutaj pusto.

– Trochę – odparł Kordian.

– To spokojna dzielnia.

Spojrzał na nią z powątpiewaniem.

– To tonąca w ciemności Praga – odparował.

– I? Mrok jest dobry, skrywa wszystko, co szkaradne.

– Ale zmienia też percepcję. Jak za dnia minie mnie furgonetka z lodami prowadzona przez klauna, raczej nie poczuję niepokoju. Ale wyobraź sobie, co by było, gdyby teraz przejechała obok.

Chyłka szturchnęła go w bok, jakby chciała zasugerować, że zbliża się do niebezpiecznych tematów, a potem przyspieszyła kroku.

Minęli pomnik Osieckiej, która większość czasu spędzała właśnie w lokalach przy Francuskiej, a chwilę później trafili do innego świata. Wzdłuż ulicy pokrytej starą, nierówną kostką brukową ciągnęły się zaniedbane kilkupiętrowe bloki, obumierające drzewa i zapuszczone garaże. Wszystkie okna na parterze były zabezpieczone kratami.

Oryński odchrząknął nerwowo i obrócił się przez ramię. Wydawało mu się, że w niemrawym świetle starych latarni

ulicznych widzi tę samą grupę, która stała pod pawilonem. Potrząsnął głową, przekonując samego siebie, że znów przesadza.

Kiedy jednak Joanna się odwróciła i zatrzymała, obleciał go prawdziwy strach.

– Co to za banda chuja? – rzuciła.

– Chyłka…

– To ci sami, co palili pod hiszpańskim lokalem?

Głos miała trzeźwy, ale Oryński nie miał złudzeń, że alkohol wzmógł jej konfliktowość.

– Chodźmy – powiedział. – Nie ma sensu…

– Czekaj.

Zanim zdążył zareagować, dostrzegli, że grupa mężczyzn nagle przyspieszyła. Gdyby w tej chwili dwoje prawników się odwróciło i ruszyło szybkim krokiem w stronę Argentyńskiej, być może uniknęliby spotkania.

Kordian zdawał sobie jednak sprawę, że to nie wchodzi w grę. Chyłka nie miała zamiaru odpuszczać.

Kiedy mężczyźni się przed nimi zatrzymali, obrzuciła ich krytycznym spojrzeniem. Nie byli przesadnie umięśnieni, ale wszyscy wyglądali na prawdziwych zakapiorów. W dodatku w ich zachowaniu było coś, co sprawiało, że Kordian poczuł się jeszcze bardziej nieswojo.

Szybko zrozumiał, co to było. Po pierwsze nie czuć było od nich alkoholu. Po drugie zachowywali pełen spokój.

– Co to ma być? – palnęła Chyłka.

Żaden z nich nie odpowiadał. Dwaj skupili wzrok na Joannie, pozostali na Oryńskim.

Nie wyglądało to na przypadkowe spotkanie, w dodatku Chyłka bynajmniej nie sprawiała wrażenia zaskoczonej. Kordian zrobił krok ku nim, jednocześnie odsuwając Joannę.

Popatrzyła na niego, jakby to on czymś zawinił.

– Pytałam o coś – rzuciła.

Nie zdążyła powiedzieć nic więcej. Jeden z mężczyzn natychmiast znalazł się przy niej i zanim Kordian zdążył zareagować, było już za późno.

Napastnik szybko unieruchomił Joannę i zakrył jej usta dłonią. Oryński rzucił się na pomoc, jednocześnie biorąc zamach, ale pozostali agresorzy nie tracili czasu. Sprowadzili go na ziemię bez certolenia się, a Kordian uderzył głową o wysoki krawężnik.

Huk był tak obezwładniający i głośny, że Oryński nie usłyszał, co krzyknął jeden z napastników. Próbował od razu poderwać się na równe nogi, ale poczuł ciężar na plecach. Resztkami świadomości zrozumiał, że on też został unieruchomiony.

Podniósł wzrok, ale obraz rozmazywał mu się tak bardzo, że nie potrafił stwierdzić nawet, gdzie jest Chyłka ani co się z nią dzieje.

Docierały do niego pojedyncze wyrażenia. Przekleństwa, groźby, a potem jedno słowo, które się powtarzało.

Wachlarz.

Nie miało to żadnego sensu, było surrealistyczne, jak wszystko, co się działo.

Kordian ostatkiem sił próbował się wyrwać, ale bez skutku. Padł kolejny cios, a Oryński poczuł szczypanie w oku i mgliście zrozumiał, że krew ze skroni spływa mu po twarzy. Chciał w jakiś sposób zatrzymać czas, zapobiec temu, co miało się wydarzyć, ale czuł coraz większą bezsilność. Sprawiała mu ból większy od uderzenia w skroń.

Zrobił wszystko, by się wyswobodzić, ale mężczyzna, który go unieruchomił, uniósł mu głowę, a potem jeszcze raz uderzył nią o krawężnik.

Ktoś znów wypowiedział to słowo. Wachlarz.

Oryńskiemu wydało się, że w końcu usłyszał jakąś odpowiedź Chyłki. Potem cichy jęk dochodzący z jej ust.

Fala gorąca oblała jego ciało, a on poczuł, że traci świadomość. Ledwo odnotował, że jeden z agresorów ustawia jego rękę tak, by łokieć dotykał ulicy, a nadgarstek wysokiego chodnika.

Kątem oka zauważył, że napastnik podnosi nogę. Usłyszał krzyk Chyłki, a potem poczuł nadchodzący paraliż. Zanim stracił przytomność, zobaczył jeszcze, jak stojący nad nim mężczyzna z impetem opuszcza but na jego przedramię. Coś gruchnęło, biała kość przebiła skórę, a ręka wygięła się nienaturalnie.

Ostatnią myślą Oryńskiego było to, że ktoś musi usłyszeć krzyk Joanny.

Rozdział 2

Portrety

1

ul. Wandy, Saska Kępa

Chyłka upadła na kolana, nawet nie odnotowując bólu, jaki jej to sprawiło. Z niedowierzaniem patrzyła na wystające, pogruchotane kości ręki, przez które ta wyglądała, jakby była zrobiona z tektury.

Otwarte złamanie. Przedramię było w dwóch częściach, trzymało się tylko dzięki ścięgnom.

Poczuła, że robi jej się niedobrze, i musiała zakryć usta, by nie zwymiotować. Pochylona nad Oryńskim, wyciągnęła w jego stronę trzęsącą się rękę, ale zanim go dosięgnęła, ktoś mocno za nią złapał.

Spojrzała na stojącego nad Kordianem mężczyznę, jakby dopiero się tam pojawił.

– Zrozumiałaś wszystko? – zapytał spokojnie napastnik.

Chyłka nie odpowiadała. Nawet gdyby chciała to zrobić, myśli nie potrafiłyby ułożyć się w głowie. Jeszcze raz spróbowała sięgnąć do Kordiana.

Tym razem agresor zareagował bardziej stanowczo. Mocniej zacisnął dłoń, a potem szarpnął nią w górę. Jego towarzysze rozglądali się nerwowo, jakby się obawiali, że ktoś usłyszał krzyk Joanny.

Ona zaś dopiero teraz uświadomiła sobie, że udało jej się go wydać. Była to ostateczna, dramatyczna próba poszukiwania ratunku. Na nic więcej nie było jej stać, musiała biernie patrzeć na to, jak kładą rękę Oryńskiego na krawężniku, a potem ją łamią.

– Zrozumiałaś? – powtórzył mężczyzna.

Jeszcze przed momentem emocje w niej buzowały i robiła wszystko, by przeciwstawić się napastnikom. Teraz odczuwała jedynie paraliż wywołany obawą o Zordona. Nie liczyło się nic innego.

– Tak – odparła.

Gotowa była powiedzieć cokolwiek, byleby jak najszybciej ich zostawili. Wiedziała, że jej nic nie grozi, ale jednocześnie miała świadomość, że sytuacja Kordiana mogła się pogorszyć. Ci ludzie napadli ich, by przekazać wiadomość. I byli gotowi nadać jej jeszcze dobitniejszy wydźwięk.

Mężczyzna ją wypuścił, a ona natychmiast dopadła do Oryńskiego i przyjrzała się ranie na głowie. Kątem oka zauważyła, że cała grupa szybko się oddala. Zignorowała to, ani myśląc o tym, by wzywać policję. Zamiast tego czym prędzej wybrała numer pogotowia.

– Skrzyżowanie Wandy z Kubańską – rzuciła. – Potrzebna karetka.

Odłożyła telefon na bok, włączając głośnik. Podając kolejne informacje dyspozytorce, przyłożyła Zordonowi dwa palce do

tętnicy szyjnej. Przez chwilę starała się uspokoić drżenie rąk i skupić się na pulsie.

Był wyraźnie wyczuwalny. Krew zdawała się przelewać przez ciało Oryńskiego, jakby puściła jakaś tama. Joanna popatrzyła na strzaskaną rękę i znów zrobiło jej się słabo. W ostatnich latach widziała z pewnością więcej niż niejeden funkcjonariusz wydziału zabójstw, ale nie pamiętała, by na jakikolwiek widok zareagowała w taki sposób.

Nie rozłączając się z pracowniczką pogotowia, nachyliła się jeszcze trochę i z bliska przyjrzała się ranie na skroni. Była głęboka, nie wyglądało to najlepiej.

Wiedziała to już jednak w momencie, kiedy Kordian otrzymał pierwszy cios. Był dobrze wymierzony i wyćwiczony, a Oryński runął jak kłoda. Fakt, że potem praktycznie nie mógł się poruszyć, a oczy natychmiast zaszły mu mgłą, kazał jej sądzić, że jest źle.

Zbyt szybko stracił przytomność, zbyt mocno oberwał. Przeszło jej przez myśl, że mogło dojść do wstrząśnienia mózgu. A wszystko przez nią. Przez jej niefrasobliwość.

– Gdzie ta erka?! – krzyknęła do słuchawki.

Dopiero teraz w jednym z okien nieopodal pojawiło się światło. Ktoś otworzył drzwi pobliskiej klatki schodowej.

– Już do pani jedzie – odparła dyspozytorka.

Chyłka podniosła głowę, odnosząc wrażenie, że kark ma jak z waty. Rozglądała się, nasłuchiwała, ale śladu po karetce nadal nie było.

– Jest tam pani? – upewniła się rozmówczyni.

– Jestem.

– Proszę nie ruszać rannego.

Nie miała takiego zamiaru. Dopóki nie wiedziała, jakie ma obrażenia, a jednocześnie dostrzegała, że oddycha, nie było powodu ryzykować.

Joanna próbowała uspokoić oddech, ale bezskutecznie. Czuła się jak po sprincie, podczas którego wystawiła swój organizm na zbyt wymagającą próbę.

Klęcząc przy nieprzytomnym Oryńskim, chorobliwie wypatrywała erki. Ludzie powoli zaczęli się schodzić, zaniepokojeni i gotowi pomóc, kiedy w oddali w końcu rozległ się sygnał nadjeżdżającej karetki.

– Wszystko w… – zaczęła jakaś kobieta, a potem urwała, widząc pogruchotaną rękę. – O mój drogi Boże…

Chyłka zignorowała zarówno ją, jak i pozostałych mieszkańców. Kontrolowała tylko kątem oka, czy nikt nie wyciąga telefonu, by nakręcić filmik lub zrobić zdjęcie. Gdyby ktoś się zdecydował, przypuszczała, że nie zdołałaby się pohamować w porę i doszłoby do kolejnej tragedii.

Kiedy karetka w końcu przyjechała, natychmiast wyskoczyli z niej dwaj ratownicy. Mimo że spieszyli się, jak mogli, jako jedyni zdawali się nieporuszeni zastanym widokiem.

– Z panią wszystko w porządku? – zapytał jeden z nich, kładąc nosze obok Kordiana.

– Tak, zajmijcie się nim.

Nie musiała się powtarzać, od razu przystąpili do tego, do czego zostali przeszkoleni. Sprawdzili drożność dróg oddechowych, funkcje życiowe, a potem ocenili szybko rozmiar i charakter obrażeń.

Raz po raz zerkali niepewnie także na Chyłkę, zapewne dzięki dyspozytorce doskonale orientując się, co się wydarzyło. Joanna nasłuchała się przez lata pracy dostatecznie dużo nagrań rozmów z pracownikami centrum powiadamiania ratunkowego, by wiedzieć, że grunt to zachować spokój oraz przedstawić jak najwięcej informacji. I właśnie tak postąpiła.

Dzięki temu ratownicy nie musieli wypytywać jej o szczegóły i od razu zabrali się do roboty. Rozcięli materiał koszuli

Oryńskiego i ściągnęli mu zegarek, by przy obrzęku pasek nie odciął przepływu krwi i nie doprowadził do martwicy. Sprawnie zatamowali krwawienie, zabezpieczyli ranę, po czym unieruchomili mu rękę. Nie, właściwie nie tyle unieruchomili, ile poskładali ją na tyle, na ile było to możliwe. Potem na noszach popędzili z nim do karetki, a chwilę później w końcu zjawił się radiowóz.

Jeden z policjantów zatrzymał idącą za ratownikami Chyłkę.

– Czy to pani wez…

– Nie mam teraz czasu.

– Moment – zaoponował funkcjonariusz, zachodząc jej drogę.

Ominęła go, kierując się do karetki. Obaj ratownicy posłali jej ostrzegawcze spojrzenia, a jeden z nich stanął tak, by nie mogła wejść do środka.

– Jadę z wami – oznajmiła.

– Obawiam się, że…

– Może pani tutaj na chwilę podejść? – nie dawał za wygraną policjant.

Joanna zaklęła w duchu. Wiedziała, że medycy nie pozwolą jej jechać z Zordonem do szpitala, a funkcjonariusze nie odpuszczą, dopóki nie złoży wyjaśnień. Odwróciła się do mundurowego i zgromiła go wzrokiem.

– Mówiłam: nie mam teraz czasu.

– Chcielibyśmy tylko…

– Nie interesuje mnie, czego byście chcieli. Zajmijcie się swoją robotą, zbierzcie informacje od mieszkańców, zabezpieczcie miejsce zdarzenia, a potem…

– Właśnie mamy zamiar to zrobić – przerwał jej policjant. – Ale to pani jest jedynym świadkiem.

Chyłka powiodła wzrokiem po zebranych, podczas gdy ratownik zatrzasnął drzwi samochodu. Erka odjeżdżała bez

sygnału, co Joanna potraktowała jako dobry prognostyk. Kordian był w stanie niezagrażającym życiu, wyliże się z tego.

Powtórzyła to w duchu kilkakrotnie, ale kiedy tylko przypomniała sobie widok strzaskanej ręki, nie mogła opędzić się od myśli, że to wszystko nie może się dobrze skończyć.

Popatrzyła na stojącego obok policjanta, jakby był jej najgorszym wrogiem. On zaś w oczach miał jedynie współczucie i sprawiał wrażenie, jakby za wszelką cenę nie chciał pogarszać sytuacji kobiety, która przed momentem padła ofiarą ataku.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że mundurowi nie wiedzą, jak daleko posunęli się napastnicy.

– Proszę wybaczyć, ale…

– Wybaczać mogę tylko ustawodawcy.

– Słucham?

– Artykuł dwieście czterdziesty paragraf pierwszy Kodeksu karnego – oznajmiła. – Obowiązek prawnego zawiadomienia o przestępstwie. Jest też trzysta czwarty…

– Tak, wiem – uciął funkcjonariusz. – Ale…

– Pieprzona znieczulica – syknęła, wodząc wzrokiem po licznych gapiach. – Ilu z tych ludzi widziało, co się dzieje, i po was nie zadzwoniło?

– Cóż…

– Cały problem w tym, że katalog przestępstw, za których niezawiadomienie się karze, jest zbyt wąski. W Norwegii może by to starczyło, bo tam doniosą na Bogu ducha winnego kierowcę, który spieszył się po fajki. U nas obywatelski obowiązek zawiadomienia to za mało. Trzeba przycisnąć ludzi sankcją karną.

Rozmówca nie odpowiedział, a Chyłka odprowadziła wzrokiem karetkę i uznała, że im szybciej załatwi formalności, tym lepiej. Pozwoliła policjantowi poprowadzić się do

radiowozu, zajęła miejsce z tyłu, a potem zaczęła relacjonować wszystko, co się wydarzyło.

– I nie znała pani żadnego z napastników? – spytał funkcjonariusz, kiedy skończyła.

– Nie.

– Nie wie pani, dlaczego mogliby państwa zaatakować?

– Nie wiem.

– I nie widziała ich pani wcześniej w towarzystwie poszkodowanego?

– Nie, nigdy.

Nawet przez myśl jej nie przeszło, by powiedzieć prawdę. Funkcjonariusz zresztą nie naciskał, zachowując najwyższą ostrożność, jakby to nie Oryński padł ofiarą napastników, ale Chyłka. Właściwie ograniczał się do zadawania pytań i nie drążył. Nie miał powodu sądzić, że Joanna kłamie.

Zdążył poruszyć jeszcze kilka kwestii, zanim drzwiczki radiowozu nagle się otworzyły. Do środka zajrzał inny policjant, który na pagonach nosił dwie gwiazdki.

Szczerbiński popatrzył najpierw na Joannę, a potem na niższego stopniem funkcjonariusza.

– Co tu się dzieje? – zapytał.

Policjant odbierający zeznania Chyłki wskazał na swój notes.

– Sporządzam właśnie notatkę służbową, panie komisarzu.

– Pokaż.

Funkcjonariusz był nieco zdziwiony, ale wykonał rozkaz. Szczerbiński szybko przebiegł wzrokiem treść, oddał notatnik rozmówcy, a potem skinął na Joannę.

– Jeszcze nie skończyłem – zauważył policjant.

– Skończyłeś.

Chyłka wysiadła z samochodu, a podkomisarz szybko trzasnął za nią drzwiczkami, wprawiając drugiego

funkcjonariusza w jeszcze większe zdziwienie. Poprowadził Joannę na bok, a potem rozejrzał się nerwowo.

– Co mu powiedziałaś? – spytał cicho, wskazując ręką radiowóz.

– A jak sądzisz?

Ciężko wypuścił powietrze i zaczął rozmasowywać kark. Był kłębkiem nerwów – rozglądał się niepewnie, na jego czole pojawiły się krople potu, w dodatku mechanicznie przygryzał wargę.

– Wiedziałem, że to się tak, kurwa, skończy.

– Jak?

Ścisnął kark tak mocno, że pojawiły się na nim czerwone ślady. Obrócił się do Chyłki i zacisnął usta, przez moment sprawiając wrażenie, jakby miał zamiar ją zrugać. W porę jednak się opamiętał.

– Dobrze wiesz – rzucił. – Zaczęłaś grzebać w sprawie Zduna i masz to, na co…

– Nie musisz zwalać winy na mnie, Szczerbaty. Już dawno sama to zrobiłam.

– Słusznie. Bo ostrzegałem cię przed nimi.

– Nimi? – spytała. – Nawet nie wiemy, kim są ci ludzie.

Prychnął, nadal uważnie się rozglądając, jakby się spodziewał, że napastnicy jeszcze gdzieś tutaj są.

– Przecież to oczywiste.

– Nie – odparła Chyłka. – Jedyne, co jest oczywiste, to fakt, że są związani ze Zdunem. Ale jak sam wiesz, może to oznaczać całkiem sporo.

Znów zacisnął wargi i nie skomentował. Wyglądało na to, że miał całkiem sporo do powiedzenia, ale wolał zachować wszystko dla siebie. Jakby obawiał się, że któryś z mundurowych przypadkowo usłyszy zbyt dużo.

Może tak było. Sprawa Zduna należała do wyjątkowo delikatnych i Joanna nie miała wątpliwości, że za godzinę lub dwie powstanie kolejna notatka, tym razem napisana przez Szczerbińskiego, która trafi prosto na biurko komendanta.

– Co zamierzasz? – zapytał.

– Jechać do szpitala.

– Chodzi mi o…

– Wiem, o co ci chodzi – ucięła. – I mam to gdzieś. W tej chwili liczy się dla mnie tylko to, żeby nie amputowali Zordonowi ręki, rozumiesz?

Nie wyglądał, jakby go to interesowało. Wyraźnie obawiał się tego, co wydarzenia z dzisiejszej nocy mogą za sobą pociągać. Konsekwencje mogły dotknąć nie tylko jego, ale także jego przełożonych, co zachwiałoby całą warszawską strukturą policji.

Zbliżył się do Joanny, patrząc jej głęboko w oczy.

– Mamy spodziewać się problemów z twojej strony? – zapytał.

– Nie.

Nie zabrzmiała przekonująco, ale rzeczywiście nie zamierzała drążyć niczego, co miałoby choć niewielki związek ze Zdunem. Nie potrzebowała w tej chwili komplikacji, które na dobrą sprawę krzyżowały wszystkie plany związane z obroną. Z Darią.

Musiała skupić się także na niej. I zignorować złote myśli pewnego Rosjanina, który powiedział, że goniąc dwa króliczki, nie złapie się ani jednego.

– Zdajesz sobie sprawę, jak tragiczne w skutkach byłoby wyjawienie czegokolwiek?

– Tak.

– Obiecaj mi w takim razie, że…

– Żyjemy w świecie pełnym obietnic składanych przez łgarzy, Szczerbaty – przerwała mu. – Nie potrzeba ich więcej.

Zanim zdążył odpowiedzieć, odwróciła się i ruszyła w stronę Argentyńskiej. Przez adrenalinę czuła się całkowicie trzeźwa, ale nie łudziła się nawet, że może wsiąść za kółko.

Mimo to już moment poźniej pędziła iks piątką ku szpitalowi. Zaparkowała na pierwszym wolnym miejscu, a potem skierowała się do budynku, po drodze odpalając jeszcze papierosa. Zgasiła go pod schodami, zdążywszy sztachnąć się tylko kilka razy.

Nie miała zamiaru bawić się w półśrodki i iść do dyżurki pielęgniarek, ruszyła od razu do ordynatora. Myśl, że wie dokładnie, gdzie się udać i z kim rozmawiać, była dość dojmująca – uzmysławiała jej, że bywała tutaj stanowczo za często.

Lekarza zastała w jego gabinecie, pochylonego nad komputerem. Zanim zdążył zapytać, co sprowadza do niego rozgorączkowaną prawniczkę, Joanna trzasnęła drzwiami i wymierzyła w niego palcem.

– Kordian Oryński – rzuciła. – Co z nim?

Doktor spojrzał na nią z rezerwą, niepewny, czy przypadkiem nie ma do czynienia z jedną z osób obarczających lekarzy winą za całe zło, jakie spotkało ich bliskich.

– Jeśli będę musiała powtarzać pytanie, dzwonię do pana przełożonej.

– Słucham?

– Macie u mnie dług wdzięczności, a ja nie zawaham się go windykować. Jasne?

– Kim pani…

– Joanna Chyłka.

Dopiero teraz w oczach rozmówcy pojawiło się zrozumienie. Jej nazwisko było w szpitalu dobrze znane, bo większość lekarzy wciąż pamiętała, że wycięła nowotwór, na który chorowała ta placówka. Maciej Roske, człowiek na usługach Siwowłosego, wpadł podczas nalotu policji na rezydencję mafiosa kilka lat wcześniej. By pokazać, jak chętnie współpracuje z organami ścigania, Roske przekazał nazwiska wszystkich, którzy pomagali mu w szpitalnych przekrętach, a dzięki temu oczyszczono personel ze wszystkich przerzutów.

– Za moment będę musiała się powtórzyć – oznajmiła. – A pan będzie tego bardzo długo żałował.

– Moment, proszę…

– Powiedział Viserys, zanim wkurzył Khala Drogo – wpadła mu w słowo. – Wie pan, jak to się dla niego skończyło?

Lekarz otworzył usta, ale Chyłka nie miała zamiaru pozwolić mu na odpowiedź.

– Więc słucham – dodała. – Chyba że chce pan, żebym wylała mu na łeb coś znacznie gorszego niż masę stopionego złota.

Doktor odchrząknął i poprawił fartuch. Oznajmił łagodnie, że kojarzy zarówno ją, jak i Oryńskiego, ale zaznaczył, że nie poda jej żadnych szczegółów, które są objęte tajemnicą lekarską. Joanna zbyła to machnięciem ręki.

– Detale mnie nie interesują – oświadczyła. – Chcę wiedzieć ogólnie. Co z nim?

– Trafił na oddział chirurgiczny.

– Tak, domyśliłam się, że nie na położniczy.

– Proszę posłuchać…

– To niech pan mówi szybciej, żebym nie mogła panu przerwać.

Nabrał głęboko tchu, a potem wskazał jej niewielką kanapę pod ścianą. Chyłka ani drgnęła. Stała przed biurkiem

z rękoma skrzyżowanymi na piersi i patrzyła na lekarza z góry.

– Doszło do otwartego złamania – powiedział.

Wzdrygnęła się, przypominając sobie ten widok. Ręka sprawiała wrażenie nie do odratowania, ale im więcej czasu mijało, tym bardziej Chyłka utwierdzała się w przekonaniu, że być może przesadzała, a Zordonowi nie groziła amputacja. Ile razy piłkarze łamali sobie w ten sposób nogi na boiskach na całym świecie? I nie tylko się z tego wylizywali, ale w dodatku dość szybko wracali do gry.

– Pacjent odzyskał przytomność przed rozpoczęciem operacji, więc musieliśmy zastosować narkozę.

Joanna zerknęła w kierunku drzwi.

– Teraz go operują?

– Tak.

– Ile im zejdzie?

– Kilka godzin.

– Złożą mu tę rękę?

Lekarz posłał jej najbadziej uspokajające spojrzenie, jakie miał w repertuarze.

– Tak – powiedział. – Będzie to wymagało trochę pracy i umieszczenia kilku śrub, ale kości się zrosną.

Chyłka odetchnęła.

– Jak długo to będzie trwało?

– Zazwyczaj wyjmujemy je po około roku, ale tak naprawdę zależy to od…

– Miałam na myśli: jak długo będzie musiał zostać w szpitalu?

– Niedługo. Założymy mu na kilka tygodni szyny, a potem…

– Kiedy będę mogła go zobaczyć?

– Po wyprowadzeniu spod narkozy, ale…

– Świetnie. Niech mi pan da znać, jak tylko to się stanie – odparła, a potem sięgnęła do wewnętrznej kieszeni żakietu. Wyjęła kancelaryjną wizytówkę i trzasnęła nią o blat biurka.

Nie czekając na odpowiedź, wyszła na korytarz. Kordian odzyskał przytomność przed operacją. Ręka da się uratować. To było dla niej najważniejsze.

Teraz musiała zająć się tym, by jej siostrzenica wróciła do domu cała i zdrowa. Ruszyła na parking, wychodząc z założenia, że tkwiąc w szpitalu, w żaden sposób się do tego celu nie przybliży.

Wyjazd do Nepalu był właściwym posunięciem, była co do tego przekonana. Nawet gdyby stalker nie postawił jej ultimatum, z pewnością sama rozważałaby taką ewentualność. Być może nie porwałaby się na Annapurnę, ale chciałaby być na miejscu.

Po pierwsze dla celów dowodowych. Tylko tam mogła odkryć, co tak naprawdę się wydarzyło.

Po drugie dla celów wizerunkowych. Chyłka zdawała sobie sprawę, że młody sędzia będzie szczególnie podatny na to, co będzie się działo w mediach. Marketing i dobry PR były w tym przypadku nieocenione, a im większy szum, im dłuższe analizy i im więcej głosów, tym bardziej medialna narracja zacznie się zmieniać.

Początkowo wszyscy byli przeciw Kabelis, podobnie jak w przypadku Bieleckiego w dwa tysiące trzynastym roku. Niechęć bazowała na niewiedzy, ale wraz z jej zanikaniem ludzie zaczynali rozumieć, że alpinista do końca próbował pomóc towarzyszom i postąpił tak, jak powinien.

Joanna przypuszczała, że w przypadku jej klientki będzie podobnie – do niej jednak należało, by jak najbardziej przyspieszyć ten proces. Organizując wyprawę, skupi na sobie uwagę wszystkich dziennikarzy, być może stacje telewizyjne

wyślą razem z nią swoich przedstawicieli. O kazusie Klary Kabelis będzie się mówiło tak często i głośno, że przy odpowiednim rozegraniu tej sprawy proces będzie wygrany jeszcze przed pierwszą rozprawą. Tym razem główne starcie odbędzie się w terenie, nie na sali sądowej.

Chyłka miała do załatwienia jeszcze kilka rzeczy, zanim zrobi pierwszy przelew firmie organizującej wyprawę. Zerknęła na zegarek i przekonała się, że na to jest jeszcze stanowczo za wcześnie. Uznała, że najlepiej będzie pojechać do kancelarii i dopiąć na ostatni guzik wszystkie bieżące kwestie.

Za stacją metra Marymont w ostatniej chwili skręciła jednak w stronę Powązek, a potem przyspieszyła. Nad ranem nie musiała się przejmować tym, że ktokolwiek będzie utrudniał jej dotarcie do centrum.

Nie pomyślała jednak o tym, że spowolnić może ją coś innego. Wystarczyło, że szyld „ŚWIAT ALKOHOLI 24H" mignął jej po prawej stronie, a sprawa była przypieczętowana. Joanna zjechała na niewielkie podwórko i odpychając od siebie wszystkie myśli o tym, że to zły pomysł, skierowała się do monopolowego.

Opuściła go z butelką tequili i schweppesa. Ulubionego drinka wprawdzie nie przyrządzi, tak zwany teqtonic musiał wystarczyć. Wsiadła do auta, ale nie uruchomiła silnika. Włączyła radio, z głośników popłynęły dźwięki pierwszego kawałka z albumu *Brave New World* Iron Maiden. Chwytliwy riff otwierający *The Wicker Man* był nie do pobicia. Kiedy ten singiel wyszedł, zwiastował nie tylko powrót Ironsów po latach z nowym materiałem, ale także nową siłę, jaka wstąpiła w zespół.

Joanna na moment zamknęła oczy, wsłuchując się w głos Dickinsona. Potem potrząsnęła głową i sięgnęła do siatki. Strąciła sombrero z butelki tequili, odkręciła ją i pociągnęła

łyk. Czysta, kilkudziesięcioprocentowa wódka z agawy rozlała się w jej gardle i żołądku, powodując przyjemne, upajające uczucie gorąca. Chyłka popiła tonikiem, a potem położyła rękę na kierownicy.

Zawahała się przed włączeniem silnika. Miała jeszcze trochę czasu, a dwa lub trzy łyki nie powinny zrobić wielkiej różnicy.

Skończyło się na kilkunastu, po których ogarnęła ją nagła błogość. Osunęła się na fotelu kierowcy, powoli zapadając w sen, którego od wielu dni jej brakowało. Walczyła ze sobą tylko przez moment. Potem zupełnie odpłynęła.

Kiedy się zbudziła, był już późny ranek. W pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie się znajduje ani co się stało. Dopiero potem dotarło do niej, że organizm w końcu odmówił jej posłuszeństwa. Odkaszlnęła i otworzyła okna po obu stronach.

Zobaczyła, że ma kilka nieodebranych połączeń, ostatnie sprzed pięciu godzin.

Olgierd Paderborn nie miał powodu, by dzwonić do niej o tak wczesnej porze. Szybko wybrała jego numer, zaniepokojona.

– Co jest? – rzuciła ochryple.

Prokurator nie odpowiadał, a ona spojrzała na wyświetlacz, by sprawdzić, czy połączenie na pewno zostało nawiązane.

– To ja powinienem zapytać o to ciebie – odparł w końcu.

– Tak? To nie ja dzwonię do ciebie w porze, kiedy TVP ma przerwę w nadawaniu, Polsat emituje jakieś programy z magikami, a do *Dzień Dobry TVN* nie robią nawet jeszcze makijażu Wellman.

Paderborn zaniósł się suchym kaszlem, stłumionym przez dłoń, którą musiał zasłonić głośnik.

– Chyba nie zdajesz sobie sprawy z tego, co zrobiliście – odparł po chwili.

Nie musiał wyjaśniać, co ma na myśli. Interesując się Zdunem, potrząsnęła ulem pełnym wściekłych, czekających tylko, by się wydostać, pszczół.

– Pobicie Oryńskiego to dopiero początek – dodał Olgierd. – Jesteś tego świadoma?

Joanna sięgnęła do torebki. Dziś sponsorem śniadania będzie literka „M" jak marlboro.

– Mam wszystko pod kontrolą – zapewniła.

– Policja twierdzi co innego.

Szczerbiński? Nie, on poinformował przełożonego, ale z pewnością nie Paderborna. Chyłka przeklęła w myśli funkcjonariusza, który odbierał od niej zeznania na Saskiej Kępie. Powinna była się spodziewać, że prędzej czy później jego szefowie przekażą wszystko do prokuratury. Z pewnością mieli świadomość, że atak na nią i Zordona szybko zyska rozgłos, i że oskarżyciele rychło połączą to zdarzenie ze sprawą Zduna.

Wówczas czerwone lampki alarmowe zaświeciłyby się nie tylko w prokuratorskich, ale także ministerialnych gabinetach.

– Ile wiesz? – zapytała Chyłka.

– Wystarczająco, żeby zrozumieć, że to nie ty wywołałaś tę całą burzę.

Tego się nie spodziewała.

– Zrobił to Oryński – dodał ciężko Olgierd.

– Co?

– Zakładam, że byłaś wyjątkowo uważna. I dzięki temu nikt nie miał pojęcia, że grzebiesz w sprawie Zduna.

– Mhm.

– Przypuszczam też, że Kordian sam nie wie, w co się władował.

– Nie, nie wie – przyznała.

– Logiczne jest dla mnie, że próbował ustalić coś na własną rękę. I tym samym wyzwolił lawinę, której tak łatwo nie zatrzymamy.

Chyłka uderzyła lekko o zagłówek, w duchu przyznając Paderbornowi rację. Zordon próbował wyciągnąć coś od Buchelta, z pewnością także od innych prawników. W dodatku musiał zaangażować Kormaka, który także mógł nieopatrznie zaalarmować niewłaściwe osoby.

– Kurwa mać… – mruknęła, a potem zerknęła na plastikową siatkę na siedzeniu pasażera.

Nie teraz. Napije się za godzinę, może dwie. Jak tylko załatwi najważniejsze kwestie.

– Gdzie jesteś? – zapytał Olgierd.

– W drodze do kancelarii.

Usłyszała pomruk aprobaty.

– To dobrze, bo muszę się dostać do mieszkania Oryńskiego – oznajmił Paderborn.

– Po co?

– A jak sądzisz?

Nie musiał dodawać nic więcej. By ocenić rozmiary szkód, jakie Kordian wyrządził swoją ciekawością, Paderborn musiał ustalić, jak wiele udało mu się odkryć. Joanna zresztą była tym nie mniej zainteresowana.

– W takim razie wystąp na odpowiednią drogę – poradziła mu.

– Jeśli to zrobię, będą ślady.

– Będzie też nadzór – zauważyła. – Co w przypadku prokuratorskich posunięć zawsze traktuję jako rzecz pożądaną.

Olgierd krótko namyślał się nad odpowiedzią.

– Wejdziemy tam razem. Będziesz patrzyła mi na ręce.

Chyłka znów zerknęła na tequilę. Czuła się lekko wstawiona, ale daleko jej było do upragnionego stanu. Chciała się do niego zbliżyć, a z minuty na minutę osiągnięcie go wydawało jej się coraz ważniejsze. Wiedziała, że jeszcze trochę, a nie będzie liczyło się nic innego.

Skupiła się na tym, co próbował jej przekazać Olgierd. Miał całkowitą rację, to nie ona spowodowała problem, ale Zordon. I najważniejsze było, by jak najszybciej przekonać się, jak wiele udało mu się odkryć.

– Masz klucze do mieszkania? – spytał Paderborn, jakby założył, że ostatecznie Joanna i tak przystanie na jego propozycję.

– Nie – odparła. – Ale zaraz mogę mieć.

– W takim razie widzimy się na miejscu.

– Kiedy?

– Będę za parę minut.

Rozłączył się, nie czekając, aż Chyłka się rozmyśli. Joanna odłożyła telefon na uchwyt przymocowany do kratki powietrza i zerknęła na swoje odbicie w popękanym wyświetlaczu. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że miała też kilka innych nieodebranych połączeń. Wyświetliła listę. Wszystkie pochodziły od dwóch osób – Paderborna i Szczerbińskiego. Pierwszego już załatwiła, a do tego drugiego nie miała zamiaru oddzwaniać.

Włączyła silnik, zamknęła okna i nie myśląc o tym, ile ma promili, ruszyła przed siebie.

Chwilę później zaparkowała w Złotych Tarasach i poszła do kancelarii. Zgodnie ze wszelkimi prawidłami działania wszechświata, Kormak był już na posterunku. I miał zapasowe klucze do mieszkania przy Emilii Plater.

Kiedy stanęła przed wejściem w towarzystwie Paderborna, okazało się jednak, że nie były potrzebne.

Zamek był roztrzaskany, a framuga zniszczona.

Joanna potrzebowała chwili, by dotarło do niej, co się stało. Moment zawahania wystarczył, by Olgierd minął ją i wszedł do mieszkania. Uważał, by niczego nie dotknąć, jakby znalazł się na miejscu przestępstwa.

Chyłka weszła do środka zaraz po nim. Widok, który tam zastała, sprawił, że zrobiło jej się słabo. Wszystkie szuflady leżały na podłodze, obok rozrzucona była cała ich zawartość. Meble były rozbebeszone, stół kuchenny przewrócony, a rzeczy Kordiana walały się pośród śmieci wyrzuconych z kosza pod zlewozmywakiem.

– Nikogo nie ma – powiedział Olgierd.

Joanna natychmiast sięgnęła po telefon.

Oryński nie odpowiadał, ale wmówiła sobie, że to zrozumiałe. Z pewnością jeszcze się nie wybudził.

Dopiero po chwili przypomniała sobie, jak długo spała w iks piątce pod monopolowym.

Zadzwoniła do szpitala, czując, jak serce jej przyspiesza.

Potem niemal się zatrzymało, kiedy pielęgniarka oznajmiła jej, że od godziny nie mogą znaleźć pacjenta, o którego pyta.

2

McDonald's, Bielany

Fast food nie był najlepszym wyborem, ale Kordian nie miał wiele do gadania. To mężczyzna, który zjawił się po niego w szpitalu, zadecydował o wszystkim. I ani przez moment nie przyjmował, by Oryński mógł cokolwiek postanowić sam.

Wyprowadził go na zewnątrz, sprawnie unikając pielęgniarek, a potem pomógł mu wsiąść do samochodu. Kordian czuł się, jakby miał mocnego, doprawionego niepoważną ilością nikotyny kaca.

Zanurzył kawałek nuggetsa w sosie słodko-kwaśnym i wrzucił do ust. Tłuste jedzenie bynajmniej nie pomagało. W dodatku zamiast dodawać sił, zdawało się po prostu osiadać na dnie żołądka jak kamienie rzucone w wodę.

Jedyny plus stanowił fakt, że McNuggets w porównaniu ze szpitalnym jedzeniem były kurewsko pyszne.

Mężczyzna, który go tu przywiózł, wrócił ze swoim zamówieniem i położył tackę po przeciwnej stronie stolika. Potem opadł ciężko na siedzisko przy oknie i wyjrzał na ulicę. Jak zawsze miał na sobie zbyt dużą koszulę, starą marynarkę i głęboki niepokój wypisany na twarzy. Tym razem jednak mógł on się okazać uzasadniony.

Kordian spojrzał na jego frytki z sosem *blue cheese* i panierowane skrzydełka.

– Nie dostanie pan po tym zawału? – spytał.

Lew Buchelt oderwał wzrok od okna i wciągnął powietrze nosem. Dźwięk, który się przy tym rozległ, świadczył, że

przydałoby mu się coś na udrożnienie dróg oddechowych.

– Miażdżyca moich tętnic wieńcowych w tej chwili powinna być twoim najmniejszym zmartwieniem, kawalerze.

– Może by była, gdyby wytłumaczył mi pan, dlaczego daliśmy nogę ze szpitala, jakbym miał zaraz trafić do kostnicy.

Mecenas spojrzał na niego znad dużych okularów.

– Bo w istocie mogłoby się tak stać.

– Może mi pan to wyjaśnić? – spytał Kordian, kładąc usztywnioną szyną rękę na stoliku.

Jak przez mgłę pamiętał, co wydarzyło się w nocy, a jedyne informacje, jakie miał, pochodziły od Buchelta. Lew twierdził, że jego i Chyłkę napadnięto, a on ma otwarte złamanie. W drodze ze szpitala prawnik zdradził mu ponadto jedynie tyle, że musieli natychmiast opuścić to miejsce, bo ludzie, którzy go zaatakowali, mogą w każdej chwili wrócić.

Brzmiało to jak zalążek teorii spiskowej i gdyby z takimi rewelacjami pojawił się w szpitalu ktokolwiek inny, Kordian zastanowiłby się dwa razy, zanim wziąłby to na poważnie. W przypadku Buchelta sam fakt, że mecenas pofatygował się na Bielany, należało jednak uznać za potwierdzenie, że coś jest na rzeczy.

– Ci ludzie by cię tam dopadli – powiedział.

– Jacy ludzie?

Lew zamieszał frytką w pudełku z sosem, a potem odłożył ją do pozostałych.

– Nie wiem, kim konkretnie są – oznajmił. – Jedyne, co jest pewne, to fakt, iż są związani ze sprawą Zduna.

Kordian ściągnął brwi. Kim był ten człowiek? I skąd wokół niego tyle zamieszania?

– Mogę pomyśleć przynajmniej o trzech grupach potencjalnych sprawców – kontynuował powoli mecenas. – Po

pierwsze o tych, którzy chronią Zduna. Po drugie o tych, którzy chcą go znaleźć. Po trzecie o policji.

– O policji?

– Im także zależy na tym, żeby ta sprawa nie wyszła na jaw. Nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak bardzo.

Oryński ugryzł kawałek nuggetsa.

– Wygląda na to, że z niczego nie zdaję sobie sprawy – zauważył. – Może więc powiedziałby mi pan, o co w tym wszystkim chodzi?

– Żałuję, ale nie mogę – odparł dość błyskawicznie, jak na niego. – I bez tego ogromnie się narażam. Ciebie także, więc zakończmy ten temat.

– Ot tak? Ktoś pogruchotał mi rękę, a ja mam to zostawić?

Szczęście w nieszczęściu, że ucierpiała lewa, nie prawa. Mimo że Kordian nie miał okazji porozmawiać z lekarzami, przypuszczał, że rekonwalescencja będzie trochę trwała. Nie bez powodu trafił na oddział chirurgiczny.

– Tak będzie dla ciebie najlepiej – oświadczył Buchelt. – I dla mnie również.

– O pana udziale nikt nie wie.

– Jesteś co do tego absolutnie przekonany, młody człowieku? – odparł z powątpiewaniem Lew. – Nie wiemy wszakże, kogo ci ludzie mają na swoich usługach. Personel medyczny z pewnością należy podejrzewać. I dlatego roztropnie było natychmiast zabrać cię z tego szpitala.

Oryński skinął głową z wdzięcznością.

– Nikt nas nie widział.

– O ile wiemy – poprawił go Buchelt. – Jak jest w rzeczywistości, to się dopiero okaże.

Kordian miał wrażenie, że jeszcze na dobre do tej rzeczywistości nie wrócił. Umysł miał zamroczony po środkach, które mu podano, a w dodatku nadal był w szoku.

Przebudzenie się w szpitalnym łóżku, z unieruchomioną ręką i raną na skroni, przywodziło mu na myśl najgorsze chwile w jego życiu.

Pierwszym, o co zapytał Buchelta, było to, co się stało z Chyłką. Mecenas zapewnił, że nie spotkała jej żadna krzywda, a napastnicy skupili się wyłącznie na nim. Kordian odetchnął, uznając, że Lew jest jedną z niewielu osób, którym można ufać. Nie weryfikował jego ustaleń, ale dopiero teraz pomyślał o tym, że Joanna z pewnością robiła wszystko, by dowiedzieć się, dlaczego jej partner znikł ze szpitala.

– Mogę skorzystać z pana telefonu? – rzucił.

Lew się zawahał, jakby obawiał się, że ktoś w ten sposób może wpaść na ich trop. Ostatecznie jednak podał mu starą nokię, a Oryński spojrzał na nią, jakby zobaczył eksponat muzealny.

Zaczął wybierać numer, ale uświadomił sobie, że nie zna go na pamięć. Znak czasów. Kiedyś był w stanie w środku nocy wyrecytować numery większości znajomych.

Szczęśliwie Buchelt miał Chyłkę zapisaną w kontaktach. Jedyny kłopot polegał na tym, by odebrała połączenie od starego prawnika. Zrobiła to jednak od razu – i powitała rozmówcę w charakterystyczny dla siebie sposób.

– Czego?

Kordian nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć.

– Nie zasypiaj gruszek w popiele, Borsuk – rzuciła. – Klnę się na wszystkie świętości, że jeśli będziesz spowalniał przekazywanie informacji jak Apple poprzednie modele iPhone'a, od razu się rozłączę.

Głośne westchnięcie prosto w słuchawkę zdawało się potwierdzać, że to nie czcze gadanie.

– Nie mam czasu na twoje zwyczajowe pomruki, jasne? – dodała Chyłka.

– A znajdziesz go trochę na ponętne, zmysłowe mruczenie?

– Zordon?

– We własnej…

– Gdzie ty, do kurwy nędzy, jesteś?

– Aktualnie w maku na Wawrzyszewie.

– Co ty tam robisz?

– Delektuję się soczystymi kawałkami kurczaka w chrupiącej panierce – odparł, patrząc na wciąż mokre od oleju nuggetsy. – I żałuję, że nie mają tutaj McCafé, bo chętnie dziabnąłbym…

– Odwaliło ci kompletnie?

– Nie, czasem muszę zjeść fast fooda. Czuję się wtedy w pełni człowiekiem.

W odpowiedzi usłyszał ciąg przekleństw przeplatanych pojedynczymi słowami, z których sam musiał ułożyć właściwą wypowiedź. Zadanie by go przerosło, gdyby nie to, że nawet bez słów znał pretensje Chyłki.

Szybko wyjaśnił, że Buchelt zabrał go ze szpitala, obawiając się, że dopadną go ci, którzy zaatakowali ich w nocy, i że rozładowała mu się komórka. Przez moment obawiał się, że na tym się nie skończy, ale Joanna postanowiła spuścić kurtynę miłosierdzia na to, że nie skontaktował się z nią wcześniej.

– A więc martwiłaś się? – spytał.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Niemal zakrztusił się kawałkiem nuggetsa.

– Tym, że znieśli moratorium na odstrzał łosi – dodała. – I że ty padłeś jako pierwszy.

Oryński nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Co ty sobie wyobrażasz, gamoniu? – ciągnęła. – Że możesz mi ot tak zniknąć?

– Byłem trochę oszołomiony.

– Nic dziwnego, biorąc pod uwagę, że kilka godzin wcześniej miałeś pieprzoną operację.

– Właśnie – przyznał, uznając, że to odpowiednia wymówka. – A skoro tak, to…

– Jak się czujesz? – przerwała mu.

Lew Buchelt podniósł się, popatrzył znacząco w kierunku toalet i przeprosił półgłosem, po czym się oddalił. Stary mecenas miał idealne wyczucie, nie mógł wybrać lepszego momentu. Oryński podparł głowę na stoliku, przytykając komórkę do ucha.

– Nie najgorzej – powiedział. – Może pomijając to, że mam jakby rękę widmo.

– Boli?

– Rzecz w tym, że nie. Czuję się, jakby jej nie było – odparł i odchrząknął. – Z tobą wszystko okej, trucizno?

– Nie. Muszę znosić obecność Padera.

Oryński uniósł brwi, choć na dobrą sprawę nie powinien się dziwić, że Chyłka nie próżnuje. Z jego perspektywy od momentu wydarzeń na Saskiej Kępie minęła raptem chwila, w rzeczywistości upłynęło jednak wiele godzin. Godzin, podczas których Joanna mogła ruszyć obronę Kabelis z miejsca.

– Zabrałaś się do roboty? – spytał.

– Niezupełnie. Jesteśmy u ciebie w mieszkaniu.

– U mnie?

– I przed chwilą wyjadłam ci wszystkie nerkowce – kontynuowała. – Ale jak tylko się tu pofatygujesz, zrozumiesz, że to twój najmniejszy problem. Ktoś się włamał.

Kordian się wyprostował.

– Ruja i porubstwo – dodała. – Rozbebeszyli wszystko, jakby gdzieś w tym twoim barłogu, który nazywasz twórczym nieładem, znajdował się zwycięski kupon Lotto.

Oryński słuchał z niedowierzaniem. Przypuszczał, że gdyby Chyłka ubrała to w nieco poważniejszą formę, szok byłby większy. Dzięki temu, że sama zachowywała dystans, on także mógł to zrobić.

– Zamek i drzwi są do wymiany – kontynuowała. – Meble właściwie będziesz musiał kupić nowe, bo chyba się ich z powrotem nie skleci. Zajęli się czule nawet spłuczką.

– Ale…

– „Opa opa, opa opa, szara morda zniszczył klopa” – zanuciła pod nosem Joanna.

Kordian potrząsnął głową.

– Ale czego szukali? – dokończył.

– A jak ci się wydaje? – odbąknęła. – Dowodów na to, że dotarłeś do czegoś w sprawie Zduna.

A zatem nie było to ostrzeżenie, ale najbardziej pragmatyczny sposób upewnienia się, że Kordian nie znalazł nic na jego temat.

– Ale nie będziemy o tym teraz gderać, są ważniejsze rzeczy – zastrzegła szybko Joanna. – Jak to, co znalazłam na twoim komputerze.

Przypomniał sobie, że zabrał laptopa z Argentyńskiej po tym, jak Chyłka w niezbyt delikatny sposób zasugerowała mu, że powinien wrócić do siebie. Teraz z pewnością będzie musiał dać go Kormakowi, by usunął wszystkie trojany i programy szpiegujące, które mogli zostawić włamywacze.

– Słyszysz? – upewniła się Chyłka.

– Za głośno i za wyraźnie – odparł cicho. – Co znalazłaś? Pornosy?

– Nie. Listę piosenek na Spotify, którą w pocie czoła musiałeś tworzyć od zarania dziejów.

Zaśmiał się cicho. Rzeczywiście pracował nad tym od jakiegoś czasu, właściwie od kiedy tylko Chyłka po raz

pierwszy puściła mu *Poison* Alice'a Coopera i oznajmiła, że to najbardziej romantyczny kawałek, jaki zna. Potraktował to jak wyzwanie i postanowił znaleźć inne metalowe i jednocześnie balladowe numery, które byłyby rzeczywiście, a nie tylko pozornie romantyczne. Zgromadził ich trochę, a potem rozszerzył katalog także na kawałki rockowe i grunge'owe.

– *Disarm* Smashing Pumpkins – powiedziała z uznaniem. – Nieźle. Naprawdę nieźle.

– Wyciskacz łez.

– Nawet ja to przyznam – odparła nieobecnym głosem.

– Nie ma rzewniejszego kawałka na świecie.

– Ano nie – przyznała. – Ale zobaczmy, co tu jeszcze masz… HammerFall, *Always Will Be*. Też całkiem nieźle, choć ja i power metal za sobą nie przepadamy.

– Pomyślałem, że zrobisz wyjątek.

– Zrobię nawet dwa, bo widzę tutaj *Ghost of Freedom* Iced Earth.

– Zgadza się.

– Guns'n'Roses *November Rain*, dobry wybór. *Wind of Change* Scorpionsów, też nieźle.

Słysząc sam tytuł ostatniego kawałka, Kordian usłyszał w głowie charakterystyczne gwizdanie na początku.

– *It's Been Awhile* Staind, brawo, brawo. Idealny podkład muzyczny dla wieczoru przy świeczkach i papierosach.

– Tak? Sprawdzimy w praktyce.

– O, wyłowiłeś nawet *Black Hole Sun* Soundgarden. I *Fade to Black* Metalliki!

– Jest też *Killing Me Killing You* Sentenced.

– Och, Zordon…

– Zrobiłem robotę?

– Przyjeżdżaj. Będę twoja.

Zaśmiał się i sięgnął po kurczaka.

– Pędzę – zapewnił ją. – Powiedz tylko dokąd.

Odpowiedziała mu milczeniem, a on przypuszczał, że jej lekki nastrój szybko przeszedł w pełne skupienie. Oczywiste wydawało się, że Kordian musi trzymać się jak najdalej od miejsc, w których zazwyczaj przebywał. Nie miał wątpliwości, że przewrócenie jego mieszkania do góry nogami było zapowiedzią, że ci ludzie jeszcze z nim nie skończyli.

– Hotel? – podsunął.

– Nie, będą ślady. Poza tym mogą mieć takie miejsca na oku.

Kordian potarł skroń, poniewczasie przypominając sobie o ranie. Syknął i rozejrzał się nerwowo.

– Mówisz, jakbyś miała na myśli nie grupę ludzi, ale jakąś globalną organizację spiskową.

Chyłka milczała, najwyraźniej nie mając zamiaru dać się wciągnąć w rozmowę o tożsamości napastników.

– Na razie zostań tam, gdzie jesteś – odezwała się w końcu. – Będę za jakieś pół godziny.

Zgodnie z jego przypuszczeniami Joanna pojawiła się dużo wcześniej, zaoszczędzając czas zapewne dzięki przejazdom przez skrzyżowania na czerwonych światłach. Weszła do McDonalda żwawym krokiem, a potem omiotła wzrokiem niewielką salę. Jak na dany sygnał Buchelt podniósł się, poklepał Kordiana po plecach, a potem z ulgą opuścił restaurację.

Chyłka zajęła jego miejsce, a kiedy Oryński spojrzał jej w oczy, przekonał się, że ma przekrwione, lekko obrzęknięte spojówki. Mogło to świadczyć zarówno o kolejnej nieprzespanej nocy, jak i o tym, że pofolgowała sobie z alkoholem.

Właściwie od kiedy tylko wróciła do picia, obawiał się, że w końcu do tego dojdzie, ale nie zamierzał o tym wspominać.

Wiedział, że efekt byłby odwrotny do zamierzonego. Chyłkę należało odpowiednio podejść – o ile w ogóle było to możliwe.

– Tęskniłaś? – rzucił.

Joanna ściągnęła brwi, a on w ramach wytłumaczenia wskazał jej oczy.

– Wygląda, że uroniłaś trochę łez.

– Ze wzruszenia przy *Disarm*. Dobra robota, Zordon, rozbroiłeś mnie zupełnie.

– Zawsze do usług – odparł dla porządku, nie mając zamiaru pozwolić na zmianę tematu. – Ale wydaje mi się, że…

– Daj spokój.

– Z czym?

– Z byciem męczybułą.

– Nie miałem zamiaru…

– Owszem, wychyliłam co nieco – przyznała. – Ale ponieważ to ty tak naprawdę zawiniłeś, nie będę się przed tobą tłumaczyć.

– Ja? – jęknął, wskazując na szynę. – Mam rękę połamaną jak kariera Misiewicza. Jestem ofiarą, a nie…

– Co do tego się zgodzimy. Jesteś – przyznała, a potem powiodła wzrokiem po menu nad kasami. Nie sprawiała wrażenia, jakby znalazła coś dla siebie. – Ale sam to na siebie sprowadziłeś.

– Jak?

– Dłubiąc w sprawie Zduna.

– Jak konkretnie?

Joanna zamilkła, a Kordian położył drugą rękę na stole i pochylił się lekko.

– Powiesz mi, o co w tym wszystkim chodzi?

– Wierz mi, chciałabym. Ale nie mogę.

– To samo usłyszałem od Buchelta.

Wzruszyła ramionami, jakby broniła jakiegoś dziecięcego sekretu, miejsca zakopania skarbu na podwórku czy rozlanego mleka na dywanie. W rzeczywistości tajemnica musiała być najwyższej wagi, inaczej Kordianowi dawno udałoby się coś z niej wyciągnąć. Ale co to mogło być? Tajemnicy adwokackiej Joanna nie traktowała jak ksiądz tajemnicy spowiedzi. A jeśli chodziło o ewentualne zagrożenie dla Oryńskiego, było już za późno, by się nim przejmować.

– Gdyby nie to, że tak oberwałem, pomyślałbym, że to jakaś twoja szydera – burknął.

Chyłka nadal szukała jakiejś pozycji w menu, która przypadłaby jej do gustu.

– Czego się boisz? – dodał.

– W tej chwili tego, że w moim hamburgerze będą wymiona, kurczak z trocin i wypełniacze.

– Słuchaj…

– Tak, wiem, udowodniono, że tutejsze mięcho pochodzi z najwyższej klasy kurczaków i krów, hodowanych zgodnie z kultywowaną od pokoleń tradycją masowego, przemysłowego uboju – ucięła.

– Nie mam na myśli mięsa.

– A kto powiedział, że mnie interesuje, co masz na myśli?

Kordian patrzył na nią dostatecznie długo, by w końcu spoważniała. Westchnęła, a potem podniosła się i poszła złożyć zamówienie. Chwilę później wróciła z jalapeño burgerem. Ugryzła kawałek, przeżuwała moment w pełnym skupieniu, a potem skinęła głową z aprobatą.

– Naprawdę nie masz zamiaru mi nic zdradzić? Po tym, co się stało?

– Zdradzę ci jedynie, że mam dla ciebie bezpieczną metę.

– Jaką?

– Będziesz waletował u Kabelis.

Na twarzy Oryńskiego zarysowało się niedowierzanie.

– W tej klitce na Tarcho?

– Właśnie tam. Odstąpi ci kanapę, już to z nią uzgodniłam.

Kordian chrząknął nerwowo, podczas gdy Chyłka odgryzła kolejny kawałek hamburgera, pochłaniając go już niemal w całości.

– Pogadajmy o tym pomyśle – zaproponował.

– Słusznie. Wielcy ludzie dyskutują o pomysłach, przeciętni o wydarzeniach, a mierni o innych ludziach – odparła z pełnymi ustami Joanna. – A przynajmniej tak twierdziła Eleanor Roosevelt.

– Co właściwie było wypowiedzią o innych ludziach.

Joanna doceniła komentarz cichym mlaśnięciem.

– Wydaje ci się, że mnie tam nie znajdą? – dodał.

– Ehe.

– A fakt, że to wszystko jest w jakiś sposób związane z Klarą, cię nie martwi?

– *Ne*.

– Możesz rozwinąć?

Pokręciła głową, wpychając do ust resztkę burgera. Potem wskazała drzwi i zanim przeżuła do końca, ruszyła w ich kierunku. Kordian długo nie zwlekał.

Po chwili jechali już w stronę Tarchomina, jakby Oryński nie miał nic do gadania. Być może faktycznie tak było. Nie znał terenu, na jakim się poruszali. Nie wiedział, co sprawiało, że Chyłka uznała opcję ukrycia go u Klary za dobry pomysł.

Wiedział za to, że musi jej zaufać.

– Mam już zaklepany lot – odezwała się niespodziewanie.

– Co proszę?

– Z Okęcia lecę do Dohy z Qatar Airways. Podróż zajmie jakieś pięć i pół godziny, potem mam kilkadziesiąt minut na

przesiadkę i po niecałych pięciu godzinach jestem w Katmandu.

Kordian spojrzał na nią niepewnie.

– Zaraz…

– Nie mów, że dopadło cię spowolnienie umysłowe.

– Nie, ale…

– Zabookowanie biletu i odprawa przez neta trwają w porywach dziesięć minut. I to tylko jeśli przy okazji sprawdzisz, co dają w menu i jakie filmy i seriale są dostępne podczas lotu.

– Nie chodzi mi o pośpiech, tylko…

– O co?

– O to, że używasz liczby pojedynczej.

– Gratulacje, Zordon – odparła z teatralnym uznaniem. – Widzę, że z wiekiem stajesz się coraz bardziej spostrzegawczy.

Nachylił się w jej stronę, świdrując ją wzrokiem.

– Chcesz lecieć sama?

– Nie. Na pokładzie będzie jakieś czterysta osób.

Odczekał chwilę, licząc na to, że sama odsunie żarty na bok. Zerknęła na niego kątem oka, a potem ściszyła radio.

– W tym stanie nie możesz lecieć, Zordon – oznajmiła.

– Ostatnim razem, jak sprawdzałem, na pokład można było wnosić połamane kończyny.

– Ale nie można się z nimi drapać na najniebezpieczniejszą górę świata.

– Mogę poczekać w base campie.

– Nie dojdziesz nawet do base campu – zaoponowała. – Poza tym dogadałam się już z Lemurem. Poleci ze mną. Zna teren, orientuje się w sprawach alpinistycznych. Będzie koordynował wszystko z bazy.

– Ale…

– Wiesz dobrze, że jeśli polecisz, ściągniesz na siebie uwagę tych, którzy na ciebie polują.

– Nie masz pewności, że polują.

Znów popatrzyła na niego z ukosa.

– Gdybym nie była, nie dekowałabym cię u dziewczyny z opal hair, która na ciebie leci.

– Kabelis na mnie nie… – urwał i machnął ręką. – Zresztą nieważne.

– Cały czas się do ciebie przymila.

– Jest po prostu uprzejma – odparł, wzdychając. – Ale rozumiem twoją konfuzję. Grzeczność w twoim świecie jest tak rzadkim, wręcz niespotykanym zjawiskiem, że wygląda na flirt.

Chyłka przewróciła oczami.

– Nie widziałeś, jak na ciebie łypie?

– Nie. I nie widziałem cię też wcześniej w zazdrosnej odsłonie. Ciekawy widok.

– Widok był ciekawy, jak zjawiłam się u niej przed waszym spotkaniem na białołęckim boisku. Patrzyła na mnie z wyrzutem, jakbym pokrzyżowała wam plany.

– Tak, tak. W każdym razie liczy się to, że…

– Liczy się tylko jedno, Zordon – ucięła głosem tak poważnym, że wiedział doskonale, co ma na myśli.

Przez moment jechali w milczeniu.

– Nie wiesz, co się z nią dzieje? – zapytał w końcu.

– Nie, skurwiel nic mi nie przekazał – syknęła. – Ale najważniejsze w tej chwili jest to, że Daria żyje. I że nic jej nie grozi, dopóki robię to, co mam robić.

Oryński nie wiedział, co odpowiedzieć. Jakiekolwiek słowa otuchy wydawały się puste, a sytuacja była tak delikatna, że właściwie trudno było mieć nadzieję na uratowanie

dziewczynki w inny sposób niż przez wypełnianie poleceń stalkera.

– Wygram tę sprawę – oznajmiła Joanna. – A potem dopadnę tego człowieka.

Zjechali z mostu Północnego na aleję Kuklińskiego i kierowali się dalej prosto. Ruch w przeciwną stronę był wzmożony, ale masowe powroty z pracy w stronę Białołęki zaczną się dopiero za kilka godzin.

– Więc naprawdę zamierzasz tam lecieć – odezwał się nieobecnym głosem Kordian, jakby do tej pory było to jedynie mętną i niepewną perspektywą.

– Tylko w ten sposób dowiem się, dlaczego Nepalczycy od początku kłamią.

– I sądzisz, że to wystarczy? Że dzięki temu wygramy sprawę?

– Oby. Bo jeśli ta góra nie będzie tego warta, przysięgam, że złożę pozew, gdzie trzeba, i pozbawię ją kilku metrów wysokości, przynajmniej na papierze.

Chyłka przełączyła radio na tryb odtwarzania z komórki, a potem wyświetliła ułożoną przez Oryńskiego listę na Spotify. Z głośników popłynęły pierwsze dźwięki kawałka Smashing Pumpkins, a Kordiana przeszły ciarki.

W jakiś sposób numer kojarzył mu się teraz nie z romantyczną melancholią, ale z pogrzebowym nokturnem. Wzdrygnął się.

– Nie masz się czym martwić – odezwała się Chyłka, jakby potrafiła czytać mu w myślach. – To tak naprawdę kilkudniowy trekking. Wrócę na dobre przed rozpoczęciem procesu.

Skinął głową.

– I będę dobrze przygotowana. U Kabelis czeka już całe gremium, które mi wszystko wyłoży.

– Tak?

– Zaangażowała się w sprawę, ściągnęła parę osób znających się na rzeczy.

Kordian wątpił, by nawet największe legendy alpinizmu w tak krótkim czasie mogły odpowiednio przygotować Chyłkę do tej wyprawy. Owszem, w teorii była ona wykonalna – w końcu ludzie wspinali się na sam szczyt Everestu, mając na podorędziu tlen i cały zastęp pomocników – ale należało mieć na uwadze, że przeciwnikiem Joanny może nie okazać się sama natura. Nepalczycy wszak nie bez powodu kłamali w sprawie towarzyszy Kabelis.

Dopiero teraz Oryński pomyślał o nich nie jako o anonimowych ludziach, ale konkretnych osobach. Starszy, Jarek Nalikowski, był doświadczonym wspinaczem. Młodszy, Maciej Drobniak zwany Drobnym, dopiero rozpoczynał karierę.

Obaj zamierzali zapisać się w historii himalaizmu, choć wiedzieli, że nie będzie się to wiązało z wielkim splendorem. Nie wchodzili jako pierwsi na dotychczas niezdobyty szczyt, mieli wytyczyć nową trasę na wierzchołek dawno okiełznany. Najwyraźniej jednak czasem tyle wystarczało, by dobrowolnie narażać się na ekstremalne niebezpieczeństwo.

Kiedy dotarli do mieszkania Klary, Oryński skupił się już wyłącznie na tym, co mieli im do powiedzenia goście himalaistki. Większość czasu poświęcili na omówienie techniki wspinania, ale to Klara podsuwała najcenniejsze i najbardziej praktyczne porady.

Potem jeden z mężczyzn przeszedł do analizy pogody i tego, jak będzie wyglądała sama trasa.

Blondyn z ciemnym zarostem mówił długo, a oni słuchali.

3

Lotnisko Chopina w Warszawie, Okęcie

W jednej niewielkiej torbie znajdowało się wszystko, czego Chyłka w najbliższym czasie będzie potrzebowała. Całą resztę miała dokupić w Katmandu za grosze, przynajmniej w porównaniu z europejskimi cenami. Klara zapewniła ją, że przy odpowiednim targowaniu się kijki trekkingowe nabędzie za dziesięć dolarów, a za dwadzieścia wzbogaci się o śpiwór, który sprawdziłby się na dalekiej Syberii. Twierdziła także, że najlepsze środki owadobójcze na trekking dobrze kupić na miejscu, bo normy o zawartości DEET są w Nepalu mniej restrykcyjne niż w Unii. W Polsce kazała Chyłce zaopatrzyć się przede wszystkim w leki – w tym kilka opakowań tabletek na chorobę wysokościową – i środki do puryfikacji wody.

Po odprawie bagażowej Joanna po raz pierwszy poczuła, że naprawdę to robi – wchodzi na zupełnie nieznane terytorium i rzuca wyzwanie czemuś, o czym nie ma zielonego pojęcia.

Wspinanie się nigdy jej nie pociągało, przypuszczalnie dlatego, że widziała w nim pewną analogię do swojego życia. Może zbyt daleko idącą, bo od kiedy pamiętała, wszystko, co robiła, było nieustannym podchodzeniem pod jakiś odległy, niewidoczny wierzchołek. A jedynym, co pchało ją przed siebie, była myśl, że w końcu znajdzie się na szczycie i spojrzy z góry na przebytą drogę. I dopiero wtedy ta wyda jej się warta zachodu.

Z Kordianem nie miała zamiaru się żegnać, zdając sobie sprawę, że w ostatniej chwili z pewnością próbowałby ją

powstrzymać lub odprowadzić na lotnisko, czym ściągnąłby na siebie uwagę ludzi, którzy mu zagrażali. Mogła tego uniknąć tylko w jeden sposób – podając mu niewłaściwą godzinę odlotu. Nie miał powodu, by samodzielnie ją sprawdzać, a ona aż do ostatniej chwili nie zamierzała wyprowadzać go z błędu.

Musiała przyznać przed sobą, że po raz pierwszy od dawna czuła się osamotniona. Nie zmieniło się to nawet, kiedy po przejściu kontroli bezpieczeństwa wypatrzyła w hali odlotów Juliana. Czekał na nią z kubkiem kawy w ręce.

Joanna spojrzała na napój, a potem na wejście do sklepu Aelii.

– Pod nosem mam bezcłówkę, gdzie kupię najlepszy alkohol z całego świata, a ty witasz mnie kawą?

Brencz podał jej kubek bez słowa, a ona odniosła wrażenie, że oczy ma jeszcze bardziej podkrążone od niej. Właściwie wyglądał, jakby miał opaść z sił, jeszcze zanim wejdą do samolotu.

Joanna napiła się kawy i powiodła wzrokiem po tablicy odlotów. Airbus 330 do stolicy Kataru miał oderwać się od płyty lotniska za niecałą godzinę.

– Dobrze się czujesz? – zapytała.

Julian przesunął ręką po skołtunionych włosach.

– W porządku – odparł.

– Dalej nie śpicie?

Pokręcił głową.

– Musicie z tym skończyć – rzuciła stanowczo. – Zacznijcie brać coś na uspokojenie, na sen, sama nie wiem.

– Pomyślimy.

– Inaczej długo tak nie pociągniecie.

Brencz miał w oczach pustkę, jakby jego umysł był zawieszony gdzieś między istnieniem a nicością. Nie dziwiła się, na jego miejscu pewnie wyglądałaby podobnie.

Przypuszczała, że do tej pory wszystkie siły pożytkował na podnoszenie na duchu Magdaleny, a teraz, kiedy w końcu nie musiał tego robić, energia zupełnie go opuściła.

– Jeszcze możesz się wycofać – zauważyła.

– Nie zamierzam.

– Po prostu mówię, że gdybyś…

– Muszę tam być – zastrzegł stanowczo, a w jego oczach pojawił się przebłysk determinacji. – Muszę coś zrobić. Cokolwiek.

Rozumiała go doskonale, podobnie jak Magdalena. Nie musieli nawet zastanawiać się nad tym, czy powinien lecieć. Kiedy tylko stało się jasne, że Kordian będzie musiał zostać, oboje zgodzili się, że Julian zajmie jego miejsce. Tutaj nie mógł nic zdziałać, w Nepalu zaś jego doświadczenie mogło okazać się równie pomocne, jak duchowe wsparcie dla Chyłki.

Dzięki temu miał też przekonanie, że wreszcie robi coś, by odzyskać Darię. Udana wyprawa na Annapurnę mogła oznaczać zdobycie korzystnych dla Kabelis dowodów. To z kolei wygraną sprawę, a w konsekwencji bezpieczny powrót jego córki.

– Strzel sobie jeszcze jedną kawę, najlepiej podwójną. Wygląda na to, że będziesz jej potrzebował.

Miała wrażenie, że na powrót opadł go taki marazm, iż nawet nie usłyszał jej uwagi. Kiedy zajęli miejsca w samolocie, osunął się na fotelu i zamknął oczy, ale Joanna nie przypuszczała, by udało mu się zasnąć.

Magdalena i jej mąż borykali się z tym samym problemem, co ona. Ilekroć nadchodziła senność, umysł przywoływał widok niewielkiej, zapuszczonej piwnicy, który skutecznie ich rozbudzał.

Z głośników pokładowych zaczęły dobiegać monotonne instrukcje, podczas gdy gigantyczny samolot kołował

w kierunku pasa startowego. Chyłka skrzywiła się, słysząc ostrzeżenie o tym, jak fatalne w skutkach może być odpalenie papierosa na pokładzie. Na dobrą sprawę była to największa dolegliwość, jaka wiązała się z lotem. Niemal sześć godzin bez palenia.

Założyła słuchawki, a potem na zagłówku siedzenia przed nią zaczęła przeglądać ofertę filmów i seriali na ten lot. Nowa ekranizacja *Tego* Stephena Kinga wydawała się całkiem odpowiednim wyborem, ale kusił ją też *The Good Fight*, spin-off prawniczego serialu *The Good Wife*, którego jeszcze nie widziała.

Z ciekawości sprawdziła muzykę. Znalazła albumy AC/DC i Judas Priest, ale na Iron Maiden nie trafiła. Nie wyszperała też żadnej kompilacji, na której znajdowałby się któryś z kawałków wybranych przez Zordona. I bez tego jednak rozbrzmiewały jej w głowie.

Po chwili airbus ustawił się w odpowiedniej pozycji, a moment później rozległ się charakterystyczny dźwięk przyspieszających silników, jakby ładujących się dział energetycznych. Joannę wgniotło w fotel, po czym samolot oderwał się od ziemi. Przez moment walczył z oporem powietrza, a Chyłka powiodła wzrokiem po widocznych w oddali wysokich budynkach. Pałac Kultury wyróżniał się, zajmując centralne miejsce, a po jego prawej górował Marriott. Z przeciwnej strony Joanna rozpoznała nieco niższy Orco Tower, Złotą 44 i wyłaniający się zza niej InterContinental, a w oddali odseparowany od pozostałych Warsaw Trade Tower.

Z tej perspektywy Skylight powinien być gdzieś między Marriottem a PKiN-em. Chyłka poczuła ukłucie w klatce piersiowej i szybko zrzuciła to na karb faktu, że w ciągu kilku sekund wzniosła się na wysokość, na której w myśl matki natury człowiek nie powinien się znajdować.

Z głośników rozległy się kolejne instrukcje wypowiadane po arabsku.

– Wszystko okej? – zapytał Julian, a ona dopiero teraz uświadomiła sobie, że jej się przygląda.

– Chyba tak.

– Nie lubisz latać?

Joanna pociągnęła nosem, a potem wskazała palcem panoramę, jaka się przed nimi rozciągała.

– Nie lubię zostawiać tego miasta – oznajmiła. – Zawsze mam wrażenie, że beze mnie nie przetrwa.

Brencz zmusił się do bladego uśmiechu.

– Poza tym niepokoi mnie, ilekroć na pokładzie samolotu słyszę, jak ktoś mówi po arabsku. Wydaje mi się, że zaraz padnie *Allahu akbar* i wszyscy pójdziemy w cholerę.

Tym razem kąciki ust Juliana uniosły się nieco bardziej.

Chyłka zdążyła obejrzeć film i odcinek serialu, zanim samolot wylądował w Dosze. Było już po zmroku, ale cała okolica wydała się tętnić życiem. Nie bez powodu. Doha stanowiła duży hub przesiadkowy, a z tego, co Chyłka wyczytała, dziennie z samego Londynu lądowało tutaj ponad trzydzieści maszyn – głównie po to, by pasażerowie mogli lecieć dalej na wschód lub na południe.

Być może z tego względu cała procedura przesiadkowa była zorganizowana całkiem sprawnie, a na samych biletach na kolorowo zaznaczono, gdzie i w jakim celu należy się udać.

Niewiele później dwoje podróżnych z Polski znalazło się na pokładzie kolejnego airbusa, tym razem A 320, a po paru godzinach dotarło do Katmandu. Stolica Nepalu z lotu ptaka sprawiła niepozorne wrażenie. Lekka rosa zdawała się wisieć w powietrzu, zabudowania były niskie i mocno ściśnięte, jakby każdy skrawek równej ziemi był tu na wagę złota.

Kiedy Joanna opuszczała terminal, po raz pierwszy od momentu wejścia na pokład w Warszawie włączyła telefon. Spodziewała się, że będzie czekało na nią parę esemesów – i nie pomyliła się.

„Jedyne, co ci puszczę po powrocie, to kawałki z »A Matter of Life and Death«" – brzmiała treść pierwszego.

Chyłka pokręciła głową z uśmiechem. Najwyraźniej edukacja Zordona w zakresie ironmaidenizmu popłaciła – przynajmniej na tyle, że potrafił przywołać konkretny krążek, który był concept albumem na temat wojny.

„Wypowiadasz mi otwarty konflikt zbrojny, Zordonusie?" – odpisała.

Odpowiedź przyszła niemal natychmiast, mimo że w Warszawie zapewne było nad ranem.

„Wypowiadam ci apokalipsę".

„Pomyliły mi się pory odlotów".

„O kilka godzin?"

„Zdarza się nawet najlepszym".

Joanna wciągnęła wilgotne powietrze nosem i zakaszlała. Stojący obok Julian był całkowicie skupiony na pisaniu esemesa do Magdaleny. W oddali słychać było nawoływania, miejscowi dwoili się i troili, by w każdy możliwy sposób zarobić choćby kilkadziesiąt rupii, równowartość złotówki czy dwóch.

„Jak lot?" – spytał po chwili Oryński.

Odpisała, że kurczak smakował, jakby został wyhodowany w brojlerni na dwudziestym pierwszym piętrze Skylight, po czym wdali się w krótką wymianę standardowych esemesów.

„Uważaj na siebie" – napisał w końcu Kordian.

„Nie bój nic. Jestem wieczna jak głos Knapika w warszawskim metrze".

„I prawie tak samo zmysłowa".

Dopiero po chwili Joanna spostrzegła, że jej towarzysz nerwowo pociera kark, jakby stało się coś problematycznego. Schowała telefon do kieszeni i obróciła się do Juliana.

– Co jest? – zapytała.

Brencz skrzywił się i w końcu oderwał wzrok od komórki.

– Mamy problem.

– Jaki?

– Prognoza pogody się pogorszyła. Wygląda na to, że okno pogodowe nam uciekło.

Joanna miotnęła pod nosem paroma przekleństwami i zrzuciła plecak przez ramię. Wyciągnęła paczkę papierosów, doskonale zdając sobie sprawę z tego, jak kluczowa jest dla nich prognoza. Usługi agencji organizującej wyprawę mieli zapewnione tylko przez kilka dni, w tym czasie musieli zdążyć ze wszystkim, co planowali. Przedłużenie nie wchodziło w grę, właściwie i tak cudem było, że udało im się na ostatnią chwilę wcisnąć w terminarz. Sami zaś praktycznie nie mieli szans, by dotrzeć na tak dużą wysokość, nie mówiąc już o zniesieniu ciał.

Kolejną komplikacją był fakt, że wyznaczono datę pierwszej rozprawy, a Joanna wiedziała, że nie może jej przegapić.

– Jak źle ma być? – spytała.

– Wygląda na to, że tragicznie.

Zaciągnęła się zbyt mocno i zbyt gwałtownie, przez co nawet jej przyzwyczajone do nikotyny płuca zaprotestowały.

– W dniu ataku szczytowego zapowiadany jest front burzowy – dodał Brencz.

Atak szczytowy był pojęciem czysto umownym, choć Chyłka przypuszczała, że dla niej osiągnięcie sześciu tysięcy metrów będzie wcale nie mniejszym wyzwaniem niż zdobycie wierzchołka dla doświadczonych wspinaczy.

– Może prognoza się jeszcze zmieni.

– Może – odparł bez przekonania Julian.

– A jeśli nie? Jak duże to zagrożenie?

Brencz spojrzał na nią z niedowierzaniem, zaskoczony, że w ogóle musi o to pytać.

– Wyjście z obozu podczas burzy jest samobójstwem – oznajmił, a coś w jego oczach zgasło. – Nie ma mowy, żeby ktokolwiek cię wtedy wypuścił. Widoczność będzie zerowa, a wiatr sprawi, że odczuwalna temperatura spadnie do poziomu, przy którym…

– Wejdę w stan kriogeniczny, dzięki czemu moje ciało zostanie zakonserwowane, a umysł przechowany dla kolejnych pokoleń, które opracują metodę wybudzania ludzi z kriostazy.

Julian wciąż patrzył na nią, jakby coś było z nią nie w porządku. Joanna zaciągnęła się głęboko i westchnęła.

– Humor jest jak kolor skóry – oznajmiła. – Nie każdy docenia ten czarny.

Ta uwaga także nie zrobiła na Brenczu wrażenia, a Chyłka w końcu uznała, że najlepiej będzie, jeśli zostawi żarty na później.

– Możemy przyspieszyć wejście? – spytała.

– Nie ma mowy. Musisz się odpowiednio zaaklimatyzować.

– Dam radę.

Julian nerwowo pokręcił głową.

– Nie rozumiesz – odparł, a potem wskazał na widoczne w oddali szczyty. – Tam jest zupełnie inny świat. Nawet na pięciu tysiącach metrów musisz być skupiona na rzeczy tak prozaicznej jak oddychanie. Nocami będziesz się przebudzała, bo twoje ciało, przyzwyczajone do normalnych oddechów, nie będzie dostawało odpowiedniej dawki tlenu. Tam powietrze jest rozrzedzone i…

– Mam diuramid – oznajmiła. – Całe naręcze tabletek.

Stosowanie środków na chorobę wysokościową podczas wspinaczki było źle odbierane w środowisku, a przez wielu traktowane jako niebezpieczne, bo maskowało objawy tego, że dzieje się coś złego, ale Chyłka nie miała zamiaru przejmować się ani jednym, ani drugim.

– Do tego zabrałam sporo deksametazonu.

– To tylko zmniejsza dolegliwości, ale nie…

– Tak czy owak dam radę.

Brencz znów spojrzał w kierunku majestatycznego pasma górskiego. Z tej odległości zdawało się wyrastać gdzieś daleko za okolicznymi pagórkami, jak białe, nierealne, strzeliste kształty wychylające się gdzieś zza ciemnych wzniesień nieopodal Katmandu.

– Nie zdajesz sobie sprawy z zagrożenia.

– Zapewniam cię, że zdaję sobie sprawę doskonale. Szczególnie z tego, na które jest narażona Daria.

Wiedziała, że ten jeden argument będzie wystarczający, by przekonać Juliana. Nie była tylko pewna, czy w istocie chce to robić. W górze rzeczywiście czekały na nią zagrożenia, o których nie miała pojęcia.

Przed wyjazdem starała się poznać je choć trochę, słuchając relacji alpinistów, którzy przeżyli starcie z Himalajami. Wielu zapłaciło za to słoną cenę. Wciąż miała przed oczami amputowane nosy, palce czy kończyny. Odmrożenia właściwie były na porządku dziennym, a choroba wysokościowa i opadnięcie z sił stanowiły do nich najprostszą drogę.

– Jeśli wyjdę szybciej, zdążymy przed frontem?

Brencz nie odpowiadał, nie było potrzeby. Joanna przypuszczała, że sama także nie będzie musiała przesadnie długo przekonywać przewodników. Im też będzie zależało na tym, by wprowadzić ją na określoną wysokość i zaliczyć udane

wypełnienie usługi – szczególnie że media będą relacjonować cały proces.

Dziennikarze szli w kierunku base campu, niektórzy podobno już tam byli.

– Zwiększę dawkę aspiryny – dodała. – Rozrzedzę jeszcze bardziej krew.

– Zupełnie jak przy profilaktyce antyzawałowej, prawda?

Drugie dno tego pytania było aż nadto wyraźne.

– Wiesz, że to wykonalne. Niebezpieczne, ale…

– Słyszałaś o Piotrze Pustelniku? – wpadł jej w słowo, ale nie dał czasu na odpowiedź. – Do dwa tysiące dziesiątego zdobył wszystkie ośmiotysięczniki, oprócz jednego. Annapurny. Wchodził na nią cztery razy bez skutku, dopiero za piątym razem mu się udało. A nie muszę ci chyba mówić, że ten facet to żyjąca legenda. I że ta góra to morderca.

Nie spodziewała się, że będzie tak długo się upierał, ale najwyraźniej potrzebował tego, by moralnie uporać się z czymś, na co ostatecznie i tak musiał przystać. Po chwili ruszył w stronę kręcących się przy lotnisku taksówek. W większości były to stare modele indyjskich maruti, przywodzące na myśl deawoo tico.

Chyłka wyciągnęła komórkę, by sprawdzić, czy Oryński odpisał. Dopiero teraz dostrzegła, że oprócz wiadomości od niego czekała na nią jeszcze jedna.

Ta została wysłana z internetowej bramki. I stanowiła przypomnienie, jak wiele jest na szali.

„Jeśli chcesz, by ta mała suka mogła kiedyś rodzić dzieci, nie wracaj bez dowodów na niewinność Kabelis”.

Joanna wzdrygnęła się na samą myśl o tym, co to może oznaczać. Przez chwilę stała jak rażona piorunem i ocknęła się dopiero, kiedy usłyszała nawoływania Brencza. Ruszyła w stronę jednej z taksówek, którą zatrzymał.

Kiedy pokazała mu esemesa, wiedziała, że nie musi dalej przekonywać go nawet do najbardziej ryzykownych posunięć.

4

Tarchomin, Białołęka

Dwie tabletki lorafenu i kilka piw sprawiły, że Kordianowi udało się zasnąć. Ceną tego była pobudka z bólem głowy i poczuciem ogólnej dezorientacji, ale warto było ją zapłacić. W pierwszej chwili Oryński nie wiedział, gdzie jest, szybko się jednak zorientował, że leży w niewielkim pokoju, który udostępniła mu na jakiś czas Klara.

Do późnej nocy starała się nakreślić mu, jak będzie wyglądało podejście pod Annapurnę. Co rusz dodawała, że to ona powinna tam być, choć doskonale zdawała sobie sprawę z warunków, na jakich opuściła areszt.

Kiedy dowiedziała się, że Chyłka przyspieszyła termin opuszczenia ostatniego obozu, zaczęła zachowywać się jeszcze bardziej nerwowo. Twierdziła, że to proszenie się o śmierć, co w ustach doświadczonej alpinistki brzmiało groźniej niż w głowie Kordiana.

– Ona podpisze na siebie wyrok – perorowała Kabelis. – Jak wyjdzie bez aklimatyzacji, prędzej czy później dopadnie ją choroba. Zacznie tracić siły, słaniać się na nogach, rzygać jak kot i stopniowo odpływać. Do tego dojdą ogólne otępienie i halucynacje. Nie będzie zdawała sobie sprawy z tego, co się z nią dzieje.

Opisywała objawy związane z obrzękiem mózgu i płuc tak długo i szczegółowo, że Oryński bliski był wykupienia biletu na lot do Dohy następnego dnia. Rzeczywiście to rozważał, mając w głębokim poważaniu ludzi, którzy na niego dybali.

Ostatecznie doszedł jednak do wniosku, że zanim dotrze do Katmandu, Chyłka będzie już daleko na zboczach Annapurny.

Lorafen, piwo i sen wydawały się jedynym sensownym rozwiązaniem. I pomogły na tyle, że po przebudzeniu Kordian uznał, iż nie może siedzieć bezczynnie. Kiedy wyszedł z sypialni, zobaczył swoją wypraną koszulę na desce do prasowania. Była wygładzona. Najwyraźniej Klara w nocy musiała czymś się zająć.

Przy tylko jednej sprawnej ręce chwilę zajęło mu uporanie się z założeniem koszuli. Prawdziwe schody zaczęły się jednak, kiedy musiał ją zapiąć.

– Wybierasz się gdzieś? – rozległ się głos zza jego pleców.

Odwrócił się, patrząc na przeciągającą się Klarę. Zerknęła na niezapięte guziki, uśmiechnęła się pod nosem, a potem podeszła bliżej.

– Pomogę – rzuciła.

Kordian powstrzymał ją ruchem zdrowej ręki.

– Poradzę sobie.

Batalię z guzikami rzeczywiście udało mu się wygrać, ale włożenie koszuli w spodnie okazało się ponad jego siły. Upchał ją byle jak, a potem usiadł przy stole i zauważył czekający na niego kubek kawy.

Już sam zapach zdawał się postawić go na nogi.

– Więc? – spytała Kabelis. – Wychodzisz gdzieś, Kordi?

Zignorował to zdrobnienie, choć nie przyszło mu to łatwo.

– Może.

– A nie zaszyłeś się tu przypadkiem po to, żeby nikt cię nie znalazł?

– Sytuacja się zmieniła.

Klara napiła się kawy i popatrzyła na niego znad kubka.

– Czy sytuacja, to nie wiem, ale twoje podejście do mnie na pewno.

Nie miał zamiaru wdawać się w dyskusje o nieistotnych sprawach, nie kiedy miał do zrobienia naprawdę ważne rzeczy.

– Wystarczy zaproponować ci pomoc w zapięciu guzików, a zamykasz się w sobie i robisz się gburowaty?

– Nie, po prostu…

– To nie miało żadnego podtekstu.

Jej usta zdawały się mówić jedno, ale oczy zupełnie co innego. Patrzyła na niego wyzywająco, jakby chciała zepchnąć go do defensywy i sprawić, że zacznie się tłumaczyć. Oryński pociągnął łyk kawy, podniósł się i ruszył do pokoju po marynarkę. Zanim ją na siebie narzucił, sprawdził jeszcze telefon.

Przeczytał esemesa od Chyłki i zaklął.

– Stało się coś? – odezwała się Kabelis, stając w progu.

– Kolejne problemy w Nepalu.

– Jakie?

Klara zmrużyła oczy i weszła do pokoju.

– Jest jakiś kłopot z pozwoleniem – wyjaśnił Kordian. – Urzędnicy nie chcą im go wydać.

Przed wyjazdem wszyscy zapewniali ich, że to jedynie formalność. Wprawdzie załatwienie papierów na ostatnią chwilę wiązało się z pewnymi trudnościami, ale koniec końców cała procedura najczęściej i tak odbywała się chałupniczo. Zdjęcia do dokumentów robiono starymi cyfrówkami na tle rozwieszonego prześcieradła, a chwilę później wszystko było gotowe.

Kordian podniósł wzrok znad wyświetlacza i zobaczył na twarzy Klary wyraz, który pojawił się wczoraj, gdy dowiedziała się o przyspieszeniu wyprawy. Była to prawdziwa troska, może nawet coś więcej.

– Tego się obawiałam – odezwała się nieobecnym głosem.

– Obawiałaś? Przecież zapewniałaś, że wszystko pójdzie bez problemu.

– Tylko jeśli Nepalczycy się nie zorientują, co Chyłka tam robi.

Oryński uniósł brwi.

– O tym nie wspomniałaś – zauważył, podchodząc do niej. – I mam wrażenie, że nie tylko o tym.

Cofnęła się i wróciła do kuchni. Zabrawszy kubek ze stołu, zaczęła nerwowo, chorobliwie szorować go pod kranem. Kordian wyłączył wodę i oparł się o blat.

– O co chodzi? – zapytał.

Kabelis zwilżyła usta językiem i głęboko westchnęła.

– Narobiłam sobie tam pewnych problemów, które mogą skomplikować Dżoanie sprawę.

– Jakich?

– Cóż…

– I dlaczego dopiero teraz o tym mówisz?

Wyglądała na nieco zmieszaną, ale Kordian nie miał zamiaru odpuszczać. Wbijał oczekujące spojrzenie w jej oczy, licząc na to, że w końcu dowie się czegoś, co pozwoli mu skompletować wszystkie elementy tej układanki. A być może także umożliwi mu zrozumienie, dlaczego stalkerowi zależało na uniewinnieniu Kabelis tak bardzo, że porwał dziecko.

Podsunął jej swoją kawę, ale ona nawet tego nie odnotowała.

– Musisz zrozumieć, w jakim stanie tam byłam – zaczęła, unikając jego spojrzenia. – Z dzisiejszej perspektywy nie wiem, co było halucynacją, co snem, a co wydarzyło się naprawdę…

Zaległa cisza. Klara wyraźnie liczyła na jakąś odpowiedź. Oryński uznał, że najlepiej będzie, jeśli nie pozwoli jej odejść od tematu zbyt daleko.

– Jakich problemów sobie narobiłaś? – zapytał.

– Słyszałeś kiedyś o *chhaupadi*?

Niejasno kojarzył, że Chyłka kiedyś o tym wspominała, ale nie mógł być pewien, bo z jakiegoś powodu co pewien czas podsuwała mu informacje o zwyczajach i obyczajach z dalekich krain.

– Nie – odparł.

– To pewien nepalski zwyczaj. *Chhaupadi* oznacza dosłownie „niedotykalną istotę", a…

– Chodzi o chaty menstruacyjne? – przerwał jej. – Te, w których zamyka się kobiety, kiedy mają okres?

Klara skinęła lekko głową, czekając na więcej. Na tym jednak cała jego wiedza na ten temat się kończyła.

– Sam fakt, że mówisz o tym tak lekkim tonem, znaczy, że nie masz specjalnego rozeznania.

– Nie, nie mam.

Przysunęła krzesło bliżej stołu.

– Nepalki zamyka się wtedy w oborze ze zwierzętami – powiedziała. – Są uważane za brudne, więc pod żadnym pozorem nie można ich dotykać. One także nie mogą nawet zbliżać się do rzeczy, których używają mężczyźni. Nie mogą wtedy pić mleka, jeść mięsa, owoców, warzyw…

Klara na moment urwała, jakby musiała poradzić sobie ze wzbierającymi w niej emocjami.

– Przez kilka dni siedzą w zwierzęcych gównach. Łażą po nich krowy i świnie, a smród jest tak duży, że nie wysiedziałbyś tam nawet godziny. Że nie wspomnę już o całym robactwie przenoszącym Bóg jeden wie jaki syf i ubraniach, których potem nie można doprać.

– Ale…

– Owszem, uskarżają się na parszywe warunki, ale ani myślą, żeby w czasie menstruacji wrócić do domu. Są przekonane, że bóstwa sprowadzą wtedy na nie chorobę. Mają wyprane mózgi, wyprane przez mężczyzn. A jak zapytasz

któregoś z nich, czy im nie wstyd, powiedzą ci, że kobiety pozamykane w tych klitkach są szczęśliwe. Im dłużej tam siedzą, tym bardziej. Autentycznie.

Kordian próbował sobie to wyobrazić, jednak różnice kulturowe były chyba zbyt duże.

– To w ogóle legalne?

– Od czterech lat już nie, ale co z tego? W tamtym roku weszła ustawa, wedle której grozi za to grzywna w wysokości trzech tysięcy rupii albo trzymiesięczna odsiadka. Ale prawo to jedno, a rzeczywistość to drugie. Gdzieniegdzie mężczyźni zakazują kobietom jedynie wchodzić do kuchni, ale na zapadłych wsiach *chhaupadi* ma się nadal całkiem nieźle.

Nie dziwiło go to – mimo że tradycja z europejskiego punktu widzenia była absurdalna, z pewnością zakorzeniła się w Nepalu już wiele pokoleń temu.

– Najgorsze jest to, że kobiety są zamykane w tych chatach także po porodzie – ciągnęła Klara. – Razem z dziećmi, rzecz jasna. Wyobrażasz sobie niemowlaka w takim kołchozie? Nikt nawet nie zbadał, ile ich zmarło przez niehigieniczne warunki i skrajne zimno.

Może i dobrze, pomyślał Oryński, bo statystyki z pewnością okazałyby się zatrważające.

– Dziewczyny boją się pierwszego okresu tak bardzo, że kiedy zaczynają miesiączkować, uciekają z domu – kontynuowała Kabelis, a w jej głosie słychać było coraz większą złość. – W dodatku mają świadomość, że jeśli coś niefortunnego zdarzy się w tym czasie w wiosce, cała wina spadnie właśnie na nie. To nieludzkie traktowanie, Kordi.

Dopiero teraz Oryńskiemu przypomniało się, że jakiś czas temu trafił na artykuł na ten temat w którymś z tygodników. Dziennikarz opisywał przypadek śmierci dwóch dziewczyn,

które zostały ukąszone przez jadowite żmije, kiedy siedziały zamknięte w szopie.

Rodzina początkowo nie chciała się do nich zbliżać, obawiając się gniewu bóstw, a kiedy strach w końcu przezwyciężono, było za późno, by uratować nastolatki. Obydwie zmarły.

– Jaki to ma związek z tobą? – spytał wreszcie.

– Nakręciłam o tym kilka filmików.

– I?

– Nie muszę ci chyba mówić, że lokalsi nie byli zadowoleni.

– Nie na tyle, żeby potem próbować wrobić cię w podwójne zabójstwo.

– No nie – przyznała i przesunęła dłonią po włosach, odgarniając biało-różową grzywkę na bok. – Ale uznali, że nadużyliśmy ich gościnności i pogonili nas z wioski, w której się zatrzymywaliśmy.

Mimo że zwyczaj był ohydny, Oryńskiego specjalnie nie dziwiło, że do tego doszło. Trójka obcych ludzi na trekkingu, wściubiająca nosy tam, gdzie nie powinna. Nie mogli zostać potraktowani inaczej.

– Nie zamierzałam odpuszczać – dodała po chwili Klara.

Kordian szukał wzrokiem jej spojrzenia, ale himalaistka wpatrywała się w kuchenne okno.

– Zaczęłam rozpytywać w innych wioskach po drodze na Annapurnę – kontynuowała. – Ale dopiero w Pisang trafiłam na kogoś, kto chciał wypowiedzieć się przed kamerą. Kobieta nazywała się Rubina Barma, była aktywistką działającą na rzecz zniesienia tego debilnego zwyczaju.

– Nakręciłaś filmik?

– Tak, ale to miało drugorzędne znaczenie. Liczyło się to, co Rubina mi powiedziała.

– Czyli?

Kabelis zrobiła głęboki wdech i zamrugała oczami, w końcu skupiając spojrzenie na Oryńskim.

– Wyrugowanie *chhaupadi* to dla niej ważna sprawa, ale znacznie więcej wysiłku kosztuje ją walka z niewolnictwem.

– Niewolnictwem? W Nepalu?

Klara zacisnęła usta.

– Większość ludzi nie ma o tym pojęcia – oznajmiła. – Nawet ci, którzy robią trekking wokół Annapurny, nie zdają sobie sprawy z tego, kto podaje im herbatę w nepalskich chatach. To przede wszystkim *kamalari*, młode dziewczyny pracujące w czyichś domostwach. Przypuszczam, że o nich nie słyszałeś.

– Nie.

– Ale domyślasz się, że mówię o pracy tylko w cudzysłowie.

– Mhm.

– Dziewczyny są sprzedawane na targach w Katmandu, kiedy mają kilka lat. W gospodarstwach wykonują wszystkie prace, od gotowania, przez sprzątanie, aż po zaspokajanie potrzeb seksualnych swoich panów – wycedziła Kabelis. – Zdarza się, że zachodzą w ciążę, ale możesz się domyślić, jak to się kończy.

Tym razem Kordian nie musiał się upewniać, czy istnienie *kamalari* jest legalne.

– Trafiają do niewoli w tak młodym wieku, że nie znają innego życia. Nie mają nawet pojęcia, jak wygląda zewnętrzny świat. A kiedy zapytasz je, ile mają lat, nie będą potrafiły odpowiedzieć.

Kabelis podeszła do jednego z uschniętych kwiatów na parapecie i oderwała kilka pożółkłych liści.

– Niewolnictwo jest karalne, ale *kamalari* o tym nie wiedzą. Bywa, że spędzają całe życie odizolowane od świata w chatach swoich panów. Od turystów mogłyby się wprawdzie czegoś dowiedzieć, ale tylko gdyby znały angielski.

Przysiadła na parapecie i skrzyżowała ręce na piersi.

– Próbowałam porozmawiać z kilkoma w wioskach, które mijaliśmy po drodze na Annapurnę, znalazłam nawet chętnych tłumaczy – dodała. – I to właśnie wtedy zaczęły się problemy.

– Jakie?

– Gdzieniegdzie nam grożono, w innych miejscach alarmowano służby. W Nepalu nie możesz kręcić materiałów, jeśli nie masz odpowiedniego zezwolenia. Ja oczywiście go nie miałam.

Kordian zmarszczył czoło i starał się stwierdzić, ile prawdy jest w słowach Klary. Gdyby zdradziła im to wszystko na samym początku, pewnie nie powątpiewałby w ani jedną rzecz. Fakt, że milczała tak długo, sprawiał jednak, że Oryński nabrał podejrzeń. Nie potrafił ich tylko sprecyzować.

– Ale policja i ewentualne trafienie za kratki to nic w porównaniu z tym, czym grożono mi w Manang. To tam trafiłam na gospodarstwo, w którym jedna z dziewczyn wyglądała, jakby codziennie była gwałcona i batożona. Próbowałam jej pomóc, wyrwać ją z tego, ale…

Zawiesiła głos i spuściła głowę.

– Jak mówiłam, trzymanie *kamalari* jest karalne, więc chłopi zrobią wszystko, żeby nie pójść siedzieć.

– Łącznie z…? – spytał Oryński.

– A jak myślisz? Właściciel tamtego domostwa groził mi śmiercią. Twierdził, że znajdzie mnie w górach i zabije. Mnie, Jarka i Drobnego. I że zrobi to tak, by nikt nigdy się nie dowiedział.

W głosie Kabelis nie słychać było nuty fałszu, ale Kordian wciąż nie był przekonany, czy to nie wynik dobrych umiejętności aktorskich.

– Dlaczego dopiero teraz o tym wspominasz? – spytał.

– Już ci mówiłam.

– Mówiłaś, że nie wiesz, co było rzeczywistością, a co halucynacją – odparł chłodno. – Oboje wiemy, że to kompletna bzdura.

– Nie zrozumiesz. Musiałbyś sam to przejść.

– Zrozumiem, jeśli usłyszę prawdę.

Długo patrzyła na niego w milczeniu, czekając, aż wycofa się z zarzutu, który właśnie sformułował. Kiedy jednak się tego nie doczekała, prychnęła cicho i zanim Oryński zdążył cokolwiek powiedzieć, poszła do swojej sypialni.

– Masz te nagrania? – rzucił na tyle głośno, by usłyszała.

– Nie. Zarekwirowali mi cały sprzęt.

– W takim razie…

Oryński urwał, gdy trzasnęła drzwiami. Siedział przez chwilę przy stole, wodząc wzrokiem po wszechobecnych roślinach i zastanawiając się nad wszystkim, co usłyszał.

Jaki powód mogłaby mieć Kabelis, by do tej pory zachowywać to wszystko dla siebie?

Najprostszą odpowiedzią było to, że kłamała. Ale jeśli nie? W takim razie mogła kalkulować, że gdyby wyjawiła prawdę, Chyłka nie byłaby gotowa polecieć do Katmandu. Obawiałaby się, że Nepalczycy potraktują ją jak wspólniczkę Klary, która ma zamiar dokończyć to, co ona zaczęła.

Było to jedyne logiczne wytłumaczenie, jakie przyszło na myśl Kordianowi. I sprawiało, że poczuł jeszcze większy niepokój o los Chyłki.

Zabrał swoje rzeczy, a potem opuścił mieszkanie. Ustalili, że pod żadnym pozorem ma tego nie robić, ale już wcześniej postanowił, że nie dotrzyma umowy.

I to nie tylko tej.

Schodząc po schodach, wyciągnął telefon i wybrał numer Joanny. Według wcześniejszych uzgodnień Chyłka miała

kontaktować się z nim wyłącznie esemesami, by nie drenować baterii, ale Oryński uznał, że przed wyjściem na właściwą trasę będzie miała jeszcze okazję doładować sprzęt.

Miał wrażenie, że czeka na nawiązanie połączenia bez końca.

– *Namaste*, kochany – odezwała się w końcu Joanna.

– Co takiego?

– *Namaste*. Dosłownie: pokłon tobie.

– Miałem na myśli to drugie słowo.

Chyłka zaśmiała się cicho.

– Nepal nastraja mnie tęsknie i romantycznie.

– Najwyraźniej – odbąknął Kordian. – Gdzie jesteś?

– W niewielkiej drewnianej pagodzie, w której zaraz spałaszuję zupę z bawoła… czy tam bawołu. A ty?

Oryński zatrzymał się, uznając, że dopóki nie opuści klatki schodowej, na dobrą sprawę nie będzie musiał kłamać.

– U Kabelis, a gdzie mam być?

– Nie wiem. Ale brzmisz, jakbyś trzymał łeb w kiblu i nieustannie spuszczał wodę.

Ją słyszał całkiem nieźle, ale nawet gdyby było inaczej, należałoby uznać, że mają szczęście. Chyłka równie dobrze mogła znajdować się w miejscu, w którym działa jedynie telefon satelitarny.

– Wszystko u ciebie w porządku? – spytał.

– Wprost cudownie. Odkryłam dzisiaj *chilli momo*.

– Brzmi niegroźnie, ale domyślam się, że to tylko pozory.

– Żebyś wiedział. Ostre pierożki z mięsem wykręcają gębę. Zajadam się nimi cały dzień, popijając browarem z fermentującego prosa.

Trudno było sobie wyobrazić, by tak było, bo ostatnie kilkanaście godzin Chyłka miała poświęcić na dość intensywny trekking. Jeśli chcieli dotrzeć do base campu

w wyznaczonym terminie, musieli być teraz w jednej z zapadłych wiosek, o których mówiła mu Klara.

– Jedyny problem jest taki, że czuję się tutaj jak w Krakowie.

– Dlaczego?

– Smog wisi nad tym miastem jak klątwa młodości nad Ibiszem – odparła. – Musiałam kupić sobie maskę. Poza tym wszędzie walają się śmieci, na placach w centrum wylegują się autentyczne krowy, a wśród nich łażą sobie gołębie.

– Ale…

– Oprócz maski kupiłam sobie całą masę bajerów wspinaczkowych i ubraniowych – nie dała sobie przerwać. – Były tak tanie, że przymknęłam oko na logo Dolce & Banana, The North Fake, Abibas i LaCouste. Kupiłam ci też bokserki Calvin Kain.

– Nie miałaś tam przypadkiem się wspinać?

– Zmieniłam zdanie – odparła lekkim tonem. – Spodobało mi się tutaj. Wiedziałeś, że w nepalskiej konstytucji jest przepis mówiący, że jeśli prezydent jest facetem, wiceprezydentem musi być kobieta?

– Nie.

– A że mają tutaj święto ku czci psów, podczas którego celebrują ich lojalność i przyjaźń z ludźmi?

– Też nie.

– Chyba tu zostanę. Zawsze chciałam mieszkać w kraju, w którym istnieje taki festiwal.

Kordian usiadł na schodach i rozejrzał się, by zyskać pewność, że nikt nie przysłuchuje się rozmowie.

– Gdzie konkretnie jesteś?

– W Katmandu.

– Jeszcze? – zdziwił się Oryński. – Przecież o tej porze powinniście…

– Problemy z tym pieprzonym pozwoleniem okazały się bardziej czasochłonne, niż przypuszczaliśmy. I ostatecznie uznaliśmy z Lemurem, że najlepiej będzie, jeśli wynajmiemy helikopter.

– Że co?

– AS350 B3 – wyrecytowała. – Taka maszyna.

– O czym ty…

– Czas nas goni, Zordon.

– Wiem – przyznał i w mig załapał, co Joanna sobie ubzdurała. – Ale śmigłowiec nie zabierze was na taką wysokość. A nawet gdyby, nie jesteście zaaklimatyzowani. Chyba nie zdajesz sobie sprawy z tego, na co wpadłaś.

Oczami wyobraźni niemal widział, jak zbywa jego troskę machnięciem ręki.

– Nie tyle wpadłam, co już zrealizowałam – odpowiedziała. – Mamy zaklepany lot z samego rana. Helikopter zabierze nas na przełęcz nieco poniżej pięciu tysięcy metrów.

– Zwariowałaś?

– Nie, zwariował Göran Kropp w dziewięćdziesiątym szóstym. Ale przeżył.

– Kto?

– Szwed, który na rowerze dotarł do Nepalu, a później bez pomocy Szerpów i bez tlenu wszedł na Mount Everest. Potem wrócił do Szwecji, też na rowerze.

– Aha.

– Ja wsiądę na pokład śmigłowca, po półgodzinie minę base camp, a chwilę później wysiądę na wysokości niemal pięciu tysięcy metrów nad poziomem morza.

– I rozsadzi ci czaszkę.

– Bez obaw. Ćwiczę heavy metal na słuchawkach niemal od urodzenia i czaszka nigdy mi nie eksplodowała. Jestem przygotowana.

– Chyłka…

– Biorę całą tablicę Mendelejewa w tabletkach, Zordon. Nie masz się czym przejmować?

Obrócił się w bok i oparł plecami o ścianę. Potarł nerwowo kark, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Właściwie to mam – rzucił.

– Czym?

Nie wiedział, ile powinien przekazywać Chyłce. Znał ją dostatecznie długo, by wiedzieć, że kiedy usłyszy o wszystkim, co powiedziała mu Kabelis, może postąpić nieroztropnie. I sprowadzić na siebie dodatkowe ryzyko.

– Jesteś gdzieś w pobliżu wioski Manang? – spytał.

– Nie.

– A będziesz przez nią przechodzić?

– Nie – odparła bez wahania poważnym tonem. – Szlibyśmy tamtędy podczas trekkingu. Ale ten etap ominiemy.

Kordian odetchnął.

– Dlaczego pytasz?

– Bo mogłabyś tam trafić na kilku niesympatycznie usposobionych Nepalczyków – odparł, a potem podjął decyzję, by przedstawić Joannie wszystko, czego się dowiedział. Oczywiste wydawało mu się, że prędzej czy później i tak to z niego wyciągnie.

Kiedy skończył, Chyłka przez moment milczała. Najwyraźniej niespecjalnie przejmowała się opłatami za połączenia międzynarodowe.

– Dlaczego to przed nami ukryła? – spytała w końcu. – Przecież to bez sensu, Zordon.

– Może kłamie.

– To też byłoby daremne, bo łatwo wszystko zweryfikujemy.

– Więc o co twoim zdaniem chodzi?

– Nie wiem – przyznała. – Ale mogę łatwo się dowiedzieć.

Oryński natychmiast pokręcił głową, jakby mogła to zobaczyć.

– Nie ma mowy – zastrzegł. – Jeśli Klara mówi prawdę, ci ludzie mogą…

– Przyleciałam tutaj, żeby się czegoś dowiedzieć – ucięła. – Gówno mnie obchodzi, gdzie znajdują się odpowiedzi. Mogą być na zboczach Annapurny, mogą być w zapadłej wioszczynie, obojętnie.

Nieco słabiej ją słyszał, więc szybko się podniósł i ruszył w stronę okna na korytarzu.

– Nie masz czasu – zauważył. – Sama mówiłaś, że nawet małe opóźnienie może pokrzyżować wam wszystkie plany.

– Ale zakładamy przecież optymistycznie, że wrócę z tej góry, prawda? – odparowała. – I nic nie stoi na przeszkodzie, żebym wtedy sprawdziła ten cały Bździągmąglang.

– Manang.

Było to ostatnie miejsce, w którym Oryński chciałby widzieć Chyłkę. Pragnął wierzyć, że Kabelis przesadzała w swojej relacji, ale bez trudu potrafił wyobrazić sobie grupę wkurzonych mieszkańców gotowych na wszystko, by ich sekrety nie wyszły poza zamkniętą społeczność. I by nie trafili przez nie do więzienia.

– Będzie dobrze, Zordon. Tutejsi ludzie to spokojne, ugrzecznione i nieszkodliwe kitajce.

– Dopóki nie wejdziesz im z butami do chaty.

– Otrę je przed progiem.

– Jasne.

Przez chwilę milczała, a on usłyszał klaksony, pokrzykiwania i inne odgłosy tętniącego życiem miasta, które przywodziły na myśl raczej Bangkok niż Katmandu.

– Jeśli się okaże, że ci ludzie rzeczywiście grozili Kabelis, będziemy w domu – odezwała się w końcu.

– To będzie też znaczyło, że tam naprawdę dzieją się takie rzeczy.

– Wymarzona sytuacja.

– Nie dla tych dziewczyn.

Poruszył ten wątek nie bez powodu, bo zdawał sobie sprawę, że w takim układzie Joanna tak po prostu nie opuści wioski. Jeśli ustali, że *kamalari* potrzebują pomocy, zrobi wszystko, by zawiadomić służby. A to mogło skończyć się znacznie gorzej niż kręcenie filmików bez zezwolenia.

– Spokojnie, Zordon. To nie moja sprawa – zastrzegła. – Moim zadaniem jest obrona Kabelis. Wszystko inne to czyjś inny krzyż do noszenia.

– Tyle że to ty go przygotujesz.

– Nie. To naprawdę nie mój problem.

– Powtórz to jeszcze kilka razy, a może któreś z nas w to uwierzy.

Westchnęła tak głośno, że nawet mimo tumultu bez trudu to usłyszał.

– Mówię poważnie – oznajmiła. – Wiem, że lubisz wyobrażać mnie sobie jako wielce empatyczną obrończynię praw osób fizycznych, zwierząt i co poniektórych osób prawnych, ale prawda jest taka, że skupiam się na zadaniu. Robię tylko to, co potrzebne do wygrania sprawy. Szczególnie w tym wypadku.

– Więc tak po prostu zostawisz tam te dziewczyny?

– Tak.

Pewność w jej głosie kazała mu choćby rozważyć, że może mówić prawdę. Przynajmniej w tej chwili, bo jej perspektywa może się zmienić, gdy tylko zobaczy, w jakich warunkach żyją *kamalari*.

– W takim razie mamy naprawdę parszywą robotę – zauważył.

– Nikt nigdy nie twierdził, że jest inaczej. Ale są gorsze.

– Tak?

– Pewnie. Przecież jakiś fryzjer strzyże Rutkowskiego, prawda?

Kordian zaśmiał się, doceniając, że rozładowała coraz bardziej ponurą atmosferę. Pożegnali się w dobrych humorach, choć ostatecznie trudno było Oryńskiemu stwierdzić, na ile jest to wynik ich usilnych starań, a na ile prawdziwych nastrojów.

Chyłka zapewniła go, że zadzwoni jeszcze przed wylotem z Katmandu i będzie na siebie uważała, a Kordian powtórzył, że nie ruszy się z mieszkania Kabelis.

Zaraz potem skierował się schodami w dół. Musiał działać tutaj, kiedy Chyłka robiła to w Nepalu. I wiedział, że jest tylko jedno miejsce, w którym może szukać odpowiedzi na pytanie o to, kim jest Zdun.

Udał się na przystanek przy Mehoffera, a potem wsiadł do autobusu linii pięćset dziewięć w stronę Gocławia.

Liczył na to, że uda mu się zniknąć w miejskim zgiełku, a ludzie, którzy złamali mu rękę jak zapałkę, nie będą się nim interesować. Raz po raz dyskretnie oglądał się przez ramię, ale nie zauważył nikogo podejrzanego.

Wysiadł na Dworcu Wileńskim, a potem wsiadł do autobusu numer sto siedemdziesiąt na Targówek. Wydawało mu się, że tuż za nim wszedł do środka mężczyzna, którego widział już w pięćset dziewiątce, ale szybko odsunął tę myśl, zrzucając ją na karb paranoi.

Zmienił zdanie, kiedy wysiadł na Elsnerowie, a podróżny zrobił to zaraz po nim.

Był śledzony.

Kordian przyspieszył kroku, kierując się ku budynkowi, który w schedzie po ojcu dostał William McVay. Tylko

u Brytyjczyka mógł szukać pomocy. William miał wszystkie niezbędne narzędzia, by sprawdzić dokumenty w kancelarii, a kiedy dowie się, że bezpieczeństwo Chyłki może być na szali, z pewnością się nie zawaha.

– Hej! – krzyknął idący za nim mężczyzna.

Oryński przyspieszył jeszcze bardziej, teraz nie mając już żadnych wątpliwości, że sprowadził na siebie kolejne problemy.

– Stój!

Obejrzał się nerwowo przez ramię, by sprawdzić, jak daleko jest śledzący go człowiek. W tym samym momencie luksusowy czarny samochód zatrzymał się gwałtownie tuż obok niego.

Kierowca opuścił szybę, a gdy tylko Kordian go zobaczył, stanął jak wryty.

– Wsiadaj – polecił mężczyzna.

5

Kaldhara Marg, Katmandu

Wilgotny zapach w powietrzu zdawał się obiecywać deszcz, ale w niemal wszystkich prognozach twierdzono, że przynajmniej przez kilka najbliższych dni można liczyć na dobrą pogodę.

Chyłka miała tylko nadzieję, że tutejsi meteorologowie znają się na swoim fachu równie dobrze, jak kucharze w rodzinnej restauracji tybetańskiej Yangling przy Kaldhara Marg. Tłoczyli się tutaj zarówno turyści, jak i lokalsi, a jedni i drudzy podkreślali, że to właśnie w tym miejscu można dostać najlepsze *momo* w Katmandu.

Joanna spojrzała na mięsne pierożki ułożone wokół niewielkiej miski z sosem. Na dole restauracji trwała właściwie ich nieprzerwana, masowa produkcja, jakby kucharka miała ambicję, by wykarmić całą stolicę Nepalu.

Zanim Chyłka zdążyła sprawdzić, czy pochlebne opinie nie są przesadzone, rozległ się dzwonek leżącego na stole telefonu. Westchnęła, odłożyła sztućce i spojrzała na wyświetlacz.

Odebrała niechętnie, nie tylko dlatego, że *chilli momo* jej stygły.

– Wyjechałam między innymi po to, żeby trochę od ciebie odpocząć, Artur – rzuciła na powitanie.

Żelazny krótko wypuścił powietrze nosem.

– Mamy kłopot.

– Masz na myśli swoje nazwisko na szyldzie kancelarii? – spytała, zanurzając pierożek w sosie sezamowym. – Spokojnie, uporam się z tym prędzej czy później.

Zaczęła przeżuwać, a on przez moment nie odpowiadał.

– Chyłka & McVay brzmiałoby całkiem nieźle, co? – wymamrotała.

– Jesteś pijana?

– Jeszcze nie. Piję maślaną herbatę – odparła i niepewnie zerknęła na kubek. – Wepchnął mi ją gość z obsługi, twierdząc, że to tradycyjny tybetański napitek.

– To dobrze, bo…

– Dziwnie smakuje i ma trochę dziwną konsystencję. Może dlatego, że jest w niej pieprzone masło. I mleko z jaka.

Nie mogła odmówić sobie okazji do poirytowania imiennego partnera, nawet jeśli oznaczało to, że będzie musiała spowolnić pochłanianie *momo*.

– Wyobrażasz sobie, że ubijają to w maselnicy? Herbatę?

– Nie wyobrażam sobie. Ale jak mówiłem, mamy problem.

– Ja z pewnością mam z wypiciem tego słono-tłustego specyfiku, którego aromat przywodzi na myśl zapach kundla taplającego się w…

– Miałem na myśli problem tutaj.

– Cokolwiek to jest, rozwiążę go po powrocie.

– Sprawa jest nagląca, Chyłka.

– I jak niby mam ci pomóc, siedząc w tybetańskiej knajpie w stolicy Nepalu? – odburknęła. – Utraciłam zdolność bilokacji, od kiedy świadomie przestałam korzystać z Mocy i zaszyłam się na Ahch-To.

Artur nie odpowiadał.

– To ta planeta, na której zbudowano pierwszą świątynię Jedi.

– Chodzi o Oryńskiego – rzucił Żelazny.

Joanna odłożyła sztućce i przez chwilę patrzyła na herbatę, spodziewając się, że dostrzeże grudki lub kożuch.

Najwyraźniej jednak ktokolwiek ubijał ten napój, przyłożył się do swojej roboty.

– A konkretnie? – spytała.

– Nadal grzebie w sprawie.

– Nie. Siedzi u Kabelis i nie wyściubia nosa.

– Mylisz się.

– Niedawno z nim rozmawiałam, Artur. Mówił, że…

– W takim razie jest wobec ciebie równie szczery, jak ty względem niego.

Ukłuło ją to. Owszem, w ostatnim czasie musiała ukryć przed nim kilka faktów, ale nie miała innego wyboru. Poza tym nie powiedziała mu niczego, co mijałoby się z prawdą. Może poza deklaracją, że nie będzie podejmowała nadmiernego ryzyka w górach.

Pociągnęła łyk herbaty, jakby poczuła potrzebę, by się ukarać.

– Co masz na myśli? – zapytała.

– Jak się zapewne domyślasz, trzymam tutaj rękę na pulsie – podjął Żelazny. – Kazałem obserwować Oryńskiego.

– To znaczy śledzić go?

– Dla jego własnego bezpieczeństwa.

– Oczywiście.

– Przed momentem wyszedł z bloku przy Mehoffera i wsiadł do autobusu.

Joanna zaklęła pod nosem i ze złością odłożyła kubek. Zordon nie miał najmniejszego pojęcia o ogniu, z którym igrał. Ani o tym, że mógł się nie tylko sparzyć, ale także doszczętnie spalić.

– Dokąd jedzie?

– W kierunku Gocławia.

– Masz go na oku?

– Cały czas za nim jadę.

Chyłka rozejrzała się za kimś z obsługi, uznając, że czas najwyższy zamienić herbatę na coś mocniejszego. Nie dostrzegłszy kelnera, z telefonem przy uchu zeszła na dół, a potem wzięła piwo Gorkha, które zdawali się pić wszyscy w lokalu.

Chwilę później usiadła z powrotem na górze, a Żelazny relacjonował jej, w którym kierunku zmierza Oryński.

Czego szukał? Z pewnością musiał uznać, że jest ktoś, u kogo może znaleźć odpowiedzi. Kormak odpadał, dostał już wytyczne od Artura, by trzymać się od sprawy z daleka. Nikt w kancelarii nie okaże się pomocny, a policja czy prokuratura prędzej Kordiana zamknie, niż udzieli mu jakichkolwiek wyjaśnień.

Zostawał jeden człowiek. Ten, któremu zależało na Chyłce podobnie jak Oryńskiemu i który miał możliwości, by przeszukać bazę danych kancelarii.

– Jedzie na Elsnerów – rzuciła Joanna.

– Do McVaya?

– Nie widzę innej możliwości. Rozmawiałeś z nim?

– Nie.

– Więc nie ma pojęcia o Zdunie?

– Przypuszczam, że nie. Wszystko jest utajnione, a ojciec z pewnością nic mu nie wspominał.

Chyłka napiła się piwa. Wydawało jej się, że bierze tylko niewielki łyk, ale uzmysłowiła sobie, że opróżniła jedną czwartą kufla.

– Musisz zatrzymać Zordona – poleciła. – Jeśli obaj się do tego wezmą, mogą być problemy.

– Akurat ich kooperacją się nie…

– Po prostu nie pozwól, żeby dostał się do McVaya. Możesz to zrobić?

Potwierdził niechętnie, a potem się rozłączył. Nie musieli dłużej dyskutować, Artur doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jak ważne jest dochowanie tajemnicy.

Chyłka zjadła *momo* w zamyśleniu, poniewczasie orientując się, że powinna skupiać się na porannym wylocie, a nie na tym, co się dzieje w Warszawie. Jeśli rzeczywiście chciała przetrwać spotkanie z Annapurną, musiała oddać górze nie tylko należny szacunek, ale także całą swoją uwagę.

Helikopter czekał na nią i Juliana na niewielkim parkingu za rzędem niskich fabrycznych budynków. Nie wyglądało to na lądowisko i podawało w wątpliwość fakt, że wszystko odbywa się całkowicie legalnie.

O ile to słowo miało tutaj takie znaczenie, jak w Europie. Robiąc poprzedniego dnia zakupy w placówce przypominającej aptekę, Chyłka miała wrażenie, że nabyła od ręki sporo środków, które powinno się sprzedawać wyłącznie na receptę.

Zrobiła to w tajemnicy przed Brenczem. Zarówno on, jak i inni znający się na rzeczy ludzie polecali wprawdzie zakupy na miejscu, ale z jednym wyjątkiem – nabywania leków. Te znacznie bezpieczniej było kupić przed wylotem.

Joanna uznała jednak, że jeśli ma uporać się z chorobą wysokościową w przyspieszonym trybie, będzie potrzebowała nieco większych dawek. Pomóc miał przede wszystkim aparat tlenowy, dzięki któremu wedle zapewnień Nepalczyków na wysokości pięciu tysięcy metrów będzie się czuła, jakby była na czterech.

Wsiedli na pokład maszyny, którą miejscowi nazywali pieszczotliwie wiewiórką, a potem dali pilotowi znak, że są gotowi.

Lot przebiegł bez problemów, co zważywszy na stan helikoptera, należało uznać za dobry omen. Widok rozciągający się z pokładu maszyny uzmysławiał jednak

gigantyczną, przeraźliwą potęgę natury, w porównaniu z którą człowiek zdawał się jedynie marnym pyłkiem.

Po tym, jak śmigłowiec wylądował ponad większością wiosek, Chyłka i Julian zaczęli poszukiwać pracowników agencji mających doprowadzić Joannę w wyznaczone miejsce.

Wysokość, na której znajdowały się ciała, nie była największym problemem – główny kłopot sprowadzał się do tego, że miejsce to znajdowało się poza znanymi trasami wspinaczkowymi. Klara i jej ekipa chcieli wyznaczyć nową drogę – i najwyraźniej nie bez powodu żadna nie biegła po zboczu, które wybrali.

– Powinienem iść z tobą – odezwał się Brencz, kiedy jeden z przewodników poszedł szukać Szerpów mających towarzyszyć im w wyprawie.

– Twoje naturalne środowisko jest na Madagaskarze i Komorach, nie tutaj.

Julian powiódł wzrokiem po okolicznych szczytach, które z tej perspektywy wyglądały, jakby znajdowały się w innym, całkowicie nieosiągalnym świecie. Gdzieś w oddali znad zbocza uniósł się biały obłok. Wyglądał niegroźnie, ale w istocie był lawiną, która mogła odebrać życie każdemu, kto znajdzie się na jej drodze.

– Ustaliliśmy, że bardziej przydasz się w bazie – powiedziała Chyłka. – Taki był plan od początku, najpierw dla Zordona, potem dla ciebie.

Nie było to czcze gadanie. Na górze jeden ani drugi nie mogli jej się przydać – będzie szła ramię w ramię z profesjonalnymi wspinaczami, których główne zadanie sprowadzi się do wykonania połowy roboty za nią.

Nawet to jednak nie sprawi, że Chyłka zachowa całkowitą trzeźwość umysłu. Im wyżej będzie wchodziła, tym mętniejsze będą się stawały jej myśli. W końcu utraci zdolność do

podejmowania sensownych decyzji – i wówczas kontakt z kimś, kogo dobrze znała, okaże się kluczowy.

Zordon miał koordynować wszystko z dołu, stanowić przez pewien czas mózg całej operacji i kierować działaniem Joanny. To on miał podejmować wszystkie decyzje, a ona dostosowywać się do nich razem z Szerpami i przewodnikami.

Oddałaby wiele, by to Oryński był z nią tutaj, ale z obiektywnego punktu widzenia Brencz mógł się okazać lepszym wyborem. Miał przynajmniej podstawową wiedzę wspinaczkową i potrafił lepiej ocenić zagrożenia.

Warunek był jeden – musiał zostać na dole, gdzie będzie potrafił logicznie myśleć. W przeciwieństwie do niej.

– Mimo wszystko lepiej bym się czuł, idąc z tobą.

– Ty może i tak. Ja niekoniecznie.

Skinął niechętnie głową, a ona zdawała sobie sprawę, że nie musi mu tego tłumaczyć. Nie miała zresztą okazji, bo moment później podeszli do nich Szerpowie, których Julian nazywał hapsami, i zaczęli łamaną angielszczyzną przedstawiać się Chyłce. Zaraz po nich w okolicy w końcu pojawili się dziennikarze.

Kamery od razu poszły w ruch, a Joanna miała nadzieję, że przekrwione oczy widzowie potraktują jako rezultat zimna, a nie kaca, z którym od rana walczyła. Ustawiła się przed jednym z obiektywów, a potem dała znak mężczyźnie z mikrofonem, że jest gotowa.

– Przed momentem mogliśmy obserwować lawinę schodzącą po jednym ze zboczy – zaczął reporter NSI, ubrany tak ciepło, że przypominał ludzika Michelin. – I to na trasie, która jest uznawana za bezpieczną. Nie boi się pani, że coś podobnego spotka panią na drodze, którą próbowała wytyczyć Klara Kabelis?

– Boję się jedynie kierunku, w jakim zmierzamy jako społeczeństwo – odparła.

Większość dziennikarzy najwyraźniej nie miała wcześniej z nią do czynienia, bo wyglądali na nieco zmieszanych.

– Staliśmy się tak wygodniccy i stworzyliśmy sobie tak głębokie poczucie komfortu i bezpieczeństwa, że doszło do pewnego absurdu. Zaczęliśmy budować specjalne parki rozrywki, escape roomy i sale tortur, by móc się wystraszyć. Nie wspominając już o oglądaniu i czytaniu horrorów.

Żaden z reporterów nie podjął tematu.

– Z dwojga złego wolę książki – zadeklarowała Joanna. – Bo w filmie oglądam, jak wygląda strach widziany czyimiś oczami. W powieści patrzę na swój własny.

Uznała, że to by było na tyle, jeśli chodzi o wymiganie się od odpowiedzi i wprowadzenie dziennikarzy w lekką konsternację. Powiodła wzrokiem po obiektywach, czekając na kolejne pytania. Tym razem zgłosił się reporter z TVN24 – wyraźnie najbardziej zaprawiony na tej wysokości, bo jako jedyny nie miał twarzy spuchniętej jak balon.

– Co zamierza pani osiągnąć?

Chyłka obróciła się na moment i wskazała pierwszy z wierzchołków Annapurny.

– Szczyt wrażeń.

– Sądzi pani, że znajdzie dowody na niewinność pani klientki?

Na to pytanie czekała. Zrobiła krok w kierunku kamery, przy której stał dziennikarz, a potem zatoczyła ręką krąg. Nie miała wątpliwości, że w kadrze widać, jak ekstremalne warunki tutaj panują. Mimo że w Katmandu temperatura przekraczała dwadzieścia stopni, tutaj wszystko przykrywał śnieg. Już na pierwszy rzut oka była to okolica nieprzyjazna

człowiekowi, surowa i odstraszająca od podejmowania jakichkolwiek prób jej poznania.

Zawodzący wiatr musiał być dobrze słyszalny pomimo grubych pianek okrywających mikrofony. Podobnie jak trzęsące się głosy reporterów.

Wszystko to było na wagę złota. I stanowiło być może element ważniejszy niż samo odnalezienie zwłok wspinaczy.

– Więc? – ponaglił ją reporter. – Uważa pani, że Klara Kabelis jest niewinna?

– A czy inaczej wypuszczałabym się na tę wyprawę? – odparła w końcu Joanna, patrząc w obiektyw. – Czy ryzykowałabym życie, gdybym sądziła, że moja klientka mogła dopuścić się tego, co zarzuca jej prokuratura?

Zmrużyła lekko oczy.

– Ta góra to zabójca – dodała. – Jej pierwsi zdobywcy zapadli na ślepotę śnieżną i mieli tak silne odmrożenia, że konieczne były liczne amputacje. Uszli z życiem tylko dlatego, że uratowali ich inni uczestnicy wyprawy.

Powiodła wzrokiem po kamerach.

– Po nich przez dwadzieścia lat nikt nie zdobył Annapurny – ciągnęła. – Nie bez powodu, bo tutaj śnieg to synonim śmierci. Lawiny, odrywające się seraki i niebezpieczne opady to codzienność. I to przede wszystkim z tego względu niemal czterdzieści procent ludzi, którzy ruszają pod tę górę, już nie wraca.

Spodziewała się, że ktoś jej przerwie, ale wszyscy reporterzy słuchali z uwagą.

– Sama nazwa sugeruje, z czym mamy do czynienia. Annapurna to imię hinduistycznej bogini, które dosłownie oznacza: Wypełniona Pożywieniem.

Chyłka znów zerknęła w kierunku zaśnieżonego, strzelistego i mistycznego szczytu.

– Ginęli tutaj najsłynniejsi himalaiści, a inni ledwo uchodzili z życiem. Dla wielu zdobycie tej góry było największym wyzwaniem… a nie muszę chyba państwu mówić, że osoby takie jak ja nie powinny w ogóle pojawiać się na tej wysokości – ciągnęła, nie odrywając wzroku od kamer. – Zapewniam więc, że gdyby istniał choćby cień szansy, że moja klientka jest winna, nie rozmawialibyśmy tutaj teraz.

Chyłka cofnęła się o krok i oparła ręce na biodrach.

– Dowody na niewinność Klary gdzieś tam są – powiedziała. – Proszę trzymać kciuki za to, żeby udało mi się z nimi bezpiecznie tutaj wrócić.

Wiedziała, że wszystko wypadło tak, jak powinno. Jeśli tym nie stworzy odpowiedniej narracji w mediach, to niczym innym tego nie osiągnie. Skinęła lekko głową, a potem odwróciła się i odeszła, nie mając zamiaru odpowiadać na żadne pytania.

Wyciągnęła smartfona i napisała esemesa.

„Odwołaj ekipę sprzątającą, Zordon. Właśnie pozamiatałam".

Nacisnęła przycisk „wyślij" i dopiero wówczas uświadomiła sobie, że nie ma tutaj zasięgu. Schowała telefon, a potem się rozejrzała. Okolica znacznie różniła się od tego, co można było zastać w położonym niżej base campie.

Tam była jeszcze roślinność, tutaj właściwie już niemal sam śnieg. Chyłka miała nocować w jednym z namiotów rozstawionych przez agencję, zaaklimatyzować się choć trochę, a z samego rana ruszyć w kierunku miejsca, gdzie miały znajdować się ciała.

Sam fakt, że szła tam właśnie po to, by odnaleźć ludzkie zwłoki, w jakiś sposób działał na nią niepokojąco. Być może nie powinien, bo przykra prawda była taka, że widok ciał wspinaczy na zaśnieżonych zboczach ośmiotysięczników nie był niczym niespotykanym.

Na samym Evereście znajdowało się ich przeszło dwieście. Dobrze zachowanych przez niską temperaturę, niektórych niezidentyfikowanych. Wszystkie przypominały o tym, jak niebezpieczne są góry.

Ekstremalne warunki zaczynały się od wysokości pięciu tysięcy metrów, od której Chyłkę już niewiele dzieliło. Przy siedmiu tysiącach dziewięciuset zaczynała się strefa śmierci, organizm zaczynał się wyłączać, więc kluczowe było, by jak najszybciej zejść na pułap, na którym człowiek mógł funkcjonować.

Jej również będzie się spieszyło. Nie ze względu na wysokość, ale pogodę. W normalnych warunkach Annapurna była groźna, przy burzy szanse przeżycia właściwie spadały do zera.

Ale o to, by zdążyć przed nadejściem frontu, dbała cała drużyna ludzi. Szerpowie i wspinacze z agencji już od kilku dni poręczowali podejście pod miejsce, gdzie miały znajdować się ciała. Joanna będzie miała do dyspozycji liny, które zapewnią nie tylko asekurację, ale także możliwość szybszego przemieszczania się.

Najtrudniejsza robota zostanie wykonana za nią. Ona będzie musiała jedynie nie przegrać walki z samą sobą. A przynajmniej tak sobie powtarzała.

Przerwała rozmyślania, kiedy Julian zawołał ją do jednego z namiotów. Miała poznać pozostałych Nepalczyków, w których ręce właściwie składała swoje życie. Jedna źle umocowana lina, jeden niewielki błąd mógł okazać się dla niej tragiczny w skutkach. Nie była to krzepiąca myśl.

Zanim Brencz wszedł do namiotu, zatrzymała go.

– Słuchaj… – zaczęła. – Czy któryś z tych hapsów pochodzi z Manang?

Julian chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią, marszcząc brwi.

– Czemu pytasz?

– Po prostu odpowiedz.

– Wszyscy są z Manang.

– Co takiego?

– Agencja musiała szukać ich na ostatnią chwilę. Tylko Szerpowie z tamtej wioski się zgłosili.

6

Elsnerów, Targówek

Po chwilowym zawahaniu Kordian zignorował auto, które się obok niego zatrzymało, i ruszył dalej w stronę domu McVaya. Żelazny nie miał jednak zamiaru odpuszczać. Włączył światła awaryjne, a potem wyszedł z samochodu.

– Poczekaj!

Niemądrze było ignorować przełożonego, tym bardziej że jego obecność tutaj z pewnością była nieprzypadkowa. Krótki namysł wystarczył Oryńskiemu, by uznać, że to właśnie imienny partner kazał go śledzić – i być może to nie napastników z Saskiej Kępy powinien się obawiać, ale właśnie Artura.

– Zaczekaj chwilę, do cholery…

Ktoś zatrąbił, poirytowany stojącym na jezdni samochodem, ale Kordian nawet się nie obrócił. Zorientował się, że Żelazny się z nim zrównał, dopiero przed ogrodzeniem domu.

Sam budynek powoli przestawał przypominać miejsce, w którym mieszkał Harry McVay. Jego syn zatrudnił kilka osób do uporania się z chwastami, a przyległy teren zaczynał wreszcie wyglądać jak przydomowy ogródek, a nie kawałek bezpańskiej ziemi. Część elewacji była już odnowiona, a okna wymienione na nowe.

William najwyraźniej zamierzał zostać tutaj na dłużej.

– Nie masz pojęcia, co robisz – rzucił Artur, stając obok furtki.

– Zamierzam tylko pogadać z McVayem.

Żelazny bezradnie rozłożył ręce, a gestem tym w jakiś sposób udało mu się także okazać swoją irytację i poczucie wyższości.

– Jeśli go w to wciągniesz, narobisz nam wszystkim jeszcze większych problemów.

– Jakich?

– Dobrze wiesz, że nie mogę o tym rozmawiać.

– Ani pan, ani Chyłka, ani Lew Buchelt – zauważył Oryński, zbliżając się do przełożonego. Nie pamiętał, by kiedykolwiek znaleźli się tak blisko bezpośredniej konfrontacji. – Wygląda na to, że nikt nie może dać mi żadnych odpowiedzi.

– Nie bez powodu.

– I przypuszczam, że William jest w podobnej sytuacji jak ja.

– Podobnej, ale nie takiej samej – zauważył Artur. – Bo on rzeczywiście może nieco więcej.

– Nieco? Ma dostęp do wszystkich akt.

– Nie wszystkich.

Kordian wątpił, by to była prawda. Jeśli kancelaria zajmowała się czymś w przeszłości, gdzieś musiały zostać ślady. Wystarczyłaby sygnatura, reszty McVay mógłby dowiedzieć się z akt sądowych.

– To się okaże – odparł Oryński i spróbował minąć szefa.

Żelazny zastąpił mu drogę, ale nie zdążył zareagować, nim Kordian sięgnął do dzwonka. Jego również wcześniej tutaj nie było, podobnie jak plakietek z informacją o tym, że cały teren jest pilnowany przez firmę ochroniarską.

– Będziesz tego żałował.

– Wątpię.

– Sprowadzisz kłopoty na nas wszystkich. I wiem, że pozostali partnerzy niespecjalnie cię interesują, ale w tej chwili każdym swoim lekkomyślnym działaniem szkodzisz Chyłce.

Kordian zignorował tę uwagę i zadzwonił jeszcze raz. Nie interesowało go, co Żelazny miał do powiedzenia – przełożony na przestrzeni lat udowodnił, jak bardzo wiarygodne są jego słowa.

– Jeśli mi nie wierzysz…

– Z całym szacunkiem, ale oczywiście, że nie wierzę – uciął Oryński. – I nie jestem jedyny.

– Doprawdy?

– Chyłka określiła to kiedyś dość trafnie – dodał Kordian, dzwoniąc po raz kolejny. – Powiedziała, że lepiej zaufać recenzjom spadochronów w internecie niż panu.

Artur uniósł brwi i dopiero po chwili załapał, że osoby niezadowolone z działania tego konkretnego produktu raczej nie mają już okazji do wyrażenia negatywnej opinii.

– Świetnie – odbąknął Żelazny. – Ale nie musisz ufać mnie. Wystarczy, że posłuchasz Chyłki.

Tym razem Kordian przyciskał dzwonek dużo dłużej. Wciąż jednak nie było żadnej reakcji i w końcu musiał uznać, że gospodarza nie ma w domu.

– Co panu zależy? – spytał. – Skoro William i tak nic nie wie, jaka w tym szkoda?

– Taka, że kiedy tylko opiszesz mu tę sytuację, zacznie drążyć. A jak się to skończyło w twoim przypadku, widać jak na dłoni. – Wskazał na rękę w szynie.

Kordian powiódł wzrokiem po oknach, starając się wypatrzyć jakikolwiek ruch. Dopiero po chwili zorientował się, że z boku budynku McVay najwyraźniej kazał wznieść wiatę i zrobić miejsce parkingowe.

Wychylił się nieco i zobaczywszy samochód Williama, wskazał go przełożonemu.

– Wygląda na to, że nie jesteśmy mile widziani – odezwał się Oryński.

Przeszło mu przez myśl, że McVay mógł zaszyć się w domu i nie przyjmować gości tylko z jednego powodu. Dostał wyniki, na które czekał tak samo jak Joanna. I potwierdziły się jego najgorsze obawy.

Nie, to niemożliwe. Oznaczałoby to, że badania Chyłki także wypadną niekorzystnie.

Kordian skupił wzrok na Żelaznym.

– Kiedy ostatnio go pan widział? – zapytał.

– Trudno powiedzieć, mijaliśmy się na korytarzu może tydzień temu. Dlaczego?

– Jak wyglądał?

Artur przekrzywił głowę i poprawił spinki mankietów. Wyraźnie nie był zadowolony, że młody prawnik stawia go w sytuacji, w której to on musi odpowiadać na pytania. I być może właśnie dlatego zdecydował się milczeć.

– To może być ważne – zastrzegł Oryński.

– Z jakiego powodu?

Kordian miał ochotę potrząsnąć rozmówcą i być może by to zrobił, gdyby nie fakt, że właściwie cała jego przyszłość sprowadzała się do pracy w Żelaznym & McVayu.

– Brzmisz, jakbyś się o niego martwił, młodzieńcze – dodał Artur, nie doczekawszy się odpowiedzi.

– Może mam powody.

– W takim razie chętnie je poznam.

Oryński pokręcił głową i sięgnął do kieszeni po komórkę. Nie było sensu dłużej przepychać się z Żelaznym, szczególnie teraz, kiedy mogło chodzić o wyniki badań Chyłki. Kordian wybrał numer Williama, ale nikt się nie zgłaszał. Ponowił próbę kilkakrotnie, skutek jednak za każdym razem był taki sam.

W końcu rzucił Arturowi znaczące spojrzenie.

– Może pan spróbuje się do niego dodzwonić?

Szef bez słowa wyjął telefon, ale McVay najwyraźniej także od niego nie miał zamiaru odbierać. Po chwilowym zastanowieniu Żelazny wybrał numer kancelarii i odszedł kawałek. Podczas gdy on skupiał się na rozmowie z kimś w firmie, Kordian obszedł budynek. Nic nie wskazywało na to, by William był na miejscu.

Nie wyglądało to najlepiej. Oryński z łatwością mógł sobie wyobrazić, jak Brytyjczyk załamuje się po otrzymaniu negatywnych wyników. Może nie byłby gotów targnąć się na swoje życie, ale ucieczka jak najdalej stąd z pewnością wchodziła w grę.

Kiedy Kordian wrócił przed główną bramę, od razu zrozumiał, że przełożony ma dla niego jakieś wieści.

– McVay wczoraj kupił bilet na samolot – oznajmił Artur. – Wyleciał z Okęcia dziś rano.

– Dokąd?

– Do Katmandu.

Oryński miał wrażenie, że ziemia zadrżała mu pod nogami. Owszem, William musiał wiedzieć, co się szykowało, ale nie mieli żadnych sygnałów, by się tym zainteresował. Przeciwnie, jego nieobecność kazała sądzić, że zajmują go nie pojedyncze sprawy, ale ogólne wyniki finansowe kancelarii.

Ale może były rzeczy, o których Kordian nie wiedział? Może Chyłka kontaktowała się z Brytyjczykiem?

Nie, do pewnych rzeczy byłaby gotowa za jego plecami, ale nie do tego. Musiała mieć świadomość, że byłby to zbyt mocny cios.

– Jest jeszcze coś – dodał Żelazny. – Wygląda na to, że William nie potrzebował twojej wizyty, żeby interesować się Zdunem.

– Nie?

– Sam zaczął badać tę sprawę. Przedwczoraj.

Wydawało się to całkowicie nielogiczne. McVay nie miał prawa o tym wiedzieć, nie powinien interesować się czymś, co poza kręgiem osób, które ewidentnie były wtajemniczone, dotarło jedynie do Kordiana.

Oryński szybko stworzył w myśli listę ludzi, którzy mogli powiązać aktualne wydarzenia z osobą Zduna.

Numer jeden to sam stalker, który podłożył pendrive'a pod Proximą, w miejscu, gdzie doszło do zabójstwa. Numer dwa to Chyłka, która znalazła urządzenie. Numer trzy to Żelazny, cztery to Borsuk, któremu Kordian wspomniał o powiązaniu z dawną sprawą Joanny.

Było jeszcze kilka osób, ale żadna z nich nie mogła zgłosić się do Williama.

– Ale… jak w ogóle dowiedział się o Zdunie? – spytał Kordian.

– A jak sądzisz? – odparł z irytacją Artur. – To także jego kancelaria, ma prawo trzymać rękę na pulsie.

Kormak.

Badał sprawę na prośbę Oryńskiego i najwyraźniej jakąś strunę poruszył na tyle głośno, że wywołał rezonans.

Nie było innego wyjaśnienia, McVay musiał kontrolować, co robi chudzielec – i właściwie trudno było mu się dziwić. Jeśli coś istotnego działo się w kancelarii, Kormak zazwyczaj był w to zaangażowany.

William dowiedział się o sprawie i następnego dnia poleciał do Nepalu. Co to oznaczało? I w co oni wszyscy grali? Kordian miał wrażenie, jakby tylko on jeden się w tym wszystkim gubił, a pozostali uczestnicy tej zagmatwanej rozgrywki za jego plecami drwili sobie z niego w najlepsze.

O ile Żelaznego, McVaya i Buchelta mógłby o to podejrzewać, o tyle Joannę gotów był wykluczyć, przynajmniej jeśli chodziło o zmowę, spisek czy inne podejrzane konszachty.

A jednak musiał istnieć dobry powód, dla którego nic mu nie zdradziła.

– McVayowi udało się do czegoś dotrzeć? – spytał Oryński.

– Zaraz to ustalę – rzucił krótko Żelazny, a potem ruszył w stronę wciąż blokującego ruch auta.

Tym razem to Kordian poszedł za nim. Próbował go zatrzymać, zanim Artur wsiadł do samochodu, ale nadaremno. Nic nie robiąc sobie z zabiegów Oryńskiego, imienny partner trzasnął drzwiczkami, a potem opuścił szybę.

– Trzymaj się od tego z daleka – rzucił, nim odjechał.

Kordian rozejrzał się za mężczyzną, który ciągnął się za nim od Mehoffera, ale po nim również nie było śladu. Najwyraźniej nie opłacało się dalej go śledzić. Okazał się niegroźny, nie uchylił choćby rąbka tajemnicy, której tak skwapliwie strzeżono.

Oryński miał tego dosyć. Czuł, że musi działać, ale nie miał pojęcia, co jeszcze mógłby zrobić. Starsi prawnicy milczeli jak grób, Kormak nie odbierał telefonu, McVay uciekł mu sprzed nosa, a Chyłka… Boże, nie wiedział nawet, czy rzeczywiście dostała te wyniki badań.

Nie mogąc się do niej dodzwonić, uznał, że pozostało mu tylko jedno wyjście. Jeśli ktokolwiek wiedział coś na ten temat, to jedynie Magdalena. I nie tylko na ten. Oryński przypuszczał, że może mieć jakieś informacje o sprawie, którą Joanna prowadziła po zabójstwie pod Proximą.

Upewniwszy się, że siostra Chyłki jest w domu, Kordian ruszył w stronę najbliższego przystanku autobusowego. Niespecjalnie wiedział, jak dostać się z Elsnerowa na Stary Wilanów, ale przypuszczał, że przynajmniej część drogi pokona metrem.

Ostatecznie się jednak rozmyślił i zamówił taksówkę. Magdalena zdążyła akurat zaparzyć kawę, nim zjawił się

w postmodernistycznym budynku przy Europejskiej.

– Jak się czujesz? – spytał, wchodząc do salonu.

– Tak jak wyglądam.

Skinął głową, starając się jej ostentacyjnie nie przyglądać. I bez tego dostrzegł, że sprawia wrażenie rozbitka na bezludnej wyspie, któremu skończyły się zapasy i nadzieja na to, że kiedykolwiek zostanie uratowany. Być może nie była to chybiona analogia.

Usiedli na fotelach, nie patrząc na siebie. W domu panowała absolutna, niemal nabożna cisza, która sprawiała, że Kordian czuł się nieswojo. Nawet przełknięcie kawy wydawało mu się tak głośne, jakby tuż obok coś eksplodowało.

Odchrząknął i odstawił kubek, a Magdalena dopiero wtedy zdawała się zorientować, że odpłynęła gdzieś myślami.

– Mówiłeś, że chcesz mnie o coś zapytać? – odezwała się.

– O wyniki badań.

– Z testu na HTLV? Przyszły już?

Zdziwienie połączone z chorobliwą wręcz ciekawością kazały mu sądzić, że Magdalena ma dokładnie tyle informacji, co on.

– Nie wiem – przyznał. – Myślałem, że może tobie Chyłka coś mówiła.

– Nic.

Kordian założył nogę na nogę i uniósł wzrok. Przyszło mu do głowy, że on także musi przywodzić na myśl rozbitka. Tyle że chorobliwie próbującego sklecić tratwę ze wszystkiego, co ma pod ręką.

– To niestandardowy test – dodała łamiącym się głosem Magdalena. – Podobno dlatego zajmuje nieco więcej czasu.

– No tak.

– Po prostu musimy być cierpliwi – mruknęła, a potem pociągnęła nosem. – Ale nie przyjechałeś tutaj przecież po to, żeby słuchać takich dyrdymałów, prawda?

Uśmiechnął się lekko. Mimo że siostry twierdziły, iż nie mają ze sobą wiele wspólnego, widać było, że w ich żyłach płynie ta sama krew.

– O to mogłeś spytać przez telefon – dorzuciła. – A więc albo tylko sprawdzasz, jak się trzymam, albo jest jakiś inny powód, dla którego chciałeś pogadać.

– Jest – przyznał, splatając dłonie na kolanie. – Badam sprawę z przeszłości Chyłki, ale na razie trafiam na mur za murem.

– Sprawę związaną z tym, co się dzieje?

– Może – odparł, nie mając zamiaru zagłębiać się w szczegóły. – Ale dopóki nie wiem więcej, trudno przesądzić.

– I myślisz, że ja mogę ci jakoś pomóc?

– Jeśli nie ty, to już chyba nikt.

– W takim razie pytaj śmiało – zadeklarowała, a w jej zmęczonych oczach pojawił się błysk nadziei, że na coś się przyda. – Jeśli tylko będę mogła, pomogę.

Kordian rozplótł dłonie i nachylił się nad stołem.

– Chodzi o sprawę z końca lat dziewięćdziesiątych, może późniejszą – podjął. – Nie wiem, kiedy dokładnie Chyłka ją prowadziła, ale na pewno po dziewięćdziesiątym siódmym. Dotyczyła kogoś o ksywie lub nazwisku Zdun.

Wpatrywał się w oczy Magdaleny, obawiając się, że może umknąć mu jedna, przelotna reakcja, która będzie świadczyła o tym, że siostra Chyłki wie coś na ten temat. Niczego takiego jednak nie dostrzegł.

– Pierwsze słyszę.

– Chodziło o zabójstwo pod Proximą. Zginął jakiś przypadkowy chłopak, a Joanna broniła sprawcy.

– Z sukcesem?

– Tak. Zamiast dwudziestu pięciu lat dostał zero.

– Nieźle – odparła w zamyśleniu Magdalena, po czym utkwiła wzrok gdzieś w głębi mieszkania. – Przypuszczam, że to było w czasie, kiedy zaczynała budować swoją renomę.

– Mniej więcej.

– Więc sprawa jest dobrze udokumentowana. Do czego ja ci jestem potrzebna?

– Rzecz w tym, że nie jest.

– To skąd wiesz, że Chyłka go wybroniła?

– Sama mi o tym powiedziała. Ale to wszystko, czego się od niej dowiedziałem.

– Nie możesz spytać kogoś w kancelarii?

– Pytałem. I wszyscy byli mniej więcej tak rozmowni, jak Hodor w *Grze o Tron* lub Chewbacca w *Gwiezdnych wojnach*.

Choć wydawało się to niemożliwe, Magdalena nie sprawiała wrażenia, jakby wiedziała, do kogo się odnosi.

– Miałem nadzieję, że ty będziesz coś pamiętała.

Pokręciła głową, wciąż wpatrując się w jakiś punkt w oddali.

– Przypuszczałem, że rozmawiałyście wtedy o pierwszych prowadzonych przez Chyłkę sprawach.

– Pewnie tak było, ale Zdun nic mi nie mówi.

Kordian zaklął w duchu i potarł nerwowo włosy, czując, jak się elektryzują. Zastanawiał się, czy zna jakikolwiek inny szczegół, który mógłby naprowadzić Magdalenę na właściwy trop. Widział, że chce pomóc, ale nie wie nawet, gdzie w pamięci zacząć szukać.

– Ojciec i brat ofiary mogli grozić Joannie – dodał.

– Jeśli tak było, to nic mi o tym nie mówiła. Pamiętałabym.

Oryński podrapał się po skroni.

– Wspominała, że dostała tę sprawę od Harry'ego.

Magdalena bezradnie wzruszyła ramionami.

Co jeszcze? Jakie strzępki informacji przekazała mu Chyłka? Właściwie nie było ich więcej. Kordian obracał wszystko

w głowie dostatecznie długo, by wiedzieć, że niczego sobie nie przypomni.

Ale było coś jeszcze. Coś z innego źródła.

Słowo, które słyszał podczas napadu na Saskiej Kępie. Balansował już wtedy na granicy omdlenia, ale był przekonany, że padło kilkakrotnie. Brakowało tylko kontekstu.

– Mówi ci coś „wachlarz”? – spytał.

– Nie, a powinno?

– Słyszałem je kilka razy tuż po tym, jak nas napadnięto.

Oryński nie wiedział, ile Joanna zdradziła siostrze – ale nawet jeśli niewiele, Magdalena musiała się domyślać, że tamto zajście było w pewien sposób związane z porwaniem Darii.

Jej reakcja zdawała się to potwierdzać. Najpierw w końcu skupiła wzrok na Kordianie, a potem połączyła ze sobą kilka faktów i zrozumiała, że porywaczem może być osoba, która ma powód, by po latach mścić się na Joannie.

– Zaraz… – jęknęła.

Oryński miał wrażenie, że w jej oczach pojawiło się coś więcej niż tylko zrozumienie tych powiązań.

– Jesteś…

Urwała, a on niecierpliwie czekał na więcej.

– Jesteś pewien, że właśnie to usłyszałeś? Wachlarz?

– Niezupełnie. Byłem już wtedy…

Nagle Magdalena zerwała się ze swojego miejsca, a na jej twarzy pojawiło się wyraźne przerażenie. Oddychając coraz szybciej, wskazała Oryńskiemu drzwi.

– Musisz iść, Kordian.

– Co takiego?

– Przepraszam, ale…

Znów nie dokończyła, a potem podeszła do niego i złapała go za rękę. Zanim zdążył zaoponować, poprowadziła go do

wyjścia.

– Proszę, zostaw mnie samą – dodała.

7

Obóz drugi, Annapurna

Pierwszy kryzys przyszedł szybko, właściwie tuż po opuszczeniu bazy. Problemem nie okazały się kwestie techniczne – agencja przygotowała trasę wprost idealnie – ale wydolnościowe. Chyłka spodziewała się, że do obozu pierwszego na pięciu tysiącach dwustu metrach dotrze bez większego problemu, ale szybko zrozumiała, że była w błędzie. Każdy krok na tej wysokości był okupiony wysiłkiem, który sprawiał, że co rusz musiała się zatrzymywać.

Rzecz tak prozaiczna jak oddech stała się jej największym przeciwnikiem. Nie potrafiła przejść kawałka bez zadyszki, a sytuacja z każdym pokonanym metrem zdawała się wyłącznie pogarszać.

Ruszała się jak mucha w smole, brakowało jej motywacji, by stawiać kolejny krok. Idący z nią wspinacze wprawdzie nieustannie starali się wykrzesać z niej wolę walki, ale ku swojemu zaskoczeniu Joanna nie potrafiła jej wyzwolić. Momentami wydawało jej się, że jest zupełnie inną osobą – i że gdyby stanęła przed lustrem i miała siłę podnieść powieki, zobaczyłaby kogoś obcego.

Kiedy zatrzymali się w obozie drugim, w teorii niedaleko od wysokości, na której znajdowały się ciała, Chyłka była całkowicie wyczerpana. Z chorobą wysokościową jakoś sobie radziła, farmaceutyki pomagały, a ona dorzuciła do nich działający przeciwzakrzepowo polocard, by rozrzedzić krew. Przyjmowanie całej tej mikstury nie było przesadnie mądre,

ale czuła, że bez tego nie miałaby szans wejść na odpowiednią wysokość.

Wmuszała w siebie płyny, to jednak także przychodziło jej z trudem. Idący z nią alpiniści upierali się, że musi pić co najmniej cztery lub pięć litrów dziennie, ale mimo że wyrabiała tę normę i brała diuramid, twarz i oczy miała całkowicie opuchnięte.

Wiatr, który dął na tej wysokości, zdawał się przejawem boskiego gniewu i zapowiedzią apokalipsy, a nie zwykłym zjawiskiem natury. Kiedy Chyłka była od niego osłonięta, jakoś radziła sobie z chłodem. Po wyjściu na otwarty teren miała jednak wrażenie, że temperatura spada o kilkadziesiąt stopni, a zimno staje się tak przejmujące, że zamarza jej krew w żyłach.

Największym kłopotem było jednak to, że wciąż nie mogła przyzwyczaić płuc do nowej gospodarki tlenowej. Niektórzy twierdzili, że mężczyźni mieli łatwiej, bo oddychają przeponą, ale wszyscy himalaiści, z którymi rozmawiała, obalali ten mit. Aklimatyzacja była indywidualną sprawą, a góry nie różnicowały ze względu na płeć.

Przystosowanie do funkcjonowania w takich warunkach wciąż było zagadką. Trudno było stwierdzić, dlaczego niektórzy na chorobę wysokościową zapadają już na trzech, a inni dopiero na ośmiu tysiącach metrów. Wydawało się jednak pewne, że każdego kiedyś dopadała.

Chyłka ułożyła się w namiocie przygotowanym wcześniej przez wspinaczy i zamknęła oczy. Miała wrażenie, że obrzęknięte powieki zaraz jej eksplodują.

Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że słyszy głos Juliana. Przy uchu miała słuchawkę, a na piersi nosiła niewielkie urządzenie podłączone do mikrofonu, dzięki któremu mogła pozostawać właściwie w ciągłym kontakcie z base campem.

– Zamarzłaś już czy jeszcze nie? – odezwał się Brencz.

– To był błąd… – wydukała.

Julian zaśmiał się do mikrofonu.

– To ty powinieneś iść… tu jest pieprzona epoka lodowcowa.

– Obawiam się, że lemur występował w *Madagaskarze*.

– W *Epoce* też był jakiś…

– Leniwiec – sprostował Brencz. – Wierz mi, obejrzałem wszystkie animowane produkcje, jakie wyszły w ostatnich latach.

Z jego głosu nagle znikła wesołość, a jej miejsce zajął ból. Słysząc to, Chyłka otworzyła oczy i poczuła, jakby nagle nieco otrzeźwiała. Owinęła się szczelniej śpiworem, słysząc, że wiatr na zewnątrz zawodzi coraz głośniej.

– Gdzie jesteś? – zapytał Julian.

– W obozie drugim. Niedaleko sześciu tysięcy.

– Dobrze się czujesz?

– Zajebiście – odparła bez wahania.

– Na pewno? Bo wiesz, że pomyliłaś…

– Te kreskówki zawsze mi się pieprzą – ucięła i zaniosła się kaszlem.

Coś odrywało jej się z płuc, a raczej próbowało oderwać. Nie zabrzmiało to najlepiej, ale Brencz nie skomentował. Trudno było powiedzieć, czy organizm protestuje, bo coś wewnątrz niej puchnie tak jak policzki i oczy, czy może jest to wynik zwykłego wyziębienia.

– Ile tam jest stopni? – spytał Julian.

– A ja wiem? Na termometrze może dziesięć czy dwadzieścia na minusie. Ale przez ten wiatr robi się jak na Syberii.

– Nie wychłodziłaś się?

– Nie czuję jeszcze panicznej potrzeby rozbierania się, jeśli to masz na myśli.

Przed wyjazdem nasłuchała się dostatecznie dużo o hipotermii, by wiedzieć, jak groźna potrafi być. Ostatecznie człowiek z jakiegoś powodu nagle zaczyna pozbywać się ubrania, jakby paliła mu się skóra. Kiedy już wszystko z siebie zerwie i przeżyje na tyle długo, by wejść w kolejny etap, nieszczęśnik zaczyna się zakopywać lub chować w ciemnych miejscach. Rzekomo dzieje się to już zupełnie nieświadomie, a Joanna przypuszczała, że to zwykły odruch, właściwy dla wszystkich ssaków. Umierające zwierzęta domowe też zazwyczaj kładły się w ciemnych kątach lub pod łóżkiem.

– A ile jest stopni na dole? – zapytała niemal rozmarzonym głosem. – Ze trzydzieści, co?

– Pewnie tak.

Wydawało się to nierealne.

– I my dobrowolnie zrezygnowaliśmy z treku… – mruknęła. – Z dżungli, palm, bambusów…

– Wierz mi, nie brakowałoby ci tego, gdybyś to przeszła. Szczególnie wszędobylskich pijawek, pająków wielkości dłoni i…

– Lepsze to niż śnieg.

– Nawet mięso by ci zbrzydło.

– Niemożliwe.

Julian zmusił się do cichego, wesołego prychnięcia, jakby chciał dać jej do zrozumienia, że wszystko jest okej, że to dzień jak co dzień i że prowadzą zwyczajną rozmowę, jak dwójka starych znajomych. Robił wszystko, by czuła się normalnie i choć na moment zapomniała, w jak ekstremalnych warunkach się znajduje.

– Wierz mi, w niektórych wioskach nie opanowali jeszcze sztuki oddzielania mięsa od kości – dodał. – Tłuką całość, czym mają pod ręką, a potem podają.

– Nie szkodzi. Lubię chrupiące.

Oczami wyobraźni zobaczyła nepalską knajpkę w Katmandu i *momo* na talerzu. Natychmiast odsunęła od siebie tę myśl i sięgnęła po liofilizat. Niektórzy odradzali jej żywienie się nimi, twierdząc, że przy braku apetytu jeszcze trudniej będzie wmuszać w siebie coś, czego się nie lubi, ale Chyłka uznała, że da radę. Grunt, to przez kilka dni zrezygnować z wszelkich przyjemności i skupić się na przeżyciu.

– Jak Szerpowie? – odezwał się Brencz.

– Dobrze, polubiłam się z Pasangiem Dorje.

– On też z niezrozumiałego powodu od razu zapałał do ciebie sympatią. Podobno nie mógł się doczekać, aż się pojawisz w base campie.

Chyłka zignorowała tę uwagę.

– Topi lód, żeby wmuszać we mnie wodę – oznajmiła. – Przyjemność sprawia mu potem obserwowanie, jak się gimnastykuję, chcąc pozbyć się jej z organizmu.

– Ważne, żeby wychodziła dobrą drogą.

– Mhm.

– Nie rzygasz?

– Nie.

– Nie masz biegunki?

– A ty?

– Wybacz – odparł lekko zmieszany. – Ale wiesz, że muszę trzymać rękę na pulsie. Po to tutaj jestem.

Chyłka zawinęła się jeszcze szczelniej, słysząc, że wiatr się wzmaga. Podmuchy stawały się tak silne, że zaczynała się obawiać, czy namiot wytrzyma. Ekipa zapewniała jednak, że teren został odpowiednio przygotowany, a konstrukcja dobrze przytwierdzona do lodu.

– I dlatego musimy odbębnić jeszcze kilka pytań i odpowiedzi – dodał Brencz. – Możesz mi powiedzieć, ile jest siedem razy osiem?

– Sześć sześć sześć. Numer Bestii. Ognie piekielne zostały uwolnione.

Odpowiedziała jej chwilowa cisza.

– Cytujesz jakąś piosenkę Iron Maiden?

– Parafrazuję – wydusiła, czując, że rozmowa pochłania stanowczo zbyt dużo energii. – I nie zadawaj mi pytań rachunkowych, bo nawet w normalnym stanie nie odpowiem. Przepytuj mnie z kodeksów.

– Nie mam żadnego pod ręką.

– To włącz sobie Legalis. Masz tam przecież laptopa.

– Przygotuję się następnym razem – zadeklarował. – Teraz wystarczy mi test matematyczny. Jeśli więc mogłabyś odpowiedzieć, odhaczę sobie odpowiednie miejsce i będziemy mieli spokój.

Joanna zamknęła oczy, przez moment powstrzymując kaszel. W końcu jednak zacharczała jak gruźlik.

– Myślę całkowicie logicznie – zadeklarowała. – Wiem na przykład, że Bruce Wayne zrobiłby znacznie więcej dobrego, gdyby zamiast ubierać się w czarny spandex, przeznaczył swoją fortunę na walkę z ubóstwem i na edukację młodych ludzi.

– Słuchaj…

– Daj mi spokój, do kurwy nędzy – wycedziła. – Prawie tu umieram, matematyka mi do szczęścia niepotrzebna.

Julian nie odpowiedział, a ona przypuszczała, że kategoryczny ton sprawi, iż odznaczy właściwe pole. Pomysł, by co jakiś czas sprawdzał, czy Joanna nadal potrafi racjonalnie myśleć, był całkiem dobry, ale teraz wiedziała, że powinna sprecyzować kryteria.

– Jest jeszcze coś – dodał.

– Co teraz? Fizyka? – mruknęła. – Jeszcze gorzej. Cała ta dziedzina jest absurdalna, bo zakładała, że im większe ciało,

tym większa siła przyciągania.

– Niezupełnie o to…

– W przypadku facetów wyciskających na siłowni może to i prawda. Ale powiedz to kobiecie tuż po świątecznym obżarstwie.

Zaczęło wiać tak bardzo, że Joanna nie była pewna, czy odpowiedź Brencza zaginęła gdzieś w głośnym szumie, czy może nie nadeszła.

– Nakręciłaś filmiki? – spytał.

– Tak. I na wszystkich wyglądam, jakbym za moment miała odejść z tego świata. Któryś z hapsów zniósł już sprzęt do C1, stamtąd ktoś zabierze go do ciebie.

Kluczowe było, by nagrania na bieżąco trafiały do przedstawicieli mediów w base campie. A im gorzej wypadała na nich Chyłka, tym lepszy będzie efekt marketingowy. Po kilku takich nagraniach dla wszystkich stanie się jasne, w jak ekstremalnych warunkach Kabelis podejmowała decyzję, by ratować swoje życie.

– O to chciałeś jeszcze zapytać? – odezwała się.

– Nie.

– Więc?

– Masz przy sobie telefon satelitarny?

Leżał w znajdującym się obok niej plecaku, właściwie na wyciągnięcie ręki. Była jednak tak zmęczona i przemarznięta, że wyjęcie go wydawało się niemal niewykonalne.

– Czemu pytasz? – odparła niechętnie.

– Bo do Katmandu przyleciał ktoś, kto twierdzi, że musi się z tobą skontaktować.

– Kto?

– William McVay.

W pierwszej chwili Chyłka pomyślała, że się przesłyszała. Potem, że zaczynają się halucynacje.

– Powiedziałem mu, że musisz oszczędzać baterie, ale upiera się, że to ważne.

– Najwyraźniej – odbąknęła. – Skoro przeleciał jakieś sześć tysięcy kilometrów.

– Łączyć go?

– Słynę z dobrego serca, Lemurze. Nie mogę odmówić, bo cała ta renoma pójdzie w strzępy.

Z trudem wygrzebała rękę ze śpiwora, a potem włożyła grubszą rękawicę i przyłożyła telefon satelitarny do ucha. Chwilę czekała na nawiązanie połączenia, po czym w końcu usłyszała głos Williama. Nieco zniekształcony, ale z akcentem tak charakterystycznym, że trudno było go pomylić z kimkolwiek.

– Mogłaś powiedzieć, że wpadłaś na nową metodę samobójczą. Wybrałbym się z tobą.

– A więc w końcu życie ci zbrzydło?

– Spodziewałaś się czegoś innego po tym, jak mnie zostawiłaś?

– Żebym cię zostawiła, musiałabym wcześniej przygarnąć. A tak nigdy się nie stało.

William na moment zamilkł.

– I jeśli masz mi coś do powiedzenia, załatw to w takim tempie, w jakim wasza reprezentacja odpada z każdego mundialu.

– W ostatnim…

– To tylko wyjątek potwierdzający regułę. I szybko, McVay. Moja bateria nie znosi długich rozmów, podobnie jak moja cierpliwość – powiedziała z trudem, mając wrażenie, jakby szczęka jej zamarzała. – Po cholerę tu przyleciałeś?

– Zrobiłem kolejne badania.

Zacisnęła spierzchnięte usta.

– Wychodzi na to, że mam wyjątkowo złośliwą formę chłoniaka.

– Wszystkie są złośliwe.

– Ale najwyraźniej nie wszystkie tak samo – odparł William beznamiętnym głosem, jakby relacjonował ostatnią rozprawę sądową, a nie wyrok śmierci, który na niego wydano.

Przypuszczała, że spodziewał się tego, od kiedy tylko potwierdziła się diagnoza o nowotworze wywołanym przez HTLV. Oboje zdawali sobie sprawę z powagi sytuacji, choć Chyłka w pewnym momencie łudziła się, że William zaraził się już po tym, jak się ze sobą przespali. Mogłaby wówczas mieć nadzieję, że ona jest zdrowa.

Milczała, długo nie wiedząc, co powiedzieć. Nie potrafiła odnajdywać się w takich sytuacjach, bo wszystko, co przychodziło jej na myśl, brzmiało w jej głowie jak makabryczny sarkazm.

– Przyszły twoje wyniki badań? – spytał w końcu McVay.

– Tak.

– I?

Joanna nabrała głęboko tchu przez usta, mimo to wydawało jej się, że do płuc dostały się jedynie śladowe ilości powietrza.

– I sprawdzę je, jak wrócę do Polski – powiedziała.

– Nie zrobiłaś tego od razu?

– Powiedziałam, żeby trzymali je w szpitalu. Zgłoszę się po powrocie.

Lekarka, z którą Joanna rozmawiała, była nieco zdziwiona, ale ostatecznie decyzja należała do Chyłki. Kobieta powiedziała jej tylko, by w razie jakichkolwiek ran otwartych, zabiegów lub innych czynności medycznych poinformowała personel o podejrzeniu HTLV. Joanna uprzedziła o tym cały zespół, bo nie miała zamiaru narażać kogokolwiek na niepotrzebne niebezpieczeństwo.

– Ale nie przyleciałeś tu po to, żeby gadać o nowotworach, prawda?

– Nie – przyznał. – Przyleciałem, żeby wejść z tobą na…

– W takim razie musisz zapierdalać tu w podskokach, bo z samego rana ruszam.

– Mówię poważnie.

– A myślałam, że to tylko taki angielski humor.

– O świcie wynajmę helikopter, a potem…

– Nie ma mowy – ucięła. – Nie będziesz ganiał po górach z wyrokiem śmierci, który…

Chyłka urwała, bo ta uwaga wydostała się z ust wbrew jej woli. Przeklęła się w duchu za to, że w porę jej nie powstrzymała.

– Dla ciebie los może być równie surowy – zauważył.

– Nie wykluczam.

– A więc ty też nie powinnaś…

– Los może dać mi po dupie – kontynuowała. – Może nawet przywalić mi tak, że wylądуję na deskach. Ale niech się lepiej modli o to, żebym już nie wstała.

McVay docenił uwagę cichym prychnięciem.

– Poza tym nie jesteś zaaklimatyzowany.

– Ty też nie.

– Ja jestem jak Dipprasad Pun.

– Kto?

– Nepalczyk walczący w Afganistanie, podobno miejscowa legenda – wyjaśniła. – Zaatakowało go trzydziestu talibów, a on odpowiedział, wystrzeliwując czterysta pocisków ze swojej broni, rzucając siedemnaście granatów i detonując minę przeciwpiechotną. Jednego Afgańczyka ubił statywem od karabinu, kiedy skończyła mu się amunicja.

William milczał.

– Ja granatów nie mam, ale zapewniam cię, że mój psychologiczny arsenał jest jeszcze większy.

– Nie bagatelizuj tego, Jo – odezwał się w końcu.

– Nie bagatelizuję. Ale też nie wspinam się na sam szczyt, muszę tylko dotrzeć do trucheł.

– Wielu profesjonalnych himalaistów traciło życie na pięciu tysiącach – nie dawał za wygraną McVay. – Ty już teraz jesteś niemal kilometr wyżej.

– A ty stałeś się znawcą?

– Wiesz, jak to jest – odparł niewyraźnie. – Kiedy w mediach rozszaleje się burza, każdy staje się specjalistą od pogody.

Rzeczywiście wydawało się to niechlubną tradycją, ale tym razem działało na korzyść Chyłki. Im więcej ludzi zabierało głos w dyskusji, tym głośniejsza się stawała i tym bardziej nakreślano, jak wygląda świat, w którym teraz znalazła się Joanna.

– *Hype* w kraju jest duży? – spytała.

– Jak przed premierą filmu roku. Piszą o twojej wyprawie praktycznie wszędzie, prawicowe i lewicowe portale się gubią, bo nikt nie wie, po której stronie tę inicjatywę umieścić.

Oczywiście, wszystko musiało się gdzieś znajdować. Wszystko musiało być polityczne. I jeśli w tej chwili jeszcze nie nabrało takiego kolorytu, z pewnością stanie się to za dzień lub dwa, kiedy tylko ktoś znajdzie sposób, by powiązać ekspedycję z jakąś kwestią światopoglądową.

– Relacje z base campu idą na bieżąco w telewizji – ciągnął William. – A prawdziwą furorę robią drony.

– Mamy dobry sprzęt – przyznała. – Phantom 4. Kormak twierdzi, że wytrzyma na pułapie sześciu tysięcy metrów, kręci w 4K i… coś tam jeszcze. W każdym razie ma cztery śmigła.

Kancelaria wyłożyła na niego ponad cztery tysiące, ale w porównaniu z innymi kosztami wydawało się to kroplą

w morzu. Joanna przypuszczała, że po powrocie sprzęt trafi prosto do Jaskini McCarthyńskiej, gdzie będzie stacjonować przed wylotem na misje po zatłoczonych korytarzach Żelaznego & McVaya.

Na myśl o dwudziestym pierwszym piętrze Skylight Chyłka poczuła się, jakby była gościem we własnym ciele. Nie tylko okolica, warunki atmosferyczne i natura były tutaj czymś całkowicie abstrakcyjnym. Cała rzeczywistość taka była.

Pociągnęła nosem i kaszlnęła.

– Będę tam jutro – powiedział William. – Podobno jest miejsce między base campem a obozem pierwszym, gdzie śmigłowiec może wylądować.

– Nie.

– To nie była ani propozycja, ani pytanie.

– A moja odpowiedź nie była sugestią, tylko kategorycznym zakazem – odparowała Joanna. – I bynajmniej nie chodzi mi o twoje bezpieczeństwo.

– Więc o co?

Pomyślała o tym właściwie już w momencie, kiedy Julian oznajmił, że McVay przyleciał do Katmandu. I tylko dlatego zgodziła się na rozmowę. Musiała skorzystać z tej okazji.

– Słuchaj… możesz naprawdę się przydać – podjęła. – Bardziej niż sądzisz.

– W jakim sensie?

– Jest taka wioska, Manang. Leży na trzech i pół tysiącach metrów – zaczęła Chyłka, a potem tak szybko, jak było to możliwe, wyłożyła wszystko Williamowi.

Nie przerywał jej, a kiedy skończyła, nie potrzebował wiele czasu do namysłu. Na wszelki wypadek dorzuciła jednak jeszcze kilka słów o tym, że tutaj w żaden sposób jej się nie przysłuży, a w Manang jego obecność może okazać się na wagę złota.

– Tylko uważaj – dodała. – Jeśli Kabelis mówi prawdę o tym materiale…

– Będę ostrożny. Ale ty bądź bardziej.

Nie miała zamiaru na to odpowiadać. Pożegnała go, rozłączyła się, a potem zerknęła na telefon. Bateria trzymała, właściwie Joanna mogłaby pozwolić sobie na krótką rozmowę z Oryńskim. Choćby po to, by powiedzieć mu, że cierpi na jego deficyt.

Schowała jednak urządzenie do torby, po czym zawinęła się w śpiwór. Długo nie mogła zasnąć, a serce waliło jej jak młotem. Miała stanowczo zbyt wysokie ciśnienie, ale powtarzała sobie, że to wynik ogólnego zdenerwowania, a nie symptomy choroby wysokościowej.

Jej myśli krążyły wokół wyników badań, Zduna i tego, co tak naprawdę stało się z towarzyszami Kabelis. Czy byli tutaj w trójkę? Ona, doświadczony i najstarszy z nich Jarek Nalikowski i nieco młodszy Maciej Drobniak? Czy patrzyli w górę, wypatrując potencjalnej nowej trasy, którą zamierzali wytyczyć? Czuli wiszące nad nimi fatum? Spodziewali się problemów?

Chyłka trochę przysypiała, ale co rusz budziła się z bezdechem, jakby organizm nie potrafił bez udziału świadomości dostarczyć sobie odpowiedniej dawki tlenu.

Przed świtem płachtę namiotu rozsunął jeden ze wspinaczy i oznajmił, że pora ruszać. Pogoda tego dnia miała zepsuć się szybciej, niż przypuszczali, i każda minuta mogła okazać się kluczowa.

Wyruszyli jeszcze po ciemku, oświetlając zaśnieżone zbocze czołówkami. Chyłka nie musiała brodzić w śniegu, wcześniej drogę utorowali członkowie ekipy. Mimo to każdy krok był jak wchodzenie po niemal pionowej pochylni.

Po kilku godzinach dotarli do miejsca, które wskazała im Klara. Nie, właściwie do rejonu, bo nie było tutaj punktów orientacyjnych pozwalających na dokładne rozeznanie się w terenie.

Kiedy w końcu zatrzymali się pod jednym ze skalnych nawisów, śnieg padał tak, jakby natura miała zamiar przykryć wszystko kilkudziesięciometrową warstwą. Wiatr zaś powodował taki hałas, że Chyłka nie mogła porozumieć się z pozostałymi członkami wyprawy. Widoczność była niemal zerowa, ale nawet w lepszych warunkach Joanna nie byłaby w stanie wiele dostrzec przez zapuchnięte oczy.

Podszedł do niej jeden z pracowników agencji i potrząsnął nią lekko. Wymruczała coś w odpowiedzi, sama nie wiedziała co. Mężczyzna szybko ściągnął jej okulary, spojrzał w oczy, a potem obrócił się do swoich towarzyszy i krzyknął coś z niepokojem.

Dlaczego się drze? Chyłka nie mogła zrozumieć, po co ta panika.

Wszystko było w porządku. Nie, nawet lepiej. Mimo szalejącej wokół zadymki Joanna czuła się błogo.

Niejasno pomyślała, że Julian o tym wspominał. O deprywacji sensorycznej. Miała występować przy skrajnym zmęczeniu, kiedy człowiek nie wie, gdzie jest, co robi ani co się znajduje w jego otoczeniu.

Był to ten sam stan, który osiągali mnisi, zamykając się w szczelnych komorach. I ten sam, w który CIA miała wprowadzać ujętych dżihadystów podczas tortur.

Chyłka usiadła na śniegu, niepewna, czy to nogi się pod nią ugięły, czy ktoś jej pomógł. Głowa jej opadła, a kiedy ją podniosła, zobaczyła, że pracownicy agencji odchodzą kawałek. Przeszło jej przez myśl, że muszą się naradzić i nie chcą, by cokolwiek usłyszała.

Ale jak miałaby to zrobić przy tym nieustającym huku? Wydawał się tak głośny, jakby stała między przeciwległymi szynami, po których nieustannie przewalają się pociągi.

A przynajmniej tak wydawało jej się do momentu, kiedy rozległ się potężny, rozdzierający powietrze ryk. Gotowa była przysiąc, że to jakieś gigantyczne, mistyczne monstrum wychynęło z gór, by rozpocząć łowy.

Usłyszała, jak jeden z Szerpów krzyczy coś o odrywającym się seraku. Potem poczuła, że ziemia pod nią się zatrzęsła.

Z trudem się podniosła, dostrzegając, że grupa Nepalczyków się rozbiega, wymachując rękoma i krzycząc coś w jej stronę. Obejrzała się akurat w odpowiednim momencie, żeby zobaczyć ogromną masę śniegu, która z monstrualną siłą zwalała się wprost na nich.

Zdążyła jeszcze pomyśleć, że nie chce umierać.

8

ul. Mehoffera, Tarchomin

Wiadomości w nocnym paśmie informacyjnym zaczęły się zapętlać, kiedy Kordian w końcu uznał, że najwyższa pora dać sobie spokój. Znał już na pamięć urywki z dronów, nagrania przekazane przez jednego z Szerpów i materiały, które nakręcili dziennikarze TVN24, NSI i TVP.

Raz po raz sprawdzał komórkę, ale wciąż nie miał żadnego znaku życia od Chyłki. Wmawiał sobie, że to nic nie znaczy. Że rację ma większość wypowiadających się w mediach osób, według których Joanna wchodziła w tej chwili na zbyt dużą wysokość, by tracić siły na cokolwiek poza samą wspinaczką.

Alpiniści kreślili czarne scenariusze, zaznaczając, że cała ta wyprawa jest szaleństwem. Nie chodziło nawet o sprawy techniczne czy kondycyjne, ale o to, że dla wszystkich było jasne, iż Chyłka faszeruje się farmaceutykami.

Co poniektórzy dowodzili, że wejście z tlenem w kilka dni na taką wysokość jest w zasięgu każdego zdrowego człowieka, ale podkreślali także, że nie bez powodu najważniejszymi rzeczami niesionymi przez porterów są zapasy apteczne.

Koniec końców w mediach zaczynała dominować narracja, że ta ekspedycja to proszenie się o śmierć. Joannie było to na rękę – chciała stworzyć wrażenie, że ryzykuje nie bez powodu.

Jak duże w istocie było jednak to ryzyko? Klara twierdziła, że o ile nie dojdzie do załamania pogody, Joanna jutro powinna wrócić spokojnie do base campu, a potem zostać przetransportowana śmigłowcem do Katmandu.

Jako jedna z niewielu, Kabelis upatrywała największych zagrożeń nie w wydolności organizmu, ale w przeciwnościach natury. Twierdziła, że na Annapurnie odrywają się seraki mogące zniszczyć pancerny czołg, a lawiny są tak potężne, że schodząc prosto na Warszawę, zmiotłyby z powierzchni ziemi pół miasta.

Oryński starał się tym nie zadręczać, ale oglądanie relacji za relacją i wysłuchiwanie gadających głów w programach publicystycznych nie pomagało.

Zerknął na zegarek. Dochodziła czwarta nad ranem, najwyższa pora zająć się czymś innym. O śnie nie było mowy, a leżenie w łóżku było równoznaczne z nieustannym katowaniem się myślami.

Usiadł przy stole w kuchni z herbatą, otworzył notatnik i zaczął przeglądać wszystkie zapiski, które zrobił dzień wcześniej. Uznawszy, że zajęcie się sprawą Zduna odciągnie jego uwagę od wyprawy, wynotował trochę powiązań i informacji, które udało mu się do tej pory zebrać. Zdecydowaną większość miejsca zajmowały jednak znaki zapytania.

Odgiął się na krześle i przez moment kołysał się na nim. Potem znów wbił wzrok w swoje notatki.

Sprawdził wszystko, co powinien. Zajrzał w każdy zaułek, gdzie mogły czekać odpowiedzi. I nic. Wciąż krążył w kółko, nie mogąc dotrzeć do czegoś, co okazałoby się pomocne.

Wiedział, że wyłącznie osoby z warszawskiej palestry mogły udzielić mu jakichkolwiek odpowiedzi. Żadna z nich jednak nie była skora mówić, a na samą wzmiankę o Zdunie odsyłano go z kwitkiem.

Kordian podniósł się i uchyliwszy okno w kuchni, zapalił papierosa. Strzepał popiół do jednej z doniczek, w której nadal stały uschnięte kwiaty, i się zamyślił.

Gdyby tylko Harry żył.

Oryński nie miał wątpliwości, że Brytyjczyk wyciągnąłby do niego pomocną dłoń. Tym bardziej że według Chyłki to od niego dostała tę sprawę. Także z tego względu Kordian próbował zaangażować Williama, ale ten najwyraźniej zdążył już dotrzeć do prawdy i nie miał zamiaru z nikim się nią dzielić.

Pociągnąwszy davidoffa jeszcze kilkakrotnie, Oryński nagle zamarł. Zgasił papierosa między wyschniętymi liśćmi, po czym szybko sięgnął po telefon.

Był jeden zaułek, którego nie sprawdził. Skupił się na ludziach z Warszawy, którzy mogli wiedzieć cokolwiek w tej kwestii, ale to nie u nich powinien szukać pomocy. Każdy z jakiegoś powodu zobowiązał się do milczenia.

Należało wyjść poza to środowisko, zwrócić się do kogoś, kto nie był z nimi związany. Harry nie był jedyną osobą z Krakowa, która skłonna byłaby udzielić Oryńskiemu odpowiedzi.

Kiedy tylko sobie to uzmysłowił, wybrał numer Justyny Winnickiej.

Była to wieloletnia asystentka McVaya, z którą widzieli się tuż po pogrzebie imiennego partnera w Krakowie. Spotkali się w Hard Rocku nieopodal Bazyliki Mariackiej i mimo że kobieta nie łapała, na czym polegają żarty związane z *Powrotem do przyszłości*, była nad wyraz pomocna. A przede wszystkim konkretna i uczciwa – i z pewnością te cechy sprawiły, że przez tyle lat jej współpraca z Harrym układała się tak dobrze.

Dopiero przy trzecim sygnale Kordian uświadomił sobie, że dzwoni o dość barbarzyńskiej porze. Już chciał się rozłączyć, kiedy Winnicka odebrała.

– Pan Oryński?

Tak postawione pytanie nieco zbiło go z tropu.

– Coś się stało? – dodała nieco zaspanym głosem Justyna. – Jest jakiś przełom w sprawie mecenasa?

O żadnym przełomie w sprawie śmierci McVaya nie mogło być mowy. Prokuratura zamknęła ją, uznając, że doszło do samobójstwa. Bianczi obiecał przeprowadzić dziennikarskie śledztwo, ale zastrzegł, że musi się ono toczyć własnym tempem. I że „higiena zawodowa" nie pozwala na to, by na bieżąco informował o wszystkim dwójkę prawników, którzy byli żywotnie zainteresowani rezultatem.

– Nie, obawiam się, że nie – odparł Kordian. – Ale…

– Tak? – spytała z nadzieją.

– Zajmujemy się tym – zapewnił. – I nie odpuścimy.

– Dzięki Bogu.

Nie czuł się dobrze, wykorzystując tę sprawę do zdobywania punktów u Winnickiej, ale kwestia Zduna była zbyt ważna, by cokolwiek go powstrzymało.

– Jak tylko będę coś wiedział, odezwę się do pani – dodał. – Ale tym razem nie w tym celu dzwonię.

– Po co w takim razie?

– Badam pewną sprawę i co rusz trafiam na ślepe uliczki.

– I myśli pan, że ja mogę jakoś pomóc?

– Może, bo to ma związek z Harrym.

– Jaki?

– To on przydzielił sprawę, która mnie interesuje. I przypuszczam, że w jakimś stopniu nadzorował jej przebieg.

– Przydzielił komu?

– Chyłce.

– Więc nie może pan jej zapytać?

– Niestety nie, bo…

– No tak – ucięła. – Śledzę wiadomości.

Po raz pierwszy od długiego czasu Kordian odniósł wrażenie, że rozmawia z osobą, która jest gotowa realnie mu pomóc.

Pytanie tylko, czy wie cokolwiek, co może okazać się przydatne.

– Pani mecenas jest wszędzie – dodała Justyna. – Stojąc niedawno w kolejce w Tesco, słyszałam, jak o niej rozmawiano. Robi naprawdę niesamowitą rzecz dla tej klientki.

Nie tyle dla niej, ile dla swojej siostrzenicy, pomyślał Oryński.

– I oczywiście chętnie pomogę.

– Cieszę się – odparł Kordian i odetchnął. – Może w takim razie mogłaby mi pani powiedzieć coś na temat Zduna?

Wstrzymał oddech. Ilekroć docierał do tego momentu w rozmowie z każdą inną osobą, sytuacja zmieniała się diametralnie. Buchelt wyprowadził go z domu, Magdalena właściwie go wyrzuciła. Żelazny zdawał się gotowy nawet na poważniejsze posunięcia.

– Zduna?

– Tak – potwierdził Oryński.

– Niestety, nic mi na ten temat nie wiadomo. Może mógłby mi pan powiedzieć więcej?

Kordian przekazał jej wszystko, co wiedział, ale nie było tego wiele.

– Poczeka pan chwilę? Zaloguję się do systemu kancelarii.

– Jest pani w pracy o tej porze?

– W domu. Ale mam zdalny dostęp.

Oczywiście, musiała cały czas trzymać rękę na pulsie. Kordian czekał niecierpliwie na efekt jej poszukiwań, ale nie spodziewał się cudów. Skoro w bazie danych w warszawskiej centrali nie było odpowiedzi, zapewnie próżno ich szukać także w filii w Krakowie.

– Obawiam się, że nie ma nic na ten temat – powiedziała Justyna.

Oryński odpalił kolejnego davidoffa i pokręcił głową. Kolejny ślepy zaułek.

– A może mówi coś pani „wachlarz”?

– Kaflarz?

– Nie, nie, wachlarz – odparł automatycznie, ale zaraz potem naszło go, że może nie powinien tego robić.

Może źle usłyszał? Balansował wtedy na granicy nieświadomości, słuch mógł go zmylić, a umysł skojarzyć brzmienie ze znacznie częściej występującym słowem.

– Niestety – odparła Winnicka. – To także nic mi nie mówi.

– A dlaczego spytała pani, czy chodzi o kaflarza?

– Przesłyszałam się, przepraszam. Chyba dlatego, że to by miało sens.

– Co miałoby sens?

– Kaflarz to inaczej zdun – wyjaśniła. – Przynajmniej w gwarze krakowskiej. W pozostałych częściach kraju chyba nie.

Kordian zamarł z papierosem w ustach i trwał tak do momentu, aż dym zaczął szczypać go w oczy.

– Panie Oryński?

– Tak… dziękuję – odparł. – Przepraszam.

Rozłączył się, a potem odłożył komórkę obok kwiatka. Przez chwilę siedział w bezruchu, wpatrując się w oświetloną latarniami ulicę, po której raz po raz przejeżdżał jakiś samochód.

Czuł, że to było to. Trafił w dziesiątkę.

Spojrzał na zegarek, zdusił papierosa w doniczce i zerwał się z parapetu. Ściągnął kurtkę z wieszaka w przedpokoju, ani na moment nie zwalniając. Zatrzymał się dopiero przed drzwiami wyjściowymi, słysząc, że Klara wychodzi z sypialni.

– Wybywasz, Kordi? – rzuciła zachrypniętym głosem.

– Muszę coś załatwić.

– Miałeś siedzieć tu jak trusia, a już drugi raz…

– To ważne – uciął, narzucając kurtkę.

Kabelis ruszyła w jego stronę, by mu pomóc, ale zanim się do niego zbliżyła, już wychodził na korytarz. Nie miał zamiaru tracić czasu. Pożegnał ją machnięciem ręki i zbiegł schodami na dół, jednocześnie wyciągając telefon.

Szybko zamówił taksówkę, a już chwilę później jechał w kierunku siedziby NSI. Zgodnie z jego przypuszczeniami stary znajomy z czasów studenckich mimo wczesnej pory już był w drodze do pracy.

Kordian spotkał się z Bianczim w kafejce na parterze siedziby telewizji. Na stojaku obok dopiero rozkładano dzisiejsze gazety, za ladą układano świeże wypieki, a ekspresy do kawy były jeszcze wyłączone.

Dwaj młodzi mężczyźni usiedli przy pustym stoliku i musieli poczekać kilka minut na pierwszą dawkę kofeiny. Oryński wykorzystał ten czas, by przedstawić dziennikarzowi tyle, ile mógł.

Nie wspomniał o porwaniu, ultimatum ani prawdziwym powodzie, dla którego Joanna poleciała do Katmandu. Mętnie dał jednak do zrozumienia, że zarówno sprawa Kabelis, jak i pobicie na Saskiej Kępie mają pewien związek ze Zdunem, człowiekiem, którego Chyłka broniła lata temu.

Bianczi był godny zaufania, ale mówienie mu o tych kwestiach i tak wiązało się z niemałym ryzykiem. Początkowo reporter mógł zachować te informacje dla siebie, im dłużej będzie jednak drążyć, im więcej się dowie, tym większe prawdopodobieństwo, że potraktuje to jako obiecujący materiał.

– Nigdy nie słyszałem o żadnym Zdunie – skwitował młody dziennikarz. – A wiesz dobrze, że siedzę dość głęboko w tym bagnie.

„To bagno” było właściwie pojęciem tak szerokim, że mieściły się w nim wszystkie sprawy kryminalne związane ze stolicą. I owszem, Bianczi nie tylko stale w nim przebywał, ale także z chęcią się w nim taplał.

– Dziwne, prawda? – odparł Kordian.

Dziennikarz zmrużył oczy.

– Powinieneś chociaż kojarzyć. Ja zresztą też, bo z racji parszywego zawodu muszę się interesować takimi sprawami.

– Chyba pora się przekwalifikować.

– Podobno są gorsze – odparł Oryński i lekko się uśmiechnął, przypominając sobie o fryzjerze Rutkowskiego.

Bianczi napił się kawy i odpowiedział równie przelotnym uśmiechem.

– Tak czy owak, doszedłem do wniosku, że Zdun to ani ksywa, ani nazwisko – ciągnął Kordian.

– W takim razie co?

– Kryptonim.

Brwi reportera zbliżyły się do siebie.

– Wewnątrzkancelaryjne określenie ukute przez Harry’ego McVaya – dodał Oryński. – Termin, który miał mówić cokolwiek tylko osobom wtajemniczonym.

– Skąd ten pomysł?

– Stąd, że ludzie, którzy mnie zaatakowali, nie mówili o wachlarzu, tylko o Kaflarzu. To jest nazwisko.

– Nadal nie widzę związku.

– W Krakowie na kaflarzy mówiono niegdyś zdunowie – kontynuował Oryński. – Nie wiem, czy jest tak nadal, ale tak powiedziała mi osoba stamtąd. W słowniku Doroszewskiego też jest taka adnotacja przy haśle „kaflarz”.

– Więc sądzisz, że ktoś nadał taki…

– Nie ktoś, tylko Harry, który tę sprawę przydzielił Chyłce.

Bianczi założył nogę na nogę, a uwadze Kordiana nie uszło, że zamienił sportowe new balance'y na inspirowane starymi modelami Nike'a air maxy. Jak zwykle trzymał rękę na pulsie, jeśli chodziło o przelotne powiewy mody.

– Zdun czy Kaflarz, *ganz egal* – odparł reporter. – Jedno i drugie nic mi nie mówi.

– Jesteś pewien?

Bianczi namyślał się przez chwilę, a potem smętnie skinął głową, jakby sam był rozczarowany tym, że nie może pomóc. Przez chwilę popijał kawę w milczeniu. Kordian również się nie odzywał, mając nadzieję, że dziennikarz na coś wpadnie.

– Poczekaj chwilę – odezwał się w końcu, wyciągając telefon. – Rozpytam trochę wśród mamutów.

– Mamutów?

– Wymarłych dziennikarzy.

Oryński potrzebował chwili i kilku łyków kawy, by domyślić się, że chodzi o starych wyjadaczy, którzy zapewne przeszli już na emeryturę lub mieli tak mocno ugruntowaną pozycję, że nie musieli się przejmować dochowywaniem dawnych tajemnic. Obserwując, jak Bianczi rozmawia z jednym za drugim, Oryński zamówił sobie kolejne latte, tym razem z podwójną dawką kofeiny. Mimo to czuł, że trybiki w jego głowie wciąż nie chcą zacząć pracować tak, jak powinny.

W holu głównym zaczęło się już powoli zaludniać, a pracownicy NSI zajmowali stoliki w kafejce. Niektórzy samotnie przeglądali gazety, popijając kawę i przegryzając ją ciastkiem, inni najwyraźniej od rana czuli potrzebę prowadzenia żywiołowych dyskusji.

Nad ladą znajdował się duży, kilkudziesięciocalowy telewizor, który na bieżąco dostarczał tematów do rozmowy. Kordian przez moment śledził informacje na antenie NSI, ale potem

odpłynął myślami. Ocknął się dopiero, kiedy Bianczi wrócił do stolika.

– Dziwna sprawa – ocenił.

– Mnie to mówisz?

– Wygląda na to, że mało kto wie cokolwiek o Zdunie czy Kaflarzu. Nawet tacy pasjonaci, którzy pamiętają, jak mieli na nazwisko pierwsi mieszkańcy pionierskiego warszawskiego osiedla z wielkiej płyty w sześćdziesiątym roku.

Oryński spojrzał na znajomego z niedowierzaniem.

– Boguccy – odparł Bianczi i wzruszył ramionami. – Co zrobisz, też lubię ciekawostki warszawskie.

– Czyli nic nie ustaliłeś?

– Nie powiedziałem, że nic – odparł z satysfakcją reporter. – Jeden z mamutów twierdzi, że powinienem zainteresować się dwudziestym piątym czerwca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku.

Kordian zmarszczył czoło, odnosząc wrażenie, że ta data już gdzieś się pojawiła. Nie kojarzył jej wprawdzie z niczym konkretnym, ale im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej był przekonany, że powinien.

Dlaczego wydała mu się znajoma? Była w jakiś sposób znacząca? Może kiedyś wyrył ją na pamięć z jakiegoś powodu?

Wziął kolejne łyki kawy, w końcu opróżniając filiżankę. Odłożywszy ją na spodek, wciąż się namyślał. Wiedział, że odpowiedź jest gdzieś w jego głowie, jak słowo na końcu języka.

– Wygooglać? – spytał Bianczi. – Czy chcesz się dalej siłować ze swoją pamięcią?

– Raczej niepamięcią. Jeśli kiedykolwiek przewinęła mi się ta data, musiało to być dawno temu lub…

Urwał, nagle uświadamiając sobie, skąd mogło pochodzić skojarzenie.

Nazwa pliku na pendrivie, który Chyłka dostała od stalkera. Kordian widział go tylko przez moment, zanim Joanna trzasnęła klapą laptopa. Od tamtej pory próbował sobie przypomnieć, jakie cyfry widział, ale bez skutku.

Aż do teraz. Kiedy tylko zobaczył w wyobraźni zapis „25.06.1997", był pewien, że właśnie to było na ekranie.

Ale co to oznaczało? Właściwie tylko tyle, że trafił na dobry trop. Trop, który z jakiegoś powodu Chyłka od razu starała się przed nim ukryć. A to już coś. Nie, znacznie więcej niż coś.

Spojrzał na Biancziego z nadzieją, że ten zdążył już wyszukać dodatkowe informacje, które rzucą na sprawę jeszcze więcej światła. Dziennikarz nie zajmował się jednak telefonem. Jak odrętwiały wlepiał wzrok w telewizor nad ladą.

– Co jest? – spytał Oryński.

Bianczi wskazał na ekran, a Kordian obrócił się przez ramię.

Nie słyszał wprawdzie, co mówi prowadząca poranne pasmo informacyjne, ale tickery na dole były w zupełności wystarczające.

„ZAŁAMANIE POGODY POD ANNAPURNĄ" – oznajmiał napis na największym z pasków. Miał alarmistyczną, czerwoną barwę, która zarezerwowana była jedynie dla odpowiednio dramatycznych informacji.

Kordian poczuł, że serce mu przyspiesza.

Zaraz potem rozmowy przy stolikach zaczęły powoli cichnąć, a samotni dziennikarze odłożyli gazety. Nie minęła minuta, kiedy rozpoczęła się serenada telefonicznych dzwonków. Oryński miał wrażenie, że o uwagę dopominają się komórki wszystkich zebranych, oprócz niego.

„WIATR PRZEKRACZA STO KILOMETRÓW NA GODZINĘ" – brzmiał kolejny komunikat. „BRAK KONTAKTU ZE WSPINACZAMI".

Kordianowi gardło zwęziło się tak bardzo, że nie potrafił przełknąć śliny. Opadł go zupełny paraliż, a umysł zdawał się pogrążyć w nagłym letargu.

– Otrzymujemy kolejne informacje – rozległ się głos prowadzącej.

Oryński dopiero po chwili zrozumiał, że kobieta za ladą w końcu włączyła dźwięk. Większość klientów szybko uiściła zapłatę, skierowała się do bramek bezpieczeństwa, a potem schodami na górę, do swoich biur, pokoi konferencyjnych i reżyserek.

Poruszenie, które zapanowało w budynku NSI, potwierdzało, że dzieje się coś poważnego. Kordian w końcu się otrząsnął i skupił na tym, co mówiła kobieta w studiu.

– Wciąż staramy się nawiązać kontakt z kierownikiem wyprawy – oznajmiła.

W tej nerwowej sytuacji sięgała po terminologię, którą zapewne znała z relacjonowania podobnych zdarzeń. Wyprawa nie była profesjonalną ekspedycją, nie miała formalnego lidera. Dziennikarze jednak z pewnością robili wszystko, by porozmawiać z Julianem.

Oryński sięgnął do kieszeni spodni i wyjął telefon. Nie czekało na niego żadne połączenie nieodebrane, nie miał żadnego esemesa. Szybko wybrał numer Brencza, ale ten nie odpowiadał.

– Docierają do nas pierwsze informacje od naszych reporterów na miejscu – dodała kobieta.

Kordian natychmiast skupił wzrok na ekranie.

– Wszyscy w tej chwili znajdują się w namiotach, starają się przeczekać wichurę, która nawiedziła Himalaje. Warunki są na tyle niebezpieczne, że niestety nikt nie jest w stanie opuścić obozu – ciągnęła drżącym głosem dziennikarka, jakby sama nie była pewna, co przekazuje.

Oryński rozejrzał się za Bianczim, ale znajomego nigdzie nie było. Najwyraźniej jako jeden z pierwszych popędził na górę. Może rzucił coś na odchodnym, ale Kordian tego nie odnotował.

– Wedle relacji ekipy zaprzyjaźnionej stacji, tuż przed załamaniem pogody porywisty wiatr sprowadził lawinę w okolicy, w której znajdowała się wyprawa.

Kordian poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

– W tej chwili nieznany jest los wspinaczy – dodała kobieta.

9

ul. Europejska, Wilanów

Wyrwana nagle ze snu Magdalena nie miała pojęcia, gdzie się znajduje i co się z nią dzieje. Ledwo jednak otworzyła oczy, poczuła, że stało się coś tragicznego. Fakt, że nagle wybudziła się sama z siebie, zdawał się to potwierdzać.

W pierwszej chwili pomyślała o Darii. Zawsze wychodziła z założenia, że matkę i dziecko łączy szczególna więź, wymykająca się zasadom zwykłej logiki i pozwalająca wyczuwać zagrożenie na odległość. Było to coś więcej niż intuicja i mimo że nie potrafiła tego wytłumaczyć, była przekonana, że zjawisko jest prawdziwe.

Usiadła na kanapie, uzmysławiając sobie, że organizm w końcu wyczerpał resztki energii i odmówił posłuszeństwa. Telewizor nadal był włączony, a kiedy na niego spojrzała, od razu zrozumiała, że tym razem intuicja ją zawiodła.

Nie chodziło o córkę, tylko o siostrę.

Rzuciła się po telefon, jakby od tego zależało jej życie. Trzęsącą się ręką wybrała numer Juliana i niecierpliwie czekała na nawiązanie połączenia. Po kilku nieudanych próbach zrezygnowała i skupiła się na relacji w mediach.

Redakcji TVN24 jako jedynej udało się nawiązać kontakt z ich ekipą na miejscu. Przekazywali informacje krótkimi wiadomościami dzięki łączu satelitarnemu, ale trudno było ułożyć z tego obraz sytuacji.

Z pewnością nie było dobrze. Donoszono, że gdzieś ponad miejscem, które Klara Kabelis wskazywała jako ostatnie, gdzie

widziała ciała, podmuchy wiatru wyzwoliły lawinę.

– Los członków wyprawy jest nieznany – podkreślił dziennikarz przekazujący najświeższe informacje. – Z ostatnich doniesień wynika, że wspinacze mogli znajdować się w miejscu, w którym zeszła lawina.

Mężczyzna przycisnął słuchawkę do ucha i zmrużył oczy.

– Docierają do mnie informacje, że mimo trudności udało nam się nawiązać połączenie z naszym reporterem na miejscu. Posłuchajmy, co ma do powiedzenia.

Z głośników telewizora dobiegł cichy szum, który po chwili stał się znacznie głośniejszy. Słychać było niknące w nim pojedyncze strzępki słów, ale nie sposób było nic z nich zrozumieć.

Prowadzący odczekał jeszcze chwilę, po czym odpuścił.

– Wygląda na to, że nie uda nam się uporać z trudnościami technicznymi – powiedział. – Spróbujemy skontaktować się z naszym reporterem, kiedy warunki na to pozwolą. Z przekazanych przez niego informacji wynika jednak, że lawina zeszła prawdopodobnie tuż po tym, jak nad ekipą wspinaczkową zerwał się serak.

Magdalena zrobiła głośniej.

– Jest to duża bryła lodu, część lodowca, która odrywa się od niego wskutek pęknięć – ciągnął mężczyzna. – Stanowi niebezpieczeństwo dla himalaistów na wszystkich szczytach, na Annapurnie zaś wyodrębnia się wyjątkowo często.

Relacjonował wszystko ze spokojem, wręcz nienaturalnym dystansem, podczas gdy ludzie znajdujący się sześć kilometrów nad poziomem morza mogli w tej chwili desperacko walczyć o każdy oddech. O życie.

Kiedy ta myśl nadeszła, Magdalena poczuła, że robi jej się niedobrze. Nie jadła nic od długiego czasu, po latach wróciła

do palenia i tylko cudem udawało jej się nie przeholować z alkoholem.

Pochyliła się i schowała twarz w dłoniach. Nie miała już siły. Najpierw jej córka, a teraz siostra i mąż. Boże drogi, ciążyła na niej jakaś klątwa.

Poczuła, jak łzy przepływają jej przez palce. Pociągnęła nosem, otarła policzki i podniosła głowę. Na antenie właśnie zaczynała się reklama, a Magdalenie wydawało się, jakby los chciał jej napluć prosto w twarz, mówiąc: te problemy to twoja sprawa, świat idzie naprzód, bo proszki do prania same się nie sprzedadzą.

Wzdrygnęła się, kiedy rozległ się dzwonek telefonu. Natychmiast po niego sięgnęła i odebrała.

– Kordian? – rzuciła. – Wiesz coś?

Nie musiała pytać, czy jest na bieżąco z tym, co się dzieje. Jeśli cała ta intuicja miała jakiekolwiek odbicie w rzeczywistości, on także od razu poczuł, że dzieje się coś złego.

– Tylko tyle, ile mówią w mediach – odparł. – A ty?

– Julian nie odbiera.

– Wiem, próbuję się do niego dodzwonić od jakiegoś czasu.

Oboje na moment zamilkli.

– Boże… – jęknęła. – Co tam się dzieje?

– Bądźmy dobrej myśli.

W jego głosie zabrakło choćby nuty przekonania.

– Mówią, że ten serak zerwał się tuż nad nimi – powiedziała Magdalena, szukając paczki papierosów.

– Wiem.

– I że zaraz potem zeszła lawina.

– Podobno często tak się dzieje, to jak system naczyń połączonych.

Mogła to sobie wyobrazić. Coraz mocniejsze podmuchy wiatru, które najpierw przynoszą nagłą zmianę pogody, a potem powodują oderwanie się wielotonowej lodowej bryły. Cały leżący na niej śnieg musiał runąć w dół z monstrualną siłą.

Magdalena odpaliła marlboro lighta i zaciągnęła się tak głęboko, jakby była astmatykiem, a papieros był inhalatorem.

– Dlaczego nie ma z nimi żadnego kontaktu? – jęknęła. – Przecież ktoś tam musi mieć radio, telefon satelitarny… mieli nawet jakiegoś drona, kręcili jeszcze wczoraj filmiki.

Oryński nie odpowiadał.

– Kordian?

– Nie wiem – odparł w końcu. – Ale dron nie poleci, dopóki będzie się utrzymywała zadymka. Warunki podobno są w tej chwili ekstremalne.

Znów jedno i drugie potrzebowało chwili, by w milczeniu zebrać myśli. Zanim Magdalena zdążyła się odezwać, w słuchawce rozległ się krótki sygnał.

– Kordian, przepraszam – rzuciła szybko. – Chyba ktoś do mnie dzwoni. Zaraz…

– Jasne, jasne. Jak tylko będziesz coś wiedziała, dać znać.

– Dam – zapewniła, a potem się rozłączyła.

Miała rację. Julian starał się z nią skontaktować. Odetchnęła, dziękując Bogu, że chociaż jedna z trzech najbliższych jej osób była cała i zdrowa. Natychmiast wybrała numer męża, a kiedy tylko nawiązała połączenie, usłyszała wiatr tak przeraźliwy, że zdawał się rykiem oszalałego zwierzęcia.

Julian starał się go przekrzyczeć, ale nie była w stanie go zrozumieć. Przyciskała komórkę coraz mocniej do ucha, sama do niej krzyczała, miała jednak wrażenie, że mąż także nie

może jej usłyszeć. Dopiero po chwili, kiedy najpewniej czymś się nakrył, zdołała wyłowić pojedyncze słowa.

„Robimy". „W naszej mocy".

Nie potrzebowała więcej, by wiedzieć, że sytuacja na Annapurnie jest opłakana.

10

Siedziba NSI, Wola

Główny hol był dość przestronny, ale po kilkudziesięciu minutach Kordian miał wrażenie, że nie ma w nim milimetra kwadratowego, którego by nie przeszedł. Kręcił się w kółko, nerwowo czekając na jakiekolwiek wieści na antenie NSI, od Magdaleny, Juliana lub Biancziego.

Jedyne, co otrzymał, to kilka urywanych zdań od siostry Chyłki. Poukładali z nich mało treściwy przekaz, który sprowadzał się do tego, że pogoda nie pozwala na podjęcie akcji ratunkowej, ale wszyscy w bazie robią, co mogą, żeby ekipy były gotowe do wyruszenia, kiedy tylko poprawi się pogoda.

Magdalena przyjechała do siedziby NSI kilka minut temu. Siedziała teraz przy stoliku pod oknem i obejmowała kubek, jakby chłód doskwierający ludziom pod Annapurną w jakiś sposób przeniósł się na nią.

Oryński kupił w saloniku prasowym kolejną paczkę davidoffów. Poprzednią opróżnił w rekordowym tempie i miał wrażenie, że oddycha już wyłącznie nikotyną. Mimo to wyszedł na kolejnego papierosa.

Już chciał oderwać folię z paczki, kiedy rozległ się dzwonek jego telefonu. Standardowy, a nie charakterystyczny początek jednego z kawałków Iron Maiden. Oddałby w tej chwili wszystko, by usłyszeć pierwsze riffy *The Evil That Men Do*, które przypisane były do Chyłki.

Spojrzał na ekran z niedowierzaniem.

William McVay.

W pierwszej chwili Kordian nie mógł zrozumieć, dlaczego Brytyjczyk miałby się z nim kontaktować. Dopiero potem dotarła do niego oczywista konstatacja, że William jest już na miejscu. I być może coś wie.

Oryński natychmiast przesunął palcem po wyświetlaczu.

– Co się dzieje? – rzucił niemal na bezdechu.

Brak odpowiedzi sugerował, że rozmówca albo nie spodziewał się takiego początku rozmowy, albo znajdował się w miejscu, gdzie były kłopoty z zasięgiem. Oryński przestąpił z nogi na nogę, machinalnie zapalając papierosa.

– Halo?! – krzyknął.

– Spokojnie, spokojnie. Po co od razu…

– Mów, co tam się dzieje!

– Płonie ognisko i szumią knieje.

Wypuszczając nerwowo dym, Kordian odstawił komórkę od głowy i spojrzał na nią, jakby połączenie nawiązał nie z McVayem, lecz z osobą znajdującą się w innej rzeczywistości.

– Co ty pieprzysz? – spytał.

– Odpowiadam na pytanie.

– Zwariowałeś, człowieku?

W odpowiedzi Kordian usłyszał niepewne chrząknięcie.

– Może jeszcze za krótko mieszkam w Warszawie, ale wydaje mi się, że u was, tak jak i u nas, wypada się w miarę uprzejmie…

– Gdzie ty jesteś? – uciął Oryński, uświadamiając sobie, że William najwyraźniej nie ma bladego pojęcia, co się dzieje.

– W Manang.

Tak wiele działo się w jego głowie, że potrzebował chwili, by skojarzyć nazwę z wioską, w której Kabelis miała nakręcić swój materiał o *chhaupadi* i współczesnym niewolnictwie nepalskich dziewczyn.

– Chyłka mnie tu wysłała – dodał McVay. – Miałem przeprowadzić małe polowanie na czarownice i… szczerze mówiąc, myślałem, że będzie nieco łatwiej. Okazało się jednak, że to nie tak zapadła wiocha, jak twierdziła.

Kordian milczał, z niedowierzaniem słuchając lekkiego tonu Williama. Rzeczywiście brzmiał, jakby był w innym świecie – co potwierdzało, że nie ma pojęcia o tym, co zdarzyło się na Annapurnie.

Nic dziwnego. Niżej pogoda z pewnością nie była tak ekstremalna, może zerwał się wiatr, trochę popadało, a niebo się zaciągnęło. Nie miało to jednak wiele wspólnego z armagedonem, który rozgrywał się wyżej.

– Wygląda to w sumie jak miasteczko rodem z Dzikiego Zachodu, tyle że zamiast drewnianych, wszędzie są murowane budynki. Drogi ledwo utwardzone, przechadzają się po nich zwierzęta pociągowe. Oprócz tego jest sporo hoteli, kafejek, piekarń, knajp i centrum medyczne specjalizujące się w leczeniu choroby wysokościowej.

Kordian obrócił się i spojrzał przez przeszkloną elewację na Magdalenę. Nadal z nadzieją wpatrywała się w telewizor i co rusz sprawdzała komórkę. Wyraz jej twarzy świadczył jednak o tym, że nic nowego się nie pojawiło.

– Mieszka tu jakieś siedem tysięcy ludzi, ale…

– Po co do mnie dzwonisz? – odezwał się w końcu Kordian.

– Bo nie mogę się przebić do Chyłki ani do nikogo w obozie. Albo nie odbierają, albo mają zajęte.

– I nie wiesz dlaczego?

– Nie.

Oryński głęboko nabrał tchu.

– Gdzie dokładnie jesteś? – spytał.

– Wracam do… cóż, do centrum, z braku lepszego określenia – odparł niepewnie William. – Pochodziłem trochę po

obrzeżach, bo założyłem, że…

– Zeszła lawina – przerwał mu Kordian.

Brytyjczyk nie odpowiedział.

– Ostatnie doniesienia mówiły o tym, że przysypało całą ekipę. Na razie nic więcej nie wiemy, nie ma z nimi kontaktu.

– Co? Jak… jak to możliwe?

Kordian zaciągnął się głęboko. Sam zadawał sobie to pytanie od samego początku, przeklinając w duchu wszystkich, którzy pracowali nad analizą map pogodowych. W głębi ducha wiedział, że nie ma prawa żywić do nich pretensji. Na takiej wysokości, w trakcie tak niespokojnej pory roku, zdarzyć się mogło właściwie wszystko. Wiatr był rekordowy, a im mocniej wiał, tym gwałtowniej przesuwały się masy powietrza. Nikt nie mógł przewidzieć, że sytuacja tak szybko się pogorszy.

– Wysłali tam kogoś? – dodał McVay, natychmiast poważniejąc.

– Nie są w stanie wyjść z namiotów, co dopiero z bazy.

– A śmigłowce? Nepalczycy mogą natychmiast je poderwać, w Katmandu jest ich…

– Przy takim wietrze to niemożliwe.

– W porządku – odparł nieobecnym tonem William. – Może trzeba w takim razie poinformować polski konsulat albo… sam nie wiem. Może po drugiej stronie masywu jest lepsza pogoda? Może z tamtej strony ktoś mógłby spróbować się do nich dostać?

– Przez szczyt Annapurny?

– Coś trzeba zrobić.

Oryński przypuszczał, że wszyscy na miejscu robią znacznie więcej niż tylko „coś”. Każdy miał świadomość, że życie uwięzionych na górze osób wisi na włosku. I to wyjątkowo cienkim.

– Jak tylko pogoda się poprawi, na pewno po nich wyjdą.

– Kurwa mać…

– Z Chyłką jest cała ekipa ludzi, którzy poszli tam tylko po to, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo. Pracownicy agencji, Szerpowie…

– Mogą już nie żyć.

Kordian zamknął oczy, starając się odsunąć od siebie tę myśl. Nachodziła go już kilkakrotnie, na dobrą sprawę za każdym razem, kiedy na antenie NSI wypowiadał się ktoś znający się na rzeczy.

– Miała plecak lawinowy? – spytał McVay. – Wiesz, ten sprzęt, który…

– Otwiera poduszkę powietrzną po zejściu lawiny, wiem – dokończył Oryński. – I tak, miała.

– W takim razie jest szansa.

Skinął głową, ale nie miał zamiaru odpowiadać. Alpiniści również podnosili ten wątek w programach publicystycznych, niemal wszyscy byli jednak zgodni, że przy tak ogromnej masie śniegu nawet plecak ABS nie dawał szans na przetrwanie. A jeśli dodać do tego informacje o oderwanym z góry seraku…

Kordian przerwał tok myśli, zanim doprowadził go do zbyt przygnębiających wniosków. Powtórzył sobie w duchu, że dopóki nie mają żadnych potwierdzonych informacji, nie ma sensu się zadręczać.

Spojrzał na Magdalenę i zobaczył, że ta nagle się ożywiła.

– Muszę kończyć – rzucił do słuchawki.

– Czekaj…

– Wejdź na jakikolwiek polskojęzyczny portal. Będziesz wiedział tyle, co ja.

– Czekaj, muszę ci powiedzieć o…

Oryński rozłączył się, nie mając zamiaru tracić ani chwili więcej. Szybkim krokiem wszedł z powrotem do holu, a potem

skierował się prosto do stolika, przy którym siedziała Magdalena. Usłyszał dźwięk świadczący o nadejściu esemesa, ale go zignorował.

Siostra Chyłki rozmawiała przez komórkę, była cała blada i sprawiała wrażenie, jakby telefon stał się dla niej całym światem.

– O Boże… – jęknęła. – Tak, jestem z Kordianem.

Dopiero teraz odnotowała jego obecność. Natychmiast przełączyła rozmowę na głośnik i położyła telefon na stole. Oryński usiadł naprzeciwko niej i spojrzawszy na ekran, przekonał się, że dzwoni Julian.

Przypuszczał, że nic nie stracił. Kilka pierwszych zdań między małżonkami musiało sprowadzać się do zapewnień, że wszystko jest w porządku.

– Włączyłam głośnomówiący – powiedziała.

Oboje nachylili się nad komórką, a Kordian rozejrzał się jeszcze kontrolnie. Przy stolikach obok nikogo nie było – mimo lunchowej pory dziś wszyscy zostali w swoich gabinetach i salach konferencyjnych.

Brencz na tracił czasu na powitania, od razu przeszedł do rzeczy.

– Nie mamy z nią żadnego kontaktu – powiedział.

W tle słychać było wciąż szalejący wiatr, a głos Juliana był niewyraźny, jakby dochodził z innego świata.

– Udało nam się nawiązać go z jednym z Szerpów, Pasangiem. Nie miał swojego radiotelefonu, ale…

Oryński miał wrażenie, że rozmówca urwał, bo nagle pojawiła się w bazie jakaś nowa informacja. Prawda okazała się jednak inna. Brencz potrzebował czasu, by oswoić się z tym, co miał zamiar przekazać.

– Pasang Dorje znalazł go przy jednym z ciał pracowników agencji – wydusił w końcu. – Oni… jest ich tam…

Z połączeniem nie było problemu, kłopot w komunikacji tym razem nie miał podłoża technicznego. Kordian uznał, że najwyższa pora nieco pomóc Brenczowi.

– Ilu zginęło? – spytał.

– Nie wiemy. Pasang mówił o co najmniej kilkunastu ciałach przykrytych śniegiem. Ale widoczność jest u góry tak kiepska, że sam nie jest pewien.

Oryński mimowolnie zobaczył to oczami wyobraźni.

Szalejąca śnieżna zadymka, porozrzucany sprzęt, ręce i nogi wystające gdzieś ze złogów śniegu na lawinisku.

– Co tam się stało? – zapytała Magdalena. – W mediach podawali informację, że odpadła bryła lodu i zeszła lawina.

– Ze słów Pasanga… też na to wygląda – odparł ciężko Julian. – Usłyszał ogromny huk, wszyscy rzucili się do ucieczki, a potem z góry spadły na nich zwały śniegu. Wszystko działo się tak szybko, że trudno go w ogóle wypytywać o szczegóły. Jak tylko zejdzie do pierwszego z obozów, z pewnością…

– Schodzi? – przerwał mu Kordian.

– Próbuje.

– Nie może tak po prostu jej tam zostawić.

Julian potrzebował chwili, by sformułować właściwą odpowiedź. Jednocześnie zgodną z prawdą, ale nie nazbyt druzgocącą. Cisza, która nastała na linii, tylko to potwierdzała.

– Nie wiemy, czy Chyłka żyje – powiedział w końcu to, co było oczywiste. – Nie daje żadnych znaków, nie możemy jej wywołać i…

Znów milczenie.

Każda sekunda, w której Brencz się nie odzywał, była jak kolejny cios.

– W tych warunkach nie ma mowy, żeby Pasang wszedł wyżej. On sam nie wie nawet, gdzie jest, ale masa śniegu musiała znieść go dużo niżej.

– Ale…

– On tam walczy o życie – powiedział w końcu Julian. – I chyba tylko cud może go uratować, rozumiesz?

Wydźwięk tego pytania był jasny. Jeśli Nepalczyk był w tak opłakanej sytuacji, to Chyłka właściwie nie miała szans, by samodzielnie poradzić sobie ze swoją.

– Rozumiem – odparł cicho Oryński. – A co z jej GPS-em? Nie działa?

– Działa, ale niewiele nam daje.

– Przecież musi pokazywać, gdzie jest.

– Pokazuje orientacyjne położenie – odparł Julian i krzyknął coś po angielsku, na moment odsuwając komórkę. – Cała sprawa z lokalizacją sprowadza się do liczby satelitów, których sygnał uda się złapać. Jeśli są nad tobą trzy lub więcej, urządzenie dość precyzyjnie jest w stanie określić położenie. Tam, gdzie wspinali się Chyłka i reszta, był tylko jeden satelita. To nam daje rejon, ale nie konkretne miejsce.

Magdalena i Kordian wymienili się zaniepokojonymi spojrzeniami.

– Przykro mi – dodał po chwili Julian. – W tej chwili nic więcej nie możemy zrobić. Musimy czekać na poprawę pogody, ale w tej chwili jest taka dupówa, że nie sposób wyjść z namiotów.

Oryński spuścił głowę.

– Ile ona może tam wytrzymać? – zapytał.

„O ile jeszcze żyje”, rozległ się wstrętny, niechciany głos gdzieś z tyłu głowy. Kordian natychmiast go uciszył. Musiała żyć, to nie mogło się tak skończyć.

– To zależy, w jakim jest stanie – odparł Brencz. – Jakie ma zapasy, gdzie się znajduje, czy jest osłonięta od wiatru… Nie wiem, Kordian, naprawdę nie wiem. Jeśli zaczęła się hipotermia, ma dwanaście godzin, ale…

Ale nawet skrajne wyziębienie mogło nie być jej największym zmartwieniem, dopowiedział sobie w duchu Oryński. Przy tak potężnych zwałach śniegu mogła odnieść obrażenia zbliżone do tych, które powstają w wyniku czołowego zderzenia dwóch rozpędzonych samochodów.

– Co możemy zrobić? – odezwała się Magdalena.

– Czekać. Spokojnie czekać, na tyle, na ile to możliwe.

Kordian nie miał zamiaru siedzieć z założonymi rękoma. Wprawdzie faktycznie nie mógł zdziałać wiele, uznał jednak, że pewne możliwości ma.

– Wiecie, kiedy pogoda ma się poprawić? – spytał.

– Prognoza nie jest dobra.

– To znaczy?

– Ta zamieć może potrwać kilka godzin. Jest pora monsunowa, więc zapowiadają, że potem wystąpią mgły i silne opady śniegu. Widoczność nie będzie o wiele lepsza niż teraz.

Oryński spojrzał na zegarek. Miał taki mętlik w głowie, że nie potrafił przeliczyć godziny.

– Do zmroku ten huragan ustanie? – zapytał.

– Obawiam się, że nie.

Kordian przesunął trzęsącą się dłonią po twarzy, dopiero teraz uświadamiając sobie, jak zszargane ma nerwy.

– Musimy mieć nadzieję – dodał po chwili Julian. – Ale jednocześnie być gotowi na najgorsze. Po zachodzie temperatura znacznie spadnie, a akcja ratunkowa śmigłowcem nie będzie wchodziła w grę.

Z trudem zachowywał jako taki spokój w głosie, ale z nich wszystkich to on najlepiej odnajdywał się w sytuacji. Nie miał

wielkiego doświadczenia wyprawowego, przez lata jednak żywo interesował się alpinizmem, przyswajał pewne zachowania, a teraz podświadomie je powielał. Kordian nie miał wątpliwości, że tam na miejscu stanie na wysokości zadania.

Natura musiała tylko dać mu szansę.

– Jak tylko będę wiedział coś więcej, odezwę się – dorzucił.

– Dzwoń od razu – poprosił Kordian i wstał od stołu.

Małżeństwo wymieniło się kilkoma podnoszącymi na duchu słowami, a potem się pożegnało. Oryński wyciągnął swój telefon i sprawdził esemesa, który przyszedł tuż przed rozmową z Brenczem.

Wiadomość pochodziła od McVaya i była dość oszczędna. Brytyjczyk donosił, że w rozmowach z mieszkańcami Manang wyszła na jaw dość zastanawiająca sprawa.

Mieli widzieć Macieja Drobniaka, towarzysza Kabelis, już po tym, jak rzekomo zginął na zboczu Annapurny.

Kordian nie miał zamiaru poświęcać temu ani chwili. Nie teraz. W tym momencie liczyło się jedynie poruszenie nieba i ziemi, by pomóc Chyłce.

Od razu przystąpił do działania. Najpierw zadzwonił do Ambasady RP w Nowym Delhi, a potem skontaktował się z podlegającym jej przedstawicielstwem w Katmandu.

Honorowy konsul generalny zapewnił go, że władze dyplomatyczne zrobią wszystko, co konieczne, żeby wesprzeć Polaków uwięzionych na Annapurnie. Dopiero wówczas Kordian tak naprawdę zdał sobie sprawę, że nie tylko Chyłka jest zagrożona. Wszyscy dziennikarze w bazie również byli narażeni na zsuwające się z góry masy śniegu. Dopóki wichura nie ustanie, całą okolicę właściwie należało traktować jako teren lawinowy.

– Jeśli pogoda się poprawi, potrzebny będzie helikopter – powiedział Oryński.

– Zapewniam, że…

– Proszę mnie nie zbywać.

– Nie zbywam. Ale musi pan zrozumieć, że takich telefonów mamy teraz…

– Zapewniam, że takich pan nie ma – uciął Kordian. – Bo jeśli choćby przez chwilę odniosę wrażenie, że nie robicie wszystkiego, co możliwe, jeszcze dzisiaj zwrócę się do ministra spraw zagranicznych, by…

– Nie ma takiej potrzeby.

Urzędnik odpowiadał uprzejmie, bez pretensji, choć na dobrą sprawę mógłby je mieć. Pełnił swoją funkcję nieodpłatnie, nie był zatrudniony przez polskie władze. Owszem, konsulom honorowym opłacano koszty związane z obsługą placówki, ale na tym wsparcie finansowe się kończyło. Ci ludzie wykonywali swoje obowiązki tak, jak sugerowała to nazwa ich stanowiska – honorowo.

– Więc co ze śmigłowcem? – spytał Kordian. – Rozmawiał pan z wojskiem? Dadzą coś, co będzie w stanie polecieć na taką wysokość?

– Będziemy z nimi rozmawiać, jak tylko pogoda się poprawi.

– Wtedy ten helikopter ma już tam lądować. Niech pan porozmawia teraz.

– Proszę mi zaufać. Wiem, co robię.

Oryński potrzebował chwili, by się uspokoić. I uznał, że roztropnie będzie nie mieć teraz na linii konsula. Mężczyzna zresztą nie mógł zdziałać cudów, jego siła oddziaływania na nepalskie władze była mniej więcej taka, jak Kordiana.

Tyle że on miał zamiar swoją zwiększyć. Po tym, jak rozłączył się z urzędnikiem, wykonał jeszcze kilka telefonów. Zaczął od ponownego wybrania numeru ambasady w Nowym Delhi i postarał się o to, by pracownicy skontaktowali się z przedstawicielami lokalnego wojska. Potem zrobił wszystko,

by urzędnicy w polskich ministerstwach obrony narodowej i spraw zagranicznych skontaktowali się ze swoimi odpowiednikami w Indiach.

Nie wiedział, na ile to poskutkuje, ale przynajmniej nie miał wrażenia, że siedzi bezczynnie. Miał nadzieję, że dzięki jego staraniom w którejś bazie lotniczej w Indiach lub w Nepalu jakiś śmigłowiec będzie gotowy do lotu, gdy tylko pogoda się poprawi.

Ostatnia z rozmów uświadomiła mu jednak, że tak się nie stanie.

Dzwonił Julian – i z jakiegoś powodu, kiedy tylko Kordian zobaczył jego numer, opadł go niepokój. Poczuł, że Brencz ma mu do przekazania tę wiadomość, której wszyscy się obawiali.

– Musisz przestać – powiedział.

– Ale…

– Wiem, że trudno jest po prostu czekać, ale wierz mi, że tak będzie najlepiej.

– Nie mam zamiaru siedzieć z założonymi rękami.

W słuchawce nadal słychać było podmuchy silnego wiatru, jakby pogoda miała już nigdy się nie poprawić.

– Robisz niepotrzebne zamieszanie – odparł Brencz.

– Niepotrzebne? Presji na polityków nigdy za wiele. Im bardziej będą się obawiać medialnej krytyki, tym skuteczniej zadziałają.

Julian przez chwilę namyślał się nad odpowiedzią.

– Niczego nie wskórasz, oprócz zyskania sobie ich niechęci.

– Zobaczymy.

– Kordian, posłuchaj – rzucił ciężko Brencz. – Nie ma szans, żeby ktoś po nią poleciał.

– Teraz nie, ale sam mówiłeś, że później to możliwe.

– Nie.

Krótka, zdecydowana odpowiedź była wymowniejsza niż długi elaborat. Oryński otworzył usta, ale się nie odezwał.

– Kiedy wichura się uspokoi, będzie już ciemno – dodał mąż Magdaleny. – Helikopter nie wyleci po zmroku.

– Może…

– Mamy najnowszą prognozę. To już pewne.

– W takim razie polecą po nią rano.

Znów odpowiedziała mu cisza. Tym razem znacznie dłuższa i niezmącona nawet wtedy, kiedy Oryński kilkakrotnie dopomniał się o uwagę.

Wiedział, co to oznacza. Teraz żaden śmigłowiec nie wystartuje ze względu na wiatr, potem na zmrok. A rano dlatego, że nie będzie już sensu.

– Halo? – rzucił do słuchawki po raz kolejny Kordian.

– Poczekaj… przepraszam. Jezu, chyba mamy z nią kontakt – odpowiedział rozemocjonowanym głosem Julian. – Oddzwonię!

11

Base camp, zbocze Annapurny

Przy kilku pierwszych trzaskach w radiotelefonie Julian miał wrażenie, że się przesłyszał. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że to nie trzepoczące poły namiotu, zawodzenie wiatru ani skrzeknięcia na linii z Oryńskim.

Natychmiast odłożył komórkę i rzucił się do odbiornika.

– Chyłka? – spytał.

Wstrzymał oddech, odnosząc wrażenie, że serce mu się zatrzymało.

– Chyłka!

Może jednak tylko wydało mu się, że usłyszał trzaski? Może umysł go oszukiwał i sprawił, że zmysły odbierały to, czego tak chorobliwie wyczekiwały?

Mogło się okazać, że jest jeszcze gorzej. Przy pesymizmie, jaki wzbierał w nim od pewnego czasu, mógł bez trudu wyobrazić sobie ciało Joanny leżące na zboczu, po którym przesuwa się niesiony wiatrem śnieg. Wystarczyło, by zahaczył o mikrofon przy brodzie.

Julian zamknął oczy, nasłuchując.

– Chyłka… – rzucił jeszcze raz, tym razem błagalnie.

Znów cisza. Żadnej odpowiedzi, żadnych trzasków.

W końcu jednak dostał to, na co czekał. Głos. Zniekształcony, niewyraźny, niepasujący do Joanny. Może przeżył ktoś inny i starał się skontaktować? Brencz nie mógł tego wykluczyć.

Opadł ciężko na karimatę, usiadł po turecku i czekał.

– Powtórz, proszę – powiedział.

– *Os…*

Tym razem usłyszał nieco więcej. I odniósł wrażenie, że był to kobiecy głos. Zachrypnięty, rozedrgany, cichy, ale dla Juliana jednocześnie zbawienny, bo świadczący o tym, że ktoś tam na górze żyje.

– Powtórz, nie zrozumiałem.

– *Hemos…*

– Co takiego?

– *Hemos… pasado…*

Potrząsnął głową, nic nie rozumiejąc. O ile wiedział, żaden z Szerpów nie mówił po hiszpańsku, a wśród pracowników agencji nie było nikogo z tego kraju. Może jednak była to Chyłka?

Spojrzał na zegarek. Już wcześniej docierały do niego wiadomości, że czuje się nie najlepiej i prawdopodobnie będzie sprowadzana na dół. Tuż przed zejściem lawiny jeden ze wspinaczy sygnalizował, że są bliscy podjęcia takiej decyzji.

Od tamtej pory minęło wystarczająco dużo czasu, by u Joanny wystąpiły halucynacje. Właściwie cudem byłoby, gdyby do tego nie doszło.

– Chyłka?

Jeśli to była ona, najwyraźniej wykorzystała cały zapas energii, by wypowiedzieć te dwa słowa. Zmęczenie i apatia, dwa sztandarowe objawy choroby wysokogórskiej, na tej wysokości mogły już z całą pewnością wystąpić. Oprócz tego powyżej trzech tysięcy metrów organizm reagował zarówno na płaszczyźnie psychiki, jak i fizjologii.

Zaczynały się zaburzenia świadomości, ludzie podejmowali niepotrzebne, nielogiczne działania, zmagali się z bólami głowy, rozedrganiem emocjonalnym… właściwie całym spektrum dolegliwości. Do tego dochodziły te związane

z protestującym, odwodnionym organizmem. Od zaparć, przez wymioty, aż po śmierć.

Julian jeszcze przez chwilę czekał na odpowiedź, po czym odłożył radiotelefon i sięgnął po komórkę. Zgodnie z obietnicą zadzwonił do Kordiana, choć tak naprawdę nie wiedział, co mu przekazać.

Ledwo jednak młody prawnik usłyszał o hiszpańskich słowach, niemal krzyknął z radości.

– Jakie to były słowa? – spytał. – *No pasarán?*

– Nie, coś in…

– *Hemos pasado?*

– Tak, tak. Dokładnie te.

Oryński zaśmiał się do słuchawki z tak wyraźną ulgą, że nadzieja wstąpiła też w Brencza. A kiedy Kordian oznajmił mu, co oznacza ta formułka, zyskał pewność, że Chyłka przeżyła. Podziękował rozmówcy i nie tracąc czasu, znów sięgnął po radiotelefon.

– Jeśli mnie słyszysz, poruszaj mikrofonem – powiedział.

Nasłuchiwał, ale rezultatu nie było. Założył jednak, że nawet jeśli Joanna nie ma siły, jest w stanie przyswoić kilka podstawowych informacji. Podstawowych dla niego, niekoniecznie dla niej w tym stanie.

– Posłuchaj – podjął. – Jeśli możesz, znajdź żele energetyczne. Miałaś je w plecaku, pewnie także w kurtce. Jeżeli jest przy tobie ktoś inny, również może je mieć.

Zero odpowiedzi.

– Masz też przy sobie leki, natychmiast je sobie zaaplikuj. W apteczce znajdziesz zastrzyk z deksametazonu.

Roztwór łagodził jedynie objawy choroby wysokościowej, ale w tej chwili tyle by wystarczyło, by nawiązać kontakt z Chyłką i poinstruować ją co do dalszych kroków.

– Jeśli to możliwe, wkłuj się w odsłoniętą część ciała, inaczej zawartość może pójść w materiał.

Jeszcze przez moment udzielał kolejnych wskazówek, ale nie sposób było stwierdzić, czy którekolwiek docierają do Joanny. Zdawał sobie sprawę, że jeśli poda sobie deksametazon, będzie w stanie wziąć także inne leki. Jej stan nieco się poprawi, ale Julian nie miał zamiaru się oszukiwać – tylko zejście na niższy pułap może tak naprawdę pomóc. Nawet najlepsze środki nie mogły równać się z choćby kilkusetmetrowym zmniejszeniem wysokości.

Po nieco ponad godzinie wciąż nie było żadnego kontaktu. Odezwał się za to Oryński, twierdząc, że przebywający w Manang William McVay dotarł do zastanawiających faktów. Tamtejsi Nepalczycy mieli twierdzić, że widzieli żywego Macieja Drobniaka. Było to zaskakujące, ale nie na tyle, by Kordian i Brencz chcieli zajmować się tym w tej chwili.

Nieco później wiatr w końcu zelżał do tego stopnia, że pierwsi członkowie wyprawy zaczęli wychodzić ze swoich prowizorycznych schronów, by ocenić rozmiar szkód. Niektóre stelaże i słupki namiotów były połamane, a materiał porwany, ale mogło być dużo gorzej.

Kierownicy wypraw zaczęli się upewniać, że nikomu z ich grup nic się nie stało, a Brencz rozglądał się za dziennikarzami. Wychodzili z namiotów, kręcili już pierwsze materiały. Okolica przywodziła na myśl krajobraz po przejściu lawiny, a nie wichury.

Właściwie mieli szczęście, że śnieg nie zsunął się na nich. Nie był to wprawdzie teren zagrożony, ale jak dziś Julian pamiętał lawinę, która zeszła na base camp pod Everestem w kwietniu dwa tysiące piętnastego roku. Indyjska armia uratowała wtedy przeszło sześćdziesięciu wspinaczy, w bazie odnaleziono jednak ciała niemal dwudziestu.

Nie trzeba było zresztą sięgać ani tak daleko, ani tak wysoko. W marcu sześćdziesiątego dziewiątego lawina zeszła w polskich Karkonoszach. Pędziła przeszło dwieście pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, niosąc dwadzieścia ton śniegu i po drodze wyrywając słupy telefoniczne i drzewa, a ludzi i ich sprzęt roztrzaskując na kawałki.

Brencz wzdrygnął się na tę myśl. Przeszedł między namiotami, upewniając się, że nikomu z reporterów nic się nie stało. Nie udzielał żadnych komentarzy, rzucił jedynie kilka wymijających uwag, że czekają na wieści z góry.

Te w końcu nadeszły.

Niecałe dwie godziny po pierwszym nawiązaniu kontaktu z Chyłką Julian wrócił do namiotu i zaczął przygotowywać wodę na herbatę. Nie zdążył jej zaparzyć, kiedy radiotelefon znów się uaktywnił.

– Chyłka? – niemal krzyknął.

– We własnej… osobie.

Brencz zamknął oczy i odetchnął.

– Mam tu prawdziwą… epokę lodowcową, Lemurze – dodała nieco pewniejszym głosem.

Julian ścisnął mocniej urządzenie. Serce zabiło mu tak szybko, że miał wrażenie, jakby miało mu się wyrwać z piersi.

– Gdzie jesteś? – rzucił.

– Nie mam… pojęcia. Wszędzie jest… biało, całkowicie biało. Narodowcy byliby wniebowzięci…

– Porwała cię lawina?

– Porywa mnie… jedynie głos Bruce'a.

Julian odsunął termos, mimo woli lekko się uśmiechając. W pierwszej chwili chciał zaprotestować, że to nie pora na żarty, ale właściwie był to najbardziej odpowiedni moment. W takich sytuacjach psychika odgrywała nieraz rolę znacznie ważniejszą niż fizjologia.

– Przysypało mnie lekko…

– Domyślam się.

– Nalikowski…

– Co z nim? Jesteś gdzieś w okolicy jego ciała? Widzisz je?

Odpowiedzi nadchodziły z opóźnieniem, ale należało się tego spodziewać.

– Nie, nie… on pomógł mi się odkopać…

– Co takiego?

– Nalikowski…. wszedł po mnie…

– Wszedł? – jęknął Julian i potrząsnął głową. – Chyłka, on i Drobny zginęli.

– Nie.

Tym razem odpowiedź przyszła natychmiast, a głos Joanny stał się znacznie pewniejszy. Zaraz potem zaniosła się mokrym kaszlem. Trwało to tak długo, jakby miała udusić się wydzieliną z płuc.

– Długa… historia…

– Chcesz powiedzieć, że oni żyją?

– Tak.

– Jakim cudem?

– To wszystko… ściema…

Brencz skarcił się w duchu za to, że zmusza ją do pożytkowania sił na rzecz, która w tej chwili nie miała żadnego znaczenia.

– Nie wierz… Kabelis…

– W porządku, Chyłka, w porządku – rzucił szybko. – Opowiesz mi wszystko po powrocie do base campu. Teraz zajmijmy się tobą. Jak się czujesz?

– Jak… milion dolarów, ale… tych surinamskich albo namibijskich… w zależności, które mają teraz słabszy kurs…

– Podałaś sobie deksametazon?

– Oj… żebyś wiedział… odjazd.

– Wzięłaś coś jeszcze?

– Wszystko, co miałam…

– Masz żele energetyczne?

– Zeeee… zeżarłam.

Głos znów stawał się słabszy i cichszy. Julian poczuł niepokój, ale szybko zapewnił się w duchu, że teraz wszystko jest pod kontrolą. Mają kontakt, wiatr ponad obozem zaraz uspokoi się na tyle, by ruszyła grupa ratunkowa.

– Smakowały jak dosłodzony aspartamem… wyciąg z kiepów…

– Masz jakieś obrażenia?

– Tak…

Brencz zamknął oczy, starając się uspokoić oddech.

– Największe obrażenie mam… na tę zasraną górę…

– Chryste – odparł z ulgą. – Możesz przez chwilę nie robić sobie jaj?

– Mogę, ale… zaraz będzie ciemno, więc… zrobi się ponuro i…

Nie dokończyła, najwyraźniej uznając, że lepiej oszczędzać siły. Fakt, że zdawała sobie sprawę z rzeczy tak prozaicznej, jak położenie słońca na nieboskłonie, dodał mu nieco otuchy. Gdyby coś nie tak było z jej psychiką, nie byłaby w stanie nawet oszacować pory dnia.

Myślała racjonalnie. On także powinien. A to oznaczało, że musiał przygotować ją na to, by przetrwała po zmroku.

– Okej – rzucił. – Masz czołówkę?

– Stłuczona.

Brencz zaklął cicho, ale potem uzmysłowił sobie, że powinna mieć jeszcze jedną. Podczas spotkania ze wspinaczami agencji ci wielokrotnie podkreślali, że wyjście z pojedynczym światłem na jakąkolwiek górę jest proszeniem się o tragedię.

– Powinnaś mieć dodatkową, zawieszoną na szyi – powiedział Brencz.

– O kurwa… – jęknęła Joanna. – Masz rację… kazali mi…

– Przełóż ją sobie na czoło.

– Zrobi się, Lemurze… ale… to znaczy, że…

– Nie będziesz musiała schodzić, nie – dokończył za nią. – Wyślemy po ciebie ekipę, ale trudno im będzie cię znaleźć, jeśli nie będziesz miała światła.

W jego sercu pojawiła się solidna nadzieja. Jeśli wichura odpuści także w wyższych partiach, a opady nie będą tak duże, jak prognozowano, widoczność powinna być na tyle dobra, żeby ekipa ratunkowa dostrzegła światło z czołówki. Dotrą do Chyłki, a potem pomogą jej zejść. Jakoś przeczeka w którymś z obozów, gdzie znajdowały się butle z tlenem, a tuż po świcie zostanie ewakuowana helikopterem.

Wszystko ułożyło się w sensowną całość. Perspektywa była realna.

– Mam tu… czekać? – zapytała Joanna.

– Tak.

– Nie lepiej… schodzić?

– Nie – odparł stanowczo Julian. – Wszystkie utorowane ścieżki są zasypane, nie znajdziesz drogi. To nie proszenie się o śmierć, ale samobójstwo. Rozumiesz?

Chyłka nie odpowiadała.

– Rozumiesz?

– Tak, tak.

Mimo że znajdowała się na odkrytej, rozległej przestrzeni, tak naprawdę stanowiła ona wyjątkowo zagmatwany labirynt. Istniało nieskończenie wiele dróg, a tylko kilka było bezpiecznych. Inne prowadziły do szczelin, seraków, osuwisk i innych groźnych miejsc, które mogły okazać się ostatnimi, do których dotrze nieuważny, nieobeznany w okolicy wspinacz.

– Siedź na dupie – powtórzył Brencz. – Jeśli się ruszysz, zginiesz.

– Zimno mi…

– Wiem – odparł ciężko. – Ale musisz jeszcze trochę wytrzymać, zaraz po ciebie ruszą. Masz przy sobie jakieś ogrzewacze?

– Co?

– Chemiczne ogrzewacze, Chyłka.

Znów zamilkła.

– Te woreczki, które po wyciągnięciu z opakowania zaczynają grzać – dodał, czując, że robi się coraz bardziej nerwowy. – Jeśli jeszcze jakieś masz, użyj przynajmniej jednego. Słyszysz mnie?

– Nie mam już…

– Jesteś pewna?

Pytanie było nie od parady. Jeśli woreczki upchnęła gdzieś w plecaku, na tym etapie wycieńczony organizm i otumaniony umysł mogły sprawić, by wyjęcie czegokolwiek jawiło się jako ekstremalny wysiłek. I niepotrzebne ryzyko.

– Zimno mi…

– Wiem, dlatego pytam o te ogrzewacze. Masz je?

– Nie mam… Nalikowski…

– Co z nim?

– Zabrał ostatnie.

– Nie ma go już z tobą?

– Nie, on… nic nie jest tak, jak ci się wydaje…

Brencz starał się uspokoić, ale im mniej składnie mówiła Chyłka, tym szybciej biło mu serce. Zerknął na zegarek, starając się oszacować, jak długo będzie musiała tam wytrzymać. I czy którejś z ekip uda się w porę do niej dotrzeć.

Naraz usłyszał nagły napad kaszlu, a potem odgłosy wymiotów. Brzmiało to, jakby Joanna próbowała wyrzygać

płuca.

Zupełnie go sparaliżowało.

Nie była w tak dobrym stanie, jak twierdziła. Nie potrzebował dużego rozeznania w medycynie wysokogórskiej, by to zrozumieć.

Przez kilka minut starał się nawiązać kontakt, ale bezskutecznie. W odpowiedzi słyszał jedynie ciche jęknięcia, a później kolejne odgłosy wymiotowania.

Potem połączenie nagle zostało przerwane.

12

Annapurna, Himalaje

Kibel. Tak himalaiści nazywali nieplanowany biwak wymuszony przez załamanie pogody lub inne przeciwności losu. Chyłce przeszło przez myśl, że w jej wypadku określenie to pasuje jeszcze lepiej.

Po raz kolejny zwymiotowała, mając wrażenie, że w ten sposób już całkowicie się odwodniła. Nie miała siły wyrzucać z siebie przyjętych przed momentem płynów i żeli, a mimo to wydostawały się z jej ciała właściwie wszystkimi otworami.

Niedobrze. Jeśli Lemur się nie mylił, na pomoc będzie musiała jeszcze trochę poczekać, ale doskonale zdawała sobie sprawę, że z każdą chwilą zbliżała się nie do jakiegoś abstrakcyjnego niebezpieczeństwa, ale do śmierci.

Mogła jednak zebrać myśli, to było najważniejsze. Jeszcze przed godziną lub dwiema nie była w stanie rozeznać się w sytuacji, czuła się kompletnie wycieńczona, jakby była pijana i zdezorientowana.

Niepotrzebnie włączała wtedy radiotelefon. Gdyby tego nie zrobiła albo gdyby wyłączyła go po rozmowie z Julianem, bateria by się nie rozładowała. Teraz jednak nie było już sensu gdybać.

Musiała skupić się na przeżyciu.

Zgrabiałymi rękoma starała się wygrzebać z plecaka medykamenty. Wyrzuciła z żołądka ostatnie porcje diuramidu, który był jej absolutnie niezbędny. Dotychczas funkcjonowała właśnie dzięki niemu, oszukując naturę i własny organizm.

Jeśli nagle zabraknie w nim acetazolamidu, choroba wysokościowa uderzy w nią z taką mocą, jakby nagle wysiadła z helikoptera w miejscu, gdzie ludzka fizjologia ledwo pozwalała na funkcjonowanie przez kilka minut.

Z brakiem aklimatyzacji walczyła dzięki tlenowi, ale wiedziała, że ma już resztkę. Wystarczy jej może na kilka godzin, jeśli będzie korzystała z niego oszczędnie. A z każdym kolejnym założeniem maski odnosiła wrażenie, że potrzebuje go coraz więcej.

Spojrzała na plecak, w którym znajdowały się jej ręce. Przez moment nie rozumiała, co robi ani dlaczego najmniejszy ruch przychodzi jej z takim trudem.

Wyjęła dłonie z plecaka i przysunęła się do lodowej ściany. Przypuszczała, że tylko dzięki niej jeszcze żyje. Gdyby nie ta naturalna osłona przed wiatrem, do tej pory dawno by się wyziębiła.

Chyłka zamknęła oczy, zmęczona po kilku ruchach tak, jakby przebiegła maraton. Natychmiast upomniała się w duchu, by nie zasypiać. Choćby dlatego, że przez sen nie będzie w stanie korzystać z tlenu.

Przypomniała sobie, że miała coś wziąć. Diuramid. Po raz kolejny wyciągnęła się w stronę plecaka, z trudem go przysunęła, a potem zaczęła w nim grzebać. Wyjęcie paczki tabletek wydawało się wręcz surrealistycznie trudnym zadaniem.

Znów zrobiło jej się niedobrze. Przestała szukać opakowania, wychodząc z założenia, że dopóki jej problemy żołądkowe nie ustaną, nie ma sensu marnować tabletek.

Położyła się na śniegu i powoli zwinęła do pozycji embrionalnej. Niewyraźny głos z tyłu głowy podpowiadał jej, żeby tego nie robiła, bo tym samym doprowadzi do licznych zakrzepów.

Wyprostowała nogi i poruszała nimi. Trwało to długo i straciła przy tym tyle energii, że nie miała już siły przypominać sobie, czy udało jej się wyciągnąć tabletki, czy nie. Zajmie się tym później, kiedy się trochę lepiej poczuje.

Albo poczeka na ratunek. Pogoda się poprawiała, ktoś na pewno już do niej szedł.

Czołówka.

Powinna umocować ją tak, żeby ekipa ratunkowa ją dostrzegła. W przeciwnym wypadku nigdy nie trafią na miejsce, w którym biwakowała.

Zmusiła się do tego, by zdjąć z szyi zapasową latarkę czołową, a potem przesunęła ją w odpowiednie miejsce i umocowała. Pamiętała, że sprzęt ma jakiś tryb ratunkowy, światło mruga wtedy na różne kolory. Nie potrafiła jednak go użyć.

Jakoś da radę, musi dać. Pierwsza rozprawa była już za pasem, a od jej wyniku zależało to, co się stanie z Darią. Obowiązkiem Chyłki było doprowadzenie do tego, by dziecko wróciło bezpieczne do rodziny. I do tego, by osoby związane ze Zdunem, które za to odpowiadają, poniosły konsekwencje.

Stalker trafi tam, gdzie jego miejsce. Wyniki badań krwi okażą się dobre. Chyłka z Oryńskim zaczną spokojnie układać swoje życie razem.

Powtarzając sobie to jak mantrę, włączyła czołówkę i znów się położyła. Jej myśli szybko zaczęły uciekać w innym kierunku i po chwili stały się zupełnie nieskładne. Wydawały się niezwiązane z sytuacją, w której się znajdowała, właściwie nawet oderwane od jej życia. Nie potrafiła tego zrozumieć ani wytłumaczyć.

Wsłuchiwała się w wiatr, z przerażeniem odnosząc wrażenie, że ten zamiast słabnąć, wzmaga się.

Zrzuciła to na karb omamów słuchowych. Zaraz potem jednak musiała to założenie zweryfikować. Pogoda wcale się nie poprawiała, wręcz przeciwnie. Zaczęło wiać tak mocno, jakby tuż obok przelatywał samolot pasażerski.

Zmusiła się do otwarcia oczu i zobaczyła, że za załomem skalnym rozszalała się zadymka. Chyłka wiedziała, że w taką pogodę nikt nie ruszy pod górę. Była zdana wyłącznie na siebie.

13

Tarchomin, Białołęka

W mieszkaniu na parterze przy Mehoffera mimo późnej pory paliło się światło. Klara Kabelis nie spała, a Oryński przypuszczał, że nie ona jedna. Każdy, kto choć trochę interesował się wspinaczką lub górami, wyczekiwał kolejnych doniesień z Annapurny.

Kordiana nie zdziwiło więc, że kiedy tylko wszedł do mieszkania, himalaistka zarzuciła go mnóstwem pytań. Wcześniej łudził się wprawdzie, że dzięki kontaktom w środowisku będzie miała lepsze rozeznanie, ale wiedziała tylko tyle, ile przekazano w mediach.

– Jestem outsiderką, Kordi – oznajmiła. – Byłam nią jeszcze przed tą feralną wyprawą.

Powiódł wzrokiem po jej opalowych włosach i ubraniu w stylu boho – luźnej bluzce z kolorowymi wzorami, przywodzącymi na myśl nepalskie dzianiny. Swoim wyglądem właściwie potwierdzała to, o czym mówiła.

– Takich jak ja odsuwa się na bok – dodała. – Wyprawy partnerskie jeszcze nam wybaczają, bo mimo że teoretycznie jeździmy na nie z grupami, nie pełnimy funkcji przewodników. To oczywiście ściema, ale wiesz, jak jest. Daje nielicznym powód, żeby przymykać oko.

Kordian opadł ciężko na kanapę w salonie i spojrzał na niewielki telewizor zawieszony na ścianie. Nieco niewyraźny obraz i enigmatyczna nazwa producenta kazały mu sądzić, że Klara kupiła sprzęt za bezcen na jakimś targu.

– Gorzej jest z czysto komercyjnymi wyprawami – ciągnęła, siadając obok niego. – Za nie obrywa nam się najbardziej. Zarzucają nam, że za kasę wciągamy na szczyty ludzi, którzy normalnie popierdalają na Moko bryczkami. Że poręczujemy całe przejścia, wykorzystując Szerpów, a potem…

– Okej, rozumiem – uciął. – Nie masz się do kogo zwrócić.

– I nie mam na kogo liczyć – dodała z naciskiem, jakby to było w tej chwili najważniejsze. – Pamiętaj o tym, kiedy przyjdzie co do czego.

– Hę?

– Mówię o procesie.

Oryński potrząsnął głową i spojrzał na nią. Dopiero teraz zrozumiał, do czego zmierza. Z jej punktu widzenia drużyna, która miała jej bronić na sali sądowej, właśnie zmniejszyła się o jedną osobę.

– Jeśli będziesz chciał powoływać biegłych, to najlepiej byłoby…

Kordian prychnął i podniósł się z kanapy. Miał ochotę rzucić kilka nieprzyjemnych słów, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Otworzył lodówkę i przebiegł wzrokiem po zawartości. Klara najwyraźniej nie była dziś na zakupach, co było całkowicie zrozumiałe, gdy wziąć pod uwagę, z jakimi reakcjami musiała spotykać się na każdym kroku.

– Przepraszam – powiedziała. – Staram się po prostu czymś cię zająć. Może rozprawa to nie najlepszy temat.

Oryński potoczył spojrzeniem po kuchennych szafkach. Wiele oddałby za butelkę czegokolwiek, co miało jakieś procenty. Najwyraźniej jednak w tej chwili musiały wystarczyć mu jego leki. Wyjął lorafen i łyknął jedną tabletkę.

Ani to, ani rozmowa na jakikolwiek inny temat nie mogły pomóc. Klara miała jednak rację, podejmując próbę. On również powinien zrobić wszystko, by przestać się zadręczać.

W niczym to nie pomagało, a wręcz przeciwnie, odbierało mu trzeźwość umysłu, która mogła okazać się kluczowa.

Nadal liczył na to, że na froncie dyplomatycznym coś ruszy, a on będzie musiał skoordynować całą akcję. Nie byłby to pierwszy ani ostatni raz, kiedy dla zagrożonych wspinaczy porusza się niebo i ziemię.

Tak było w osiemdziesiątym dziewiątym roku, kiedy lawina na Evereście zabrała sześciu Polaków. Artur Hajzer postawił na nogi nie tylko całe Katmandu, ale także dyplomatów amerykańskich, indyjskich, chińskich i rosyjskich, sprawnie między nimi lawirując, wykorzystując ich wzajemne relacje i układając rozmowy tak, by każdemu opłacało się coś ugrać.

Uratowano jednego ze wspinaczy – i Kordian wierzył, że tym razem też tak będzie.

– To ja przepraszam – odparł, nastawiając wodę na herbatę. – To dobry temat.

Kabelis uśmiechnęła się blado, jakby zakłopotana tym, że wyraził skruchę.

– Szczególnie że mam nowe wieści.

– Jakie? – spytała.

– William McVay jest na miejscu, w Nepalu – powiedział Oryński, wyciągając dwa kubki. – Twierdzi, że miejscowi widzieli Macieja Drobniaka.

– Oczywiście, że tak. Widzieli całą naszą trójkę.

Kordian obejrzał się przez ramię.

– Ale nie po tym, jak dwoje z was rzekomo zginęło.

– O czym ty mówisz?

– O tym, że Drobny pojawił się w Manang już po tobie.

– To niemożliwe.

– Jesteś pewna? – zapytał Kordian, ale tak naprawdę nie chodziło o pewność Klary co do faktów, ale co do tego, czy nadal chce się trzymać swojej wersji. Jeśli informacje McVaya

się potwierdzą, znaczyło to, że historia spod Annapurny mogła być zupełnie inna, niż wszyscy dotychczas zakładali.

Do tego należało dodać to, co Chyłka przekazała Julianowi – i co ten później zrelacjonował Oryńskiemu. Wszystko to dawało obraz spisku, który mógł nie mieć nic wspólnego z *chhaupadi*, współczesnym niewolnictwem kobiet czy nawet ze wspinaniem się na Annapurnę.

– Tak, Kordi, jestem pewna – bąknęła Klara. – Co mi zarzucasz?

– Nic. Ale muszę założyć, że wszystko jest możliwe.

– A więc też to, że kłamię w żywe oczy?

– Tego nie zakładam – odparł spokojnie. – Bo uważam cię za rozgarniętą osobę, która doskonale wie o tym, że cokolwiek mi powie, zostanie to między nami.

Podszedł do stołu z dwoma kubkami, z których zwisały sznurki od herbacianych piramidek. Podał jeden Klarze, a potem usiadł na fotelu obok. Przyglądał się jej przez moment, dopóki w końcu nie posłała mu ostrzegawczego spojrzenia.

– Jesteś świadoma, że moim jedynym zadaniem jako twojego obrońcy jest…

– Wiem doskonale, jakie są twoje obowiązki.

– Świetnie.

– I wiem, że jakiekolwiek kłamstwo działa na moją niekorzyść – dodała, mieszając torebką. – Kłamać mogę przed sądem, przed prokuratorem albo przed sobą samą, ale nie przed tobą.

Podniosła wzrok, a Kordian poczuł się nieswojo. W jej zachowaniu od samego początku było coś, co wywoływało dyskomfort, dopiero teraz jednak dobitnie to odczuł.

– Tyle że ja naprawdę ich tam zostawiłam, Kordi – ciągnęła. – I wiedziałam, że nie mają żadnej szansy na przeżycie.

– Cuda się zdarzają.

– W Himalajach? Nie, tam ręka żadnego boga nie sięga.

Oryński miał wrażenie, że nie rozmawiają już o hipotetycznym przeżyciu Drobnego i Nalikowskiego.

– Owszem, są legendy… – dodała. – Jak ta o Wandzie Rutkiewicz, która wcale nie zginęła, tylko przeszła na drugą stronę Kanczendzongi i zaszyła się tam w jakimś klasztorze. Sama kiedyś próbowałam ustalić, czy to możliwe, ale…

– Są nie tylko legendy.

– Hm?

– Słyszałaś na pewno o Siula Grande.

– Oczywiście. Ale to Andy peruwiańskie, a nie Himalaje.

Dla Oryńskiego to nie miało znaczenia, warunki zdawały się równie ekstremalne. Joe Simpson podczas zejścia z Siula Grande złamał nogę, zawisł nad szczeliną na linie, z której został odcięty przez ratującego swoje życie partnera. Wpadł do rozpadliny, odniósł kolejne obrażenia, a mimo to udało mu się wydostać z lodowca. Czołgał się po śniegu i kamieniach przez wiele kilometrów i ostatecznie dotarł do obozu na moment przed tym, jak jego towarzysze zaczęli się pakować.

Wszystko było możliwe. Kluczem była determinacja, której komu jak komu, ale Chyłce nie brakowało.

– Sugerujesz, że Jarek i Drobny mogli przejść na drugą stronę masywu? – burknęła Kabelis.

– Nie wiem.

– W porządku – odparła ciężko. – Załóżmy, że ten absurdalny scenariusz mógłby się wydarzyć… choć nie wiem jak, bo kiedy ich zostawiałam, byli już na granicy. Miałam pewność, że to już koniec ich drogi. I że jeśli zostanę z nimi, będę mogła powiedzieć o sobie dokładnie to samo.

– Rozumiem.

– Gdybym tylko miała cień wątpliwości, nigdy bym stamtąd nie odeszła.

Kordian skinął głową. Po raz pierwszy mówiła o tym tak otwarcie i bez jakichkolwiek wyrzutów.

– Ale dobrze, dajmy na to, że ktoś im pomógł, zregenerowali się i przeszli przez górę – dodała. – W takim razie dlaczego Drobnego ktoś miałby widzieć w Manang?

– Może mieli jakieś niedokończone…

– Słyszysz w ogóle, jak to brzmi?

– Słyszę – przyznał Oryński. – Ale po latach praktyki w kancelarii adwokackiej wiem, że jedyną niemożliwą rzeczą jest dowieść, że jest się mistrzem świata w dochowywaniu tajemnic.

Kabelis chciała coś odpowiedzieć, ale najwyraźniej po chwili załapała, w czym rzecz. Po raz kolejny pozwoliła sobie na lekki uśmiech.

– Poza tym nie musieli przechodzić na drugą stronę. Może zeszli tą samą drogą co ty.

Klara wykonała ruch głową na boki, który jednoznacznie świadczył o tym, że nie ma zamiaru dalej spekulować.

– Zresztą okaże się, jak było, kiedy tylko Chyłka i McVay wrócą – dodał Kordian.

– O ile wrócą.

Oryński mimo woli gniewnie zmarszczył brwi.

– Wybacz – rzuciła Kabelis. – Ale w takiej sytuacji…

– Nie chcę tego słuchać – uciął Kordian, nerwowo zanurzając i wyciągając torebkę herbaty.

– Ale może powinieneś, bo nie chodzi tylko o Chyłkę.

– To znaczy?

– Ten cały McVay może mieć jeszcze mniejsze szanse, żeby wrócić bezpiecznie do Warszawy – oceniła, podsuwając mu spodeczek. – Jeśli zacznie grzebać w sprawach, za które ci

ludzie byli gotowi mnie zlinczować, to się dla niego dobrze nie skończy.

– To chyba przesada.

Klara stanowczo pokręciła głową.

– Nepalczycy już nie są tymi spokojnymi, spolegliwymi ludźmi, których znasz ze starych filmów o wyprawach w Himalaje. Na przestrzeni lat pozakładali swoje firmy ekspedycyjne, konkurują z naszymi i generalnie coraz chłodniej odnoszą się do tak zwanych westmanów. Nieraz dochodzi do bójek w obozach, a w wioskach miejscowi potrafią obrzucać trekkerów kamieniami. Ten świat za sprawą dużej kasy zmienił się nie do poznania. I twój kumpel się o tym przekona, jeśli będzie się starał do niego przeniknąć.

Do kumpli było im daleko, ale Kordian nie miał zamiaru o tym wspominać. Zastanawiał się, czy coś rzeczywiście może grozić McVayowi, robił to jednak właściwie tylko po to, by odciągnąć myśli od sytuacji Chyłki.

Ostatnie informacje od Brencza były niepokojące. Spekulował, że skończyły jej się baterie w radiotelefonie – i albo nie ma zapasowych, albo wymarzła do tego stopnia, że nie jest w stanie ich wymienić.

Twierdził, że przy ostatnim kontakcie mówiła na przemian składnie i chaotycznie, ale wedle jego najlepszej wiedzy zażyła odpowiednie leki. Problem, z jakim teraz się zmagali, to znów pogarszająca się pogoda.

Ekipa ratunkowa była już gotowa do wyjścia, kiedy doszło do kolejnego załamania. Zerwała się wichura, a opady śniegu były tak intensywne, że brnięcie pod górę właściwie mijało się z celem.

Coraz więcej ludzi czekało jednak w pogotowiu. Armia zapewniła, że wyśle śmigłowiec o świcie, jeśli tylko warunki będą na to pozwalały. Wszystkie międzynarodowe grupy

w base campie zgłosiły gotowość podjęcia akcji wysokogórskiej, a oprócz tego pomoc zadeklarowały ekipy atakujące okoliczne szczyty.

Wszyscy jednak musieli czekać, podczas gdy czas uciekał nieubłaganie.

– Odpłynąłeś – zauważyła Kabelis.

Kordian smętnie pokiwał głową. Napił się herbaty, zupełnie zapominając o tym, żeby wyciągnąć torebkę. Wystarczyła chwila, by wszystko oprócz Joanny zupełnie straciło znaczenie.

– Pogoda w końcu musi się poprawić – powiedział bardziej do siebie niż do Klary.

– Poprawi się.

W jej głosie nie było ani krzty nadziei. I nie wynikało to z jej dystansu wobec Chyłki czy kogokolwiek ze wspinaczy, którzy mogli przecież przeżyć. Było rezultatem wieloletniego doświadczenia w zdobywaniu himalajskich szczytów.

– Ale? – spytał.

– Naprawdę chcesz słyszeć teraz jakiekolwiek „ale”?

– Chcę czy nie, wiem, że powinienem.

Popatrzyła na niego ostrożnie, oceniając, na ile szczerości może sobie pozwolić.

– W takim razie musisz być gotowy na najgorsze wieści – odezwała się w końcu. – To naprawdę parszywy klimat. Parę lat temu podczas burzy śnieżnej na Thorung La zeszła lawina, zabijając niemal czterdziestu trekkingowców i odcinając od świata kilkuset. Śmigłowce podjęły akcję ratunkową, tyle że żaden nie mógł dotrzeć do celu. Ostatecznie uratowano tych kilka tysięcy ludzi, ale… cóż, to było na Thorung La.

– To ta przełęcz na trekkingu wokół góry?

– Na ABC, tak.

Jeśli pamięć nie myliła Oryńskiego, to miejsce leżało niemalże kilometr poniżej pułapu, na którym obecnie najprawdopodobniej znajdowała się Joanna. Nie nastrajało to optymistycznie.

– Mnóstwo z tych osób miało poważne odmrożenia, wielu musiało mieć amputowane kończyny – ciągnęła Klara. – A domyślasz się, że znajdowali się w znacznie lepszych warunkach od Chyłki. Na takich wysokościach nawet sto metrów to ogromna różnica.

Nie musiała mu tego mówić.

– Chcę tylko przygotować cię na to, co może się stać.

– Wiem.

– Według tego, co mówiłeś, już jakiś czas temu wpadła w hipotermię – kontynuowała Klara. – A to znaczy, że od tamtej pory trzeba liczyć dwanaście godzin, zanim dojdzie do… do ustania czynności życiowych. Nie zostało jej wiele czasu.

– Ale jeśli poprawi się pogoda…

– Jeśli – podkreśliła Kabelis. – To tak, jest szansa. Osiem lat temu śmigłowiec Air Zermatt uratował na Annapurnie pewnego Hiszpana. Ściągnęli go z siedmiu tysięcy metrów.

Kordian starał się uczepić tej myśli jak koła ratunkowego, ale wiedział, że alpinista zapewne był odpowiednio przygotowany. Fizycznie, bo z pewnością wcześniej się zaaklimatyzował. Technicznie, bo znał się na rzeczy. Joanna była tam na wariackich papierach, nie planowała nawet zbliżać się do kopuły szczytowej, miała zostać wciągnięta na odpowiednią wysokość i zawrócić.

A teraz mogło się okazać, że tak naprawdę udała się tam bezcelowo – i że Nalikowskiego wraz z Drobnym powinna szukać raczej w Manang.

Oryński podniósł się, podszedł do okna i zapalił papierosa. Gdyby ci dwaj rzeczywiście żyli, prokuratura natychmiast wycofałaby zarzuty, a Daria wróciłaby do domu. Nie doszłoby nawet do jednej rozprawy, sprawa skończyłaby się, zanim się na dobre zaczęła.

Kordian wypuścił dym w stronę uchylonego okna. Nie zdążył jednak ponownie się zaciągnąć, bo usłyszał, jak dzwoni jego telefon. Natychmiast zdusił davidoffa w popielniczce i ruszył po leżącą na stole komórkę. Klara podniosła ją i podała mu, jakby nagle poczuła się w obowiązku, by pomóc mu zaoszczędzić każdą sekundę.

Jedynie przelotnie spojrzał na nazwę kontaktu, zanim odebrał.

– Wiadomo coś? – rzucił.

– Odezwała się – odparł Julian. – Udało jej się na krótko skorzystać z radiotelefonu. Potem padła bateria.

Oryński odetchnął.

– Jak się czuje?

– Fatalnie – przyznał Brencz, powściągając emocje. – Nie będę cię oszukiwał, Kordian, jest źle.

– To znaczy?

– Doszło do poważnej deterioracji wysokościowej i…

– Mów do mnie po ludzku.

Julian wypuścił powietrze prosto w słuchawkę, a oprócz tego Kordian usłyszał podniesione, rozemocjonowane głosy kilku lub kilkunastu osób. Przypuszczał, że w bazie trwa teraz gorączkowa narada.

– Pogoda nieco się poprawiła – odparł wymijająco Brencz. – Niebawem ekipy ratunkowe ruszą do góry, ale…

Nie musiał kończyć.

– Ona nie ma tyle czasu, tak? – spytał Oryński.

– Obawiamy się, że nie. Skończył jej się tlen.

Kordian wrócił do okna i wyjął kolejnego papierosa. Ręce trzęsły mu się jak narkomanowi na głodzie. Chciał odpowiedzieć, ale nie potrafił dobyć głosu.

– Nie ma też deksy – dodał Julian. – To znaczy zastrzyków z deksametazonu. Przed ostatnią iniekcją strzykawka wypadła jej z rąk. Nie może jej znaleźć. A ponieważ nie jest zaaklimatyzowana…

– Ile ma czasu?

– Niewiele.

– Jest jakaś szansa, że ktoś dotrze do niej w porę? – spytał Kordian, a jego głos wydał mu się tak obcy, jakby należał do kogoś innego.

Brencz długo nie odpowiadał.

– Choćby teoretyczna? – dodał Oryński.

– Nie.

Żadnego wahania, zero zastanowienia. Kompletny brak nadziei. Kordian nie mógł w to uwierzyć.

– Nawet hipotetyczna? – powtórzył.

Odpowiedziało mu pełne bólu westchnięcie.

– Nawet gdybyśmy wiedzieli, gdzie dokładnie jej szukać, zabrakłoby nam kilku godzin. A nie wiemy. Lawinisko jest rozległe, ona sama nie jest zaś w stanie sobie przypomnieć, czy się przemieściła.

Oryński musiał podeprzeć się o parapet. W przeciwnym wypadku obawiałby się, że nogi się pod nim ugną. To, co usłyszał, właściwie było wyrokiem śmierci.

– A co, jeśli Nalikowski naprawdę żyje? – spytał. – Jeśli gdzieś tam jest? Mógłby jej pomóc, mógłby ją sprowadzić.

Brencz jęknął cicho.

– Chyba nie sądzisz, że ci dwaj naprawdę przeżyli?

– Nie wiem już, co sądzić.

– Nawet jeśli ktoś by tam był, nie dałby rady jej sprowadzić – odparł Julian, robiąc wszystko, by jego głos zabrzmiał kategorycznie. – Dwie, trzy osoby mogłyby ją ściągnąć, jedna nie. Żeby sprowadzać kogokolwiek z takiej wysokości, ratowana osoba musi być w stanie sama się poruszać. Szczególnie w tej sytuacji, kiedy świeżo nawiany śnieg sprawił, że właściwie cała okolica to teren lawinowy.

– A helikoptery? – nie poddawał się Oryński. – Nie mogą…

– Muszą czekać na wschód. Nie dotrą w porę.

– Więc może ktoś jest na przeciwległym zboczu? Może udałoby się strawersować górę i dotrzeć do Chyłki?

– Wierz mi, sprawdziliśmy każdą opcję.

– I co? Wszystkie odrzuciliście, więc będziecie tam teraz bezczynnie siedzieć?

Brencz przez jakiś czas nie odpowiadał, wymieniając się uwagami po angielsku z kimś na miejscu. Kordian nie mógł usłyszeć, o czym rozmawiali.

– Nikt nie zamierza tu siedzieć z założonymi rękami – odezwał się w końcu Julian. – Ale my nie możemy w tej chwili nic zrobić. Ty za to tak.

– Ja? – zapytał Kordian, a potem zamienił się w słuch.

14

Annapurna, Nepal

Ludzie ze starych, zniszczonych portretów powbijanych w śnieg patrzyli na nią z wyrzutem. Nie rozpoznawała ich, ale w głębi ducha wiedziała, że to ci sami, których Zordon widział kiedyś po tym, jak zabłądził w mazurskim lesie i trafił do leśniczówki.

Jedna z tych osób się odezwała, ale Chyłka z trudem mogła ją zrozumieć. Mówiła niczym zza kurtyny, w dodatku nieskładnie, jakby przypadkowo dobierając słowa i nie potrafiąc złożyć z nich sensownych zdań.

W końcu jednak osobie z portretu udało się coś przekazać. Kazała Joannie wyciągnąć z plecaka telefon satelitarny.

Chyłka zmusiła się, by wygrzebać urządzenie. Na dobrą sprawę nie wiedziała nawet, że je ma. A może zapomniała? Może ktoś je podrzucił, kiedy nie patrzyła? Albo kiedy zasnęła? Tyle że przecież nie spała. Wiedziała, że w górach oznacza to śmierć.

Nie, nie było żadnego telefonu. Człowiek z portretu kłamał, starał się ją przechytrzyć.

A mimo to wydawało jej się, że coś słyszy. Dzwoniący telefon.

Ale jak to możliwe, skoro nie ma go w plecaku?

Nie potrafiła zrozumieć, co się dzieje, umysł zupełnie odmawiał jej posłuszeństwa. Liczyła na to, że teraz, kiedy osoba z obrazu zaczyna mówić składnie, coś jej poradzi. Ta jednak znikła. A wraz z nią rozpłynęły się także pozostałe portrety.

Joanna wytężyła słuch. Coś dzwoniło, coś wyraźnie dzwoniło.

Z trudem odkleiła się od skalnej ściany i nachyliła w kierunku, z którego dochodził dźwięk. W przebłysku świadomości dotarło do niej, że to nie żadne omamy. Któryś ze wspinaczy zmiecionych przez lawinę musiał mieć telefon satelitarny.

Poczuła przypływ nadziei. Chciała ruszyć w stronę dzwoniącego urządzenia, ale ciało odmówiło jej posłuszeństwa. Upadła twarzą w zmrożony śnieg.

15

ul. Mehoffera, Tarchomin

Wszystkie telefony satelitarne, które były na wyposażeniu członków wyprawy, należały do sieci Thuraya. Niewiele czasu zajęło Brenczowi ustalenie każdego numeru, a zaraz potem przekazanie ich Kordianowi.

Oryński obdzwaniał wszystkie, ale do tej pory bez skutku – nie udało mu się trafić na jakikolwiek, który znajdowałby się w pobliżu Chyłki. Tymczasem był to jedyny sposób, by się z nią skontaktować. I by mieć nadzieję, tę jedyną i ostatnią, na uratowanie jej.

Palił papierosa za papierosem, a by nie zabrakło mu nikotyny, Klara wyszła do sklepu. Przyniosła też kilka piw, ale Kordian odmówił. Wiedział, że jeśli tylko Joannie uda się odkopać któryś z telefonów, będzie potrzebował trzeźwego umysłu.

Nie robił żadnych przerw, telefonował nieustannie. Po kilkudziesięciu minutach zaczęło jednak docierać do niego, że to daremne.

I wówczas nadszedł przełom.

Podczas jednej z prób sygnał nagle się urwał, zamiast tego w słuchawce rozległ się trzask, a potem szum. Oryński był jak sparaliżowany. Ściskał podłączoną do ładowarki komórkę, modląc się w duchu o to, by usłyszał upragniony głos.

W końcu tak się stało.

– Halo… – rzuciła.

– Chyłka!

Kabelis natychmiast poderwała się z fotela, a Oryński miał wrażenie, że serce podeszło mu do gardła. Miał ją na linii, to już połowa sukcesu. Odsunął na bok wszystko, co tak naprawdę chciał jej powiedzieć – i skupił się na tym, co powinien przekazać. Musiał jakimś cudem sprawić, by go wysłuchała i wzięła sobie do serca wszystko, co od niego usłyszy.

Wiedział, że nie będzie łatwo. Organizm Joanny dawno utracił zdolność regeneracji, a jego deterioracja była tak duża, że tylko natychmiastowa i specjalistyczna pomoc mogła ją uratować.

– Zordon? – spytała cicho.

Szeptała, przeciągała zgłoski, ale przynajmniej kojarzyła.

– Widziałam… te portrety…

Sam nagle znalazł się na granicy paniki. Czuł się tak, jak wtedy, kiedy o mały włos nie skończył z nim Gorzym. Nawet gorzej, bo teraz uczucie śmiertelnego niebezpieczeństwa było jeszcze mocniejsze. Zebrał się w sobie. Uznał, że musi podejść do tego tak, jakby sytuacja była odwrócona.

– Nie gadaj, tylko słuchaj – rzucił, starając się, by jego głos zabrzmiał pewnie. – Chociaż ten jeden raz, okej?

– Okej…

– Ekipa z bazy już po ciebie wyszła – oznajmił, wpatrując się w mrok za oknem. – Nie zdążą jednak dotrzeć w porę.

Cisza.

– Rozumiesz? – spytał.

– W porę… na co?

– Nie rób sobie jaj – syknął. – Ci ludzie to twoja jedyna szansa, ale są zbyt daleko, teren jest zbyt niebezpieczny, a wiatr zbyt duży. Pędzą pod górę ile sił, ale zamarzniesz, zanim zdążą do ciebie dojść.

Chyłka milczała.

– Słyszysz?

– Tak, ale… nie ma tam… jakiegoś Bieleckiego… albo Urubki?

Kordian zamknął oczy i zrobił kilka głębokich wdechów. Albo żartowała i nie było z nią tak źle, albo wręcz przeciwnie – była już w takim stanie, że spodziewała się wybawienia od dwóch wspinaczy, którzy uratowali Elisabeth Revol na Nanga Parbat.

– Jeśli będziesz na nich czekała, umrzesz – powiedział wprost. – Nie ma nawet hipotetycznej szansy, że wytrwasz. Rozumiesz, co mówię?

– *Panimaju*…

– Musisz zacząć schodzić, Chyłka – dodał najbardziej stanowczym tonem, na jaki było go stać. – Jeśli chcesz przeżyć, musisz się ruszyć. I to w tej chwili.

– Nie umiem…

– Umiesz, umiesz. Poradziłaś sobie z Langerem, uzależnieniem od tequili, stratą pasożyta i związkiem ze mną, poradzisz sobie z Annapurną.

Kaszlnęła kilkakrotnie.

– Nie mam… już siły…

– Daj spokój. Wielicki w gorsecie ortopedycznym jako pierwszy zdobył zimą Lhotse, a ty nie zejdziesz kilkaset metrów w dół?

– Zrobiłeś… research…

– Przygotowuję się do rozprawy – powiedział, zmuszając się, by utrzymać jednocześnie kategoryczny, ale też podnoszący na duchu ton głosu. – Ale nie ogarnę tego sam, potrzebna mi synergia potencjałów *power couple*.

– Aha…

– Więc wstawaj i ruszaj przed siebie. Choćby na czworaka.

Znów nie odpowiadała.

– Chyłka!

– Upadłam przed… chwilą…

– Nie szkodzi. Zbieraj dupę i ruszaj w dół.

Oryński zerknął na Klarę, a ta wykonała ponaglający ruch ręką. Wcześniej przekazała mu najważniejsze rzeczy, o których powinien mówić – i które powinien powtarzać do znudzenia. Twierdziła, że do Joanny dotrze jedynie ułamek tego, co usłyszy.

– Jeśli tam zostaniesz, umrzesz – powtórzył.

– Upadłam w śnieg… chyba mam… odmrożenia…

– Tym bardziej musisz się ruszyć.

– Zordon…

– No? – rzucił, czując, jak serce podchodzi mu do gardła.

– Jak amputują mi nos… i tak będziesz…

– I tak będę cię kochał – dokończył za nią.

Obrócił się z powrotem do okna. Pochylił się i przyłożył czoło do chłodnej szyby, na chwilę zamykając oczy.

– Ale teraz musisz iść – dodał tak głośno, że niemal krzyczał. – Ostrożnie, ale kawałek po kawałku. Teren jest lawinowy, będziesz musiała uważać, ale dasz radę. Musisz dać. Rozumiesz mnie?

Długo nie odpowiadała. Stanowczo za długo.

– *Mami… hlapi…*

– Chyłka! – ryknął prosto do słuchawki. – Schodź! Słyszysz?!

Uderzył głową w szybę tak mocno, że ta zdawała się zatrząść we framudze. Wciąż nasłuchując jakiejkolwiek odpowiedzi, poczuł, jak Kabelis kładzie mu dłoń na plecach. Obrócił się do niej, a ona podała mu paczkę papierosów.

– Każ jej szukać poręczówek – poradziła. – Mogły się jakieś ostać, dzięki nim przynajmniej pójdzie w dobrym kierunku.

Kordian szybko przekazał to Joannie, a potem powtórzył dwukrotnie. Nie wiedział, czy cokolwiek do niej dotarło. Wyobrażał sobie ją leżącą na ziemi, gdzieś obok ciała alpinisty,

do którego należał telefon satelitarny, z jakiego korzystała. Wyczerpaną, wychłodzoną i umierającą.

– Musisz pobudzić jej umysł – dodała Kabelis. – Niech liczy od dziesięciu w dół, cokolwiek. Musi złapać spręża. Bez tego już tam zostanie.

Spręż, dupówa, kibel, łojenie, dziabka… Oryński miał dosyć wspinaczkowej terminologii, dosyć wszystkiego, co się z tym wiązało. Nie chciał więcej słyszeć tych określeń ani myśleć o czymkolwiek, co wiązało się z górami.

– Chyłka, musisz zacząć schodzić – powtórzył po raz kolejny. – Musisz dotrzeć do obozu pod tobą. Jest tam tlen, rozumiesz? Tylko dzięki niemu wytrzymasz do przyjścia ratowników. Słyszysz mnie?

– Tak…

– Schodź!

– Zordon…

Zapalił i nerwowo się zaciągnął.

– Nie mam czucia… w rękach…

Na Boga, to nie działo się naprawdę. Nie mogło się dziać.

– Nie szkodzi – rzucił natychmiast, zbierając się w sobie. – Czołgaj się, jeśli musisz.

Wcześniej ustalili z Kabelis, że poradzi Chyłce, by ta nie rozgrzewała na razie poodmrażanych części ciała. Ryzykowałaby tym samym powtórne odmrożenie, a to skończyłoby się jeszcze gorzej. Nie było jednak sensu o tym wspominać. Nawet gdyby chciała, Joanna nie byłaby w stanie czegokolwiek ogrzać.

– Idziesz? – spytał.

Nie odzywała się.

– Chyłka!

– Nie… potrafię…

– Potrafisz – zapewnił ją, a potem przypomniał sobie, o czym przed momentem mówiła Klara. – Możesz policzyć dla mnie od dziesięciu w dół?

– Nie…

Zaklął w duchu.

– Matematyka… to zło…

– W takim razie powiedz mi, co jest w artykule osiemset trzydziestym piątym Kodeksu cywilnego.

– Rój… pszczół?

– Umowa przechowania. Depozyt.

– Ach… romantyzm… prawniczy…

– Zgadza się – odparł Oryński. – Zdeponowałem u ciebie serce, a ty zobowiązałaś się do przechowywania go w niepogorszonym stanie. *Pacta sunt servanda*, Chyłka. Nie masz wyboru.

– Słuchaj… no…

– Przypomnij sobie osiemset czterdziesty pierwszy kace.

– Zaostrzenie…

– Odpowiedzialności przechowawcy, tak – dokończył za nią. – Będziesz dodatkowo odpowiadała za zmianę miejsca przechowywania, że nie wspomnę już o niebezpieczeństwie utraty lub uszkodzenia rzeczy. Więc rusz te swoje kształtne cztery litery i zacznij schodzić, bo w przeciwnym wypadku zaraz siadam do pisania pisma procesowego.

– Nie ma… sprawy… pisz…

– Taka jesteś chętna do starcia ze mną w sądzie? Nie pamiętasz już, jak ci poszło z Bukano?

– Nie… ale…

– No?

– Sto trzydzieści trzy… paragraf jeden… kapece…

Oryński odetchnął. Nigdy nie sądził, że tak ucieszy go wzmianka o obowiązku osobistego doręczenia pozwu osobie

fizycznej. To dowodziło, że Chyłka jest w stanie jeszcze jako tako logicznie myśleć.

– Przepytaj mnie z… dat ustaw…

– Nie pamiętasz ani dat uchwalenia, ani promulgacji, ani wejścia w życie, Chyłka.

– Daty…

– Nie będę cię pytał o coś, czego nie pamiętasz.

Nieraz podkreślała, że wkuwanie dat obowiązywania ustaw jest kompletnie bezsensownym zadaniem i przydaje się co najwyżej do robienia problemów studentom, którzy nie powinni zbyt gładko prześlizgać się z jednego roku na drugi.

Mimo to jeszcze przez chwilę traciła energię na przekonywanie Kordiana, że odpytywanie jej z tego było dobrym pomysłem. W końcu udało mu się zbyć jej namowy. A może to ona dłużej nie miała siły ich formułować.

– Idziesz? – spytał.

– Nie… – odparła słabo. – Pełznę…

Coś w jej głosie kazało mu sądzić, że odnalazła w sobie ostatnie pokłady motywacji. Starał się nie popadać w hurraoptymizm, ale nadzieja była silniejsza od wszelkich obaw. Wciąż miał z tyłu głowy, że Chyłka może zatrzymać się już po kilku metrach, ale chciał wierzyć, że coś będzie kazało jej pokonywać kolejne odcinki. Krok po kroku, zupełnie tak, jak to zrobił Joe Simpson, schodząc z Siula Grande.

Już nie takie rzeczy osiągali ludzie walczący o życie. Kluczem było, by Joanna miała świadomość, jaka jest cena tej batalii.

– Nie… będę… – odezwała się.

Oryński przycisnął słuchawkę do ucha.

– Tylko przypisem… w bibliografii… tej góry…

Poczuł, że lekko się uśmiecha. Oczami wyobraźni zobaczył, jak Chyłka zdobywa kolejne centymetry. Być może

rzeczywiście nie miała już czucia, może odmroziła sobie nos i była całkowicie odwodniona. Nic z tych rzeczy nie miało teraz znaczenia. Liczyło się tylko to, że zmierzała w dobrym kierunku.

Z zamyślenia wyrwała go Klara, klepiąc go po plecach i również się uśmiechając. Dodało mu to otuchy, bo zrozumiał, że jeśli nie tylko on ma nadzieję, może istnieje prawdziwa szansa, by Joanna się uratowała.

– Każ jej się pilnować – odezwała się Kabelis. – I przede wszystkim niech nie ufa samej sobie.

– Co?

– Halucynacje mogą okazać się teraz jej największym problemem. Nieraz wyimaginowane osoby kazały wspinaczom obierać inną drogę albo obiecywały jedzenie czy picie za ściągnięcie buta lub rękawicy. Musi uważać nie tylko na lawinisko, ale też na swój umysł.

Kordian przekazał to wszystko Chyłce, nie miał jednak pojęcia, ile udało jej się zrozumieć.

– Jesteś? – spytał.

Mruknęła niewyraźnie w odpowiedzi, a on miał wrażenie, że próbowała zanucić *Disarm* Smashing Pumpkins.

– Cierpisz na deficyt dobrej ścieżki dźwiękowej, co? – rzucił.

– Deficyt… ciebie…

Zabrzmiała, jakby wyduszenie tego kosztowało ją absurdalnie dużo sił.

– Masz szczęście – powiedział. – Bo ostatnio poszerzyłem moją playlistę. Jestem nawet w stanie ci pośpiewać.

Nie odpowiadała.

– Co powiesz na *Loser* 3 Doors Down? – spytał. – Dorzuciłem ten kawałek.

– Zordon…

– Znalazłem też *You learn*. Takida.

– Idziesz… w stronę… Nickelback. To… niebezpieczne.

– Wolisz, żebym wrócił do hip-hopu?

Znów na linii zaległa długa cisza.

– Tak – odpowiedziała w końcu Chyłka.

Odzywała się coraz ciszej i coraz rzadziej. Chciał sądzić, że wynika to z jej pełnego skupienia na pokonywaniu kolejnych metrów, ale nie mógł mieć pewności. W końcu przestała składnie odpowiadać na jego pytania.

Zaraz potem nagle, bez słowa, się rozłączyła.

Próbował dodzwonić się do niej kilkakrotnie, ale bez skutku.

– Telefon mógł jej po prostu wypaść – zauważyła Kabelis. – Mogła go też zostawić za sobą. W tej chwili wszystko jest możliwe, Kordi.

Oryński skinął głową, wbijając pusty wzrok za okno.

– Wszystko… – powiedział cicho i odchrząknął. – Także to, że dotrze do obozu i wytrzyma z tlenem do przyjścia ratowników – dodał, jakby ta myśl musiała zostać zwerbalizowana, by stała się bardziej prawdopodobna.

Uczepił się jej, pielęgnował tę iskrę nadziei i starał się dzięki niej wykrzesać coś więcej. Im dłużej jednak Chyłka się nie odzywała, z tym większym trudem mu to przychodziło.

Wydawało mu się, że mijają godziny, od kiedy ostatni raz się z nim skontaktowała. Przekonał samego siebie, że jej milczenie rzeczywiście wynika z tego, że zostawiła telefon, czołgając się ostatkami sił w kierunku bazy.

W końcu jednak rozległ się dzwonek jego komórki. Natychmiast się po nią rzucił i z ulgą zobaczył długi ciąg cyfr.

Numer telefonu satelitarnego.

Odebrał, przyciskając smartfona mocno do ucha.

– Widzę… ich… – wysapała Joanna.

Kordian nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.

– Dzięki Bogu – szepnął. – A oni? Widzą cię?

– Tak… hajlują… z oddali…

Przypuszczał, że ich wymachiwanie rękoma nie miało wiele wspólnego z nazistowskim pozdrowieniem, ale zachował tę myśl dla siebie. Po raz pierwszy od długiego czasu pozwolił sobie na prawdziwy, szeroki i całkowicie usprawiedliwiony uśmiech.

Przysiadł na stole i podniósł wzrok.

– Daleko są? – spytał.

– Już… blisko…

– W porządku. Czekaj na nich, nie ryzykuj już.

– Czekam…

Kordian rozejrzał się po kuchni, spodziewając się, że Kabelis już otwiera puszki z piwem. Ona stała jednak przy oknie i bacznie mu się przyglądała, jakby nie rozumiała, skąd jego nagłe ożywienie.

– Zordon… – odezwała się Chyłka.

– Nie ruszaj się stamtąd – powtórzył, obawiając się, że w ostatnim momencie los nagle sprawi, że Joanna trafi na szczelinę lub inne niebezpieczne miejsce.

– Dlaczego… idzie… Harry?

Oryński zamarł.

– I Bukano? Co on… tu robi?

Dopiero teraz do Kordiana dotarło to, co już przed chwilą musiała zrozumieć Klara.

– Ofiary Langera z… Mokotowa? – ciągnęła słabym głosem Chyłka. – Fahad…

Kabelis musiała wiedzieć, że to niemożliwe, by ekipa ratunkowa tak szybko do niej dotarła. Od razu uznała, że Joanna musi mieć halucynacje. A to oznaczało, że znajduje się już nie o krok, ale pół kroku od śmierci.

Wymieniała kolejne osoby, które zginęły w związku z prowadzonymi przez nich sprawami. Na dźwięk każdego

z tych nazwisk Kordian się wzdrygał. Szybko jednak się zmitygował, uznając, że musi jak najszybciej pomóc Chyłce.

Nie miał jednak okazji.

– Idę… do nich…

Było to ostatnie, co od niej usłyszał.

16

Ok. 5400 m n.p.m., Annapurna

Julian nie wahał się ani przez chwilę, kiedy ekipa ratunkowa oznajmiła, że jest gotowa do wyjścia. Nie wyobrażał sobie, że zostanie w bazie, i mimo długich namówień kolegów nie dał się do tego przekonać.

Zabrał tlen i leki, licząc na to, że to pomoże mu walczyć z konsekwencjami braku aklimatyzacji, a potem ruszył z pierwszą grupą pod górę. W odwodzie była druga, która szła kawałek za nimi.

Brencz planował dojść do obozu drugiego i tam poczekać na ratowników, którzy udadzą się wyżej, by szukać Chyłki. Czuł, że musi tam być.

Droga pod górę okazała się bardziej wyczerpująca, niż sądził, ale nie odpuszczał. Stopniowo jednak zaczynał coraz bardziej odstawać od wspinaczy na czele, a kiedy dotarł do obozu pierwszego, ci już przygotowywali się do wyjścia wyżej.

Prognoza na najbliższe godziny nie nastrajała optymistycznie, ale nie przekreślała akcji ratunkowej. Porywy wiatru miały się co prawda wzmóc, nagłego załamania pogody jednak się nie spodziewano.

Julian powtarzał sobie, że to wszystko daje nadzieję na odnalezienie Joanny. Ostatnie informacje od Oryńskiego nie były pomyślne, mimo to wciąż istniała szansa, że ekipie ratunkowej uda się w porę dotrzeć na odpowiednią wysokość. Byliby na styk, ale tyle by wystarczyło.

Po tym, jak Brencz odsapnął nieco w obozie pierwszym, ruszył dalej w kierunku szczytu. Nie widział już grupy, która wyszła wcześniej – byli to zaprawieni w bojach alpiniści, którzy każdy metr pokonywali znacznie szybciej od niego. Momentami balansowali na granicy ryzyka, śrubując tempo. Każdy z nich wiedział, na co się pisze.

Dzięki temu, że utrzymywali stałą łączność radiową, Julian był na bieżąco z ich postępami. Odniósł nawet wrażenie, że zaczęli posuwać się znacznie szybciej, niż pierwotnie szacowali.

– Są poręczówki – oznajmił przez radio jeden z ratowników, Jens Brückner. – Będziemy trochę szybciej w dwójce.

Brencz sięgnął po gruszkę i nacisnął przycisk nadawania.

– To dobrze – odparł. – Jest więc szansa?

Niemiec był jednym z najstarszych alpinistów w grupie, właściwie teraz bardziej nadawał się do siedzenia w bazie i koordynowania wypraw niż do aktywnego uczestnictwa w nich. Prędkość, z jaką teraz pokonywał kolejne metry, kazała jednak podać w wątpliwość wszystkie przytyki, jakie mu publicznie czyniono.

Julian był zadowolony, że to jego wybrano na lidera. Był doświadczony i znał Annapurnę jak mało kto. Atakował ją kilkakrotnie latem i zimą, a ci niekoniecznie życzliwi mu ludzie twierdzili, że jest z nią w bardziej zażyłych stosunkach niż z żoną.

Tak czy inaczej, Brückner był dla Juliana jak wyrocznia. Jeśli twierdził, że czegoś nie dało się zrobić, oznaczało to, że faktycznie nie było na to szans. A kiedy Brencz zapytał go w base campie, czy wierzy, że Chyłkę uda się uratować, Jens odparł, że nie podjąłby się akcji, gdyby nie było takiej możliwości.

– Jest szansa? – powtórzył Brencz, sądząc, że wiatr tam na górze musiał zagłuszyć jego pytanie.

Odpowiedział mu trzask w radiu. A zaraz potem głos Brücknera.

– Jest! – krzyknął Niemiec.

Julian potrzebował chwili, by upewnić się, czy dobrze usłyszał.

– Jest! – powtórzył Jens. – Widać czołówkę!

– Co? Gdzie?

– Pod obozem drugim. Jest światło, Julian!

Brencz natychmiast się zatrzymał, jakby nagle pojawiła się potrzeba zaoszczędzenia wszystkich sił. Spojrzał w górę, ale był już tak daleko od Jensa i reszty, że nie zdołałby wypatrzeć czołówki, którą dostrzegł Niemiec.

– Przyspieszamy! – oznajmił Brückner. – Idziemy po nią!

Julian obejrzał się przez ramię. Większość wspinaczy była przed nim, druga grupa jeszcze do niego nie dotarła. Był na zboczu sam.

Zaczął gorączkowo kalkulować, starając się oszacować, czy to możliwe, by Chyłce udało się zejść poniżej obozu drugiego. Wciąż nie wiedzieli, co działo się z nią, od kiedy ruszyła w kierunku grupy wyimaginowanych postaci, które pomyliła z ratownikami, ale skoro Niemiec był dobrej myśli, to z pewnością przynajmniej hipotetyczna szansa istniała.

Zaraz potem Brencza naszły jednak czarne myśli. Joanna mogła stoczyć się zboczem, w szybkim czasie spadając poniżej obozu drugiego. Upadek byłby śmiertelny, choć czołówka mogłaby przetrwać.

Potrząsnął głową, starając się odsunąć od siebie te wizje.

– Brückner, zgłoś się – rzucił. – Widzicie ją?

Jens wysapał w odpowiedzi, że robią, co mogą, by do niej dotrzeć. Jeśli on łapał zadyszkę, oznaczało to, że rzeczywiście

śrubują tempo jeszcze bardziej. Wszyscy byli zaaklimatyzowani i gotowi do atakowania góry w stylu alpejskim, na lekko. Brencz wyobrażał sobie, że przynajmniej część mogła pozbyć się ciężkiego sprzętu, byleby szybciej dotrzeć do Joanny.

Usiadłszy na śniegu pod jedną ze skalnych ścian, Julian ponownie złapał za gruszkę.

– Brückner, słyszysz mnie? – spytał. – Odbiór.

Niemiec nie odpowiadał przez chwilę, która wydawała się trwać bez końca. Ostatecznie jednak rozległ się charakterystyczny trzask w eterze.

– To nie ona – powiedział Jens.

Gdyby nie spokojny, wyważony głos Brücknera, Julian łudziłby się, że to jakaś pomyłka lub że się przesłyszał.

– To jeden z Szerpów – dodał Jens. – Pasang Dorje.

– Widział gdzieś Joannę?

– Nie.

Brencz podkulił nogi i zwiesił głowę.

– Twierdzi, że przeżyła część ekipy, lawina ściągnęła ich w dół. Schronili się w obozie drugim, ale nie byli w stanie wyjść na akcję ratunkową. Niektórzy są w krytycznym stanie. Cały sprzęt zmiotło, namiot musieli stawiać od nowa.

Julian zamknął oczy. Wydawało mu się, że są o krok, tymczasem okazało się, że mogło być już stanowczo za późno.

– Pasang wszedł z powrotem po nawianym śniegu, szukając ocalałych, ale nikogo nie znalazł – ciągnął Niemiec. – Uznał w końcu, że musi zejść do jedynki i się z nami skontaktować.

Brencz milczał.

– Odbiór – dodał Jens.

– Słyszę, słyszę. Co planujecie?

– Ruszamy dalej.

Wcześniejsza wola walki znikła z jego głosu, Julian wmówił sobie jednak, że to wyłącznie rezultat zmęczenia. Ekspresowe podejście do Pasanga musiało kosztować go wiele sił.

– Jest szansa, Brückner?

– Jeśli się pospieszymy, może – odparł bez wahania Jens. – Szerpa idzie z nami.

– To roztropne?

– Mówi, że najwyżej odpuści po drodze. Ale musi spróbować.

– Powodzenia – odparł Brencz, a potem się rozłączył.

Zjadł liofilizat, zrobił kilka głębokich wdechów z maską tlenową na ustach, a potem zmusił się, by się podnieść. Odniósł wrażenie, że nawet wstanie kosztuje go stanowczo zbyt wiele sił. Mimo to ruszył dalej pod górę po utorowanej w śniegu ścieżce.

Po kilkunastu minutach radio znów zapiszczało. Wiatr wiał znacznie mocniej, przez co Brencz miał problemy, by usłyszeć Jensa.

– Nie jest dobrze – oznajmił Brückner. – Pogoda się pogarsza, robi się zawieja.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że…

– Zaczyna być niebezpiecznie – uciął Niemiec. – Przy takim wietrze mogą schodzić kolejne lawiny.

– Rozważasz powrót?

Milczenie było dostatecznie wymowną odpowiedzią.

– Pójdziemy, dopóki nie będzie zagrożenia – zadeklarował Jens. – Ale…

Kiedy urwał, Brencz usłyszał w oddali dźwięk zbliżony do grzmotu. Poczuł, jakby ziemia zadrżała mu pod stopami, choć wiedział, że to jedynie złudzenie.

– *Ach du Scheiße!* – krzyknął Brückner. – Chować się!

To, co działo się potem, było dla Juliana zupełną abstrakcją. W eterze rozlegały się kolejne nawoływania w różnych

językach, jakby na członków ekipy ratunkowej spadł nagle gniew Boży. Towarzyszył temu głośny huk, który Brencz słyszał nie tylko w radiotelefonie.

Miał wrażenie, że trwa to bez końca. Znów się zatrzymał, starając się wypatrzeć cokolwiek ponad sobą. Gdzieś w oddali powoli jaśniało, dzięki czemu dostrzegł niewielki obłok w najwyższych partiach górskich.

– Brückner, Brückner, zgłoś się! – rzucał raz po raz do mikrofonu.

Niemiec w końcu odpowiedział. Z jego ust padły słowa, których Brencz obawiał się najbardziej.

– Przykro mi.

– Co się stało?

– Przykryła nas pyłówka, Julian.

– Ale jesteście cali? Możecie się ruszać?

– Tak – odparł ciężko Jens. – To tylko pyłówka – powtórzył.

– A więc…

– Lawina zeszła nad nami, ponad dwójką – wpadł mu w słowo Brückner. – Przeszła przez teren, na którym najprawdopodobniej była Joanna.

Julian stał przez moment w bezruchu, a potem poczuł, jak kolana się pod nim uginają. Osunął się na śnieg i spojrzał bezradnie przed siebie.

– Przykro mi – powiedział raz jeszcze Jens. – To koniec.

17

ul. Mehoffera, Tarchomin

Na czas przerwy w komunikacji z Brenczem Kordian przykleił się do telewizora. Pił już trzecie piwo, które normalnie w połączeniu z lorafenem dawno zwaliłoby go z nóg – w tej sytuacji jednak nawet ta potężna dawka nasenna nie mogła sprawić, że opadną mu powieki.

Z bazy pod Annapurną docierały do mediów sprzeczne informacje.

Dwie ekipy ratunkowe wyszły. Jedna wróciła. Dwie idą w górę. Jedna z nich trafiła na ślad po zaginionej Polce.

Spekulacjom nie było końca. Eksperci kreślili różne scenariusze, a na mapach przedstawiających jedno ze zboczy góry wskazywali potencjalne miejsca, gdzie może znajdować się Chyłka.

W końcu nadeszła wiadomość, przy której prowadzący pasmo informacyjne na antenie NSI się zawahał. Najpierw zmienił się pasek na dole ekranu, dopiero potem rozległ się głos mężczyzny.

– Niestety otrzymaliśmy z bazy informację, której się obawialiśmy – odezwał się, z trudem przełykając ślinę. – Wszystko wskazuje na to, że ponad obozem drugim doszło do powtórnego zejścia lawiny. Ratownicy są zdania, że ocalali, którzy się tam znajdowali, nie przetrwaliby kolejnego spotkania ze spadającymi masami śniegu.

Używał liczby mnogiej, starał się zachowywać profesjonalną powściągliwość, ale widać było buzujące w nim emocje.

Oryński wpatrywał się w prowadzącego, nie rozumiejąc tak naprawdę, co przekazuje. Nawet kiedy pokazano mapę, na której zaznaczono ostatnią orientacyjną pozycję Joanny i nakładającą się na nią trasę przejścia lawiny, Kordian nie był gotów uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Jeszcze parę dni temu siedzieli w niewielkiej knajpce na Saskiej Kępie. Kilka tygodni wcześniej uprawiali prawniczą ekwilibrystykę na sali sądowej. Śmiali się, docinali sobie, słuchali *Poison* i zajadali się nerkowcami. Pojawiały się problemy, ale z każdym do tej pory jakoś sobie radzili. Te, które teraz na nich spadły, też miały ostatecznie okazać się do przejścia.

– Kordi? – rozległ się głos, który wyrwał go z zamyślenia.

Klara stała obok, patrząc na niego z góry. Zdrzemnęła się chwilę, ale wyglądała na równie wycieńczoną jak on.

– Poczekajmy, aż… – zaczęła, ale urwała, kiedy tylko spojrzała na pasek na dole ekranu.

Informowano, że doniesienia o lawinie zostały potwierdzone.

Dopóki wieść o lawinie pochodziła jedynie od dziennikarzy, była dla Oryńskiego w pewnym sensie nierealna, niedotycząca jego czy Chyłki. Wydawała się wytworem czyjejś wyobraźni, być może pomyłką spowodowaną tym, że ktoś się pospieszył z podaniem informacji.

Teraz jednak oznajmiono, że przekazało ją kierownictwo jednej z wypraw.

Nie przyjmował tego do siebie. Dopóki nie usłyszy informacji prosto od Brencza, nie będzie gotów w nią uwierzyć.

Kiedy rozległ się dzwonek komórki, a Oryński zobaczył na niej nazwisko Juliana, zupełnie zdrętwiał.

A więc to prawda.

Nie potrafił się poruszyć, nie chciał tego robić. Patrzył na dzwoniącą, wibrującą na stoliku komórkę i odwlekał moment

rozmowy, jakby to mogło cokolwiek zmienić.

W końcu Brencz dał za wygraną. Po chwili zadzwonił jednak po raz kolejny. Oryński na moment zamknął oczy, a kiedy je otworzył, zobaczył Klarę podającą mu telefon.

– Odbierz – powiedziała cicho. – Dla niego to też niełatwe. I też chce to mieć już za sobą.

Kordian poczuł wilgoć w kącikach oczu.

– Nie – odparł.

Kabelis włożyła mu komórkę w dłoń, zawahała się, a potem powoli odeszła. Dopiero kiedy Oryński został sam w pokoju, zmusił się do tego, by odebrać. Zanim jednak zdążył to zrobić, Julian przestał dzwonić.

Na antenie NSI trwały pierwsze analizy. Duży napis na tickerze informował o tragedii pod Annapurną, w prawym dolnym rogu widniało naprędce stworzone dla tych doniesień logo.

Kordian wbijał wzrok w zarys góry, która odebrała mu Chyłkę.

Napływały kolejne informacje potwierdzające, że to wszystko dzieje się naprawdę. Pogoda poprawiła się już na tyle, że w górę wysłano drony. Jeden z nich nagrał teren lawiniska. Zgodnie z pierwszymi doniesieniami śnieg zakrył całą przestrzeń między ostatnim położeniem Chyłki a obozem drugim.

Na tle bezbrzeżnej bieli nie widać było niczego, co by się wyróżniało.

Z Katmandu wystartował śmigłowiec, ale teraz leciał w kierunku Annapurny jedynie po to, by z obozu drugiego zabrać tych alpinistów, którzy nie byli w stanie samodzielnie zejść.

Pierwszy z ekspertów na antenie telewizyjnej powiedział na głos to, co rozbrzmiało w głowach wielu ludzi. Niebawem

zostanie zorganizowana akcja – już nie ratunkowa, ale mająca na celu sprowadzenie ciała na dół.

Kordianowi zrobiło się niedobrze. Podniósł się na trzęsących się nogach i ruszył w kierunku łazienki. Zawahał się, kiedy zadzwonił telefon, a w głowie znów rozbrzmiał mu głos Kabelis.

Powinien odebrać. Powinien pozwolić Julianowi wywiązać się z obowiązku, który na nim spoczął. Obrócił się i przekonał, że dzwoni nie Brencz, ale jego żona.

Oryński wiedział, że musi z nią porozmawiać. Przesunął palcem po ekranie.

– Kordian! – krzyknęła prosto do słuchawki.

Niebo jakby się nad nim otworzyło.

To nie był okrzyk rozpaczy, ale euforii.

– Znaleźli ją!

Oryński szukał właściwych słów, jednak nie potrafił ich znaleźć.

– Doszła do dwójki! – rzuciła rozgorączkowana Magdalena. – Dotarła do obozu, zanim zeszła lawina! Rozumiesz? Słyszysz?

Kordian poczuł, jak szeroki, pełen niedowierzania uśmiech rysuje się na jego twarzy.

– Słyszę – wydusił.

– Udało jej się w porę zejść – powtórzyła Magdalena, jakby sama nie dowierzała. – Dotarła tam na moment przed tym, jak stoczył się śnieg. Jest cała, udało jej się, Kordian. Udało jej się!

Na moment urwała, bo głos jej się zatrząsł, jakby miała rozpłakać się ze szczęścia.

– Podali jej płyny, ogrzali ją i… Jezu, Kordian, jesteś tam?

– Jestem – odparł, ale miał wrażenie, że albo mówi za cicho, albo Magdalena nie rejestruje jego odpowiedzi.

– Lecą po nią z Katmandu – dodała. – Za godzinę będzie w szpitalu!

– W jakim… – zaczął, ale musiał odchrząknąć, by nie stracić głosu. – W jakim jest stanie? Co z odmrożeniami?

– A czy to ważne? – odparła rozentuzjazmowana Magdalena. – Liczy się to, że żyje.

Rozdział 3

Habemus corpora

1

Okęcie, Warszawa

Z pewnością istniały sposoby, by wymknąć się z hali przylotów bez przykuwania niczyjej uwagi, ale Chyłka nie miała zamiaru przepuścić nadarzającej się okazji. Czekających na nią w ogólnodostępnej strefie kamer nawet nie liczyła.

Wiedziała, że będzie sprawiać odpowiednie wrażenie. Szła lekko pochylona, z dłońmi zawiniętymi w grube bandaże i z luźno narzuconym na bluzkę polarem. Dziennikarze natychmiast ruszyli w jej kierunku, ale ona w tłumie starała się wypatrzeć jedyną osobę, którą tak naprawdę chciała w tej chwili widzieć.

Zordon przebił się przez ludzki mur, ale zatrzymał się tuż za nim, patrząc na nią porozumiewawczo. Nie musiała dawać mu

żadnych znaków, by wiedział, że zanim się przywitają, musi odbębnić pewne formalności.

Pozwoliła reporterom, by zebrali się wokół. Niektórzy już wystrzeliwali pytania, inni starali się podsunąć jak najbliżej mikrofony. Kolejni przepychali się między sobą, szukając lepszego ujęcia.

Ignorowała tumult, czekając, aż wszyscy się ustawią. Nie miała zamiaru się powtarzać i chciała, by jej przekaz był taki sam we wszystkich mediach.

Wszystko to było jak czyste szaleństwo. Takie tłumy dziennikarzy widywała, kiedy Stoch wyskakał swoje na olimpijskich skoczniach i lądował w Warszawie. Albo gdy Lewandowski z ekipą wracali po udanym meczu do kraju.

Wszyscy w kancelarii byli jednak zgodni, że jej powrót przyciągnie uwagę. Sama nie miała pojęcia, jak duże było zamieszanie medialne spowodowane jej wyprawą. Liczyła, że uda się stworzyć odpowiedni szum, ale to, co się działo, przechodziło ludzkie pojęcie.

Potwierdzało to całe mrowie ludzi stojących za dziennikarzami. Wszyscy trzymali uniesione komórki, nagrywając wyjście Chyłki z korytarza. Brakowało tylko, żeby przynieśli piłki i koszulki do podpisywania.

Zordon twierdził, że to całkowicie zrozumiałe, a Żelazny wyjątkowo się z nim zgadzał. Obaj podkreślali, że historia prawniczki, która dla obrony klientki wybrała się na niemal samobójczą ekspedycję, zapisze się w medialnej historii.

Raczej nie prawniczej, bo im większy rozgłos, tym większa liczba krytyków – przeszkadzać będzie im sam fakt, że mówi się o Joannie w mediach, zupełnie jakby to ujmowało jej umiejętności na sali sądowej. Chyłka przypuszczała, że po jej powrocie wielu szacownych jurystów nabawi się hejtoroidów.

Oryński i Artur mieli jednak rację, że jej historia jest chodliwym tematem. Sama inicjatywa wyjazdu na Annapurnę nie miała znaczenia. Liczyło się to, co zdarzyło się później. Dramatyczna walka o życie, starcie z siłami przyrody, determinacja i nieustępliwość, które pozwoliły jej dostać się do obozu drugiego. I w końcu nadejście ratunku.

Media kochały dramaturgię, ale jeszcze bardziej szczęśliwe zakończenia.

Tyle że dla Chyłki nie był to finał. Wręcz przeciwnie, miała wrażenie, że po tym, co stało się w Nepalu, jej misja dopiero się rozpoczyna.

Kiedy uznała, że dziennikarze w końcu zajęli miejsca, skrzyżowała ręce za plecami, by nie było widać bandaży. Nie żeby nie chciała się nimi chwalić. Wiedziała jednak, że jeśli pokaże je w odpowiednim momencie, zrobi większe wrażenie.

Poruszyła ramionami, by nikt nie przegapił jej trekkingowego ubioru.

– Gdybym wiedziała, że tyle państwa będzie, wystroiłabym się – rzuciła, a potem powiodła wzrokiem po zebranych, mrużąc oczy. – Chociaż z tego co widzę, sami faceci. Strojenie się może nie byłoby więc najlepszym rozwiązaniem, bo w ten sposób tracimy godziny przed lustrem, robiąc wszystko, by dobrze wyglądać, a wy potem robicie jeszcze więcej, żeby wyobrazić sobie nas bez ubrań.

W istocie przez większą część lotu planowała garderobę i zastanawiała się nad tym, co powie. W końcu uznała, że najlepiej będzie zacząć od jakiejś luźnej uwagi. Żart nie był przesadnie dobry, ale nie miało to znaczenia – liczyło się, że kobiety się z tym utożsamią, a mężczyźni w pełni zrozumieją.

Uśmiechnęła się lekko.

– Wiem, że mają państwo mnóstwo pytań, ale teraz muszę przede wszystkim napić się czegoś, co nie jest stopionym

lodem, zjeść coś, co nie liofilizatem, i wyspać się w czymś, co nie jest śpiworem.

Podkreślenie tych rzeczy wydawało jej się równie istotne, jak pokazanie bandaży w odpowiednim momencie. Zależało jej, by wszyscy zebrani uświadamiali sobie trud, jaki stał się jej udziałem – ale jednocześnie by nie wyszła na osobę użalającą się nad sobą.

– Potem zabiorę się do obrony Klary – ciągnęła, nagle poważniejąc. – I jeśli prokuratura wykaże choć cień zainteresowania dowodami, które zebraliśmy na miejscu zdarzenia, to zapewniam, że nie dojdzie nawet do pierwszej rozprawy.

Wśród zebranych nastąpiło jeszcze większe poruszenie. Nikt do tej pory nie informował mediów, że pojawiły się nowe ustalenia w sprawie Kabelis. A jednocześnie wszyscy podświadomie oczekiwali, że tak będzie – w końcu właśnie po to Chyłka udała się do Nepalu. Zeszło to wprawdzie na drugi plan, ale Joanna miała zamiar w odpowiednim momencie zmienić ten stan rzeczy.

– William McVay został na miejscu – dodała. – Kompletuje materiał dowodowy, na dobrą sprawę robiąc to, co powinni już dawno uczynić śledczy. Dlaczego tak się nie stało, nie mnie oceniać. Przypuszczam jednak, że w odpowiednim czasie zajmie się tym wymiar sprawiedliwości.

Powiodła wzrokiem po dziennikarzach, a potem w końcu wyjęła ręce zza pleców i skrzyżowała je na piersi. Obandażowane dłonie wyglądały, jakby w nepalskim szpitalu amputowano jej palce.

– Tymczasem jednak muszę zająć się obroną niewinnej osoby, która podobnie jak ja cudem uniknęła śmierci na himalajskim szczycie – kontynuowała Joanna. – Tamtą walkę

z Annapurną wygrałyśmy. Teraz zrobimy to samo z prokuraturą.

Uznała, że niczego więcej nie potrzeba. Określiła wroga, rzuciła cień oskarżeń i zarzutów o niedopełnienie obowiązków, a w dodatku zasygnalizowała kobiecą solidarność. Mogła mówić jeszcze długo, ale tak naprawdę nie miała nic konkretnego do przekazania – grała jedynie na sympatię odbiorców. Tyle powinno wystarczyć, by mogła na nią liczyć.

Była kluczowa, bo do tej pory media wieszały na Klarze psy. Od teraz jednak każdy atak na Kabelis będzie także atakiem na Joannę – a ona przynajmniej przez pewien czas zamierzała korzystać z przychylności wywołanej współczuciem.

Przy kanonadzie pytań, nawoływań i próśb o choćby krótką wypowiedź Chyłka u boku Oryńskiego opuściła lotnisko. Wymieniając między sobą luźne uwagi, skierowali się prosto do iks piątki, którą Kordian podjechał na parking. Omijali temat Darii, jakby zbliżenie się do niego mogło okazać się dla Joanny zbyt dotkliwe. Może tak było. Nie mogła opędzić się od myśli, że podczas gdy ona spędzała kolejne dni w nepalskim szpitalu, porywacz wciąż przetrzymywał dziecko.

Dopóki Julian zajmował się organizowaniem akcji ratunkowej, a Magdalena żyła tym, co działo się na Annapurnie, oboje w końcu mogli skupić się na czymś innym. Kiedy jednak emocje opadły, znów zaczęli odchodzić od zmysłów.

Długie godziny rozmów z Brenczem dobitnie jej to uświadamiały. Na dobrą sprawę nie opuszczał jej łóżka w szpitalu, ale szybko zrozumiała, że nie robi tego po to, by się nią opiekować, tylko żeby nie zwariować. Potrzebował rozmowy, a Joanna nie chciała nawet myśleć o tym, co w Polsce przechodzi jej siostra.

W pewnym momencie wysłała do niej Zordona, ale przypuszczała, że cudów nie zdziała. Potwierdził potem to, czego najbardziej się obawiała – z Magdaleną było coraz gorzej.

Koniec końców cała czwórka zadręczała się myślami o Darii. I Chyłka była wdzięczna Oryńskiemu, że w tej chwili tego nie robią.

Dziennikarze szli za nimi, kiedy kierowali się w stronę auta. Nie byli jednak przesadnie napastliwi, co potwierdzało, że udało jej się zbudować wokół siebie pewien nimb respektu połączonego ze współczuciem.

Kiedy dwójka prawników w końcu weszła do iks piątki, Kordian umościł się na siedzeniu kierowcy, a Joanna zerknęła na tłum reporterów w bocznym lusterku.

– Odwołaj ekipę sprzątającą, Zordon.

Oryński rozejrzał się po samochodzie, nieco skonsternowany.

– Właśnie pozamiatałam.

– Hę?

Obróciła się do niego, zakładając rękę za oparcie fotela kierowcy.

– Nie dostałeś esemesa? Spod Annapurny? O zamiataniu?

– Nie. Musiał zaginąć razem z telefonem gdzieś pod tonami śniegu, które zeszły w twoim kierunku.

Oryński poprawił lusterko, a Chyłka skorzystała z okazji i włączyła silnik. O prowadzeniu na jakiś czas musiała zapomnieć, ale nie oznaczało to, że nie mogła przywitać się z iks piątką.

– Czyżbym wychwyciła w twoim głosie nutę przygany?

– Gdzie tam. Całkowicie szanuję pchanie się na jedną z najniebezpieczniejszych gór na świecie – odparł, przełączając skrzynię biegów na wsteczny.

Gdyby nie fakt, że BMW nowy model X5 oferowało jedynie w automacie, Chyłka z pewnością zdecydowałaby się na tradycyjną skrzynię, a Zordon nie miałby okazji, by zasiąść za sterami. Wciąż nosił rękę na temblaku i wyglądało na to, że szybko się go nie pozbędzie.

– Szanujesz to mniej więcej tak, jak bakterie na podłodze zasadę „nie leżało pięć sekund".

Spojrzał na nią z powątpiewaniem, cofając.

– Chociaż trzeba ci oddać, że złożyłeś szlachetną deklarację.

– Tak?

– W pewnym momencie oznajmiłeś ni mniej, ni więcej, że nawet jeśli będę wyglądała jak Michael Jackson, będziesz mnie kochał.

Wcisnął hamulec tak mocno, że Chyłką rzuciło w przód. Syknęła z niezadowoleniem, jakby iks piątka stała się żywym organizmem, któremu zadał ból.

– To była sytuacja kryzysowa – zauważył.

– Więc wycofujesz to oświadczenie?

– Nie, ale…

– W takim razie zostaje w mojej głowie zaprotokołowane.

Wcisnął pedał gazu, tym razem z należytą ostrożnością, a potem skierował auto ku centrum. Nie musiał upewniać się, dokąd jechać – ustalili to już wcześniej i żadne z nich nie przyjmowało, że cel mógłby się zmienić.

– Wolałbym po prostu…

– Co? – przerwała mu. – Wyznać mi po raz pierwszy *expressis verbis* miłość w innych okolicznościach?

– I w inny sposób.

– Za późno. Słowo się bekło, Zordon.

Przez chwilę jechali w milczeniu, choć Chyłka kilka razy miała ochotę się odezwać. Prędkość, z jaką się poruszali, w jej

przekonaniu bardziej pasowała do traktora niż do usportowionego SUV-a.

– Nie tylko mnie coś się wymsknęło – zauważył Oryński.

Uniosła brwi, niepewna, do czego się odnosi.

– Cokolwiek powiedziałam, nie może być użyte przeciwko mnie – zastrzegła. – Miałam halucynacje, widziałam jakieś portrety w śniegu, gadałam z Bukano i McVayem, a poza tym…

– Nie to miałem na myśli.

– A co?

Zerknął na nią przelotnie, tylko na moment odrywając wzrok od drogi. Jego skupienie przywodziło na myśl człowieka, który ma przekonanie, iż przewozi najcenniejszy ładunek na świecie. Uśmiechnęła się w duchu na tę myśl.

– Pamiętasz, jak odpytywałem cię z przepisów? – odezwał się.

– Mętnie. Ale wydaje mi się, że pominąłeś mój ulubiony artykuł. Sto osiemdziesiąt dwa Kodeksu cywilnego.

Mimo że przed sobą mieli zielone światło, Kordian wbił uważny wzrok w sygnalizator, jakby obawiał się, że nagle zmieni się w czerwone z pominięciem żółtego.

Chyłka odchrząknęła.

– „Rój pszczół staje się niczyim, jeżeli właściciel nie odszukał go przed upływem trzech dni od dnia wyrojenia” – wyrecytowała z pamięci. – „Właścicielowi wolno w pościgu za rojem wejść na cudzy grunt, powinien jednak…”

– Tak, tak, pamiętam. Nie o rój pszczół mi chodzi.

– A o co?

– O to, że mamrotałaś o datach ustaw.

– Przypuszczam, że nie tylko o tym. Byłam w takim stanie, że gdybyś odpowiednio mnie zakręcił, przyznałabym się do wielbienia *Virtual XI* i *The X Factor*.

– W *X Factorze* w sumie…

– Mówię o albumach Ironsów, kiedy Bruce'a zastąpił Blaze Bayley, ignorancie.

– Ach…

– Wieki ciemne – mruknęła pod nosem. – Na szczęście Bóg ma heavy metal w opiece i potem stała się jasność.

– A jednak masz obydwa te albumy w iks piątce.

– Na takiej samej zasadzie, na jakiej trzymam tłuczek do ziemniaków w kuchennej szufladzie.

– Czyli?

– A bo ja wiem? Żeby mi się czasem blokowała, jak próbuję ją otworzyć?

Oryński potwierdził zdawkowym skinieniem głowy, a ona widziała, że myślami był daleko. Czekała tylko, aż podejmie przerwany temat. I w końcu to zrobił.

– Wiesz, że po twoim wyjeździe spotkałem się z Bianczim?

– Spacerowaliście sobie po Mysiej, utyskując na to, że dzisiejsza młodzież woli robić zakupy w centrach handlowych?

Kordian spojrzał na nią z ukosa.

– Twoja orientacja w hipsterskich miejscach na mapie Warszawy naprawdę mnie zadziwia – zadeklarował.

– Muszę wiedzieć, od czego się trzymać z daleka.

– Mysia 3 to akurat całkiem niezłe miejsce. Jest zaprojektowana z głową, odstaje od całej tej komercyjnej papki i… – Urwał, a potem zatrzymał się na czerwonym świetle. – Ale robisz wszystko, żeby zmienić temat.

– A ty, żeby do niego wrócić.

Tym razem on też się do niej odwrócił. Przez moment patrzyli sobie w oczy, a Chyłka nie mogła jednoznacznie przesądzić, co tak naprawdę chcą sobie przekazać. Szybko stało się to jednak jasne.

Powietrze zrobiło się jak naelektryzowane, a napięcie, które je wypełniało, miało w sobie coś ze zmysłowości i niemal fizycznie doskwierającej tęsknoty.

– Są lepsze sposoby, dzięki którym mogłabyś zmienić temat – zauważył.

– Tak?

– I przy okazji zupełnie rozproszyć moją uwagę.

– Jakie?

– Mogłabyś wykorzystać to, jak bardzo mi ciebie brakowało, i…

Urwał i zanim zdążył dodać coś więcej, odpiął pas, a Chyłka gorączkowo starała się zrobić to samo. Obandażowane dłonie jej to uniemożliwiły, ale Oryński natychmiast ją wyręczył. Położyła mu ręce na karku, a on wplótł palce w jej włosy i przyciągnął ją do siebie. Kiedy ich usta się spotkały, miała wrażenie, że całuje ją, jakby robił to zarazem po raz pierwszy, jak i ostatni.

Oderwali się od siebie dopiero, kiedy kierowcy za nimi zaczęli trąbić.

Kordian nieco zbyt mocno wcisnął gaz, przez co silnik od razu wszedł na najwyższe obroty. Przemknęli przez skrzyżowanie, a Joanna nawet nie myślała o tym, by na powrót zapiąć pasy.

– Więc widziałem się z Bianczim – odezwał się Oryński.

– Mam nadzieję, że powitałeś go w inny sposób.

– Trochę.

– To świetnie. I o czym gadaliście?

– O Zdunie.

Chyłka miała nadzieję, że nie usłyszy tego określenia. Nie wracała do Zduna myślami, skupiała się właściwie na wszystkim innym. Zaczęła nawet powątpiewać, że ma on cokolwiek wspólnego z tym wszystkim.

Właściwie dlaczego to jego podejrzewała o bycie stalkerem? Bo pendrive od porywacza znalazł się w miejscu, w którym Zdun niegdyś popełnił przestępstwo? Mógł go tam umieścić każdy. Także ten, komu zależałoby, by skierować uwagę Joanny na niewłaściwą osobę. Podobnie było w przypadku daty na pendrivie i innych poszlak.

– Jak możesz się domyślić, rozmowa była raczej krótka – dodał Kordian. – Bo próba dowiedzenia się czegokolwiek o tym człowieku to uporczywe gonienie za własnym ogonem.

– Mówiłam ci, żebyś to zostawił.

– I prawdopodobnie wiedziałaś, że tego nie zrobię.

Znów założyła rękę za oparcie jego fotela.

– Nie – odparła stanowczo. – Tym razem myślałam, że mogę na ciebie liczyć.

Nie miał zamiaru dać się wciągnąć w emocjonalną rozmowę. Prowadził w jeszcze większym skupieniu, ale teraz nie miało ono już nic wspólnego z tym, co działo się na drodze.

– Bianczi zrobił rozeznanie wśród mamutów – odezwał się Oryński. – Starych dziennikarzy, którzy właściwie nie mają już nic do stracenia, więc równie dobrze mogą podzielić się z młodszymi informacjami.

– Taa…

– Okazali się jednak równie powściągliwi jak Borsuk czy Żelazny. Tylko jeden z nich puścił parę.

Tego Chyłka się nie spodziewała. Była przekonana, że ktokolwiek wiedział coś na ten temat, będzie trzymać język za zębami. Mamut, który tego nie zrobił, najwyraźniej naprawdę należał do wymarłego gatunku.

– Gość polecił Biancziemu zainteresować się datą dwudziestego piątego czerwca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku.

– I?

– Tylko tyle.

– To rzeczywiście przełomowe, Zordon. Myślę, że na cześć tego faceta zmienią nazwę Centrum Nauki, bo Kopernik blednie. Jak on się nazywa?

Oryński uśmiechnął się półgębkiem.

– *Nice try* – odparł. – Tajemnica dziennikarska.

– Jesteś takim dziennikarzem, jak europoseł Czarnecki dżentelmenem. Więc gadaj.

– Nie ma mowy – uparł się. – Powiem ci za to, że ta data z czymś mi się skojarzyła.

– Fascynujące. Może i ciebie uhonorują w Centrum Nauki?

– Konkretnie z nazwą pliku, który znalazłaś na pendrivie – nie ustępował. – Potrzebowałem trochę czasu, żeby zyskać co do tego pewność, ale w końcu…

– Dążysz do czegoś konkretnego? – przerwała mu. – Czy to kolejny z twoich wywodów, które mają przeszkadzać mi w słuchaniu Ironsów?

Właśnie dobiegał końca ostatni kawałek z płyty *Fear of the Dark*. Oznaczało to, że następny w kolejce będzie *The Wicker Man*, w pewnym sensie osobisty hymn Chyłki.

– Dążę do tego, że twoje mamrotanie o dacie wejścia w życie ustaw dało mi do myślenia.

– Zacząłeś ryć je na pamięć?

– Nie, ale uznałem, że nie bez powodu o nich wspomniałaś.

– Oczywiście, że nie bez powodu. Byłam w letargu, mój poziom skupienia, rozgarnięcia i ogólnej inteligencji spadł do poziomu okołozordonowego. Innymi słowy gadałam bez ładu i składu.

– A mnie się wydaje, że chciałaś mi coś przekazać. Podświadomie.

– Taki z ciebie znawca kobiecej psychiki?

– A ty mogłabyś przestać próbować zbić mnie z tropu?

– Nie, bo moje działanie nie wypełnia znamion czynu zabronionego.

Starała się, żeby ustawowa formułka w jej ustach zabrzmiała żartobliwie, ale ku swojemu zaskoczeniu przekonała się, że tak się nie stało. A wszystko dlatego, że była podszyta realną obawą.

Oryński od razu to wychwycił.

– A moje zachowanie wypełnia?

Nie miała zamiaru odpowiadać. Zrozumiała, że dotarł do konkretów i nie było sensu dłużej odwracać kota ogonem.

– Zjadłabym coś.

– Chyłka…

– Na Piękną niedaleko. Skoczmy do La Sireny, mają tam żarcie tak meksykańskie, że gdyby Trump mógł, odgrodziłby się od nich murem.

– Słuchaj…

– Ja wezmę chimichangę, a ty… nie wiem, guacamole.

Nagle Oryński wbił kierunkowskaz i zjechał na stację benzynową. Joanna zerknęła na stan baku, ale do rezerwy brakowało jeszcze co najmniej dwustu kilometrów. Zaklęła w duchu, wiedząc, że żarty właśnie się skończyły.

Kordian postawił auto z dala od innych, wysiadł, a potem oparł się o bmw plecami i zapalił papierosa. Chyłka po chwili do niego dołączyła, choć jej ukochana czynność przychodziła jej teraz z niemałym trudem. Każdego marlboro musiała gasić po wypaleniu dwóch trzecich, inaczej żar niebezpiecznie zbliżał się do bandaży.

– Nietrudno było połączyć dwudziesty piąty czerwca dziewięćdziesiątego siódmego z datami promulgacji ustaw – odezwał się Oryński.

– Wydania.

– Co?

– To daty wydania, nie ogłoszenia, Zordon.

Machnął ręką, a popiół sam spadł mu z papierosa.

– W bazie wyskoczyły tylko dwie – ciągnął. – Pierwsza o cudzoziemcach, później uchylona. I druga, wciąż obowiązująca, o świadku koronnym.

Chyłka wypuściła dym ze świstem i zaniosła się chrapliwym kaszlem. Jej płuca wciąż nie wróciły do normalnego stanu, choć w porównaniu z tym, w jakim znajdowały się jeszcze tydzień temu, każdą poprawę należało uznać za cud.

– Zdun to świadek koronny, prawda?

Joanna wyrzuciła papierosa.

– Jeśli tak, to doskonale wiesz, że nie mogę o tym mówić.

– Nawet w tej sytuacji?

– Hipotetycznie rzecz biorąc?

– Tak.

– Tym bardziej bym nie mogła. Bo gdyby okazało się, że masz rację, a nie mówię, że tak jest, to mogłoby znaczyć, że ktoś próbuje wykurzyć Zduna z kryjówki.

Kordian westchnął, postawił nogę na skręconej oponie iks piątki, a potem oparł się na kolanie.

– Powiem ci, jak to widzę.

– Naprawdę musisz?

– Skoro ty nie chcesz powiedzieć mi prawdy, nie mam wyjścia.

– Ja kieruję się w życiu prostą zasadą, Zordon – stwierdziła, popychając go lekko, by nie opierał się o samochód. – Wiesz jaką?

– Że z kłód buduje się schody.

– Nie tę mam na myśli.

– 1B zamiast 5S?

– Też nie – odburknęła.

– To może „pięścią w ryj”?

– Tę zaraz zastosuję w praktyce na tobie – odparła, kręcąc głową. – Nie, chodzi o to, że człowiek z natury nie łże.

– To dość optymistyczne, jak na ciebie.

– Kłamiemy tylko dlatego, że za szczerość grozi nam kara – odparła, ignorując przytyk.

W tym przypadku mijanie się z prawdą było całkowicie uzasadnione. I po tym, jak Oryński w końcu trafił na właściwy trop, nie musiała mu o tym mówić. Ale czy rzeczywiście sama go naprowadziła? Wspomniała o datach ustaw, kiedy odchodziła od zmysłów na zboczu Annapurny?

Wszystko, co wtedy się działo, było jak czyjeś wspomnienia, a osoba, która walczyła tam o przeżycie, zdawała jej się całkowicie obca. Nie mogła wykluczyć, że podświadomie chciała skierować Kordiana na odpowiedni tor, by znalazł ludzi odpowiedzialnych za porwanie Darii.

Po chwili zorientowała się, że odpływa myślami, a Oryński wbija w nią wzrok. Wskazała mu miejsce kierowcy, a potem obeszła samochód i usiadła po stronie pasażera.

– Spadajmy stąd – rzuciła. – Czas sprawdzić te wyniki badań.

Kordian zajął miejsce i skinął głową.

Oboje odwlekali moment dotarcia do szpitala, zupełnie jakby dzięki temu mogli w jakiś sposób wpłynąć na wyrok, który tym razem wydawał nie sąd, ale lekarz analizujący próbki krwi.

Oryński ruszył w milczeniu i przez moment Joanna miała wrażenie, że porzucił temat Zduna. W końcu jednak ściszył radio, dając jasno do zrozumienia, że jej nadzieja była płonna.

– Dotarłem też do nazwiska – odezwał się w końcu. – Kaflarz.

Chyłka znieruchomiała. Spodziewała się właściwie wszystkiego, tylko nie tego. Prawdziwa tożsamość świadka

koronnego była jedną z najpilniej strzeżonych tajemnic w wymiarze sprawiedliwości. Zeznania tego człowieka pogrążyły szereg gangsterów, którzy wprawdzie siedzieli za kratkami, ale wciąż pociągali za sznurki na zewnątrz. Nieoficjalnie mówiło się też o tym, że Zdun miał informacje o prominentnych parlamentarzystach. A tam, gdzie zaczynał się świat polityki, kończyły się wszelkie kompromisy.

Jedna przypadkowa rozmowa lub jedno lekkomyślne zdanie mogły sprawić, że niewłaściwi ludzie trafią na trop świadka. Niewiele było trzeba, by zginął, a byłby to dopiero początek problemów wszystkich tych, którzy znali jego prawdziwą tożsamość.

Jeśli Kordian dotarł do nazwiska, musiał mieć tego świadomość.

– Zbladłaś – zauważył.

Potrząsnęła głową i zebrała się w sobie.

– Mówiłam ci, żebyś trzymał się od tego z daleka.

– Mówiłaś mi też, że jestem fretką – zauważył. – Całe moje zdrowie psychiczne opiera się na umiejętności ignorowania takich uwag.

– Jedna i druga była zasadna.

– Ta z fretką nie.

– Ta szczególnie – zaoponowała. – Bo te w stanie wolnym nie występują już od trzech tysięcy lat. Wszystkie wymarły. Zostały jedynie te udomowione.

– Potraktuję to jako…

– Sprowadzenie na ziemię – wpadła mu w słowo. – Bo zwierzę domowe nie powinno wypuszczać się na terytoria, gdzie grasują dzikie osobniki.

– Żyję z jednym na co dzień.

Spojrzała na niego z ukosa, a potem przesunęła ręką po czole, odgarniając grzywkę. Za sprawą bandaży kilka

niesfornych kosmyków się naelektryzowało. Czekała w milczeniu, aż Oryński podejmie temat, choć on najwyraźniej liczył na to, że zrobi to Chyłka.

Zdecydowałaby się na to, gdyby tylko wiedziała, co powiedzieć. Sytuacja nadto się skomplikowała, a sam fakt, że Zordon poznał prawdziwe nazwisko świadka, narażał nie tylko jego, ale i wszystkich innych.

Jakby na potwierdzenie tej myśli nagle rozległ się dźwięk policyjnej syreny. Joanna natychmiast spojrzała w lusterko. Oznakowany radiowóz świecił czerwonymi i niebieskimi światłami, jednocześnie puszczając długie.

Zerknęła na prędkościomierz. Oryński nie przekroczył ograniczeń, jechał przepisowo i nie było powodu, by policja ich zatrzymywała.

Rozległo się trąbienie, a Chyłka zaklęła bezgłośnie.

– Co robimy? – spytał Kordian.

– A jak myślisz? Zjedź na parking – odparła z irytacją. – I nie odzywaj się.

2

ul. Waryńskiego, Mokotów

Dwóch umundurowanych policjantów przez chwilę nie opuszczało radiowozu, jakby chcieli się upewnić, że zatrzymane osoby w iks piątce nie zrobią niczego nierozsądnego. Potem jeden z funkcjonariuszy wyszedł z auta i powoli ruszył w stronę Chyłki i Oryńskiego. Przyglądał się samochodowi, a ostatecznie zbliżył się do niego od strony nie kierowcy, ale pasażera.

Joanna opuściła szybę.

– Coś nie tak? – spytała.

Kiedy policjant na nią spojrzał, zupełnie ignorując Kordiana, ten odniósł wrażenie, że funkcjonariusz i Joanna się rozpoznali. Mężczyzna był podstarzały, na mundurze miał okruchy jedzenia, a dwie krokiewki na naramienniku świadczyły, że piastował stopień starszego sierżanta.

W hierarchii znajdował się stanowczo zbyt nisko, by mógł być zaangażowany w sprawę Zduna. A mimo to jego długie milczenie, wzrok wbity w Chyłkę i zupełne ignorowanie Oryńskiego kazały sądzić, że jest inaczej.

– Pytałam, czy wszystko gra? – żachnęła się Joanna.

– To rutynowa kontrola.

– Rutynowo trąbicie teraz na Bogu ducha winnych obywateli? I to w terenie zabudowanym?

Policjant spojrzał na Kordiana i pochylił się jeszcze bardziej.

– Panie kierowco, wie pan, za co został pan zatrzymany?

– *Hola* – rzuciła Chyłka. – Wiem, że to pytanie wżarło się w was jak rdza, ale po pierwsze działa mi na nerwy, a po drugie jest niezgodne z przepisami. To w waszym obowiązku jest poinformowanie o powodzie zatrzymania.

Mężczyzna oderwał wzrok od Oryńskiego, nie czekając na jego reakcję.

– Taka pani obeznana z ustawami?

– Urodziłam się z Kodeksem karnym pod pachą – powiedziała. – A zaraz potem zaczęłam ryć wszystkie artykuły. Zna pan dwieście trzydziesty pierwszy?

Mundurowy się skrzywił.

– Przekroczenie uprawnień przez funkcjonariusza publicznego – włączył się Oryński.

– Grozi za to do trzech lat – dopowiedziała Joanna. – Albo do dziesięciu, jeśli mamy do czynienia z korzyścią osobistą lub majątkową.

Policjant wciąż wbijał w nią spokojne spojrzenie, ale jego usta wykrzywiały się, jakby ledwo powściągał emocje.

– To nie tak dotkliwa kara – odezwał się w końcu. – Znam gorsze, a pani?

– To groźba?

– Oczywiście, że nie. Przepisy ruchu drogowego nie są tak restrykcyjne.

– Ale oboje wiemy, że zatrzymał pan nas nie z uwagi na nie.

Funkcjonariusz wyprostował się, poprawił czapkę, a potem zerknął w kierunku stojącego za iks piątką samochodu.

– Po prostu proszę zachować ostrożność na drodze – powiedział. – I pamiętać o zasadzie ograniczonego zaufania do innych uczestników ruchu.

Zanim Chyłka zdążyła odpowiedzieć, a Kordian zrozumieć, że ostrzeżenie na dobrą sprawę nie miało nic wspólnego z jazdą samochodem, sierżant skinął lekko głową i się oddalił.

Joanna odczekała chwilę i zamknęła okno dopiero, kiedy radiowóz ich minął i odjechał w stronę Puławskiej.

– Co to miało znaczyć? – odezwał się Oryński.

– Nic.

– Ewidentnie się znaliście, a tę rozmowę prowadziliście nie za pomocą wierszy, ale tym, co pomiędzy nimi.

– Pięknie to ująłeś – zauważyła Chyłka. – Nie mógłbyś się tak starać w kontaktach ze swoją ukochaną?

Kordian błagalnie uniósł oczy.

– Na przykład przy pożegnaniu – ciągnęła. – Zamiast „pa, słońce", mógłbyś szarpnąć się na „całuję twe włosy i promienie". Wyszłoby na to samo, ale z poetyckim sznytem.

– Nie mówię do ciebie per „słońce".

– Dzięki Bogu.

Oryński milczał.

– Na to całowanie promieni wpadł Herbert, kiedy pisał do Szymborskiej – oznajmiła Joanna. – Gość wiedział, jak posłodzić, nie używając cukru.

Jakakolwiek odpowiedź właściwie sprawiłaby, że Chyłka tylko by się rozkręciła, Oryński uznał więc, że przeczeka. I nie ruszy w kierunku kliniki dopóty, dopóki nie uzyska przynajmniej kilku odpowiedzi.

W końcu Chyłka musiała zdać sobie z tego sprawę. Nabrała głęboko tchu i przez chwilę siłowała się z fotelem. W końcu udało jej się odgiąć nieco oparcie.

– Więc? – spytał Kordian. – Stary znajomy?

– Pierwszy raz go na oczy widziałam.

– Nie wyglądało na to.

– Bo pozory to wyjątkowo przebiegłe stwory, Zordon.

– Rymami się z tego nie wywiniesz. Szczególnie takimi.

– Nie mam zamiaru się wywijać.

Obróciła się do niego i wyglądała, jakby w końcu podjęła decyzję. Musiała uznać, że dostatecznie długo trzyma go w niewiedzy, a teraz, kiedy sam zaczął odkrywać prawdę, nie może tego robić dalej.

– Nigdy tego policjanta nie spotkałam – powiedziała. – Ale rozpoznałam go. Tak samo, jak on rozpoznał mnie.

– Ewidentnie.

– Lata temu, zanim jeszcze przyznano Zdunowi status koronnego, ten facet był zaangażowany w sprawę.

– Sierżant? – spytał z powątpiewaniem Kordian.

– Nie był wtedy sierżantem. I nie robił w drogówce.

Nakreśliła Oryńskiemu historię oficera, który w całej sprawie nie odegrał wielkiej roli. Był jednym z kilku, którzy zajmowali się Zdunem, i Chyłka tak naprawdę nie miała powodu, by go zapamiętać. Przypomniała sobie o nim dużo później, kiedy pojawiły się plotki, że funkcjonariusz utrzymuje zbyt zażyłe kontakty ze swoimi źródłami w światku przestępczym.

– Przywalili mu dyscyplinarką – ciągnęła Joanna. – Szczegółów nie znam, ale wiem, że zdegradowano go o kilka stopni. I najwyraźniej wsadzono do radiowozu, żeby krążył po Mokotowie jak sadysta.

Kordian chrząknął cicho.

– *Pardon* – rzuciła Chyłka. – Niefortunne porównanie.

– Czego chciał?

– Wysłać jasną wiadomość, żebym się pilnowała.

– Wiadomość od kogo?

– Albo od policji, której psim obowiązkiem jest strzeżenie nowej tożsamości Zduna, albo od ludzi, przez kontakty z którymi ten gość spadł do poziomu sierżanta.

Oryński przez chwilę się namyślał. Wszystko powoli zaczynało się układać.

Z jednej strony Zdun, świadek koronny, który ukrywał się od lat pod zmienioną tożsamością.

Z drugiej policja, która miała go chronić.

Z trzeciej środowisko przestępcze, które na niego polowało.

To właśnie z tego ostatniego mógł pochodzić porywacz. Mogło zależeć mu na tym, by dotrzeć do świadka koronnego. A jak lepiej to osiągnąć niż poprzez prawniczkę, która niegdyś go broniła?

To by tłumaczyło porwanie Darii. Ale nie wyjaśniało, dlaczego stalker kazał bronić Klary Kabelis.

– Poskładałeś już wszystko?

– Nie.

Chyłka machnęła ręką.

– Nie przejmuj się – oznajmiła. – W naszym świecie niekompetencja jest premiowana.

Spojrzał na nią z powątpiewaniem.

– W końcu za usiłowanie zabójstwa daje się niższą karę niż za zabójstwo, prawda? Czyli partaczy jednak się premiuje.

– Coś w tym jest – przyznał Oryński. – Ale nadal nie rozumiem wielu rzeczy.

– Jesteś mężczyzną. Pewnych nigdy nie zrozumiesz, jak choćby poczucia ulgi, kiedy po całym dniu w końcu ściągasz stanik.

Kordian roztropnie nie skomentował.

– Mogę próbować ci to wytłumaczyć, ale…

– Lepiej wytłumacz mi kilka innych rzeczy – uciął. – Na przykład to, jakim cudem Zdun w ogóle został koronnym?

– Żaden problem. Otóż przed wniesieniem aktu oskarżenia przekazał w wyjaśnieniach organowi prowadzącemu informacje, które…

– Znam ustawową regułkę, Chyłka.

– Wątpię, żebyś znał – mruknęła. – Raczej niejasno kojarzysz.

– Chodzi mi o to, że zabił tego chłopaka pod Proximą – ciągnął niezrażony Oryński. – A skoro tak, to nie mógł zostać koronnym. Zabójstwo to wyklucza.

– Powiedz to Masie.

– Słuchaj…

– Słuchać mogę do woli, ale wolę to robić, kiedy ludzie, z którymi rozmawiam, czytają dokładnie przepisy, a nie tylko omiatają je wzrokiem – wyrzuciła z siebie na jednym oddechu.

– Znam artykuł czwarty ustawy. Są tam wyłączenia, które…

– Które stosuje się do czynów popełnionych w ramach działalności przestępczej, krótko mówiąc – ucięła. – Poza tym ten przypadek w ogóle nie ma z tym związku.

– Zwłoki chłopaka pod Proximą mogłyby twierdzić inaczej.

Chyłka cmoknęła z dezaprobatą, rozglądając się po parkingu. Wiedział, że chce jak najszybciej odebrać wyniki badań, on sam być może niecierpliwił się jeszcze bardziej. Nie miał jednak zamiaru odpuszczać, dopóki nie dowie się, o co chodzi.

– Zdun go zabił. Nie powinien mieć statusu koronnego.

– Opowiadasz bzdury.

– A ty unikasz konkretnej odpowiedzi.

– Fakt – przyznała. – Słyszałeś kiedyś o prawnej ochronie informacji?

Nie tylko słyszał, ale i czytał o niej, kiedy przeglądał ustawę. I rzeczywiście nie zagłębiał się w szczegóły dopuszczalności przyznania statusu świadka koronnego, nie miał jeszcze czasu – jeśli jednak chodziło o dochowanie tajemnicy, sprawa była inna.

– Artykuł dwudziesty trzeci – rzuciła Chyłka. – Doczytaj sobie.

– Nie muszę. Znam go doskonale.

– W takim razie zasklep swój otwór gębowy i nie licz na to, że mój się otworzy.

Powiedziała to bez przekonania, jakby czekała, aż jeszcze jeden, ostatni raz da jej do zrozumienia, że postawił ją pod ścianą i Joanna nie ma innego wyjścia, jak wyjawić mu całą prawdę.

– Powiedz mi tyle, ile możesz – zaproponował. – Hipotetycznie rzecz biorąc, gdyby ktoś kogoś zabił w związku ze swoją działalnością przestępczą, jak można by to obejść?

– To zależy.

– Jasne, wszystko zależy. A od każdej reguły istnieje wyjątek.

– Od każdej, z wyjątkiem tej, że od każdej istnieje wyjątek. Bo ona sama wtedy byłaby wyjątkiem.

Kordian potrząsnął głową.

– Starasz się zamącić – bąknął.

– Nie muszę. Masz już wystarczająco nasrane we łbie, skoro starasz się mnie podejść w taki sposób.

Oryński zamilkł na moment, bębniąc palcami o kierownicę. Wiedział, że nie musi dodawać już nic więcej. Teraz wystarczyło odczekać odpowiednio długo, by Chyłka przekonała samą siebie.

I w końcu najwyraźniej to zrobiła.

– Cóż… – podjęła. – Ktoś mógłby w takiej sytuacji wykazać, że nie doszło do zabójstwa.

– Trup skomplikowałby sprawę.

– Tylko jeśli uznalibyśmy, że powstał wskutek haniebnego czynu.

Kordian przestał uderzać w kierownicę i obrócił się do niej.

– Co konkretnie masz na myśli?

– Kontratyp – oznajmiła. – Okoliczność wyłączająca karną bezprawność czynu, Zordon.

– Tak, wiem, ale… – Zawiesił głos i ściągnął brwi. – Chcesz powiedzieć, że próbowaliście to rozegrać obroną konieczną albo stanem wyższej konieczności?

– Nie mówimy o żadnej konkretnej sprawie. Gdybamy sobie.

Zbył tę uwagę milczeniem.

– Ale kontratypy musiałyby obronić się w sądzie – powiedział po chwili. – A wam zależałoby na przyznaniu statusu jeszcze przed procesem. Więc nie, to odpada.

Chyłka się nie odzywała.

– Jezu… – rzucił cicho Oryński. – Dogadałaś się z prokuraturą, żeby zmienili kwalifikację prawną na nieumyślne spowodowanie śmierci. Przekonałaś ich, że Zdun jest tak wartościowy, że jeden przypadkowy chłopak pod Proximą to niewielka cena, jaką trzeba zapłacić.

Nawet przez moment nie spodziewał się, że Joanna odpowie.

– Razem zamietliście tę sprawę pod dywan – ciągnął Kordian. – W dodatku zrobiliście to zgodnie z prawem…

Rozwiązanie było idealne. Zabójstwo na gruncie ustawowym stawało się czymś innym – i tyle wystarczyło, by Zdunowi można było nadać status świadka koronnego.

– Na tym układzie korzystał każdy – kontynuował Oryński. – Ty, bo wybroniłaś klienta. Zdun, bo wymigał się od morderstwa i dostał ochronę. Policjanci, bo mieli kolejną odfajkowaną sprawę w statystykach. I w końcu prokuratura, która zyskała cennego świadka w sprawach przeciwko przestępczości zorganizowanej.

Kordian uderzył lekko w zagłówek. Powinien był wpaść na to wszystko wcześniej. A w szczególności na to, co to wszystko oznaczało.

– Wszyscy byli zadowoleni. Oprócz jednej osoby.

Chyłka wciąż milczała.

– Ojca tego chłopaka, który zginął. Jednego dnia jego syn żył pełnią życia, drugiego był martwy, a organy ścigania nie miały zamiaru karać osoby, która go zabiła.

– Był jeszcze brat.

Kordian zignorował uwagę, uznając, że śmierć rodzeństwa to jednak nie śmierć dziecka. Trudno było wyobrazić sobie, co musiał przechodzić ten człowiek. Przypuszczał, że nie miał pełnej wiedzy o tym, co się stało – ani tym bardziej dowodów na układ, który zawarto. Gdyby było inaczej, z pewnością zgłosiłby się z tym do mediów.

Nie wykluczało to jednak zemsty po latach.

– To był twój pomysł – odezwał się Kordian.

– Co?

– To, żeby ze Zduna zrobić koronnego. Żeby zmienić kwalifikację prawną.

Porwanie siostrzenicy prawniczki, która właściwie stała za całą sprawą, musiało być dla ojca wprost idealnym sposobem wymierzenia jej sprawiedliwości. Oblanie jej kwasem także. Nie wspominając już o tym wszystkim, co stało się z nią na Annapurnie.

Czy o to w tym wszystkim chodziło? Im dłużej Oryński się nad tym zastanawiał, tym bardziej był przekonany, że tak. Stalkerem mógł być ojciec chłopaka.

– Nie lubię hipotetycznych rozważań – mruknęła Joanna. – Prowadzą do absurdalnych wniosków. Teoretycznie rzecz biorąc, skoro ksiądz może poświęcić wodę, równie dobrze może zrobić to samo z innymi rzeczami. A w żadnej knajpie nie widziałam jeszcze świętego guacamole. Choć w niektórych być powinno.

Kordian nie miał zamiaru dać zbić się z tropu.

– Ci, którzy chronią Zduna, musieli zdać sobie sprawę, że ojciec chłopaka po latach zaczął działać – powiedział. –

I szybko zrozumieli, że próbuje się do ciebie dobrać. A kiedy ja w dodatku zacząłem szukać informacji o Kaflarzu…

– Że co zrobiłeś?

Oryński wzruszył ramionami.

– Trochę poszperałem po tym, jak w końcu ustaliłem, że Zdun to kryptonim, a Kaflarz nazwisko. Ale jak tylko uświadomiłem sobie, w co wdepnęliśmy, szybko się wycofałem. Informacji zresztą było jak na lekarstwo.

Chyłka zacisnęła mocno usta i przez moment się namyślała.

– Nie chcesz wiedzieć, jak w ogóle na niego trafiłem?

– Nie.

– Usłyszałem co nieco po tym, jak napadnięto nas na Saskiej Kępie – oznajmił, nie zważając na sprzeciw. – Trochę czasu zajęło mi zrozumienie, czym było jedno powtarzające się słowo, ale w końcu udało mi się to wyjaśnić.

Joanna potarła nerwowo czoło i syknęła, kiedy zadrapała się bandażem.

– Kim byli ci ludzie, Chyłka? To ochroniarze Zduna? Chcieli cię przestrzec przed szukaniem go i doprowadzeniem do niego innych? Czy może to ludzie najęci przez ojca tego chłopaka, którzy chcieli od ciebie wyciągnąć, gdzie się ukrywa Zdun?

Głęboko nabrała tchu.

– Nie wiem – powiedziała. – Nie przedstawili się.

– Ale coś ci powiedzieli, prawda?

– Żebym zostawiła tę sprawę – powiedziała w końcu całkowicie poważnym tonem.

Kiedy spojrzała na jego złamaną rękę, on zrobił to samo. Wreszcie dowiedział się, co w istocie oznaczało to ostrzeżenie. I zrozumiał, że mogło być dużo wymowniejsze.

– A więc to ludzie chroniący Zduna – zauważył.

– Na to wygląda.

– Ale przecież ten gość ma ochronę policji, prawda?

– Nie. Zrezygnował z niej – odparła Chyłka i wypuściła głośno powietrze, jakby duży ciężar w końcu spadł jej z serca. – Od samego początku Zdun twierdził, że mundurowi nie zapewnią mu bezpieczeństwa. Skorzystał wprawdzie z kilku dobrodziejstw, ale…

– Z jakich?

– Zmiana tożsamości, operacja plastyczna, zabiegi – wyrecytowała Joanna. – Wszystko opłacone przez państwo. Trafił na moment, kiedy ojczyzna była wyjątkowo dojna.

Druga połowa lat dziewięćdziesiątych, złota era dla świadków koronnych. Status nadawano wtedy wyjątkowo chętnie, motywując to bezkompromisową walką z przestępczością zorganizowaną. Po latach okazało się, że nie było tak różowo. Część gangsterów szła na współpracę, by mścić się na wrogach, inni pomawiali policjantów. Każdy mógł jednak w tamtym okresie liczyć na dobre warunki.

Zdun najwyraźniej czerpał z ówczesnej koniunktury pełnymi garściami.

– W porządku – odezwał się Oryński. – Więc ma swoich ludzi do ochrony. I to oni nas zaatakowali.

Joanna skinęła głową.

– Jesteś pewna?

– Dość.

– Bo teoretycznie istnieje możliwość, że napastników najął ojciec tego chłopaka spod Proximy.

– Nie istnieje.

Brak wahania w głosie był właściwie cechą przyrodzoną Chyłki, ale w tym wypadku wybrzmiał wyjątkowo mocno.

– Skąd ta pewność? – spytał Kordian.

Chyłka odwróciła głowę w bok, by nie widział jej twarzy.

– McVay i Julian nadal są w Nepalu – odezwała się.

– Wiem.

– Ale nie wiesz, co odkryli.

Czekał, aż się do niego odwróci, ale najwyraźniej nie miała takiego zamiaru.

– W tej samej wiosce, w której rzekomo widziano Drobnego, odnaleziono też zwłoki. Były zakopane pod hałdą śmieci, rozkładały się tam od wielu lat i są już w tak zaawansowanym stanie dekompozycji, że nie sposób stwierdzić, do kogo należały.

Kordian zmarszczył czoło, czekając na więcej.

– A raczej nie sposób byłoby, gdyby nie portfel, który znaleziono przy ciele.

– Z dokumentami?

– Nie. Ze zdjęciem chłopaka spod Proximy.

Dopiero teraz się do niego obróciła, a on zobaczył w jej oczach zupełne zagubienie. Nie pasowało do Chyłki, którą znał. I którą znała ona sama.

– Te zwłoki w Nepalu należą do ojca chłopaka, Zordon – dodała. – A ja nie mam pojęcia, jak to możliwe.

3

Instytut Hematologii i Transfuzjologii, Mokotów

Lekarka, która miała spotkać się z Chyłką, proponowała rozmowę w jednej z poradni dzień później, ale Joanna nie miała zamiaru czekać. Ostatnimi czasy niewiadomych w życiu miała stanowczo zbyt wiele – i chciała usunąć choć jedną.

Wchodząc do gabinetu, myślała właściwie o wszystkich innych oprócz tej, z powodu której się tutaj zjawiła.

W szczególności o zwłokach mężczyzny znalezionych w Nepalu. Co tam robił ojciec chłopaka, który zginął z ręki Zduna? Co sprawiło, że stracił tam życie?

Nie potrafiła znaleźć choćby szczątkowych odpowiedzi. Wydawało się to kompletnie pozbawione sensu, niepowiązane ze sobą i przypadkowe. A jednak przypadkiem nie mogło być.

Szczególnie biorąc pod uwagę, że stalker postawił jej ultimatum, zmuszając do obrony Kabelis. Wreszcie pojawiło się więc powiązanie sprawy Klary z tym wszystkim, co robił porywacz.

Nepal w jakiś sposób łączył te dwa wątki. Problem polegał na tym, że Chyłka nie miała pojęcia jak.

Dotychczas ojciec chłopaka wydawał się najbardziej prawdopodobnym kandydatem na stalkera. Zemsta, nad którą przed momentem rozwodził się Oryński, byłaby wystarczającym powodem, by mężczyzna porwał Darię.

Rozkład ciała świadczył jednak o tym, że biedak nie żył od wielu lat. Właściwie był kłopot nawet ze stwierdzeniem, czy zwłoki należą do kobiety czy mężczyzny. Kiedy Julian

przekazał jej te wieści tuż po tym, jak wylądowała w Warszawie, głos mu się trząsł i nie potrafił poskładać kilku zbornych zdań. Widok musiał być przejmujący.

Chyłka była Brenczowi wdzięczna za to, że został z McVayem. Wiedziała, że tak jak ona chce jak najszybciej wrócić do kraju. Być przy Magdalenie i zrobić wszystko, by odnaleźć Darię. Tyle że najwięcej osiągnąć mógł właśnie w Nepalu. William potrzebował wsparcia, we dwóch mieli większe szanse, by odkryć prawdę, która gdzieś tam była przez kogoś skrywana.

– Pani Joanno? – odezwała się lekarka, wyrywając ją z zamyślenia.

Chyłka zamrugała kilkakrotnie.

– Melduję się – rzuciła.

Kobieta przypatrywała jej się uważnie. Stanowczo zbyt uważnie. Niczym prokurator, który wie już, że przyznanie się do winy nie jest mu potrzebne, bo zebrał odpowiednio mocny materiał dowodowy.

– Niech to chuj… – szepnęła Joanna.

– Słucham?

– Już widzę, że wyniki są smutne jak sitcom bez podłożonego śmiechu.

– Pani Joanno…

– Dajmy temu spokój – zaproponowała Chyłka, podnosząc się z krzesła. – Długie paplanie nic nie da, a ja mam sporo rzeczy do załatwienia. Nie dość, że muszę przygotować się do pierwszej rozprawy, powinnam jeszcze zająć się siostrą, dwoma moimi posłańcami w Nepalu, dłońmi, przez które przypominam ludzika Michelin, i…

– Usiądzie pani?

– Nie.

– Nalegam tylko dlatego, że…

– Niech pani mówi, co ma do powiedzenia – ucięła Chyłka. – Mogę zresztą ułatwić pani zadanie. HTLV jest?

Liczyła na krótkie, zdawkowe skinienie, ale lekarka trwała w bezruchu, jakby broniła jakiejś wyjątkowej, tajemnej wiedzy.

– No? – ponagliła ją Joanna. – Mam tego retrowirusa czy nie?

– Proszę, niech pani usiądzie.

– Nasiedziałam się w samolocie dłużej niż Tomasz Komenda w więzieniu, więc niech mi pani wierzy, że chętnie postoję.

Kobieta wypuściła powietrze nosem i w końcu spasowała. Zerknęła na rozłożone na biurku papiery, jakby musiała się nimi wspomóc, by przedstawić jej diagnozę.

– Dobra – dodała Chyłka. – Że HTLV jest, to już wiemy.

– Obawiam się, że…

– Że co?

Dopiero teraz Joanna zrozumiała, że samo wykrycie retrowirusa nie jest najgorszą wiadomością, jaką usłyszy. Może podświadomie zdawała sobie z tego sprawę już od momentu wejścia do gabinetu i dlatego przerywała lekarce. Coś z tyłu głowy sprawiało, że chciała jak najbardziej odsunąć w czasie moment wydania wyroku.

W końcu musiał jednak zapaść.

– Mam nowotwór? – spytała.

– To nie takie proste.

– Dlaczego? Tak albo nie.

– Przede wszystkim HTLV nie wywołuje nowotworu, ale choroby rozrostowe krwi.

– Czyli to, na co normalni ludzie mówią rak? Rak krwi?

Lekarka lekko skinęła głową. Był to nieznaczny gest, ale Chyłka wiedziała, że na lata osiądzie pod jej powiekami i będzie go widziała, ilekroć zamknie oczy. Miała bowiem

pewność, że była to zapowiedź najbardziej niekorzystnego wyroku, jaki kiedykolwiek usłyszy.

Mógł być dwojaki. Chłoniak albo białaczka. Niczego innego retrowirus HTLV nie wywoływał, przynajmniej jeśli chodziło o to, co normalni ludzie nazywali nowotworami.

– W porządku – rzuciła. – Mam to czy nie?

Kobieta uciekła wzrokiem. Tylko na moment, ale tyle wystarczyło.

– Pani Joanno – podjęła wyważonym, ciepłym głosem. – Badanie, które pani przeszła, było wykonywane z krwi obwodowej, a więc…

– A po ludzku?

– Proszę dać mi skończyć.

– Byle szybko – odparła Chyłka, obracając się w kierunku drzwi. – Naprawdę muszę wziąć się do procesu, a poza tym na zewnątrz czeka na mnie jednoręki bandyta.

Lekarka trwała z niewzruszoną, neutralną miną.

– Pobraliśmy pani krew z żyły – sprecyzowała.

– Tak, pamiętam. Może dlatego, że niecodziennie ktoś wbija mi igłę w rękę.

– Celem badania było potwierdzenie lub wykluczenie obecności retrowirusa…

– Co już odfajkowaliśmy.

Kobieta skinęła głową, a Chyłka musiała w duchu pochwalić ją za cierpliwość. Zapewne już jakiś czas temu przygotowała sobie odpowiednie przemówienie i rozegrała w głowie całą tę rozmowę. Ta z pewnością już by się skończyła, gdyby tylko lekarka mogła mówić bez przerywników.

Joanna położyła zabandażowane dłonie na oparciu krzesła i się pochyliła.

– Wykonaliśmy też morfologię – ciągnęła kobieta. – Wyszły w niej nieprawidłowe elementy krwi.

– Aha.

– Wskazujące na… czy może raczej sugerujące choroby rozrostowe krwi.

– Czyli nie macie pewności, czy to białaczka, czy chłoniak.

Lekarka też się podniosła i Joanna przez moment spodziewała się, że rozmówczyni w końcu nie wytrzyma. Wciąż jednak patrzyła na nią tak, jak na profesjonalistkę przystało.

– Nie mamy pewności, czy choroba w ogóle jest obecna. Do ustalenia tego sama morfologia jest niewystarczająca.

A zatem nie był to wyrok. Jedynie prawdopodobieństwo jego zapadnięcia.

– Musimy wykonać dodatkowe badania, nie z krwi obwodowej.

– Jakie konkretnie?

– Punkcję – odparła bez wahania kobieta. – Celem zbadania szpiku.

– W porządku. Jak długo to potrwa?

– Samo wkłucie się niedługo, a…

– Będę musiała zostać w szpitalu?

– Zazwyczaj zalecam hospitalizację, ale…

– Zaleceń nie traktuję poważnie – ucięła Chyłka, uznając, że im mniej czasu spędzi w szpitalu, tym lepiej. – Jak długo będę czekała na wyniki?

– Najwyżej kilka dni.

Niczego więcej nie potrzebowała. Umówiła się na badanie szpiku, zdawkowo podziękowała, a na odchodnym dodała jeszcze, że to wszystko można było załatwić w kilkadziesiąt sekund. Bez pożegnania wyszła na korytarz.

Zobaczywszy ją, Oryński natychmiast zerwał się z krzesła.

– Spokojnie, Zordon, bo przeskoczysz Stocha.

– Co wyszło w badaniu? – spytał, szybko do niej podchodząc.

– Że mam stanowczo za mało alkoholocytów we krwi i zdecydowanie za dużo wkurwiocytów, co skutkuje stanami wzmożonego napięcia oraz mutacją genu odpowiedzialnego za właściwy dobór partnerów. Innymi słowy: po pierwsze muszę się napić, po drugie mam fatalny gust, jeśli chodzi o facetów.

– Chyłka…

Machnęła ręką, a potem skinęła głową w kierunku wyjścia.

– Wyszło prawdopodobieństwo chłoniaka albo białaczki – rzuciła.

– Jak duże?

– A ja wiem? Pewnie niemałe, skoro chcą robić mi punkcję.

Kordian zatrzymał się, a ona niechętnie zrobiła to samo. Spojrzała na niego błagalnie, jakby dzięki temu mogła zapobiec całej litanii pytań i wyrazów wsparcia. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że nie ma do czynienia z kimś, po kim mogłaby się tego spodziewać. Zordon znał ją dostatecznie dobrze, by wiedzieć, czego potrzebuje.

– Będziesz musiała tu kiblować? – spytał.

– Nie. Za jakiś czas robię badanie, odsapnę i mogę wracać do domu.

– Więc bierzemy się do roboty?

– Żebyś wiedział – odparła stanowczo. – Czas wybronić łojantkę i sprawić, żeby dziecko mojej cholernej siostry wróciło do niej całe i zdrowe.

– Łojantkę?

– Tak na siebie mówimy – odparła konspiracyjnie. – W środowisku.

Posłał jej zdawkowy uśmiech, a Chyłka zupełnie zignorowała to, jak bardzo był wymuszony. Sama z trudem radziła sobie ze świadomością tego, co usłyszała, ale przypuszczała, że Zordon będzie znosił to jeszcze gorzej.

W kolejnych dniach nie dał tego jednak po sobie poznać. Skupiali się na przygotowaniach do rozprawy, analizowali materiały, które mieli – a przede wszystkim czekali na nowe informacje od McVaya i Juliana.

Rąk do pracy było aż nadto. Niemal każdy na dwudziestym pierwszym piętrze Skylight chciał dorzucić swoje trzy grosze do sprawy, która już teraz okazała się jedną z najgłośniejszych w historii kancelarii.

Podczas gdy prawnicy pracowali w zaciszu gabinetów, media rozdmuchiwały każdy szczegół związany z uczestnikami postępowania. Prześwietlono całą przeszłość Klary, robiono wywiady z jej znajomymi, kreślono psychologiczny obraz alpinistki i brano pod lupę każdy odniesiony przez nią sukces. Kilku ghostwriterów zaproponowało jej stworzenie biografii, jeszcze większa liczba reportażystów zasugerowała wywiad rzekę.

W pewnym momencie Chyłka zaczęła odnosić wrażenie, że sprawa Kabelis stała się pożywką dla mas, a ludzie przestali łaknąć prawdy i zaczęło zależeć im jedynie na tym, by codziennie otrzymywać nowe, choćby naprędce zmyślone wieści.

Właściwie było to obrońcom na rękę. Im dłużej mówiono o Klarze, tym bardziej ludzka się stawała. Nie tylko dla tych, którzy będą śledzić proces, ale także dla tych, którzy będą podczas niego decydować o jej losie.

Dwóch zawodowych sędziów i trzech ławników było niezależnych, orzekało na gruncie prawa, ale Chyłka była przekonana, że cała piątka na bieżąco śledzi wszystko, co dzieje się w mediach – i nawet jeśli nie będą w stanie przyznać tego przed sobą, oczywiste było, że obecna w nich narracja w jakiś sposób na nich wpływa.

W przededniu pierwszej rozprawy Joanna i Oryński zostali dłużej w kancelarii. Żadne z nich prawdopodobnie i tak by się nie wyspało, a Kormak miał przedstawić im wszystkie ostatnie informacje niezwiązane z kwestiami prawnymi.

Światła w sali konferencyjnej były przygaszone, a na szerokim stole znajdowały się rozłożone zdjęcia. Chudzielec podsunął jedno z nich w stronę Chyłki. Przedstawiało uśmiechniętą kobietę w średnim wieku, a jakość fotografii kazała sądzić, że została zrobione przynajmniej dwadzieścia lat temu.

– Matka Arkadiusza Szweda – oznajmił Kormak, stukając palcem w zdjęcie.

Sędzia mający przewodniczyć rozprawie był dla Joanny jedną wielką niewiadomą. Do tej pory nie miała z nim do czynienia, nie zasłynął też niczym szczególnym, przez co mogłaby go kojarzyć. Znajdował się na początku drogi zawodowej i do worka, z którego system komputerowy losował kandydatów, trafił rzutem na taśmę.

Wstępny research dowodził, że nie jest to wymarzony wybór. Szwed wyglądał na aroganckiego, wyniosłego mężczyznę, który wykorzystał polityczne koneksje, by szybko wspiąć się po drabinie warszawskiej palestry. Dotychczas był traktowany jako karierowicz i nie cieszył się dobrą opinią w środowisku, ale dzięki tej sprawie z pewnością planował to zmienić.

Chyłka zerknęła na fotografię sędziego, a potem na jego matkę. Nie mogli się bardziej różnić.

– Co o niej wiadomo? – spytała.

– Że wydała na świat wyjątkowego gbura – odparł Kormak.

– To jasne. Coś więcej?

– Nie.

Joanna przesunęła dłonią po blacie, ściągając okruchy nachosów. Od kilku godzin żywili się właściwie tylko nimi,

jeśli pominąć kilka dipów, w których je zanurzali.

– Zdajesz sobie sprawę, że skoro jesteś specjalistą do spraw pozyskiwania informacji, powinieneś je pozyskiwać? – mruknęła.

– Tak, ale tym razem nie chodzi o badanie, czy czyjś dziadek był w Wehrmachcie, czy nie.

– To po jaką cholerę pokazujesz mi to zdjęcie?

– Żebyś zafundowała sobie taką koafiurę, jak ona.

Chyłka spojrzała na fotografię i westchnęła. Fryzura z długimi, luźnymi falami przywodziła na myśl Brigitte Bardot. Właściwie nie byłaby zbyt skomplikowana, wystarczyłoby zakręcić włosy na gorących wałkach, a po ich ściągnięciu nałożyć nieco suchego szamponu u nasady włosów. Po utrwaleniu lakierem byłoby po sprawie.

– Wzbudzisz w podświadomości Szweda dobre skojarzenia – dodał Kormak. – Wyślesz podprogowy przekaz, że jesteś osobą godną zaufania.

Zerknęła na niego z powątpiewaniem.

– Tylko dlatego, że będę miała taką fryzurę, jak kiedyś jego matka?

Oryński głośno skruszył nachosa w dłoniach, ściągając na siebie uwagę.

– To jakaś komedia… – zauważył pod nosem.

– Słusznie, Zordon, słusznie. Cała nasza robota to jedna wielka komedia. Nie bez powodu jak spytasz któregokolwiek prawnika, jaki film najlepiej oddaje istotę naszego zawodu, każdy wskaże *Mojego kuzyna Vinny'ego*.

– Mhm.

– Swoją drogą Joe Pesci zrobił tam robotę.

– Bo coś miał – odparł Kordian, wyraźnie zirytowany. Machnął ręką nad rozłożonymi na stole materiałami. – My nie mamy nic.

– Nie nazwałbym tego niczym – zaoponował chudzielec.

Oryński prychnął i zanurzył kawałek nachosa w sosie guacamole.

– Żartujesz sobie? – rzucił. – Upadliśmy tak nisko, że zajmujemy się fryzurami matek, Chyłkę wysyłamy do talk-show dla gospodyń domowych, Klarę pokazujemy na zdjęciach z pieprzonymi kundelkami, a szczytem szczęścia od tygodnia jest dla nas, jeśli odkryjemy, jaki quiz na Facebookistanie robił jeden z ławników.

Joanna posłała mu ostrzegawcze spojrzenie, ale się nie odezwała. Rzeczywiście robiła tournée po wszystkich programach, z których dostała zaproszenie. Szła do nich z bandażami, choć na dobrą sprawę mogła już się ich pozbyć. Uwiarygodniały ją jednak jako kogoś, kto ma prawo wypowiadać się w temacie himalaizmu. Kto sam doświadczył tego, co musiała przechodzić Kabelis. I kto wiedział, o czym mówi.

W istocie Joanna jedynie liznęła tematu, ale robiła wszystko, by stwarzać odpowiednie pozory. W programach rozrywkowych żartowała, w śniadaniówkach wypowiadała się jako ekspert, a w publicystycznych okazywała przede wszystkim pokorę i odsyłała do znawców tematu. Do każdej grupy odbiorców kierowała inny przekaz – i miała nadzieję, że to poskutkuje.

Ostatecznie Kordian miał jednak rację. Nie mieli niczego konkretnego, sięgali więc po wszystko inne, co mogło pomóc.

– Co będzie następne? – rzucił Oryński. – Zaczniemy przeglądać śmieci Szweda, żeby ustalić, czy woli colę czy pepsi? A potem wejdziemy na salę sądową z którąś puszką?

– Zasadniczo to całkiem niezły pomysł – zauważył Kormak. – Im więcej podprogowych sugestii, tym lepiej.

– Daj spokój.

Kordian rzucił nachosa na talerz i nerwowo potarł usztywnioną rękę.

– Tego sędziego można urobić – uparł się chudzielec. – Nie jest jednym z tych starych wyjadaczy, którzy potrafią w drogerii rozpoznać byłego skazanego po tym, w jaki sposób sięga po produkty. To nowicjusz, nie sprawdził się jeszcze w żadnej poważnej sprawie. Ma tyle doświadczenia, ile Chyłka poszanowania dla kodeksu drogowego.

– Co nie sprawi, że urobimy go bardotkowymi falami.

– Z pewnością nie zaszkodzą. Ani one, ani profilowanie przez media społecznościowe i inne narzędzia.

– Dopóki to gdzieś nie wyjdzie – zauważył Oryński. – Przypomnij sobie aferę po Cambridge Analytica.

– Sugerujesz, że jestem jak ci, co nasyłają ponętne Ukrainki na polityków, produkują fake newsy i składają pozorowane propozycje korupcyjne tak korzystne, że nikt nie jest w stanie im odmówić?

– Mniej więcej.

Joanna głęboko nabrała tchu, a dwaj dyskutanci skupili na niej wzrok.

– Wiecie… kiedy dwóch facetów w firmie się ze sobą zgadza, znaczy to, że jeden z nich jest niepotrzebny – powiedziała filozoficznym tonem. – Żadnemu z was niestety nigdy to nie będzie groziło.

Podniosła się, by rozprostować nogi, a potem podeszła do okna. Śródmieście o tej porze sprawiało wrażenie, jakby z miasta nastąpił nagły exodus. Pracujący do późna korporacyjni wojownicy zakończyli już dzisiejszą batalię, a ci, którzy rozpoczynali ją o świcie, jeszcze nie dobyli broni. Gdzieniegdzie przemykał nocny autobus, w innym miejscu mignął samotny czarny samochód, pewnie uber. Miasto

czekało, by tuż po wschodzie słońca eksplodować korkami, spalinami i stołecznym gwarem.

Na razie było jednak skryte pod pozornym całunem nocnego spokoju.

Chyłka oparła czoło o chłodną szybę.

– Ciemna dupa – podsumowała.

– Hm? – mruknął Kordian.

– Siedzimy w niej tak głęboko, że nawet kariera prawnicza Zordona w porównaniu z nią wydaje się świetlana.

Joanna wyprostowała się, powiodła wzrokiem w kierunku Alei Jerozolimskich, a potem się odwróciła. Podeszła do stołu i uderzyła rękoma o blat. Każda końcówka nerwów w palcach zdawała się wysłać nieprzyjemny impuls do mózgu.

– Do kurwy nędzy, potrzebujemy czegoś konkretnego – rzuciła.

– Mamy kilka rzeczy – zaprotestował Kormak. – Wiemy, że tam działo się coś więcej, niż ujawniono w mediach.

– Co?

– A ja wiem? Ale skoro Drobnego widziano w wiosce już po jego rzekomej śmierci, to…

– Gdzie masz jakiś dowód?

Milczenie ze strony Kormaka było wystarczająco wymowną odpowiedzią.

– Wiemy też, że Kabelis nakręciła film w Manang, którym rozsierdziła…

– I gdzie jest ten film?

Chudzielec spojrzał na Oryńskiego, ale ten położył dłoń na szynie i odgiął się na krześle.

– W porządku… ale jest jeszcze Nalikowski – zauważył Kormak.

– Ten z moich majaków? – spytała Joanna. – Rzeczywiście, on może być wyjątkowo pomocny.

– Nie wiemy, czy był halucynacją. Ktoś mógł przecież pomóc ci odkopać się spod śniegu po zejściu lawiny. Równie dobrze może się okazać, że ten gość naprawdę tam był.

Chyłka przeniosła ciężar ciała na ręce, nachylając się nad stołem. Ból stał się jeszcze wyraźniejszy, ale z jakiegoś powodu czuła, że na niego zasługiwała.

– Wszystko super – powiedziała. – Ale nawet jeśli przyjmiemy, że ktoś mi pomógł, to wypada wrócić do zasadniczego pytania: gdzie są, kurwa, dowody?

Wyprostowała się i spojrzała na Kormaka z góry.

– No – rzuciła z pretensją. – Gdzie?

– Może Julian i William jeszcze…

Podniosła rękę, a chudzielec urwał i spuścił wzrok, jakby to on zawinił. Chyłka dopiero teraz upomniała się w duchu, że jakiekolwiek wyrzuty wobec niego były nieuzasadnione. Owszem, to on odpowiadał w kancelarii za zbieranie materiału dowodowego, ale w tej sytuacji po prostu nie miał z czego go wyczarować.

Joanna usiadła przy stole, przez moment wszyscy milczeli.

– Mamy media – odezwała się. – Cała narracja poszła w korzystnym dla nas kierunku. Trąbili o sprawie tak długo, że teraz przebijają się już jedynie wyrazy zrozumienia dla Kabelis.

Kordian pokiwał głową, ale i bez tego Chyłka wiedziałaby, że jej ocena jest słuszna. Po tym, jak zaczęła w kolejnych programach opisywać ekstremalne, zabójcze warunki panujące na Annapurnie, nawet najbardziej oporni przyjęli, że to zupełnie inny świat. Świat, w którym każdy ma jeszcze większe prawo ratować swoje życie.

– To za mało? – spytał z powątpiewaniem Kormak. – Powinno wystarczyć, żeby sędziowie byli skłonni wydać wyrok uniewinniający.

– Będą skłonni – przyznała Joanna. – Będą nawet przychylni.

– Ale?

– Ale musimy dać im coś, dzięki czemu będą mogli podjąć tę decyzję na gruncie prawa.

– To też nie powinno być trudne, prawda?

Chudzielec popatrzył po prawnikach, jakby to on znał na wyrywki Kodeks karny, a nie oni.

– Macie sympatię sędziów, macie ogólną zgodę co do tego, że Klara ratowała życie, czego więcej wam trzeba? – ciągnął. – Przecież musicie tylko wykazać, że Kabelis zostawiła Nalikowskiego i Drobnego, bo nie miała innego wyjścia. Że wchodzi w grę stan wyższej konieczności. Kontratyp. Tak to zwiecie?

Chyłka i Kordian spojrzeli na siebie i oboje w tym samym momencie westchnęli.

– Coś przegapiłem? – bąknął Kormak.

– To, że prokuratura wie o wszystkim, co właśnie powiedziałeś – odezwał się Oryński.

– A mimo to nikt się do nas nie zgłosił z propozycją, żeby załatwić tę sprawę jeszcze przed pierwszą rozprawą – dodała Joanna.

– Czyli mają coś, czego my nie mamy – dorzucił Kordian.

– A tym czymś jest albo opinia biegłego, albo wyniki sekcji, albo dostęp do ciała Nalikowskiego.

– W każdym razie dowód, na którego podstawie postawili zarzut zabójstwa.

– Do tego dochodzi jeszcze nagranie, na którym Kabelis rzekomo przyznaje się do winy – ciągnęła Chyłka. – Ona wypiera się, że istnieje, ale prokuratura nie blefowałaby w takiej sprawie.

– A skoro już o ich twierdzeniach mowa, swego czasu chełpili się szczegółami na temat ran po czekanie.

– Od których zmarł Nalikowski.

– I które mogłaby zadać jedynie Klara, bo Drobny był w stanie przedagonalnym.

Kormak przerwał im, błagalnie unosząc dłonie.

– Jako dwójka mających się ku sobie ludzi byliście ledwo do zniesienia – rzucił. – Jako para jesteście jeszcze gorsi. Kiedy zaczęliście kończyć wzajemnie swoje myśli?

– Kiedy oboje zgodnie uznaliśmy, że autouzupełnianie sprawdza się całkiem nieźle nie tylko w esemesach i podpowiedziach w Google.

Chudzielec pokręcił głową.

– Mniejsza z tym – oświadczył. – Skupmy się na tym, że…

Urwał, kiedy rozległ się znany wszystkim gitarowy motyw. Oryński i Kormak wymienili się niepewnymi spojrzeniami, a Chyłka sięgnęła do przewieszonej przez oparcie fotela torebki. Wyjęła nową komórkę i odebrała, od razu włączając głośnik.

– Co jest, Lemurze?

– Sporo – odparł z niepokojem Brencz. – Powiedziałbym nawet, że o wiele za dużo.

Gdyby nie jego ton, Chyłka mogłaby uznać to za zapowiedź dobrych nowin. W tym wypadku jednak nawet się nie łudziła.

– Mów w skrócie – zaapelowała. – Bo mamy nocną kancelaryjną posiadówę, która wyssała ze mnie wszystkie siły witalne.

Julian kaszlnął cicho.

– W skrócie: musimy się stąd zwijać.

– Bo? Znaleźliście coś?

– Kogoś – sprostował Brencz. – Nepalczyka, który twierdzi, że widział Maćka Drobniaka w Manang już po tym, jak Klara

zeszła z Annapurny.

Joanna położyła komórkę na stole i wszyscy zaczęli wpatrywać się w nią jak w wyrocznię. Wiadomość była właściwie wymarzona, ale Julian ewidentnie miał do przekazania więcej.

– Facet jest pewien?

– Tak. W dodatku nagraliśmy jego zeznania.

– A więc mamy idealną sytuację – odezwał się Kormak. – Przynajmniej jedna rzekoma ofiara żyje. Udowodnicie, że druga może też, a nie będzie w ogóle za co sądzić Kabelis.

– W tym problem – mruknął Brencz. – Nepalczyk nie tylko widział Drobniaka, ale także z nim rozmawiał.

– I? – ponagliła go Joanna.

– I to on miał mu przekazać, że Nalikowski zginął od uderzenia czekanem.

Chyłka mimo woli pokręciła głową. Przez moment nikt się nie odzywał.

– Wygląda na to, że to jest dowód prokuratury – kontynuował Julian. – Z ich punktu widzenia sytuacja jest jasna. Nie doszło do żadnej śmierci w górach, nie ma tam żadnych ciał. Może ta trójka nawet nie weszła na zbocza Annapurny, a swoją podróż zakończyła w Manang. Zgarnęli pieniądze od sponsorów, stworzyli nieco pozorów, a potem zamiast dzielić się kasą…

– Co? – wpadła mu w słowo Joanna. – Klara zabiła jednego, a drugiemu pozwoliła uciec? Dla kilkudziesięciu czy tam stu tysięcy? I ułożyła całą wersję z atakiem na Annapurnę?

Brencz się nie odzywał.

– To nie ma sensu, Lemurze. Za dużo zachodu.

– Nie doceniasz ludzkiej chciwości.

Chyłka czasem miała wrażenie, że wręcz ją przeceniała. Ale nie w tym wypadku. Gdyby cokolwiek z tego, o czym mówił

Nepalczyk, było prawdą, Kabelis rozegrałaby tę sprawę zupełnie inaczej.

Ale po co mieszkaniec Manang miałby kłamać? Co mógłby osiągnąć? Jaki interes w tym mieć? Nic z tych rzeczy nie miało sensu.

– Tak czy inaczej mają dowód, że Kabelis zabiła Nalikowskiego – dodał Brencz. – Zeznania naocznego świadka.

– Raczej relację Nepalczyka o zeznaniach naocznego świadka – zaoponował Oryński. – *Relata refero*.

– Co? – spytał Julian.

– Przekaz z drugiej ręki.

– O ile prokuratorzy nie dotarli do samego Drobniaka – wtrąciła się Joanna. – A skoro są tacy pewni swego, to wypada uznać, że to zrobili.

– Jak? – spytał Kordian. – Na miejscu nikogo nie było, a poza tym…

– Mniejsza o sposób, Zordon. Liczy się to, że to mają. – Wbiła wzrok w Oryńskiego i czekała, aż zobaczy w jego oczach cień nadziei na to, że to nie koniec. Próżno było go jednak szukać. Tak u niego, jak u niej.

– Dobra – włączył się Kormak. – Co to oznacza?

– Że przegraliśmy sprawę – odparła bez wahania Chyłka.

W salce konferencyjnej zaległa ciężka cisza. Joanna rzadko formułowała tak kategoryczne sądy, przynajmniej jeśli chodziło o przyznawanie się do porażki. W tej sytuacji jednak było to całkowicie usprawiedliwione.

Jeśli Drobniak rzeczywiście żył i złożył zeznania przeciwko Klarze, nie liczyła się ani poprawiająca się narracja w mediach, ani wyprawa Chyłki do Nepalu, ani wszystkie poświęcenia, jakie przez to poniosła.

– Przykro mi, że nie mamy dla was lepszych wiadomości – odezwał się po długim milczeniu Brencz.

Chyłka pomyślała, że to nie koniec smętnych wieści. Było jeszcze coś. To, o czym Julian wspomniał na początku rozmowy.

– Mówiłeś, że musicie stamtąd spieprzać – przypomniała. – Dlaczego?

– Bo pojawiło się kilka… sugestii.

– Co? Ktoś wam groził?

– I tak, i nie. To znaczy…

– Zazwyczaj da się dość łatwo stwierdzić, Lemurze.

– Włamano się do naszego pokoju hotelowego – odparł ciężko Brencz. – Nic nie zginęło, a właściwie nawet wzbogaciliśmy się o kilka rzeczy.

– Jakich?

– Przede wszystkim o jadowitego węża z gatunku *bungarus caeruleus*. Jego ukąszenie prowadzi do paraliżu układu nerwowego i oddechowego. W ciągu dwóch godzin następuje śmierć.

Dłoń Chyłki mimowolnie powędrowała do blizny na szyi.

– Oprócz tego do naszych toreb podróżnych powrzucano jakieś robactwo – dodał Julian. – Na tyle sporo, że nie wiem, czy po ważeniu na lotnisku nie musiałbym zapłacić za nadbagaż.

Żadne z rozmówców nawet lekko się nie uśmiechnęło.

– Zgłosiliście to policji? – spytał Kordian.

Brencz potwierdził cichym mruknięciem.

– Usłyszeliśmy, że mamy wyjątkowe szczęście, bo kilka miesięcy temu ktoś zginął od ukąszenia takiego węża. I miał to być rezultat jakichś porachunków.

Chyłka przypuszczała, że trudniej o bardziej wymowne ostrzeżenie od mundurowych.

– Poradzono nam, żebyśmy zastanowili się nad opuszczeniem Manang – ciągnął Brencz. – Uprzejmie, ale

stanowczo.

– Twierdzisz, że lokalna policja jest w to zamieszana? – odezwała się Joanna.

– W co konkretnie?

– Dobre pytanie – odburknęła.

Miała świadomość, że odpowiedzi nie pozna ani dzięki McVayowi, ani Julianowi. Jedyną osobą, która rozumiała, co się dzieje, była Klara. Tyle że w normalnych okolicznościach nie sposób było czegokolwiek z niej wyciągnąć.

Na sali sądowej będzie inaczej. Tam Chyłka mogła zmusić ją do mówienia. I nie tylko ona. Problem polegał na tym, że jeśli Kabelis się pogrąży, będzie to oznaczało również wyrok na Darię.

4

Sąd Okręgowy w Warszawie, al. Solidarności

Dziwnie wchodziło się Kordianowi do gmachu sądowego, jeśli nie minął po drodze pani Marii. Osiemdziesięciotrzylatka od przeszło dekady rozdawała tutaj ulotki jednej z kancelarii, dzień w dzień, pogoda czy niepogoda, od ósmej do piętnastej. Z pewnością go nie kojarzyła, ale dla Oryńskiego krótkie skinienie głową od niej było tradycją, przesądem czy może nawet szczęśliwym rytuałem rodem z piłkarskiej szatni przed meczem.

Na sali zajął miejsce obok Chyłki i Klary, a po prawej stronie miał stół sędziowski, za którym za moment miało zasiąść pięcioro orzekających. Naprzeciwko obrońców i oskarżonej znajdował się Olgierd Paderborn.

Fakt, że to właśnie on skierował akt oskarżenia, był wystarczająco wymowny dla wszystkich, którzy znali się na rzeczy. Od dawna tajemnicą poliszynela było, że Olgierd bierze tylko te sprawy, co do których ma pewność wygranej.

– Proszę wstać, Sąd idzie – odezwała się protokolantka.

Wszyscy kornie się podnieśli, odczekali, aż sędziowie i ławnicy zasiądą na swoich miejscach, i dopiero usiedli. Chyłka położyła dłonie na blacie. Nie miała już bandaży, ale nawet z oddali widać było, co spotkało ją w górach.

Paznokci nie malowała, nie musiała. Równie ciemne miała opuszki palców. Właściwie całe ich końcówki sprawiały wrażenie, jakby obumarły i niebawem miały odpaść. Na

szczęście był to jedynie efekt wizualny – w rzeczywistości wszystko powoli wracało do normy.

Przewodniczący zerknął na jej dłonie, a potem powiódł wzrokiem po publiczności. Sala pękała w szwach, ale Arkadiusz Szwed zdawał się tym zupełnie nieporuszony. Krótko ostrzyżony, przystojny młody mężczyzna wyglądał, jakby nie dostrzegał nikogo poza sobą.

– Sąd sprawdzi teraz listę obecności – odezwał się pewnym, mocnym głosem.

Kiedy zaczął odczytywać nazwiska, a kolejne osoby podnosiły się i potwierdzały stawiennictwo, Kordian miał wrażenie, że sędzia robił to już setki, może tysiące razy. Najwyraźniej potrafił całkiem nieźle stwarzać pozory.

– Oskarżona niech wstanie – polecił mechanicznie Szwed, kiedy sprawdził całą listę.

Kabelis podniosła się, a potem zaczęła odpowiadać na krótkie pytania, które brzmiały właściwie bardziej jak żołnierskie komendy. Imiona rodziców. Nazwisko matki i ojca. Data i miejsce urodzenia. Adres zamieszkania. Miejsce pracy.

– Oskarżona była karana? – ciągnął litanię Szwed.

– Nie, Wysoki Sądzie.

– Oskarżona niech usiądzie.

Klara wykonała polecenie, a mięśnie na jej twarzy nawet nie drgnęły. Obrońcy przygotowali ją na to, że będzie miała do czynienia z młodym, butnym przewodniczącym, który cierpi na chorobę łańcuchową.

– Panie prokuratorze – zwrócił się do Paderborna. – Wysłuchamy teraz aktu oskarżenia.

Wszystko to wydawało się Oryńskiemu tak teatralne, że nawet niegdysiejsze przemówienia Anny Marii Wesołowskiej na antenie TVN-u jawiły się jako dość naturalne.

W mowie Olgierda obyło się bez niespodzianek. Prokuratura oskarżała Klarę o zbrodnię z artykułu sto czterdziestego ósmego paragrafu pierwszego Kodeksu karnego. Zabójstwo.

Przez chwilę Paderborn kreślił ogólne okoliczności, które miały usprawiedliwiać taką kwalifikację prawną, ale pilnował się, by nie mówić za długo. Wszystko to stanowiło jedynie potwierdzenie pogłosek i plotek, które od długiego czasu krążyły w mediach.

Przynajmniej do momentu, gdy Olgierd przeszedł do szczegółów. Oskarżył bowiem Kabelis o zabójstwo nie tylko Nalikowskiego, ale także Drobnego.

Słysząc to, Kordian nachylił się do Chyłki.

– Co on odstawia? – szepnął.

– Nie mam pojęcia.

Oryński miał zadać kolejne pytanie, ale powstrzymał się, widząc krótkie, karcące spojrzenie młodego sędziego.

To, co robił Paderborn, wydawało się bez sensu. Jeśli chciał wykorzystać zeznania Drobniaka, które ten złożył Nepalczykom po rzekomym zejściu z Annapurny, nie mógł jednocześnie uznać, że Klara odebrała mu życie.

Kładło to już na samym początku całą strategię procesową Olgierda.

– Padre wystawił nas rufą do wiatru – rzuciła cicho Joanna. – Ma coś więcej.

– Ale co?

Kolejne ostrzegawcze spojrzenie sprawiło, że dwoje prawników zamilkło.

Paderborn skończył referować treść aktu oskarżenia, a potem sam zerknął na nich przelotnie. W jego oczach widać było wyraźną satysfakcję i Kordian odniósł wrażenie, że prokurator długo czekał, by wreszcie ją okazać.

Mając przeciwko sobie właśnie jego, być może powinni się tego spodziewać. Wydawało im się, że wiedzą tyle, ile Olgierd, ale ten właściwie słynął z umiejętności wymanewrowania obrońców na ostatniej prostej.

Oryński obawiał się, że i tym razem do tego doszło.

– Oskarżona rozumie treść aktu oskarżenia? – spytał Szwed.

– Tak – odparła Kabelis.

– Proszę wstawać, kiedy odnosi się pani do Sądu.

Klara podniosła się powoli i nie wyglądała, jakby miała zamiar przepraszać za swoje procesowe *faux pas*.

– Więc? – burknął sędzia.

– Rozumiem treść.

– Oskarżona przyznaje się do zarzucanych czynów?

– Nie.

– Oskarżona zamierza składać wyjaśnienia?

– Tak – potwierdziła stanowczo Klara, a potem spojrzała na Chyłkę. Ta pokiwała głową, jakby to mogło dodać alpinistce otuchy.

– W takim razie proszę bardzo – odparł Szwed, a potem poprawił łańcuch ruchem tak nonszalanckim, że skojarzył się Oryńskiemu z czarnoskórymi raperami.

Kabelis wyprostowała się, patrząc sędziemu prosto w oczy. Ignorowała zarówno jego zastępcę, jak i trzech ławników. Wydawało się to całkiem słuszne, bo przy tak mocnej osobowości nawet brak doświadczenia nie przeszkodzi Szwedowi w pokierowaniu pracami całego zespołu po swojej myśli.

– Wysoki Sądzie – podjęła Klara. – Ze wszystkiego, co znajduje się w akcie oskarżenia, prawdą jest tylko to, że zorganizowaliśmy wyprawę na Annapurnę.

Mówiła z przesadnym formalizmem i stanowczo za dużą sztucznością. Przygotowując ją do procesu, starali się wbić jej

do głowy, by zachowywała się naturalnie, ale ostatecznie w tych okolicznościach okazało się to zwyczajnie niemożliwe.

Nawet dla niewinnej osoby wizyta w sądzie była jak przejście przez wyjątkowo skrupulatną kontrolę bezpieczeństwa na lotnisku. Jak zatrzymanie przez drogówkę, kiedy poprzedniego wieczoru wypiło się kilka piw.

– Opuściliśmy Manang w trójkę – opisywała sytuację Kabelis. – Żadne z nas tam się nie zatrzymało, a jedyną osobą, która potem wróciła do wioski, byłam ja. Jarek Nalikowski i Maciek Drobny zostali na Annapurnie. Ostatnim razem, kiedy ich widziałam, znajdowali się w jamie lodowej na wysokości około sześciu tysięcy metrów. Byli w stanie, który uniemożliwiał im zejście, mieli objawy zaawansowanej deterioracji organizmu.

Na moment zrobiła pauzę. Na tym etapie miała nie zagłębiać się w szczegóły choroby wysokościowej – perorować na ten temat mieli powołani biegli, choć po wyprawie Chyłki właściwie wszyscy uczestnicy postępowania mieli jako takie pojęcie na ten temat. Kompendium wiedzy, jakie w ich umysłach zbudowały media, było nie do przecenienia.

– Żaden z nich nie był w stanie poruszać się o własnych siłach – dodała Kabelis. – A ja musiałam schodzić, by ratować własne życie. Nie ma możliwości, by którykolwiek z nich znalazł się potem w Manang i złożył zeznania, o jakich mówił prokurator.

Paderborn właściwie o nich nie wspominał, co było dość niepokojące, ale obrońcy nie mieli już czasu na korekty w wyjaśnieniach Klary.

Sędzia dopytywał jeszcze przez chwilę, chcąc wiedzieć, jak wyglądało jej zejście z góry i gdzie potem udała się Kabelis. Obraz, jaki się z tego wszystkiego układał, był zniekształcony i dziurawy.

Klara także cierpiała na objawy choroby wysokościowej, miała halucynacje, nie była pewna, co tak naprawdę widziała, a co tylko jej się przywidziało. Duże dziury w pamięci uniemożliwiały dokładne zreferowanie tego, co wydarzyło się po tym, jak znalazła się u podnóża góry.

– Oskarżona skierowała się potem ku granicy – zauważył Szwed. – Dlaczego?

– Nie myślałam logicznie.

– Ale jakiś powód oskarżonej przyświecał?

– Bałam się konsekwencji.

– Czego?

– Zostawienia Jarka i Drobniaka na Annapurnie – odparła bez emocji, wciąż wpatrując się w oczy Szweda. – Musiałam zareagować instynktownie. Kilka lat temu śledziłam sprawę Bieleckiego i Małka, jak każdy. Pamiętałam krytykę, ostracyzm, doniesienia do prokuratury i całe to… to znaczy wszystko, co się wtedy działo. Decyzja o ucieczce musiała być instynktowna.

Kordianowi przeszło przez myśl, że przed tym, jak Chyłka wybrała się na szaleńczą wyprawę, takie słowa zabrzmiałyby niewiarygodnie. Po niej jednak sytuacja się zmieniła. Na sali sądowej prawdopodobnie każdy znał szczegóły jej eskapady i rozumiał, jak umowna staje się równowaga psychiczna w takich sytuacjach.

Każdy – z wyjątkiem Arkadiusza Szweda. Sędzia jako jedyny sprawiał wrażenie, jakby zmuszono go do wysłuchiwania wierutnych kłamstw.

– Więc oskarżona nie pamięta momentu zatrzymania przez nepalskie służby?

– Pamiętam.

– Przypominam, że wówczas oskarżona przyznała się do winy.

Klara pokręciła głową.

– Byłam w szoku. Przyznałabym się wtedy do wszystkiego, a Nepalczycy naciskali. W dodatku nikt tam nie mówił po polsku, a ja nie znam innego języka. Całe to rzekome przyznanie się odbywało się zasadniczo na migi.

Szwed uniósł błagalnie wzrok.

– Oskarżona chce powiedzieć, że przyznała się do zabójstwa dwóch osób poprzez gestykulację?

– Tak, właśnie to chcę powiedzieć.

– Oskarżona słyszy, jak to brzmi?

– Absurdalnie.

– Otóż to.

– Dlatego że to była absurdalna sytuacja.

Przewodniczący nagle spoważniał jeszcze bardziej. Skrzyżował ręce na stole sędziowskim i pochylił się lekko.

– Oskarżona pozwoli, że to już oceni Sąd.

Upewnił się jeszcze, że to wszystko, co Klara ma do przekazania, a potem skwitował całą jej wypowiedź wymownym westchnięciem. Nie poszło zbyt dobrze, ale Chyłka ani Oryński na tym etapie nie spodziewali się cudów. Szczególnie po tym, od czego zaczął Paderborn.

Szwed skupił wzrok na Olgierdzie.

– Pan prokurator ma jakieś pytania?

– Owszem.

Klara wyraźnie się spięła.

– Przede wszystkim chciałbym zapytać, czy ktoś widział oskarżoną po tym, jak zeszła z góry.

– Nie wiem. Przypuszczam, że tak.

– To byłoby logiczne, prawda? – odparł Paderborn. – Chyba że miałaby oskarżona powód, by się ukrywać?

Kabelis cicho potwierdziła.

– Mimo to nie udało się znaleźć nikogo, kto potwierdziłby, że oskarżona samotnie zeszła do jednej z wiosek, a potem skierowała się w stronę granicy. Dlaczego?

– Wysoki Sądzie – odezwała się Chyłka. – Wnoszę o uchylenie pytania.

Szwed spojrzał na nią niechętnie.

– Na podstawie?

– Pytanie jest niestosowne i sugeruje, że moja klientka dopuściła się jakiejś wyjątkowo przebiegłej, makiawelicznej manipulacji. Pomijam już fakt, że nie jest wszechwiedząca, nie może wiedzieć, czy jakiś Nepalczyk ją widział, czy nie.

Przez moment panowało milczenie, które w końcu przerwał przewodniczący, odmawiając uchylenia pytania. Podyktował informację o tym protokolantce, a potem posłał ponaglające spojrzenie Kabelis.

Joanna zaklęła na tyle cicho, by usłyszał to jedynie Oryński.

– A więc? – dodał Szwed. – Dlaczego nikt nie widział oskarżonej? Rozumiem, że zarówno prokuratura, jak i obrona zbierały na miejscu zeznania świadków?

To pytanie też należałoby uchylić, przeszło przez myśl Kordianowi.

– Nie wiem – odparła Klara.

Sędzia skinął ręką na prokuratora, by ten kontynuował. Paderborn jednak trwał w bezruchu z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Była to jego firmowa poza, uwydatniająca muskulaturę będącą obiektem zazdrości wielu prawników. To właśnie ona, w połączeniu z kwadratową szczęką i wydatnymi kośćmi policzkowymi, pozwalała mu nosić fryzurę na Kurta Cobaina, która innym nie uszłaby na sucho. Ludzie tacy jak Paderborn we wszystkim wyglądali jednak dobrze – szczególnie gdy czuli się pewni siebie. Tak jak on teraz.

– Czy wie pani o jakichkolwiek świadkach, którzy mogliby potwierdzić pani wersję? – spytał w końcu.

– Trudno mi spekulować…

– Czy ktokolwiek, gdziekolwiek, widział panią po zejściu z Annapurny?

– Naprawdę nie wiem.

– Czy ktokolwiek widział, jak pani wchodziła? Pytam o właściwą trasę podejściową.

Wzruszyła ramionami, wyraźnie czując się przyparta do muru.

– Oskarżona odpowie – rzucił Szwed.

– Nie wiem.

Paderborn zmrużył oczy.

– Nie wie pani, czy kogokolwiek spotkali państwo podczas trekkingu do obozu? – spytał.

Chyłka się podniosła.

– Wysoki Sądzie, wnoszę o uchylenie także tego pytania. Nie ma sensu dopytywać oskarżonej o to, czego nie wie lub nie pamięta. Bez względu na to, ile razy prokurator to zrobi, nie można się spodziewać…

– Oskarżona odpowie – uciął sędzia.

Joanna opadła ciężko na krzesło obok Oryńskiego, ale tym razem powstrzymała się przed nawet cichym komentarzem.

– Nie mijali państwo żadnych innych grup? – podsunął Olgierd.

– Nie wiem.

– Nie jedli państwo w żadnej z wiosek?

– Nie pamiętam.

– Nie korzystali państwo z usług tragarzy?

Klara uciekła wzrokiem w kierunku obrońców, ale żadne z nich nie miało jak rzucić jej koła ratunkowego. Z każdą

kolejną wymijającą odpowiedzią pogrążała się coraz bardziej, była jednak zdana wyłącznie na siebie.

– Naprawdę nie pamiętam – powtórzyła. – Wszystko, co się wtedy działo, jest jak… sama nie wiem. Jak wspomnienie jakiegoś filmu oglądanego w dzieciństwie. Tak dawno, że nie pamięta się nawet, czy dane obrazy w pamięci nie pochodzą z jakiegoś innego.

Paderborn pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Oczywiście – przyznał. – I dla nas wszystkich jest jasne, że niełatwo jest wracać do tamtych wydarzeń. Proszę pozwolić, że zadam jeszcze tylko kilka pytań.

Klara znów się spięła, co potwierdzało, że jej instynkt samozachowawczy działa bez zarzutu i wyczuwa, że uprzejmość ze strony oskarżyciela nie oznacza niczego dobrego.

– Po powrocie poddała się pani badaniom, prawda?

– Tak.

– Także psychologicznym?

– Oczywiście.

– Zdiagnozowano u pani amnezję?

– Nie.

– Jakiekolwiek zaburzenia związane z pamięcią?

– Nie.

Olgierd pozwolił sobie na uśmiech na tyle lekki, by świadczył o wyraźnej satysfakcji, ale nie o poczuciu wyższości.

– Dziękuję, nie mam więcej pytań – zakończył.

Po nim przyszła kolej Chyłki, która starała się obalić wszystkie zarzuty pod adresem Kabelis, zarówno te wypowiedziane, jak i dorozumiane. Przez dobre pół godziny zadawała pytania mające wykazać, że Klara znajdowała się na skraju wytrzymałości i ma pełne prawo nie pamiętać, co działo się z nią w czasie ataku na Annapurnę i zejścia z góry.

Kiedy zaczęły omawiać ekstremalne warunki, cała rozmowa zaczęła przywodzić na myśl konwersację między dwoma ocalałymi z Holocaustu. Nie wyszło to najgorzej, uznał Oryński, ale koniec końców nie udało się zetrzeć wrażenia, które stworzył Paderborn.

Historia Kabelis po prostu się nie kleiła.

Nepalczycy widzieli Drobniaka po tym, jak rzekomo zginął na Annapurnie. On sam miał powiedzieć im, że Klara uderzyła Nalikowskiego czekanem, powodując natychmiastową śmierć wspinacza.

Potwierdzały to zarówno ustalenia prokuratury, jak i informacje, do których dotarli Julian i McVay w Nepalu.

Wszystko się sypało. A kiedy prokurator wezwał na świadka konsula z Katmandu, Oryński zrozumiał, że jego zeznanie będzie gwoździem do trumny.

Tak się stało, gdy tylko dyplomata zeznał, że w Manang zaginęła pewna Nepalka, ostatnim razem widziana w towarzystwie Macieja Drobniaka.

Nie ulegało wątpliwości, że była jedną z *kamalari*, dziewcząt wykorzystywanych w nepalskich domostwach jako niewolnice. Równie jasne dla wszystkich stało się to, że Polak chciał ją uratować.

5

Sala rozpraw, Sąd Okręgowy w Warszawie

Samo zapowiedzenie, kto zajmie miejsce za barierką dla świadków, było druzgocące dla Chyłki i Oryńskiego. Olgierd Paderborn widział to wyraźnie, bo oboje natychmiast uświadomili sobie, jak duży mają problem.

Sędzia dopuścił dowód z zeznań świadka bez długich namów. Paderbornowi nieraz zdarzało się wzywać osoby, o których obecności nawet przewodniczący nie wiedzieli, zresztą nie tylko jemu.

Częściej sięgali po to obrońcy – jak w głośnym przypadku śmiertelnego potrącenia szesnastolatki na Targówku. W tamtej sprawie wszystko było niemal zamknięte, prokurator już miał wygłaszać mowę końcową, kiedy pełnomocniczka rodziny zmarłej złożyła wniosek o przesłuchanie jeszcze jednego świadka. Ze względu na ochronę tożsamości nie podała nawet, kim jest – mimo to sąd dał zielone światło. Po tym sprawa obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni, serwując wszystkim niespodziewany finał.

Paderborn nie miał zamiaru powielać tego schematu. Przeciwnie, uznał, że im wcześniej wyprowadzi nokautujące uderzenie, tym bardziej oszołomiony będzie przeciwnik. Nie było sensu przeciągać całego procesu, kiedy miało się tak mocne karty.

Zanim Olgierd wezwał Sandipa Maharjana, poradził mu, by on także załatwił wszystko jak najszybciej. Teraz, kiedy

Paderborn słuchał jego zeznań, musiał przyznać, że konsul stanął na wysokości zadania.

Maharjan zaczął od tego, że Nepalczycy odnaleźli film, który w Manang i innych wioskach nakręciła Klara. Na niektórych dokumentowała zwyczaj *chhapaudi* – zamykania kobiet w chatach menstruacyjnych na czas miesiączki. Na innych pokazywała *kamalari* – nielegalne niewolnice, głównie młode dziewczyny, które musiały usługiwać gospodarzom domostw.

To właśnie jedną z nich upodobał sobie Maciej Drobniak. Na nagraniu wyraźnie było widać, że Polak nie tylko stara się wyciągnąć od niej, w jakich warunkach musi żyć, ale także oferuje jej pomoc.

Dziewczyna pojawiała się na kilku innych filmach. Miała inne ubrania, pogoda w danych materiałach również się różniła. Sprawiało to wrażenie, jakby troje polskich alpinistów zostało w tej konkretnej wiosce na dłużej.

Drobny na każdym kolejnym nagraniu zdawał się być z dziewczyną w coraz bardziej zażyłych stosunkach. Na ostatnim filmie widać było, jak ją obejmuje, a ona się w niego wtula.

– Nie ma więcej nagrań? – spytał świadka Paderborn.

Sandip pokręcił głową z lekkim skrępowaniem. Nie czuł się tutaj dobrze, choć na propozycję przyjazdu do reprezentowanego przez siebie kraju przystał od razu. Konsul honorowy mówił po polsku dość dobrze, miał zresztą polską żonę. Akcent pozostawiał wiele do życzenia, ale Paderborn odnosił wrażenie, że gramatyki mogliby uczyć się od niego niektórzy rodowici Polacy.

– Niestety nie – przyznał Maharjan. – Albo zostały skasowane, albo nie nagrano nic więcej.

– Śledczy w Nepalu tego nie sprawdzili?

– Sprzęt jest jeszcze badany. To niestety nie jest dla nich priorytetowa sprawa.

Oczywiście, że nie, uznał w duchu Olgierd. Każdy na ich miejscu najchętniej zamiótłby tę sprawę pod dywan, a gdyby akurat nie miał pod ręką miotły, robiłby wszystko, by choćby przykryć to nawałem innych spraw.

Paderborn przypuszczał, że właśnie z tego względu nigdy nie dostaną urządzenia. Nie było mu jednak potrzebne – w zupełności wystarczyły przesłane przez Nepalczyków nagrania. Nie były jednak dowodem. Stanowiły jedynie wstęp do tego, co miał zamiar powiedzieć Sandip.

Przygotowując się do zadania kluczowych pytań, Olgierd spojrzał na Chyłkę. Pilnowała się, nie dając po sobie poznać, że z każdym kolejnym słowem Maharjana jej linia obrony właściwie przestawała istnieć.

Napracowali się z Oryńskim, świetnie przygotowali całą sprawę. Dzięki eskapadzie do Nepalu obrócili narrację w mediach na swoją korzyść, a Klara ze znienawidzonej oportunistki, która zerwała braterstwo liny, stała się obiektem współczucia i niedoszłą ofiarą Annapurny. Alpinistką, która w sytuacji bezpośredniego zagrożenia życia zrobiła wszystko, co mogła, by się ratować.

Gdyby ta dwójka prawników miała bronić Kabelis przed zarzutem nieudzielenia pomocy albo nawet nieumyślnego spowodowania śmierci, nie miałaby z tym problemu. Chyłka i Oryński bez trudu wykazaliby, że kontratyp stanu wyższej konieczności ma zastosowanie. Klara nie przesiedziałaby w więzieniu ani chwili.

Tyle że to wszystko, co opisywała Kabelis, było jedynie wydmuszką. Nie miało nic wspólnego z prawdą, którą Paderborn odkrył po przesłuchaniu konsula.

– Czy może nam pan powiedzieć, co ustalili nepalscy śledczy?

– Oczywiście. Dostałem zgodę od tamtejszych organów ścigania, którym bardzo zależy na wyjaśnieniu wszystkich okoliczności i przekazaniu polskim władzom wszelkich dowodów.

Recytował te formułki z nieco zbyt dużym formalizmem, ale trudno było wymagać od obcokrajowca, by grał na nieznanej scenie jak najlepszy aktor.

– O jakich dowodach mowa? – spytał Olgierd.

– Przede wszystkim o zeznaniach świadka. Jednego z mieszkańców Manang.

Paderborn odwrócił się do Chyłki, która wciąż go ignorowała, skupiając wzrok na konsulu.

– Co zeznał ten świadek?

Sandip pochylił się trochę, jakby miał do przekazania naprawdę istotną, dotychczas niedostępną i nieznaną Olgierdowi informację.

– Wszystko. Wyjawił całą prawdę.

Kilka osób na widowni się uśmiechnęło, członkowie składu orzekającego trwali jednak w zupełnym bezruchu.

– To znaczy? – spytał Paderborn.

– Że tych troje wspinaczy nigdy nie wyszło w góry.

Olgierd odczekał moment, by ta uwaga wybrzmiała z odpowiednią mocą.

– Jak to? – odezwał się.

– W trakcie trekkingu mieli zmienić plan – odparł ciężko Maharjan. – Zrezygnowali po tym, jak zobaczyli chaty menstruacyjne i zaczęli interesować się innymi przejawami tego, co uznali za… cóż, gorszące. Zaczęli badać także inne kwestie.

– To znaczy? Niewolnictwo?

– Tak właśnie – przyznał z pewnym zażenowaniem Sandip. – Uznali, że ważniejsze od nowej trasy na Annapurnie jest pokazanie światu, co przeżywają *kamalari*. Zaczęli więc kręcić filmy, rozpytywać wśród miejscowych i tak dalej. Uświadomili sobie, że na policję ani lokalnych dziennikarzy nie mają co liczyć, więc postanowili wziąć sprawy w swoje ręce.

Paderborn zmrużył oczy.

– Co stało się potem?

– Miejscowym nie podobało się to, co robiła trójka Polaków. Sytuacja stawała się coraz bardziej napięta, a Klara Kabelis postanowiła w końcu, że należy odpuścić.

– Nalikowski i Drobniak się z tym nie zgodzili?

Chyłka nagle się podniosła i rozłożyła ręce. Poczerniałe końcówki palców były wyraźnie widoczne, choć tym razem bynajmniej ich nie eksponowała. Na wszelkie teatrzyki było już stanowczo za późno.

– Wysoki Sądzie – powiedziała, błagalnie unosząc wzrok. – Wnoszę o uchylenie pytania.

– Ponieważ? – mruknął Szwed.

– Skąd świadek ma wiedzieć, na co godzili się lub nie…

– Świadek jest konsulem, pracownikiem dyplomatycznym, który relacjonuje ustalenia nepalskich służb.

– Tak, ale…

– Proszę usiąść, pani mecenas.

Joanna niechętnie wykonała polecenie, a potem rzuciła coś do Oryńskiego. Paderborn wyczytał z ruchu ust, że „te jebane fale nie pomagają”, ale niespecjalnie wiedział, do czego ta uwaga się odnosi.

Popatrzył na konsula, a ten porozumiewawczo skinął głową.

– Towarzysze pani Kabelis się z nią nie zgodzili – podjął. – Uważali, że nie mogą tak zostawić tej sprawy.

– Jak się do tego odniosła?

– Utwierdziło ją to w przekonaniu, że to ona ma rację. Zaczęła coraz bardziej naciskać, by atakowali górę i wytyczyli nową drogę na szczyt. Panowie jednak wciąż odmawiali, a ostatecznie poradzili jej, by szła sama.

– Zrobiła to?

– Tego nie ustalono, ale moim zdaniem nie – odparł Sandip i rozsunął nieco ręce na barierce. – Wiadomo jednak, że Klara Kabelis miała taki zamiar. Zażądała od towarzyszy całości kwoty przeznaczonej na wyprawę, twierdząc, że jej część nie pokryje kosztów. Odmówili.

– Jak zareagowała?

– Złością. Z relacji mieszkańców wynika, że coś w niej pękło, kiedy uświadomiła sobie, że nie osiągnie swojego życiowego celu.

Olgierd nie musiał ciągnąć tego tematu. Kiedy wieszano na niej psy w mediach, nie omieszkiwano wspomnieć, że Kabelis miała kompleks Annapurny. Jej marzeniem było wytyczenie nowej drogi, rzekomo pałała czystą nienawiścią wobec wszystkich tych, którzy ją ubiegli.

– Pewnej nocy doszło do żywiołowej kłótni – kontynuował Sandip. – Miała stracić nad sobą panowanie.

Paderborn zerknął na Joannę, a ta prychnęła cicho.

– Nie ma naocznych świadków tego, co się wtedy wydarzyło, ale służby zebrały dowody – dorzucił Maharjan. – Dość przekonujące.

– Jakie?

– Ciała obydwu wspinaczy.

Po sali przeszedł cichy szmer.

– Jarosław Nalikowski został odnaleziony z raną głowy. Zadaną czekanem, na którym znaleziono odciski palców pani Kabelis.

– A Maciej Drobniak?

– Jego ciało zostało odnalezione przy zwłokach pana Nalikowskiego, ale według śledczych zginął później.

– Skąd ten wniosek?

– Stąd, że jeden z mieszkańców zeznał, że z nim rozmawiał. I że pan Drobniak wyjawił mu, co się stało. W zamian tamten Nepalczyk miał pomóc mu wydostać z wioski dziewczynę, o której wcześniej mówiłem. Do tego już jednak nie doszło.

Chyłka skwitowała relację kolejnym cichym parsknięciem. Sędzia z pewnością tego nie odnotował, inaczej niechybnie by zareagował. Tymczasem Szwed skupiał się wyłącznie na zeznaniach konsula.

– Przyznam, że wydaje mi się to podejrzane – odezwał się Paderborn, uprzedzając zawczasu najważniejszą wątpliwość, którą mogłaby podnieść Joanna. – Nawet jeśli oskarżona była owładnięta rządzą zdobycia góry, nawet jeśli doszło do wyjątkowo ostrej kłótni… pańskim zdaniem naprawdę mogłaby odebrać życie swojemu towarzyszowi?

Sandip na moment zamknął oczy.

– Śledczych również to dziwiło.

W jego głosie pobrzmiewało wyraźne „ale". Paderborn wiedział, do czego się sprowadzało, musiał jednak rozegrać to odpowiednio.

– Zbadali wszystkie wydarzenia tamtej nocy i odkryli rzecz niepokojącą – ciągnął dyplomata. – Mieszkańcy najwyraźniej nie potrafili dłużej tego tolerować…

– Czego?

– Ingerowania w ich sprawy, prowadzenia samozwańczego śledztwa, narażania ich na odpowiedzialność i tak dalej…

– Co konkretnie ma pan na myśli?

– Niełatwo mi o tym mówić. W końcu to moi pobratymcy.

Olgierd pokiwał głową ze współczuciem, mimo że deklaracja Maharjana nie zabrzmiała zbyt wiarygodnie.

– Jak pan być może wie, podczas trekkingu uczestnicy zazwyczaj stołują się w gospodarskich kuchniach – kontynuował. – Tak też było w tym wypadku. I obawiam się, że w wieczór poprzedzający tę pechową noc któryś z miejscowych dodał do przygotowywanych potraw środki odurzające.

– Psychoaktywne?

– Tak, tak. Niestety takie rzeczy się zdarzają, donosił o tym jakiś czas temu „The Himalayan Times", branża turystyczna była zaniepokojona. Głównie ma to jednak miejsce w większych skupiskach ludności i jest wymierzone w turystów, których szajki bandytów zamierzają okraść.

Wedle ustaleń Paderborna rzeczywiście od czasu do czasu dochodziło do takich zdarzeń. Nie były normą w Nepalu, ale fakt, że wystarczyło przeszukać archiwa pierwszej lepszej gazety, by trafić na stosowne artykuły, dowodził, że nie stanowiły także rzadkości.

– Śledczy spekulują, że te środki odurzyły całą trójkę i… jak by to ująć… wytrąciły ich z równowagi.

Było to delikatnie powiedziane, ale Olgierd nie musiał drążyć, by osiągnąć pożądany efekt.

– Jak silne były to środki?

– Nie na tyle, żeby zwalić ich z nóg, co jasne.

– Oczywiście.

– Ale na tyle, żeby… cóż, podsycić emocje. Tak to chyba najlepiej można ująć.

Było to wprost wymarzone zeznanie. Potwierdzenie słów konsula było formalnością, Nepalczycy z pewnością zrobili toksykologię i wiedzieli, o czym mówią. A to oznaczało, że Chyłka nie będzie mogła bronić klientki niepoczytalnością.

Klara była skreślona. Nie groził jej najwyższy wymiar kary, bo sąd z pewnością uzna odurzenie za okoliczność łagodzącą. Odpowie jednak za to, co zrobiła. I Paderborn przypuszczał, że

zanim do tego dojdzie, poznają wszystkie inne szczegóły sprawy.

Fakt, że zabiła swoich towarzyszy, był niepodważalny. Potwierdzały to kolejne słowa, które Olgierd wyciągał z konsula. Na miejscu znaleziono DNA Kabelis, na czekanie wyłącznie jej odciski palców, a oprócz tego byli świadkowie, którzy potwierdzali kłótnię. Kropkę nad i stawiały dwa ciała. Dwie ofiary.

Nie wszystkie motywacje Klary były dla Paderborna jasne. Ale nie było jego zadaniem, by je do końca rozumieć. On musiał jedynie wykazać, że Kabelis zrobiła to, o co ją oskarżał.

I właśnie to osiągnął.

6

Piazza Bar & Grill, Hilton

Chyłka wyszła na letni taras jednej z restauracji w Hiltonie przy Grzybowskiej i rozejrzała się uważnie. Zjawiła się o wyznaczonej porze, niecałą godzinę po zakończeniu pierwszej rozprawy. W esemesie, którego dostała, stalker stawiał sprawę jasno – miała przyjść tutaj sama.

Nie oznaczało to, że Oryński nie mógł czekać w samochodzie – co też ostatecznie zrobił, zgłosiwszy chyba wszystkie możliwe obiekcje. Decyzja okazała się słuszna, bo na letnim tarasie Hiltona nie sposób byłoby wmieszać się w tłum – oprócz Joanny znajdowało się tu tylko kilka osób.

W tym jedna, której Chyłka się nie spodziewała.

Mężczyzna siedział przy jednym ze stolików na końcu tarasu, skąd rozciągał się widok na obudowany wieżowcami skrawek zieleni. Nie zorientował się, że Joanna wbiła w niego wzrok, a towarzyszące mu dwie kobiety zdawały się tak zaaferowane tym, co miał do powiedzenia, że również im to umknęło.

Przynajmniej do momentu, kiedy Chyłka stanęła przy stole. Popatrzyła z góry na Arkadiusza Szweda, starając się ocenić, czy to możliwe, że to on ją tutaj ściągnął.

Ledwo sędzia ją zauważył, wzdrygnął się.

– Co pani tu robi? – spytał.

Rozbawienie na twarzach dwóch kobiet na chwilę zastygło, a potem nagle się rozpłynęło. Żadna z nich nie sprawiała

wrażenia, jakby kojarzyła Chyłkę, ale napięcie, które zawisło w powietrzu, obydwie natychmiast wyczuły.

– To ja chciałam o to zapytać pana.

– Zwariowała pani?

– Dawno temu – przyznała, a potem westchnęła. – A potem tak mi już zostało.

Szwed rozejrzał się nerwowo.

– Nie powinno pani tutaj być.

– Zgadzam się.

– Więc…

– A jednak z jakiegoś powodu jestem.

Chyłka miała wrażenie, że z przesłoniętymi oczami tańczy do muzyki, której nie zna. Nie miała pojęcia, czy Szwed jedynie udaje, czy rzeczywiście jest tak zdziwiony całą sytuacją, jak ona.

– Widzę – odparł wrogim tonem. – Ale nadal nie rozumiem, z jakiego.

Zanim napomknęła o esemesie, ugryzła się w język. To musiała być ustawka, sędzia nie wyglądał na kogoś, kto potrafi tak dobrze zagrać. Ale co stalker miał na celu, ściągając ją tutaj? Podejrzenie o nagabywanie przewodniczącego poza salą rozpraw z pewnością nie mogło przysłużyć się sprawie Kabelis.

– Chyba zaszła jakaś pomyłka – przyznała Joanna. – Albo któryś z kolegów wyciął mi wyjątkowo perfidny numer.

Szwed spojrzał na swoje towarzyszki, a potem nerwowo odchrząknął.

– Pójdę już – oznajmiła Chyłka. – Nieswojo się czuję w takich okolicznościach.

Nikt się nie odezwał, a Joanna wskazała na sałatki i ryby, w trakcie jedzenia których była trójka ludzi.

– Mam na myśli sytuacje, kiedy na stole nie ma żadnego mięsa.

Zanim sędzia zdążył odpowiedzieć, Chyłka już się odwróciła. Poirytowana ruszyła z powrotem do zaparkowanej nieopodal iks piątki i z oddali dostrzegła zdziwiony wyraz twarzy Zordona.

Po tym, jak zajęła miejsce za kierownicą, przez chwilę oboje milczeli.

– Twoje bardotkowe fale naprawdę urokliwie kołyszą się na wietrze – zauważył Oryński.

– Zamknij się.

– Sama prawda. Powiewają, jakby niosło je tchnienie seksapilu. Szczególnie kiedy żywiołowo suniesz po chodniku na pełnym wkurwie.

– Chcesz poczuć ten wkurw na twarzy?

Kordian uniósł otwartą dłoń w geście bezbronności.

– Coś poszło nie tak? – spytał.

– Tylko to, że w przybytku stworzonym przez pradziadka Paris Hilton czekał na mnie Arek Szwed.

Oryński uniósł brwi i odczekał moment z komentarzem, najwyraźniej niepewny, czy Chyłka mówi poważnie. Uruchomiła silnik, co w jakiś sposób dodało stanowczości jej słowom.

– Stalker sobie ze mnie szydzi – mruknęła, cofając z miejsca parkingowego. – Jedynym celem tego esemesa było przypomnienie mi, kto tu rządzi.

Ledwo przechodziło jej to przez gardło, ale nie mijało się z prawdą. Porywacz wciąż rozdawał karty i najwyraźniej uznał, że najwyższa pora o tym przypomnieć. Tym bardziej że musiał śledzić proces.

Doskonale wiedział, co zeznał konsul i jak druzgocące było to dla obrony. Sandip Maharjan, który przywodził Chyłce na

myśl Mandaryna z którejś odsłony *Iron Mana*, pogrzebał właściwie wszystko, co dotychczas udało jej się osiągnąć.

– Chyłka? – Głos Oryńskiego wyrwał ją z zamyślenia.

Na dobrą sprawę dopiero teraz uświadomiła sobie, gdzie jest i co robi. Najwyraźniej włączyła silnik, wycofała kawałek, a potem zupełnie się zawiesiła.

– Odjechałaś – zauważył Zordon. – Tyle że nie samochodem.

– Ano nie.

– Dobrze się czujesz?

– Nie – odparła bez wahania. – Bo żyję w świecie, w którym każdy patologiczny debil może zapomnieć założyć prezerwatywę i zrobić komuś bachora, ale żeby porządna para adoptowała dziecko, musi przejść przez urzędnicze piekło.

Odniosła wrażenie, że Kordian chciał coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili spasował.

– Nie martw się, Zordon. To jeszcze nie pora na rozmowę o dzieciach.

– Skoro tak uważasz.

– Co masz na myśli?

– Że w twoim wieku…

– Uważaj, aplikancie, bo wkraczasz na teren potocznie zwany polem minowym.

– Masz na myśli metrykę czy macierzyństwo?

– Jedno i drugie – odparła, a potem obejrzała się przez ramię, wykręciła i ruszyła Grzybowską w kierunku Saskiej Kępy. – Ale jeśli kiedyś się zdecyduję, możesz być pewien, że w grę wchodzić będzie tylko adopcja.

Zerknął na nią ukradkiem, jakby starał się stwierdzić, czy jeszcze żartuje, czy może ociera się o powagę.

– Biologiczne dziecko rodzi się w brzuchu, a adoptowane w sercu – wypaliła.

– Wygląda na to, że długo się nad tym zastanawiałaś.

– Długo to się głowiłam nad czym innym, Zordon.

– Mam się przygotować na jakąś obelgę?

Rzeczywiście był to dobry moment, by ją sformułować, ale tym razem Joanna mu odpuściła. Właściwie każdy inny będzie równie dobry.

– Nie tym razem – odparła. – Bo zastanawiam się nad tym, jak mocno oberwaliśmy w sądzie.

– Jak Jakóbiak za ten numer z Ellen.

– Kto za co?

– Poważnie? Nie oglądasz „20m2”? – spytał z niedowierzaniem. – A filmiki Arlety Witt jedziesz jeden po drugim, jakbyś…

– Do kurwy nędzy, Zordon – zestrofowała go. – Arleny, nie Arlety. Miło by ci było, gdyby ktoś przekręcał twoje imię?

Kordian przemilczał to pytanie i przez chwilę jechali w milczeniu. Chyłka skorzystała z kończącego się buspasa na Grzybowskiej, by minąć kilka samochodów i wcisnąć się między dwa z podwarszawskimi rejestracjami.

– Zeznania tego mandaryna nie mają sensu – mruknęła w końcu.

– Zauważyłem.

– Nie pałam do opalhairowej alpinistki przesadną sympatią, ale…

– Jak do każdego – wpadł jej w słowo Kordian.

– Ale nie pasuje mi na narwaną morderczynię – dokończyła Chyłka. – Nawet wziąwszy pod uwagę, że ktoś mógłby ją nafaszerować psychotropami.

– Tak to zazwyczaj jest.

– Hę?

Oryński obrócił się w jej stronę i położył dłoń na unieruchomionej lewej ręce.

– Zazwyczaj za zbrodnię stypizowaną w sto czterdziestym ósmym sądzi się ludzi, którzy nie wyglądają na zabójców – dodał. – Niepozornych małżonków, spokojnych ojców, uprzejmych sąsiadów, co do których nigdy nikt nie zgłaszał żadnych obiekcji.

Joanna mruknęła.

– Uwielbiam, jak mówisz do mnie kodeksowymi formułkami.

– Wiem – odparł.

– Jednocześnie wkurwiasz mnie, bo sugerujesz, że wersja konsula jest prawdopodobna.

– Jak każdy inny scenariusz.

– Ale?

– Nie wspomniałem o żadnym „ale".

– A jednak wisi w powietrzu jak smog nad Krakowem w wyjątkowo chłodny i bezwietrzny dzień.

Kordian z niepokojem spojrzał na samochód, który chciał włączyć się do ruchu, wyjeżdżając wprost przed nich z miejsca parkingowego. Chyłka szybko rzuciła okiem na przeciwny pas i sprawnie wyminęła auto.

– Główny problem jest taki, że *habemus corpus* – odezwał się Oryński.

Joanna zagwizdała cicho.

– Ładnie, ładnie – przyznała. – Szprechasz po łacinie dlatego, że wiesz, że mnie to rajcuje, czy uczysz się do egzaminu?

– Jedno i drugie.

– W takim razie musisz się doszkolić – mruknęła. – Bo mamy dwa ciała. A więc *habemus corpora*.

– Ale tylko jedną osobę, która wie, skąd tak naprawdę się wzięły.

– Otóż to.

Oryński spojrzał na mijany zjazd w kierunku Śródmieścia, a potem zawiesił wzrok na Chyłce.

– Więc dlaczego nie jedziemy się z nią rozmówić? – spytał.

– Bo wystarczająco wiele razy próbowaliśmy coś z niej wyciągnąć, a ona zamykała się jak Krakowskie Przedmieście podczas miesięcznic.

– Teraz sytuacja się zmieniła.

– I? Gromadzą się gdzie indziej.

– Mam na myśli to, że jesteśmy o krok od przegrania sprawy – odparł z westchnieniem Kordian. – A właściwie może nawet już przerżnęliśmy.

– Nie kracz, bo wydziergam sobie twoją laleczkę voodoo, a potem każę ci na niej usiąść.

Oryński zerknął na Joannę nierozumiejącym wzrokiem i dopiero po chwili załapał, jaki byłby efekt. Uśmiechnął się w duchu, ale kąciki ust nawet mu nie drgnęły. Mimo ustawicznych prób zrzucania ciężaru ze swoich barków Chyłka wciąż odczuwała wagę tego, o co chodziło w całej sprawie.

Krok od przegranej był również krokiem od rodzinnej tragedii. Ta być może zresztą już się rozegrała. Wprawdzie jakiś czas temu stalker zapewnił, że Daria ma się dobrze, ale na tym etapie właściwie trudno było wierzyć w cokolwiek, co im przekazywał.

To samo Oryński mógł powiedzieć o Klarze. Nie wierzył w wersję przedstawioną przez konsula, ale oczywiste dla niego było, że w Manang wydarzyło się coś, co Kabelis zachowywała dla siebie.

Myślał o tym przez całą drogę na Argentyńską, odpowiadając Chyłce jedynie półsłówkami. Wydawało mu się, że zrobili wszystko, co w ich mocy, żeby poznać odpowiedzi, tym razem jednak wszystko utknęło w martwym punkcie i nic nie wskazywało na to, by mieli ruszyć naprzód.

Było zbyt wiele niewiadomych – powód porwania, ultimatum z wybronieniem Klary, cała sprawa ze Zdunem, ciała w Nepalu…

Kordian miał wrażenie, że wszystko jest tak poplątane, że nigdy nie uda im się rozwiązać choćby jednego supła.

I może dlatego dotychczas nie pomyślał o tym, co było najbardziej oczywiste – jedynym logicznym posunięciu, jakie im pozostało.

Zachował tę myśl dla siebie, nie podzielił się nią z Chyłką. Uznał, że zrobi to dopiero, kiedy usiądą w jej salonie z nerkowcami, tequilą i grenadyną. Przy cichym, acz wyraźnie zaznaczającym swoją obecność akompaniamencie Iron Maiden Oryński przedstawi jej to, co powinni zrobić.

Zmienił zdanie, kiedy tylko weszli do mieszkania. Zatrzymał się tuż za progiem, a potem syknął ze złością.

– Co jest? – zapytała Joanna.

– Zostawiłem fajki w samochodzie.

Rzuciła mu kluczyki, a on złapał je bez trudu. Posłał Chyłce zdawkowy uśmiech, a potem odwrócił się i ruszył z powrotem do iks piątki. Ani przez moment nie musiał zastanawiać się nad tym, czy to, co postanowił, było słusznym posunięciem.

Wyjechał z garażu, a potem skierował się w stronę Mostu Łazienkowskiego. Trafił na korek i utknął w nim na parę minut. Przypuszczał, że tylko moment dzieli go od tego, by Chyłka zainteresowała się, dlaczego tak długo go nie ma.

Zadzwoniła, kiedy minął Port Czerniakowski i zjechał na Solec.

– Olałam cię w którymś momencie, Zordon? – spytała.

W jej głosie nie było ani krzty niepokoju. Przeciwnie, pytanie to brzmiało jak zarzut lub wyzwanie – co właściwie było na porządku dziennym, jeśli chodziło o Chyłkę.

– Nie, dlaczego? – odparł.

– Bo słyszałam, że z partnerami jest trochę tak jak z płatkami śniegu i moczem.

Kordian obawiał się pytać, co konkretnie ma na myśli.

– Po olaniu znikają – wyjaśniła. – Tak jak ty teraz.

– Nigdzie nie znikłem.

– Więc może łaskawie wytłumaczysz, dlaczego sama wcinam nerkowce?

– Bo wpadłem na coś.

– Najwyraźniej nie na sposób, dzięki któremu mógłbyś odzyskać zagubiony lata temu mózg.

Kordian zwolnił, by zmieścił się przed nim samochód zjeżdżający z kończącego się pasa.

– Na to nie ma już nadziei – przyznał. – Ale uznałem, że jest na coś innego.

– Co konkretnie? – burknęła Chyłka. – Co ci strzeliło do tego pustego łba?

Zanim zdążył odpowiedzieć, Joanna najwyraźniej usłyszała muzykę płynącą z systemu nagłośnienia iks piątki.

– Zaraz… – rzuciła nerwowo. – Gdzie ty jesteś?

– Gdzieś na wysokości Wilanowskiej.

– Alei?

– Nie, ulicy. Znaczy, nie jestem do końca pewien, bo drzewa zasłaniają, ale…

– Siedzisz w moim samochodzie? – ucięła. – Prowadzisz iks piątkę? Sam?

– Z najwyższą ostrożnością.

Chyłka przez moment milczała.

– Ona tego nie lubi – zauważyła. – To raz. Dwa, że… – Urwała, a on przypuszczał, że Joanna potrzebuje chwili, żeby powściągnąć nerwy.

Ostatecznie nie łudził się, że jest na to duża szansa.

– Co ty odpierdalasz, Zordon? – wypaliła.

– Doszedłem do wniosku, że jest jedna rzecz, o którą nie zapytaliśmy Klary.

– Żartujesz sobie? Przemieliliśmy ją jak fit blogerki siemię lniane.

– Niezupełnie.

Chyłka nie musiała odpowiadać, by doszedł do wniosku, że dośpiewała już sobie całą resztę tego, co miał zamiar jej przekazać.

– Zordon – jęknęła. – Nie…

– Nie ma innego wyjścia – zaoponował. – Muszę wypytać ją o Zduna.

Usłyszał, jak Joanna głośno coś przełyka, zapewne tequilę.

– Słuchaj – rzuciła. – Jeśli zająkniesz się komukolwiek na temat tego faceta, narazisz nie tylko siebie i mnie na odpowiedzialność karną, ale i Darię na znacznie poważniejszą. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Będę ostrożny.

– Dotychczas też byliśmy, niczego to nie zmieniło. Stalker dowie się, co robisz. A nie muszę ci chyba przypominać, jak kategorycznie zakazał rozmowy z kimkolwiek na jego temat.

Oryński wcisnął mocniej pedał gazu, a iks piątka zareagowała natychmiast. Uznał, że im szybciej dotrze na Tarchomin, tym mniejsza szansa, że się rozmyśli. Jeszcze przed momentem wyjawienie części informacji Kabelis wydawało się sensownym posunięciem. Z każdą chwilą jednak świadomość, że mógł narazić Darię, będzie rosła.

– W dodatku policja może mieć cię na oku – dodała Joanna. – Wspomnisz komuś o Zdunie, a zgarną ciebie i mnie za ujawnianie informacji o koronnym.

– Będę ostrożny.

– W takim razie weź ze sobą bejsbola – poradziła. – Bo równie dobrze twoje pomysły mogą się nie spodobać tym,

którzy szukają Zduna. I których poznałeś bezpośrednio przed przymusową wizytą w szpitalu.

– Poradzę sobie.

– Do cholery, Zordon…

– Ona musi mieć z nim związek – uciął stanowczo. – Większy, niż sądziliśmy.

– Może ma, ale…

– To wszystko się po prostu nie układa – ciągnął, kręcąc głową i coraz mniej skupiając się na tym, co działo się na drodze. – Ktoś każe ci bronić Kabelis, ale w żaden sposób nie pomaga. Dowody przeciwko niej się mnożą, nawarstwiają, sytuacja jest coraz bardziej mętna. Coś tu jest nie tak.

Właściwie powinien powiedzieć, że nie coś, ale wszystko.

– Jedno jest pewne – dodał. – Klara ma z nim jakiś związek. I czas najwyższy ją o to zapytać.

– Nie mo…

Rozłączył się, zanim dokończyła zdanie. Mógł jeszcze przez pół godziny zapewniać ją, że zachowa najwyższą ostrożność, nie wyjawi Klarze więcej, niż będzie musiał, i postara się poprowadzić rozmowę tak, by Kabelis nie wiedziała, co w istocie próbuje z niej wyciągnąć – ostatecznie jednak i tak nie przekonałby Chyłki.

Zaparkował nieopodal lokalu z kebabem, a potem szybkim krokiem udał się do bloku Klary. Zastał ją w kuchni, robiącą porządki. Z mieszkania zniknęły niemal wszystkie uschnięte kwiaty, a parapety powoli zaczynały odsłaniać swój pierwotny kolor. Kabelis przywitała go w lateksowych rękawiczkach, starając się zetrzeć z jednego z nich ślad po doniczce.

– Chyba musiałam rozładować emocje – oznajmiła, rozglądając się po mieszkaniu. – Pobiegać nie wyjdę, bo zaraz napadną mnie fotoreporterzy, o wizycie na siłowni też nie ma mowy.

Kordian szukał w jej oczach niepokoju spowodowanego właściwie przegraną sprawą, ale na próżno.

– A ty? – spytała. – Odreagowałeś w jakiś sposób?

Przysiadł na stole i nabrał głęboko tchu, czując nieprzyjemną woń środków czystości.

– Tak – odparł. – W taki, że postanowiłem odkryć prawdę.

Klara na moment przestała szorować parapet.

– To znaczy?

– To znaczy, że muszę ci zadać kilka pytań.

Odwróciła się do niego, przez moment trwała w bezruchu, a potem uśmiechnęła się i wymierzyła w niego spryskiwaczem.

– Ostrzegam… – rzuciła. – Nie zniosę kolejnych pytań o to, czy ich zabiłam.

Kordian trwał niewzruszony, choć rozmówczyni wyraźnie czekała na choćby lekkie drgnięcie ust. Kiedy uznała, że się go nie doczeka, odłożyła butelkę, ściągnęła rękawiczki i cisnęła je na podłogę.

– Jarek i Drobny zginęli na Annapurnie – powiedziała. – W jamie lodowej, w której ich zostawiłam, rozumiesz? Nie mogłam ich uratować, nie mogłam w żaden sposób im pomóc. Decyzja o zejściu była… była jedynym, co mogłam zrobić, żeby ofiary były dwie, a nie trzy. Niczym nie zawiniłam. Ratowałam swoje życie. Rozumiesz, Kordi?

Odniósł wrażenie, że takie pytanie częściej kierowała do siebie niż do niego. Cokolwiek stało się w Nepalu, którakolwiek wersja była prawdziwa, Klara zmagała się z wyrzutami sumienia. Co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości. Teraz jednak zamierzał pozbyć się także innych.

– Rozumiem – powiedział.

– I wierzysz mi?

– Tak.

Nie był to pierwszy raz w historii, kiedy prawnik mijał się z prawdą.

– W takim razie o co chcesz pytać? – rzuciła nieco ostrzejszym tonem Kabelis.

– O to, co się stało kilkanaście lat temu.

Kabelis zmarszczyła czoło, a on powoli zaczął mówić. Podał jej cezurę czasową, w której mieściło się zabójstwo chłopaka pod Proximą, a potem zaczął lawirować wokół tego tematu.

Już po kilku minutach trafił na to, czego szukał.

7

ul. Argentyńska, Saska Kępa

Butelka z sombrero na zakrętce zdawała się prosić, by Chyłka opróżniła ją jak najszybciej. Joanna z pewnością tak by zrobiła, gdyby nie to, że zamierzała zachować resztki trzeźwości na powrót Oryńskiego.

Zadzwonił do niej po drodze, informując, że ma jej coś do powiedzenia. Zareagowała w jedyny sposób, jaki wydawał jej się odpowiedni, mieszając go z błotem. Nawet nie skomentowała, kiedy oznajmił, że wreszcie odkrył całą prawdę.

Chyłka czekała na niego w salonie, z kilkoma nerkowcami ułożonymi na dłoni. Ledwo wszedł, pstryknęła w niego jednym, a resztę wrzuciła do ust.

– Mów – wymamrotała. – Byle szybko, bo muszę kontynuować tankowanie paliwa z grenadyną.

Kordian usiadł obok niej na kanapie i robiąc sobie drinka, zaczął relacjonować, od której strony podszedł Klarę. Zapewnił, że nie miał zamiaru zdradzać jej zbyt wiele, a tożsamość Zduna utrzymał w tajemnicy.

– Udało ci się? – spytała z powątpiewaniem Joanna.

– Tak, bo właściwie od razu dostałem to, po co przyszedłem.

– To znaczy?

– Zacząłem wypytywać Kabelis o okres, kiedy broniłaś Zduna.

– I?

– Trochę kluczyliśmy. Początkowo niewiele mogła sobie przypomnieć, ale po odpaleniu Wikipedii i sprawdzeniu istotnych wydarzeń w tamtym czasie zaczęła kojarzyć jedno z drugim, trzecie z czwartym i…

– Nie musisz mi mówić, jak wyglądają techniki przesłuchań, Zordon. Połowę sama wymyśliłam.

– No tak – przyznał i pozwolił, by wsadziła mu nerkowca do ust. – W każdym razie okazało się, że w tamtym okresie młoda Kabelis bywała w Proximie.

Chyłka uniosła brwi.

– Przyznała, że nie chodziła tam wyłącznie dla muzyki – dodał. – Ani dla alkoholu.

– Chcesz powiedzieć, że szła tam nieodpłatnie świadczyć usługi seksualne komu popadnie?

– Nie byłbym tak kategoryczny, ale…

– I tak się powściągnęłam – wpadła mu w słowo Joanna. – Ale do czego zmierzasz, Zordon? Do tego, że to ona była dziewczyną, o którą poszło Zdunowi i ofierze?

Kordian pokiwał głową i napił się drinka.

– Klara nie pamięta szczegółów, ale twierdzi, że podczas jednego z koncertów flirtowała najpierw z jednym, a potem z drugim facetem. Chwilę później doszło między nimi do przepychanki, ale była tak pijana, że nie pamięta, jaki był finał. Wie tylko, że jeden z nich był wyjątkowo umięśniony.

Joanna wbiła wzrok w butelkę ze złocistym trunkiem i przez chwilę się namyślała.

– Mogło nie chodzić o Zduna – powiedziała.

– Też tak pomyślałem. W końcu Kabelis powinna słyszeć o tym, że rankiem po tej pechowej nocy znaleziono ciało pod Proximą, prawda?

Chyłka w końcu uznała, że najwyższa pora sobie dolać.

– Prawda? – powtórzył Oryński.

– Dobrze wiesz, że nie – odparła pod nosem.

– Bo zamietliście wszystko pod dywan.

– My? – spytała z pretensją. – Nie, Zordon. Za wszystko, co związane z tą sprawą, odpowiadają policja i prokuratura. Ja byłam tylko pośrednikiem na samym początku całego tego procesu.

– Jakoś trudno mi to sobie wyobrazić.

Zgromiła go wzrokiem.

– Po pierwsze byłam początkującym prawnikiem – odparła. – Po drugie takie były warunki. Przedstawiłam je Zdunowi, on zgodził się pójść na współpracę, a ja musiałam się usunąć. Resztę załatwiali między sobą.

– I załatwili to tak, że media nawet nie zająknęły się o trupie.

– Trupów w Polsce miesięcznie jest kilkadziesiąt tysięcy, Zordon. Nie o wszystkich się pisze.

– Może gdyby o tym się napisało, wcześniej zorientowalibyśmy się, że to jest rzecz, która wiąże dwie sprawy. Kabelis i stalkera.

Chyłka wzruszyła ramionami.

– To niczego nie wyjaśnia – powiedziała.

– Nie? – odparł Oryński, ale mimo intonacji nie miało to wiele wspólnego z pytaniem. – Mnie to rozjaśnia całą sprawę.

– W takim razie skieruj na mnie źródło tej iluminacji.

Skinął głową, a potem dolał obojgu tequili, uznając, że grenadyna jest w tej chwili zbędna.

– Delikwent A i B wdają się w przepychankę przez Klarę – zaczął. – Sprawy idą za daleko, więc w końcu decydują się załatwić to na zewnątrz. Tam delikwent A rozbija łeb delikwentowi B.

Joanna napiła się i przesunęła językiem po górnej wardze. Smak alkoholu z agawy i uczucie przyjemnego gorąca

w przełyku sprawiały, że wszystko inne stopniowo traciło na znaczeniu.

– Po tym, jak A unika kary, ojciec delikwenta B jest wściekły. Chce zemsty i jest gotowy ukarać wszystkich, którzy brali w tym udział.

– Więc obwiniamy ojca?

– Daj mi dokończyć.

– Proszę bardzo.

– A więc ojciec albo brat B przez lata siedzą cicho, ale nie przestają myśleć o wendecie. Kiedy dowiadują się, że Klara zaginęła w Himalajach, oczywiście interesują się sprawą. Uznają jej śmierć za dziejową sprawiedliwość, tyle że Kabelis się odnajduje. Są rozgoryczeni, ale jednocześnie wietrzą okazję. Postanawiają wrobić ją w zabójstwo. Podszywają się pod człowieka, który oblał cię kwasem pod kancelarią, podkładają USB przy Proximie, a potem…

– Zordon.

– Tak?

– Myślałeś kiedyś o tym, żeby pisać fanfiki?

– Nie, chociaż założenie bloga cały czas chodzi mi po głowie.

– Weź się lepiej za słowo drukowane – poradziła. – Z jakiegoś powodu jest nieśmiertelne i się nie starzeje. Wejdź na jakąś stronę internetową z dwa tysiące piątego roku, a poczujesz się, jakbyś cofnął się w czasie. Weź do ręki książkę z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego, a zasadniczo nie zobaczysz różnicy.

Kordian machnął ręką.

– Mniejsza z tym. Ważne, że ta historia…

– Nie trzyma się kupy.

Popatrzył na nią z powątpiewaniem i dopiero teraz zdawał się odnotować, że od kiedy tylko wspomniał o obecności

Kabelis w klubie, Chyłka nie okazała choćby krzty zaskoczenia.

– Dlaczego nie? – zapytał.

– Po pierwsze, ojciec i brat B nie wiedzieli o Klarze. Nikt nie wiedział.

– Ale…

– Po drugie, nie porwaliby Bogu ducha winnego dziecka tylko po to, by zmusić mnie do obrony Kabelis.

– Tak, tylko że…

– Po trzecie, jak twoim zdaniem mieliby ją wrobić w te zabójstwa? To nie ma sensu.

Kordian odłożył szklaneczkę, a potem pochylił się i przez moment wbijał wzrok w podłogę. Kiedy podniósł głowę, wiedziała już, co powie.

– Przemyślałaś to sobie – zauważył. – I to nie teraz, ale wcześniej. A to oznacza, że brałaś pod uwagę ten związek z Kabelis. Wiedziałaś, że była w Proximie.

Chyłka podniosła się i podeszła do szafki, na której stał telewizor. Sięgnęła po paczkę marlboro, wyciągnęła jednego, a potem rzuciła ją Oryńskiemu. Złapał papierosy i odłożył je na stół.

– Nie wiedziałam – odparła Joanna. – Tylko przypuszczałam.

– I nie zająknęłaś się słowem? Nie pytałaś jej o to?

– Nie.

Powinien wiedzieć, jaki był powód. Kierowała się tym samym, przez co nie zleciła poszukiwania Zduna – obawą, że to, co stało się nocą w drodze na Saską Kępę, powtórzy się, jeśli tylko postąpi wbrew stalkerowi. Kiedy dodała do tego lęk o Darię, nie miała się nad czym zastanawiać.

Oryński potrzebował chwili, by ułożyć to sobie w głowie, a coraz mocniej działający alkohol z pewnością nie pomagał.

Ostatecznie jednak dostrzegła, że wszystko zrozumiał. Osunął się na kanapie i głośno westchnął.

– A więc to tyle? – spytał. – Dalej siedzimy w czarnej dupie?

– Nawet jeśli, to nie jest źle.

– Nie?

– To zawsze tylko kwestia perspektywy – odparła. – Wiesz, nawet jak założysz sobie szczelnie foliowy worek na łeb, to będziesz miał tam tyle tlenu, że wystarczy ci do końca życia.

Kordian sięgnął po paczkę papierosów, nie kwitując jej uwagi żadnym komentarzem.

– Wiemy przynajmniej, jaki związek ma Klara ze Zdunem – dodała Joanna. – Pogrzebiemy trochę, to może dowiemy się czegoś więcej.

– O ile jest coś więcej.

– Musi być – odparła stanowczo. – I dzięki temu obalimy te bzdurne zarzuty, które postawił jej Paderborn. To się nie utrzyma w sądzie, Zordon. Nawet jeśli ten sędziowski Vidkun Quisling nas udupi, wygramy w apelacji.

– Quisling był Norwegiem, nie Szwedem.

– Mniejsza o to, wszyscy na północy szczerzyli się do nazioli podczas drugiej wojny, a niektórzy na ochotnika zgłaszali się do Waffen SS – odparła pod nosem. – I to w czasie, kiedy u nas sądy wydawały wyroki śmierci za kolaborację z Niemcami.

Podniosła wzrok i uśmiechnęła się lekko.

– Piękne czasy.

– Czasem się zastanawiam…

– Czy wrócą? Nie wiem, pod względem prawnym to skomplikowane, bo musielibyśmy wypowiedzieć przynajmniej protokół szósty Europejskiej Konwencji Praw Człowieka. Wykonalne, o ile choć na parę dni ktoś zrobi mnie premierką.

– Miałem na myśli raczej to, że nie rozumiem, z czego wynika twoja niechęć do Niemców.

– To proste.

– Tak?

– Istnieje spore prawdopodobieństwo, że oboje w ogóle przyszliśmy na świat tylko dzięki temu, że jakiś żołnierz Wehrmachtu miał złego cela.

– Mhm…

– Poza tym Niemcy to jedyny naród, który wymyślił sobie specjalne słowo na opisanie perwersyjnej satysfakcji spowodowanej tym, że komuś innemu źle się wiedzie. *Schadenfreude*.

Kordian popatrzył na nią z powątpiewaniem.

– Na pewno nie jedyny – zauważył. – Poza tym może i my nie mamy na to słowa, ale zapewniam cię, że osiągnęliśmy w tym mistrzostwo.

– Mistrzostwo osiągniemy po obaleniu absurdalnych zarzutów wobec Kabelis. Zniszczymy te bzdury najpóźniej w apelacji, Zordon. Wykażemy brak motywu, bo to, o czym mówił Paderborn, mogłoby co najwyżej popchnąć ją do uderzenia Nalikowskiego i Drobniaka zdechłą rybą z nepalskiego potoku, a nie czekanem. Potem udowodnimy, że dowody zostały podłożone. I zrobimy ze wszystkim porządek.

Patrzył na nią przez chwilę badawczo, jakby starał się stwierdzić, na ile jest pewna swoich słów. Potem lekko skinął głową – tyle jej wystarczyło, by miała poczucie, że podziela jej przeświadczenie.

Obrócił papierosa między palcami, wodząc wzrokiem za zapalniczką, a Chyłka niespiesznie do niego podeszła. Podała mu ognia, ale od razu wyjęła mu marlboro z ust.

– Konfiskata mienia – oznajmiła. – Ty masz karną godzinę niepalenia za dokonanie zaboru iks piątki.

– Zwróciłem ją w niepogorszonym stanie.

– Jeśli prowadziłeś jak zwykle, to z pewnością poniosła straty moralne.

– Będziesz wnosiła o zadośćuczynienie?

– Nie. Planuję inny sposób wyrównania szkody niemajątkowej.

Kordian zerknął w kierunku sypialni, a ona zalotnie uniosła brwi.

– Naprawdę kręci cię to prawnicze flirtowanie – powiedział cicho.

Zanim zdążył dodać coś jeszcze, usiadła mu na kolanach, pociągnęła papierosa, a potem pocałowała go i wpuściła dym do jego ust.

– Korzystaj, bo na następną dawkę nikotyny będziesz musiał poczekać.

Oboje wiedzieli, że to był moment, w którym w normalnych okolicznościach podniósłby ją, a potem zaniósł prosto na łóżko. Te jednak znacznie od nich odbiegały. Nie rozmawiali o tym, ale dla obydwojga było jasne, że nawet najlepsze zabezpieczenie nie sprawi, że ryzyko przeniesienia retrowirusa zniknie.

Położyli się na kanapie, objęci w milczeniu. Mimo wcześniejszych deklaracji Chyłka co jakiś czas podawała mu papierosa.

– Kiedy zrobisz to badanie szpiku? – odezwał się.

– Pojutrze.

Odchylił się tak, by widzieć jej twarz.

– Tego się nie spodziewałeś, co?

– Nie.

– Już się umówiłam, nie ma odwrotu.

Znów na moment zamilkli, a w tle słychać było jedną z nowszych płyt Ironsów, *A Matter of Life and Death*. Był to

album niemal koncepcyjny, w którym przewodnim tematem były konflikty i wojna. Chyłce jednak do bojowego nastroju było teraz daleko.

– Podobno już nie nakłuwają mostka – dodała. – Robią biopsję szpiku z biodra. Dają znieczulenie miejscowe, samego ukłucia nawet nie czuć. Dopiero jak zasysają materiał z kości, pacjent może coś poczuć.

Oryński dalej patrzył na nią badawczo.

– Naczytałaś się na ten temat w necie, co?

– Trochę.

Zaciągnął się głęboko i cicho kaszlnął, a jej przeszło przez myśl, że może roztropnie byłoby, gdyby sobie wyznaczyła znacznie dłuższy okres karnego niepalenia. Szczególnie jeśli badanie wykaże, że ma białaczkę lub chłoniaka.

– Jak długo będziemy czekać na wyniki?

– Niedługo, Zordon – odparła ciężko, a potem zabrała mu papierosa i zgasiła go w popielniczce. – Niebawem sądny dzień. Tym razem nie dla moich klientów, ale dla mnie.

8

Costa Coffee, Skylight

Po tym, jak Kordian odwiózł Chyłkę do laboratorium po wyniki, zdążył wypić już pięć kaw. Nie żeby potrzebował pobudzenia – uznał, że musi wprowadzić się w stan swoistej apatii, a nadmiar kofeiny zasadniczo właśnie to powodował.

Wziął duży kubek kawy przelewowej na wynos, a potem udał się na dwudzieste pierwsze piętro. Chciał poczekać na wyniki biopsji z Joanną, ale ta zaoponowała na tyle stanowczo, że ostatecznie musiał ulec. Równie nieprzejednana była, jeśli chodziło o sposób, w jaki zakomunikuje mu diagnozę. Miała zadzwonić do niego i w zależności od rezultatu zanucić albo refren *Afraid To Shoot Strangers*, albo *Despacito*. Nie musiała nawet dodawać, co będzie oznaczało dobrą, a co złą wiadomość.

Potem wysłała go do kancelarii, by tam czekał na powracających z Nepalu Juliana i McVaya. Miał skontaktować się z nimi tuż po tym, jak samolot wyląduje na Okęciu, i podkreślić, że natychmiastowe spotkanie jest absolutnie konieczne.

Nie rozumiał, skąd ten pośpiech. Żaden z nich nie miał niczego nowego do dodania, a na zebranie wszystkich ich ustaleń i sporządzenie dokumentów przed drugą rozprawą było jeszcze sporo czasu. Być może Chyłka po prostu próbowała sprawić, że zajmie czymś myśli.

Zasiadł za biurkiem w swoim gabinecie, próbując skupić się na przygotowaniach do rozmowy. Wynotował sobie kilka

rzeczy, o które chciał zapytać, ale myślami wciąż był w sali, w której Chyłce pobierano już zapewne szpik.

Należało spodziewać się, że jego umysł będzie sparaliżowany nawet bez niemal zabójczej dawki kofeiny. Kordian spojrzał na listę pytań, a potem odłożył z impetem długopis i odchylił się na krześle.

Kiedy rozległ się dzwonek telefonu, natychmiast sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Poniewczasie uświadomił sobie, że pośpiech jest nieuzasadniony – po pierwsze nie był to dzwonek przypisany do Joanny, po drugie było jeszcze za wcześnie, by się odezwała.

Dzwoniła Klara Kabelis. A przynajmniej tak wynikało z informacji na wyświetlaczu – kiedy jednak Oryński odebrał, usłyszał męski głos.

– Halo? – spytał nieznany rozmówca.

Kordian rozejrzał się niepewnie.

– Do kogo się dodzwoniłem? – dodał mężczyzna.

– Słucham?

– Z kim rozmawiam?

– To chyba ja powinienem o to zapytać – odparł Oryński.

Może nadmiar kaw sprawił, że źle zobaczył nazwę kontaktu? Nie, to było niemożliwe. Ale z pewnością myśli łatwiej układałyby się w głowie, gdyby zamienił przynajmniej jedną czarną na latte.

– A jednak ja zapytałem.

Głos rozmówcy był stanowczy, ale jednocześnie pobrzmiewała w nim pewna przaśność. Kordian wyobraził sobie mężczyznę z długimi sumiastymi wąsami, w starej flanelowej koszuli, siedzącego gdzieś na obejściu chałupy.

– Dzwoni pan do mnie z komórki Klary – rzekł. – Więc to chyba pan powinien się przedstawić.

Odpowiedziało mu długie milczenie. Wystarczająco długie, by Kordian poczuł niepokój.

– Niech mi pan nie mówi, co powinienem, a czego nie.

Oryński rozszerzył oczy. Co to za kpina?

Ostatnim razem, kiedy rozmawiał z Klarą, była sama. Dzwoniła do niego wczoraj, dzień po tym, jak odwiedził ją na Tarchominie. Pytała, czy śledzi, co się dzieje w telewizji, a potem oznajmiła, że musi zaszyć się na jakiś czas w mieszkaniu.

Nie dziwił się jej. Po pierwszej rozprawie cały klimat medialny uległ zmianie. Ci, którzy od początku bronili Kabelis, nagle zamilkli. Ci, którzy od pewnego czasu stawali się jej coraz przychylniejsi, nagle zaczęli się wycofywać.

Trudno było powiedzieć, ilu ludzi wierzy w wersję prokuratury, ale jedno było dla opinii publicznej jasne – Klara w jakiś sposób zawiniła i przyczyniła się do śmierci swoich towarzyszy.

Kilka jej burkliwych wypowiedzi, które rzuciła do kamer po opuszczeniu gmachu przy Solidarności, sprawiło, że znów była postrzegana jako osoba arogancka, pozbawiona empatii. Wieczorem tamtego dnia, zapewne po wypiciu kilku drinków, wdała się w dyskusję pod jednym z artykułów na Facebooku. Trwała przy swojej wersji, twierdząc, że zostawiła partnerów na Annapurnie, ale oprócz tego rozwodziła się nad tym, że każdy inny alpinista zachowałby się w jej sytuacji identycznie.

Jej największym błędem było zapewnienie, że gdyby znów się w niej znalazła, postąpiłaby tak samo. Właściwie było to oczywiste dla wszystkich, którzy znali się na rzeczy, ale taka deklaracja ze strony osoby oskarżonej o doprowadzenie do śmierci towarzyszy była gwoździem do trumny.

Hejt, który po tym nastąpił, wydawał się nie mieć końca. Odżyły wszystkie wcześniejsze uprzedzenia i pretensje pod

adresem Kabelis. Ludzie nakręcali się wzajemnie, a kiedy tylko pojawił się ktoś, kto próbował jej bronić, sytuacja znacznie się zaogniała.

Prawnicy stracili korzystną narrację medialną – jedyny atut, który im pozostał. Mimo to Chyłka uparcie twierdziła, że obali wszystkie zarzuty Paderborna i wykaże, że ktoś wmanewrował Klarę w wyjątkowo zmyślną intrygę.

Ich klientka nie wydawała się do tego przekonana. Podczas ostatniej rozmowy Kordian odniósł nawet wrażenie, że straciła całą nadzieję. Przypuszczał, że faktycznie zaszyje się w domu i nie wyjdzie nawet po zakupy, co dopiero mówić o spotkaniach z jakimś mężczyzną.

A mimo to ktoś dzwonił teraz do niego z jej komórki. I bynajmniej nie miał zamiaru oddać Oryńskiemu inicjatywy.

– Zapytam po raz ostatni – rzucił rozmówca. – Kim pan jest?

– To jakiś absurd…

– W telefonie figuruje pan jako Kordi. Czyli Kordian, jak mniemam.

– Dobrze pan mniema – potwierdził Oryński, rozglądając się za paczką papierosów.

– Potrzebuję nazwiska.

– Najpierw chciałbym się dowiedzieć, kim…

– Podkomisarz Gomoła, Komenda Powiatowa Policji w Zakopanem – oznajmił w końcu mężczyzna.

Wybrała się w Tatry? Właściwie nie mógł tego wykluczyć. Zamiast zamykać się w domu, ukojenia mogła szukać w górach. Nie byłby to pierwszy ani ostatni raz, kiedy alpiniści po powrocie do kraju uciekają przed mediami na tatrzańskie granie. Po Broad Peaku niektórzy przyjęli tę samą strategię.

– Teraz może mi się pan łaskawie przedstawić? – spytał policjant.

– Kordian Oryński. Jestem…

– Adwokatem Klary – dopowiedział Gomoła. – Taa, widziałem w telewizji.

Jak za każdym razem, kiedy ktoś tytułował go w ten sposób, nie miał zamiaru prostować. Życie nie było od tego, żeby odmawiać sobie drobnych przyjemności – szczególnie kiedy nie miało się zdanego egzaminu adwokackiego.

– Wie pan, dlaczego dzwonię? – dodał podkomisarz.

– Nie.

– Kiedy ostatnim razem widział pan swoją klientkę?

– A to jakieś przesłuchanie?

– Słuchaj no – bąknął Gomoła. – Albo będziesz odpowiadał na pytania, albo…

– W porządku, w porządku – uciął Kordian. – Widziałem się z nią przedwczoraj wieczorem.

– Co działo się z nią potem?

– Rozmawialiśmy jeszcze przez telefon, była w domu. Później rozpętała małą burzę w internecie i nie mieliśmy więcej kontaktu – odparł Oryński, w końcu znajdując paczkę papierosów. Wewnątrzkancelaryjne przepisy zabraniały wprawdzie palenia w budynku, ale nie miał zamiaru się tym przejmować. – Może mi pan powiedzieć, o co chodzi? – dopytał, zapalając davidoffa.

Gomoła przez chwilę milczał.

– Dziś rano zostałem wezwany na miejsce zdarzenia – oznajmił.

– Zdarzenia?

– Pierwsza informacja była taka, że w Dolince pod Kołem znaleziono ciało turysty – powiedział ciężko podkomisarz i chrząknął kilkakrotnie. – Na miejscu okazało się, że zwłoki należą do kobiety, która według naszych ustaleń wspinała się na Gąsienicową Turnię. Nie miała przy sobie dokumentów, a ciało było w stanie utrudniającym identyfikację.

Gomoła recytował urzędowym, beznamiętnym tonem, a Oryński miał wrażenie, jakby z każdym słowem obrywał obuchem w głowę.

Nie potrafił się odezwać.

– Przy zwłokach znalazłem komórkę, wybrałem pierwszy numer z listy ostatnich połączeń – ciągnął Gomoła. – Zaraz potem powiedział mi pan, że dzwonię z telefonu Klary. Tyle mi wystarczyło.

Stąd była ta długa cisza, gdy o tym wspomniał.

Nie, to niemożliwe, uznał w duchu Oryński. Musiało zajść jakieś nieporozumienie.

– Klara… nie żyje? – jęknął.

– Spadła z około czterystu metrów, zginęła na miejscu.

Kordian odłożył dymiącego papierosa do popielniczki.

– Była dobrze wyposażona, miała ze sobą całe oprzyrządowanie.

– Ale…

– Na tym etapie nie wykluczamy oczywiście żadnej wersji – dodał szybko policjant. – Ale ze względu na dobro śledztwa to wszystko, co mogę powiedzieć.

Oryński potrząsnął głową.

– Może pan mi dać namiar na rodzinę? – spytał chłodno Gomoła.

Rozmówca najwyraźniej uznał, że z klientką łączyła Kordiana jedynie bezemocjonalna, zawodowa relacja. Może w gruncie rzeczy tak było, mimo to Oryńskiemu nadal trudno było się pozbierać.

Zginęła w Tatrach? Po tym, jak zdobywała najwyższe himalajskie szczyty?

Czy to rzeczywiście mógł być przypadek, tragiczna pomyłka? Czy może w pewnym momencie uznała, że dłużej nie zniesie tego, co się wokół niej działo?

– Halo?

– Tak, tak… – odparł Kordian. – Prześlę panu wszystkie informacje.

– Będę zobowiązany.

Gomoła rozłączył się, najwyraźniej uznając, że załatwił wszystko, co było konieczne. Kordian odłożył telefon na biurko, a potem siedział przez chwilę bez ruchu, wpatrując się w drzwi gabinetu.

Myśli gubiły mu się gdzieś w głowie, przez co na dobrą sprawę nie docierało do niego to, co usłyszał. Nie rozumiał ani samego faktu, ani powodów, ani tym bardziej wszystkich implikacji ostatnich zdarzeń.

Otrząsnął się po kilku minutach, orientując się, że papieros sam wypalił się w popielniczce. Oryński podszedł do okna, oparł się o nie i zawiesił wzrok gdzieś w oddali. Nie widział jednak ani samochodów tkwiących w śródmiejskich korkach, ani pospiesznie przemykających przez plac Defilad przechodniów.

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, wzdrygnął się. Zanim zdążył zareagować na niewypowiedziane pytanie o to, czy niespodziewany gość może wejść, Kormak już był w środku.

Zamknął za sobą drzwi i wbił pusty wzrok w Oryńskiego.

– Słyszałeś? – zapytał chudzielec.

Kordian wskazał ręką komórkę leżącą na biurku.

– Dzwonił jakiś komisarz z Zakopca – powiedział nieobecnym głosem, a potem przysiadł na parapecie i odchylił głowę. – To prawda?

– Obawiam się, że tak.

– Kurwa mać…

Kormak obszedł biurko i zajął miejsce przewidziane dla gospodarza.

– Skąd wiesz? – dodał Oryński.

– Znam gościa, który prowadzi Tatromaniaka. Wieści szybko się rozchodzą, szczególnie w górach – wyjaśnił chudzielec.

A zatem Gomoła dzwonił po jakimś czasie, prawdopodobnie tylko po to, by potwierdzić to, co wszyscy w gruncie rzeczy wiedzieli od początku.

– I szczególnie gdy dochodzi do wypadku – dodał Kormak.

– Tak było tym razem?

Chudzielec zmrużył oczy.

– Sądzisz, że nie?

– Nie wiem – odparł Kordian. – Kto jak kto, ale ona potrafiła się wspinać. Bywała na szczytach, przy których nasze góry wyglądają jak pagórki i… – Urwał i pokręcił głową. – Klara wiedziała, co robi. Znała się na tym.

– Nie słyszałeś nigdy, że pływak też może się utopić w szklance wody? – odparł Kormak.

– Słyszałem, ale…

– Była rozkojarzona, głowę zaprzątało jej milion spraw. Mogła popełnić błąd.

Z jednej strony nie sposób było tego wykluczyć, z drugiej jednak trudno było przyjąć zwykły wypadek jako pewnik. Wydawało się to zbyt trywialnym zakończeniem życia Klary.

– Chyba nie sądzisz, że ktoś przyłożył do tego rękę? – jęknął chudzielec.

– Ktoś z pewnością tak. Wszyscy ci, którzy ją atakowali, nie zostawiali na niej suchej nitki i…

– Wiesz, co mam na myśli.

Oryński wzruszył ramionami.

– Daj spokój – dodał Kormak. – Bestia z Giewontu ostatecznie zakończyła swoją kadencję.

– Wiem.

– W takim razie co sugerujesz? Samobójstwo?

Kordian nie odpowiedział, wychodząc z założenia, że na to pytanie tak naprawdę już nikt nigdy nie znajdzie odpowiedzi. Podobne wątpliwości pojawiały się zawsze, kiedy alpinista ginął w niejasnych okolicznościach, a dodatkowo był otoczony pewnymi kontrowersjami. Niektórzy twierdzili nawet, że nadzorujący tragiczną wyprawę na Broad Peak Artur Hajzer spadł z Gaszerbruma I nieprzypadkowo, przytłoczony wyrzutami sumienia. Oryńskiemu wydawało się to bzdurą, ale w tym wypadku mogło być inaczej.

– Nawet himalaiści giną w Tatrach, Zordon.

Kordian pokiwał głową bez przekonania.

– Andrzej Marciniak – dodał chudzielec. – Zdobywca Everestu, jeden z najbardziej utytułowanych polskich alpinistów. Zginął, podchodząc pod Pośrednią Grań. Góry to góry, nieważne, ile mają metrów.

Być może coś w tym było, co nie zmieniało faktu, że pogodzenie się z takimi wypadkami było wyjątkowo trudne, nawet jeśli nie znało się ofiary.

Szczególnie kiedy na szali było życie nie tylko jednej osoby.

Dopiero, gdy Kordian to zrozumiał, pojął także, dlaczego nie potrafił się otrząsnąć. Wypadek w Tatrach nie był tragiczny w skutkach jedynie dla Kabelis. Przypieczętował bowiem także los małej Darii.

Oryński z trudem przełknął ślinę. Jeśli to, do czego od początku zdawał się dążyć stalker, było jego prawdziwą motywacją, oznaczało to, że siostrzenica Chyłki znalazła się w tragicznym położeniu.

Porywacz niechybnie zobaczy materiał o śmierci Klary w mediach, być może już to zrobił. Będzie próbował skontaktować się z Joanną, ale ta na czas badań będzie miała wyłączony telefon. Spróbuje przez laptopa, ale to również nic nie da, bo sprzęt został na Argentyńskiej.

– Zordon?

Oryński uświadomił sobie, że przyjaciel coś do niego mówił.

– Pytałem, co zamierzasz.

Kordian gorączkowo poszukiwał odpowiedzi, ale wiedział, że jej nie znajdzie.

Wszystko się zawaliło. Owszem, chyliło się ku upadkowi już od czasu, kiedy Julian i McVay zebrali niepokojące informacje w Nepalu, ale teraz cała konstrukcja w okamgnieniu przestała istnieć.

Strategia sądowa, plan wyciągnięcia od Kabelis prawdy, sposób na odzyskanie Darii… wszystko to należało przekreślić.

– Zordon? – powtórzył chudzielec.

– Nie wiem – odparł słabo Oryński. – Nie mam bladego pojęcia.

Kormak rozejrzał się po gabinecie.

– Gdzie jest Chyłka?

– Na badaniach.

– Trzeba ją poinformować. Jeśli dowie się o tym z mediów, urwie ci łeb.

Kordian potarł nerwowo skroń, czując pulsujące żyły, a potem przez palce spojrzał z niesmakiem na kubek kawy.

Przez jakiś czas zastanawiał się nad tym, jak powinien postąpić. Z pewnością należało poinformować Magdalenę i Juliana. To oni powinni jako pierwsi wiedzieć o wszystkim, co się działo. Uznał, że od tego zacznie.

Niedługo potem znów rozległ się dzwonek jego telefonu. Tym razem jednak była to melodia przypisana do Chyłki.

Oryński spojrzał na wyświetlacz z niepokojem i odniósł wrażenie, że serce mu się zatrzymało. Zupełnie ignorując obecność Kormaka, trzęsącą się ręką sięgnął po komórkę.

Przesunął palcem po wyświetlaczu, a potem czekał, którego kawałka refren usłyszy.

– Zordon, mamy problem – odezwała się Joanna.

Wstrzymał oddech, nie wiedząc, czy już dowiedziała się o wypadku w Tatrach, czy dostała wyniki badań.

– Nie umiem nucić *Despacito* – dodała.

9

ul. Indiry Gandhi, Ursynów

Gdyby Chyłka wiedziała, że tak szybko opuści laboratorium, kazałaby Oryńskiemu poczekać na miejscu. Założyła jednak, że będzie musiała spędzić przynajmniej pół godziny w gabinecie lekarskim.

Przypuszczała też, że im korzystniejszy okaże się werdykt, tym szybciej będzie wolna. Jeśli potwierdzi się, że jest chora jedynie na HTLV, usłyszy o wszystkim, co wiązało się z samym retrowirusem. Jeśli wyrok będzie się sprowadzał do stwierdzenia chłoniaka lub białaczki, będzie nieco gorzej – spodziewała się, że lekarka najpierw zacznie mówić o chemioterapii, nadziei na pokonanie choroby, a ostatecznie oznajmi, ile lat życia zostało Chyłce.

W istocie rozmowa zajęła raptem kilka minut. Głównie dlatego, że Joanna nie miała zamiaru słuchać, co specjalistka miała do powiedzenia.

Po opuszczeniu gabinetu od razu zadzwoniła do Kordiana, a dopiero potem zapaliła papierosa. Właściwie sama zadziwiła się tym, że najwyraźniej priorytety w jej życiu się zmieniły.

– Zordon, mamy problem – powiedziała.

Nie odpowiadał, ale słyszała, jak bierze haust powietrza i zatrzymuje go w płucach.

– Nie umiem nucić *Despacito*.

– To… to znaczy, że…

Przerażenie w jego głosie było tak duże, że natychmiast pożałowała sposobu, w jaki zaczęła tę rozmowę.

– Spokojnie – rzuciła. – Na szczęście nie muszę znać tego refrenu.

Złożyła usta, by zagwizdać motyw Ironsów, ale Oryński nie dał jej na to szansy.

– Masz dobre wyniki? – spytał tak głośno, że musiała odsunąć słuchawkę. – Boże, Chyłka, nie mogłaś od razu…

– Mówię od razu.

– Ale zaczęłaś…

– Nieistotne, jak się zaczyna, ważne, jak się kończy. A ja to robię z przytupem, na pełnej kurwie.

Zaśmiał się w sposób tak wesoły i szczery, że zmusił ją tym do uśmiechu. Zaciągnęła się, a potem głośno wypuściła dym.

– Jezu… – jęknął i urwał, jakby nie wiedział, co powiedzieć. – Wyszłaś już z instytutu? – spytał.

– Tak, ale zaraz zamówię ubera. Siedź na tyłku i czekaj na mnie w Skylight.

Nie odpowiadał, a ona nagle odniosła wrażenie, jakby jego nastrój obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni.

– Podjadę – zaoponował.

– Siedź i pracuj, Zordonusie. Mamy sporo do zrobienia, a nasi spaleni nepalskim słońcem pomagierzy są już w Warszawie.

– Chyłka…

– No?

– Nic nie słyszałaś, prawda?

Zabrzmiało to, jakby coś się stało z airbusem lecącym z Dohy, ale Joanna przed kilkoma minutami dostała wiadomość od Magdaleny, że Julian i McVay wylądowali bezpiecznie na Okęciu.

– O czym? – spytała.

Usłyszała, jak Kordian głęboko nabiera tchu. Zaczął relacjonować jej, co wydarzyło się na Gąsienicowej Turni,

a ona ten jeden raz mu nie przerywała. Słuchała uważnie, paląc i chodząc w jedną i drugą stronę wzdłuż budynku kliniki.

– Żeż kurwa mać… – syknęła.

– Wiem.

– Jak to się mogło stać?

– Tego najpewniej nigdy się nie dowiemy – odparł smętnie Oryński. – Wspinała się sama, nie było żadnych świadków. Musiała popełnić jakiś błąd, nie przepiąć się, poślizgnąć… sam nie wiem.

– Policja jest pewna, że nikogo tam nie było?

– Tak.

– Z kim rozmawiałeś? Z Forstem?

– Nie, dzwonił jakiś podkomisarz. Poza tym, z tego co wiem, Forst już tam nie pracuje.

– Racja – przyznała Chyłka.

Zakopiańska policja pożegnała się z komisarzem już jakiś czas temu, a po tym, co stało się kilka miesięcy temu pod Giewontem, ze stanowiskami musiało rozstać się też kilka innych osób.

– Nadal jednak ma tam znajomych – zauważyła. – Dowiem się, co i jak.

– W porządku.

Brak jakiejkolwiek nadziei w głosie Oryńskiego uzmysławiał, że martwi się tak naprawdę nie tym, co się przydarzyło Klarze, ale tym, co mogło grozić Darii.

– Zordon… – jęknęła Chyłka. – To już poszło w mediach?

– Nie wiem. Nic nie słyszałem… może nie, ale to tylko kwestia czasu.

Opuściła komórkę i sprawdziła, czy nie ma żadnej wiadomości od stalkera. Skrzynka była pusta, Joanna nie mogła jednak wykluczyć, że tym razem mógł do niej dzwonić.

Sytuacja była na tyle dynamiczna, że dotychczasowa forma kontaktu mogła okazać się niewystarczająca.

Z trudem przełknęła ślinę, zastanawiając się, jak porywacz to odbierze.

Założy, że doszło do nieszczęśliwego wypadku? Uzna, że Kabelis targnęła się na swoje życie, tym samym nieświadomie narażając Darię na niebezpieczeństwo? Jedna i druga wersja była prawdopodobna, bo u podwalin obydwu leżał ten sam fakt – ostracyzm, jaki spotkał Klarę w mediach. Stalker może też uznać, że doszło do zabójstwa, a konsekwencje przyjęcia przez niego takiego założenia trudno było ocenić.

Chyłka nie miała czasu rozwinąć tej myśli, bo usłyszała dźwięk świadczący o tym, że ktoś próbuje się do niej dodzwonić.

– Niedługo będę – powiedziała, a potem się rozłączyła.

Spojrzała na telefon w momencie, kiedy ten znów zadzwonił. Na ekranie nie pojawił się jednak nieznany zagraniczny numer, którego się spodziewała, a zdjęcie Juliana. Odebrała czym prędzej.

– Zaraz oddzwonię, Lemurze – powiedziała. – W tej chwili muszę mieć wolną linię.

– Chyłka…

– Wiem, słyszałam.

Milczenie.

– Ona naprawdę nie żyje?

– Na to wygląda – odparła zniecierpliwionym tonem. – Ale teraz muszę…

– Co to oznacza? – wpadł jej w słowo Brencz. – Dla Darii?

Chciałaby udzielić mu jakiejś odpowiedzi, dodać mu otuchy i zapewnić, że wszystko będzie dobrze. Po tym, co zrobił dla niej pod Annapurną, z pewnością sobie na to zasłużył. Nie odezwała się jednak słowem.

– Chyłka?

– Oddzwonię do ciebie – powiedziała tak uprzejmym tonem, na jaki było ją w tej sytuacji stać.

– Poczekaj…

– Nie mam czasu. Porywacz będzie się kontaktował.

Nasłuchiwała kolejnego sygnału świadczącego o czekającym połączeniu lub esemesie, ale nadaremno. Dlaczego jeszcze się ich nie doczekała? W jej głowie układały się wyłącznie niepokojące, czarne scenariusze.

Stalker mógł uznać, że nie ma sensu rozmawiać z Chyłką. Było po sprawie. Ultimatum stało się bezprzedmiotowe.

– Poczekaj – powiedział nerwowo Julian.

– Naprawdę nie mogę teraz…

– Możesz – uparł się. – I zrozumiesz to, jak tylko powiem ci, na co trafiłem w Nepalu.

Joanna dyskretnie się rozejrzała, jakby gdzieś w okolicy mógł znajdować się człowiek, który od początku całej tej sprawy trzymał ich wszystkich w garści.

– Na co?

– Na tożsamość porywacza. I nie tylko.

– O czym ty mówisz?

– Nie jest tym, za kogo go miałaś.

– Ale co Nepal ma do…

Urwała, uznając, że to nie jest rozmowa, którą powinna prowadzić przez telefon.

– Gdzie jesteście? – spytała.

– McVay pojechał do Skylight, ja czekam na taksówkę na Okęciu.

Dokonała szybkich obliczeń i uznała, że zanim oboje dotrą do kancelarii, stracą stanowczo zbyt dużo czasu. Z Indiry Gandhi na lotnisko było niedaleko. Gdyby miała do dyspozycji

iks piątkę, a ruch na Pileckiego i Poleczki był normalny, dotarłaby tam w okamgnieniu.

– Mogę być na Okęciu za dziesięć minut – rzuciła. – Czekaj tam na mnie.

Rozłączyła się, uznając, że bez względu na to, co Julian miał zamiar jej przekazać, musi zachować najwyższą przezorność. Zamówiła ubera, a potem nieustannie ponaglając kierowcę, skierowała się ku lotnisku.

Dojazd zabrał nie więcej czasu, niż przewidziała, a Brencz czekał na nią w strefie ogólnodostępnej, nieopodal wyjścia pierwszego. Siedział przy stoliku w McCafé, zamówił sobie croissanta i kawałek sernika, ale nie tknął ani jednego, ani drugiego.

Poderwał się na równe nogi, kiedy tylko zobaczył Chyłkę.

– Siadaj – rzuciła, wyciągając telefon. Przesunęła palcem po wyświetlaczu, uderzyła w niego kilkakrotnie z irytacją, a potem odłożyła komórkę na stół.

– Masz jakieś wieści? – spytał gorączkowo Brencz.

Zerknęła na ekran.

– Nie.

Usiadła przy niewielkim stoliku, naprzeciwko Juliana, a potem wskazała mu croissanta niczym dobra ciotka przypominająca o tym, że najwyższa pora coś przekąsić. Brencz wbijał wzrok w jej oczy, zupełnie ignorując zamówione jedzenie.

– Co tam się stało? – zapytał. – W Tatrach?

– Według zakopiańskiej policji to był wypadek.

– Wierzysz w to?

Zastanawiała się, co odpowiedzieć, na tyle długo, że Julian w końcu przestał oczekiwać jakiegokolwiek odzewu. Położył łokcie na stole, a potem ukrył twarz w dłoniach. Chyłka i bez

tego gestu wiedziałaby, że nie jest już na skraju wytrzymałości – dawno go przekroczył.

– Co ustaliłeś w Nepalu? – spytała.

Opuścił dłonie i popatrzył na nią zmęczonymi, podkrążonymi oczami.

– Wszystko.

To jedno krótkie słowo wystarczyło, by przeszły ją ciarki. Czy to naprawdę było możliwe? Po takim czasie, po tylu wydarzeniach, w końcu miała usłyszeć całą prawdę o tym, co się działo?

– Wiem, kim jest Zdun – dodał Julian. – Wiem, co robił po tym, jak został świadkiem koronnym. Wiem o wszystkim.

Bez słowa skinęła głową.

– Nie jestem tylko pewien, ile ty wiesz.

– Tyle, ile powiedziałam tobie i Magdalenie.

Wierzył jej. Po tym, co przeszli w Himalajach, jak blisko śmierci się znaleźli, nie miał powodu, by jej nie ufać. A ona nie zamierzała go okłamywać, przynajmniej nie w tej sprawie.

– To Zdun jest za wszystko odpowiedzialny – odezwał się Brencz. – On i tylko on. Nikt go nie szuka, żadni gangsterzy na niego nie polują, policja też nie ma z tym wszystkim nic wspólnego. To on nasłał na ciebie i Oryńskiego ludzi na Saskiej Kępie.

Joanna przysunęła sobie talerzyk z croissantem.

– Jesteś pewien?

– Na więcej niż sto procent. Ukartował wszystko od samego początku.

– Skąd ta pewność? – spytała bez przekonania, podnosząc rogalika. – I jakim cudem udało ci się to ustalić w Nepalu?

– Dojdę do tego.

– Może powinieneś od tego zacząć.

– Nie, po kolei – zaoponował stanowczo.

– Nie mamy czasu, Lemurze, powinniśmy jak najszybciej…

– Spokojnie – uciął. – Czasu mamy aż nadto.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Nie wiemy, co może grozić Darii.

– Nic jej nie grozi. Przynajmniej nie w tej chwili.

– Co?

Przez wyraźne zmęczenie, niewyspanie i oznaki trudów podróży przebił się lekki, ale szczery uśmiech.

– Wszystko ci wyjaśnię, pozwól mi tylko mówić.

Pokiwała głową, a potem ugryzła croissanta.

– Chcę ci to wszytko wyjaśnić chronologicznie – powiedział. – Tak, jak się to rozgrywało od momentu, kiedy podjęłaś się obrony Kaflarza.

– W porządku.

Przysunął się nieco bliżej stolika, jakby miał mówić o rzeczach przeznaczonych jedynie dla jej uszu. Na dobrą sprawę być może rzeczywiście tak było.

– Nie masz pojęcia, co Zdun robił po tym, jak uzyskał status świadka koronnego, prawda?

– Nie. Na tym to polega.

– To prawda – przyznał Julian, a potem odkroił sobie kawałek sernika. Najwyraźniej wzrósł apetyt nie tylko Joanny. – Przede wszystkim musisz wiedzieć, że ten człowiek miał na twoim punkcie…

Urwał, szukając odpowiedniego słowa.

– Obsesję? – podsunęła.

– Nie, nie. Chciałem powiedzieć, że bzika, ale to chyba niewłaściwe sformułowanie. Był tobą zafascynowany.

– Nie zauważyłam tego.

– Bo to zaczęło się już po tym, jak przestałaś go reprezentować. Starczy powiedzieć, że śledził twoją karierę, coraz bardziej się tobą interesował, wręcz fascynował.

Chyłka zmarszczyła czoło.

– Dlaczego?

– Nie wiem – odparł Brencz, wzruszając ramionami. – A dlaczego ktokolwiek się w kimś zakochuje?

– Chcesz powiedzieć, że…

– Miłość nie ma żadnych zasad, a ktoś, kto próbuje ją wytłumaczyć, właściwie staje przed zadaniem podobnym do opisywania niewidomemu, jak wygląda dany kolor.

Joanna na moment zamilkła. Obsesja i miłość niewiele się od siebie różniły, czasem być może tak nieznacznie, że stawały się tożsame. Jedno i drugie było jak siła grawitacji, przyciągająca, niepozwalająca się wyrwać, ale jednocześnie stanowiąca powód, dla którego się upadało.

Nie musiała rozumieć powodów fascynacji Zduna, by uznać, że faktycznie mogła mieć miejsce. Na dobrą sprawę mogła być nawet nielogiczna – nigdy nie przeszkodziło to w rozkwicie żadnemu uczuciu.

– Zwariował na twoim punkcie – dodał Julian. – Ale jednocześnie nie mógł się do ciebie zbliżyć z oczywistych powodów.

– A to tylko spotęgowało jego obsesję.

Brencz zastanawiał się przez moment, a potem skinął głową.

– To on oblał mnie kwasem?

– Nie, nie miał z tym nic wspólnego. Użył przykrywki stalkera, żeby zbić cię z tropu.

– Nie musiał używać żadnej przykrywki – odburknęła Chyłka. – Z tego co mówisz, wychodzi, że prześladował mnie od lat, tyle że nigdy nie wyszedł z cienia. Zdecydowanie był stalkerem.

Julian chciał coś odpowiedzieć, ale Joanna machnęła ręką. Były ważniejsze rzeczy, których chciała się dowiedzieć.

– Co działo się z nim po tym, jak został koronnym?

– Zaszył się w dziupli przygotowanej przez służby – odparł Brencz. – Przebywał tam jakiś czas, składał zeznania, obciążał ludzi, na których polowała policja. Niektórzy rzeczywiście na to zasłużyli, ale zdarzało mu się też preparować dowody, by usunąć potencjalne zagrożenia.

Chyłka machinalnie ugryzła kolejny kawałek croissanta.

– Zmienił całkowicie swój wygląd – ciągnął Julian. – I przypuszczam, że już po roku byś go nie poznała. Nie był już tym byczkiem, który zabił przypadkowego chłopaka pod Proximą. Stracił masę mięśniową, wychudł zupełnie, zapuścił brodę, przefarbował włosy, a oprócz tego państwo zafundowało mu operację plastyczną.

– Dużą?

– Dość – przyznał Brencz. – Na tyle, że nie rozpoznałaby go Face ID na jego własnym iPhonie. Operacja nosa, kości policzkowych, plastyka powiek, korekcja uszu, implant w brodzie… cały zestaw.

– I to wszystko z budżetu?

– Pod koniec lat dziewięćdziesiątych państwo znacznie chętniej wydawało środki na świadków koronnych.

Miał rację. Później odbiło się to wszystkim czkawką, ale w tamtym czasie duża część wszystkich skazań była rezultatem tego, co udało się ustalić dzięki współpracy byłych przestępców.

– Musiał to zrobić – kontynuował Brencz. – Przez lata groziło mu bezpośrednie niebezpieczeństwo, a za to wszystko obwiniał dwie osoby.

– Jakie?

– Chłopaka, który wdał się z nim w bójkę, i…

– I dziewczynę, która ją wywołała.

– Otóż to – potwierdził Julian. – Około dwutysięcznego roku sprawa ucichła, a wszyscy, którzy mogliby chcieć jego śmierci,

poszli siedzieć. Dalej korzystał z ochrony, ale minimalnej. Zresztą wizualnie zmienił się na tyle, że nie była już konieczna. Państwo dało mu więc nową tożsamość i krzyżyk na drogę.

To także nie było w tamtym okresie rzadkością, uznała Chyłka.

– Zaczął układać sobie życie na nowo, ale czekał na okazję, żeby odpłacić Klarze za to, co przez lata musiał przechodzić.

Joanna pokiwała głową w zamyśleniu.

– W porządku – powiedziała. – Ale gdzie ja w tym wszystkim?

– Cały czas się tobą fascynował.

– I? Nic z tym nie zrobił?

– Przeciwnie.

Chyłka nadstawiła uszu.

– Zbliżył się do ciebie najbardziej, jak potrafił.

– Czyli?

Julian znów położył łokcie na stole, a potem przesunął palcami wokół ust, przygładzając ciemny zarost, który nigdy nie pasował do jego blond włosów.

– Ożenił się z twoją siostrą – powiedział.

10

McCafé, Okęcie

Obserwowanie reakcji Chyłki było dla Juliana przyjemniejsze od seksu, donioślejsze od narodzin córki i bardziej pamiętne niż jakiekolwiek wydarzenie na świecie. W jednej chwili czuł się zarazem spełniony, niepokonany i tak podniecony, jak nigdy wcześniej.

Przypatrywał się najpierw zdziwieniu Joanny, potem szokowi, który nie pozwolił jej ułożyć wszystkiego w całość, a ostatecznie rozkoszował się widokiem jej wściekłości.

Znał ją lepiej niż ktokolwiek i wiedział, że tak czysta furia pojawia się w jej oczach tylko w jednym przypadku – kiedy Chyłka ponosi porażkę. A w tym wypadku przegrała zupełnie. Na każdym froncie.

Milczała długo, stanowczo zbyt długo. Liczył na to, że zareaguje znacznie szybciej, ale najwyraźniej dezorientacja była zbyt duża.

Nic dziwnego. Latami ukrywał się tuż pod jej nosem. Żył z jej siostrą, wychowywał jej siostrzenicę, widywali się podczas rodzinnych spotkań. Był nieustannie w jej otoczeniu, mógł ją śledzić zupełnie bezkarnie.

– Jak… – zaczęła niepewnie.

Nie dokończyła, a Brencz odkroił sobie kawałek sernika, z uśmiechem nabił go na widelczyk, a potem włożył do ust. Nie odrywając spojrzenia od Chyłki, głośno i energicznie przeżuwał.

– Ty skurwysynu…

Spodziewał się dużo gorszych obelg. Szczególnie kiedy Joanna uświadomi sobie, że w końcu trafiła na kogoś, kto nie tylko jej dorównywał, ale także przerastał ją intelektem. Owszem, Piotr Langer zbliżył się do tego poziomu, Rafał Kranz również próbował, ale to Julian pokazał, że Joannę da się ograć. To on był tym, który jako pierwszy całkowicie i bezapelacyjnie był górą.

– Jak mogłeś porwać własną…

Znów urwała, jakby w jednej chwili stała się całkowicie otumaniona i zapominała podstawowych słów.

Brencz skończył przeżuwać i obróciwszy widelczyk między palcami, wbił go w kawałek ciasta.

– Nie udawaj naiwnej – rzucił. – Doskonale wiesz, że nie było żadnego porwania.

Joanna milczała.

– Dziwi mnie, że nie wpadłaś na to wcześniej, ale najwyraźniej troska o Darię odebrała ci trochę rozumu. Naprawdę przekonało cię pozowane, podkręcone w Photoshopie zdjęcie?

– O czym ty…

– Jak ktokolwiek miałby ją porwać? – ciągnął Julian. – Drzwi były zamknięte, a Daria narobiłaby hałasu, gdyby ktoś włamał się do jej pokoju. Od początku powinno być dla ciebie logiczne, że tylko ktoś, komu ufała, mógłby wyprowadzić ją z domu.

Przypuszczał, że wraca teraz myślami do tamtego wieczoru. Może przypomni sobie, jak wyszedł wyprowadzić border collie, by wszystko przygotować. Stał wtedy po drugiej stronie ulicy, przyglądając się jej i Oryńskiemu.

Oryński. Pieprzony aplikant, który nawinął się przypadkiem i jakimś cudem udało mu się zająć miejsce, które powinno

należeć do Brencza. Nie znał Chyłki, nie tak naprawdę. Nie miał o niej bladego pojęcia.

Gdyby teraz ją zobaczył, może nawet by jej nie poznał. Była bezbronna, nie przypominała osoby, na jaką kreowała się w sądzie czy w kancelarii. Julian jednak znał ją także od tej strony.

– Gdzie jest Daria? – spytała Joanna trzęsącym się głosem.

– W bezpiecznym miejscu. Z kobietą, która dba o nią, od kiedy opuściła dom.

Chyłka zacisnęła usta tak mocno, że aż pobielały.

– To porządna Ukrainka. Wprawdzie nie mówi po polsku, ale… sama rozumiesz. Z mojego punktu widzenia był to akurat bardzo cenny punkt w jej CV.

Przyglądała mu się tak, jakby zaraz miała przewrócić stolik i rzucić się na niego. Dobrze. W końcu budziły się w niej emocje, na które czekał.

– Szczerze mówiąc, myślałem, że bardziej będzie jej brakowało matki – dodał Brencz. – Okazuje się jednak, że świetnie radzimy sobie we dwoje. A kiedy będziemy w trójkę, problem w ogóle się rozwiąże.

– Co?

Julian zaśmiał się cicho.

– Dalej nic nie rozumiesz?

Zadał to pytanie tylko *pro forma.* Szok czy nie, Brencz doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że Chyłka poukładała już najważniejsze rzeczy. Całą resztę miał zamiar jej wyjaśnić.

Przez moment trwali w milczeniu, mierząc się wzrokiem.

– Kiedy? – spytała cicho.

– Kiedy co?

– Kiedy to wszystko zaplanowałeś?

Wreszcie. Zabierała się do konkretów.

– Jak tylko doszły do mnie plotki, że Kabelis przeżyła wyprawę na Annapurnę – odparł z satysfakcją. – Jak wiesz, parę razy robiłem trekking ABC, nawiązałem trochę znajomości. Jeden z Nepalczyków podzielił się ze mną dobrą nowiną, choć niepotwierdzoną. A im więcej rupii mu obiecałem, tym chętniej mówił.

Joanna z trudem przełknęła ślinę.

– Od razu zobaczyłem w tym wprost idealną okazję, żeby jednocześnie zająć się Klarą, zostawić moje aktualne, fikcyjne życie, pozbyć się Magdaleny i…

– I być ze mną?

– Oczywiście.

Niepokoiło go, że zachowuje taki spokój. Powinna obrzucać go obelgami, grozić mu i robić wszystko, by dowiedzieć się, gdzie jest Daria. Fakt, że się powściągnęła, świadczył o tym, że miała o nim niskie mniemanie – spodziewała się, że siostrzenicy coś grozi. Że mógłby ją skrzywdzić. On, jej własny ojciec.

Była to nieprzyjemna myśl, ale Julian wiedział, że kiedy wszystko wyjaśni, Chyłka nie będzie postrzegała go jako potwora, za którego być może w pierwszej chwili go wzięła.

– Szybko zainteresowałem się tym, co się stało w Nepalu – dodał.

– To znaczy? – spytała. – Co tam się wydarzyło?

– Oczywiście nie doszło do żadnego zabójstwa, a miejscowi nikogo nie ścigali. Nalikowski i Drobniak zginęli na Annapurnie z powodu choroby wysokościowej.

Joanna oddychała głośno, jakby na moment z powrotem się tam znalazła.

– Mojemu człowiekowi na miejscu udało się odnaleźć Kabelis – dodał. – Przekonał ją, że musi uciekać na granicę, bo przez filmy, które nakręciła, kilku Nepalczyków ma zamiar

samodzielnie wymierzyć jej sprawiedliwość. Była jeszcze otępiona skutkami choroby wysokościowej, działała zupełnie nieracjonalnie. Niewiele zresztą z tamtego okresu pamięta, co zapewne sama ustaliłaś.

Chyłka wciąż nie odpowiadała.

– Musiałaś uznać, że zasłania się niepamięcią, bo próbuje się wymigać od odpowiedzialności – kontynuował. – Ale prawda była taka, że Kabelis zeszła na dół ledwo żywa. Wystarczyło odpowiednio nią pokierować.

– Pokierować? – odezwała się z niesmakiem w głosie.

– Zmanipulować. Nazywaj to, jak chcesz.

Nie spodziewał się, że akurat o to będzie miała pretensje. Oboje byli ponad to. Ponad innych ludzi, takich jak Kabelis. Ich osiągnięcia, styl życia i renoma nie miały żadnego prawdziwego znaczenia. Liczyła się jedynie intelektualna wyższość, jaką cieszyli się tylko nieliczni. Tacy jak on i Chyłka.

Wpatrywał się w jej oczy, zastanawiając się, czy przypomina sobie wszystko, co się działo od początku tej sprawy. Esemes, który Kabelis dostała po ujęciu, z informacją, że będzie jej bronić Chyłka. Pierwsze spotkanie na Okęciu.

– Musiałem zbudować odpowiednią fasadę, ale z tym też nie było problemu – dodał. – Filmiki o niewolnicach i chatach menstruacyjnych zrobiły swoje. Zresztą Kabelis naprawdę narobiła tam sobie wrogów.

– Ale zeznania Nepalczyków…

– Wszystko to elementy mojej narracji – uciął Julian. – Stworzone za pomocą odpowiedniej kwoty w rupiach i dolarach. Mieszkańcy chętniej przyjmują te drugie, urzędnicy zresztą też. Wiesz, że w rankingach Transparency International Nepal znajduje się mniej więcej na poziomie Ukrainy?

– Wiem – odparła nieobecnym głosem.

– Nie było problemu ze spreparowaniem kilku zeznań.

– Ale to ciało, które znaleziono…

Nie musiała kończyć, a on właściwie nie musiał odpowiadać. Problemem byłoby pozbycie się zwłok – ich podłożenie nie nastręczało żadnych kłopotów w kraju, w którym wszystko można było załatwić, o ile miało się odpowiednie środki. Dołączenie do tego zdjęcia ofiary spod Proximy nie wiązało się z najmniejszą trudnością.

– Nigdy nie doszło do żadnego zabójstwa – dodał Julian. – Nikt niewinny nie zginął. Nie pozwoliłbym na to.

– Nie?

– Zależało mi na tym, by Kabelis poniosła karę, rozumiesz? Ale nigdy nie planowałem, żeby ktokolwiek stracił życie.

Widział, że mu nie wierzy, ale taka była prawda.

– Gdyby wszystko poszło po mojej myśli od początku do końca, Klara wylądowałaby w więzieniu. Choć dopiero po apelacji.

– Po apelacji?

– Wyjaśnię ci to za moment. W każdym razie na tym by się skończyło.

Chyłka potrząsnęła głową.

– Dlaczego zmusiłeś mnie, żebym jej broniła?

Zmusił ją, owszem. Właśnie to zrobił, tego dokonał. Fakt, że użyła tego konkretnego słowa, sprawił, że Brenczowi serce zabiło mocniej. I był to jeden z powodów, dla których w ogóle zdecydował się na całe to przedsięwzięcie. Chciał poczuć, jak wielką ma siłę. Na jak wiele go stać. Chciał trzymać życie Chyłki we własnych rękach.

– Naprawdę musisz pytać?

– Najwyraźniej.

– Rozczarowujesz mnie – odparł z niezadowoleniem. – Przecież to oczywiste. Chciałem cię kontrolować,

potrzebowałem tego. I wiedziałem, że dzięki temu się zbliżymy.

– Jak?

– Chyłka, rusz głową – odparł nieco ostrzej. – Kto ci kazał wspinać się na Annapurnę? Kto nasłał ludzi, by połamali Oryńskiego przed wyjazdem?

Dopiero teraz zdawała się zaskoczyć.

– Zrobiłeś to po to, żebyśmy… żebyśmy się zbliżyli? Tam, na miejscu?

– Nie zbliżyli, ale scalili – sprostował. – Tak ekstremalne doświadczenia budują więzi, które przetrwają wszystko. Wiedziałem, że jeśli wspólnie przetrwamy starcie z Annapurną, już nic nie stanie nam na drodze.

– Niemal tam zginęłam.

Spuścił powieki.

– Wiem – odparł cicho. – I przepraszam za wszystko, co cię spotkało. Nie mogłem przewidzieć tego, co się zdarzy.

Nie była to do końca prawda. Zakładał, że sytuacja może okazać się trudna, a momentami wręcz na to liczył. Wyobrażał sobie, jak wspina się z bazy w kierunku Chyłki, a potem samodzielnie ją ratuje. Miał świadomość, że na Annapurnie może stać się jej wybawicielem.

Zadbał o to, by tam się wybrała. A potem wyeliminował Oryńskiego, który miał z nią lecieć.

– Tak samo nie mogłem przewidzieć, że Kabelis spadnie w Tatrach.

– Ale gdybyś…

– Gdybym tylko mógł, zapobiegłbym temu.

Nie była co do tego przekonana, ale dla Juliana nie miało to żadnego znaczenia. Byli dopiero na początku długiej drogi razem. Mogła być wyboista, wiedział jednak, że ostatecznie okaże się dla obydwojga idealna.

– Sądziłeś, że jak to się skończy? – zapytała Joanna, kręcąc głową.

Brencz powiódł wzrokiem dookoła.

– Właśnie tak.

– Czyli?

– Że ostatecznie usiądziemy gdzieś razem i wszystko ci wyjaśnię. Klara znajdzie się w więzieniu, Daria będzie czekać na nas w bezpiecznym miejscu, a…

– A ja? – wpadła mu w słowo. – Spodziewałeś się, że jak zareaguję?

– Bardziej żywiołowo.

Zrobiła płytki, nerwowy oddech.

– Myślałeś, że tak po prostu z tobą odejdę? – spytała z pretensją w głosie. – Ot tak się zgodzę? Że zaczniemy razem nowe życie? Co ty sobie ubzdurałeś, Julian?

– Wolę, jak mówisz „Lemurze”.

Nie odezwała się, a na jej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. Brencz uznał w duchu, że to nie pora na próby zbliżenia się. Na to jeszcze będzie czas, jak tylko Joanna wszystko zrozumie.

– Trzymałeś mnie w szachu jedynie dzięki Darii – dodała. – Teraz nic na mnie nie masz.

– Mylisz się.

Chyłka uniosła brwi.

– Może zdałabyś sobie z tego sprawę, gdybyś zastanowiła się, w jakim celu zmusiłem cię do wpłacenia tego niewielkiego okupu w bitcoinach.

Rozchyliła lekko usta, zapewne karcąc się w duchu za to, że w natłoku zdarzeń zupełnie o tym zapomniała. Zablokowanie laptopa przez ransomware było absolutnie kluczowe, a ona powinna zdać sobie z tego sprawę.

– Wiesz, kto dostał te pieniądze? – spytał Julian.

– Nie.

– Trafiły do pewnego chłopaka w Rosji, który oferował swoje usługi na jednym z forów w Deep Webie. Twierdził, że może włamać się wszędzie, ale jednocześnie zastrzegał, że nie ma zamiaru zbliżać się do amerykańskich agencji. Ja na szczęście tego nie potrzebowałem.

– Nie rozumiem.

Julian podniósł widelczyk i zębami ściągnął z niego kawałek ciasta.

– Z twojego komputera dostał jedną, ale nie jedyną zapłatę. Pozostałe przyszły z innych miejsc, głównie dzięki ogólnodostępnym sieciom Wi-Fi – odparł Julian. – W sumie zebrała się całkiem niezła sumka. I dowody jasno wskazują na to, że to ty jesteś tą, która robiła wszystkie te przelewy w bitcoinach.

Widział, że wciąż nie łapie.

– Opłaciłaś tego człowieka, Chyłka.

– Jakiego człowieka? I za co, do cholery, miałabym mu płacić?

Brencz zaśmiał się cicho. Nie potrafił się powstrzymać, satysfakcja była zbyt duża. Joanna nie miała pojęcia, jak starannie to wszystko zaplanował.

– Za niewielką manipulację automatycznym systemem przydziału spraw w ministerstwie sprawiedliwości – odparł po krótkiej pauzie. – Niewielką, ale znaczącą.

– Co ty pieprzysz?

– Chłopak, którego opłaciłaś, zmanipulował system. Wykorzystał pewną lukę.

– Ale…

– Oczywiście o zhakowaniu całego mechanizmu nie ma mowy, jest dość dobrze zabezpieczony przed tak daleko idącymi ingerencjami – nie dał sobie przerwać Brencz. – Ale to

nie znaczy, że niczego nie można zrobić, kiedy ktoś naprawdę chce, by dany sędzia został przydzielony do konkretnej sprawy. A ty chciałaś… No, przynajmniej tak uzna wymiar sprawiedliwości.

Znów obrócił widelczyk między palcami, jakby bawił się długopisem.

– Rzecz polega na tym, że kiedy system losuje sędziego do danej sprawy, wyłącza z puli tych, którzy są w danej chwili na chorobowym. Wystarczy więc na ułamek sekundy, kiedy algorytm decyduje, wprowadzić odpowiednie zmiany.

Chyłka miała rozbiegany wzrok, co świadczyło o mimowolnej, atawistycznej potrzebie ucieczki. Jej problem polegał na tym, że nie było żadnej drogi ratunku. Julian o to zadbał.

– Wystarczyło okamgnienie – dodał. – Potem niemożliwe stało się dotarcie do tego, że Arek Szwed został wybrany nieprzypadkowo.

– Ale co niby miałabym…

Urwała, zapewne przypominając sobie o niespodziewanym spotkaniu w Hiltonie. Nie musiała się odzywać, by Julian miał tego świadomość. Sięgnął po telefon, a potem pokazał Chyłce kilka zdjęć, które zrobił wynajęty przez niego fotograf.

Ustawił kadr tak, by w restauracji było widać jedynie Chyłkę i Szweda. Samo w sobie nie stanowiło to dowodu na cokolwiek niezgodnego z prawem, choć takie spotkanie w trakcie procesu z pewnością było podejrzane. W połączeniu z faktem opłacenia hakera dawało jasne pojęcie o tym, co Chyłka starała się zrobić.

Chciał zapytać, czy to wszystko rozumie, ale zamiast tego odczekał chwilę w milczeniu.

– Miałem zamiar sprawić, że wygrasz w pierwszej instancji – odezwał się w końcu.

– Jak?

– Te przelewy w bitcoinach naprawdę miały miejsce. Tyle że ty pokryłaś tylko jedną wpłatę.

Musiała w końcu załapać, dlaczego Szwed traktował ją tak obcesowo. Wszystko to miało stworzyć wrażenie, że sytuacja była ukartowana. I po fakcie jasna dla wszystkich: Chyłka opłaciła Szweda, zapewniła mu przydział sprawy, a potem poleciła, by na sali sądowej zachowywał się, jakby był przeciwko niej. W istocie jednak miała wygrać.

Wyrok uniewinniający nie obroniłby się w apelacji, Julian spreparował zbyt dużo dowodów, by mogło stać się inaczej. Klara ostatecznie poszłaby siedzieć.

Teraz właściwie sytuacja była jeszcze lepsza. Nie potrzebował już dalszej ingerencji w wymiar sprawiedliwości.

Sprawa zostanie umorzona. Ślad w bitcoinach i zdjęcia z Hiltona jednak nie znikną.

Chyłka w końcu to zrozumiała.

– Ty skurwielu… – syknęła. – Zamierzałeś mnie szantażować?

– Po pierwsze nie powinnaś używać czasu przeszłego – zauważył. – Po drugie to nie szantaż, tylko moja polisa ubezpieczeniowa.

Joanna posłała mu długie, agresywne spojrzenie.

– Jeśli dalej będziesz mi posłuszna tak jak dotychczas, nic ci nie grozi – dodał. – Ale jeżeli nie zrobisz wszystkiego, o co cię poproszę, wszystko ujawnię. Stracisz nie tylko pracę, ale i prawo wykonywania zawodu. A CBA zadba o to, żebyś usłyszała zarzuty. Skończysz w więzieniu, Chyłka.

Czekał na reakcję, ale Joanna siedziała nieruchomo. Milion myśli musiało przepływać teraz przez jej głowę. Spodziewał się, że w pierwszej chwili będzie się starała zakłamać

rzeczywistość, ostatecznie jednak dojdzie do wniosku, że nie ma żadnego pola manewru.

Będzie musiała żyć z nim i z Darią. Rozstanie się z Oryńskim w sposób, który Brencz już zaplanował. Magdalenie również przedstawi zgrabną historyjkę. Razem zostawią dawne życie za sobą i zaczną nowe, wspólne.

Mięśnie na twarzy Chyłki w końcu drgnęły. Nie były to jednak te, których Julian się spodziewał.

Joanna uśmiechnęła się lekko, a potem odchyliła na krześle.

– Nie przewidziałeś jednego – rzuciła.

– Przewidziałem wszystko.

Pozwoliła sobie na jeszcze szerszy uśmiech.

– Nie – odparła ze spokojem, po czym się podniosła.

Położyła ręce na stoliku, rozsunęła je i nachyliła się do Brencza. Trwała tak przez jakiś czas bez słowa, a on odniósł wrażenie, jakby stał się jakimś rzadkim okazem, któremu się przyglądała.

– Więc co twoim zdaniem pominąłem? – spytał.

– To, że może i grasz w pierwszej lidze, ale krajowej – odpowiedziała z satysfakcją. – Ja jestem mistrzynią klasy światowej.

11

ul. Żwirki i Wigury, Stara Ochota

Pojęcie tego, co tak naprawdę się dzieje, wydawało się Oryńskiemu niemożliwe. Dopiero gdy uświadomił sobie, że od godziny lub dwóch tak naprawdę robił dokładnie to, czego Chyłka od niego wymagała, zrozumiał, że nic nie działo się przez przypadek.

Jakiś czas po rozmowie z nią Kormak znów zjawił się w jego gabinecie i oświadczył, że powinien pojechać na Okęcie. Nie miał zamiaru niczego tłumaczyć, zasłaniając się tym, że wykonuje jedynie polecenia Joanny.

Nie brzmiało to dobrze i wprawiło Oryńskiego w pewną dezorientację. Ostatecznie okazało się jednak niczym w porównaniu z tym, co go spotkało po drodze na lotnisko.

Kiedy rozległ się dzwonek telefonu, spodziewał się, że to Chyłka dzwoni, by wszystko wyjaśnić. Zobaczył jednak numer Klary i zrozumiał, że Gomoła ma mu coś jeszcze do przekazania.

Włączył bluetooth i kiedy komórka połączyła się z komputerem pokładowym, odebrał. Nie usłyszał jednak głosu policjanta.

– Siemasz, Kordi!

Potrzebował chwili, by upewnić się, że nie ma omamów słuchowych.

– Jesteś tam? – spytała Klara.

Machinalnie spojrzał w lusterko, samemu nie wiedząc dlaczego. Rzeczywistość zazgrzytała tak głośno, że poczuł

kompletną konsternację. Trącił dźwignię kierunkowskazu i zjechał na pas zieleni po prawej stronie. Dopiero teraz uświadomił sobie, że jest tuż pod akademikiem, za którym znajduje się Proxima.

– Kordi!

Naprawdę słyszał ten głos. Nie mógł dłużej temu zaprzeczać.

– Ale… – zdołał wydusić.

– Zaskoczony?

– Ale… – powtórzył.

– Nie sądziłeś chyba, że naprawdę tak łatwo zrezygnowałabym z kolejnych wypadów na kebaba na Tarcho?

Gorączkowo starał się zrozumieć, co się działo, ale w głowie miał pustkę. Tylko jedna rzecz nie ulegała wątpliwości – po raz kolejny Chyłka rozegrała wszystko po swojej myśli. I zrobiła to tak, by nikt jej nie stanął na drodze, nawet Kordian.

Oryński włączył światła awaryjne, po czym otworzył okno na oścież i zapalił papierosa. Wydawało się to najlepszym, co mógł zrobić.

– Jesteś tam? – spytała Kabelis.

– Jestem.

– Twoja dezorientacja jest naprawdę…

– O co tu chodzi? – przerwał jej, a potem nerwowo się zaciągnął. – Co tu się dzieje?

– Dżoana pewnie wszystko ci wytłumaczy, tymczasem chciałam ci tylko dać znać, że u mnie wszystko w porządku. Tak na wszelki wypadek, gdybyś się martwił.

Wesołkowatość w jej głosie sprawiała, że miał ochotę odpowiedzieć ostrzej, niżby wypadało. Powściągnął jednak emocje, jednocześnie uznając, że z tej rozmowy nie dowie się niczego konkretnego.

Szkoda było tracić czas.

Pstryknął papierosem przez okno, rozłączył się bez słowa, a potem gwałtownie włączył się do ruchu. Coś zazgrzytało, gdy zjeżdżając z krawężnika podwozie zahaczyło o kamień. Nie miał jednak zamiaru się tym przejmować.

Na Okęciu był po niecałych dziesięciu minutach. Zaparkował auto w strefie Kiss & Fly, gdzie mogło stać przez siedem minut. Przypuszczał, że wizyta zajmie więcej czasu, ale w tej chwili nie miało to żadnego znaczenia.

Natychmiast skierował się ku wyjściu pierwszemu i zaraz potem wypatrzył Joannę i Brencza w kafejce. Chyłka opierała się o stół, patrząc na rozmówcę, jakby miała zamiar rzucić go na pożarcie dzikim zwierzętom. Albo jakby sama była jednym z nich.

Zaśmiała się, zabrała torebkę z oparcia krzesła, komórkę ze stolika, a potem odwróciła się i ruszyła w stronę holu. Julian poderwał się na równe nogi i ruszył za nią. Wyglądał, jakby miał zamiar zatrzymać ją siłą.

Oryński natychmiast przyspieszył kroku, nie zdążył jednak w porę dotrzeć do dwójki ludzi, którzy zdawali się nagle zwrócić przeciwko sobie.

Wydarzenia rozegrały się zbyt szybko, by jakkolwiek zareagował.

Najpierw Brencz złapał Chyłkę za rękę i szarpnął mocno, obracając ją do siebie. Zaraz potem otoczyła ich grupa mężczyzn i zanim Kordian zdążył zrozumieć, co się dzieje, ci natychmiast unieruchomili Juliana.

Jednym z nich był Szczerbiński, co kazało sądzić, że pozostali także są nieumundurowanymi funkcjonariuszami policji. Przez chwilę przytrzymywali wyrywającego się Brencza, a potem wyprowadzili go z holu na zewnątrz.

Wszystko stało się tak błyskawicznie, że podróżni nawet nie odnotowali scysji. Jedyną osobą, która zwróciła uwagę na to,

co się działo, był trwający w bezruchu Kordian. Mnóstwo ludzi pochłoniętych swoimi sprawami mijało go w pośpiechu, on jednak miał wrażenie, jakby był całkowicie osamotniony.

Przyglądał się rozmawiającej ze Szczerbińskim Chyłce i dopiero po chwili się ocknął. Ruszył w ich kierunku i zatrzymał się przed nimi w momencie, kiedy Joanna podawała policjantowi swój telefon.

– Wszystko się nagrało? – spytał podkomisarz.

– Od początku do końca – odparła Joanna. – Przyznał się do wszystkiego.

– Powiedział, gdzie trzyma dziecko?

– Nie, ale nic jej nie grozi.

Funkcjonariusz odetchnął z wyraźną ulgą.

– W porządku – powiedział. – Wyciągniemy to z niego. Jak tylko zacznie mówić, wyślemy kogoś na miejsce.

– Daj mi znać, jak…

Urwała, dopiero teraz dostrzegając Kordiana. Drgnęła nerwowo, jakby zaskoczył ją w najmniej odpowiednim momencie. Przez moment patrzyli sobie w oczy bez słowa, a atmosfera gęstniała z każdą sekundą. Nie uszło to uwadze Szczerbińskiego, który czym prędzej zapewnił, że odezwie się, gdy tylko odnajdą Darię, a potem uścisnął dłoń jednemu i drugiemu, i oddalił się w kierunku wyjścia.

Chyłka obejrzała się przez ramię i przez chwilę zawieszała wzrok na szyldzie kafejki, z której przed momentem wyszła. Odwróciła się z powrotem do Kordiana i poprawiła grzywkę.

– Reflektujesz na resztkę sernika? – spytała.

– Reflektuję na odpowiedzi.

– Więc zwracasz się do właściwej osoby – odparła z satysfakcją. – Bo mam wszystkie.

– Widzę – odparł, odprowadzając wzrokiem funkcjonariusza.

Na zewnątrz Szczerbiński dołączył do swoich towarzyszy, którzy czekali w zaparkowanym obok iks piątki samochodzie. Brencza nie było widać, ale niewątpliwie znajdował się już w środku.

– A więc? – zapytał Oryński. – Co masz mi do powiedzenia?

Chyłka uderzyła go z sympatią w ramię.

– Tylko jedno.

– Co konkretnie?

– Odwołaj ekipę sprzątającą – odparła. – Właśnie pozamiatałam.

12

ul. Argentyńska, Saska Kępa

Uwinęła się z wyjaśnieniem mu wszystkiego jeszcze w drodze na Argentyńską. Obawiała się, że będzie mnożył pytania, a ona będzie musiała odpowiadać bez końca, ale Kordian większości rzeczy się domyślił.

Szybko zrozumiał, że wieść o rzekomym wypadku Kabelis nie pojawiła się nigdzie w mediach. Sam otrzymał ją bezpośrednio od Kormaka, który działał na wyraźne polecenie Chyłki.

Pojął także, że to ten wybieg był powodem, dla którego miał się skontaktować z McVayem i Julianem natychmiast po ich przylocie do Warszawy. Właściwie nie miało to sensu, bo czas nikogo nie naglił, nie mieli żadnych nowych wieści, a w dodatku prawnicy byli świeżo po pierwszej rozprawie.

Jedynym powodem, dla którego miało dojść do rozmowy, było przekazanie przez Oryńskiego wieści o śmierci Klary. A żeby zrobił to odpowiednio wiarygodnie, sam musiał uwierzyć, że wypadek miał miejsce.

W momencie, kiedy poinformowałby o nim Magdalenę, Juliana lub McVaya, trybiki maszyny poszłyby w ruch. I tak się stało. Brencz nie miał powodu przypuszczać, że został oszukany. Uwierzył, że los się do niego uśmiechnął i Klara poniosła odpowiedzialność bez potrzeby ciągnięcia dalej procesu.

Kordian przyjmował kolejne informacje milczeniem lub potwierdzał jedynie cichymi mruknięciami. Pierwsze pytanie

zadał Chyłce dopiero, gdy weszli do jej mieszkania.

– Wiesz, co mnie zastanawia? – odezwał się, ściągając kurtkę.

– Dlaczego najlepiej sprzedającą się medialną franczyzą jest *Pokémon*, który bije na głowę *Gwiezdne wojny* o jakieś trzynaście miliardów dolarów?

– Nie.

Przeszli do kuchni, a Chyłka od razu wyciągnęła z szafki coś na osłodę. Tym razem miała na podorędziu nerkowce w ciemnej czekoladzie. Rzuciła paczkę Zordonowi, a ten złapał ją bez trudu.

– Ten telefon z zakopiańskiej policji – mruknął.

Joanna niewinnie wzruszyła ramionami.

– Poprosiłam Forsta o przysługę – wyjaśniła. – Mówiłam ci, że ma jeszcze pewne znajomości. Może nawet są teraz bardziej przydatne, niż kiedy nosił mundur. Ostatnio nabił sobie kilka punktów, za które powinni przywrócić tego sukinsyna do służby.

Oryński otworzył paczkę i wysypał orzechy na dłoń. Chyłka podeszła do niego, wybrała największego z nich, a potem wrzuciła go sobie do ust.

– Skąd wiedziałaś? – spytał Kordian.

– Znam twoje zamiłowanie do słodyczy, Zordon.

– Nie mam na myśli nerkowców w pieprzonej czekoladzie.

– A co?

Patrzył na nią na tyle długo, by uznała, że najlepiej zrezygnować z dalszych przekomarzanek. Wiedziała doskonale, o co mu chodziło. Zjadła jeszcze kilka orzechów, a potem podeszła do kuchennej lady i zaczęła przygotowywać kawę.

– Skąd wiedziałaś, że Julian to Zdun?

– Nie wiedziałam – odparła, nie odwracając się. – Na dobrą sprawę nie miałam pewności co do czegokolwiek. Przypuszczałam jedynie, że to Julian stoi za tym wszystkim. Że to od niego wszystko się zaczęło.

– Dlaczego?

– Dzięki McVayowi.

Z pewnością nie to chciał usłyszeć, ale widocznie taka była prawda.

– Nabrał podejrzeń w Nepalu – ciągnęła. – Zastanawiało go, skąd Julian tak dobrze zna paru mieszkańców, z którymi załatwiał to i owo. W dodatku wychodził wieczorami z hotelu, co tylko wzmogło zainteresowanie Williama. Zaczął rozpytywać, głównie nie za pomocą słów, ale przywiezionych funtów, i w końcu trafił na coś znaczącego. A właściwie kogoś.

– Kogo?

– Chłopaka, któremu Julian zapłacił za doniesienie na Kabelis. To, po którym zatrzymano ją na granicy – wyjaśniła Joanna, stawiając na stole dwa kubki kawy. – Od tego tropu wiodło kilka innych i szybko stało się jasne, komu płacił Brencz. Największą zaletą łapówek jest to, że zawsze możesz zaoferować skorumpowanej osobie więcej.

– No tak.

– Opłacanie Nepalczyków rzucało na Juliana sporo podejrzeń – kontynuowała Chyłka. – Ale najważniejszy był jego pierwszy ruch.

– Sprawienie, by ujęli Kabelis na granicy.

– Otóż to – przyznała Joanna. – Zrozumiałam, że to było dla Brencza najważniejsze. Absolutnie kluczowe.

– To, czyli…

– Ukaranie tej, która z jego perspektywy była wszystkiemu winna. Klary.

Kordian zaczął nieświadomie przygryzać wargę.

– Więc usunęłaś ten element.

– Raczej udałam, że usuwam. A on połknął to jak pelikan, nie wiedząc, że się przy tym zadławi. Wiedziałam, że jeśli moje podejrzenia są uzasadnione, to Julian po rzekomej śmierci Klary zadziała. Szczerbiński i jego kumple mieli go śledzić, bo zakładałam, że zaprowadzi nas do Darii.

– Ale zrobił inaczej.

– Mhm – mruknęła. – Od razu zadzwonił do mnie, twierdząc, że ma mi coś do przekazania. Nie mógł wytrzymać, musiał działać natychmiast. Zbyt długo czekał na to, żeby upajać się moją konsternacją, zacząć nowe życie i czerpać przyjemność ze świadomości, że mnie pokonał.

Starała się nie przesadzać z samozadowoleniem, ale musiała przyznać, że dawno nie czuła się tak dobrze. Szczególnie po tych wszystkich wynurzeniach, których musiała nasłuchać się na Okęciu, czekając, aż wszystko się nagra.

– Więc co teraz? – spytał Oryński.

– Sprawa przeciwko Kabelis zostanie umorzona, chyba że dojdzie do zmiany kwalifikacji prawnej. Niektórzy wciąż chcą, żeby odpowiadała za nieudzielenie pomocy, ale przypuszczam, że kiedy opowiem im, jak wygląda walka o życie na Annapurnie, zmienią zdanie.

Kordian pokiwał głową w zamyśleniu.

– Brencz odpowie za wszystko, do czego się przyznał – dodała. – Uprowadzenie rodzicielskie, łapownictwo, tworzenie fałszywych dowodów, zatajanie dowodów niewinności osoby podejrzanej… i tak dalej.

– Status świadka koronnego mu nie pomoże?

– Nie. Przecież to wszystko zrobił bez związku ze statusem. Pójdzie siedzieć.

– A Szwed?

– Przyjął łapówkę, Zordon. Nie ma znaczenia, czy w bitcoinach, czy w złotych. Paderborn się nim zajmie, ale szczerze mówiąc, specjalnie mnie to nie interesuje. Niech sami się uporają ze swoimi problemami.

Oryński podniósł się, wyjął z jednej z szafek niewielką miseczkę i wsypał do niej orzechy. Potem stanął obok Chyłki przy kuchennej ladzie. Objął ją od tyłu i przysunął do siebie.

– Więc wychodzimy na prostą? – spytał.

Obróciła się do niego i zaplotła mu ręce na karku.

– Już na niej jesteśmy – odparła.

Doceniała to, że nie robił jej żadnych wyrzutów za to, że trzymała go w niewiedzy. A właściwie w pewien sposób nawet wykorzystała. Nie był to pierwszy raz, obiecała sobie jednak, że ostatni.

Z jednym wyjątkiem.

Wzięła od niego puste opakowanie po nerkowcach, a potem otworzyła drzwiczki pod zlewozmywakiem. Wrzuciła woreczek do kosza i upewniła się, że kilkoma innymi rzeczami przykryła to, czego wcześniej się pozbyła.

Były to głównie ulotki i materiały informacyjne na temat chemioterapii, by pacjenci wiedzieli, czego oprócz utraty włosów się spodziewać.

Wyniki badań potwierdzające obecność chłoniaka leżały na samym dnie.

Kilka lat życia. Wyrok był bezlitosny i pozbawiony uzasadnienia. Nie przewidywał możliwości złożenia apelacji.

Posłowie

Po raz pierwszy na pomysł napisania podobnej historii wpadłem jeszcze na studiach. Było to w trakcie konferencji w Akademii Leona Koźmińskiego zorganizowanej przez Katedrę Prawa Karnego, pt. „Stan wyższej konieczności. Prawo karne a kanibalizm na przykładzie tzw. Sprawy grotołazów Lona Fullera". Wykład prowadził Mateusz Woiński, który nawet o nudnej procedurze karnej potrafi mówić z takim zacięciem, jak Chyłka o ulubionych kawałkach Ironsów.

W tym wypadku temat jednak był wdzięczny, bo dotyczył moralnej oceny kazusu ułożonego przez harwardzkiego profesora. W jego scenariuszu kilku grotołazów zostaje uwięzionych w jaskini i szybko staje się jasne, że aby przeżyć, muszą poświęcić jedną osobę z grupy.

W tamtym czasie pracowałem już nad *Parabellum* i choć nie śniło mi się jeszcze wydanie kiedykolwiek mojej pierwszej książki, byłem już całkowicie pochłonięty wizją pisania. Wszystko, na co trafiałem, postrzegałem jako potencjalny zalążek powieści, wszystko wydawało mi się idealnym punktem wyjścia do opowiedzenia historii. Także sprawa grotołazów – choć z racji zamiłowania do górskich szczytów historia w mojej głowie rozgrywała się właśnie na nich, a nie w jaskiniach.

Ale nie tylko w mojej. Podobne rozważania towarzyszyły nam już od czasów antycznych – pierwszym i najbardziej znanym kazusem stanu wyższej konieczności była tzw. deska Karneadesa. W tym scenariuszu sytuacja jest nieco inna, bo po katastrofie okrętu jeden z ocalałych zauważa na wodzie kawałek drewna, na którym może się utrzymać. Problem zarysowany przez Karneadesa z Cyreny sprowadza się do tego, że w tym samym momencie zjawia się inny rozbitek, a deska może utrzymać tylko jedną osobę. Czy więc nasz bohater może strącić drugiego, by się ratować? Co by było, gdyby ten drugi w istocie zajął miejsce jako pierwszy? I ostatecznie – czy można zabić, by ocalić własne życie? A gdyby nie chodziło o deskę, tylko o, dajmy na to, organy innego żyjącego człowieka, które mogą nas uratować?

Takie pytania towarzyszą nam od zawsze i pewnie jeszcze długo nas nie opuszczą. Mnie uświadamiają przede wszystkim to, o czym wspomina wielu prawników parających się prawem karnym – mianowicie, że człowiek nie jest z natury zły czy dobry. To okoliczności, w których się znalazł, i sposób, w jaki na nie reaguje, czynią z niego jednego lub drugiego.

Zahaczyliśmy o odległą przeszłość, ale wróćmy do teraźniejszości, a może nawet wykroczmy nieco dalej, zapuszczając się w nieznane. Co dalej z Chyłką i Oryńskim? Jak zawsze chciałbym dać im trochę czasu i postawić przed sobą znak stopu – ostatnio jednak go zignorowałem niczym Chyłka przy wyjeździe z podporządkowanej, więc i tym razem nie wróżę sobie sukcesu.

Nasz prawniczy duet z pewnością będzie musiał odnaleźć się w nowych okolicznościach. Nie dość, że w końcu będą mieli okazję, by zająć się swoją relacją, to Chyłce przyjdzie zmierzyć

się z być może najgroźniejszym przeciwnikiem. Jak poradzi sobie z tym wszystkim, co ją czeka?

Nie wiem. Jak zawsze, bohaterowie piszą swoją własną historię, a ja jestem jedynie protokolantem. Nie miałem zamiaru wysyłać Chyłki na zaśnieżone zbocza Annapurny, ale w pewnym momencie rzuciła mi to wyzwanie, a ja uznałem, że grzechem byłoby go nie podjąć.

Teraz rzuca mi jeszcze większe, bo utrzymanie jej życiowego i zawodowego rajdu w połączeniu z chorobą z pewnością będzie czymś, z czym jeszcze nie miała do czynienia.

Na koniec rzecz najważniejsza, czyli wyrazy podziękowania, które chciałbym skierować do:

– Ciebie. Za to, że wspólnie ignorujemy kolejne znaki stopu, a potem z zadowoleniem mówimy jednym głosem: *hemos pasado*,

– moich Rodziców, przyjaciół i znajomych za nieprzerwane wsparcie, które pozwala kontynuować wspinaczkę nawet, kiedy z góry schodzi lawina,

– Moniki, Karoliny, Roberta, Adriana i całej ekipy z Czwartej Strony, która jest dla mnie zarazem kolegialnym kierownikiem wyprawy, jak i wsparciem w base campie,

– Mateusza Woińskiego, za podsunięcie ciekawego pomysłu,

– Michała Leksińskiego, który łączy górską pasję z chęcią pomocy innym (więcej na ten temat można przeczytać na jego stronie, 7happysummits.pl). Posłużył mi cennymi wskazówkami, a za wszelkie odstępstwa od zasad alpinistycznej sztuki należy winić wyłącznie mnie (no, może po części też Chyłkę).

Remigiusz Mróz

Opole, 31 marca 2018 roku

Chcesz posłuchać playlisty Zordona?
Wejdź na http://remigiuszmroz.pl/playlista

Spis treści

Rozdział 1. Wachlarz

1. ul. Europejska, Wilanów
2. Dom Brenczów, ul. Europejska
3. ul. Europejska, Wilanów
4. Kancelaria Żelazny & McVay, Skylight
5. ul. Żwirki i Wigury, Okęcie
6. Gabinet Żelaznego, Skylight
7. Skwer Tarasa Szewczenki, Mokotów
8. Areszt śledczy w Warszawie-Grochowie
9. ul. Europejska, Wilanów
10. Tarchomin, Białołęka
11. ul. Żwirki i Wigury, Ochota
12. KEN Center, Ursynów
13. ul. Emilii Plater, Śródmieście
14. ul. Argentyńska, Saska Kępa
15. Białołęcki Ośrodek Sportu, Tarchomin
16. Buñuel, Saska Kępa

Rozdział 2. Portrety

1. ul. Wandy, Saska Kępa

2. McDonald’s, Bielany
3. Lotnisko Chopina w Warszawie, Okęcie
4. Tarchomin, Białołęka
5. Kaldhara Marg, Katmandu
6. Elsnerów, Targówek
7. Obóz drugi, Annapurna
8. ul. Mehoffera, Tarchomin
9. ul. Europejska, Wilanów
10. Siedziba NSI, Wola
11. Base camp, zbocze Annapurny
12. Annapurna, Himalaje
13. Tarchomin, Białołęka
14. Annapurna, Nepal
15. ul. Mehoffera, Tarchomin
16. Ok. 5400 m n.p.m., Annapurna
17. ul. Mehoffera, Tarchomin

Rozdział 3. Habemus corpora

1. Okęcie, Warszawa
2. ul. Waryńskiego, Mokotów
3. Instytut Hematologii i Transfuzjologii, Mokotów
4. Sąd Okręgowy w Warszawie, al. Solidarności
5. Sala rozpraw, Sąd Okręgowy w Warszawie
6. Piazza Bar & Grill, Hilton
7. ul. Argentyńska, Saska Kępa
8. Costa Coffee, Skylight
9. ul. Indiry Gandhi, Ursynów
10. McCafé, Okęcie
11. ul. Żwirki i Wigury, Stara Ochota

12. ul. Argentyńska, Saska Kępa

Posłowie